

Anne Rivers Siddons

LETNISKO

PROLOG

MAUDE CHAMBLISS, 1992

Głos dziwnie się tu niesie po wodzie, szczególnie wtedy, gdy mgła, tak jak teraz, wstaje znad zatoki Penobscot. Zaczęło się późnym popołudniem, co rzadko zdarza się u nas o tej porze roku. Przeważnie mgły późnego lata zaledwie zaczynają się podnosić o tej godzinie, więc powrót do domu po drinku w którymś ze starych domów letniskowych nie sprawia trudności i jest przyjemny, nawet nie pozbawiony uroku, gdy ostre kontury miękną i zacierają się powoli.

Ale tego wieczora nikt by nie powiedział, że powrót jest łatwy; każdy potrzebował latarki i laski... jeśli w ogóle ktoś jeszcze wracał do domu w tej mgle. Wszyscy już poszli — tylko ja zostałam. To dla mnie nowe doświadczenie, ale wcale nie tak niezwykle, gdy się nad tym zastanowić. Ktoś musi być ostatni.

I to przecież wrzesień.

Powiedziałam, że głos brzmi tu dziwnie — mam na myśli, że jest niezwykle; jest w nim jakaś osobliwość, która może niepokoić, nim człowiek doń przywyknie. Odbija się wokoło, tak że nie wiesz, skąd nadchodzi ani jak jest blisko i często naśladuje coś całkiem innego.

Na przykład rytmiczne skapywanie kropli z rynny na dachówki werandy, czy wartkie rozpryski wody w brzezynie naprzeciw mojego domu, gdy wiatr poruszy gałęzie, można wziąć za głucho uderzenia piłeczek tenisowych i perliste oklaski, kurtuazyjnie wybuchające podczas naszych małych zawodów sierpniowych, które odbywały się co roku, odkąd przybyłam do Zacisza; pamiętam grających młodych mężczyzn w białych spodniach i blezerach — kobiety grywały rzadko. Trzask namokniętych gałęzi można pomylić z odgłosem wystrzałów na rozpoczęcie którychś z niekończących się regat.

Skrzypienie starego fotela na biegunach, na werandzie pod moim oknem, gdy poruszy go nocny powiew, przypomina do złudzenia zgrzyt schnących lin na słupach przycumowanych w małej przystani na końcu szlaku, czy toru żeglugowego — zdaje mi się, że tak się to nazywa. Nigdy nie opanowałam terminologii żeglarskiej. Piotr był zapalonym żeglarzem, ale ja nie lubiałam tego od początku, a używanie fachowego języka bez znajomości przedmiotu, o którym mówi zawsze mi się wydawało czymś snobistycznym i śmiesznym.

A znów kwilenie mew na przystani: mógłby to być okrzyk łowiecki starego, burego kota Amy i Parkera Potterów, czy — już po latach — płacz dziecka, które Elżbieta urodziła w tym domu, przedwcześnie, po tych wszystkich upiornych, nie kończących się godzinach w ciemności, bo ostatnie porywy sierpniowego huraganu przerwały dopływ elektryczności. Dziecko umarło tej samej nocy; Elżbieta nie mogła się dostać do szpitala w Castine, bo wielka, wyrwana z korzeniami, jodła zatarasowała drogę, a na lotnisku nie było wtedy lekarza. Słyszałam, jak płakało przez całe, nie kończące się, popołudnie i potem wieczorem, aż wreszcie ucichło.

Nigdy później nie lubiłam krzyku mew.

Elżbieta najwyraźniej też go nie lubiła. Nigdy już więcej nie wróciła do Zacisza, choć nie umiem powiedzieć, czy z żalu po śmierci dziecka, czy z obawy przed gadaniem na jego temat. Chyba pierwszy powód wchodził w grę. Elżbieta nie dbałaby o to drugie. Nie przyjechałaby przecież do Pięknego Brzegu, rodzinnego domu lotniskowego, by tu urodzić, gdyby się bała języków. Z pewnością nie, biorąc pod uwagę fakt, że ojciec dziecka był tego lata w sąsiednim domu wraz ze swą rodziną... przynajmniej tak mówiono. W małym zakątku, jak Zacisze, takie plotki powtarza się z wielką przyjemnością przez całe pokolenia, nawet gdy brak dowodu. W tym przypadku „dowód” nie przeżył nawet dnia.

W każdym razie Elżbieta więcej tu nie wróciła. Nigdy jednak nie sprzedała Pięknego Brzegu, choć sądziliśmy, że to zrobi po śmierci Amy i Parkera. Wynajmowała po prostu dom każdego lata, znajomym ze swego niezwykłego, szalonego świata, których było na to stać; w ten sposób zaznaczyła się, by tak rzec, pierwsza rysa w pancerzu otaczającym Zacisze.

Przedtem nie było tu lokatorów; Amy i Parker umarliby ze wstydu, gdyby nie umarli już wcześniej. Muszę jednak przyznać, że lokatorzy Pięknego Brzegu wnosili ożywienie. Jednego lata mieliśmy światowej sławy kompozytora, który tutaj stworzył swoje najsłynniejsze dzieło waląc w klawisze rozstrojonego Bechsteina; innego lata rodzinę aktorów, jak mi się zdaje Żydów, którzy co wieczór robili próby nowej sztuki i krytykowali się ostro nawzajem przez całe trzy miesiące. Nie mogło to do mnie nie docierać; okna mojej górnej sypialni wychodzą na bawialnię i werandę Pięknego Brzegu, a — jak mówiłam — tu, na brzegu zimnego morza głos się niesie daleko. Głosy dochodzące z domu Potterów zawsze mnie denerwowały, z wyjątkiem beztróskich nawoływań Amy; przyzwyczaiłam się do nich, gdy bywałam tu jako młode małżeństwo. Ale tego wieczora chyba z radością powitałabym kompozytora, a nawet aktorów.

Tylko nie głos skazanego na śmierć dziecka. Nigdy to. Ze wszystkich odgłosów narodzin, życia, i śmiechu, które słyszałam przez te wszystkie letnie miesiące w Zaciszu, ze wszystkich odgłosów kłótni i płaczu, i nawet miłości, tak; ze wszystkich odgłosów zamierania, a nawet śmierci — dobry Boże, nigdy więcej tego kruchego i straszliwego dźwięku, poczętego z burzy i udręki, który tak szybko zamarł.

Tylko dla mnie jednej nie miał nigdy zamilknąć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wszystkie miejsca, w których osiedlali się Francuzi, już w samym rdzeniu zarażone są rozkładem, od początku uderza w nich atmosfera łagodnej, jakby zgniłej, poświaty, jak fosforyzowanie próchniejącego drzewa — dziwnie jednak przyciągającej. Nawet uwodzicielskiej, jeśli wierzyć słowom mojej teściowej, która wyraziła ten zadziwiający pogląd. A mojej teściowej wierzono zawsze. Uważano powszechnie w tamtych czasach, że Anna Stuart Chambliss raczej umrze na stosie, niż skłamię. Wcale mnie to nie dziwi. Sądzę, że rola Dziewicy Orleańskiej odpowiadałaby Mamie Annie bez reszty, aż po żarliwą męczeńską śmierć. Pierwiastek tragizmu był w niej równie potężny jak bezlitosnej prawdy i posługiwała się nimi, gdy zachodziła potrzeba, z równym niepohamowaniem. Nie znałam nikogo, kto zdołałby umknąć przed tymi podwójnymi ciosami, z wyjątkiem Piotra, mojego męża. On jeden umiał czerpać z nich korzyść.

O tym rozkładzie i zarazem powabie powiedziała mi tego wieczora, gdy pierwszy raz przyjechałam do Zacisza. Musiała myśleć o tym już wcześniej, gdy spotkała mnie po raz pierwszy, przed rokiem, kiedy Piotr przywiózł mnie do wielkiego domu w Bostonie, bym poznała ją i jego ojca; wtedy nie wypowiedziała tego głośno. Ale było dla mnie oczywiste, a tak samo — sądzę — dla Piotra, że to właśnie, lub coś zbliżonego uwierało ją niczym góra lodowa pod jej powściągliwymi, świetnymi manierami. Och, uśmiechała się swoim uśmiechem etruskiej rzeźby przez te wszystkie lata, które przeżyłyśmy razem, przytulała mnie lekko do siebie i muskała w policzek wargami jak polarne motyle, ale nikogo z nas to nie zwiodło. Nie sądzą, żeby zamierzała nas zwodzić. Moja obcość wisała w nieskalanej atmosferze salonu Chamblissów jak odór.

Dopiero wtedy, gdy Piotr przywiózł mnie jako świeżo poślubioną żonę do starego, brunatnego domu letniskowego nad zatoką Penobscot, na północy Maine, gdzie Chamblissowie spędzali lato od pokoleń, dała odrobinę ujścia swemu niezadowoleniu, i zarazem skazała mnie i Charleston, i całe leniwe Południe na męki prywatnego, skutecznego, czyścica Zacisza. To, że powiedziała te słowa z uśmiechem, ściskając z lekka moje

ramiona, w odpowiedzi na coś, co wrzeszczała do niej swym schrypiętym od ginu głosem stara pani Stallings, nie złagodziło zjadliwości.

Augusta Stallings przyglądała mi się — małej, okrągłej, ciemnookiej, czarnowłosej i spalonej słońcem, stojąc w chłodnym, przesiąkniętym kamforą półmroku bawialni; rzuciła się, jak pstrąg na jętkę, na moją wyraźną odmienność w tym świecie prostych, jasnych włosów, przemitych deszczem oczu, długich kości i zębów, i owalnych twarzy Nowej Anglii.

— Charleston, powiedziała pani? — ryknęła. — Gascoigne z Charlestonu? Znałam Pickney'ów i jednego z Hugerów, ale nigdy nie spotkałam Gascoigne'ów. Francuzi, prawda? A może raczej Kreole? No, nie ma co, kolorowe z pani maleństwo.

I wtedy właśnie moja teściowa otoczyła długą ręką Stuartów moje ramiona i wygłosiła swoją małą mowę na temat Francuzów, zepsucia i powabu. Twarz mi pociemniała, ale myślę, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Pokój był ciemny jak piwnica, gdyż Anna rzadko pozwalała przycinać ogromny krzew bzu zasłaniający okna. To była pierwsza rzecz, którą zrobiłam gdy umarła.

Piotr przyciągnął mnie do siebie, uśmiechając się szeroko, najpierw do matki, a potem do Augusty Stallings.

— Jedyni Francuzi, którzy osiedlili się w Charlestonie, to czterystu cnotliwych starych hugenotów, uciekających, gdy Ludwik XIV odwołał edykt nantejski — powiedział. — Nie było w nich ani krzty zepsucia. Ani nie byli uwodzicielscy, jak sobie wyobrażasz. Chyba, że chciałybyś zasugerować, że Maude jest kwarteronem*, mamo?

— Nie mów głupstw, Piotrze — odparła Anna tonem wskazującym, że dopuszcza taką możliwość. Miałam przecież ciemną skórę, ciemne oczy i czarne zbite kędziory, ciasno okalające głowę. No, i coś z nosem...

— Chcesz powiedzieć — Murzynką? — Augusta Stallings ryknęła przypatrując mi się baczniej w zimnym, perłowym półmroku. Z kubka, który trzymała w ręku, pociekło trochę czystego ginu na dywan.

— Ach, doprawdy, Augusto — powiedziała Anna. — Oczywiście, że nie miałam tego na myśli i jeśli usłyszę choć słowo na ten temat na lotnisku w tym roku, będę wiedziała, gdzie jego źródło. Rodzina Maude mieszka od dwustu lat w Charlestonie i prawie od tak dawna mają plantację.

— W porządku więc — zawołała Augusta Stallings, jakby słowo „plantacja” było kamieniem z Rosetty, wyjaśniającym tajemnicę tej zepsutej, zbyt ciemnej, południowej synowej.

Piotr śmiał się głośno, więc i ja się lekko roześmiałam, a dwie starsze kobiety przeniosły się na słoneczną werandę, gdzie stała taca z napojami.

— Wprawimy ci kość do nosa przed pójściem na obiad, to ci zapewni karierę w Zaciszu — rzucił Piotr, a ja roześmiałam się głośno, tak jak tego

* Kwarteron — potomek białego (-lej) z terceronem [tj: potomkiem białego (-łej) i Mulata (-tki)] (przyp. wyd.)

pragnął. Piotr zawsze potrafił wywołać mój śmiech, nawet w najgorszych chwilach. Choć wszyscy i wszystko w tym zimnym północnym świecie było dla mnie obce i przerażające, nie bałam się, dopóki był przy mnie.

— Nie przejmuj się zanedo Augustą Stallings, moja droga — dobiegłam z sofy przed ogromnym kominkiem głos mego teścia. Drgnęłam. Zapomniałam o jego obecności. Niewiele powiedział, odkąd przyjechaliśmy; niewiele w ogóle mówił w czasie naszych kilku spotkań. Był przystojny, z dystansem, ale jakby nieco spłowiały, wyblakłe przeciwieństwo Piotra. Był miły, ale ja po prostu nie zauważałam jego obecności. Zawsze, gdy docierał do mnie jego głos, miałam wrażenie, że słyszę go po raz pierwszy.

— To nie ma najmniejszego znaczenia — powiedziałam.

— No, spodziewam się, że nie ma — odparł Duży Piotr. — Straszna kobieta. Zawsze podchmielona. Za dużo pieniędzy i nie dość zajęcia. Tak właśnie jest z tymi tu kobietami. Za dużo pieniędzy, a za mało zajęcia. Za dużo długich nowoangielskich nosów w cudzym prosię.

Uśmiechnęłam się do niego przez cały pokój, czując w nim sprzymierzeńca. Gdy ci dwaj Chamblissowie, ojciec i syn, są po mojej stronie, czy lato może się okazać złe?

Myślałam się. Sądzę, że mój teść mógłby być wspianiałym sprzymierzeńcem, gdyby sprawy potoczyły się inaczej, wiem, że mi współczuł i lubił mnie. Czułam to od początku. Ale wtedy nie wiedziałam o mrocznej stronie jego wnętrza, o ciemnym miejscu, gdzie się wycofywał na długi czas i zatrząskiwał za sobą drzwi. Gdy tam przebywał nie było doń dostępu, ani on nie wyciągał do nikogo ręki. W dniach po naszym przybyciu wymknął się do swego ciemnego azylu. Piotr mówił mi, że większą część czasu w Zaciszu spędzał z dala od otaczającego świata. Pamiętam, że przez długi czas zadawałam sobie pytanie, po co tam przyjeżdżał, jeśli to go wiodło w mrok.

— No cóż — powiedział kiedyś, dużo później Piotr. — Tam właśnie jeździmy w lecie.

Wtedy to było dostateczne wyjaśnienie.

Udaliśmy się do starej, pomalowanej na biało jadalni trochę później, tak że większość letników już się tam zgromadziła i chyba sto oczu wpatrywało się we mnie, gdy szłam za Anną. W mojej jedwabnej sukni w kwiaty czułam się zbyt wystrojona, w jaskrawy sposób zepsuta, marnie uwodzicielska i obrzydliwa jak zgniły owoc. Otaczały mnie jasne płótna i tweedowe, koloru ziemi, ubrania albo białe, surowo neutralne stroje, przypominające świeży śnieg. Brwi o barwie piasku unosiły się nad długimi nosami i ostrymi, wystającymi kośćmi policzkowymi, a spokojne szeptu brzmiały jak brzęczenie dobrze wychowanych pszczół. Ale wszystkie twarze były uśmiechnięte, a cienkie palce ścisnęły moje na powitanie. Pierwszy i jedyny raz, tego pierwszego wieczoru w Maine, chroniły mnie dwa potężne amulety: Anna Stuart Chambliss i wielka plantacja, z której pochodziłam. Wiedziałam, że większość obecnych o tym słyszała: Augusta

Stallings wciąż jeszcze zataczała kręgi, kursując od stołu do stołu, jak stary holownik.

Spośród wszystkich obecnych tego wieczora w wielkiej jadalni, tylko Piotr i ja wiedzieliśmy, że plantacja była mitem.

Poznałam go w wieczór mego pierwszego balu na Świętą Cecylię. Ludzie zawsze uważają taką historię za romantyczną i w pewnym sensie tak jest. Ja na pewno wtedy tak myślałam; utonęłam niemal podczas tej wykutej w srebrze listopadowej nocy w czystym romantyzmie niezwykłego przeżycia. Dopiero Darcy odgadła prawdę, po tych wszystkich latach. Darcy, ze swą płomienną naturą, stworzona do szybowania wysoko; jej złamane serce zamknęło się przed tym w lęku.

— O mój Boże, jakie to straszne — powiedziała. — Jakie krzywdzące dla was obojga. Czy cokolwiek mogło się z tym później jeszcze równać?

Czy rzeczywiście mogło? Ale próbowaliśmy. Zawsze próbowaliśmy, Piotr i ja, żyć na miarę tamtej czarodziejskiej nocy na równinach Karoliny, nocy, która zaczęła się od wielkiego naręcza białych cieplarnianych bżów — rzadszych w tym miejscu i o tej porze roku niż diamenty — a skończyła pocałunkiem w ciemności na omszałym brzegu zamglonej zatoki, skąpanej w świetle księżyca.

Ogólnie rzecz biorąc, myślę, że się nam całkiem nieźle udało. Jakim kosztem, w konkretnych przypadkach, tylko on wie i ja, ale w małżeństwie Maude Brundage Gascoigne i Piotra Williamsa Chamblissa działały czary. Zawsze były czary. Czary i miłość; nie wydaje mi się, by surowi ludzie w New Hampshire i Maine, wśród których przyszło mi żyć, wybaczyli nam to do końca. Lub raczej — by wybaczyli mnie. Na tych ciemnych wzgórzach palono niegdyś kobiety uprawiające czary. Gdy to już nie wchodziło w grę, szukano innych sposobów składania ofiar. Ale ja zachowałam miłość i trochę czarów także; och, tak, zachowałam naprawdę.

Po dziesiątkach lat, gdy musical „A Chorus Line” zdobył sobie oszałamiającą popularność, urzekła mnie w nim słodka, choć nie pozabawiona goryczy ballada: „Co uczyniłam dla miłości”. Nuciłam ją i śpiewałam, poprosiłam Darcy by mi kupiła płytę, i przegrywałam ją przez całe lato w Zaciszu.

— Babciu Maude, przecież to piosenka ulicznicy — dokuczała mi. — No, może nie ulicznicy, ale w każdym razie osoby, która na pewno nie raz stała pod latarnią. Zupełnie nieodpowiednia dla starszej pani. Co takiego skandalicznego uczyniłaś z miłości, powiedz?

Patrzyłam na nią, płonąca tego lata w słońcu i ogniu pierwszego uczucia. Nie miałam żadnych złudzeń co do rzeczy, które robiła z miłości i wiedziałam, że żadnej z nich nie żałowała.

— Myślę, że ci powiem — odparłam. — Tobie jednej. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze musisz przebyć długą drogę zanim dojrzejesz by tego wysłuchać.

— Och, powiedz. Dlaczego nie?

— Ponieważ nie stałaś się jeszcze w pełni kobietą — odpowiedziałam.
— A ty nią jesteś?
— Tak.
— Będę czekać — powiedziała moja rudowłosa wnuczka. — Z zapartym tchem.

Śmiała się ze mnie.

To nic. Powiem jej pewnego dnia, gdy stanie się kobietą, jaką myślę, że może się stać. Nigdy nie można mieć co do tego pewności, ale jest w niej dobry surowiec. Jeśli wykorzysta to, co życie już jej dało, powiem jej co zrobiłam dla miłości. Spośród wszystkich kobiet jakie kiedykolwiek znałam w tym pięknym zakątku nad zatoką Penobscot, moja wnuczka, Darcy Chambliss O'Ryan, mogłaby przy odrobinie szczęścia to zrozumieć. A także zrozumieć siłę tej miłości, która narodziła się na brzegach zatoki Wappoo, za Charlestonem, w listopadową noc 1923 roku...

Po raz pierwszy usłyszałam jego nazwisko, gdy mój brat, Kemble, napisał, że przywozi z Princeton kolegę na bal św. Cecylii i że mam dla niego zarezerwować szesnasty taniec.

— Nie ma co, ma tupet — powiedziałam do Aurelii, która dała mi list przy śniadaniu. Jadłam je sama w kuchni starego domu. Ojciec przepadł już w jesiennych bagnach z aparatem fotograficznym i notesem, a jadalnia od dawna była zamknięta, gdyż nie można jej było dogrzać i — od wieków murszejąca — groziła zawaleniem w czasie posiłku.

— Kto ma tupet? — zapytała Aurelia.

— Kemble. Przywozi do domu kogoś zupełnie nieznanego na Świętą Cecylię i każe mi zarezerwować dla niego szesnasty taniec. Co za wspaniała dla mnie szansa.

Aurelia, wychudzona i mizerna, złotozębna i oddana, urodziła się i wychowała w Charlestonie. Wiedziała równie dobrze jak każda stateczna matrona czy młoda małżonka z ulicy Legare, że szesnasty taniec na balu św. Cecylii, mocą żelaznej tradycji, rezerwuje się dla męża lub narzeczonego. Znała też Kemble'a i mnie jak żadna inna żywa istota, lepiej nawet niż nasz ojciec, gdyż wychowywała mego brata od czasu, gdy był małym brzdącem, a mnie od niemowlęcia, po śmierci naszej matki.

— To już całkiem pogrzebie twoje szanse — zauważyła. — Ten obcy wróci na północ, a z tobą tego tańca już nikt nie zatańczy. Może już nigdy; może już nigdy nie zdobędziesz męża. Może całe życie ci zejdzie na bagnach.

Aurelia nie ukrywała, że nie pochwała sposobu, w jaki mój ojciec mnie wychowywał, w zupełnej właściwie samotności, w zrujnowanym starym domu, wybudowanym dwieście pięćdziesiąt lat temu na od dawna nie przynoszącej plonów plantacji ryżu nad zatoką Wappoo, łączącą rzekę Stono z portem Charleston. Akurat tam, gdzie dopływa do niego rzeka Ashley. To było zbyt odludne miejsce dla dziecka, choć ta izolacja nigdy mi nie przeszkadzała. Gdy pierwszy August Gascoigne wykarczował ziemię, zaczął uprawiać ryż i zbudował wielki dom wraz z zabudowaniami gospodarczymi i czworakami dla niewolników, bagniste lasy roiły się od

dzikich stworzeń, które gwizdały i śpiewały, śmigały w powietrzu, ryczały, wyły i pluskały. W 1923, gdy miałam siedemnaście lat, wciąż jeszcze tam były. Ale dom stopniowo popadł w ruinę, a pola ryżowe, które dały początek wielkiej fortunie, już dawno zarosły zielskiem, zaś sama fortuna z biegiem lat zmalała, pozwalając memu ojcu, Gusowi, ostatniemu z długiej linii Augustów Gascoigne, zaledwie wyżywić, ubrać i wykształcić Kema i mnie oraz płacić pensję Aurelii i jej mężowi Duke'owi. On sam zaś zanurzył się całkowicie w badanie flory i dzikiego ptactwa Równin. Odkąd tylko zaczęłam chodzić, towarzyszyłam mu w wyprawach na bagna. Na długi czas stało się to także i moją pasją.

Nasza matka, drobna, subtelna dziewczyna z wielkiej starej charlestońskiej rodziny, umarła przy moim urodzeniu. Tak spełniło się proroctwo jej starego ojca, że nic dobrego nie wyjdzie z jej małżeństwa z ostatnim ze zgrai Gascoigne'ów. Potem ja i Kemble nie widywaliśmy prawie naszych kuzynów Brundage'ów. Wiem, że przysłali pieniądze na naszą naukę, a mój ojciec z poczucia obowiązku kształcił Kemble'a u McCallie i w Princeton, a mnie, niestety, w Ashley Hall, gdzie zabawiłam niezmiernie krótko. Uciekałam bowiem tyle razy, że wreszcie ustąpił i pozwolił mi zostać w domu z Aurelią i Duke'em i spędzać czas w bagnistych lasach z siatką, notesem i szkicownikiem, albo w mojej poobijanej łódce z zawiniętymi w papier kanapkami i ciepłą coca-colą. Czytać książki, pływając po tajemniczej czarnej powierzchni zatoki Wappoo. Nauczyłam się, jako cudowne dziecko, bardzo wcześnie czytać i wchłaniałam w siebie niczym drogą osmozy klasyczną muzykę, której ojciec słuchał wieczorami na wielkim Capeharcie, stanowiącym najpoważniejszy jego nabytek. Gdy o tym pamiętał, uczył mnie podczas długich wieczorów latem i ciemnych, ciężko zapadających zimą. Gdy miałam dwanaście lat, przebrnęłam przez całą wielką bibliotekę w Belleau i przyswoiłam sobie wszystko, co cieszyło się powodzeniem u Gascoigne'ów przez minione lata; nigdy nie posądzano ich o to, że byli intelektualistami. Jako kilkunastoletnia dziewczyna wiedziałam więcej o życiu przez duże Ż niż jakakolwiek dziewczynka mieszkająca pomiędzy rzekami Ashley i Copper, choć było to życie o zdecydowanie słodkawym, francuskim zabarwieniu; nikt nigdy nie pomyślał, żeby mi zabrać Balzaca czy Maupassanta. Ojciec, gdy sobie o tym przypomniał, uczył mnie też trochę geografii, historii, botaniki i biologii mórz, a nikogo, włącznie ze mną nie martwiło, że do czasu zamążpójścia nie robiłam żadnych rachunków. Aurelia, która wyrastała w wielkim miejskim domu Brundage'ów na Tradd Street aż do chwili małżeństwa z Duke'em — gdyż wtedy Brundage'owie wysłali ją razem z własną córką do Belleau — wprowadziła mnie w zakres subtelnego, przerafinowanego katechizmu manier i obyczajów charlestońskich, w sposób bardziej bezlitosny, niż zrobiłaby to przeciętna matka. Kemble nauczył mnie tańczyć. Ogólnie rzecz biorąc w tym czasie i w tym miejscu, nie była to zła edukacja.

Ale Aurelia uważała, że jestem skazana na staropanieństwo wśród zimnych bagien, a ojcu zarzucała winę zmarnowania dziecka. Znałam

niewiele rówieśnic ze szczebioczącego stadka charlestońskich dziewcząt, a te które znałam, uczennice z mojej klasy w Ashley Hall i gromada kuzynek z rodzin Brundage i Gascoigne, uważały, że jestem w najwyższym stopniu nieokrzęsana, nudna i stroniąca od ludzi. Spośród cherlestońskich chłopców znałam tylko moich kuzynów i kilku szkolnych kolegów Kemble'a. Najwyraźniej myśleli o mnie to samo. Gdy miałam siedemnaście lat, nigdy jeszcze nie wychodziłam z chłopcem. Nie pamiętam jednak, żebym się tym przejmowała.

Od chwili, gdy po raz pierwszy zakosztował życia poza rzeczonymi bagnami, Kemble zrozumiał, że w naturalny sposób przynależy do dwudziestego wieku. Miał tuziny dobrze urodzonych przyjaciół od Mobile do Bostonu i regularnie ich odwiedzał. Uczył się grać w tenisa i żeglować, poznawał nowe tańce, zasmakował w ginie, papierosach, polityce i, gdy był na trzecim roku studiów w Princeton, miał dwa uszyte na zamówienie wieczorowe ubrania, wiele par ręcznie robionych butów, papierosnicę i zapalniczkę Dunhilla. Przyjeżdżał do domu z obowiązku kilka razy w roku na krótkie pobyty, zjadał jeden obiad w towarzystwie ojca i moim, a pozostałe wieczory spędzał w mieście z młodzieżą Brundage'ów i ich stadem; przyglądał mi się uważnie i wyjeżdżał. Aż do jesieni, gdy skończyłam siedemnaście lat nigdy nie przywoził z sobą nikogo do domu nad Wappoo Creek.

— Czy on ma jakieś nazwisko? — zapytała Aurelia tego ranka w kuchni.

Spojrzałam na list.

— Piotr Chambliss — powiedziałam. — Piotr Williams Chambliss. Z bostońskich Chamblissów, w stanie Massachusetts. Co nic dla mnie nie znaczy i pewno nigdy nie będzie znaczyło. Co Kemble sobie myśli, że kim jest? Najpierw obiecuje ojczulkowi, że mnie weźmie na głupi bal — nie sądzę, żeby tatuś pamiętał, że należy do towarzystwa, dopóki Kemble nie wkroczył tu swoją nogą i nie narobił zamieszania — a potem przysyła mi suknię. Nawet nie pytając. Po prostu uznaje, że będzie odpowiednia, że będzie mi się podobała, i że zaraz pobiegnę w niej na bal.

— No cóż — powiedziała Aurelia, podsuwając mi naleśniki — suknia je odpowiednia. I to je najpiękniejsza suknia na Świętą Cecylię jaką widziałam, a niejedną widziałam i uważam, że tobie też się powinna podobać, gdybyś nie była zbyt uparta żeby się przyznać. I pójdziesz na bal. Twój tatuś wie co się należy, nawet jeśli go trza czasem popchnąć. Jakby Kemble tego nie zrobił, to ja bym mu przypomniała. Córka miss Caroline musi iść na bal świętej Cecylii, gdy przychodzi czas, nie ma dwóch zdań. Twój dziadek i babka sami by tu przyjechali i zaprowadzili ciebie, gdyby twój tatuś tego nie zrobił. Sama wiesz. Chyba powinnaś być wdzięczna Kemble'owi, że ci podarował taką suknię i przywiezie chłopca do tańca. Gdyby się o ciebie nie zatroszczył, co by z ciebie było?

— Dlaczego ma coś ze mnie być? — zapytałam, wpychając naleśnik do ust. — Nic dotąd ze mnie nie ma i jestem całkiem szczęśliwa. Myślisz, że nie wyjdę za męża, czy coś takiego? Co w tym byłoby złego, gdybym została

z tobą i z tatusem i... z tym wszystkim? Kocham to miejsce. Wolę być tu niż gdziekolwiek indziej na świecie. Jeśli myślisz, że chcę odejść i mieszkać z głupim Buddym l'Engle na Legare Street, albo z głupim Tommym Laurence'em w jego idiotycznym miejskim domu przy głupiej Church Street, albo z głupim Wentym Sterlingiem na Bedon's Alley... i chodzić na głupie herbatki i musicale, i wstąpić do Towarzystwa Zachowania Zabytków Przeszłości... i mieć głupie charlestońskie dzieci, które będą kuzynami wszystkich w mieście...

— I co jeszcze będziesz plotła? — zawołała, a jej oczy były pełne żalu i gniewu. — Zostaniesz z Murzynami i aligatorami, gdy mnie i tatusia już nie będzie, i do osiemdziesiątki będziesz latać jak dzikus po tych tu lasach? Zagłodzisz się na śmierć, upadniesz i połamiesz kości i będziesz leżeć sama w bagnie aż zgnijesz. Kto, myślisz, będzie się o ciebie troszczył, jak nie będziesz chodzić na te tam bale i podwieczorki, i nie znajdziesz sobie męża?

— W każdym razie nie będzie to żaden głupi Piotr Williams Chambless z bostońskich Chamblissów — warknęłam. — Włożę suknię i pójdę na bal, ponieważ tatuś mówi, że mam iść. Ale nie będę tańczyć z żadnym starym Jankesem, którego Kemble ściąga do domu, żeby uratować własną twarz. Nie myśl, że nie wiem, dlaczego to robi. Nie zatańczę szesnastego tańca ani z nim, ani z żadnym innym chłopcem. Przez cały wieczór będę siedziała pod ścianą i odstraszała wszystkich srogą miną. Nie będę tańczyła z tym przeklętym Jankesem.

— Jakbym słyszała twoją mamę — powiedziała Aurelia, uśmiechając się od ucha do ucha. — Najbardziej uparta dziewczyna jaką znałam. Nie będzie chodzić z żadnym chłopcem z Charlestonu. Będzie chodzić z chłopcem, co nie mieszka nad zatoką Wappoo i nie obchodzi jej gdy kto mówi, że nie powinna.

— I zobacz, dokąd ją to zaprowadziło — odparłam. Nie miałam żadnej podpory ani w Aurelii, ani w nikim. A już najmniej w mojej pięknej, zapomnianej matce, której nigdy nie wybaczoneo.

— Dokąd? — zapytała.

— Do śmierci — odpowiedziałam. Zabrałam banany i kanapki z masłem orzechowym i podążyłam w kierunku czekających na mnie o poranku lasów.

W miesiąc później, podczas spokojnego, ciepłego ale ponurego popołudnia, ogromny czarny turystyczny Packard z przypinanymi zasłonami i maską milowej długości podjechał nurzając się w żwirze podjazdu i zatrzymał przed werandą. Zbryzgany był szarym błotem z listopadowych deszczów, żółte liście przykleiły się do szyb. Przy kierownicy mój brat Kemble, w ubraniu z zielonego tweedu o odcieniu mchu, uśmiechnął się szeroko do Aurelii i do mnie; wybiegłyśmy na werandę zobaczyć co to za pojazd może robić tyle hałasu. Kemble przyjeżdżał ze stacji przeważnie jedną z taksówek Creightona Kinga.

Z przedniego siedzenia, sponad wielkiej chmury białego bzu, wychylała się uśmiechnięta długa, szczupła twarz, z długim wąskim nosem

i kudłatą czupryną jasnych włosów. Uśmiech dorównywał biłą kwiatom, ale reszta postaci kryła się za kwiatami i liśćmi. Kwiaty zaś były takie, jakich nigdy nie widziałam, egzotyczne i do niemożliwości doskonałe, nie do pogodzenia z naszym szarym życiem. Nie mamy takich wielkich, napuszonych, przelewających się krzewów na przybrzeżnym Południu. Nie mamy też na równinach takich wydłużonych, wyłożonych twarzy. Rodzą się obok zimnych oceanów, w ostrzejszym powietrzu.

Uderzyła mnie obcość i coś jeszcze, czego nie umiem nazwać, coś zapierającego oddech i wprawiającego niemal w panikę. Odwróciłam się i pobiegłam do domu zatrzasnąwszy za sobą oszklone drzwi i dudniąc po schodach do mego pokoju. Słyszałam jak Kemble woła za mną ze stopni werandy, jak Aurelia piszczy a potem usłyszałam głos Piotra — po raz pierwszy w życiu. Miękkki i przepełniony matową, atonalną nutą Bostonu:

— Proszę wrócić. Daję słowo, że jestem niegroźny.

Zabrzmiało to jak „nieg-ożny”. Przy jego akcencie to słowo zrobiło się śmieszne. Musiałam się uśmiechnąć, choć zatrzasnęłam drzwi od mego pokoju, z policzkami płonącymi ze złości na własną głupotę. To sprawiło, że rzeczywiście wydał się niegroźny. Mogłam wrócić na dół powstrzymując uśmiech, z szyją i twarzą wciąż gorącą i czerwoną, i wyciągnąć do niego rękę.

To była pierwsza rzecz, w której się zakochałam, jego głos.

— Jestem Piotr Chambliss — powiedział. — A pani musi być Maude. Cieszę się, że wreszcie mogę panią poznać.

Mówiąc to trzymał moją dłoń w swojej. Jego ręka była ciepła i sucha, i trochę zgrubiała. Od żeglowania, wyjaśnił później.

— Co cię napadło? — zapytała Aurelia. — Całe towarzystwo pomyśli, że się chowałeś jak zwierzak w lasach.

— Widziałem już jak piszcza i mdleją na widok Piotra, ale tylko ty zmykasz jak królik, Orzeszku — powiedział Kemble.

Uściskał mnie; pachniał tytoniem, płynem po goleniu i bogatym skórzanym wnętrzem samochodu. Nie sięgałam głową nawet do jego ramienia. Dlatego nazywał mnie Orzeszkciem; byłam mała, okrągła i ciemna. Nie znosiłam tego przewiska.

— Myślisz, że Jankesi przyjechali cię porwać? — mój brat żartował ze mnie przez całe życie, właśnie takim tonem.

— No... nie — odpowiedziałam, cedząc słowa, aż stały się karykaturą wszelkich charlestońskich głosów, niewyraźnych i obojętnych — zdawało mi się tylko, że zaraz opadną mi majtki.

Aurelia wydała pełen urazy pisk, mój brat patrzył na mnie z otwartymi ustami, zaś Piotr Williams Chambliss roześmiał się z niekłamany zachwytem. Nie pamiętam, żebym kiedy słyszała tak pełen młodości dźwięk.

To była druga rzecz, w której się zakochałam, w jego śmiechu.

— Gdy przyjdzie na to czas — powiedział — dam pani znać.

Aurelia znów pisnęła, ale to był pisk pełen pobłażania i ulgi. Przy tym przekomarzaniu czuła się swobodnie, tak jak przy trzepotliwym, słodkim

świergocie, którym czarni posługują się na Dock Street. Tak się to robiło; to był rytuał; nieśmiałe, swobodnie odwzajemniane igraszki słowne o erotycznym zabarwieniu, to było charakterystyczne dla charlestońskiego towarzystwa. Ten szczupły, długi młody człowiek z obcych stron był w końcu dżentelmenem, jednym z nas. Był odpowiedni dla jedynej córki Miss Caroline Brundage z Tradd Street. Pomyślałam w tym momencie słuchając tego słodkiego pisku, że Aurelia ujrzała w przelocie przyszłość — swoją i moją — i stwierdziła, że jest bezpieczna.

Ja zobaczyłam tylko czystą, połyskliwą białą pustkę. Nie było w niej ani Belleau, ani bagnistego lasu.

— Nie — odpowiedziałam. — To ja dam panu znać.

Tym razem wszyscy troje wybuchnęli śmiechem. Poczułam lekkie drżenie, to była przyjemność, którą sprawia dobrze odbity, dowcipny, towarzyski docinek, choć nie rozpoznałam jej, ponieważ nigdy dotąd czegoś takiego nie odczuwałam.

— Bzy są dla pani, na bal — rzekł Piotr. Włożył je w moje ramiona. Z trudem widziałam coś wokół siebie; zobaczyłam jego twarz przesłoniętą białymi płatkami, poprzez chmurę słodyczy, która ścisnęła mnie za gardło i napełniła oczy łzami. Kwiaty były zroszone kropelkami wody spadającymi w alei podjazdowej ze starych dębów, które zachowały je od porannego deszczu.

— Dziękuję — powiedziała, myśląc, że nigdy żadna dziewczyna, po raz pierwszy wchodząca na salę balową, nie niosła podobnego bukietu. Cały Charleston będzie o tym mówił, w tym wejściu w towarzystwie Jankesa z Bostonu, z Uniwersytetu w Princeton, z tak ekstrawagancką burzą obcych, jankeskich kwiatów. To nie przystoi, ani trochę.

Nagle spodobał mi się ten pomysł.

— Wszystkie stare wróble w całym mieście będą o tych kwiatach ćwierkały i o panu też — uśmiechnęłam się do niego. — Będzie pan chyba musiał się ze mną ożenić i zrobić ze mnie uczciwą kobietę, nie dotknąwszy mnie nawet palcem. Te kwiaty „oskandala” mnie za pana. Współczuję.

Mój brat wciąż mi się przyglądał z otwartymi ustami. Co za bałamutny demon wstąpił niepostrzeżenie w jego siostrę, tego małego, bagiennego królika nie z tej ziemi? Aurelia zmarszczyła brwi; żarty w tym tonie mają swoje granice. Piotr uniósł swe płowe brwi. Jego oczy — pomyślałam — miały przeczystą barwę lodu w zatoce.

— Czy one są... przesadne? — zapytał. — Czy sprawią pani kłopot? Przywiozłem je z Bostonu, z miejsca skąd bierzemy kwiaty dla nas; moja siostra, Hermie, otrzymała je stamtąd do ślubu. Przez całą drogę w pociągu trzymałem je w wiadrze z wodą, owinięte gazą. Ale zapewniam, że nie będę się czuł dotknięty jeśli wolałaby pani coś... mniejszego. Możemy zadzwonić do kwaciarni, pojedą i przywozą cokolwiek innego dla pani...

— Nie — odpowiedziałam. — Te są odpowiednie. Są doskonałe. Są piękne. Nigdy nie czułam tak boskiego zapachu. Dlaczego pomyślał pan właśnie o bzach?

— To pani imię — powiedział Piotr. — Zna pani starą piosenkę „Wydź do ogrodu, Maude, gdzie bzy rozciągają cień...” Zawsze najbardziej je lubiłem ze wszystkich kwiatów. Mamy dwa ogromne krzewy w Maine, w lipcu pachną na milę.

— Wejść i napij się czegoś przed kolacją — zwrócił się do niego Kemble. — Maude na pewno chce zniknąć na górze, żeby zrobić coś tajemniczego z włosami i twarzą — przynajmniej mam taką nadzieję — a ojciec, załóżę się, jest wciąż na bagnach. Czy on pamięta, że dziś jest św. Cecylii, Aurelio?

— Pewnie nie — odparła. — Ale przypomniał sobie, jak zobaczy samochód. Skądś coś takiego wziął, Kemble? Nie kupiłeś go przecie?

— Piotr wynajął go od Rhetta Gittingsa, gdy dojechaliśmy tutaj. O co chodzi, czy uważasz, że nie jest dość wspaniały na tę okazję?

— Wielki Boże, Kemble, Rhett Gittings... — zaczęła Aurelia.

— Och, nie używa go przecież do pogrzebów — Kemble wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Należy do jego wuja z Savannah, który rzadko z niego korzysta. Nie bój się, stary Orzech nie będzie zajeżdżał na balu formaliną.

Zaczęłam chichotać i wreszcie wybuchnęłam śmiechem. Nie mogłam się powstrzymać. Najpierw ten skandaliczny, niestosowny, wspaniały krzak białego bzu a teraz samochód wuja, przedsiębiorcy pogrzebowego.

— Skoro nie mogliśmy zdobyć konia i powozu pomyślałem, że ze wszystkiego co można znaleźć to najbardziej przypomina zamknięty pojazd — powiedział Piotr.

Przestałam się śmiać i spozierałam na niego. Jego długa szczupła twarz była napięta z niepokoju. Na pewno Kemble opowiadał mu o rytuałach i tradycjach związanych z dniem św. Cecylii, więc zapamiętał, że do najbardziej wymarzonych należało przybycie na pierwszy bal w zamkniętym powozie, z odpowiednim dachem i drzwiami, które się mocno zamykają. Ich konkretny, solidny turkot, rozlegający się na starych uliczkach na południe od Broad w noc świętej Cecylii, był równie nieodzowny jak brzęk wypolerowanych starych sreber i podzwanianie zmętniałych zabytkowych kryształów.

Dostarczenie mi powozu to mógł być czuły, serdeczny, drobny gest matki, czy ojca... ale moja matka nie mogłaby go zrobić, a ojciec nigdy by nie zrobił.

Uśmiechnęłam się do Piotra Williamsa Chamblissa, stojącego tu w przyćmionej stęchliźnie mego rodzinnego gniazda nad zatoką Wappoo. Ten mężczyzna nie był jednak kimś obcym. Ten mężczyzna przywiózł z sobą bzy należące do jego rodzinnej tradycji i zamknięty powóz należący do mego dziedzictwa. Jakikolwiek jest powód jego przybycia, nie przyjechał po to by mnie skrzywdzić. Strumień zawrotnej radości zalał mnie jak wzburzona fala. Dzisiejszej nocy..., och, dzisiejszej nocy! Dzisiejsza noc jednak będzie taka jak trzeba. Dzisiejszej nocy będę wiedziała co robić...

— Aurelio, czy zechcesz, proszę, włożyć je do wody? — powiedziałam wyniośle, jak gdybym wydawała jej ten rozkaz codziennie. — Pójdę na

górze i... Mam coś do zrobienia. Piotrze, pan i Kem, rozgośćcie się w salonie. Obiad będzie około wpół do siódmej.

— Obiad będzie, jak go położę na stole — zamruczała Aurelia półszepcetem, ale wzięła kwiaty i wyszła z nimi, kryjąc twarz w płatkach.

— Ummm, ummm — słyszałam jej pomrukiwania.

— Czy w salonie jest coś do picia, Maude? — wołał za mną Kemble.

— Czy mam poprosić, żeby Jeeves przyniósł coś z piwnicy?

— Zostało jeszcze z tego co kupiłeś od Shema Wallera na John's Island. Dość, żeby cię rozłożyć na trzy dni, jak ostatnim razem, Kemble Gascoigne — krzyknęłam do niego ze schodów. Jakoś nie dbałam o to co mówię przy Piotrze Chamblissie. Popołudnie wydawało mi się tak jasne i dziwne jakbym się napiła szampana. Ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszałam zatraskując drzwi mojej sypialni był śmiech Piotra.

Och, ta noc. Dla mnie to była pierwsza z chwil, które dzielą czas, tak że później wszystko w twych myślach zdarza się przed nią lub po niej. Czy to było przed wojną, czy po? Czy to się zdarzyło przed balem świętej Cecylii, czy po nim? Później, tej nocy, po powrocie do domu, gdy leżałam w moim białym łóżku z baldachimem, patrząc na wykrochmalony muślin, na który patrzyłam przez wszystkie noce moich siedemnastu listopadów, po raz pierwszy pomyślałam o czasie i życiu jako o czymś co bynajmniej nie jest gładkim kontinuum. Zdałam sobie sprawę, że uważałam je, jeśli w ogóle o tym myślałam, za coś w rodzaju łagodnego, pozbawionego spojeń, łuku o tej samej barwie i grubości, rozciągającego się leniwie od dnia moich urodzin, po odległy, niewidoczny, niewyobrażalny punkt mojej śmierci.

Ale teraz zobaczyłam wyraźnie, że życie i czas stanowiły jakby odczyty sejsmografu; że życie falowało: to przechylało się, to wzbijało, czy ciążyło, czy może po prostu parło z mozołem naprzód — w ciągach skurczy, czy wstrząsów równie wyraźnie dających się prześledzić jak seria trzęsień ziemi. I że można z łatwością spojrzeć wstecz po wielu latach i zobaczyć, gdzie który wstrząs wystąpił i jaki zostawił ślad... czy jaką szkodę wyrządził. To była przerażająca myśl i przejęła mnie drżeniem mocniejszym niż wszystko inne tej nocy w zamierającym świetle księżyca nad zatoką Wappoo. Zdałam sobie sprawę, że jestem i zawsze będę nieodporna na ciosy ślepych wstrząsów mego życia, wielkich i małych, i że tej nocy dosięgną! mnie pierwszy z tych wielkich. To, jaki wzór, jaki ślad pozostawił na wykresie nie zależało ode mnie.

Zanim wyszłam tego wieczora, spojrzałam jeszcze na moje odbicie w stojącym w rogu sypialni starym zamglonym lustrze, które należało do mojej matki. Według tegorocznej mody uroczyste suknie miały z przodu długość do kolan, ale z tyłu przedłużała je niewielki tren. Miały obniżoną talię i często były tak przeładowane perełkowymi ozdobami, że trudno było w nich wytrzymać. Na szczęście dla mnie, młode dziewczyny, po raz pierwszy uczestniczące w balu świętej Cecylii, nosiły uszające się tuż nad ziemią piany czystej bieli, jakie w nieskażonym stylu szyto zawsze dla debiutantek wstępujących na salony. W modnej sukni wyglądałabym,

jak się wyraził Kemble przysyłając mi strój balowy, jak pokojówka w niedobrej francuskiej farsie.

Ale ten strój to było czyste kuglarstwo. Wyglądałam w nim... nierealnie. To nie byłam ja. Nie mała i kragła, lecz wysoka i smukła; z ziemią wiązały mnie tylko małe pantofelki, które przybyły wraz z suknią. Suknia miała tysiące drobnych fałdek, biegnących od samej góry aż po rąbek, w pasie spinała ją satynowa szarfa, wysypana z przodu małymi perełkami; płytkie, łódkowate wycięcie przy szyi rozszerzało się odsłaniając ramiona, do tego bufiaste, fałdziste rękawy. Metka na sukni i napis na pudle głosiły: „Fortuny”; ani trochę nie zawstydziło mnie to, że nie ja lecz Aurelia wstrzymała oddech rozpoznając tę firmę, gdy nadeszła paczka. Ostatecznie miała przecież więcej do czynienia z balami niż ja.

— Trzeba przyznać, że umie zmienić muła w wyścigowego konia — powiedziała tego dnia, a ja wykpiłam suknię i przez długi czas nie chciałam jej przymierzyć. Ale pewnego wieczora, po obiedzie, przymierzyłam i zobaczyłam to, co ona ujrzała, gdy po raz pierwszy uniosła w ręku tę chmurę wodnego pyłu.

Skąd on wiedział?

Spoglądając w stare lustro, którego pofalowana zielonkawa powierzchnia wyglądała jak leśny staw, pochyliłam się nad tą widmową kobietą, stojącą... czy płynącą w mojej dziecinnej sypialni. Aurelia weszła gdy szczotkowałam moje gęste czarne włosy.

— Nie, nie dziś wieczór — powiedziała, wyjmując mi z rąk szczotkę, i w milczeniu upięła moje włosy w wysoki węzeł, który odbijał światło jakby był polakierowany. Potem wyjęła z kieszeni fartucha mały aksamitny woreczek i wyciągnęła z niego pojedynczy sznur pereł — doskonałych i świecących jak morska woda o brzasku — i zapięła go wokół mojej szyi. Patrzyliśmy razem w ciszy na moje odbicie w lustrze, a potem ona powiedziała:

— Twoja mama miała je na sobie podczas swego pierwszego balu św. Cecylii. Twój dziadek podarował je jej. Miała je także na ślubie. Niedługo przed twoim urodzeniem dała mi je, powiedziała, że się boi, że zapomni gdzie co jest i wiedziała, że, jak amen w pacierzu, twój tatuś też zapomni. Trzymam je ze sznurem pereł co mi je dała twoja babcia jak wychodziłam za mąż za Duke'a ijechałam tu do twojej mAmy. Moje są czarne jak kruk. Naprawdę ładnie wyglądają razem, moje i twoje perły. Ale nie tak piękne jak na twojej szyi. Zachowuj się dziś tak pięknie jak wyglądasz, Maude, a twoja mama i tatuś naprawdę będą z ciebie dumni.

— A ty? — zapytałam.

— Zawszem dumna z ciebie — odparła — sama wiesz.

Uścisnęłam ją, a ona mnie i zmierzała do wyjścia. Przy drzwiach odwróciła głowę.

— Ten Piotr to miły chłopak — powiedziała. — Zachowuj się przy nim przyzwoicie. Nie chcesz chyba, żeby miał o tobie złe wyobrażenie.

Popatrzyłam na nią tak, jakby mnie znieważyla.

— Jakie wyobrazenie? Nawet nie wiem w jaki sposób mogłabym... wywołać w kimś złe wyobrazenie.

Popatrzyła na mnie przez chwilę, a potem wskazała na lustro.

— Ta dziewczyna wie — rzuciła i wyszła, zamykając drzwi.

Teraz, w żółtawym świetle lampy, zbliżyłam się tuż do powierzchni lustra, tak że moje czoło i włosy dotknęły tamtych włosów, a nos stuknął o tamten nos. Nasze oddechy zmieszały się przesłaniając mgłą szkło.

— Ty wiesz? — wyszeptałam. — Naprawdę wiesz?

— Chodź Maude — huknął Kemble z dołu.

Dotknęłam policzka dziewczyny w lustrze i powiedziałam:

— Tak, wiesz — i odwróciłam się tak szybko, że moja suknia wzburzyła się za mną jak fala i lekka, pełna radości i lęku zbiegłam schodami Belleau na spotkanie z Piotrem Chamblissem.

— Więc to było doskonałe, tak? — powiedziała moja wnuczka Darcy tego wieczora w Zaciszu, przerzucając most ponad latami bólu, łączący mnie z tamtym czasem.

— Tak — odparłam, uśmiechając się i patrząc a ogień płonący w starym kominku z czarnego kamienia. — Tak, myślę, że było. Jak na filmie. Albo nie... jak w bardzo dobrej, romantycznej sztuce. Na przykład Noela Cowarda. Z pewną pikanterią, żeby dodać smaku. Noc bez skazy.

— Nic nie jest doskonałe, babciu — rzekła Darcy z tą całkowitą pewnością, jaka możliwa jest tylko w młodości. Wyciągnęła swoje piękne kocie ciało przed gasnącym ogniem, tak wolno, że widać było dokładnie jak kolejne mięśnie napięły się i rozluźniły. Świeżo dojrzałe i przepełnione miłością, wspaniałe, młode ciało; pamiętam to. Moje własne członki jak naoliwione słodyczą, odpowiedziały echem.

— Przyznaję, że bardzo niewiele rzeczy, ale to było doskonałe — odpowiedziałam. Trochę mnie rozdrażniło potraktowanie tamtej nocy jak czegoś mało ważnego przez kogoś zbyt młodego, by sam przeżył wiele podobnych.

— Och, zresztą. Nigdy nie uważałam cię za przesadnie sentymentalną. Wiesz równie dobrze jak ja, że nie ma róży bez kolców. Krew i wnętrności na cudownej bieli śniegu. Udręka skryta w ptasiej pieśni i tak dalej. „Życie jest prawdziwe, życie jest poważne”.

Darcy sama była dzieckiem lasów i wody, dzikim jak ja; miała rację, i wiedziałam o tym. A jednak...

— Mówisz dokładnie tak, jak twoja prababka Anna — powiedziałam. — Dokładnie to samo powtarzała mi tysiące razy podczas kilku pierwszych lat, które spędziłam tutaj na wakacjach. „Życie jest prawdziwe, Maude; to nie są urojenia niemądrego dziecka. Życie jest rzeczywiste”. Stanowiłam dla niej ciężką próbę.

— No, cóż — odrzekła Darcy. — Musiała to mówić. Z tego co słyszałam o tej starej pedantce, życie było tu równie realne jak herbatka u Heleny Hunt Jackson. Poranne odwiedziny dla złożenia biletów wizytowych, spacer po świeżym powietrzu, przejażdżki z pledami i parasolkami od słońca, lunch z obrusami i porcelaną, służba i brydż, i przyjęcia z ciastkami, i musicale. Całe Zaciszcie stanowiło scenę przygotowaną do zagrania sztuki o wiejskim życiu. Dotąd zresztą tak jest. Spójrz. Przyjrzyj się nam. Siedzisz na jej krześle i ja siedzę na krześle, które pradziadek przywiózł z Bostonu, o ile wiem, żadne z nich nie było nigdy przesunięte ani o cal. Ani poduszek nie wymieniono. Ani nie powieszono tu nowego obrazu. Możesz rozdać role do jakiejś starej sztuki Mary Roberts Rinehart, a oni będą je mogli podjąć w sAmym środku. Rzeczywiście realne i poważne.

Roześmiałam się. W tym też miała rację. Zaciszcie wydaje się i zawsze się wydawało równie bczczasowe i stracone dla pędzącego świata jak strona z wiktoriańskiej powieści. Ale pod tym wszystkim, pod tą całą starannie wypracowaną rustykalnością, leżą skały, równie okrutne i raniące jak rafy podwodne u przystani w dziecinniej książce z obrazkami, jak lód zimą w czarnych stawach. Tak, Darcy z pewnością wiedziała o tym, a pewnego dnia dowie się znacznie więcej.

— Może większość rzeczy ma tylko pozory doskonałości — powiedziałam. — Ale ta noc była taka naprawdę...

* * *

I była. Jeśli doskonałe może wydać się ludzkie życie w ulotnym momencie i na małym skrawku przestrzeni, postrzegane przez parę bardzo młodych oczu, to noc balu świętej Cecylii w listopadzie 1923 roku była doskonała. Mogła nie być doskonała i z pewnością nie była dla innych; nie sądzę nawet by Piotr tak ją wtedy widział, choć później rozmawiał ze mną o niej tak, jakby wszystko rozumiał.

— Nasza jedyna doskonała chwila — śmiał się nieraz, w wiele lat później, wtedy, gdy wszystko szło na opak; gdy Piotruś płakał czwartą noc z rzędu z powodu kolki; gdy godziny wlokły się niemiłosiernie a Happy nie wracała do domu, albo gdy innej jeszcze nocy Tommy O’Ryan wrócił pijany zataczając się; gdy na okrzyki przerażenia małego Seana cała kolonia pozostała głucha, z zaciśniętymi ustami.

— W każdym razie jedną doskonałą chwilę mieliśmy.

Ale nie, nie sądzę, żeby Piotr rzeczywiście tak myślał. Wtedy wiedział już o ciemnych miejscach zawartych w sAmym jądrze światła, nawet jeśli w nich jeszcze nie przebywał. Nawet w najjaśniejszych miejscach, w sAmym sercu miłości, czekała na niego ciemność.

Tamtej jednak nocy Charleston rozwinął dla nas wszystkie pułapki i podstępne uroki jakie miał w swoim arsenale, tak że nawet mój ojciec siedząc zamroczony w swoim starym, spadkowym, pozieleniałym fraku na

przednim siedzeniu koło Kemble'a odwrócił się do mnie i Piotra, gdy skręcaliśmy z ronda Battery w East Bay Street i powiedział:

— Posprzątał w śródmieściu, czy co takiego? Wygląda inaczej.

— Wygląda dokładnie tak samo mniej więcej od trzystu lat — uśmiechnął się do niego Kemble. — Kiedy ostatni raz byłeś w śródmieściu, papo?

— Nie pamiętam — odpowiedział z wahaniem ojciec. — Nie jeździłem zbyt często do miasta. Myślę, że to było wtedy, gdy po raz ostatni byłem na balu świętej Cecylii.

— A to było? — dokuczałam mu.

— Och, myślę, że wasza matka i ja nie byliśmy jeszcze małżeństwem — odparł poważnie. — Pamiętam jednak, że miałem na sobie ten sam frak.

Śmieliśmy się wszyscy radośnie z jawnie skandalicznej, ściskającej za gardło, uwodzicielskiej mocy Charlestonu w wieczór świętej Cecylii. Wysoko nad naszymi głowami biały księżyc-łowca zeglował ponad wielkimi dębami o pniach zarośniętych mchem w Battery Park, a sznur świateł nad czarnym portem wyławiał z ciemności Fort Sumter i szczyt wyspy Sullivana. Ciepły wiatr od morza poruszał liście palm, a lampy gazowe lśniły żółtym światłem na kamiennych ulicach i na koronkowych kratkach bram, ogrodzeń i balkonów wysokich domów starego miasta. W dzień miały kolor dojrzałych owoców półtropikalnych: żółty, różowy, koralowy, zielony, kremowy, biały, akwamaryny. Ale w świetle listopadowego księżyca wszystkie były srebrne, cynowe i pozłacane, zaś noc wokół nich czarna jak aksamit, a gwiazdy w górze jak brylanty pierwszej wody. Tutaj, na południe od Broad, w mrowisku starych ulic i alej brukowanych kostką, gdzie mieszkaly rodziny o najstarszych nazwiskach w mieście, niewiele widziało się samochodów, właściwie żaden nie krążył po ulicach, ciągnęły jednak sznury błyszczących czarnych pojazdów konnych, a w nich migały chmury białych strojów i kwiatów, przepisowe czarne garnitury wieczorowe, i młode twarze poblądłe w oczekiwaniu. W wielu oknach migotały świece, zaś z jednego z nich, o którym wiedziałam, że to słynny Manigauld House ze swymi Szablastymi Wrotami, uleciała lekka, płynna fraza Palestriny, rzucona w noc jak garść klejnotów.

— O Boże, to najpiękniejsze miasto na świecie — szepnął Piotr.

Odwróciłam się, by zobaczyć, czy nie kpi. Poruszał się przecież po egzotycznych ulicach Bostonu, był na Wschodzie i, jak mówił Kemble, w Europie oraz w Ameryce Południowej. Ale nie było w tym sarkazmu. Uśmiech, z którym się do mnie zwrócił był uśmiechem dziecka w krainie czarów.

— To jest tak inne od świata, który znam. Jak noc w jakimś fantastycznym kreolskim miejscu bardzo dawno, przed wiekami, albo jak w bajce... Gdzie są samochody? Gdzie są ludzie spieszący do kina... albo żeby kupić wykałaczki czy coś w tym rodzaju?

— Mówią, że w noc świętej Cecylii każdy kto nie jest zaproszony zAmyka samochód w garażu, gasi wszystkie światła i siedzi w ciemnościach

do rana, by nikt nie wiedział, że został w domu — powiedział Kemble. — Nie poznaję cię dzisiejszego wieczora, stary. Myślę, że jesteś pod wrażeniem.

— Tak — odparł Piotr. — Taniec i miasto, i noc, i... wszystko.

W ciemności tylnego siedzenia moja twarz płonęła, a ręce, gdy złożyłam je jedną w drugą, były zimne, jak dłonie umarłej.

W przedsionku starej sali, stojąc na brzegu czerwonego dywanu, z ręką wsuniętą pod ramię ojca i sercem bijącym tak, że omal nie wyskoczyło mi z piersi, zatrzymałam się na chwilę patrząc do środka. W mojej pełnej lęku i rozegzaltowanej wyobraźni wielki, pełen uroku stary pokój wydał się rojem mrowiących się świec i róż, i złota, i twarzy zwracających się ku nam, twarzy wychylających się z surowych czarnych wieczorowych strojów i ciemnych jedwabi czy falujących kłębow bieli, twarzy ludzi, których nie rozpoznawałam, choć na pewno większość z nich znałam z nazwiska. Muzyka nabrzmiewała, wirowała i odpływała; głosy i śmiechy szemrały i narastały. Czy to ze mnie? Na pewno, zawsze tak było... Moje dłonie i wargi zaczęły niezdolnie drżeć — pomyślałam, że zaraz nie opanuję torsji albo zemdleję. Napięłam mięśnie żeby się odwrócić i uciec, wtem poczułam na ramieniu rękę i usłyszałam tuż przy uchu głos Piotra.

— Żadna kobieta na tej sali ani się umywa do pani — wyszeptał. — Każda ma minę jakby chciała dźgnąć panią w serce, porwać tę pani suknię, pobiec do toalety i włożyć ją na siebie, a swoją wrzucić do śmieci. Majtki pewnie też.

Wciągnęłam głęboko powietrze, aż się zakrztusiłam, a moje serce skoczyło naprzód i wpadło w głęboką gładką koleinę; tłumiony śmiech wstrząsnął moimi żebrami — powiedziałam do niego przez ramię:

— Dziękuję.

I do ojca:

— Chodźmy, papo. — Majestatycznie wkroczyliśmy do sali balowej i w tę noc.

Od samego początku to był triumf, a ja byłam pięknoscią. Mogę to teraz powiedzieć, ponieważ nie zdarzyło mi się to nigdy przedtem, ani potem, i ponieważ doskonale wiem, że to Piotr Chambliss zapalił ten płomień, który płonął we mnie tej nocy i sprawił, że zgromadzeni znajomi i przyjaciele, oraz znajomi z nazwiska i znajomi z widzenia, także kuzyni i ciotki, i wujowie, i dziadkowie, i nawet starzy służący uwierzyli, że ten dziwny brązowy chochlik, córka Caroline i Gusa Gascoigne'ów, na przekór wszystkim okazała się pięknoscią. Bo daleko mi było do piękności, i wtedy i zawsze. Zbyt niski, przy ziemi, nazbyt mały stwór z bagien zatoki i omszałych ciemnych zieleni. Ale tej nocy świeciłam niezwykłym, płonącym, migocącym światłem. Wszystko dlatego, że był przy mnie, tańczył ze mną, i pochylał nade mną głowę śmiejąc się i szepcząc podczas kolacji.

To było coś, co ludzie od razu zauważali w Piotrze; wiedziałam o tym od pierwszego dnia, gdy go zobaczyłam aż do dnia jego śmierci: ten wstrząs dla oka, owo niemal fizyczne narzucenie obecności, jakby jakiś

niewidoczny podmuch wprawił w drzenie samo powietrze. Przyciągał oczy jak błyskawica. Trudno było odwrócić od niego wzrok. Gdy się jednak próbowało zanalizować to wrażenie, dochodziło się do wniosku, że nic nie usprawiedliwia tego nagłego trzasku pioruna. Piotr był właściwie pozbawionym urody mężczyzną.

Zawsze był zbyt szczupły, za bardzo pochylony przy swej wysmukłości, rysy miał wydłużone i ostre, prawdziwa karykatura dobrze urodzonego nowoangielczyka. Jego wystający podbródek i płowe brwi narzucały się nadmiernie przy głęboko osadzonych szarych oczach, a gęste bardzo jasne włosy opadały zazwyczaj nisko na czoło; lisie białe zęby, które miał po swej matce, odbijały od opalenizny, która pokrywszy jego twarz podczas żeglowania po morzu utrzymywała się przez większą część roku. Poruszał się jednak z elastycznym, leniwym kocim wdziękiem, nawet w najpowolniejszym chodzie i był najcudowniejszym, pozbawionym kości tancerzem i dobrze, nie okazując żadnego wysiłku, grał w tenisa, a jego uśmiech to była sama kumulacja słodyczy. I jeszcze coś w nim było, co przyciągało i zatrzymywało spojrzenia: dobroć. Głębokie, jasne poczucie bezpieczeństwa. Miłość zdawała się wypływać z niego jak patoka miodowa. Jego ojciec też miał tę dobroć, choć bardziej przytłumioną. Biedny Duży Piotr, biedny Mały Piotr. Trudno żyć na taką miarę.

Wszyscy go zauważyli tego wieczora. Widziałam to. Widziałam jak moi dziadkowie Brundage, ciotki, wujowie i kuzyni, na swych zwykłych miejscach przed jednym z czterech wielkich kominków w stylu Adamów, tam gdzie Brundage'owie stali zawsze przyjmując gości, odkąd — jak przypuszczam — Brundage'owie byli w Charlestonie, przyrywali konwersację, odwracali się i patrzyli na niego i na mnie, a potem na Kemble'a i na naszego ojca. Widziałam jak kłaniają się i uśmiechają. I przyjmują nas w swoje szeregi. Gdy sunęliśmy do nich po ogromnej lśniącej posadzce, ich spojrzenia spoczywały na moich nagich ramionach i szyi, a ojciec powiedział swym cichym, przytłumionym głosem:

— Wiesz, Eulalia powiedziała mi kiedyś, że wyglądam we fraku jak mała katarzyniarza. — I zamiast napływu gorzycy czy znajomego ukłucia powstrzymywanych łez poczułam, jak ogarnia mnie uzdrawiający śmiech.

— Nie powie tego dzisiaj — zapewniłam. — A jeśli to zrobi powiedz jej, że wygląda jak Ameryka Południowa. Od samej góry aż po ten mały tren niczym wilgotna mata u sukni. Ciotce Eulali przydałoby się utrzcę trochę nosa.

— Czy ci mówiłem, jak pięknie dziś wyglądasz? — zapytał mój ojciec. — Pewnie nie. Często to myślę, ale jakoś nigdy nie dochodzi do tego, żebym to powiedział. Twoja matka byłaby z ciebie dumna, moja mała Maude. Ja też jestem z ciebie dumny.

— I ja jestem dumna z ciebie — powiedziałam, zdziwiona łatwością z jaką padały tej czarodziejskiej nocy nigdy nie wypowiedziane słowa. — Miałam cudowny czas dorastania.

Popatrzył na mnie i uśmiechnął się, zanim doszliśmy do naszej grupy.

— Ale teraz już dorosłaś, prawda? W ogóle tego nie zauważyłem.

— Ani ja — odpowiedziałam.

Nie pamiętam już żadnych późniejszych szczegółów balu. Często próbowałam przypomnieć je sobie. Leżąc w ciemności tyłu przedświetła i zimnych nocy w New Hampshire, czy w świetle ognia płonącego na kominku w Maine, próbowałam przesuwając przed sobą te szczegóły jak paciorki różańca. Ale nigdy mi się to nie udało. Ta noc, gdy tylko muzyka zaczęła grać a karnety zostały wypełnione i popłynął pierwszy walc, była dla mnie wirującą karuzelą kwiatów, świec, muzyki, śmiechu, szampana, płynnego ruchu, falujących sukien i przyspieszonych oddechów. Mój karnet wypełnił się szybko imionami chłopców, których znałam przez całe życie, ale jakoś nigdy jakby nie widziałam ich przedtem; uśmiechałam się i śmiałam, rozmawiałam i flirtowałam, tak jakbym to robiła przez całe życie, lecz w każdym tańcu, którego nie tańczyłam z Piotrem, mój wzrok go szukał i gdy go w końcu znajdował wirującego po lustrzanej posadzce z jakąś świeżo rozkwitłą znajomą ze szkoły czy z Ashley Hall, jego oczy spotykały moje i uśmiechał się. Przetńczył ze mną pięć tańców, i jego imię wpisane było na szesnastym miejscu. Nie tańczyliśmy tej nocy nowych, szybkich, skocznych tańców, które wchodziły w modę; bale świętej Cecylii właściwie nigdy nie poddawały się nowoczesności. Choć kołysaliśmy się i zanurzaliśmy wspólnie w rytmie ballad tegorocznych: „Moja najcudowniejsza”, „Kwietniowe deszcze”, „Szepty”, „O trzeciej nad ranem”, „Pocałunek w ciemności”. A po kolacji — nieodmiennej uczucie składającej się z ostrego, kaczki, indyka, ryżu i po większej ilości szampana, tańczyliśmy razem ostatni taniec — szesnasty — w tradycyjnym stylu: „Auf Wiedersehen” — „Pożegnanie”.

Podczas tańca śpiewał mi cicho słowa tej piosenki i nagle zdałam sobie sprawę, że śpiewa po niemiecku.

Wydało mi się to czymś najbardziej romantycznym w moim życiu: bezbłędnym, doskonałym — pełną wdzięku nutą radości.

— Nie wiedziałam, że zna pan niemiecki — rzekłam. To było głupie; skąd mogłam wiedzieć?

— Nie znam — powiedział Piotr. — Nie mam żadnych zdolności do języków. Kemble mówił mi o tym tańcu, o „Pożegnaniu”, więc poszedłem do biblioteki i nauczyłem się na pamięć niemieckich słów. Niech mnie Bóg ma w swojej opiece, jeśli pani zna niemiecki; ale nie zna pani, prawda?

— Nie — odpowiedziałam, bliska płaczu. — Nie znam.

Zakochołam się w Piotrze w tej dokładnie chwili. Nie przypuszczam, by wiele kobiet dokładnie znało moment, od którego zaczyna się ich nowe życie.

Po wielu latach, gdy usiłowaliśmy przetrzymać straszne godziny, kiedy wyjący huragan chłostał Zaciszę, zapytałam Piotra dlaczego zadał sobie trud nauczenia się na pamięć niemieckich słów piosenki, by je zaśpiewać nieznamym dziewczynie.

— Przecież mogło się zdarzyć, że uznasz mnie za całkowicie niewypał — powiedziałam. — Albo ja ciebie. Strasznie dużo wysiłku włożyłeś w to spotkanie w ciemno.

Pamiętam, że światło kominka wydobywało z mroku jego czoło, kości policzkowe i zęby, nie sięgało jednak oczu. Siedzieliśmy przez całą godzinę w ciemności.

— Kemble miał w szkole twoją fotografię. Siedzisz sama w łódce, w ciemnej zatoczce, wśród mchu. Myślę, że musiałaś mieć jakieś dwanaście, trzynaście lat. Trzymałaś ogromne naręcze lilii wodnych, byłaś mokra od stóp do głów i śmiałaś się. Zawsze myślałem, na długo zanim cię poznałem, że gdybym cię schwytał, to tak jakbym schwytał syrenę. Pomyślałem, że syrena jest warta odrobiny niemieckiego.

— I była? — zapytałam, a serce biło mi mocniej niż z lęku przed burzą. Tej nocy było wiele niebezpieczeństw na dworze.

— Wtedy i zawsze — odpowiedział Piotr. — Wtedy i zawsze.

* * *

Bardzo późno tamtej nocy, już właściwie nad ranem, gdy byliśmy z powrotem w domu i leżałam w łóżku dźwięcząc jak naciągnięta struna od zmęczenia, uniesienia, triumfu i wzbierającej fali czegoś, czego nie umiałabym nazwać, przypomniałam sobie, że nie włożyłam kwiatów do wody. Nagle wydało mi się to najważniejszą rzeczą na świecie.

Wyskoczyłam z łóżka, narzuciłam, szlafrok i boso pobiegłam na palcach szerokimi starymi schodami. Przez okno na podeście widziałam, że olbrzymi biały księżyc spowijał lasy i zatokę zimnym potokiem srebrnego światła. Ale dom był ciemny i spokojny. Ojciec spał na jego tyłach w ogromnej sypialni swojej i matki, a Piotr i Kemble byli naprzeciwko w dawnym pokoju Kemble'a. Obydwa pokoje były zamknięte i ciche. Przebiegłam po zimnej sosnowej podłodze do kuchni i włożyłam pachnące, wędzące już bzy do wiadra z wodą; zatrzymałam się by zanurzyć w nich twarz. Poczułam, że niemądre łyży znów zaczynają płynąć. Płakałam teraz z powodu znikomości chwili i zupełnie nowej niedoli; gdy wróciliśmy do domu Piotr powiedział tylko: „Dziękuję, że pozwoliła mi pani zatańczyć z sobą, Maude. Cudownie spędziłem czas” i poszedł na górę z Kemble'em śmiejąc się z jakiegoś jego żartu. Drzwi zatrzasnęły się za nimi i śmiech ustał. Mieli wrócić do Princeton następnego dnia południowym pociągiem.

Otarłam twarz, odetchnęłam głęboko i wyszłam na werandę. Piotr w swych satynowych spodniach w pasy i białej koszuli, bez krawata, z rozpiętym kołnierzem, siedział bujając się na jednym ze starych wiklinowych foteli i palii. Zrozumiałam wtedy, że w jakiś sposób wiedziałam, że go tu zastanę.

— Co panią zatrzymywało tak długo? — zapytał.

Tańczyliśmy tej nocy na brzegu zatoki Wappoo, Piotr i ja, tańczyliśmy boso na zimnym mokrym podszyciu, gdy księżyc wylewał na nas swoje tajemnicze stare srebro, a woda płynęła czarna i odwieczna pomiędzy mchem. Tańczyliśmy, a Piotr śpiewał cicho barytonem: „Jest trzecia nad ranem, tańczyliśmy przez całą noc...”

Gdy przestał śpiewać i zatrzymaliśmy się, pocałował mnie.

— Powiedz mi, co najbardziej kochasz, Maudie — powiedział przytulając mnie lekko do siebie. Opierał brodę na mojej głowie. Przez koszulę czułam ciepło jego ciała. Prawie czułam słony smak jego skóry przez materiał.

— Tańczyć w ciemności z przekłętymi jankesami — próbowałam odpowiedzieć lekko. Mój głos zabrzmiał jednak chrapliwie jak rechot żaby.

— Nie. Naprawdę. Co najbardziej lubisz w swoim życiu. W życiu tutaj, w Charlestonie?

Myślałam. Myślałam o długich złotych jesieniach na bagnach, o wysokim miodowym słońcu wiosną i o wiecznej ciszy moczarów, o drżących światłach na nich i o drobnych płynnych bryzgach — kto wie jakich tajemniczych stworzeń zamieszkujących to dziwne odwieczne miejsce, ciepłokrwistych, pół wodnych, pół ziemnych. Myślałam o śpiewie wszystkich ptaków, które znałam i o cichej pieśni kobiet o skórze koloru kawy, które sprzedawały wyplatane z tataraku koszyki na targu i na Meeting Street. Myślałam o słońcu błyszczącym o poranku w porcie i o korzennym, jakby trochę wschodnim zapachu starych ciemnych sklepów, i o wybujałych kwiatach rosnących wszędzie — ciężkich, tropikalnych i egzotycznych. Myślałam o człapaniu kopyt końskich po bruku i o miękkich, posępnych, napływających falach przybrzeżnych na Sullivan Island w sierpniu, i o niezliczonych małych pełnych wdzięku widokach odsłaniających się wszędzie, gdziekolwiek spocznie oko: na furtce ogrodowej, na opadającym tynku ze starego muru — wszędzie cały świat symetrycznie uchwycony w okiennej ramie. Charleston po prostu nie mógł urazić oka. Myślałam o cukierkowych barwach starych domów, o wschodzie słońca, o ciemnych tajemnych cmentarzach z ich wałcami się grobami i o czystej słodyczy dzwonów od Świętego Michała w ciszy niedzielnego ranka. Myślałam o moich groźących runięciem stosach książek w gabinecie w Belleau i o nocach przy kominku, gdy ojciec opowiadał mi o gwiazdach i motylach, o podróżach i o srebrnej muzyce matematyki. Myślałam o gorącej, słodkiej kawie z mlekiem rano i o starej kuchni, o złotym uśmiechu Aurelii, o jej szybkich rękach i oczach pełnych miłości dla mnie.

— Och, Charleston. Mój Charleston. Kocham to wszystko — wyszeptalam w koszulę Piotra, wtedy dopiero wiedząc, że to prawda. — Nie ma najdrobniejszego atomu, którego bym nie kochała.

— Czy możesz to opuścić?

— Tak — odpowiedziałam.

ROZDZIAŁ DRUGI

Letnisko to tyrania starych kobiet. Przynajmniej było tak i jest w Zaciszu, i z tego co wiem od znajomych, którzy spędzają lato w innych enklawach rodzinnych wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, jest tak na ogół wszędzie. Ale dlaczego tak jest, tego nigdy do końca nie zgłębiłam; wielu mężczyzn spośród tych, którzy w tym czasie przyjeżdżali do Zacisza i innych oraz stanu Maine pełniło ważne role w życiu i gospodarce swych miast, a czasem nawet i kraju. Niektórzy kierowali przedsiębiorstwami przemysłowymi; ich nazwiska znane były na wielu poza tym skalistym, wybrzeżach. Inni wyróżniali się szczególnie swym zawodem lub po prostu byli dziedzicami wielkich fortun. Nigdy nie spotkałam w Zaciszu ani nigdzie indziej w Maine „letniskującego” mężczyzny, który nie dysponowałby jakimiś, takimi czy innymi, nadzwyczajnymi środkami, lub nie miał ich w perspektywie. A jednak był to świat rządzony całkowicie, z niewielkim ukłonem w stronę demokracji, przez stare kobiety szczepu. Żadna z nich nie przyznałaby się do tego, nawet za cenę swego uporządkowanego życia.

— Wszystko robię dla mojego Piotra i dla twojego — powiedziała mi kiedyś z oburzeniem moja teściowa, gdy napomknęłam, że być może do niej i do jej przyjaciółek należy królestwo i chwała, i moc Zacisza. — Od chwili gdy wstaję rano aż do chwili gdy wieczorem kładę głowę na poduszce, każda moja myśl i każdy ruch poświęcony jest wygodzie i dobremu samopoczuciu mego męża i mego syna. I każda żona i matka tutaj tak samo czuje i postępuje tak samo, i ty też tak powinnaś, Maude. Nasi mężczyźni przez cały rok pracują dla nas do utraty tchu. Czas ich odpoczynku to rzecz święta.

Na zewnątrz tak to wyglądało naprawdę. Zdziwiła mnie beztroska, doskonała symetria nocy i dni mężczyzn spędzających lato w Zaciszu. Można ich było zobaczyć w zimne, wczesne, błękitne poranki na tarasach i werandach, gdy otuleni w wełniane szlafroki lub grube swetry popijali kawę i spoglądali na spokojną zaróżowioną przystań. Trochę później spotykało się ich na cichych ścieżkach brzoźowych zagajników lub na polnej drodze do wsi — odbywających wielkimi krokami, z kijem w rękę,

poranną przechadzkę dla zdrowia. O dziewiątej, w ciągu tych długich letnich dni, stawiali się czwórkami na małym korcie tenisowym, w nienagannych białych ubraniach, albo wyprowadzali swe wielkie wysmukłe słupy, koczki i jolki z przystani jachtklubu lub też udawali się — przeznaczonymi na wiejskie drogi, najskromniejszymi starymi samochodami — w kierunku niewielkiego pola golfowego, należącego do klubu w zatoce.

Najmłodszych, znudzone i nieznające wypoczynku wiejskie dziewczęta i nianie, prowadziły jak puchate kaczątka na wybrzeże, by sobie dreptali na uboczu w martwej ciszy żwirowatej plaży, albo do jachtklubu, gdzie już czekał Amos Carter, by na grubych małych „Brutalnych Bestiach” zacząć pierwsze niepewne lekcje. Bardzo starzy spędzali ranki na tarasach, owinięci w pledy, drzemiąc lub czytając, albo odwiedzając jedni drugich. Ale w ciągu tych wszystkich lat, gdy przyjeżdżałam do Zacisza, rzadko widziałam, by któryś z nich przyłożył rękę do funkcjonowania tego starannie wymodelowanego wiejskiego świata. Od tego była milcząca armia stałych mieszkańców, którzy na ogół zarabiali na życie w ciągu pozostałych miesięcy, służąc wypoczynkowi ludzi spędzających tu lato; i od tego były młode kobiety.

A poza nimi, jak korpus ciemno ubranych generałów o świdrujących oczach, stały stare kobiety.

Dla mnie, w ciągu tych pierwszych dni, „starym” był każdy w wieku rodziców Piotra i przekaraczający ten wiek. Ale było tam wiele młodszych kobiet, całe plutony. Młode żony i matki, jak ja sama, a jednak tak wyraźnie i ku memu żalowi niepodobne do mnie; czasem jakaś niezamężna młoda piękność, wiele małych dziewczynek i kilka starzejących się córek, których losem miało być sztywne i stosowne staropanieństwo. Wszystkie te kobiety służyły. Służyły swoim własnym młodym mężom i rodzinom, tak jak nauczyły je stare kobiety i jak pouczały je w dalszym ciągu; służyły letnisku we wspólnych kulturalnych i towarzyskich przedsięwzięciach całej kolonii; służyły małej wiosce i okolicznym parafiom, oddając swe talenty, pieniądze i długie godziny życia szpitalowi, bibliotece, bezpłatnej klinice, Kobiecej Lidze Samopomocy, sprzedaży wypieków, wentom dobroczynnym i targom kwiatów. Nalewały herbatę i kawę i robiły maleńkie kanapki i placuszki, sprzątały i przystrajały na nowo jachtklub, pilnowały, by miejsca zabawy dzieci były zawsze czyste i wygodne dla niań, a trawnik wystrzyżony. Wydawały niezliczone podwieczorki i przyjęcia cocktailowe, organizowały wieczory brydżowe i desery dla przyjaciółek swoich teściowych, robiły zakupy i codziennie jeździły na fermy po jajka i warzywa i do domu praczki, i do sprzedawcy ryb na przystani, i do hodowcy roślin w Linconville, by przystroić pogodnie na lato krawężniki i skrzynki w oknach domów z szarych i brązowych desek.

Rankami dodawały otuchy swoim mężom i opalonym synom podczas rozgrywek tenisowych i regat, po południu składały wizyty w innych domach z przykrytymi talerzami, pełnymi świeżych bułeczek i placuszków, i z doniczkami bulwiastych begonii ze starych ogrodów; układały do drzemki małe dzieci a często i ludzi niemłodych. W chłodne popołudnia

kąpały się w starych wannach na lwich łapach, ubierały się w wyszukanie proste bawełniane sukienki i zarzucały na ramiona blade kaszmirowe swetry, rozpylały na siebie małym strumieniem wodę kolońską „4711” i podążały na dół by stanąć za krzesłami starych kobiet, podawać im drinki i przekąski, wachlarze i laski, i szale i śmiać się z głośno wykrzykiwanych z powodu głuchoty dowcipnych uwag i wciąż powtarzanych anegdot, i pomagać im przy wstawaniu z krzesel i podtrzymywać je białym ramieniem w drodze do stołu. Niewiele było w Zaciszu opalonych kobiet. Były nietknięte przez słońce i zmęczone. U wielu z nich oczy zamykały się natychmiast z wyczerpania, gdy tylko znalazły się nareszcie w łóżkach w małych gorących sypialniach na górze, u boku mężów, których dawno już uśpiło świeże powietrze, słony wiatr i alkohol. Młode kobiety na letniskach północno-wschodnich były to pszczoły-robotnice. „Mięso armatnie” — nazwała je raz Amy Potter, która była jedną z nich.

Ale... i to było „ale” o największej doniosłości... przygotowywały się w ten sposób do stanu przyszłych starych królowych; wiedziały o tym. Pewnego dnia zasiadą na werandach, będą obwożone po okolicy przez własne synowe i będą miały prawo wypić o jeden kieliszek za dużo na przyjęciu i wypowiedzieć każdą niegodziwą i raniącą uwagę, jaka im przyjdzie do głowy oraz bezlitośnie tyranizować służbę i żony swych synów i swoje wnuki, jeśli tylko tego zapragną i będą mogły łamać każdy z tysiąca drobnych niezmiennych żelaznych przepisów, które same ustaliły, co do sposobów zachowania obowiązujących całą kolonię, i to nawet wówczas, gdy nie przestaną wymuszać ich przestrzegania przez innych. Będą mogły, tak jak teraz starsze kobiety, patrzeć wstecz na własne dni poddaństwa i posłuszeństwa i wyczerpywać pełną dłońią ostatnie siły umysłu i ciała ze swych służebnic. To był samopowtarzający się w nieskończoność cykl i w tym tkwiła i tkwi wciąż jeszcze siła — absolutna i przerażająca. Mężczyźni uważali, że są poza jej zasięgiem i śmiali się z tego, ale w każdym momencie, każdego lata w Zaciszu, żyli znosząc tę siłę i większość z nich nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. To młode kobiety znały twarze swoich dozorców więziennych i to one nie miały, lub sądziły, że nie miały innej ucieczki poza uśmiechem, nawet gdy zaciskały się ich kajdany.

Stare kobiety z Zacisza... w ciągu pierwszych kilku lat tu spędzonych, prawie je zniecierpliwiałam. Teraz jestem jedną z nich, i jest tu Darcy, moja ukochana Darcy, która mi podaje herbatę i wyciąga do mnie ogorzałe ramię, by mnie podtrzymać... tak — ogorzałe, bo Darcy, tak jak mnie, nigdy się nie udało grać z powodzeniem roli pomocnika i podczaszego. Ale jednak, jesteśmy tutaj. Nic się właściwie nie zmieniło w Zaciszu. I to w dużej mierze dlatego właśnie, jak myślę, pokochałam je. Gdy przyjechałam tu pierwszy raz, było dla mnie bardziej obce niż druga strona księżycy, ale tak jak mój własny mały stary świat, tak bliski mojemu sercu — mój Charleston — było wieczne.

Choć nie było mi łatwo..., och, na początku było bardzo ciężko. Jeszcze zanim je ujrzałam, Zacisze już mnie przerażało. Wystarczyło, że po-

myślałam o spędzeniu tu lata, w tym wielkim starym domu z brązowych dachówkowato ułożonych desek, z ojcem Piotra i jego wszystkowiedzącą, wszechobecną matką, a serce zamierało mi w piersi. Ja, która przed małżeństwem sekretnie spodziewałam się, że pokocham letnie schronienie Piotra i że będę tu kochana, ja, która entuzjastycznie i głośno układałam plany na każdy powolny, uroczysty, skąpany w oceanie i słońcu dzień, dowiedziałam się, nim przeszłam obok starych bżów przy drzwiach, że jestem tu tak mile widziana jak zaraza. Gdy jechaliśmy z New Hampshire do Zacisza tego czerwcowego dnia w 1923 roku, małym odkrytym sportowym Buickiem, który matka podarowała Piotrowi w dniu ukończenia studiów, uginałam się pod ciężarem, o którym wiedziałam, że nigdy go nie zrzucę.

Gdy Piotr wyjechał z Charlestonu do Princeton po dniu świętej Cecylii, było zrozumiałe, że się pobierzemy. Przynajmniej ja to wiedziałam i sądziłam, że Piotr tak samo, choć nie zawarliśmy formalnej umowy. Ale wiedziałam; jak mogłam nie wiedzieć po tej nocy w zatoce Wappoo? W pociągu, gdy Kemble ciągnął go za rękaw i gdy wielkie koła zaczęły się już obracać, Piotr powiedział tylko, że napisze. Pocałował mnie w czubek głowy i wyjechał. A ja wróciłam do domu, do Belleau, by płakać z tęsknoty za nim i czekać.

Napisał. Pisał codziennie, a czasem dwa razy dziennie — krótkie śmieszne uwagi, jeden dłuższy list, który był taki jak on: zjadliwie dowcipny, serdeczny, introspektywny, pełen niespodziewanej zmysłowości, cudownie wyrażający istotę rzeczy. Rzeczywiście, poznałam go przez te listy. Niektóre niemal przerażały intuicją; Piotr zdawał się wyczuwać każde moje nowe zwątpienie i niepokój i dawał temu wyraz w swych listach.

„Będzie ci dobrze na Wschodzie. Jesteś bystrzejsza niż wiele dziewcząt, które tu poznałem, i czego nie wiesz, nauczysz się w ciągu minuty. Nie odejdę i nie zostawię cię samej z żadnymi jankesami, dopóki nie wywiczysz drylu”.

I podczas wszystkich moich odwiedzin w zimie tego roku w Princeton, nie opuścił mnie nigdy. O dziwo, radziłam sobie dość dobrze z jego kolegami klubowymi i przyjaciółmi na tym starym sennym kampusie uniwersyteckim. Może było tak po prostu dlatego, że wszyscy naprawdę bardzo lubili Piotra, ale już członkowie innego klubu przyparli mnie trochę do muru, gdy tam byłam, tak że wróciłam do domu z myślą, że może w końcu utworzę sobie drogę wśród obcych.

„Twoje stroje są bardzo odpowiednie — pisał innym razem. Nikt się nie spodziewa, że ktoś z Charlestonu będzie miał pełną szafę tweedów i futer. Przygotujemy ci wszystko co potrzeba na przyszłą zimę. To co masz wygląda jak bukiet kwiatów, przy tych wszystkich letnich bawełnach, które tu oglądam”.

Albo znów:

„Spędziłem ten weekend w Adirondaks, w rodzinnej siedzibie Shoe Parsona, i widziałem jelenie, bażanty, chyba z milion szopów, parę

srebrnych lisów i jednego chudego czarnego niedźwiedzia. Jest dostatecznie dziko na Wschodzie, Maudie, by ci to wystarczyło na całe życie. Będiesz mogła się włóczyć ile ci się żywnie spodoba. Nie zamknę cię w mieście, po życiu w zatoce Wappoo".

Na wiosnę następnego roku pisał:

„Nadszedł czas by odwiedzić moją rodzinę. Powiedziałem im, że cię przywożę w kwietniu. Hermie i dzieciaki przyjeżdżają wtedy z Connecticut, tak że zobaczysz nas od razu wszystkich razem. Nie ma powodu, żebyś się czymkolwiek martwiła. Oni bardzo lubią Kemble'a, i ciebie polubią także".

Mylił się jednak. Rodzina Chamblissów z Bostonu, stan Massachusetts i z Zacisza w stanie Maine, nie polubiła mnie tak, jak mojego brata Kemble'a. A przynajmniej nie kobiety z tej rodziny; gdy weszłam w progi wysokiego, otulonego bluszczem domu z cegły przy Charles Street pod koniec kwietnia, Anna Stuart Chambliss przyjrzała mi się z zainteresowaniem i zapytała:

— No cóż, Piotrze, kogo nam przywiozłeś?

A wysoka, pochylona, jasnowłosa dziewczyna, ubrana w proste, wodnistej koloru płótna, która mogła być tylko siostrą Piotra, Hermione, odezwała się lekkim, zimnym tonem, stanowiącym jakby karykaturę jego głosu:

— Zdawało mi się, iż mówiłeś, że przywieziesz Kemble'a, Buddy.

Stałam w ciemnym starym holu i patrzyłam na nich przez sklepienie łukiem drzwi prowadzące do ciemnego starego salonu, czując, że moja perkalowa suknia w różę i różowy kapelusz jarzą się w tym wiekowym mroku jak gnijące śmiecie; poczułam, że zalewa mnie zimna, nieustępująca fala.

— Mówiłem ci, że przywożę siostrę Kemble'a, Hermie — powiedział z czułością w głosie. — Tobie też, mamó. Cóż z was za głupty. Chodźcie i powitajcie Maude Gascoigne z Charlestonu, o której przecież dużo słyszałyście. Nie rozumiem dlaczego zachowujecie się tak, jakbyście nic o niej nie wiedziały.

Kobiety z rodziny Chamblissów pozwoliły by trochę czasu upłynęło w ciszy, a potem matka powiedziała:

— Och, moja droga, jest pani bardziej niż mile widziana. Nie wyobrażam sobie, dlaczego myślałam,... no, zresztą. Spędzimy cudowny weekend poznając czarującą przyjaciółkę Piotra z Południa. Piotrze, gdybyś mi powiedział, zaprosiłabym kilka osób by poznały... Maude, prawda? Hermie, pobiegnij i poproś Lornę by przygotowała pokój w końcu hallu i łazienkę obok. Nie mogę umieścić tego pięknego dziecka w dziurze, w której Kemble upiera się zawsze nocować, gdy tu przyjeżdża. Mój Boże, zdaje mi się, że nawet nie wiedziałam, że on ma siostrę.

— Proszę sobie nie robić żadnego kłopotu z mojego powodu — powiedziała niewyraźnie, czując własny akcent jak gęstą śmietaną w ustach. — Kemble... pokój, w którym Kemble się zatrzymuje będzie doskonały. Naprawdę nie jestem przyzwyczajona do dużych pokoi.

Zamilkłam, gorąco oblało mi twarz. Moje włosy u nasady zrobiły się mokre. Mój pokój w Belleau był wysoki i przestronny.

Hermie obdarzyła mnie uśmiechem podobnym do uśmiechu Piotra, lecz pozbawionym jego słodyczy. Widziałam, że może być uznana w swoim kręgu za piękną, ale nie przyciągała wzroku tak jak on.

— Nie jestem pewna, czy nam pani za to podziękuje — rzekła. — Chyba, że nie ma pani nic przeciwko słuchaniu przez całą noc chrapania Piotra. Pokoje są połączone, a zamek jest popsuty. Ale może to nie będzie zbyt duże utrapienie?

Jej uśmiech się rozszerzył. Promieniowała z niego niewinność i pogarda.

— Hermione! — zawołała Anna Chambliss.

— Masz brudne myśli, Herm — uśmiechnął się szeroko Piotr. Ale uśmiech nie objął jego oczu. Położył lekko rękę na moim ramieniu.

— Czy papa jest w domu? — zapytał. — Chciałbym, żeby poznał Maude; ma takiego samego bzika jak ona na punkcie ptaków i motyli.

— Jest w swoim gabinecie — odparła jego matka. — Jestem pewna, że rad będzie widzieć... was oboje. Ja tylko... — Posłała nam przejrzysty uśmiech i udała się na tyły domu, bez wątpienia by zaalarmować nieszcześniejszą Lornę. Rzuciła jeszcze przez ramię:

— Proszę się nie martwić o bagaże, moja droga; każę by Marvin zaraz je pani przyniósł. I proszę się nie przebierać do obiadu — będziemy sami. Chyba, że namówię ojca Piotra, żeby nas zabrał do klubu.

I znikła w przenikającym wszystko mroku. Pomyślałam z przygnębieniem, że to pewnie kurz z nieskazitelnych starych pieniędzy.

— Nie kłopotz się, mamó. Ja przyniosę walizkę — powiedział Piotr.

— Nie wyobrażam sobie, by Maude zabrała zbyt dużo rzeczy na weekend... chyba że mogłaby pani zostać dłużej, Maude? — zapytała Hermione.

— Nie — odparłam. — Muszę wrócić w niedzielę.

— Szkoda — powiedziała, gdy Piotr wyszedł na słońce po moją ciężką, odrapaną, skórzaną walizkę, która należała jeszcze do mojego dziadka.

Spojrzałam na hol i salon, i dalej na wielką sklepioną jadalnię i w górę na szerokie, wyfroterowane schody. Wszędzie były aksamioty, brokaty i bogate, wzorzyste, stare, ciemne dywany — dużo błyszczącego mahoniui i rAmy obrazów połyskujące delikatnie zmatowiałym złotem, i ozdoby — mosiężne i cynowe. Przodkowie — z tymi nosami i podbródkami... to mogli być tylko Stuartowie i Chamblissowie — wisieli rzędem w pokojach i na schodach. Ich szare i zimne oczy, którymi spoglądali na mnie, nie były ani trochę cieplejsze od oczu żyjących Stuartów i Chamblissów. Nie patrzyłam na Piotra gdy wrócił z moją walizką.

— Jaki fascynujący dom — powiedziałam.

— Nie przejmuj się mamą — przytulił mnie lekko. — Ma po prostu taki sposób bycia. Zimna jak ryba. Nie potrafi tego przemóc, to czysta krew Stuartów. Traktuje Kemble'a w taki sam sposób, a uwielbia go. Za to Hermie zaczyna się zachowywać jak suczka. Bardzo dobrze to robi.

Zawsze uważałem, że pali się do starego Kemble'a, nawet kiedy wyszła za Williama. Pewnie spieszyła tu żeby zwalić dzieciaki Lornie na głowę i poflirtować trochę z Kemble'em, a zamiast niego ma jego małą siostrę, i w dodatku przepiękną. Herm przywykła do myśli, że jest tu jedyną piękną. Wszystko się załagodzi przy obiedzie.

— Piotrze, one naprawdę mnie nie cierpią — prawie wyszeptalam.

— Poczekaj — przycisnął mnie mocniej do siebie. — Chodź poznać papę. On jest najsympatyczniejszy z całej rodziny.

Szłam za nim przez ten zimny, milczący dom, myśląc o tym, że mogę zawsze sprowadzić taksówkę i szybko uciec, jeśli będę zmuszona i zastanawiałam się, skąd w takiej rodzinie wziął się Piotr.

Miał rację co do swego ojca. Piotr senior był właśnie takim ojcem jakiego mogłam sobie wyobrazić dla mojego Piotra: wysoki, jasnowłosey, przystojny, z tą samą wąską głową i rysami, z równie uderzającą osobowością, choć w wypadku starszego Chamblissa jakby bardziej przyćmioną. Był dla mnie miły i zainteresowany mną — i wtedy, i zawsze. Miał dużą wiedzę i nawet w swój spokojny sposób pasjonował się ptakami i życiem natury, a zainteresowanie, które okazywał mojemu odludziu nad zatoką było niekłamane. Uśmiechał się i zwracał się do mnie „moja droga”; zapewniał mnie, iż cieszy się, że jestem w jego domu, bo rozjaśniłam bardzo tę zimną, dżdżystą wiosnę w Massachusetts i ma nadzieję, że będzie mnie często widywał. Myślę, że mówił szczerze. Tylko po prostu nic w ojcu Piotra nie było naprawdę jakby... powiązane. W pewnym sensie nie wypełniał sobą przestrzeni. Miałam uczucie — mówiłam później — jakby mnie przyjmował duch dawnego pana wielkiego starego domu.

— Wiem — powiedział Piotr. — Biedny ojciec. Tak jakby gdzieś zniknął, jakby się wycieńczył gdy dorastałem. Prosto z Princeton wszedł do banku — do banku mojego pradziadka — i już na zawsze tam pozostał. Ale myślę, że zawsze pragnął tylko śledzić ptaki i malować polne kwiaty. Jest naprawdę dobry; i to wszystko robi przez cały dzień, gdy jesteśmy w Zaciszu. Gdy mu powiedziałem, że tym mniej więcej zajmuje się twój ojciec, uznał, że twój papa musi być najszczęśliwszym człowiekiem na świecie i najmądrzejszym, i powinienem się ciebie trzymać. Będzie moim jedynym sprzymierzeńcem gdy wypuszczę moją małą bombę na temat Northpoint. Mama będzie się ciskać aż pod sufit.

Popatrzyłam na niego w zdumieniu.

— Jeszcze nic im nie powiedziałeś?

— Nie. Zrobię to podczas tego weekendu. Jednocześnie powiem im o nas. W ten sposób awanturę w związku z Northpoint złagodzi trochę zamieszanie z powodu ślubu. Odkąd zacząłem chodzić, mama myśli o tym żeby mnie ożenić. Pobierzemy się po dyplomie, prawda? To znaczy, przyjąłem, że my...

— Tak — odpowiedziałam. — Tak myślę. Oczywiście. Ale Piotrze, nie wydaje mi się, żebyś miał rację co do twojej matki. Nie sędzę, żeby była przygotowana na to, że się ożenisz — w każdym razie ze mną. Jeśli zwalisz

to na nią jednocześnie z nowiną, że nie będziesz pracował a banku... Boże, pomyśli, że to wszystko moja wina i już nigdy nie odezwie się do mnie. Naprawdę, chciałabym, żebyś poczekał trochę ze sprawą ślubu. Powiedz im, że chcesz uczyć — na osobności, beze mnie — ale nie mów jeszcze o ślubie.

Obiecał tak zrobić. Ale tego wieczora przy obiedzie, w wielkiej oświetlonej świecami jadalni, gdy pauzy i niedopowiedziane słowa odbijały się echem pomiędzy nami czworgiem i krążącym Marvinem, który pochyłał się przy nas z półmiskami i waza, jednak zawiadomił całą rodzinę, że nie zacznie pracować w sierpniu w rodzinnym banku, gdyż przyjął już stanowisko nauczyciela historii Ameryki w malej szkole przygotowawczej dla chłopców w Northpoint, New Hampshire i że pojedzie tam prosto z Princeton by urządzić się w małym domu, który mu przysługuje w związku z tą posadą, i przygotować się do rozpoczęcia pracy na jesieni. I jego matka rzeczywiście ogromnie się miotła.

Ale gniew Anny Chambliss to nie była rozszarżona do białości eksplozja — to była lodowata złość skierowana do wewnątrz. Poznałam dobrze te wybuchy w ciągu tylu lat, a późniejsze nie były ani trochę mniej raniące czy przerażające niż pierwszy. Ale ten był dla mnie czymś nowym. Śledziłam w udręce jej wzrok wbity w syna, jej coraz bardziej bielejącą twarz i oczy rozszerzające się tak, aż podkrężyły się bielą jak u oszalałego konia. Patrzyłam jak powoli uniosła się z krzesła i położyła rękę na ciemnym jedwabnym gorsie. Piotr śledził ją równie czujnie, a Hermione z czymś bliskim uśmiechu, zaś ojciec Piotra z lekkim niesmakiem pomieszany z wyraźną obawą. Marvin zabrał wazę i wyszedł z pokoju.

— Możesz robić co ci się podoba, Piotrze — powiedziała ochryplym, stłumionym głosem wezbranych łzami. — Ale wiedz, że jeśli to zrobisz, nie będziesz już pożądanym w domu. Złamiesz serce moje i ojca, i przyniesiesz wstyd całej rodzinie... ale decyzja należy do ciebie. Nigdy nie mieszałam się do twoich spraw, i teraz też tego nie zrobię.

— Dziękuję, mamó — powiedział Piotr i podniósł widelec do ust. Skupił całą uwagę na mięsie, które miał na talerzu, wyraz jego twarzy był łagodny, ale widziałam, że jego ramiona zeszywniały, a skóra wokół ust i nosa zbieiała. Hermione i pan Chambliss też powrócili do jedzenia, nie patrząc na Piotra ani na Annę. Anna stała wyprostowana jak postać ze śniegu lub z kamienia. Nie wiedziałam gdzie podziąć oczy.

Odwróciła twarz w moją stronę.

— Czy mogę uważać, że pani wiedziała o tej... decyzji mojego syna, panno... Gascoigne? — zapytała. Jej głos smagnał mnie jak lodowaty bicz.

— Tak, proszę pani — odpowiedziałam.

— I pani to popiera, prawda?

— Myślę, że Piotr powinien zrobić to co chce ze swoim życiem — odparłam drżącym głosem jak skarcone dziecko. Nie miałam pojęcia jak się wyrwać z tego strasznego pokoju i uciec.

— No coż, uważam, że to w ogóle nie jest pani sprawa i pewność siebie z jaką pani zjawia się nieproszona w moim domu i nakłania mojego syna do tego... do tego... przedsięwzięcia dowodzi braku smaku i...

— To jest w bardzo dużym stopniu sprawa Maude, mamó — Piotr patrzył na nią oczami jak bryły lodowe. — Dlatego iż Maude uczyni mi ten wielki zaszczyt, że weźmie ze mną ślub zaraz po uzyskaniu przeze mnie dyplomu, prawdopodobnie tego samego popołudnia w kaplicy, i pojedzie stamtąd ze mną do Northpoint. Mamy nadzieję, że nie odmówisz nam swego błogosławieństwa i obecności, ale zrobimy to nawet gdybyś odmówiła. I mam nadzieję, że nie będziesz więcej w ten sposób mówiła do Maude.

Anna Chambliss odwróciła się, odeszła od stołu i weszła na schody wyprostowana, trzymając wysoko swoją grecką głowę. Zobaczyłam ją dopiero w dwa miesiące później, gdy Piotr zawiózł mnie do Zacisza. Przez ten czas przeproszała i usiłowała naprawić swe postępowanie za pomocą prezentów: samochodu, furgonu rodzinnych mebli do naszego małego kamiennego domku w Northpoint, pięknego georgiańskiego srebra, czeku na pięć tysięcy dolarów — „żeby nas odpowiednio wyposażać”. I listu do mnie, w którym pisała, że muszę jej wybaczyć wybuch, gdyż zawsze była kobietą pełną temperamentu, a my zadaliśmy jej dwa potężne ciosy i że jest pewna, iż zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami.

Ale wiedziałam od pierwszego dnia, podobnie jak Piotr a chyba także jego ojciec i siostra, że pole bitwy zostało między nami wytyczone za pomocą linii, których nie zmyje żadna fala.

Ojciec Piotra popatrzył na nas i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zrezygnował. Hermione zauważyła:

— Doprawdy, Buddy, masz zupełnie przedziwne wycucie stosownej pory.

Piotr wstał, wyciągnął do mnie rękę i powiedział:

— Maude?

Ujęłam jego dłoń i wyszliśmy stamtąd, zabierając tylko moją ciężką, starą walizkę, która wciąż ukrywała się w holu jak uboga krewna. W zimnym zmierzchu czekaliśmy na frontowych schodach na zamówioną taksówkę. Gdy zajechała, pojechaliśmy nią na dworzec i wsiedliśmy do pociągu do Elkton, w stanie Maryland. Przesiedzieliśmy w obskurnym pulmanowskim wagonie całą noc, gdy pociąg brnął na Północ. Wysiedliśmy z nastaniem łagodnego świtu, kazaliśmy taksówkarzowi zawieźć nas do najbliższego sędziego pokoju i o dziesiątej tego ranka wzięliśmy ślub.

Nie pamiętam, żeby Piotr odwrócił się, by popatrzeć na swój dom, gdy odjeżdżaliśmy.

Byliśmy szczęśliwi w ciągu kilku czerwcowych dni, które spędziliśmy w małym domku na krańcu szkolnego kampusu w Northpoint. Stał na skraju małego brzoźowego lasu; oczarował mnie niezmiernie srebreny blask białych pni o zmierzchu, nieznanne zapachy i dźwięki płynące z podgórskich północnych lasów, nieznanne ptaki i zwierzęta, które wieczorami

podchodziły blisko pod naszą małą werandę. To było zupełnie niepodobne do lasów i bagien w moich stronach; powietrze pachniało żywicą sosnową, a nie starą, słodką i ciężką ziemią. Szczypało i mroziło nie ciężąc. Noce wymagały ognia, swetrów i pledów, a dni szybkiego ruchu. To był naprawdę maleńki domek, najniższy rodzaj zakwaterowania dla najniżej zaszeregowanych wykładowców, do których zaliczał się Piotr, ale nie dbaliśmy o to. Stara szkoła z cegły i kamienia była niemal zupełnie opustoszała podczas tych chłodnych czerwcowych dni; jesienny semestr był jeszcze odległy i Piotr miał rozpocząć pracę dopiero we wrześniu. Byliśmy sami na zielono-błękitnych wzgórzach; oprócz nas był tylko dyrektor szkoły i jego miła, niegłupia żona, która zaprosiła nas na obiad i upewniwszy się, że już się wygodnie urządziliśmy, miłosiernie zostawiła nas samych. Było też kilku pracowników dozorujących — małych ogorzałych mężczyzn w kombinezonach. Ustawiliśmy meble, powiesiliśmy kilka sztychów i obrazów, jedliśmy okropne, gotowane przeze mnie posiłki. Zwiedzaliśmy teren i chodziliśmy dalej, aż do małych wiosek i miasteczek, aż do Latonii i do samego jeziora Winnepesaukee, położonego o dwadzieścia mil na północ od nas. Tam, sama z Piotrem, w spokojnym zielonkawym zmierzchu, na brzegach tego cudownego jeziora po raz pierwszy usłyszałam przyprawiający o drżenie serca krzyk nura.

Odwróciłam pełną napięcia twarz do Piotra. Uśmiechnął się.

— Przyzwyczaisz się do nich — powiedział. — Mamy je też na przystani w Zaciszu.

Milczałam przez chwilę, a potem szepnęłam:

— Nie chcę tam jechać, Piotrze. Boję się Zacisza. Boję się tam wszystkiego. Nigdy nie spodobam się twojej matce. Myślisz, że skoro sam potrafisz ją wyprowadzić ze złych humorów przemawiając do niej łagodnie, to i ja będę umiała to zrobić, ale ja nie będę mogła.

Roześmiał się.

— Musisz od razu, wprost, dać jej poznać, że nie może cię traktować z góry. Czy ktoś narzucał ci kiedyś swoją wolę, Maude? Czy bałaś się kiedy czegośkolwiek? Ty, która umiesz poskromić węża, podpływasz łodzią do aligatorów, pływasz po tych zapomnianych przez Boga i ludzi czarnych mokradłach i przebywasz sama godzinami i dniami w gąszczu?

Nic nie powiedziałam. Nie wiem czy Piotr naprawdę zrozumiał kiedykolwiek głębię czy też raczej rodzaj strachu jaki odczuwałam przed jego matką i jej światem i ile mnie kosztowało przystosowanie się do tego przez te wszystkie lata. Zawsze sobie z nią radziłam. Kochała go do szaleństwa — nie znałam drugiej kobiety do tego stopnia nie widzącej świata poza synem; jej marmurowa władczość nigdy nie odbierała mu odwagi tak, jak mnie i innym. Nie umiałam mu wytłumaczyć, co czuję.

Powiedziałam jednak:

— Dlaczego nie możemy po prostu spędzić tego lata wakacji gdzie indziej i pojechać do Zacisza na przyszły rok? Gdzieś tu, na wybrzeżu, czy nawet nad tym jeziorem; wygląda tak cudownie i wszędzie pełno domków, które można wynająć.

— Dlatego, że zaczną mi płacić dopiero we wrześniu — odparł.
— A zostało nam akurat tyle pieniędzy, żeby dotrzeć do Zacisza. Jesteśmy całkiem biedni, Maudie. Nigdy nie będziemy mieli dużo pieniędzy. Nawet jeśli któregoś dnia zostanę gdzieś tam dyrektorem szkoły to i tak nie będziemy mieli dużo.

— Nie dbam o to — powiedziałam szczerze. — Wiesz przecież. Już o tym mówiliśmy. Nigdy nie miałam tyle pieniędzy, żeby było o czym mówić. Nie odczuję ich braku.

— No cóż, ja miałem dużo. Naprawdę bardzo dużo. Pewnie nie będę miał więcej, ponieważ należą do matki i nie sądzę, by chciała się nimi dzielić, jeśli nie będę pracował w banku. To jej ostatnia broń; nie podda się. A ja nie pójdę do banku. Nie wydaje mi się bym kiedykolwiek chciał robić co innego niż uczyć tutaj czy gdzie indziej. Nie mam zbyt wielkich ambicji moja biedna Maudie. Chciałem po prostu mieć pewność, że ci na tym nie zależy.

— O mój Boże, nie — uspokoiłam go. — Rodzina mojej matki też właściwie nie dzieliła się z nami pieniędzmi. Jak może mi brakować czegoś, czego nigdy nie miałam? Miejmy tyle, ile potrzeba dla nas dwojga i niech reszta świata zabiega o więcej. Wczołgajmy się do łóżka, nakryjmy po uszy i nie wychodźmy.

Uśmiechnął się do mnie, i słodkie, nasycone ciepło wypełniające przez długi czas nieruchomo moje serce, zaczęło znów przepływać przez całe ciało. Czasem traciłam oddech na myśl o tym, że przez resztę życia, kiedykolwiek zechcemy, Piotr i ja, możemy położyć się gdziekolwiek zechcemy i obdarzać się wzajemnie tym, co dawaliśmy sobie podczas zimnych nocy i bladych poranków w Northpoint. Kto — myślałam, dotykając jego twarzy — dbałby o pieniądze, gdy możemy mieć siebie?

Piotr położył dłonie na moich piersiach i pchnął mnie lekko na stary koc, który przynieśliśmy z sobą.

— Ciężko się będzie pogodzić z tym, że nie będziemy mogli tego robić w Zaciszu — powiedział, obejmując mnie pod ubraniem. Jego palce przesunęły się po moim brzuchu wzdłuż ciemnego runa i sięgnęły gorącej czerni pod nim.

Odwróciłam się do niego, twarzą w twarz.

— Żartujesz — wyszeptalam z ustami przy jego szyi. Była gorąca, rozpalona.

— O, nie — powiedział opadając całym ciężarem na mnie. Jego twardość przebijała się przez moje uda. — Nikt nie uprawia seksu w Zaciszu. Rozmnażają się przez podział komórek, jak ameby. Wyrzuca cię z letniska, jeśli przyjdzie im do głowy podejrzenie, że to robisz.

Zadawał wciąż nowe pchnięcia. Czułam jak fala gorąca podnosi się we mnie.

— Więc nie możesz mnie tak psuć — przestałam oddychać, wyginając się w łuk. — Teraz już nie będę mogła przestać... tego... och!

— A tego?

— Nie...

— A tego? O Boże, Maudie...
— Śpiesz się Piotrze, śpiesz...
— Będziesz musiała przestać, bo domy są tak blisko siebie, że słychać, och, Jezus Maria, Maude... wszystko.

— Więc — zawołałam gwałtownie, wciąż w tej z nim podróży bez wytchnienia, aż do kresu, gdzie purpurowe światła zapłonęły pod moimi zamkniętymi powiekami — będziesz musiał zatykać mi usta poduszką, bo zawsze będę krzyczała.

I krzyczałam. I słyszałam pełen śmiechu okrzyk, który wyrwał mi się u kresu.

Nigdy nie miało mnie znużyć to obsuwanie się w purpurową ciemność, ten, wywołujący dreszcz, spiralny pęd, to radosne spadanie. Mogłabym z nim pędzić do samego piekła — pomyślałam. Miłość i śmiech — te dwie rzeczy z Piotrem trwały zawsze, na przekór wszystkiemu, wytrzymywały wszelkie próby. I wbrew temu, co powiedział, robiliśmy to wszędzie, nawet w Zaciszu. Kto by się ośmielił nam przeszkodzić?

To nic, że w miarę jak skracała się dzieląca nas odległość zaczęłam czuć jak dosięgają mnie lodowate myśli Anny Stuart Chambliss; wyruszyliśmy jednak w drogę do Maine w to błękitne rano, które nastąpiło po tamtej, pełnej miłości i śmiechu, minionej już nocy.

• • *

Zacisz leży na skraju przylądka Rosier, dzikiego zielonego klina wrzynającego się dalej niż jakikolwiek inny ląd na tym wybrzeżu w zatokę Penobscot. Tylko wielkie wyspy zatoki — Deer Isle, North Haven, Islesboro — są bardziej oblane morzem i niedostępne. Wody wokół przylądka, niezakłócone w swym majestatycznym przepływie ku Penobscot, są ciemnoniebieskie i przez całe godziny, a czasem nawet dni, pozbawione ruchu żeglarskiego. Wyjątek stanowią olbrzymie żaglowce oceaniczne, które wolą ukryte wyspiarskie porty rozrzucone wokół przylądka. A tych jest dużo, pełno w nich klubów żeglarskich i jacht-klubów, domów i kolonii letniskowych: Buck Harbor, w South Brooksville; Orcutt; Center Harbor koło Brooklinu i cały archipelag małych bezpiecznych przystani przy końcu Naskeag Point w zatoce Blue Hill i za nią, w wielkiej, błękitnej Zatoce Francuza. Tutaj rzeczywiście bardzo bogaci ludzie od wielu letnich sezonów wygodnie usadowili swoje enklawy, przytulone jak tłuściutki małe prosiątka, torujące sobie drogę do pełnych mlecznych sutek Bar Harbor i Mount Desert.

Po tamtej stronie długiego półwyspu, który sterczy od Bar Hill po Naskeag, woda uważana jest za cieplejszą i łagodniejszą, domy są o wiele większe i łatwiej dostępne, powietrze wonniejsze i delikatniejsze, a krew bardziej błękitna. W opinii letników przylądek Rosier to dzikie miejsce dla ludzi niezależnych, dla tych którzy wolą własne towarzystwo, którym nie przeszkadzają wielkie morza i huczące wiatry ani grzmiące burze; dla

których nie ma znaczenia to, że najbliższe miasto, w którym można robić odpowiednie zakupy to stare eleganckie Castine, położone w odległości jakichś dwudziestu mil straszliwej drogi (choć, jeśli wybrać drogę wodną, to będzie około pięciu). W małym miasteczku South Brooksville jest dom towarowy, wypożyczalnia książek, cmentarz i malusieńki urząd pocztowy. Bywalcy Zacisza są dumni z tego, że aż do wczesnych lat 60. ich poczta była najmniejsza w całych Stanach Zjednoczonych. Okoliczne farmy dostarczają produktów żywnościowych, jajek i mleka; łodzie rybackie przywożą homary i łupacze; fale przypływu wyrzucają na brzeg jadalne mięczaki. Podróż do Blue Hill czy Ellsworth, której celem są większe zakupy i rozrywki kulturalne, to przedsięwzięcie zajmujące pół dnia, a wyprawa do Bar Harbor może zająć nawet cały dzień, aż do zmroku. Kiedyś spróbowałam zasugerować Annie, że każdego roku widuje się te same twarze w Zaciszu, bo nikt inny nie chce sobie zwracać tym wszystkim głowy.

— Wiem, że się na ogół uważa, że bardzo starannie dobieramy tych, których chcemy dopuścić do Zacisza — powiedziałam — i przez całe lata słyszałam jak bardzo trudno komuś z zewnątrz zostać tu zaakceptowanym. Ale, na Boga, to dlatego, że nikt poza nami nie mógłby w ogóle znaleźć tego miejsca, nie mówiąc o wszystkich kłopotach wiążących się z docieraniem i życiem tutaj.

Wtedy już byłam nareszcie zdolna do dokuczania trochę mojej teściowej. Mówię nareszcie, bo całe lata upłynęły nim się na to odważyłam. Anna nigdy do tego nie zachęcała, ale rzadko też zdawała sobie sprawę, że się z nią drażnię, czułam się więc bezpieczna.

— Nonsens — powiedziała pogodnie, nie przejmując się zgoła żadną opinią jaką mogłabym wyrazić. — Jest dużo ludzi, którzy poruszyliby niebo i ziemię, żeby się dostać do Zacisza. Ale rzadko kiedy się nadają i nie byłiby tu w żadnym razie szczęśliwi. Nasze życie tutaj jest bardzo proste, jak wiesz. I często niewolne od wyrzeczeń. Większość ludzi o wiele lepiej czuje się w Bass Cove czy w Somes Souns. W takich miejscach. Nawet w Bar Harbor.

Jej dumnie, wysoko podniesiony nos powiedział mi co myśli o tych gniazdach zepsucia i rozpusty.

Piotr, jedzący jabłka przed kominkiem, gdzie leżał rozciągnięty, gdy jeden z często nas nachodzących północno-wschodnich wiatrów jęczał za oknami, powiedział gdzieś z głębin starego pędu z Zatoki Hudsona: „Dusza dobiera sobie towarzystwo. / I zatraskuje drzwi / Jak Bóg / Ma w sobie prawie wszystko / Az reszty sobie drwi —”.*

— Właśnie — powiedziała Mama Anna. — To bardzo dobrze powiedziane, kochanie.

— To myśl Emily Dickinson — odezwał się z kanapy głos Piotra, podejrzanie zrównoważony.

* przekład Stanisława Barańczaka

— Czy to ta drobna młoda kobieta, która przyjeżdża na rowerze do Frances i Englisha Searsów? — zapytała z wahaniem moja teściowa.

— Wątpię — śmiech drżał w głosie Piotra. — Z tego co słyszałem, nie ruszała się przez całe życie ze swego podwórka.

— Och, kochanie, znasz najdziwniejszych ludzi.

— No, czyż nie — odpowiedział Piotr.

* • *

Z jakiegoś powodu, głównie chyba z przyczyn geograficznych przylądek Rosier i Zaciszę pozostały do dziś prawie tak niedostępne, jak były dawno temu, gdy pierwszy raz tu przyjechałam. W pewnej mierze szkoda, gdyż brzeg morza i cała okolica to najpiękniejsze miejsce, jakie kiedykolwiek widziałam. Ale na początku mnie przerażało. Nagi, sterczący, gęsto porośnięty lasem, gdzie wdzięczne sylwetki niebosiężnych jodeł łamią serce, ponury tam, gdzie pękają wielkie skalne skiby ziemi, i odcięty od morza olbrzymimi różowymi głazami i dzikimi czerwonymi występami, które pozostawiły ostatnie zanikające lodowce, przylądek wydaje się zrazu wrogi człowiekowi, nieprzyjazny życiu. Rozległe, błękitne połacie nieba i morza o barwie indygo rozlane bez granic — osnute ostrym krystalicznym światłem, gdy pogoda zmienia się na gorszą, gubią się w gęstych, milczących, mlecznych mgłach morskich, które czasem zalegają na całe tygodnie — wydają mi się głębsze, czystsze, twardsze, rozleglejsze na tym starym wybrzeżu niż gdzie indziej. Z wiatrem dobiega krzyk mew z wielkich wysp, albo mgła leży milami od Stonnington, na Deer Isle. W dniach, gdy słońce jest wysoko a powietrze spokojne i przejrzyste, widać wzdłuż wielkiej zatoki zarysy wzgórz Camden. Wszystko tutaj — widok, dźwięk, zapach — ma nadprzyrodzoną głębię.

Zdaje mi się — i jak pamiętam, to była chyba pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy, gdy nareszcie pod koniec tego długiego dnia wypadliśmy z turkotem z lasu i zobaczyłam leżące przed nami w słońcu Zaciszę — że przylądek Rosier to właśnie sama przejrzystość. Po prostu. Nie ma tu nic zafałszowanego, podstępnego, kuszącego, zmaconego, co zamazywałoby kontury rzeczy. Przeszywające piękno tnie jak ostre noża. Nawet niewielkie, zielone półkola małych nadmorskich łąk, pełne polnych kwiatów i obramowane czarno-zieloną ścianą jodeł, nawet falujące frędzle złotawych liliowców i polnych irysów na poboczach polnych dróg, nawet orgie krótkotrwałych letnich kwiatów na podwórkach najskromniejszych chat — nawet to wszystko tak ostro i czysto jest narysowane jak szczegóły na obrazach Salvadora Dali. Moje oczy, uspokajane dotąd widokiem aksamitnych mokradeł i równin, zobaczyły tego dnia krainę miliona ostrych niebezpiecznych i pięknych mieczy.

— Nigdy nie widziałam czegoś tak pięknego — powiedziałam wreszcie do Piotra, gdy stało się oczywiste, że czekał bym powiedziała co myślę o miejscu, które tak kochał. — I wygląda tak, jakby mogło cię z łatwością zabić. Piotrze, to wszystko jest takie... przeszywające.

' Spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

— Wiem, co masz na myśli. Ale to właśnie pokochasz. To wszystko tak bardzo się... przed człowiekiem otwiera. Nie pozostawia nic ukrytego. Pokazuje ci swoje zęby, kręgosłup i oddech, aż wreszcie coś w tobie samej wstaje, by wyjść na spotkanie i zjednoczyć się z tym. Nigdy cię nie rozpieszcza, lecz na koniec bierze z ciebie to masz najlepszego. I w zamian daje ci to co najlepsze. To wybrzeże, to miejsce usuwa wszystko co niepotrzebne. Wiem co mam na myśli mówiąc, że człowiek spotyka tu absolut. Tego nie miałaś w Charlestonie.

Chciałam zaprotestować, ale nie zrobiłam tego. Miał rację. Tamto nieproste południowe życie, leniwe i skomplikowane stare piękno, ciepłe gęste powietrze i gorące jak krew morze. Kraina mgieł, tęsknoty i pełnej aromatów bujności — może cię uspokoić, oczarować i wielu rzeczy nauczyć, ale nie może ani nic oczyścić, ani rozjaśnić. A to tutaj — może. Chyba tego najbardziej się bałam, tego że przyładek Rosier i Zacisze zażądają ode mnie dokonanie pewnej zmiany, której nie będę w stanie podjąć, albo której nie podołam.

— Myślę, że gdy wyjadę stąd będę inną osobą, niż ta, która przyjechała — powiedziała niewyraźnie, a on uśmiechnął się szerzej. Rozburzył moje włosy i powiedział, że to śmieszne, że pozostanę sobą, tyllęo że bardziej sobą, w Zaciszu.

Po upływie tych wszystkich lat wciąż nie wiem, kto z nas dwojga miał rację.

Skracająca od wyboistej czarnej szosy okręgowej piaszczysta droga biegła przez brzożowe i jodłowe zagajniki prosto do morza, a tam, na starym zszarzałym drewnianym wiośle przyczepionym do słupa widniał zatarty już prawie napis: „KOŁONIA ZACISZE, JACHTKLUB PRZYSTANI NA ZATOCE”. Droga była zupełnie spokojna, a przezrzy stobłękitne powietrze wydawało się lodowate, gdy siedzieliśmy w odkrytym samochodzie. Otuliłam się mocniej swetrem, czując dreszcze nie tylko od zimna. Spoglądaliśmy w zranie czasów: ani dach, ani komin, ani unoszący się dym nie przecinały strzępiastej linii jodeł. Żaden ludzki głos nie brzmiał w ciszy. Tylko kwilący krzyk rybitw i, w dali, delikatne uspokajające szmery. Później stwierdziłam, że to fala łagodnie obmywała kamienisty brzeg plaży.

— Jedźmy — powiedział Piotr i włączył silnik. Nie mogłam złapać tchu by coś powiedzieć. Panicznie się w tym momencie bałam.

Zacisze, zamiast ulic miało sieć wąskich, obsadzonych polnymi kwiatami dróg, które biegły przez ciemne lasy, prowadząc — wszystkie — do morza. Stare domy zbudowane były przeważnie z cedrowych, zachodzących na siebie desek, poszarzałych lub zbrązowiałych od powietrza tak, że w półmroku najpierw widać było tylko białe obramienia i połysk skrzynek pod oknami. Potem, gdy wzrok przywykł już do zielonej ciemności, wyławał je z niej, usadowione w tym dziewiczym lesie w bok od dróg, wystrzelające wysoko w przezroczyście niebo. Wysmukłe i zbudowane bez jednolitego planu, ze skrzydłami pod kątem prostym do części

główniej, z nielicznymi oknami i werandami, rozpychające się wśród wielkich szarych skał, które jak słonie spoczywały na tej czarnej ziemi. Wszystkie domy wychodziły na zatokę lub przystań, a te, które stały na końcu dróg miały wspaniałe dookolne perspektywy. Często w tych wczesnych latach zazdrościłam rodzinom, dla których ta rozległość stanowiła część ich życia, kiedykolwiek tylko zapragnęły ją oglądać. Nasz dom, Liberty, miał widok na morze tylko spoza Pięknego Brzegu, nowego i większego domu Potterów, który wybudowano na ścianie skalnej wysuniętej na kamienistą plażę. Widziało się od nas morze, ale brak było tego pierwotnego odczucia jego obecności, które dawał Piękny Brzeg i wiele innych domów w Zaciszu.

— To dlatego, że Liberty jest jednym z trzech pierwszych domów, które tu zbudowano — powiedziała mi Mama Anna tego pierwszego lata. — Wtedy można tu się było dostać tylko statkiem pocztowym z Rockland, który dokował na końcu naszej drogi. Dziadek Piotra myślał o wygodzie rodziny, gdy zaczął się tu budować. Droga z nabrzeża była bardzo krótka, rozumiesz. Łatwiej było także służyć. Nikt oczywiście spośród tej niewielkiej grupki pierwszych osadników nie spodziewał się, że ktoś będzie kupował grunty pomiędzy ich domami a wodą i budował więcej... okazałych domów. Ale oczywiście Piękny Brzeg zbudowali dużo później jacyś ludzie, jak mi się wydaje, z Connecticut. Nie znaleźmy ich; nie zależało im potem na Zaciszu i sprzedali dom prawie od razu Potterom. Muszę powiedzieć, że zawsze uspokajało mnie to, że są tak blisko ludzie z Bostonu, sama rozumiesz. Nawet jeśli dom jest trochę... zbyt okazały jak na zwykłe letnisko.

Piękny Brzeg to był rzeczywiście wielki dom — miał chyba dwadzieścia pokoi, ale zstępował z urwiska całą swą masą zniszczonych przez powietrze, porośniętych mchem desek i kamieni tak łagodnie i bezpretensjonalnie, że ani trochę nie wydawał mi się przesadny. Lubiłam go. Zawsze lubiłam, już od tego pierwszego lata. Tak wiele moich najszcześniejszych wspomnień z Zacisza wiąże się z Pięknym Brzegiem, gdy Amy i ja byłyśmy młode. Oczywiście Liberty kocham także. To wszystko co mam z młodości i Piotra, i to na pewno jest mój dom. Ale jest trochę taki jak Mama Anna — wyprostowany, solidny, bezkompromisowy. Często wydaje mi się, że ją widzę w starych ciemnych pokojach o ścianach z cedru: z wyprostowanym karkiem, surową, poruszającą się cichym, zamaszystym krokiem, albo że słyszę w pustce jej głos. Mówiłam już, że głosy dziwnie się tu mieszają na wodzie.

— Wyjdź stąd. To jest teraz mój dom — mówiłam nieraz do tego nieprzychylnego cienia. I by ją wypędzić, przycięłam jej bzy i dodałam długą oszkloną werandę wychodzącą na morze. Powiększyłam też wszystkie okna od tyłu i dodałam wiele nowych, by odgłos morza był ostatnim, który słychać w nocy i by oczy otwierające się z rana oglądały najpierw tańczące na suficie pasemko morskiego światła. Na pewno nie zniosłaby tego wszystkiego. Annę morze zawsze bardziej niepokoiło niż podnosiło na duchu.

'Po rytualnym powitaniu, które nigdy nie uległo zmianie aż do śmierci Anny — krótki chłodny pocałunek, lekki uścisk, nadstawiony policzek pachnący talkiem i gładkim płótnem przechowywanym w cedrowym drewnie — otworzyła ramiona do Piotra i trzymała je wyciągnięte aż podszedł, a gdy go poczuła blisko siebie, zamknęła oczy i ocierała się policzkiem o miejsce, w którym jego szyja stykała się z ramieniem, uśmiechając się z takim zachwytem, jak pieszcząca się zalotnica. Łzy pojawiły się na jej jedwabnym policzku, gdy nareszcie wypuściła go z objęć i odstąpiła o krok by mu się przyjrzeć.

— Jesteś stanowczo zbyt szczupły — powiedziała. — I straciłeś swoją piękną opaleniznę. Będziesz musiał przez całe dni wypoczywać na słońcu, a Krystyna i ja będziemy cię karmiły aż pęknieś. Jeśli jesteś już teraz tak wymęczony to co będzie, kiedy obejmiesz już swoje stanowisko?

Anna nigdy nie mogła się zmusić, by po prostu powiedzieć: „zacznieś uczyć”.

— Nie straciłem ani uncji, mamó, i żeglowałem codziennie w zeszłym tygodniu w Northpoint — powiedział Piotr. — "Jezioro Winnepesaukee jest właśnie tam. Przestań się niepokoić. Maude karmi mnie jak prosiaka. Zrobiła się z niej prawdziwa kucharka.

— Jestem pewna, że tak jest — uśmiechnęła się do mnie swym lekkim uśmiechem, unosząc kąciki warg do góry. — Te śliczne południowe dziewczęta od urodzenia wiedzą jak dogodzić mężczyźnie.

Zarówno zaniedbywanie przeze mnie jej syna jak i moja dojrzała południowa karnacja stanowiły zaporę pomiędzy mną i moją teściową. Uśmiechnęłam się do niej promiennie. Przebaczyła Piotrowi — wiem o tym; wyposażenie domu i samochód były tego dowodem. Wiedziałam także, że nie przebaczyła mnie. Synowa, którą miała dziś przedstawić ludziom ze swego świata zgromadzonym w jadalni, była w sposób tak oczywisty nie tą, jaką by sama wybrała, że musiało się to jej lodowatym oczom wydawać groteskowe.

— Bardzo się staram — odpowiedziałam. — Nigdy nie gotowałam w domu, ale troska o Piotra jest teraz dla mnie najważniejsza.

— Tak — powiedziała.

Ojciec Piotra ucałował mnie z prawdziwą, jak myślę, radością i podniósł moje walizki.

— Pokój w rogu od tyłu, kochanie — powiedziała Anna, a Piotr i jego ojciec spojrzeli na nią.

— Ten pokój to piekarnik, mamó — zaprotestował Piotr — i jest w nim tylko jedno z podwójnych łóżek. Myślę, że lepszy byłby mój dawny pokój.

— Wiem, kochanie, ale Micah stwierdził na wiosnę, że podłoga w twoim pokoju zmuszała w niektórych miejscach i nie był pewien czy utrzyma ciężar dwóch osób.

Zmierzyła mnie wzrokiem. Zaczerwieniłam się.

— Poza tym — powiedziała — stąd jest piękniejszy widok na wodę. Każę Micahowi przynieść duże łóżko.

Spuściłam oczy i znów się zaczerwieniłam. Ojciec Piotra zniknął na zabójczo stromych schodach, poszliśmy więc z nim. Odetchnęłam bardzo głęboko, częściowo z ulgą na myśl o tym, że zesłam jej z oczu, a częściowo z czystej przyjemności gdy poczułam zapach starych cedrowych ścian, w których drzemało ciepło dnia. Dom nie był przystosowany do warunków zimowych: zewnętrzne deski z czerwonego cedru stanowią także ściany wewnętrzne, a krokwie i belki są z tego samego drzewa, i w ciągu długich lat nabrały wspaniałej barwy ciemnego, wypalonego, miodowego złota.

— Kolor — powiedziała kiedyś Amy — najpiękniejszego na świecie kasztanowatego konia.

Nasz pokój, na końcu górnego holu, był rzeczywiście bardzo mały. Wielkie białe żelazne łóżko zajmowało masę miejsca. Było odwrócone, tak że ukazywało piękne, stare, płócienne prześcieradła, leżały na nim świeżo powleczone poduszki z gęsiego pierza, kołdry i gruby pomarańczowo-czarny koc z Princeton. Uśmiechnęłam się do wielkiego łóżka i koca, i do Piotra.

— Snobizm — powiedziałam.

— Jest taka derka prawie na każdym łóżku w Zaciszu — powiedział Piotr. — Mój dziadek wraz z paroma członkami swego klubu znalazł to miejsce i założył kolonię. Przez całe lata dopuszczali tu wyłącznie Tygrysów, a kiedy ci zaczęli mieć swoje małe tygrysiatka — poczęte dosłownie pod pomarańczowo-czarnymi derkami — jedno pociągało za sobą drugie i teraz Zacisz to prawie kolonia wychowanków Princeton. Wkrótce będziesz miała powyżej uszu słuchania „Going Back to Old Nassau”.

— Nikogo z Yale? Nikogo z Harvardu?

— Bardzo niewielu. Oni jeżdżą do Northeast Harbor, do Bar, lub gdzie indziej. Albo kupują wyspy dla siebie. Tylko Princeton. No i właściwie wszystkie z „Siedmiu Sióstr”, oczywiście.

— Oczywiście — powiedziałam w rozpacz. — Och, Piotrze, będę się rzucać w oczy jak chory palec. Ani z Bostonu, ani z Nowej Anglii, ani nie gram w tenisa, ani nie uprawiam żeglugi, ani nie należę do towarzystwa „Siedmiu Sióstr”. Ani nie ukończyłam college’u. Nie mam za sobą nawet roku w college’u. Co ja będę robić?

— Możesz zawsze zostawać w łóżku i uprawiać seks ze swoim mężem — odparł. — Będiesz przedmiotem zazdrości wszystkich kobiet od szesnastego do siedemdziesiątego roku życia. Tak jak mówiłem — nikt tego nie robi w Zaciszu.

— Więc skąd jest was tak dużo?

— Robimy to w mieście — powiedział. — Po to są te długie zimowe wczasy.

Spojrzałam na ogromne łóżko.

— Trudno myśleć o czymś innym, gdy to sterczy tu jak góra lodowa — powiedziałam, uśmiechając się szeroko.

Roześmiał się. Z jakiegoś powodu mało było w jego śmiechu radości. Spojrzałam pytająco.

'— No tak, myśleć **trudno** — **odrzekł**. — **Ponieważ do tego się to** łóżko przede wszystkim nadaje.

— Nie rozumiem.

— Umieściła nas dokładnie nad swoją głową — powiedział. — Ten pokój jest tuż nad ich wielką sypialnią na dole, a łóżko stoi dokładnie nad ich łóżkiem. Możesz tu upuścić szpilkę, a oni na dole usłyszą. Mój dawny pokój jest na drugim końcu domu; wystrzeliłem tam kiedyś petardę i nikt o tym nie wiedział. Jeśli nie podoba ci się myśl, że mój ojciec i matka leżą tam, słyszą wszystko co robimy, musimy wymyślić coś innego.

— Więc przenieśmy się do twojego pokoju.

— Zmurszała podłoga — powiedział. — Nie pamiętasz?

— Na pewno są jakieś inne miejsca?

— Tak. Miły pokój sąsiadujący z ich pokojem, gdzie jeszcze lepiej słyszać i cztery podnoszone łóżka na strychu, gdzie nikt nie jest w stanie oddychać poczynając od lipca, oraz cztery hamaki na górnej werandzie. Z wielkimi dziurami w zasłonach. Takimi, że każda czarna mucha i każdy moskit w stanie Maine mogą ucztować na twoim tyłku od tej chwili aż do września.

Ogarnął mnie gniew.

— Nie obchodzi mnie to, czy będzie nas słyszać co noc — powiedziała gorąco. — Musi wiedzieć, że to robimy. Sama musiała to przynajmniej raz zrobić. Skądś się przecież wzięłaś. Nie zrezygnuję... dlatego tylko, że umieściła nas nad swoją głową. Piotrze wiem, że zrobiła to specjalnie.

— Oczywiście, że specjalnie — odpowiedział. Śmiech i gniew toczyły z sobą walkę na jego szczupłej twarzy.

— Więc pozwolisz, żeby nas zmusiła?

— Nie — powiedział. — Coś wymyślę. Możemy poczekać aż będzie burza. Albo możemy tu się zakradać, kiedy składa wizyty. Albo możemy to robić na jednej z małych wysepek; mech jest tam miękki jak materac. Albo możemy wziąć łódkę i zarzucić kotwicę za cyplem i...

— Piotr! Ty chyba się boisz, żeby się twoja matka nie dowiedziała, że się ze mną kochasz!

— Nie jej się boję. Boję się, że nam wszystko zniszczy, gdy nas na tym złapie. Nie chcę do tego dopuścić.

Przyjrzałam mu się uważniej. Śmiech znikł z jego oczu. Był teraz poważny.

— Nie, mnie nic nie zniszczy, ani mnie na tym nie złapie, jak mówisz, i będę to robiła z tobą kiedy mi się spodoba, a spodoba mi się tej nocy, gdy wrócimy z obiadu — powiedziała oburzona na samą myśl.

— Maude...

— Cicho. Ani słowa więcej. Jesteś teraz nie lepszy od najgorszego świntucha, Piotrze Chambliss. Jesteś teraz sam chodzący świntuch.

— No, jeśli tak mówisz — powiedział Piotr i objął mnie z tyłu ramionami, kładąc ręce na moich piersiach. Poczułam płomień w lędźwiach.

— Jak długo będzie trwał obiad? — wyszeptalam. Wyczułam jego podniecenie i sięgnęłam ręką za siebie by go dotknąć.

— Zbyt długo — odparł. — O wiele za długo.

Miał rację. Pozostała część wieczora, choć było już po wpół do dziesiątej, ciągnęła się zbyt długo. Gdy przyszliśmy na dół, była tam już Augusta Stallings, zajęta ogromnym kieliszkiem martini, a ojciec Piotra ukrywał się na długiej kanapie przed kominkiem. Gościom przedstawiła mnie matka Piotra, wygłaszając swą słynną uwagę na temat Francuzów i zepsucia, która miała się stać legendą. I od tej chwili wieczór i noc rozmazały się w długiej, maskowanej niedoli oczekiwania z płonącymi policzkami. Pamiętam niektóre atrakcje — obraz pani Stallings, która próbując sięgnąć na niskim wiklinowym fotelu, chybiła i wylądowała swym szerokim, opancerzonym gorsetem, zadem na dywanie, nie uroniwszy ani kropli z kieliszka — jest najżywszy, choć były i inne — lecz ogólnie, pierwszy wieczór w Zaciszu pozostawił w mojej pamięci pustkę.

Gdy wracam teraz do niego myślami, niski pomruk nowoangielskich, szumiących głosów w wiejskiej jadalni wynurza się z mroków mojej pamięci, wraz z ciepłym zapachem potrawy z mięczaków i gorących rożków, widokiem wielu jasnowłosych głów pochylonych w ukłonach, uściskiem zimnych palców, błyskami białych zębów i szmerem cichej rozmowy w drodze do stołu. Pojawia się we wspomnieniu wiele młodych postaci, kobiet i mężczyzn, wyglądających podobnie jak Piotr, którzy zbliżają się do niego, by go objąć nie tyle ramionami co uśmiechem. I myśl, że nigdy, przenigdy nie zaznam takiego powitania. Widzę, w przebłysku, poszczególne twarze nad kardiganami, perłami i błękitnymi blezerami. Jedna z nich odróżnia się wyraźnie — ciemna, inteligentna, szelmowska, okolona krótko obciętymi włosami o barwie zbliżonej do moich — to Amy Potter. Wtedy zobaczyłam ją pierwszy raz. Słyszę miękkie matowe głosy, pytające czy uprawiam żeglarstwo, czy gram w tenisa lub brydża i zapewnijające, że bardzo szybko się nauczę. Ale te obrazy nie występują w żadnym porządku. Byłam zbyt zmęczona, zbyt przestraszona, a w pewnej chwili — nagle — poczułam dominującą tęsknotę za domem, za tamtym cieplejszym morzem i położonym nad nim pobłażliwym miastem.

Gdy wróciliśmy do domu, moja teściowa była tą, która wreszcie wypłoszyła nas na górę. Piotr milczał siedząc obok ojca na kanapie przy kominku, na którym płonęły brzoszowe bierwiona i nie uczynił żadnego ruchu, by wstać, a ja prędzej padłabym trupem niż zainicjowała udanie się tam, gdzie przycupnęło to olbrzymie łoże. Siedziałam przeglądając pożółkłe magazyny, moje powieki robiły się coraz cięższe aż wreszcie opadły, kiedy Mama Anna wynurzyła się z małej kuchni i powiedziała:

— Wy, dzieci, powinniście teraz trochę pospać. Mieliście ciężki dzień, a rano będziecie chcieli wstać o świcie. Piotrze, Parker Potter prosił, żeby ci powiedzieć, że potrzebuje partnera na korcie o ósmej i będzie na ciebie czekał do ósmej piętnaście. Tina zrobi rano naleśniki; prosiła, żeby wam to powiedzieć. Przyniesie pierwsze, z konfiturą z czarnej borówki. Maude, kochanie, czy nic ci nie potrzeba?

Nic, poza długim, twardym, wstrząsającym i zmuszającym do zaciśnięcia powiek uściskiem twojego syna, pomyślałam wstając.

— Nie, dziękuję — odpowiedziałam.

— No, więc dobranoc. Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, zawołajcie. Usłyszę was.

Nie, nie usłyszysz, pomyślałam.

Ale oczywiście słyszała. Piotr ociągał się. Gdy wreszcie wślizgnęliśmy się pod ciężkie okrycia na wielkim łożu — lecz powoli, w zupełnej ciszy — dotykałam go palcami, potem dłońmi, a wreszcie ramionami i nogami, i stopami, aż nie miał innego wyboru i przykrył mnie swoim ciałem, a w chwilę później wszedł we mnie. Był spokojniejszy niż zazwyczaj, ja też; wyprostowani, poruszaliśmy się w ciszy, by powstrzymać od drżenia stare żelazne łoże. Ale wszystko na nic się zdało, gdy oboje byliśmy bliscy orgazmu, usłyszałam jej głos, wyraźny jak dzwon pogrzebowy, przenikający przez podłogę;

— Piotrze? Czy źle się czujesz, kochanie?

Zesztywniał i gwałtownie się wyprostował; poczułam jak zsuwa się ze mnie.

— Nie, mam — zawołał ściśniętym z napięcia głosem.

— Zdawało mi się, że wołasz.

— Nie, mam.

Leżał przez chwilę przy mnie w ciemności, spokojny, a potem zapytał:

— Czy wciąż jeszcze mnie chcesz?

— O, tak...

I znów, kiedy wilgotne ciepło rozpałiło we mnie płomień, a przed nim otworzyła się tajemna ciemność, nadpłynął głos.

— Piotrze? Piotrusiu?

— Nic mi nie jest, mam — odkrzyknął. Jego głos był teraz matowy i wściekły. Z jakiegoś powodu zaczęłam się śmiać. Śmiałam się i śmiałam, choć w głębi pragnęłam go do bólu, płonęłam od niespełnienia. Ale nie mogłam się uspokoić. Wepchnęłam róg koca do ust, lecz ciche drzenie nie ustawało.

— Na miłość boską, chodź, Maude — powiedział Piotr z zaciśniętymi zębami, wyszedł z łóżka i szarpnięciem pociągnął mnie za sobą, chwycił derkę z Princeton i wciągnął nas oboje do małej, lodowatej łazienki za sypialnią.

— Co? — wyszeptałam, zwinięta w pół ze śmiechu. — Co robisz, wariacie?

Rzucił koc do brudnej starej wanny na lwich łapach i prawie pchnął mnie na niego.

— Rypię moją żonę — wymruczał. — Zaczęłam i, na Boga, nie przeszkodzi mi, niech pocałuje jeża, jeśli jej to sprawi przyjemność. Ta skurwysyńska wanna jest przytwierdzona do podłogi; jeśli usłyszysz jak trzeszczy, to jest przekłątą wiedźmą. Połóż się, Maude.

Położyłam się. Moja głowa zwiisała z jednej strony wanny, stopy z drugiej, mój brzuch napinał się od cichego śmiechu. Patrzyłam na mego

wysokiego, szczupłego, nagiego męża stojącego nade mną. Trząsał się z zimna i gniewu, włosy opadały mu na zwężone oczy i miał pełną, potężną erekcję. Kochałam go bezgranicznie. Śmiech wyrwał się z moich ust, bałam się, że spłynie po schodach i zatopi moją teściową.

— Ona jest wiedźmą — wyszeptalam. — Mogłam ci to była powiedzieć. Zamieniła mnie w prosię, a ciebie... a ciebie w ogromnego wyprężonego żurawia.

I tak właśnie kochaliśmy się po raz pierwszy w Zaciszu, ja i Piotr: śmiejąc się i tarzając w zimnej porcelanowej wannie na czarno-pomarańczowym kocu z Uniwersytetu Princeton, z ręcznikiem zatykającym moje usta bym nie krzyczała i dobiegającym poprzez śmiech Piotra głosem jego matki:

— Piotrze, czy na pewno nic ci nie jest?

* * *

Następnego ranka obudziły mnie cętki bladego słońca na pościeli i migocące odbicie morskiego światła na suficie. Byłam sama w łóżku. Nie słyszałam żadnych głosów z dołu i nie miałam pojęcia, która może być godzina. Letni świt wstaje bardzo wcześnie w Zaciszu; równie dobrze mogło być w pół do szóstej, jak dziewiąta. Piotr mógł już być teraz na korcie tenisowym.

Leżałam cicho, nie miałam ochoty iść na dół po nocnej farsie. W małym pokoju było chłodno, ale moje ciało ciągle promieniowało jego ciepłem. Mogę go mieć dla siebie każdej nocy, myślałam, ale poranki będą mi go zabierać tam gdzie będzie stapał tak pewnie i beztrósco jak młody król, a gdzie ja chyba nigdy nie zdołam podążać jego śladem. Czułam jak gardło zaciska mi się z bólu, a oczy zaczynają piec. Poczułam się tak opuszczona i samotna, jak nigdy w moim dotychczasowym życiu.

Gdzieś w pobliżu zabrzmiał głos, starczy i zjadliwy; mówił:

— Gdybym traktowała babkę mojego męża tak źle jak ty mnie traktujesz, rozwiódłby się ze mną. Jesteś źle wychowaną, bezmyślną i samolubną dziewczyną, i powiem Parkerowi, że już trzeci raz w tym tygodniu zapomniałaś o moim śniadaniu. Nie będzie zadowolony, Amy, o nie.

Wyskoczyłam z łóżka i w koszuli podeszłam do okna. Poranek był spokojny, żółto-błękitny, morze połyskiwało. To z wielkiego domu, tuż za naszym, z Pięknego Brzegu, płynął niewątpliwie ten zjadliwy głos. Przypomniałam sobie Potterów. Seniora i juniora, a to stara matka Pottera-seniora. To jej głos musiałam słyszeć. Skierowany był, musiał być, do żywej, ciemnookiej dziewczyny, którą poznałam wieczorem w jadalni. Amy, żona młodego Parkera Pottera. Moje serce ścisnęło się współczuciem dla jej niedoli w rękach starej kobiety.

— Och, biedna Amy — powiedziałam głośno, z trudem. — Znam to. Znam.

I wtedy, nie do wiary, usłyszałam wesoły śmiech młodej kobiety. I głos, który pamiętałam, chłodny i lekki jak deszcz powiedział:

— Och, Mamusko, co z ciebie za niemądra staruszka. Zjadłaś swoje głupie śniadanie już dwie godziny temu. Znow o tym zapomniałaś.

Drzwi się zatrzasnęły i głosy odpłynęły w dal. Wróciłam do łóżka i leżałam obserwując jak słoneczny punkcik pełźnie po pościeli. Uśmiechnęłam się. Wiedziałam, z taką pewnością, jakbym mogła widzieć przyszłość, że w Amy Potter mam sprzymierzeńca, a niedługo będę miała przyjaciółkę.

ROZDZIAŁ TRZECI

W pierwszym tygodniu pobytu w Zaciszu poznałam troje ludzi, którzy odmienili bieg mego życia w sposób tak nieodwracalny, jak dynamit zmienia bieg rzeki. Pierwsza była oczywiście Amy Potter; przed nią nie miałam właściwie nigdy przyjaciółki, później stała się punktem odniesienia dla każdej przyjaźni. Drugim człowiekiem był jej mąż, Parker. Trzecim — mężczyzna, który uratował mi życie, zanim poznałam jego nazwisko. Wszyscy już teraz nie żyją. Jakaś ironia jest w tym, że tak często strumień przeżywa kataklizm, który nadał mu kształt.

Poznałam Parkera Pottera pierwszego dnia mego pobytu na lotnisku, a pod koniec tego dnia już pragnęłam, by to spotkanie nigdy nie nastąpiło. Choć później nie przestał witać mnie uściskiem lub pocałunkiem, albo dokuczać mi czymś co miało wyrażać uczucie, wiedziałam zawsze, że patrzy na mnie przez zasłonę wrogości. Parker był tak wielkim moim wrogiem, jak wielkim przyjacielem była dla mnie jego żona.

Gdy szłam tego ranka na dół, dom był pusty. Nie byłam pewna, co się nosi rano w Zaciszu, włożyłam więc szlafrok, który Kemble dał mi w prezencie ślubnym. Uszyty był z pięknej ciężkiej satyny, która opadała jak lejący się syrop, koralowy z białym obszyciem i z ręcznie robioną koronką na wyłogach. Przeszłam w nim przez pogrążony w półmroku dom, wyszłam na werandę i wciągnęłam w siebie widoki i dźwięki Zacisza o poranku, a moje serce, mimo balastu niepewności i obaw, umocniło się śpiewając jak skowronek. Powietrze było rześkie, wilgotne i pachniało sosną, zatoka migotała kobaltem, białe żagle przemykały w dali na tle błękitnych wzgórz Camden jak motyle; krystaliczne powietrze wypełnione śpiewem ptaków zdawało się wstawać z dna ziemi, wypływać z brzoźowych lasów, wylewać ze skał. Pajęczyna utkana z nieznanymi mi dźwięków i woni nagle napełniła mnie szczęściem. Ten cały egzotyczny północny świat zapraszał mnie bym go zbadała, bym wchłonęła go wszystkimi porami, tak jak dziki kraj bagnistych lasów nad zatoką Wappoo. Pomyślałam o czekających mnie tego roku i przez wszystkie lata mojego życia długich letnich dniach, które spędzę z Piotrem głęboko w lasach albo na skałach wyrzeża z książką lub szkicownikiem, albo nawet w łódce na

spokojnych powierzchniach małych zatoczek, które widziałam z werandy. Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam ręce przed siebie, zamknęłam oczy i głęboko odetchnęłam.

— Dzień dobry — zawołały przez nos dwa głosy ze ścieżki przed domem. Otworzyłam oczy i zobaczyłam najpierw dwie, proste jak drągi stare dAmy ubrane w kilka warstw sztywnej bawełny, rękawiczki i kapelusze od słońca, a potem spostrzegłam, że koronkowe wyłogi mojego szlafroka rozchyliły się i poranne słońce pada na nie budzące żadnych wątpliwości znaki po ugryzieniu na mojej lewej piersi. Jedna ze starych dam podniosła do oczu lorgnon i obejrzała mnie dokładnie. Zebrałam szybko poły szlafroka i uśmiechnęłam się szerokim uśmiechem, o którym Kemble kiedyś powiedział, że przypomina uśmiech oposa w miłośnym uścisku. Czułam jak gorąca fala spływa mi z szyi na piersi.

— Dzień dobry — zawołałam. — Czyż nie piękny mAmy dzień?

— Bardzo piękny — odpowiedziała pierwsza dama, przez delikatność odwracając ode mnie wzrok.

— Proszę, niech pani powie swej drogiej teściowej, że zajdziemy znów, gdy... gdy się już zainstalujecie — powiedziała druga. Widziałam, że trzyma w ręku połyskujące srebrno przy białej rękawiczce etui z gotowym do oddania biletom wizytowym. Pomaszerowały ścieżką zwartym krokiem i wyszły na drogę do sąsiedniego domu, trzymając głowy blisko siebie. Mogłam sobie wyobrazić o czym mówią. To tyle, jeśli chodzi o szlafroki w Zaciszu.

Zakradłam się do pustej kuchni, otworzyłam starą lodówkę. Był w niej tylko gliniany niebieski dzbanek z mlekiem. Nalałam trochę do kubka i wypijałam je, słodkie i świeże, a potem mój wzrok padł na karteczkę opartą o cukiernicę na starym chropowatym sosnowym stole stojącym na sAmym środku pochyłej podłogi. Była od mojej teściowej:

„Maude, kochanie, Piotr i Parker Potter z Braebonnie wypłynęli na morze i pewnie nie wrócą przed obiadem. Wyszliśmy z Krystyną po ryby — wrócimy koło dziesiątej. Myślę, że możemy zacząć dziś przed południem wizyty, a potem pani Stallings zaprasza nas na mały lunch. Po południu wprowadzę Cię w codzienny tok zajęć domowych. Wystarczy zwykła przedpołudniowa bawełniana sukienka. Ucałowania — Mama Anna”.

Serce uciekło mi do pięt. Wizyty? Lunch z innymi starymi damami... może nawet z tymi dwiema, które dopiero co wypłoszyłam? Codzienny tok domowych zajęć? Dlaczego Piotr zostawił mnie samą? Dlaczego mnie nawet nie obudził? Ostatnia noc była pod koniec niezwykła... Nagle ujrzałam kształt moich przyszłych dni w Zaciszu.

— Nie. Nie chcę — powiedziałam głośno. — Nie dziś. Może jutro, ale nie dziś; muszę najpierw zobaczyć Piotra i z nim pomówić; muszę też obejrzeć lotnisko i okolice, i zejść nad ocean. Jeszcze nad nim nie byłam.

Pobiegałam na górę, wciągnęłam na siebie marynarskie spodnie, sweter i tenisówki, takie jakie mogłam nosić jesienią w lasach Belleau i wybiegłam z domu na pełną drogę, która jak wiedziałam prowadziła do jachtklubu.

Mogę udawać, że nie widziałam kartki. Wystarczy, jeśli od jutra zacznę odsiadywać wyrok.

Portowy jachtklub wyglądał wtedy tak, jak i teraz, jak zbrązowiały dorsz, zbudowany bez planu z wymytych deszczem desek: z wiszącymi dokoła werandami niczym rozwiane poły; zatopiony był w wysokiej trawie na samym końcu cypla. Polne kwiaty poruszały się dokoła na wietrze. Pusta tego ranka, wielka zatoka rozciągała się w kierunku Islesboro leżącego w pewnej odległości, jak chmura. Dalej wzgórze Camden, które wydawały się tak ostre, że wibrowały w oku, gdy je ostatni raz widziałam, straciły swą wyrazistość w osłepiającym świetle słońca. Kontury bliższych, mniejszych, ciemnozielonych wysp były jakoś szczególnie złągodzone. Trudno było się zorientować, która godzina.

Po drugiej stronie cypla przystań w zatoce wyglądała jak kasek jabłka; jak sierp oprawiony w rząd wielkich różowych skał. Ogromny samotny głaz leżał na kamienistej plaży. Fala odpłynęła daleko; ze skał i głazów zwisały brody zielonego mchu, pełno było na nich skorupiaków i mięczaków. Kilka słupów i ketów huštało się przy bojach, ich żagle były ciasno zwinięte i przywiązane do masztów. Małe łódki uderzały o siebie na końcu długiego pomostu wyciągniętego jak palec z szarego drewnianego doku. Jedna z łodzi, długi niski jacht regatowy, z linami jak rozbiegające się w popłochu łanie stał, jak mi się wydawało, gotowy do drogi; żagle miał podniesione lecz nie ściągnięte, powiewały one lekko w podmuchach łagodnego wiatru, na krawędzi pokładu widać było owinięte brezentem pakunki i koszyk na narzędzia. Ale nikogo nie było na pokładzie. Przeczytałam nazwę łodzi na rufie: „Circe”. Rozejrzałam się po przystani, lecz nie zobaczyłam nikogo. Piotra nie było.

Stałam rozczarowana, czyste piękno przystani i wybrzeża przestało działać. Pomyślałam, że może Piotr jest w pawilonie klubowym, więc wszłam po niskich schodach i spróbowałam otworzyć drzwi, ale były zamknięte, a oblepione solą okna zasłonięte żaluzjami. Odwróciłam się wolno. Piotr i Parker Potter odjechali więc, jak z tego widać. Nic mi innego nie pozostaje tylko poranne wizyty z teściową w zwykłej bawełnianej przedpołudniowej sukience, której nie mam.

— Halo tam! — ktoś zawołał. Odwróciłam się i ujrzałam młodego mężczyznę wychodzącego z pawilonu.

— Halo — odpowiedziałam, osłaniając oczy, by mu się przyjrzeć. Ostry blask słońca padał nań od tyłu, mogłam więc tylko stwierdzić, że był niski i krępy i że miał bardzo czerwone włosy. Światło wyglądało na nich jak rozżarzone węgle.

— Pani musi być nową panią Chambliss — powiedział, zstępując ze schodów w cień wielkich zwisających gałęzi świerka. Gdy nie osłepiało mnie światło, zobaczyłam, że był mniej więcej w wieku Piotra, miał niebieskie oczy zmrużone od słońca w wąskie szparki i mocną mahoniową opaleniznę, która uderzała przy jego włosach. Kiedy podszedł bliżej spostrzegłam, że cała jego twarz pokryta była niezliczoną ilością piegów jak maska. To mogło wyglądać groteskowo, ale nie wyglądało. Zadarty nos

i małe białe zęby nadawały mu wygląd młodego chłopca, a wyszczerbiony ząb na przodzie przywodził na myśl Huckleberry Finna. Włosy opadały mu na oczy, rękawy koszuli miał zakasane do łokci, a na jego białych spodniach widniały brązowe plamy. Coś w jego zachowaniu mówiło mi, że to nie jest robotnik czy urzędnik. Był o krok od fanfaronady ze swą beczkową klatką piersiową, krótkimi nogami i rozkołysanym krokiem. Nagle uświadomiłam sobie, kto to jest.

— Parker Potter, prawda? — zapytałam. — Och, jak to dobrze, więc jeszcze niw wypłynęliście wszyscy. Czy Piotr tu jest? Ja jestem Maude Chambliss. Ale pan to właśnie powiedział, prawda?

— Tak — odparł, rozciągając usta w uśmiechu. Były dosłownie od ucha do ucha. Oczy znikły mu zupełnie w policzkach, pozostawiając tylko upierzenie białych rzęs. Brwi też miał prawie białe.

— Nie, Piotr poszedł do warsztatu Micaha Willisa, żeby przypilnować spuszczenia „Anny” na wodę — powiedział. — Myślę, że była pani skonana gdy wychodził. Pewnie czuł, że jego matka ma jakieś plany w związku z panią.

Coś w jego powolnym głosie i sposobie wypowiedzenia słowa „skonana” sprawiło, że zaczerwieniłam się znów od szyi aż po włosy. Szparki oczu spoczęły na chwilę na mojej piersi, tak jakby mógł, podobnie jak dwie starszki rano, zobaczyć stygmaty zesłej nocy pod wełną mojego swetra.

— Tak, ma — powiedziałam szorstko — i lepiej żebym wróciła nim przyjdzie do domu. Myślałam po prostu, że może... Nigdy właściwie nie uprawiałam żeglarstwa i myślałam, że Piotr mógłby...

— Proszę chwilę poczekać — powiedział Parker Potter. — Lepiej powiem to pani w cztery oczy, tak jak teraz, a nie przy nieuchronnej herbatce czy co tam pani teściowa albo moja matka zechcą pani zaoferować. Pani jest zupełną niespodzianką; stary Piotr nie puścił pary z ust o pani. Wiem teraz dlaczego; też miałbym pokusę, żeby panią zatrzymać dla siebie. Powiedział, że pani jest taka, że jest na co popatrzeć, ale nie mówić, że jest pani wprost bezkonkurencyjna.

— Naprawdę nie mogę — powiedziałam, źle się czując w jego obecności. W jakiś sposób panował nad atmosferą dokoła siebie. To było zupełnie coś innego niż siła oddziaływania Piotra i jego ojca.

— Proszę posłuchać — powiedział Parker. — Nie chciałem pani przestraszyć. Jestem zupełnie nieokrzesany. Piotr jest moim najdawniejszym przyjacielem na świecie; dobrały mi się do skóry, gdyby sądził, że sprawiam kłopot jego żonie. Proszę usiąść i mówić do mnie, a ja załaduję „Circe”. Chciałbym, żebyśmy byli przyjaciółmi. Moja żona, Amy, rozmawiała przez chwilę z panią wczoraj wieczorem i mówiła, jak bardzo jest pani miła.

Uśmiechnęłam się do niego.

— Ja też ją polubiłam — powiedziałam. — Cudownie się śmieje. Zostanę przez chwilę, może do powrotu Piotra. Czy wie pan jak długo może tam zostać?

— No, wróci chyba dopiero po lunchu — odparł. — Miał razem ze

starym Micahem sprawdzić łódź. To zabiera trochę czasu, po zimie. Ale coś pani powiem. Jeśli pani chce, zawiozę panią tam na „Circe”. Wodą to nie jest tak daleko.

— Ach, nie mogę.

— Ależ tak. To będzie miła niespodzianka dla Piotra, a dla mnie też prawdziwa przyjemność. Niewiele kobiet tutaj uprawia żeglarstwo. Nigdy nie spotkałem żadnej, która chciałyby się nauczyć. Nie mogę sprowadzić Amy do mojej łodzi.

Patrzyłam na wysmukły biały słup kołyszący się na spokojnej wodzie. Promienie słońca tańczyły na jego mosiężnych przyrządach, łagodny wiatr lekko nadymał żagle. Dalej woda wyglądała jak gładka tafla lustrzana, i ostry zimny błękit głębokiej wody za zatoką zmętniał i przybrał mleczną barwę. Powietrze, które czułam na twarzy było nieruchome, a ostry blask słońca, który raził mnie w oczy złagodniał. Wydawało się, że to wymarzony ranek do krótkiej przejażdżki i pomyślałam, że Piotr się ucieszy, gdy zobaczy, że poznałam jego przyjaciela i miałam już do czynienia z podstawami żeglarstwa. Wiedziałam, że to jego wielka namiętność.

— Jeśli nie zajmie to dużo czasu...?

— Zdaży pani z powrotem na lunch — powiedział. I znów uśmiechnął się od ucha do ucha. — Lepiej niech pani popłynie, kiedy pani może, Miss Maude. Gdy matka Piotra dostanie panią w swoje ręce, może się pani pożegnać z porankami na wodzie. Proszę spytać mojej Amy. Spędza większość ranków holując jego matkę i babkę. I z panią nie będzie lepiej.

— Przekonał mnie pan — powiedziałam.

— Byłem pewien, że panią przekonam.

Za przystanią wiatr wzmógł się i „Circe” pochyliła się pod jego naporem. Na początku było to tylko lekkie nachylenie, niewielkie boczne kołysanie. Ale nagle przybrało na sile. Serce ścisnęło mi się, bliskie paniki. Czułam teraz, że jeśli burta po stronie zawietrznej zanurzy się o cal głębiej, wpadniemy do wody. Wszystko w niej wyglądało przerażająco; głębia i ciemność, niejprzejrzysty granat niekończącej się zimnej nocy. Chwycałam zbielełymi palcami za reling i w przerażeniu wyszczerzyłam zęby w stronę Parkera.

— Czy na ogół bywa dużo gorzej? — zapytałam.

— Gorzej? Tak spokojnej zatoki nie widziałem od dawna. To prawie martwa cisza, a tak jest przeważnie tylko w sierpniu. Do diabła, żeglowałem na „Circe” z burta zawietrzna na dwie stopy zanurzona pod pianą, z całą załogą wiszącą w pionie. Dzisiejsza przejażdżka będzie jak spacer z pani teściową.

Nic nie mogłam poradzić. Zdałam sobie sprawę, że nigdy nie będę żeglować z Piotrem. Poczucie utraty kontroli równowagi było po prostu zbyt przerażające. I to, że przychodzi bez względu na to czy panuje cisza czy sztorm.

— Na dole jest lepiej — powiedział Parker. — Tam nie trzeba przymierzać kołysania do linii horyzontu. Dlaczego nie zejdzie pani na

chwilę do kajuty? Proszę się rozejrzeć, wyciągnąć na koi. Myślę, że Amy nalała trochę gorącej kawy do termosu; znajdzie go pani w jednej z tych toreb na żeglarskie drobiazgi. Nie zdąży pani pomyśleć i będziemy na miejscu.

— Dziękuję, Parker — powiedziałam pokornie. — Pływałam dotychczas tylko w porcie charlestońskim. To zupełnie coś innego.

— Wiem — powiedział. — Nie poskarżę na panią.

Zeszłam wzdłuż luku do kajuty. Była ciemna, przytulna i swojska jak wnętrze drzewa tekowego. Wszystko tu było skromne, czyste, pochowane i pozapinane, a koje — dwie od strony dziobu i dwie od strony rufy — przykryte były wszechobecnymi kocami znad zatoki Hudsona i leżały na nich małe, białe, nabite poduszki. Torby i kosz stały w maleńkiej kuchence. Wyłowiłam z nich termos z kawą, nalałam kubek i wypiłam siedząc na jednej z koi. Parker miał rację; kołysanie wydawało się tu mniejsze. Wyrzałam przez oblepiony solą świetlik i zobaczyłam horyzont gwałtownie podnoszący się i zapadający; zasłoniłam świetlik małą zasłonką. Teraz było lepiej.

— Wszystko w porządku na dole? — zawołał Parker.

— Doskonale — krzyknęłam.

— Zawołam panią, gdy będziemy się zbliżać do brzegu. Chcę tak wyprowadzić łódź do zatoki, żebyśmy mieli dobry wjazd.

— Świetnie.

Znalazłam wilgotny, zmięty egzemplarz „Yachtingu” i położyłam się na koi by go przejrzeć. Trudno mi teraz w to uwierzyć, ale półmrok, rytmiczne kołysanie statku i ciepło sprawiły, że zasnęłam w ciągu pięciu minut. Gdy się obudziłam, łódź już się nie kołysała, nie było słychać uderzania wody o kadłub ani żadnego innego dźwięku. Poderwałam się, lecz przy tym uderzyła głową o ściankę; szybko wygładziłam spodnie i sweter i pobiegłam wyjściem prowadzącym spod pokładu na górę. Światło było dziwne, gęste, białe i pozbawione jasności. Czyżbym spała do późnego popołudnia? Dlaczego mnie nie obudził?

Wychyliłam głowę na biel tak gęstą i nieprzeniknioną, że poczułam ją na nosie, ustach i na całej twarzy. Nic nie widziałam. Nie widziałam własnej dłoni na końcu ramienia. Nie było słychać Parkera.

— Parker? — zawołałam cicho; mój głos zabrzmiał matowo i skrzekliwie. Był pozbawiony rezonansu. Mgła. Piotr mówił, że głos jest we mgle dziwny...

— Tutaj — odpowiedział głos Parkera, który najpierw zabrzmiał jakby z bardzo daleka, a później tuż przy moim uchu. Obejrzałam się dokoła, lecz nic nie spostrzegłam. I nagle zobaczyłam jego ciemny kształt wynurzający się z bieli, prawie na wyciągnięcie ręki.

— Przepraszam panią, Maude — powiedział. — Powiniennem być widzieć, że nadchodzi. Trafiliśmy na nią za Orcutt, straszne nagromadzenie. Myślę, że może się niedługo rozwieje. To ponocna mgła, ta ostatnia, narzuciłem kotwicę, przeczekamy ją na dole i zjemy lunch. Proszę się nie martwić.

Cofnęłam się do kajuty, a on zszedł tu cały spryskany kropelkami wody, jego rude włosy pociemniały od wilgoci. Wydawał się olbrzymi w małej przestrzeni, czułam wilgotne ciepło parujące z jego ciała. Zderzyłam się z nim kilka razy nim wreszcie dotarłam do koi.

— Czy bardzo się przez to spóźnimy? — zapytałam. — Piotr będzie śmiertelnie zaniepokojony.

— Nie sądzę. Kiedy zobaczy, że nie ma „Circe” i pani, zrozumie co się stało. On wie, że jedyne co można zrobić, gdy jest mgła, to zarzucić kotwicę i czekać. I wie także, że jestem najlepszym żeglarzem na przyładku.

Sięgnął za mną po koszyk i poczułam wtedy ciepły odór whisky. Spojrzałam na niego z bliska. Miał wypieki na twarzy i błyszczące oczy. Pomyślałam, że musiał już pić od jakiegoś czasu. Nie widziałam butelki. Ogarnął mnie nagle przestrasz.

Była w wewnętrznej kieszeni jego wełnianej koszuli z kapturem. Wyjął ją, nalał wspaniałomyślnie po sporej kapce do dwóch kubków i podał mi jeden z nich. Potem wyciągnął się na przeciwległej koi, podniósł swój kubek i powiedział:

— Na zdrowie, pani Chambliss. — I uśmiechnął się.

— Ja nie mam ochoty — powiedziałam. — Nie piję dużo.

— Z czasem się pani nauczy. Wszyscy tutaj piją po ukończeniu dwunastu lat. Zwariowalibyśmy wieczorami, gdybyśmy nie pili. Kości pani przemarzły od tej zimnej mgły; rozgrzeję je.

— Nie jest mi zimno. Tu jest bardzo ciepło.

Uśmiechnął się. To był ten sam uśmiech, ale zniknęło z niego wszystko, co w nim było z Huckleberry Finna.

— Jest ciepło, to prawda — powiedział. — Dlaczego nie wyskoczy pani z tego grubego mokrą swetra? Powinno tu być coś suchego, co będzie na panią pasowało.

— Nie jestem przemoczona — odparłam.

— No cóż, za... szczęśliwe żeglowanie, pani Chambliss. Maude. Piękna Maude z dalekiego Południa.

Wypił swoją whisky.

— Uuuuhh. Zgodnie z zaleceniem lekarza. Jest pani pewna, że nie chce pani drinka?

— O tak, dziękuję — powiedziałam. — Och... jak długo już jesteśmy zatrzymani? Jak długo spałam?

— Nie mam zegarka i nie widzę słońca z powodu mgły, ale myślę, że musi być po południu — odpowiedział. Mówił bardziej powolnym i grubszym głosem, jego oczy zwięziły się w szparki.

— Po południu! Parker, musimy wracać — dech we mnie zaparło. — Piotr będzie wściekły, moja teściowa mnie zabije.

— Moja luba, jedyny sposób żebyśmy mogli teraz wracać, to jeśli wyjdzie pani na dziób z długą tyką, położy się i wystawi ją tak, żeby pani mogła wyczuć każdą skałę zanim o nią uderzymy. Ja musiałbym sterować zupełnie na ślepo, kierując się tym co pamiętam z tego wybrzeża i tym co

pani powie. Pamiętam dużo, ale nie jestem geniuszem, a pani z pewnością nie jest żeglarzem. To zbyt niebezpieczne i zabierze nim tyle czasu co czekanie tutaj. Może się pani przestać martwić i wygodnie się rozciągnąć.

— Nie podoba mi się to ani trochę — powiedziałam. Pomyślałam, że zaraz zacznę płakać.

— Nie będzie tak źle — zaczął. — To może być zabawne. Znajdę sposób, żeby czas upłynął naprawdę szybko.

Poczułam jak rumieniec wypływa mi na policzki i skrzyżowałam ramiona na swetrze. Wiem, że mokra mgła nadała mu kształt moich piersi. Popatrzyłam na koszyk.

— Mówił pan coś o lunchu.

— Proszę się czuć u siebie — odpowiedział nie ruszając się z miejsca. — Pewnie są jakieś sandwicze, jeśli lubi pani ser z pieprzem angielskim. Myślę, że po czterech latach Amy mogłaby o tym pamiętać, że nie noszę sera z pieprzem. I na pewno są jabłka. Stara Amy nie rusza się nigdzie bez jabłek.

— Czy mogę coś panu dać?

Wyciągnął butelkę. Była prawie w dwóch trzecich opróżniona. Musiał mocno pociągać od chwili, gdy zesłam pod pokład pierwszy raz.

— Mam wszystko co potrzebne — powiedział. — To znaczy, prawie wszystko.

Zjadłam swoją kanapkę rozglądając się z zainteresowaniem po kajucie, tak jakbym jej przedtem nie widziała. Jak wytrzymam do chwili, gdy będziemy mogli znów wyruszyć? Czy on w ogóle będzie mógł wyruszyć po takiej ilości whisky?

— Proszę mi powiedzieć o „Circe” — poprosiłam pogodnie. — To bardzo piękna łódź.

— Prawda, psiakrew — odpowiedział Parker. — Stary Willis zbudował mi ją na zamówienie. Wszystko na zamówienie, nawet koje. Najbardziej miękkie koje w całym stanie Maine. Każdy to powie. Chodź tu, Maude, pani mojego serca, a pokażę ci jakie miękkie są te koje.

— Parker...

Zerwał się ze swej koi, podbiegł do mojej i położył się koło mnie. Nie zdążyłam się nawet poruszyć, gdy otoczył mnie ramionami przygważdżając do miejsca i przyciskając mokre wargi do moich. Językiem próbował rozluźnić moje zęby, prawą ręką sięgnął pod sweter i objął moje piersi.

Jednym wężowym ruchem wyrwałam się spod jego ciężaru, z siłą o jaką sama siebie nie posadzałam. Był bardzo ciężki, a mięśnie jego ramion niezwykle twarde. Odchyliłam ramię do tyłu i uderzyłam go w twarz z taką siłą, że zabolęła mnie ręka. Wlepił we mnie swe zwężone i rozbiegane oczy; ślad mojej ręki odcinał się bielą na jego twarzy. Wąska strużka krwi spłynęła mu z ust po brodzie.

Chwyciłam ciężki metalowy termos.

— Uderzę, jeśli dotknie mnie pan jeszcze raz.

Mój stłumiony głos brzmiał śmiesznie. Drżały mi ręce i nogi. Ta groźba nie miała żadnego sensu, wiedziałam o tym. Był ode mnie dużo silniejszy i byłam uwięziona z nim w kajucie, któż wie jak daleko w tej nieznanej białej zatoce.

— Proszę mnie natychmiast odwieźć do domu — powiedziałam. — Nawet jeśli musiałabym leżeć przez dwanaście godzin z kijem, zrobię to. Piotr zabiłby pana, gdyby o tym wiedział.

Uśmiechnął się i wstał; myślałam, że znów chce podejść do mnie, ścisnęłam więc mocniej termos, ale on po prostu skłonił się lekko, odwrócił i wszedł na schodki.

— Pani chce jechać do domu, a więc do domu pojedzie — powiedział. — Chociaż myślę, że będzie pani żałować, że nie została, Miss Maude. Nie żartowałem wcale mówiąc o tym kiju.

Naprawdę nie żartował. Następane kilka godzin to był prawdziwy koszmar. Leżałam na brzuchu na dziobie „Circe” z długą bambusową tyką przywiązaną do napiętka, zataczając wielkie łuki w niewidocznej wodzie i w powietrzu, tak by wysuniętym końcem kija dotknąć każdej zdradziecko wystającej skały, zanim natrafi na nią kadłub łodzi. Parker włączył drugi silnik i posuwaliśmy się cal po calu po mlecznej bieli, z nim u steru, wychylonym możliwie jak najdalej, by usłyszeć, gdy zawołam „Stop”. Po upływie pół godziny byłam mokra i drżałam z zimna, bolały mnie ramiona. Po dwóch godzinach byłam odrętwiała z bólu i zimna i na pół przytomna. Dokoła była tylko biel i cisza, i szelest wody, gdy moja tyczka ślizgała się po niej. I drobne, przytłumione pokasywanie motoru. Dwa razy wyczułam skały, zatrzymaliśmy się, Parker wykręcał i wymijał je, ale nie wyrzekł już do mnie ani słowa. Cały wszechświat zbiegł się dla mnie w ból, zimno i strach. Straciłam zupełnie poczucie czasu. Później Piotr mi powiedział, że gdy wpłynęliśmy do doku w jachtklubie, było po siódmej.

Ale ani przez chwilę nie żałowałam, że nie zostaliśmy.

Byłam zupełnie bierna, otepiała, gdy nagle przytłumiony huk przeszył ścianę mgły a deszcz kolorowych świateł zatoczył łuk i opadł skwiercząc tuż blisko do wody. Poderwałam głowę i moje ramiona rozluźniły się. Tyka upadła na pokład i osunęła się do morza.

— Co to jest? — próbowałam zapytać. Głos z trudem wydostawał się z mego zaciśniętego gardła.

— Gdzieś puszczają fajerwerki — powiedział zdawkowo, jakbyśmy spacerowali po parku.

Jego głos był tak wyraźny i silny, jak wtedy, gdy pierwszy raz go usłyszałam. Ani śladu pijackiego bełkotu. Wymyło go słone powietrze.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że dojeżdżamy do czyjejś przystani, gdzie na nas czekają. Myślę, że to mogą być nasi.

Głowa opadła mi na rękę i zaczęłam płakać.

Usłyszeliśmy głosy, męskie i jeden czy dwa kobiece. Były natarczywe i pobrzmiwał w nich lęk. Głos Piotra przebijał inne:

— Maude! Maude!

Parker przyłożył ręce do ust i krzyknął:

— Tutaj! Około dziesięciu jardów od skały w Cove Harbor[W porządku z nami, ale mAmy nadzieję, że macie koce.

— Och, Maude, Bogu niech będą dzięki! — usłyszałam głos Piotra i nagle wyrznięliśmy o brzeg i znaleźliśmy się na miejscu. Gdy na pomoście dał się słyszeć tupot biegnących stóp, Parker powiedział:

— Poskarży się pani na mnie, Maude?

Zrozumiałam wyraźnie w tym momencie, że jeśli się poskarżę, wielu będzie takich, którzy mi nie uwierzą, a inni będą się zawsze dziwić. Zdałam sobie sprawę z tego, że nie mam pewności co do Piotra.

— Nie — odpowiedziałam. — Ale jeśli spróbuje pan jeszcze raz, wtedy powiem.

— Pani cnota jest przy mnie bezpieczna — wycedził — nie warta zachodu.

Ramiona Piotra uniosły mnie z pokładu „Circe”; płakałam z wściekłości i ulgi.

Gdy Piotr podtrzymywał mnie owiniętą w koce, potykającą się w pośpiesznym biegu do domu, Amy Parker podeszła i otoczyła mnie ramionami.

— Tak mi przykro, że twoja pierwsza przejażdżka łodzią była taka — powiedziała. — Wiem, że Parker jest wspaniałym żeglarzem, i że byłaś bezpieczna jak w domu, ale musiałaś się śmiertelnie przestraszyć.

— Tak — powiedziałałam szcękając zębami. — Przestraszyłam się.

— Wiem — odparła. — Ja też tego nienawidzę. Nigdy już więcej nie wypłynę z Parkerem i jestem pewna, że ty też nie. Gdy wypoczniesz przyjdę któregoś popołudnia i pójdziemy na skały szkicować. Często to robię. Oczywiście, jeśli będziesz chciała. Może już nie zechcesz się więcej zbliżać do wody.

Uśmiechnęłam się do niej z całego serca. Dzięki swej naturalności, rozgrzeszyła mnie całkowicie z jakiegokolwiek współdziałania w tym strasznym popołudniu i zrobiła to wobec zgromadzonej prawie połowy letników.

— Pójdę z największą przyjemnością — powiedziałam.

Piotr był zimny i błądzący z wściekłości, ale na Parkera, nie na mnie.

— Dlaczego na miłość boską, ją zabrałeś? — zawołał do przyjaciela. — Wiedziałeś, że będzie mgła. Dlatego przecież nie wypłynęliśmy; sam mówiłeś, że szkoda ci „Circe”.

Parker, owinięty po oczy w koc znad zatoki Hudsona, popatrzył przez chwilę na Piotra w milczeniu, a potem opuścił powieki, z miną wyrażającą rycerskość i wyrozumiałość.

— Wiem, że nie powinienem — powiedział. — Ale chciała popłynąć. Nie potrafię się oprzeć błaganiom kobiety.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza i wypuściłam je. Niech tak będzie. Gdy jest mi ciepło i znów jestem w ramionach Piotra, reszta nie ma znaczenia. Nie byłam ostatecznie warta zerwania przyjaźni.

Ale wiedziałam, że nigdy nie będę żywiła przyjaznych uczuć do Parkera Pottera, ani on do mnie.

Moja teściowa też była wściekła, choć starała się tego nie okazywać i nie miałam wątpliwości, że jej złość skierowana była na mnie.

— To było bardzo głupie — powiedziała, gdy leżałam owinięta w kocie przed kominkiem w Liberty, nie mogąc opanować dreszczy i popijając gorącą herbatę z brandy, a Piotr rozcierał moje zbiełałe z zimna stopy.

— Mam oczywiście pretensję do Parkera; on najlepiej ze wszystkich powinien wiedzieć, że nie należy zabierać cię samej, zarówno ze względu na mgłę jak i na to, że po prostu nie wypada. Powiem to także Helenie. Ale Maude, ja nie mogę uwierzyć, że weszłaś na pokład, gdy nie było tam innej kobiety albo starszego mężczyzny.

— Myślałam, że to zajmie najwyżej godzinę albo nawet mniej — wymamrotałam. — Powiedział, że zawiezie mnie do Piotra i pomyślałam, że to będzie niespodzianka jak przyjadę.

— Och, jestem pewna, że to była niespodzianka — powiedziała oschle. — Cała kolonia wyległa z domów. Duży Piotr wezwał Straż Przybrzeżną; musiał odwołać wezwanie i tłumaczyć im, że to fałszywy alarm. Doktor Lincoln przez cztery godziny czekał na zimnej przystani, bojąc się, że możesz być ranna, a zbliża się do siedemdziesiątki. Piotr wychodził z siebie. A jego ojciec i ja...

— Daj spokój, mam — powiedział Piotr zimnym, spokojnym głosem. — Maude nie wiedziała nic o mgle. Normalnie ta droga zajmuje pół godziny. To Parker wiedział.

— Parker jest zbyt dobrze wychowany by odmówić damie, gdy ona... błaga — powiedziała moja teściowa.

Pomyślałam przynębiona, że kłamstwo Parkera szybko przefrunęło drogę z przystani...

— Wątpię, żeby Maude błagała — powiedział łagodnie ojciec Piotra.

— Nie błagałam — próbowałam sprostować, ale głos z trudem wydobywał się z mojego obolałego gardła i czułam, że wybuchnę płaczem. Milczałam.

— Dobrze, nie będziemy więcej o tym mówić — rzekła Anna. — Piotrze, zaprowadź lepiej Maude na górę, niech weźmie gorącą kąpiel. Przyniosę butelkę z gorącą wodą. Połóż się zaraz, Maude. Przykro mi, że się przestraszyłaś. Wiem, że nie miałaś zamiaru sprawić kłopotu Piotrowi... ani jego rodzinie. Ale musisz pamiętać, że w tak małym miejscu jak to, pozory są wszystkim. Naprawdę wszystkim.

— Wszystko by się rozwiązało gdybym utonąła — szepnęłam do Piotra zanim zgasił lampę i wyszedł na palcach z pokoju. Straszliwe dreszcze nareszcie ustąpiły.

— Nie mów tego, malutka — powiedział Piotr. — Była zdenerwowana, to wszystko. Porozmawiam z nią. Zawsze strasznie dbała o to, jak co wygląda.

— Więc mój wygląd jako martwej na pewno niezmiernie ucieszyłby jej

serce — powiedziała, ale on już odszedł i nie słyszał. Zasnęłam wraz z następnym uderzeniem serca.

Mama Anna przetrzymała mnie w łóżku przez cały następny dzień, choć czułam się doskonale, a Piotr objął się po pokoju, ze wszystkich sił próbując mnie zabawić i pozostać przy mnie. Przyniósł tacę z jedzeniem, które Krystyna dla mnie przygotowała i zjadł ze mną lunch, wylewając sporo na pościel, a potem usiadł na jedynym całym w tym pokoju krześle, z książką w ręku. Ale przejrzysty błękit nieba i połysk wody za oknem odciągały co chwila jego wzrok i w końcu wysłałam go na dwór mówiąc, że mam ochotę się zdrzemnąć. Pocałował mnie z powagą i wyszedł na palcach, ale na schodach jego krok nabrał sprężystości, i trzaśnięcie oszklonych drzwi werandy, gdy wyskoczył z domu było pełne radości. Wiedziałam, że skierował się ku przystani jachtklubu jak gołąb pocztowy ku domowi. Pomyślałam, że jego gniew na Parkera nie będzie trwał nawet przez dzień. Łączyły ich przecież więzy długich lat przyjaźni i oczekujące morze; miałam rację. Gdy wrócił wieczorem, z policzkami i nosem rozpłomienionymi od słońca, powiedział tylko:

— Parker prosił, żeby ci powiedzieć, jak mu przykro, że cię tak śmiertelnie wystraszył i że jest pewien, że jeśli już nigdy nie będziesz chciała wypłynąć łodzią, będzie to jego wina. Sądzę, że naprawdę tak myśli, Maude. Był pełen skruchy.

— Tak, ma rację co do łodzi — odpowiedziałam. — To koniec mojego żeglowania. Myślę, że nie weźmiesz mi tego za złe.

— Nie. Oczywiście, że nie. Niewiele kobiet uprawia tutaj żeglarstwo. Byłabyś sama jak palec na regatach. No, czasem wyjeżdżają w lecie jako obsada łodzi męzowskich, ale to nie robota dla kobiet. Znajdziesz masę rzeczy, które będą bardziej dla ciebie odpowiednie.

Popatrzyłam na niego przez chwilę; czy to ten sam mężczyzna, który przysięgał, że spędzimy razem każdą chwilę w Zaciszu? Że nie ma ani skrawka jego letniego świata, którego nie pragnąłby mi pokazać?

— Myślałam, że może jest coś innego co moglibyśmy robić razem w ciągu dnia — zaczęłam nieobowiazująco.

— No tak... na pewno jest. Pojedziemy do Castine, będziemy chodzić na jagody i wybierać mięczaki, pojedziemy kiedyś do Bar Harbor i zjemy obiad w Astinico Inn. Nie pływam przecież codziennie. Czasem pada deszcz, lub jest sztorm albo mgła.

— No cóż — powiedziała, próbując się uśmiechnąć i pomyślałam, że byłam idiotką wierząc, iż może przełamać żelazne zasady miejsca przeznaczonego dla żony pochodzącej z innych stron — nie będziesz mógł mnie oskarżyć, że jestem przyjacielem tylko na dobrą pogodę. Będę cię kochać przy brzydkiej pogodzie tak samo, jak w słońcu i będę cię oglądać przynajmniej przy obiedzie.

Mina mu zrzedła.

— Nie sądziłem, że będziesz miała coś przeciwko memu żeglowaniu — powiedział wolno. — To jest moje zwykłe tutaj zajęcie. To... to jest to,

co faceci tu robią, jeśli nie grają w tenisa. Kobiety, jak się zdaje, woła zawsze co innego.

Jak odwiedzanie każdego ranka innych kobiet, które widują codziennie każdego lata w swoim życiu? — pomyślałam, lecz nie powiedziałam tego głośno. Jak wkładanie co wieczór pończoch i sukienek, i podawanie ostro przyprawionych jajek i kanapek z homarem starym paniom, podczas gdy mężczyźni w kącie pokoju rozmawiają o żegludze? Jak wożenie samochodem siwowłosych wdów do miasteczek albo dalej do Castine, żeby kupić siatkę na włosy, ścierki albo zrobić trwałą ondulację?

— Nie mam nic przeciwko temu, kochany — powiedziałam, czując się winną z powodu jego strapionej twarzy i mego własnego nagłego rozczarowania. Od jesieni zaczniesz pracować dla nas jak niewolnik, gdy ja będę tylko gospodarować w małym domu, i będzie to robił do końca życia. Niech ma swoje dni na morzu. Do mnie będą należały jego noce.

Przez następne dwa dni Mama Anna zatrudniała mnie przy drobnych domowych zajęciach, nie wymagających wysiłku: jak sortowanie i składanie wielkich starych serwet obiadowych z blad różowego adamaszku, które zwilgotniały i pogniotyły się przez zimę, mycie i wycieranie do połysku biało-niebieskiej „letniej” porcelany kopenhaskiej i śniadaniowego serwisu Quimper; polerowanie lichtarzy, pucharów i sztućców ze starego angielskiego srebra, które w ciągu długich zimowych miesięcy straciły blask od wilgoci.

— Właściwie nie wiem dlaczego używamy tu w lecie adamaszku i srebra — powiedziała kiedyś, rozkładając wachlarzem dwanaście widelców do ostrzyg. — Są takie ciężkie.

— Więc dlaczego? — zapytałam. — Myślę, że fajans i ładne lniane nakrycia byłyby lepsze do letniego domu.

Spojrzała na mnie. Błękitna bawełniana poranna suknia nadała jej oczom barwę zimnego kobaltu i pomyślałam nie po raz pierwszy, jak bardzo piękną jest kobietą i jak bardzo humory i pedanteria odbierają jej ciepło. Jej uwaga najwyraźniej była retoryczna.

— Zawsze używaliśmy tych rzeczy w Liberty — odrzekła. — W żadnym z domów tutaj nie używa się fajansu i lnu. Tak łatwo, widzisz, spuścić z tonu na letnisku...

Po południu trzeciego dnia mojego posłusznego domatorstwa, w drzwiach ukazała się Amy Potter ze szkicownikami i ołówkami. Krystyna zaprowadziła ją na werandę, gdzie Mama Anna i ja sporządzałyśmy listę rzeczy do kupienia nazajutrz w Castine. Prawie podskoczyłam, ściskając z radością moją wybawicielkę. Już zaczynałam myśleć, że tylko przez grzeczność proponowała mi wspólne rysowanie.

— Czy mogę wypożyczyć sobie Maude, Mrs. Chambliss? — zapytała całując lekko i grzecznie w policzek moją teściową. — Parker mówi, że pogoda znów się zmieni i przez długi czas nie będziemy mogły szkicować widoków. Myślałam, że poszłybyśmy na plażę poniżej Pięknego Brzegu. To jest spokojne i osłonięte miejsce.

Mama Anna ściągnęła wargi.

— No cóż, miałam zamiar razem z Micahem pokazać Maude ogród, jak się oczyszcza i przyszyrzyga rośliny. Ale nie widziałam Micaha od kilku dni.

Spojrzała na Krystynę Willis. Krystyna była niewysoką, mocno zbudowaną kobietą, niewiele starszą ode mnie i od Amy, ale wydawało się, że dzieli nas różnica wielu lat życia. Miała ładną twarz, jasną i pogodną, jej piękne włosy okalały w lokach jej twarz; miała sposób wyrażania się kobiety wykształconej, choć jej akcent nie był pozbawiony matowej nosowości północno-wschodnich rejonów. Różnica widoczna była bardziej w jej oczach; wyglądały tak, jakby wiele widziały i nie wszystko z tego co oglądały było letnim porankiem i starym adamaszkiem.

— Micah jest w warsztacie z ojcem, Mrs. Chambliss — powiedziała. Nie było nic przeproszającego w jej głosie. Wygląda na to, że wszyscy naraz chcą spuścić swoje łodzie na wodę, a ojciec Micaha nie jest tak rześki tego lata jak dawniej. Micah mówił, że wróci dziś po południu, ale późno.

— W takim razie w porządku — powiedziała moja teściowa. — To miło kochanie, że pomyślałaś o Maude. Powinna poznać nasze młode kobiety. Ale nie siedźcie zbyt długo, Maude; zdaje mi się, że mAmy być dziś u twych rodziców na koktajlu, prawda Amy?

— Tak, proszę pani — odpowiedziała Amy. — To urodziny mamuski. Hattie przygotowuje sałatkę z homara, a Parker robi koktajle z szampanem. Ona je tak bardzo lubi, jest cała podniecona. I ma nowy szal, który Parker przywiózł jej z Hongkongu. Jest naprawdę przepiękny.

— Ona jest wspaniała — powiedziała Anna, wracając do swego spisu. Krystyna poszła do kuchni, a ja z Amy, przez werandę wydostałyśmy się na orzeźwiające, nasycone zapachem sosny powietrze czerwcowego dnia. Tak jakbyśmy wstąpiły w chłodny szampan.

— Czy ona ma naprawdę dziewięćdziesiąt sześć lat? — rzuciłam pytanie w kierunku wąskich pleców Amy. — To jest naprawdę nadzwyczajne.

Plecy Amy zaczęły się trząść, samotny dołeczek koło jej dużych ust drgnął i wybuchnęła śmiechem. To był ten sam dźwięk, który słyszałam pierwszego ranka, lekki, płynny, niepowstrzymany. Uśmiechnęłam się.

— Tak — zaśpiewała — nadzwyczajna kurwa, taka jest. Daruj, że się tak wyrażam. Mamuska jest najpodlejszym starym tyranem na całym lotnisku i wszyscy o tym wiedzą, włącznie z twoją teściową. I nie ma wątpliwości, że będzie żyła wiecznie. Podłość zakonserwowała ją jak nasolenie makrele.

Wciągnęłam szybko powietrze i zaczęłam się głośno śmiać. Stałyśmy na słonecznej ścieżce wiodącej na plażę poniżej Liberty i Pięknego Brzegu, śmiejąc się tak serdecznie i niepowstrzymanie, że przez moment nie mogłam złapać tchu. Moją pierś rozpierała radość i poczucie wyzwolenia. Nie myślałam się co do Amy Potter.

— Nie myślałam, że jeszcze będę się tu mogła kiedyś śmiać — powiedziałam, gdy doszłyśmy do różowego występu skały koronującego

mały sierp kamiennej plaży. Był przypływ i fala opływała szczeliny zakrywając je. Błękitna zatoka leżała przed naszymi oczami jak satynowa tkanina o barwie indygo; zdawała się nieporuszona w blasku wysokiego słońca. Drzemiące w dali Islesboro płynęło z prądem; wznoszące się za nim wzgórza Camden wyglądały na tle nieba jak wyrysowane japońskim tuszem. To był ten sam widok, który oglądałam z łodzi Parkera, ale teraz jego piękno i samotność budziły we mnie uniesienie. Zawsze będzie już moje to pierwotne, tajemnicze piękno, ta absolutna, czysta radość. Zawsze będę mogła tu przychodzić; wypełnić moją pustkę.

— Wiem — powiedziała Amy sadowiac się na kocu, który dla nas przyniosła i odkładając na bok szkiecownik. — Mało jest rzeczy, z których się można śmiać w Zaciszu, a ty jesteś młoda, jesteś kobietą i nie należysz do tych, które lubią przeliczać co tydzień nożyce od winogron. Musisz robić to, co cię bawi. Ale teraz kiedy tu jesteś, nie muszę sobie wyobrażać jak wszystkie stare kobiety wyglądają tańcząc nago charlestona. Możemy śmiać się razem. Mam przeczucie, że zrobimy piekielnie dużo szkiców.

— To mi odpowiada — powiedziałam uśmiechając się szeroko na myśl o tym, jak moja usztywniona gorsetem teściowa tańczy nago dziki taniec. — Ale ja okropnie rysuję.

— Ja też — powiedziała Amy. — Ale to mi pozwala na regularne wychodzenie z domu. Zawsze udaję, że właśnie jestem w trakcie bardzo ważnej pracy, więc nie mogę nikomu pokazać, co robię. Biedna matka Parkera myśli, że się przygotowuję do pokazu. Ciągłe mówi o sztuce drogiej Amy.

— Co zrobisz, gdy ona uzna, że przyszła pora, aby to pokazać? — zapytałam.

— Znow będę kłamać. Powiem, że doszłam do wniosku, że jeszcze nie jestem dostatecznie zaawansowana i że to wymaga jeszcze co najmniej roku pracy. Nie sprawi jej to różnicy. Za dużo ma na swoich barkach zajmując się Mamuską i ojcem Parkera.

— Czy on jest chory?

— Nie. Pije jak smok. Teściowa musi go zbierać z trawnika i holować do łóżka przeważnie dwa razy na tydzień; żyje w strachu na myśl o tym, co on może zrobić na przyjęciach. Raz wyleciał z klubu Maidstone, bo siusiał do wazy z ponczem.

Turlałam się ze śmiechu, zupełnie bez siły. Nie mogłam przestać się śmiać. Ta subtelna, posłuszna dziewczyna, z chmurą pięknych popielatych włosów i pikantnym dołeczkiem, miała tak jak ja serce buntownika i umiała stworzyć tu sobie własne życie. Potem zastanawiałam się nad tym, czy ona wie, że jej własny Parker pije i przestałam się śmiać. Pomyślałam, że nie wie. Nie mówiłaby tak niefrasobliwie o pijaństwie swego teścia, gdyby wiedziała.

— Zastanawiam się, jak dużo czasu upłynie nim nauczę się tak sobie radzić jak ty — powiedziałam. — Nigdy nie będę należała tu do wtajemniczonych. Nigdy nie stanę się tutejszą młodą żoną-miłą-dziewczyną-szczęśliwą-opiekunką. Do tego trzeba się urodzić.

— Tak — przyznała — ale to nie znaczy, że mi to dobrze wychodzi. Nie gram w tenisa. Nie udaję, że mnie obchodzi czy Parker zwycięża w regatach czy nie. Nie mogłoby mnie to mniej obchodzić niż gdyby srebrny serwis do herbaty w klubie zczerniał jak bazalt. Wyobraź sobie, srebrny serwis w jednoizbowej chałupie w tej dziczce w Maine!

Odwróciła się do mnie, twarz miała poważną.

— Musisz zrobić dwie rzeczy, Maude. Nie żartuję teraz. Będę dla ciebie tutaj ratunkiem, zanim nie zestarzejesz się tak, że zasiądziesz na werandzie w jachtklubie i zaczniesz wszystkich tyranizować. Musisz sobie wynaleźć jakąś chroniczną dolegliwość. Moja, to migreny; przynajmniej raz na miesiąc albo częściej. Jeśli muszę, dostaję migreny i kładę się do łóżka, zamykam drzwi i przez trzy dni czytam. To jest cudowne. I kto może wiedzieć, że jej nie mam? Migreny nie da się zobaczyć. Przeczytałam w bibliotece jakie są jej symptomy. Po pierwszym spędzonym tu lecie. Teraz wystarczy, że wspomnę coś na temat pogody a zaraz pakują mnie do łóżka i zostawiają samą dopóki nie wyjdę. Nie jestem pewna, czy ci się uda z migreną. Wiem, że Lolly Knox miewa skurcze. Zastanawiam się, może alergia byłaby dobra w twoim wypadku. Jest tam gdzie mieszkamy dziewczyna, która ma uczulenie na taką masę rzeczy, że musi się kłaść do łóżka na całe dnie. Możesz dostać nagle alergii na jodły albo na skorupiaki czy na coś innego.

— Mówisz, że inne dziewczęta tutaj tak robią? Udają chore, żeby uciec? Kłamią?

— To jest druga rzecz, której musisz się nauczyć — powiedziała Amy.

— Kłamać jak najęta. Łgać jak pies. Inaczej zjedzą cię żywcem.

Nie żartowała; widziałam to wyraźnie.

— Nie mam z tym żadnych problemów — powiedziałam wreszcie.

— Poza tym, że nie mogę oczywiście kłamać wobec Piotra.

Popatrzyła na mnie przez chwilę a potem zwróciła wzrok w kierunku horyzontu. Jej jasnobrązowe oczy ocienione były długimi, gęstymi rzęsami, złotymi na końcach. Naprawdę była bardzo ładna.

— Twój mąż to pierwsza osoba, wobec której musisz się nauczyć kłamać — stwierdziła.

Nic nie odpowiedziałam. Nie byłam zbyt zszokowana, ale poczułam głęboki smutek, jakby znużenie duszy. Pragnęłam z całego serca, żeby ta żarliwa, wielkodusza dziewczyna nie miała męża, któremu musi kłamać. Pomyślałam jednak, że jeśli się jest żoną Parkera, to zaczyna się kłamać bezwiednie. Czy nie kłamałam już, żeby go ochronić, od pierwszej chwili, gdy go poznałam? Dzięki Bogu, nigdy nie będę kłamać Piotrowi, nigdy nie będzie takiej potrzeby.

— Opowiedz mi o tej plaży — poprosiłam. — Czyj jest dom tam na górze, na cyplu, ten, który tak wyraźnie widać przez drzewa? Jak się nazywa ta mała wyspa?

— Dom należy do Fowlerów — powiedziała. — Gdzieś z Vermont, jak mi się zdaje. Nazywa się „Orle Gniazdo”. Zupełnie nic o nich nie wiem; nigdy nie chodzą na żadne przyjęcia ani nigdzie indziej, i nie wydaje mi się

nawet, żebym ją kiedykolwiek widziała. Ona naprawdę cierpi na jakąś chroniczną chorobę, ale nie wiem na co. On bardzo się nią opiekuje, przez cały czas pozostaje dosłownie u jej boku. Parker mówi, że przyjeżdżają tu od bardzo dawna, od wielu lat, ale prawie nikt ich nie zna. Nie mają dzieci, a on najwyraźniej nie robi nic innego poza obcinaniem kuponów i pielęgnowaniem jej. Chciałabym zobaczyć ten dom. Okna wychodzą na ich własną małą zatoczkę wokół cypla, uważa się, że stamtąd jest najpiękniejszy widok na całym przyładku Rosier. Ale nie sędzę, bym go kiedy zobaczyła. Ich posiadłość zaczyna się za naszą plażą. On jest nieugięty — nikomu nie wolno tam stąpnąć, nie mówiąc już o zbliżeniu się do domu. Ma nawet ochronę posterunku. Kiedyś gromadka dzieci z letniska zakradła się na jego wzgórze; dotarli zaledwie do połowy wysokości, gdy wezwał policję z South Brooksville.

— Czy to są starsi ludzie? — zapytałam.

— Myślę, że tak — odparła. — Przynajmniej on wygląda na dość zaawansowanego wiekiem. Chudy, przygarbiony i zawsze trochę smutny. Widuję go czasem w domu towarowym, albo na targu w Castine, gdy zawożę tam mamę Parkera.

— Nie wiem sama, czego im zazdrozczę — powiedziałam. — Szczególnie jej. Założę się, że nigdy nie musi liczyć przeklętych adamaszków, jeśli nie chce. A ta tutaj mała wyspa?

Spojrzała w ślad za moim wyciągniętym palcem i powiedziała:

— To Cypel Rybołowów. Od czasów dzieciństwa Parkera jest tam co najmniej jedno gniazdo rybołowów. Pierwszego lata po naszym ślubie zabrał mnie tam i pokazał mi je. Ono jest tam, ponad... o, Boże. W wodzie jest pies.

— Gdzie?

— Tam, pod występem, pod nami. O Boże, Maude, on jest uwięziony w szczelinie i nie może się wydostać z wody, to jest... nie, to jest sarenka! O mój Boże, biedactwo! Popatrz jak walczy, myślę, że ma uwięzioną nogę.

W jednej chwili znalazłam się na krawędzi występu skalnego. Tam, w białej spienionej fali przybrzeżnej, w miejscu gdzie zatoka wpływa w wąską rozpadlinę w najniższym występie, walczyło w wodzie małe sarnię, rozpaczliwie usiłując utrzymać zmoczoną główkę z dala od wiru. Mogłam odgadnąć, że jego mała wąska nóżka zaklinowała się w skale. Nie byłam w stanie myśleć. Zrzuciłam buty i, nim Amy zdążyła się zerwać na nogi, znalazłam się przed skałą.

— Maude — krzyknęła — wróć! Upadniesz; cofająca się fala jest tu strasznie silna! Proszę cię, wracaj, pobiegnę po kogoś...

Zrzuciłam się na brzuch i próbowałam, wyciągając się jak najdalej, dosięgnąć małego kształtu. Strumień wody uderzył mnie w twarz i zmoczył moją głowę i ramiona. Poczułam nieprawdopodobnie zimno, jakby siekły mnie drobne lodowe bicze. Nie mogłam dosięgnąć sarenki. Na chwilę jej główka przybliżyła się i spojrzała mi prosto w oczy. W jej ogromnych brązowych oczach nie było strachu, tylko coś w rodzaju przerażającej, intensywnej, skupionej duchowej tajemnicy. To była woła

przetrwania, naga, czysta, taka jakiej nigdy nie oglądałam. Zobaczyłam miejsce w rozpadlinie skalnej, w którym uwięzła malutka nóżka; nie było sposobu, żeby mogła się sama uwolnić. Zobaczyłam także poniżej półkę skalną leżącą płasko jak platforma, tuż pod przejrzystą zieloną powierzchnią. Gdybym tylko mogła na niej stanąć... albo gdybym mogła...

— Amy — zawołałam — biegnij po pomoc. Ściągnij kogoś z liną. Idę po nią. Tam jest skała, na której mogę stanąć.

— Nie! — krzyknęła przeraźliwie. — Nie idź tam! Ludzie topią się w tym zimnie, zanim zdążą odetchnąć.

— Biegnij — krzyknęłam i przeszłam przez występ do morza.

Najpierw to było jak skok w ogień. Moja skóra zapłonęła. A potem schwyliło mnie zimno, zabrakło mi tchu i trwałam tam kurczowo, myśląc, że nigdy nie odzyskam oddechu, uduszę się, wcześniej nim utonę. A potem sarenka cicho, rozpaczliwie zabeczała; przywarłam do występu, wyciągnęłam rękę i złapałam ją. Szarpnęła się ze strachu przed moim dotknięciem. Była tak drobniutka, że wyczuwałam każde żebro jak u ptaszka; małe serduszko waliło jak młot. Musiała być nieprawdopodobnie zmęczona... Wysunęłam się dalej, wzdłuż występu, w jej kierunku i wreszcie znalazłam bezpieczne oparcie dla stóp przeciw nacierającej fali. Wyciągnęłam rękę i włożyłam jej pod brzuch tak, by spoczął na mojej dłoni. Nagle wzdrygnęła się z westchnieniem, przestała walczyć i osunęła się na moją dłoń; jej oddech był nierówny, serce ledwie się w niej kołatało. Nie mogła się już utrzymać na powierzchni.

Próbowałam znaleźć miejsce, gdzie jej noga utkwiała w szczelinie, ale moja druga ręka tak zdrętwiała z zimna, że nic nie czułam. I było mi coraz trudniej oddychać. Jak długo może człowiek wytrzymać w lodowatej wodzie? Niedługo, z tego co słyszałam... nagle dotarło do mnie, że naprawdę mogę umrzeć, jeśli nie wyjdę z wody. A mogę wyjść tylko wtedy, jeśli puszczę sarenkę. I że może nie wyjdę, nawet jeśli ją puszczę. Nic już nie czułam, nie wiedziałam czy mam palce u nóg i rąk. Nie miałam innego wyjścia jak trzymać się występu, nie wypuszczając sarenki i modlić się, by Amy jak najszybciej sprowadziła pomoc. Nie słyszałam już jej cichnących w dali okrzyków.

To dziwne, nie pamiętam, żebym się bała. Nie odczuwałam w każdym razie nic podobnego do lęku, jaki odczuwałam wcześniej tego tygodnia, na łodzi Parkera. Pamiętam, że wymawiałam szeptem imię Piotra, wciąż i wciąż, i że raz czy dwa powiedziałam do sarenki: „Jestem tutaj. Nie puszczę cię”. Zobaczyłam, że odwróciła się i spojrzała na mnie zanim jej głowa znów opadła. Pamiętam, że pomyślałam, zawsze byłam pewna, iż pewnego dnia spoczną koło mojej matki na cmentarzu przy kościele św. Michała, i że jeśli utonę koło tego dalekiego przylądka, nigdy mnie nie znajdą. A trochę później, pamiętam, przyszło mi na myśl, że nie jest mi już zimno, a w takim razie nie jest źle i że mogę tak wisieć bez końca.

— Wszystko będzie dobrze — wyszeptalam do sarenki. To były chyba ostatnie słowa, które wypowiedziałam.

Byłam prawie nieprzytomna, gdy poczułam, jak ujmują mnie z góry twarde, silne ramiona i usłyszałam głęboki nosowy głos, który nie był głosem Piotra, mówiący:

— Jeszcze chwilę. Trzymaj się kochana. Jeszcze tylko chwilę.

— Weźcie sarenkę — wyszeptałam zdrętwiałymi wargami. — Weźcie sarenkę.

— Mam ją — odpowiedział głos i ktoś zdjął ciężar z mojej ręki, a w chwilę później ramiona wyciągnęły mnie z tego zabijającego zimna na występ skalny. Owinęto mnie grubym kocem, ale nie czułam ciepła ani nic innego. Ciemność napłynęła pod moje zamknięte powieki i wiedziałam, że ogarnia mnie cała. Poczułam, że czyjeś ramiona unoszą mnie i mocno trzymają przy szerokiej piersi. Ktokolwiek to był, ruszył biegiem dźwigając mnie.

— Weź sarenkę — wyszeptałam, próbując uderzyć go pięściami w pierś. — Wróć i zabierz ją.

— Wróć po nią — powiedział. — Wszystko w porządku. Wiem. Zrobię co trzeba.

— Dziękuję — wzięłam się w karby, a potem siły mnie opuściły i ogarnęła mnie ciemność. Z bardzo daleka, jakby z powierzchni ciemnej wody, usłyszałam nawoływania Amy Potter.

Kiedy obudziłam się już na dobre, upłynęło półtora dnia; leżałam na wielkim łóżku w pokoju rodziców Piotra. Omotana kołdrami i pledami, z butelką gorącej wody w nogach. Piotr stał przy łóżku z twarzą zmęczoną i bladą, jego szare oczy były podkrążone. Moja teściowa siedziała przy kominku, na którym płonął ogień, mimo że w pokoju było gorąco. Plecy miała wyprostowane jak brzoza, twarz bladą i zaciętą. Wargi tworzyły wąską, zaciśniętą linię.

Piotr uściśnął mnie, ucałował i powiedział, że przyniesie z dołu gorący bulion, który przygotowała dla mnie Krystyna.

— Doktor Lincoln polecił, żebyś piła go co trzy godziny — powiedział próbując się uśmiechnąć. — I że kropla whisky w nim nie zaszkodzi. Ani tobie ani mnie.

Wyszedł z pokoju. Popatrzyłyśmy na siebie z jego matką.

— Czy był u mnie doktor? — zapytałam słabym głosem. Piersi bolały mnie, jakby mnie ktoś uderzył — i to mocno. Mój głos był zgrzytliwy i słaby.

— Cztery razy — odpowiedziała zrównoważonym tonem. — Nawet w środku nocy. Nie mówiąc o pastorce i o wszystkich kobietach powyżej dziesiątego roku życia, przebywających na letnisku, z kwiatami, jedzeniem i wyrazami współczucia. I o Piotrze, który w ogóle nie spał. I Amy Potter, która też prawie nie spała. I oczywiście... mnie.

— Tak... tak mi przykro...

— Powinno ci być przykro, Maude. Powinno ci być bardzo, bardzo przykro. Sprawiałaś wszystkim moc kłopotów i trosk, i oczywiście sama o mało się nie zabiłaś. Nie wiem, co może sprawić, byś trzymała się z dala od morza.

— Już więcej się do niego nie zbliżę.
— Wszyscy mają taką nadzieję. Dla naszego dobra jak i dla twego własnego. Nie mówiąc o Micahu Willisie, który mógł sam stracić życie ratując twoje.

— Micah Willis — wybąkałam półprzytomnie.
— Mąż Krystyny. Wracał akurat z przystani, gdy usłyszał wołanie Amy. Nie żyłabyś w przeciwnym wypadku. Nigdy nie zdołał Amy mu się odwdzieczyć za to co zrobił.

Leżałam nieszczęśliwa jak nigdy dotąd. Miała rację. Oczywiście miała rację. Nie mam tam czego szukać, w tym zimnym morzu. To morze przynosiło mi tylko same strapienia.

— Och — zawołałam. — Sarenka... a co z sarenką?
— To nieszczęsne stworzonko nie żyje — powiedziała zimno mama Anna. — Miało złamaną nogę. Nie można go było w żaden sposób uratować. Micah wrócił i zastrzelił je.

ROZDZIAŁ CZWARTY

W ciągu następnych pięciu dni doktor Lincoln i moja teściowa spiskowali, żeby mnie utrzymać w łóżku albo przynajmniej odseparować na leżaku na werandzie, okrytą kołdrami, pledami i nieśmiertelnymi kocami znad zatoki Hudsona; po raz pierwszy byłam zadowolona z tego przykrycia, jeśli nie z uwięzienia. Jedną z częstych na przyłasku, trwających przez pięć dni mgieł zaczęła straszyć w noc wypadku z sarenką i prawie przez tydzień trzymała Zacisze w swych kajdanach z waty. Gdy słońce nie świeciło, dom stawał się wilgotny i zimny przez cały dzień i chętnie pozostałabym w łóżku w moim pokoju, gdzie można było rozpałcić kominku. Ale Anna udaremniła ten zamiar.

— Gdy jest mgła i nie można żeglować, wszyscy będą ciebie odwiedzać — powiedziała. — Nie możesz jeszcze wstawać i to jest jedyne miejsce, gdzie mężczyźni mogą składać ci wizyty. Gdyby to były wyłącznie kobiety, mogłabym je prowadzić do ciebie, albo umieścić cię w naszej sypialni. Oczywiście to my powinniśmy składać w tym tygodniu wizyty. Twoja przygoda pokrzyżowała niejedne plany, Maude.

— Mamo, przynajmniej za mgłę nie powinnaś winić Maude — zawołał wesoło Piotr siedzący przy mnie na starym, rzeźbionym krześle. Jego również mgła zatrzymała w domu i zdawało się, że z przyjemnością rozwała się niedbale w grubym swetrze, jedząc jabłka i przerabiając kurs literatury dla swych najmłodszych klas na jesień.

— Ależ za nic nie winię Maude — powiedziała Mama Anna, zostawiając półmiski z gorącymi pączkami Krystyny w salonie i na werandzie. — Zwracam tylko uwagę, że do niewielu świeżo poślubionych żon przychodzi cała kolonia, zamiast na odwrót. Nie pamiętam, żeby się to kiedykolwiek zdarzyło.

— Przyszło więc z czasem — odrzekł Piotr, porywając pączek. — Zaczniemy nową tradycję.

— Proszę cię Piotrze nie zjedz wszystkich pączków — rzuciła szorstko matka. — Nie chcę, żeby Tina znów musiała je dziś robić. Mą pełne ręce prania; nigdy nie wyschnie przy takim rozgardiaszu.

— Jest dość pączków, żeby wyżywić całą okolicę — powiedział Piotr leniwie. — Jak myślisz, kto wyjdzie w tę mgłę, by je zjeść?

— Wszyscy przyjdą, oczywiście — powiedziała Mama Anna i poszła do sypialni, by włożyć odpowiednią, przedpołudniową, suknię.

I przyszli. O wpół do jedenastej weranda pełna była zaciszą, którzy zjechali na lato, ubranych w swetry i szale, starych dam w kapeluszach i rękawiczkach, popijających kawę i herbatę i ze smakiem chrupiących delikatne pączki Krystyny. W pięknym hiszpańskim szalu mojej teściowej na ramionach, o którym mówiła, że ją zawsze przytłaczał, ale że doskonale powinien harmonizować z moim „barokowym” kolorytem, leżałam pod warstwami wilgotnych wełen, ścisnęłam dłonie i podsuwałam do pocałowania mój gorący policzek. Mamrotałam, że czuję się doskonale i jak to miło, że zechcieli mnie odwiedzić, aż zakręciło mi się w głowie i nie mogłam zapamiętać nazwisk, ani twarzy. Wiem, że widziałam ich wszystkich w jadalni w dniu mego przybycia, ale zdawało mi się, że całe wieki — że wieczność — upłynęła od tego czasu, a naprawdę było to zaledwie przed tygodniem.

Mieszkańcy Pięknego Brzegu przyszli pierwsi, wszyscy, pod wodzą wysokiego ojca Parkera, Filipa, rudowłosego tak jak jego syn i z podobnie chłopięcą twarzą; ale był jakby w większej skali i pozbawiony przebiegłości Parkera. Filip Potter był potężnym mężczyzną. Zaryczał coś do mnie na powitanie, poklepał Piotra po plecach, uśmiechnął się szeroko i ucałował Annę w policzek, gdy pośpiesznie odwróciła głowę, by uniknąć pocałunku w usta, a potem sztywno wyszedł na poszukiwanie Dużego Piotra i szklanki czegoś odpowiedniego na mglistą pogodę.

— Nie masz co sięgać bo i tak masz za krótkie ręce — wykrzyknął i usłyszałam brzęk karafki, którą ojciec Piotra trzymał w biurku w małym pokoju, obok salonu, służącym mu za gabinet i męskie głosy zmieszały się w melodię, w której dominowała nuta długoletniej zażyłości. Parker, który nadszedł w chwilę potem ze swą nieśmiałą, podobną do wróbelka, matką Heleną, złożył mi na czole pocałunek, szepnął, że wyglądam w tym szalu jak kubańska ładacznica i udał się na poszukiwanie swego ojca oraz karafki. Piotr oglądał się za nim, ale wytrwał mężnie u mego boku, by przedstawiać swą żonę przyjacielom z czasów dzieciństwa i sąsiadom. Pomyślałam, że na tej zamkniętej, zimnej, małej werandzie, z jedną oświetlającą ją lampą i gęstą mgłą napierającą na niewielkie szyby okien, on był jak ogień na kominku. Wszyscy się wokół niego skupili, jakby po to by się ogrzać. Mężczyźni klepali go w plecy i ściskali jego ręce wyraźnie okazując sympatię; stare dAmy wdzięczyły się głupawo; młode kobiety obdarzały go uśmiechem i przytrzymywały jego dłoń może odrobinę zbyt długo. Zastanowiłam się, po raz pierwszy, czy któraś z nich miała kiedyś nadzieję, że będzie na moim miejscu. Wydawało się to bardziej niż prawdopodobne.

Amy przyszała ostatnia, z Mamuską chwiejącą się u jej ramienia. Stara kobieta owinięta po uszy i brodę w szale i swetry robiła wrażenie nieopanowanego dziecka. Na głowie miała zdumiewającą marynarską wachtową czapkę, czy coś w tym rodzaju, opuszczoną tak nisko, że opierała się na jej sokolich brwiach nadając jej wygląd — szepnął Piotr — jednego

z tych wielkich orzechów, które można dostać w Miami, wyrzeźbionych na kształt głowy pirata. Jej oczy połyskiwały spomiędzy warstw wełny, żółte jak u sowy.

— Brakuje jej tylko sztyletu w zębach — powiedział Piotr. Powiedział to głośno, do Amy. Wstrzymałam oddech z przerażenia, lecz zdałam sobie sprawę, że Mamuśka jest głucha jak pień, szczególnie gdy jest zakutana w wełnę. Amy uśmiechnęła się do Piotra i ucałowała mnie.

— Zapomnij o sztylcie — powiedziała Amy. — Zęby to wszystko, co jej potrzeba. Ażeby cię lepiej zjeść, moja droga.

— Co? — krzyknęła Mamuśka. — Co szepcesz, Amy? Nie znoszę, kiedy szepcesz; robisz to ciągle. Powiem Parkerowi.

— Mówimy o tym, jak bardzo pani do twarzy w tej czapce, Mrs. Potter — powiedział głośno Piotr, ujmując jej dzikie małe szpony w obie dłonie i uśmiechając się do niej. O dziwo, przestała patrzeć spode łba i odwzajemniła mu się figlarnym uśmiechem, straszliwą karykaturą kokieteryjnego uśmiechu.

— Idźże, idź, Piotrze Chambliss — zapiszczała ostrym głosem. — Znam się na twoich sposobach. Nauczyłeś się ich od swojego dziadka. Odsuń się teraz i pozwól mi popatrzeć na tę twoją żonę. Czy ktoś mówił, że ona przyjechała z Egiptu?

— Z Charlestonu, Mrs. Potter — powiedział Piotr; usta drżały mu od śmiechu. Moje drgnęły także, gdy wyciągnęłam rękę do starej dAmy. Mamuśka pochyliła się i zajrzała mi w twarz.

— Gussie Stallings mówiła, że Murzynka — rzekła. — Zupełnie mi na to nie wyglądasz. Gussie nigdy nie powie prawdy, nawet za cenę życia. Ale z pewnością nie jesteś jedną z nas, prawda? Czy jesteś Żydówką? Nie, i Piotrze, nie mogłeś przywieźć tu Żydówki.

— Chodźmy, Mamuśko — powiedziała Amy, szarpnąwszy starą kobietę za ramię. Jej twarz, zaróżowiona przedtem radością, zbielała z gniewu. — Wrzuć parę pączków do swego wola. Zamknij się choć na chwilę. Przepraszam cię Maude. Wyła, dopóki papa Filip nie obiecał wziąć ją z sobą — co oczywiście znaczy, że to ja... chciałam powiedzieć, że ona nie wie co mówi, ale ona wie. Więc przepraszam za nas wszystkich i nie zwracaj sobie nią więcej głowy.

— Co ty mówisz? — zaskrzeczała stara kobieta.

— Mówię, że czas na herbatę — odrzyknęła Amy.

— Czy to ta sama, która spędziła całą noc w łodzi z Parkerem? Którą Micah Willis przyniósł mokrą jak szczura, bez ubrania, niosąc ją w ramionach?

— Chodźmy, Mamuśko — Amy odciągnęła babkę swego męża. Stary głos przyplął z powrotem do mnie i Piotra.

— Nie wygląda na dziewczynę, z którą mógłby się ożenić ktoś z Chamblissów, prawda? Leży tu jak pretensjonalna lala, jak krowa. Zawsze myślałam, że on się ożeni z Gretą Constable. Greta była zawsze faworytką Anny...

Popatrzyłam na Piotra. Jego twarz była pełna wściekłości. Roześmiałam się. Po chwili uśmiechnął się także, szeroko.

— Greta Constable? — zapytałam.

— Jedna z dziewcząt, które tu przyjeżdżały na lato i tu dorastały. Wyszła za Burdena Winslowa w dniu, gdy ukończył Princeton, tak jak postanowili, gdy mieli po trzynaście lat. Zawsze byliśmy tylko przyjaciółmi i ta stara wiedźma wie o tym równie dobrze jak wszyscy inni. Mama nigdy nie miała, o ile wiem, żadnych takich planów w stosunku do niej. Greta jest starsza i o wiele bogatsza. O Boże, ktoś powinien dusić starsze panie, gdy dochodzą do osiemdziesiątki; wtedy występuje syndrom Wdzięcznej Starej DAmy. Wiesz, wtedy można powiedzieć głośno najokropniejszą rzecz jaka ci przyjdzie do głowy, zrobić coś najbardziej złośliwego co ci się spodoba, a wszyscy powinni cię podziwiać, że tak dobrze się trzymasz i że jesteś pełna życia. Ale może tylko tutaj tak jest. Może coś tkwi w tej wodzie. Nie wiem, jak Parker może to wytrzymać.

— Myślę, że nie wytrzyma — powiedziałam kwaśno. — Za to wytrzyma to Amy i matka Parkera. Z tego, co widzę, chyba przede wszystkim Amy. Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Parker i jego ojciec mieli z nią do czynienia od wielu lat.

Rzucił mi dziwne spojrzenie swych podłużnych szarych oczu i odwrócił się, by powitać dalszych gości, których Anna przywiodła na werandę. Westchnęłam. Wydało mi się, że prowadzi małą armię, a na przedzie kroczy mój wróg numer jeden w Zaciszu, straszna Augusta Stallings.

— Jezu — zamruczał Piotr. — To Stallingsowie, Firma Stallings, Incorporated, z matką Grendela na czele. — Podniósł głos. — Dzień dobry, Mrs. Stallings, piękny poranek dla kaczątek, prawda?

Augusta Stallings zignorowała go i podeszła, by mi się przyjrzeć, podobnie jak Mamuśka. Uśmiechnęłam się do niej sztywno, przysięgając sobie po cichu, że gdy tylko stanę na nogi, żadna stara dama w Zaciszu nie będzie więcej mogła spojrzeć na mnie z góry. To zdecydowanie była pozycja słabszego.

— No, moja droga, nie upłynął tydzień, a już dwa razy postawiłaś na nogach całą kolonię — powiedziała. — Tak wygląda, jakbyście wy, dziewczyny z Południa, nie mogły się trzymać z dala od wody. Mówiłam Annie, że niepotrzebne nam będą tego lata koncerty ani musicale; wystarczy, jeśli wsadzimy cię do wody i będziemy patrzeć na fajerwerki.

— To były wypadki, proszę pani — powiedział spokojnie Piotr, lecz ja wiedziałam, że w końcu ogarnął go gniew. — Wie pani, takie jak wtedy, kiedy pani spadła wieczorem z krzesła. Po prostu wypadki. Wiem, że Maude przykro jest z ich powodu, tak samo jak pani.

Rzuciła się w jego stronę, chcąc coś powiedzieć, ale jedna z młodych kobiet, które z nią przyszły, ujęła ją pod ramię i szepnęła:

— Jak to, mama upadła i nic nam nie powiedziała? Co my mamy z mamą zrobić?

A któryś z mężczyzn dodał:

— Mama obiecała, że nie będzie chodziła z wizytami bez którejsz dziewcząt.

Przyglądałam się im wszystkim. Poza starą Augustą Stallings było tam czterech mężczyzn w średnim wieku i cztery nieco młodsze kobiety; na pierwszy rzut oka wszyscy wydali mi się jednakowi, jak drobiny grubego śrutu. Mężczyźni byli okrągli i niscy, jak ich matka, mieli czarne włosy, które wyglądały jak mokre, przysłonięte powiekami piwne oczy i pełne różowe usta. Kobiety były w uderzający sposób do nich podobne, tylko usta ich były węższe i bledsze, a oczy bardziej przysłonięte, jakby ze zmęczenia. Wszyscy ośmioro mieli zarumienione policzki, wszyscy ubrani byli w sztywne, zbyt dopasowane ubrania pod swetrami, i wszyscy mówili takim słabym głośnym matowym głosem jak Augusta Stallings. Cała ta gadanina obracała się wokół ich własnych spraw: ich domów, ich dzieci, ich służby, ich łodzi, ich działalności podczas zimowych miesięcy w Providence, ich stanu zdrowia. Gdy stara Augusta wiodła ich w kierunku paczków i kawy, stale, do znużenia rozmawiających między sobą i o sobie, powiedziałam do Piotra:

— Nigdy w życiu nie będę umiała ich rozróżnić. Poza tym, że to wszystko Stallingsowie, prawda?

— Jak mogliby być kimkolwiek innym? — powiedział z rozbawieniem i irytacją w głosie. — Stallingsowie to nasza zbiorowa kara za pozbawienie tubylców ich ziemi. Byli tu od pierwszego dnia stworzenia i, jeśli nawet na nic innego nie zważali to posłuchali słów Pańskich: „Idźcie i rozmnażajcie się”. Z łaski Boskiej mieli kupę pieniędzy z opatentowania lekarstwa ich starego dziadka, które, jak sądzę, wyleczyło cały naród z hemoroidów czy czegoś równie nie nadającego się do wypowiedzenia głośno i od tej chwili nigdy nie kiwnęli nawet palcem. Och, chłopcy, to znaczy Albert i John, i George, i Henry, których właśnie poznałeś — wsiadają na statek i wracają do biur w Providence, ale nikt tam na nich nie zwraca uwagi. Tu także, jeśli chodzi o ścisłość, ale im to nie przeszkadza, tak mocno trzymają się razem i rzadko przyłączają się do nas, pozostałych. Za co każdego dnia składamy po cichu dziękczynienie. Głupszy niż pomyje i bardziej ciemni niż nie zapalone żarówki, ale zbyt są butni, by zdawać sobie z tego sprawę. Doprowadzają wszystkich do obłądzenia, ale jedyny rzeczywisty kłopot, który mogą sprawić, to to, że głosują całym blokiem w jachtklubie. Przy ich wielkiej liczbie mogą klub zamienić na lodowisko, jeśli zechcą. Na szczęście wszyscy mieszkają razem, więc będziesz wiedziała jak ich unikać.

— Wszyscy razem w jednym domu? — zapytałam z niedowierzaniem. — To musi być największy dom w całym Maine.

— Tak, ten dom jest duży, rzeczywiście — Piotr uśmiechnął się od ucha do ucha, z radości. — Jest olbrzymi. Stary go nazwał „Utopia”. Mówiono mi, że ma trzydzieści pokoi. Ale stara Gussie mieszka w nim sama. Nie pozwala chłopcom ani synowom, ani tysiącom wnuków spędzić nocy pod dachem przodków. Chłopcy mają identyczne, mniejsze domy na

wybrzeżu, jak się idzie od Pięknego Brzegu do klubu, otaczające duży dom jak prosiaki maciore. Oni i ich, wciąż powiększające się, stado tłoczą się tam czekając aż stara wiedźma odwali kitę. Będą się wtedy bić o ten dom tak, że niech się schowa wojna domowa, brat stanie przeciw bratu.

— I to są ludzie, których „dusza dobiera sobie towarzystwo i zatrzaskuje drzwi?” — zapytałam. — To są ci skromnie żyjący, pełni wyrzeczeń ludzie, z których Zacisze, według twojej matki, jest tak dumne?

— Dla matki Stallingsowie są straszliwym wyjątkiem, potwierdzającym regułę — powiedział. — I> żeby oddać nam sprawiedliwość, nie sędzę, żebyś znalazła tutaj jeszcze kogoś takiego jak oni. Winslowowie i Conantowie nie prowadzą może, w ścisłym tego słowa znaczeniu, prostego życia, ale są milion razy bardziej wspaniałomyślni niż Stallingsowie, merę et flis, co nie znaczy dużo.

Doktor Lincoln przyszedł z żoną i uśmiechnęłam się z prawdziwą przyjemnością na jego widok. Jego twarz, głos i chłodne ręce stanowiły dla mnie odsiecz w ubiegłym tygodniu. Pochylił się nade mną, jak już to robił tyle razy przedtem, ujął w dłonie moje ręce i jego długi palec wskazujący automatycznie odnalazł mój puls; uśmiechnął się swym mglistym, miłym uśmiechem. Choć wiedziałam, że dobiega siedemdziesiątki, wyglądał raczej na lat pięćdziesiąt, wysoki i wyprostowany, z gęstymi, zaledwie trochę siwiejącymi włosami i łagodnym spojrzeniem niebieskich oczu, lekko tylko przysłoniętych mgłą krótkowzroczności.

— Widzę, że nasza mała rusałka czuje się znacznie lepiej — powiedział. Pamiętałam, poprzez mgłę ostatnich kilku dni, że w jego głosie było coś miłego, formalnego i niemal archaicznego, a całe jego zachowanie było niezmiernie poprawne, ale jakby zmiękzone czymś nie z tego świata. Słyszałam od Piotra, że był znakomitym lekarzem, zatrudnianym w wielu doskonałych bostońskich szpitalach, teraz już na emeryturze. Był także muzykiem o pewnym rozgłosie i ojcem trzech bladych estetów znanych w Zaciszu po prostu jako „chłopcy” — wydawali się nie do odróżnienia. I był całkowicie oddany swojej małej, pikantnej żonie, Mary. Stała tego ranka obok niego, drobna, bardzo ładna i wydawała się nietknięta przez upływające lata, a miała ich sześćdziesiąt, jak dziecko albo lalka; jej porcelanowa twarz była słodka i pozbawiona zmarszczek.

— Bardzo się o panią martwiliśmy, moja droga — powiedziała miłkkiem srebrnym dyszkantem. — Takie straszne wprowadzenie do tego pięknego miejsca. Obawiałam się, że będzie pani miała zupełnie dość. Ale Ridley mówi, że jest pani z twardego kruszcu, i widzę, że ma — jak zawsze — rację. Wygląda pani bardzo dobrze i pięknie. Wspaniały wybór, Piotrze.

— Dziękuję — palnęliśmy jednocześnie i wybuchnęliśmy śmiechem. Doktor Lincoln wyprostował się i zwrócił do żony:

— Czy dobrze się czujesz, moja droga? — zapytał, a potem do nas:

— Mary ma tego lata kłopoty z kręgosłupem. SypiaMy na desce. Znów się roześmiałam i zobaczyłam, że Piotr także.

— Mam nadzieję, że to nie jest nic poważnego — powiedziałam.

— O, nie — odparła Mary Lincoln. — Myślę, że to po prostu wilgoć i mgła. Z niecierpliwością oczekuję lipca. Musi pani, droga Maude, przyjść do nas, do Krańca Ziemi, kiedy Ridley stwierdzi, że może pani już wstawać. Robię we wtorki doskonały biszkopt cytrynowy. I z przyjemnością popatrzyłabym na młodą jasną twarz w tej starej ciemnej stodole; dom należał do jego dziadka i Ridley nie pozwala mi nic w nim zmienić, rozjaśniłabym go już dawno, zapewniam panią. Myślę, że gdyby nie ciemności i wilgoć, chłopcy przyjeżdżaliby częściej.

— Powodem, że nie przyjeżdżają częściej, najdroższa, jest to, że wszyscy pracują — powiedział z czułością w głosie jej mąż, z miną świadczącą, że mówił to już wiele razy.

— Och, nie — rzekła pogodnie — przyjeżdżaliby, gdyby chcieli.

Doktor komicznie podniósł wzrok do nieba i poprowadził ją do salonu. Rozprostowałam ramiona i popatrzyłam na Piotra.

— Będą mnie wszyscy pamiętać jako dziewczynę, która dwa razy w jednym tygodniu wpadła do zatoki, i na dodatek może być Murzynką — powiedziałam. — Ale ja w żaden sposób nie zdołam zapamiętać ich wszystkich. Będiesz musiał mi pomóc.

— Doskonale sobie radzisz — powiedział. — Nie martw się. Nie ruszę się od twojego boku. I opowiem ci o każdym z nich; do końca lata nauczysz się ich rozpoznawać. Nikt nie oczekuje że zapamiętasz tyle osób od razu.

To była dobra myśl. Patrząc wstecz, nie mogę odróżnić tych, których poznałam owego ranka, od tych którzy przybyli później, w czerwcu, ale w strumieniu twarzy wynurzających się z tej pierwszej mgły, pamiętam szczególnie Guildforda i Dierdre Kennedych z Corpore Mens Santos (Camp Corpy) na cyplu, oboje z Filadelfii; on profesor w Hamilton College, ona dawna sufrażystka i ich trzy córki o zadziwiających imionach: Klio, Talia i Kaliope.

— Są ekscentryczni jak diabli i niesamowicie wysportowani — objaśnił później Piotr. — Robią wszelkie możliwe dobre rzeczy tu i u siebie, są niezmordowanie krzepcy i wytrzymali. Słyszałem, że ona co rano pływa nago w otwartej zatoce, dokładnie dwie mile, i że nie na żarty są obywatelami świata. Ubierają się raz na miesiąc w jakieś „międzynarodowe” stroje i wydają okropne przyjęcia, na których się podaje narodowe potrawy każdego z wybranych krajów. Trafiłem w zeszłym roku na przyjęcie japońskie i jadłem, Bóg mi świadkiem, kałamarnice i wodorosty. Córkom nadali imiona muz, ale w wypadku biednej Callie, myślę że Kaliope jest odpowiednim imieniem. Śpiewa w musicalach i ma głos jak gwizdek na karuzeli. A co do ich szlachetności, to kiedy idę do nich na brydża, ich licytacje i rozgrywki to jedno oszustwo. Dupki żołądne, ale w rzeczywistości porządni ludzie.

Potem nadeszły siostry Valentine, dwie stare panny mieszkające w oplecionym winem, walącym się domu o nazwie Petit Trianon, w sadzie za pawilonem jadalnym, koło Compound. Jedno spojrzenie upewniło mnie, że panny Charlotta i Izabela Valentine z Baltimore, dystygowane i bogate dzięki błyskawicznie zdobytej pirackiej fortunie papy, to te same

dwie stare dAmY, które obraziłam moim kolorowym, satynowym szlaf-rokiem owego ranka po przyjeździe. Te same palce w białych rękawiczkach unosiły lorgnon do oczu, te same stare wargi układały się w wyrte, już na stałe, bruzdy dezaprobaty i te same drapieżne spojrzenia mierzyły mnie od stóp do głów. Miały słabe, znużone, południowe głosy, skórę jak zmięty jedwabny aksamit i pachniały mocno czymś w rodzaju jaśminowych soli do kąpeli.

— Z przykrością dowiedziałyśmy się o dramatycznych wydarzeniach, które pani przeżyła — wycedziła panna Izabela (tak myślałam).

— Nigdy nie byliśmy same w tym strasznym oceanie — powiedziała panna Charlotta... no, w każdym razie druga z nich. — Papa zawsze mówił, że kąpiel w północnych wodach to zbyt duży szok dla organizmu kobiety. Choć sam codziennie pływał w jachtklubie, prawda, Sissy?

— Nie — odparła cierpko Sissy. — Papa nigdy nie wchodził tu do wody. To było w Rehoboth; znów zapomniawsz.

— Nie, nie zapomniawsz.

— Tak, zapomniawsz. Zawsze zapominasz.

Akurat nadeszła moja teściowa i znęciła je do środka obietnicą herbaty; pomaszerowały za nią, niezmiennie miarowym krokiem, kłócąc się bez przerwy.

— Cały dzień będą o tym mówić — powiedział Piotr. — Po to przyjeżdżają do Zacisza. Słyszałem, że nigdy nie kłócą się w domu. Myślę, że to trzyma je przy życiu. Każdego to śmiertelnie nudzi, dopóki nie nauczy się nie słyszeć. Są jak Stary Żeglarz: ludzie uciekają na ich widok. Widziałem dorosłych mężczyzn skręcających do brzozowego lasu, w bok od głównej drogi i skradających się na rękach i na kolanach, byle tylko nie zderzyć się wprost z siostrami Valentine. Bez końca składają wizyty, bez przerwy plotkują, i zawsze popadają w jakieś zamieszanie, to coś stłuką, to zgubią, potem każdy z konieczności zmusza je do wyjścia i słucha jak dogryzają sobie nawzajem. Doprowadzają kobiety w Compound do szaleństwa. Tego lata ty będziesz stanowiła ich cel, tylko dlatego, że jesteś nowa. Nie pozwól, żeby cię zmonopolizowały, bo będziesz je przez całe lato obwoziła po różnych miejscach i załatwiała ich polecenia, zamiast... zamiast tego, co byś chciała robić.

Zamiast załatwiania sprawunków dla twojej matki — myślałam, że chce powiedzieć. Ale może nie chciał.

Potem przyszły trzy młode kobiety, trochę jakby bez tchu, z włosami i ubraniami pokrytymi kroplami mgły, co wyglądało jak kasza. Dwie z nich były wysokimi, jasnymi blondynkami, długokościstymi Nowoangielkami, do jakich już przywykłam, a trzecia była ciemna, trochę zbyt tęga, ale w jakiś sposób do nich podobna.

— Ach — powiedział Piotr — dziewczęta z Ogrodu Mary. Poznajcie moją żonę, Maude. Będzie jej bardzo potrzebny ktoś taki jak wy, w tym roku.

— Halo — zawołały unisono trzy szorstkie głosy. Trzy opalone, zręczne dłonie mocno chwyciły moje ręce i poczułam na każdej zgrubienie

od trzymania rakiety tenisowej. Takie same miał Kemble. Moja własna dłoń, z długimi paznokciami delikatnej różowej barwy, była jakby pozbawiona siły i opuchnięta w tych mocnych rękach.

— Priss Thorne, Jane Thorne i Fern Thorne — powiedział Piotr. — Żony, w odpowiedniej kolejności, Tobiasza, Clovisa i Phinizy Thorne'ów. Mieszkają na tym pasie plaży poniżej Pięknego Brzegu; nawet ich nie widać ze szczytu urwiska. Są tu przez całe lato z dziećmi, a mężowie przyjeżdżają z Waszyngtonu w sierpniu. Nie wiem, co by ludzie w Zaciszu robili bez pań Thorne. Jeśli kiedykolwiek czegoś ci potrzeba, od rozgrywki tenisa do bandaża elastycznego, czy kogoś, kto zdobyłby sole do kąpieli dla sióstr Valentine, zatrzymujesz się obok Ogrodu Mary i zaglądasz, czy tam są. To one są spoiwem, które łączy nas wszystkich razem.

— Zawsze jesteśmy rade, gdy możemy w czymś pomóc — powiedziała Priss Thorne. Jej twarz była smągła jak skóra rękawiczki, a włosy miały kolor słomkowy jak u kogoś, kto spędza wiele godzin na słońcu. Miała bardzo niebieskie oczy, które atrakcyjnie mrużyła w kącikach i długie, jakby wyrzeźbione, mięśnie młodego chłopca.

— Jeśli będziemy kiedyś potrzebne a nie zastanie nas pani w Ogrodzie, proszę po prostu zostawić karteczkę na korcie tenisowym — rzekła Jane. To była ta druga blondynka o mocnych męskich rysach i włosach, ostrzyżonych na pazia, wokół podłużnej twarzy.

— Czy pani gra w tenisa? — zapytała ta, która z konieczności musiały mieć na imię Fern. Była mocno zbudowana i śmiała, zupełnie nieładna i mocno opalona, jak tamte. — Bardzo nam potrzebny odpowiedni partner. Jakoś nie możemy zainteresować tu żadnej spośród młodych kobiet.

— Niestety nie gram — odpowiedziałam myśląc, że nie mogą zainteresować innych młodych kobiet grą w tenisa, ponieważ są one zbyt zajęte jako służące. W jaki sposób te trzy mogły jeszcze wygospodarować codziennie wolny czas na tenisa? Nie spotkałam młodej kobiety w Zaciszu, która nie byłaby uwiązana do starszej.

— Z przyjemnością panią nauczymy — powiedziała Priss. — Założę się, że w ciągu jednego lata zrobimy z pani gracza.

— Trzymam panie za słowo — zaakcentowałam, wietrząc zajęcie, które mogłoby mnie co jakiś czas wyrwać z Liberty.

— Odezwiemy się, gdy się pani lepiej poczuje — powiedziała Jane Thorne. — Ta woda potrafi być okrutna, jeśli człowiek nie jest do niej przyzwyczajony.

Mówiła tonem kogoś, kto godzinami pływa w tym płynnym lodzie. Poczułam się rozpieszczona i rozkapryszona; nie byłam z tego zadowolona.

— Dlaczego nie siedzą w domu i nie opiekują się teściową? — powiedziałam złośliwie do Piotra. Byłam coraz bardziej zmęczona i marzyłam, żeby strumień gości zmalął. Ale nie wyglądało na to.

Roześmiał się.

— Ponieważ teściowa wyniosła się stąd dokładnie w momencie gdy stary Thorne umarł i scedowała prawo własności do Ogrodu na chłopców,

a sama kupiła posiadłość w Palm Beach. Zawsze nienawidziła zimnej wody.

— I teraz biedne dziewczęta przyjeżdżają tu każdego lata i opiekują się dziećmi, cudzymi teściowymi i wszystkimi wdowami, a chłopcy przyjeżdżają w sierpniu i są obsługiwani jak królowie — powiedziałam, widząc wyraźnie jak to wygląda. Gdy nie odpowiedział, rzekłam:

— Przepraszam, jestem zmęczona. Dlaczego to się nazywa Ogród Mary?

— Tam są trzy jednakowe domy obok siebie. Stary je wybudował. Ilustrował książki dla dzieci, śmieszny" kapryśny człowieczek. Myślę, że mają dużo pieniędzy. Nazwał domy: Dzwonek, Bławatek i Róża. Wiesz, jak w „Panno Mary kapryśnico, w twym ogródku rosną kwiatki". Ich matka miała na imię Mary. Ale wszyscy nazywają posiadłość po prostu Ogrodem Mary. Czy mogłabyś powiedzieć komuś, że mieszkasz w Bławatku albo w Róży? To trzy spośród kilku domów, w których są telefony. Chłopcy założyli je pierwszego lata, gdy dziewczęta przyjechały z dziećmi. Każdy chodzi tam dzwonić. Te dziewczęta to naprawdę dusza i serce Zacisza. Będą twoimi dobrymi przyjaciółmi. Wtajemniczą cię we wszystko.

Wątpiałam w to, ale nic nie powiedziałam. Przyglądałam się kobiecie, która patrzyła na Piotra. Nie bardzo podobało mi się to, co widziałam.

Była bardzo piękna. Zawsze była. Greta Constable Winslow była jedną z niewielu kobiet w Zaciszu, które poznałam, gdy byłyśmy młode, która rzeczywiście była bardzo piękna i zachowała urodę do późnej starości. To był ten rodzaj urody, na którą składają się doskonałe kości i zęby i cudowna harmonia wszystkich części; wszystko w niej było zharmonizowane, wspaniale proporcjonalne i przyciągało spojrzenie. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek widziała równie naturalną piękność. W większości przypadków zależy ona od ożywienia, nadania kolorytu czy wyrazu. Greta nigdy nic nie dodawała. Jeśli wyrzeźbiłoby się ją w marmurze wyglądałaby dokładnie tak samo, jak wyglądała tego ranka: z krwi i kości, rzeczywista, stojąc w drzwiach werandy w Liberty i patrząc na mojego męża oczami o bladezielonej barwie smug słońca na mokradłach.

Poczuł, że na niego patrzy i podniósł głowę.

— Halo, Greto — powiedział i uśmiechnął się, a kobieta zbliżyła się i pocałowała go lekko w policzek i na chwilę ujęła dłonią jego rękę, nim odwróciła się do mnie z uprzejmym uśmiechem. Jej wargi, policzki, podbródek i dołki po obu stronach ust wyglądały jakby wyrzeźbił je zakochany rzeźbiarz.

— Jestem Greta Winslow, stara przyjaciółka Piotra — powiedziała głosem zimnym i gładkim, nie nowoangielskim ale też i żadnym innym, który umiałabym określić. Jak jej twarz, włosy i ciało, był prawie pozbawiony kolorytu. Jej włosy były blade jak brązowe złoto zaparzonej herbaty w słońcu, a skóra była tylko o kilka tonów jaśniejsza. Wyglądała jak kobieta cała zrobiona z ciepłego, miodowego, karraryjskiego marmuru.

— Jestem Maude Gascoigne — powiedziałam bezmyślnie, a potem dodałam — mam na myśli, Maude Chambliss, oczywiście.

— Oczywiście — powiedziała. — To była dla nas wszystkich wielka niespodzianka. Piotr nie mówił nam o pani zeszłego lata.

— Nie znałem jej wtedy — Piotr ciągle się uśmiechał. Wciąż trzymał jej dłoń w swojej. — Spotkałem ją dopiero w listopadzie.

— I piorunem się ożeniłeś — powiedziała śmiejąc się cicho Greta. — Czy może ma pani dla nas jakieś nowiny, Maude?

— Nowiny? — zapytałam, a potem zrozumiałam. — Och, nie. Oczywiście, że nie. Przynajmniej nie... wydaje mi się...

Greta Winslow zawsze potrafiła sprawić, że czułam się zmieszana.

— No więc wkrótce, jestem pewna — powiedziała i odwróciła ode mnie wzrok, zwracając się do Piotra. — Słuchaj, kochanie, nie mogę zostać; ta głupia Nola nie przyszła dziś rano i dzieci zostały w domu same. Burdie popłynął wczoraj z rodzicami i Eryką Conant na party w domu Sternhagenów w Northeast Harbor i nie może dotąd wydostać łodzi z przystani. Nawet nie próbował. Więc będę sama z malcami co najmniej do jutra. Wiem, że to niewybaczalny tupet, ale czy mogłabym cię porwać na parę minut dziś po południu lub wieczorem? Mały Freddie wrzucił swojego żółwia do klozetu i zdaje się, że coś zrobił z pompą, a wiesz, jakie ważne są dla mnie te rzeczy... Maude, moja droga, pani przecież wybaczy, prawda? Odeślę go natychmiast z powrotem, a jako opłatę za wyświadczoną usługę przyniesie moje domowe placuszki. Zawsze je bardzo lubił.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedziałam, nienawidząc jej. Nawet gdyby nie była piękna, arogancka i dwuznacznie poufała w stosunku do mojego męża, nienawidziłabym jej. To co poczułam wobec Grety Winslow, ten pierwszy przebłysk wrogości, to było coś czysto chemicznego. Wiedziałam, że ona też to poczuła. Widać to było w jej zielonych oczach kameleona. Gdy się patrzyło na nią z bliska, można było poznać, że jest o dobre pięć, sześć lat starsza od Piotra. Pomyślałam złośliwie, że pewnie bliżej jej do trzydziestki, niż życzyłyby sobie by myśłano.

— Zobaczą cię więc później, Piotrze? — zapytała.

— Tak, oczywiście.

— Do widzenia więc, kochany. Do widzenia, na razie, Maude. Jestem pewna, że będziemy się często widywać.

— To zależy — odpowiedziałam przez zaciśnięte zęby w stronę jej oddalających się pleców.

— Posłuchaj, Maude... — zaczął Piotr, ale właśnie wszedł ostatni gość i poczęstował go kuksańcem w żebro, a on odwrócił się, podniósł ją wysoko i zakręcił wkoło śmiejąc się radośnie. Tym razem i ja się roześmiałam.

Była bardzo maleńka, prawie karliczka i niemal zupełnie okrągła. Wyglądała tak jakby ją ubierano stojącą nieruchomo, a ktoś w pośpiechu nakładł na nią rozrzucone części garderoby. Nigdy nie widziałam tak nieporządnej kobiety. Nic tu nie pasowało, wszystko było niedobrane. Piotr postawił ją z powrotem i zdałam sobie sprawę, że nigdy nie widziałam też tak grubej kobiety, przynajmniej przy jej wielkości. Jej ciało

opadało w różowych fałdach, drżało i falowało, gdy się poruszała. Ale, o dziwo, nie budziło to odrazy. Jej uśmiech był tak otwarty i pełen zachwytu, a śmiech tak młody i swobodny, niebieskie oczy tak pełne blasku, że nic, nawet niewątpliwe ślady jajka ze śniadania na szalu, nie miało znaczenia. Sama miałam ochotę sięgnąć i dotknąć jej, jak ładnego dziecka lub ulubionego ptaszka.

— Jestem Car lotta Padgett, Lottie — powiedziała do mnie. I wtedy zdałam sobie sprawę, że nie jest już młoda, ale nie robi takiego wrażenia dzięki napiętej, błyszczącej różowej skórze. — Wiem, że pani jest Maude i chciałam przyjść i powiedzieć pani, jak bardzo się cieszymy, że jest pani w Zaciszu. I, moja droga, tak bardzo mi przykro z powodu sarenki. To co pani zrobiła, to było bardzo dzielne i myślę, że ten miły chłopak jest z pani dumny.

Spojrzała na Piotra.

— Tak — powiedział zaskoczony. — Jestem z niej dumny.

— Więc jej to powiedz. Założę się, że tego nie zrobiłeś — stwierdziła Lottie Padgett. — I na pewno nikt tego nie zrobi. Proszę posłuchać, piękne dziecko, kiedy już pani pozwoli wstać z tego głupiego leżaka, proszę przyjść do Małego Domku — tak się mój dom nazywa — leży po drugiej stronie zatoczki, poniżej Orlego Gniazda, i pozwolić mi się zaznajomić z panią. Czajnik jest zawsze nastawiony i zawsze są kociaki i jedno czy dwa małe szczenięta, a teraz jest malutki szop, którego próbuję wychować. Jakiś idiota zastrzelił jego matkę; znalazłam go, gdy zbierałam grzyby któregoś dnia na Wyspie Rybołówów. Słyszałam, że pani mieszkała nad rzeczynymi moczarami, a ja jestem z lasów sosnowych i potrafię poznać bratnią duszę — miłośnika zwierząt, od pierwszego wejrzenia. Proszę więc przyjść. Mogę pani powiedzieć o Zaciszu bardzo dużo rzeczy, które powinna pani wiedzieć.

Zanim zdążyliśmy odpowiedzieć, odeszła z trzepotem i falowaniem spódnic, pozostawiając za sobą duszną smugę zapachu naftaliny. Wiele osób próbowało ją zatrzymać, by porozmawiać, a matka Piotra czatowała na nią w drzwiach z pączkami i kawą, ale odsunęła ich machnięciem ręki, wołając coś wesoło przez ramię i trzaskając frontowymi drzwiami; pograżyła się we mgle zanim zdążyłam wziąć głęboki oddech.

Spojrzałam na Piotra. Uśmiechnął się za nią całą twarzą.

— Czy to był sen? — zapytałam.

— Nie. Ona jest najbardziej rzeczywistą kobietą, jaką znam — odpowiedział. — No, no. Lottie Padgett przyszła cię poznać. Spotkał cię nie lada zaszczyt. Czy wiesz, Maude, wydaje mi się, że nie była w tym domu, ani w wielu innych, przez te wszystkie lata, odkąd zacząłem przyjeżdżać do Zacisza? Żyje tam na wybrzeżu w małym zrujnowanym domu jak pustelnica i rozmawia przeważnie tylko ze zwierzętami, zbiera grzyby i jagody, bierze do siebie zabłąkane przybłądy: zranione ptaki i inne istoty i nikt powyżej szesnastu lat nie bywa tam zapraszany. Ale poniżej... Boże, jej dom jest pełen dzieci od rana do zmroku, przez całe lato. To zupełnie Srokaty Kobziarz. Byłem w niej zakochany jako dzieciak.

— Czy ona jest bardzo biedna? — zapytałam.

— Na Boga, nie. Jest nieprawdopodobnie bogata. Jej mąż odziedziczył niezliczone szyby naftowe, bardzo wiele szybów, w Oklahomie, tam gdzie się urodzili i przywiózł ją tutaj by odwiedzić kolegę z college'u — myślę, że mógł to być Sykes Conant, gdy on i Eryka byli po ślubie — a ona zakochała się w przyładku i w lasach, i skłoniła go, żeby wybudował dla niej ten mały dom lalki. Mają jednego syna, niedołęznego Frankie, który jest, o ile wiem, pastorem kościoła episkopalnego gdzieś w Kalifornii. Zawsze wstydził się swojej matki. Prawdziwy gnój był z tego Frankie. Nigdy się nie ożenił, myślę, że to pedał, jak mówią w Anglii, a bit of a poof.

Chyba nie był tu odkąd ukończył swoje nauki teologiczne. Klaudiusz umarł około piętnastu lat temu. Nie sądzę, żeby Lottie zmieniła tu cokolwiek od swego przybycia, poza tym, że szybko przeznaczyła kupę pieniędzy na okręgowe schronisko dla zwierząt w Castine. Wiem, że nigdy nie kupuje nowych ubrań ani mebli do domu. To wygląda jak zagroda dla zwierząt. Czym zresztą właściwie jest.

— Czy jeszcze ją odwiedzasz?

— Tak. Nie mów o tym jednak nikomu. Przeważnie wyrzuca ludzi, gdy skończą szesnaście lat.

— Dobrze — powiedziałam. — Chcę tam iść. Strasznie mi się podoba. Ona jedna wydaje się żałować tej biednej sarenki.

— Ja się o nią martwiłem — powiedział poważnie. — Czy myślisz, że byłem zadowolony, kiedy Micah musiał ją zastrzelić? Tak się denerwowałem o ciebie, że po prostu zapomniałem o tym powiedzieć. Powinnaś iść ją odwiedzić. Jej przyjaźń to wielki zaszczyt. Nie mówiłbym tylko, na twoim miejscu, mamie. Ona uważa, że Lottie jest niehigieniczna i na dodatek stuknięta.

— A ty?

— Och, tak, bez wątpienia. I jedno i drugie. Ale kocham ją za coś innego niż higiena i zdrowie umysłowe. Ma dar prawdziwie kochającego serca. Myślę czasem, że to coś naprawdę bardzo rzadkiego w Zaciszu.

Spojrzałam na niego zdziwiona. Uśmiechał się z zakłopotaniem.

— Bardzo lubię to miejsce — powiedział, — To tu poznałem swobodę, dzieciństwo i dzikość. Ale to jest bardzo małe miejsce. I krąg zainteresowań jest tu bardzo wąski. Jest jak mikroskop; jeśli nie uważasz, może pochwyć promień słońca i spalić cię. Byłbym głupcem, gdybym o tym nie wiedział.

— Piotrze, nie pozwól, żeby mnie spaliło — zawołałam impulsywnie.

— Pozostań przy mnie, pani — powiedział kątem ust. — Doprowadzę cię do domu szczęśliwie.

Wkrótce po tym, gdy wyszedł ostatni gość, znalazłam się na górze w łóżku, głęboko zamotana w pledy z Princeton i Zatoki Hudsona, walcząc ze snem. Piotr kręcił się niespokojnie po pokoju, patrząc w mgłę.

— Czy myślisz, że zaśniesz? — zapytał. — Powinnaś. To obłędzenie

musiało cię bardzo zmęczyć. Chyba pójde do Willisów i zobaczę czy stary Micah naprawił już swój wyciąg. Wróce nim się zbudzisz.

— Dlaczego miałbyś nie iść — powiedziałam sennie. — A czy zajdziesz do Greta Winslow?

Popatrzył na mnie przez ramię. Dziwne, perliste światło zza mgły omyło jego jasne włosy, aż zabłysły srebrem i rozłożyło metaliczne płaszczyzny na jego wysokich kościach policzkowych. Naprawdę bardzo lubiałam patrzeć na Piotra.

— Nie masz nic przeciwko temu? Strasznie niewygodnie zostać tu bez kanalizacji z dwojgiem dzieci. W każdym razie zobaczę, czy będę mógł wydobyć żółwia.

— Ona zawsze dostaje to, czego chce, prawda? — powiedziałam brzydząc się własnego głosu.

Zachichotał.

— Winslowowie na ogół dostają to czego chcą. Byli tu dawniej niż inni, może z wyjątkiem Indian i niektórych krajowców. Przodkowie Greta przybyli z Massachusetts koło tysiąc sześćset któregoś roku. To jedna z niewielu kobiet na letniku, która ma mocne więzi po obu stronach. Czasem zanadto zadziera nosa. Nie pójde jeśli nie chcesz.

— Nie — powiedziałam ukrywając twarz w poduszce. — Zrób jak chcesz. Nie mam zamiaru ci rozkazywać i ja.

Czekałam, co powie, ale nic nie powiedział i zasnęłam zanim wyszedł z pokoju. Gdy się obudziłam, lampy były zapalone i biała mgła przeszła w czerń, a Mama Anna weszła akurat do pokoju niosąc dla mnie na tacy kolację. Piotr siedł za nią, jego jasne włosy były jeszcze wilgotne od mgły i wiły się dokoła twarzy. Na tacy, poza nieuchronną gorącą potrawą przepisaną przez lekarza, bułeczkami i masłem, był mały talerzyk świeżych domowych placuszków.

— Czy znalazłeś żółwia? — zapytałam Piotra. Miał zakłopotaną minę, wreszcie odparł:

— Och, nie. Nie byłem tam. Zatrzymałem się u Micaha i Tiny i poprosiłem, żeby Micah poszedł. I tak bym nic nie mógł zrobić z tym przeklętym żółwiem, nawet gdybym go znalazł.

Anna spojrzała na niego ostro:

— Nie poszedł do Greta, mimo że cię o to prosiła? Doprawdy Piotrze. Nie możesz posyłać obcego mężczyzny do domu młodej samotnej kobiety; co ona, na Boga, musiała sobie o tobie pomyśleć? Byłam przekonana, że to ty przyniosłeś placuszki. Znalazłam je na stole.

— Sądzę, że ona sama je przyniosła — powiedział Piotr, wziął jeden z nich i ugryzł.

— Hmm. Trochę za suchy. Greta straciła swój dryg. Spokojnie, mam. Micah Willis nie jest obcym mężczyzną i od szesnastego roku życia naprawia kłopoty na letniku; wiesz dobrze o tym. Ja na nic bym się nie zdał i tak by musiała w końcu wezwać Micaha.

— Wiesz o co mi chodzi — powiedziała ostro teściowa i wyszła z pokoju. Popatrzyliśmy za nią.

— Jeśli ty nie wiesz, to ja wiem — uśmiechnęłam się szeroko. Zrewanżował mi się podobnym uśmiechem.

— Wiesz. Myślę, że mama zawsze uważała, że coś może być pomiędzy Gretą a mną. Bardziej chodziło jej, jak sądzę, o połączenie fortun niż o więzi rodzinne. Winslowowie są strasznie forsiści i starsi o pół wieku od Chamblissów. I zawsze w dużym stopniu rządzą całą kolonią. Mama chciałaby się w to włamać. Freddie Winslow odziedziczył rodzinny bank handlowy na Manhattanie, a Burdie, mąż Grety, będzie kolejnym sukcesorem.

— Twoja rodzina ma swój własny bank — powiedziałam. — Dlaczego jej zależy na ich banku?

— Cóż — odparł pochylając się i odpinając górny guzik mojej koszuli — ich bank jest większy od naszego. Czujemy się nieźle, prawda?

— Co mi dasz, jeśli zgadnę — powiedziałam przyciągając do piersi jego moką głowę. — Ale wiesz, dziwi mnie trochę dlaczego twoja matka próbuje poprawić swoją pozycję towarzyską. To nie jest takie bardzo szlachetne. Oj, Piotrze, to boli.

Położył się przy mnie i przykrył nas oboje z głowami.

— Nie traktuje tego jako wspinanie się na towarzyskie szczyty. Chodzi jej o utrzymanie czystości krwi, czy coś takiego. Zapewnienie odpowiednich wnuków. Spuści z tonu, kiedy zaczniesz psuć własne wnuki. Dlaczego nie mielibyśmy wyświadczyć jej przysługi i zacząć... już teraz?

I zrobiliśmy to.

— Piotrze — wołała z dołu jego matka. — Czy Maude dobrze się czuje? Zdawało mi się, że się przewróciła...

. . .

Mgła roziała się następnego dnia i na zatokę spłynął czar jasnych, lazurów dni. Piotr spuścił nareszcie „Annę” na wodę i zasmakował znów w morzu jak mewa, wraz ze wszystkimi innymi mężczyznami w Zaciszu, którzy byli dość starzy... lub raczej nie dość starzy... by uprawiać żeglugę. Gdy wracali, udawali się tłumnie na korty tenisowe; słyszałam uderzenia piłeczek, okrzyki i oklaski z dolnego ganku, gdzie Mama Anna pozwalała mi siadywać rano, przykrytej wełnianymi szalami i sortować bieliznę albo kopiować stare rodzinne przepisy do mojego własnego zbioru przepisów gospodarczych. Wiedziałam, że niewiele zrobię z kremów, rzeczy z formy czy ubitych, co uważała za odpowiednie dla młodej mężatki — ale to trzymało ją z dala ode mnie, i w ciągu dnia czy dwóch zdobyła pewność, że nie przerwę zajęcia, by wejść do wody albo popełnić jakiś inny oburzający wyczyn podczas jej nieobecności, więc na nowo oddała się swoim porannym wizytom i wyprawom po prowianty.

Duży Piotr zniknął w tym tygodniu od rana aż do wieczora, na Rosier Pond, gdzie Chamblissowie mieli małą chatę i tam sporządzał katalog swoich ptaków, rysował małe stworzenia i pisał w czymś, co Mama Anna nazywała jego dziennikiem okrętowym. Wpatrywał się, Bóg jeden wie,

w jaką ciemność, ciągle zamknięty w sobie. W ciągu kilku dni naszego pobytu w Zaciszu, zdawał się płowieć jak farba na słońcu. Czułam się przy nim trochę skrępowana, ale — jak się zdawało — nikt inny poza mną tak się nie czuł, a jego nieobecność znaczyła, że rankami mam dom dla siebie. Krystyna Willis zawsze towarzyszyła mojej teściowej w jej wyprawach na orzechy i jagody. Zaczęłam jak skarbu strzec tych poranków, gdyż niewiele miałam takich w Zaciszu. To wtedy właśnie, w ciągu tych pierwszych spokojnych dni, letnisko dało mi swój pierwszy i najlepszy podarunek — to pokorne, pełne zachwytu, pozaziemskie poczucie morza, nieba i samotności. Dotąd właściwie nie potrafię tego naprawdę odczuć, jeśli nie jestem sama.

Ale czwartego ranka zaczął mnie dręczyć niepokój spowodowany bezczynnością i zupełną samotnością. Nie widywałam Piotra w dzień od bardzo długiego czasu. Jeszcze przez kilka dni doktor Lincoln i Anna zabraniali mi wychodzić, Amy była w tym tygodniu uwięziona z gośćmi swej teściowej. Wyciągnęłam szkicownik i dłubałam mozolnie węglem szkice zatoki i alei, widzianych z okna, ale były pozbawione powietrza i banalne. Odczuwałam potrzebę czegoś rzeczywistego. Przeszłam do salonu i wyciągnęłam z półki stary tom Sarah Orne Jewett, ale w pokoju było mało światła, gdyż zasłaniał je olbrzymi krzak bzu wciskający się do okien, nie mogłam więc czytać. Bzy były w pełnym rozkwicie. Przytłaczające chmury bieli, tak pachnące w wilgotnym od mgły powietrzu, że mogłam nie tylko wahać lecz dokładnie smakować ich słodycz. Lubiłam ten zapach; przywodził mi na myśl tę pierwszą, dojmująco żywą, noc w zatoce Wappoo z taką ostrością, że łzy napłynęły mi do oczu. Pomyślałam, że mogłabym później wyjść i przynieść bukiet do naszej sypialni.

— Jak daleko jestem od domu — powiedziałam głośno. Odpowiedziała mi tylko nieznana cisza obcego miejsca.

Właśnie wtedy krzewy za oknem zaczęły trzeszczeć i drzeć gwałtownie jak podczas burzy, a białe kwiaty osypały się na kwietniki i na trawnik. Zagapiłam się; w ciągu jednej chwili pokój się rozjaśnił i zobaczyłam, że patrzę prosto w twarz Micaha Willisa. Trzymał w ręku ogromne nożyce; na mój widok podniósł dłoń do czoła i wrócił do przycinania gałęzi. Zawahałam się; nie widziałam go odkąd wyciągnął mnie z morza w dniu znalezienia sarenki i zdawałam sobie sprawę, że moje podziękowania były bardzo spóźnione. Przekazałam je Krystynie, a ona uśmiechnęła się i powiedziała, że cieszył się, że był tam we właściwej chwili. Wiedziałam jednak, że powinnam była do niego napisać. Z jakiegoś powodu byłam zażenowana. Ciągle jeszcze czułam ciepło jego nagich ramion.

Wyszłam przez drzwi frontowe na czerwone słońce, oślepiąca jak piwniczne stworzenie. Skończył przycinać krzewy po lewej stronie schodów i przechodził do tych z prawej. Trawnik przysypany był kwiatami jak letnim śniegiem. W chłodnym powietrzu rozsiewał się ich aromat. Mały chłopczyk, pięcio-sześcioletni, ciemny i żywy, z policzkami krągłymi jak jabłka zbierał pełne naręcza białych gałęzi i zataczał się z nimi

chwiejnie w kierunku zachlapanego błotem Forda stojącego na podjeździe. Wrzucał je na otwartą platformę, pozostawiając za sobą biały tren. Gdy zatrzasnęłam oszklone drzwi, mężczyzna i chłopiec przerwali swe zajęcia i spojrzeli na mnie.

— Chciałam panu podziękować za tamten dzień — powiedziałam sama słysząc przesłodzony ulepek równin w moim głosie i pomyślałam, że musi to być tortura dla uszu nawykłych do ostrych głosów. — Powinnam była to zrobić wcześniej, ale nie wypuszczano mnie z domu. Czuję się teraz jak zbiegły więzień.

Patrzył na mnie z uprzejmym wyrazem twarzy. Chłopczyk stanął dumny przy jego kolanie patrząc na mnie czarnymi oczami ojca.

— Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo — powiedział. Jego głos był matowy i niski, taki jak zapamiętałam.

— Mam nadzieję, że pan... nie zaziębił się, ani nic takiego — powiedziałam, zdając sobie z rozpaczą sprawę, że zaczynam pleść głupstwa. — Nigdy nie czułam nic tak zimnego jak ta woda.

— Potrzeba mi czegoś więcej niż kąpieli w zatoce, żebym się przeziębił — odparł, a mały chłopiec zachichotał. Popatrzyłam na niego i uśmiechnęłam się.

— Jestem Mrs. Chambliss — powiedziałam. — A ty kto jesteś?

— Nie, nie jest pani — zapiszczało dziecko, a Micah Willis uśmiechnął się przebłytskiem bieli w brązowej skórze.

— Jedyna pani Chambliss, którą zna, to pani teściowa — powiedział. — Widać, że to dla niego pewna różnica. To jest Kaleb Willis, mój najmłodszy i jak dotąd jedyny. Przywitaj się z panią Chambliss, Kaleb.

— Dzień dobry — powiedział chłopczyk przyglądając mi się uważnie. Jego oczy rozszerzyły się. — Tatusiu, to jest ta pani od sarenki, prawda?

— Tak — odpowiedziałam. — Ja jestem tą panią od sarenki.

Wzrokiem zapytałam Micaha Willisa czy jego mały synek wie; skinął głową.

— Kaleb wie, że musiałem zamknąć jej usta — powiedział. — Żal mu tak samo jak mnie. Pani również, jak myślę. Mówiłem mu, że pani upadła próbując go wyciągnąć.

— Go?

— Małego jelonka — powiedział.

Nic już więcej nie mówił, stał tam tylko trzymając nożyce, z drugą ręką na głowie swego syna, wyraźnie czekając aż sobie pójdę i pozwolę mu dalej pracować. Zamiast odejść, powiedziałam:

— Co zrobicie z tymi wszystkimi bzami? — i wskazałam na platformę ciężarówki.

Jego twarz zlodowaciała. Nie drgnął w niej ani jeden muskuł, ale w jakiś sposób stwardniała jak beton.

— Pani Chambliss powiedziała, że to w porządku jeśli je weźmiemy — odparł.

— Położymy je na „podkach” — powiedział Kaleb usiłując przyjść mu z pomocą. Patrzył to na ojca, to na mnie.

— Och, proszę, nie miałam na myśli tego, że je... bierzecie — zawołałam czerwieniąc się. — Po prostu zastanawiałam się, co z nimi zrobicie.

Umilkłam i poczułam się nieszczeniwa. Nie tylko oskarżyłam go prawie o kradzież bżów, ale jeszcze dałam do zrozumienia, że uważam, iż stali mieszkańcy przylądka nie odczuwają potrzeby zbyt kownego piękna.

— Przepraszam — szepnęłam.

Już się nie uśmiechnął, ale twarz mu trochę złagodniała.

— Kaleb i ja zawsze zabieramy kwiaty na cmentarz, gdy przycinamy bzy pani Chambliss — powiedział. — Wszyscy z naszej rodziny tam leżą od pierwszego dnia. Kaleb zna teraz prawie każdego ze swych przodków.

— Jakież to piękne — rzekłam. — Jak dobrze jest być tu, gdzie byli zawsze wszyscy wasi bliscy. Myślę, że to wspaniałe. Dziękuję jeszcze raz i proszę, przycinajcie dalej.

Odwrociłam się i weszłam z powrotem do domu. Słyszałam teraz znowu metaliczne ciachnięcia. Z rozpaloną twarzą powrociłam do borówkowej piany mojej teściowej.

Musiała upłynąć godzina, gdy usłyszałam krzyk. To było dziecko; wiedziałam od razu, a strach i ból brzmiące w nim zelektryzowały mnie i byłam na nogach i za drzwiami jeszcze nim przebrzmiał. Micah Willis kłęczał na trawie przy swoim synu, który leżał na wznak, wił się z bólu i wył, a fontanna jasnej krwi buchała łukiem i opadała na śnieżne bzy rozsypane dokoła. Zobaczyłam, że Micah przyciska mocno chusteczkę do podbicia stopy dziecka i że przesiąkła ona zupełnie, a krwotok nie ustaje. Odwróciłam się i pobiegłam do szafy z bielizną, chwyciłam czyste ręczniki i wybiegłam z powrotem. Micah podnosił chłopca, a krew wciąż tryskała.

— Proszę, niech pan mocno zawiąże i nie zmniejsza ucisku — starałam się złapać oddech, opadając przy nim na kolana. Chwycił ręczniki i zawinął w nie małą stopę, jego twarz była biała pod opalenizną. Chłopiec nie przestawał krzyczeć.

— Kogo mogę sprowadzić? — krzyknęłam. — Czy jest we wsi lekarz? Pobiegnę do pani Thorn i zatelefonuję.

— To trzeba zszyć — odparł. — Potrzebny jest lekarz z Brooksville. Prędzej będzie jeśli go tam zawiozę. Niech pani powie jego matce, gdzie jesteśmy, kiedy wróci.

Podniósł chłopca i pobiegł do ciężarówki, a gdy biegł, noga znów zaczęła krwawić.

— Proszę poczekać — pobiegłam za nim. — Ktoś musi mocno przytrzymywać ten ręcznik. Proszę mi go dać, a pan niech prowadzi. Znam się na pierwszej pomocy; musiałam się nauczyć w lasach, w domu.

Włożył mi dziecko w ramiona i włączył motor ciężarówki. Stary silnik zakrzuszył się, auto wypadło w aleję i potoczyło się polną drogą w kierunku stałego lądu. Trzymałam mocno Kaleba na kolanach, jedną ręką podtrzymując tampon z ręczników owijający małą stopę. Drugą głaskałam jego włosy i policzki.

— No — szeptałam — no, kochanie. Już przestaje krwawić, doprowadzimy cię do porządku i może, jeśli będziesz miał dużo, dużo szczęścia, będziesz miał tylko bliznę.

Chłopiec przestał się więc i płakać, i spojrzął na mnie. Jego twarz i drelichowe ubranie były zbryzgane krwią, a oczy zdawały się ogromne w zabielałej twarzy.

— Bliznę? Naprawdę tak pani myśli?

— Uspokój się, tak — powiedziałam całując czubek jego głowy. — Mogę ci prawie obiecać bliznę. Pewnie najlepszą bliznę na całym przylądku Rosier. Będziesz mógł ją pokazywać za opłatą.

— Och, nieprawda — zamruczał, ale już nie płakał. Osunął się na moje kolana i zamknął oczy. Jego ojciec spojrzął na niego zaniepokojony, a potem na mnie, ale czułam mocne bicie małego serca i równy oddech pod moją dłońią.

— To bardzo trudno zrobić bliznę — powiedziałam bardziej do chłopca niż do ojca. Obaj uśmiechnęli się słabym uśmiechem.

— Przestaje krwawić? — zapytał Micah Willis, a ja skinęłam głową. Krew wciąż przesiąkała przez ręczniki, ale słabiej.

— Jak to się stało?

— Stanął na nożycach. Odłożyłem je, żeby wyrwać jakiś perz i zaraz potem zobaczyłem, że krwawi i krzyczy jak zarzynane prosię. Byłem przerażony. Nigdy nie widziałem, żeby się ktoś tak skaleczył. Jego matka mnie zabije.

— Nie będzie tak źle — powiedziałam. — Tu jest arteria, dlatego tak krwawi. Ale blisko powierzchni; jestem pewna, że cięcie nie doszło do ścięgna. Nie mogłby poruszać stopą, gdyby tak było.

— Była pani pielęgniarką? — zapytał. Ciagle jechał szybko, ciężarówka podskakiwała na zakurzonych, wyboistych koleinach, ale nie pędził już, jak przedtem.

— Nie, ale mieszkaliśmy w samym środku mokradeł rzecznych, całe mile od miasta, i ojciec zrobił co mógł, żebym umiała sobie radzić ze skaleczeniami, z węzami i tym podobnymi przypadkami. Bardzo często zostawałam sama. I wtedy czytałam też dużo na temat biologii. Przynajmniej tyle, żeby wiedzieć, że Kaleb wyjdzie z tego.

— Jesteśmy pani zobowiązani — powiedział sztywno. — Nie wiem czy dałbym sobie radę, gdyby nikt go nie trzymał. Pani jest cała zakrwawiona. Przestraszy pani śmiertelnie swoją teściową.

— Możliwe, że ją przestraszę, ale na pewno się nie zdziwi — powiedziałam. — Po tym jak jej dałam w kość w zeszłym tygodniu, nie przejmie się odrobiną cudzej krwi. Życzyłaby sobie pewnie, żeby to była moja krew.

Spojrziałam na niego spłoszona. Ten człowiek był w końcu kimś zupełnie obcym, a na dodatek był pracownikiem mojej teściowej.

— To było z mojej strony niewdzięczne i niemiłe, przepraszam — wymamrotałam.

— To nic — odpowiedział i uśmiechnął się szczerze. Dzięki temu jego

ciemna twarz niezwykle złagodniała. — Słyszałem o pani wypłynięciu z Parkerem Potterem. Dziwię się, że nie wyrzuciła go pani za pokład. Dobrze by pani zrobiła.

Uśmiechnęłam się także, nagle onieśmielona i zapytałam:

— Jak daleko jeszcze?

— Przez South Brookville, dalej do Brookville, około pięciu mil — odparł. — Tam cały czas przyjmuje lekarz, który przeprowadza zabiegi chirurgiczne.

— Och, zupełnie zapomniałam — zawołałam. — Doktor Lincoln jest tu na lotnisku. Chyba nie wypłynął na morze i nie sądzę by wyszli z domu przed lunchem. Mogliśmy zaoszczędzić tyle czasu.

— Tak jest lepiej — powiedział. Nie patrzył na mnie. Coś w tonie jego głosu nakazało mi nie pytać dlaczego. Milczałam trzymając na kolanach drzemiące dziecko, aż po jakichś dwudziestu minutach podjechaliśmy pod błyszczącą białą wywieszkę lekarza. Micah także się nie odzywał.

Gdy wyszedł po zabiegu, niosąc Kaleba, wymytego, obandażowanego i sennego z powodu ulgi i zastosowanych środków łagodzących, chłopczyk wyciągnął do mnie ręce ruchem tak ufnym jak do matki. Wzięłam go w ramiona i zniosłam do ciężarówki. Z tyłu, stos białych bzów wyglądał absurdalnie, egzotycznie, jak ładunek śniegu. Nie bardzo zwiędły. Byliśmy w połowie drogi do Zacisza, Kaleb spał osłabiony, gdy się odezwałam:

— Nie powinniśmy pozwolić, żeby zwiędły. Czy nie może pan ich tu gdzieś zostawić, zanim zabierze je pan na cmentarz?

— Cmentarz jest tu niedaleko, przed drogą do domu towarowego. Jeśli ma pani jeszcze chwilę czasu, mogę je tam zawieźć. Kaleb byłby rozczarowany, gdybyśmy tego nie zrobili. Tam jest źródło i studnia; może byłoby dobrze, gdyby się pani trochę obmyła.

Spojrzałam na moje dłonie, ramiona i kraj sukienki. Wyglądały jakbym pomagała w rzeźni.

— Chciałabym zobaczyć cmentarz.

Podjechaliśmy do małego cmentarza w Cove Harbor, między dwiema pochylonymi, zniszczonymi kolumnami z białego marmuru, od dawna ogołocionymi z łuku, który musiały podtrzymywać. Ciemna zasłona świerków i jodeł osłaniała groby od drogi, gdy się jednak przez nią przejechało, widać było rozwalające się stare pomniki poczerwiałe ze starości i od pogody, porośnięte mchem, biegnące w nieregularnych rzędach podmokniętą solanką łąką nad brzegiem zatoki. Polne kwiaty i trawy powiewały poruszane wiatrem od morza, a zapach słonej od wody słomy suszącej się nad brzegiem, wodorostów, bzów i czysty świerkowy aromat, którym przesiąknięty był przylądek Rosier, zdawały się cudem po duszącym kurzu drogi. Motyle tańczyły nad trawą, ptaki śpiewały, a rybitwy krzycząc zataczały kręgi nad głowami. Ciemne czuby wysokich jodeł przecinały błękit południowego nieba. Gdy nie huczał silnik, byłoby tu bardzo cicho. Wiatr kładł słoną wilgoć na moją rozpaloną twarz i szyję.

— Jakie to piękne miejsce — powiedziałam. — I jak dużo ludzi tu leży. Czy ten cmentarz jest bardzo stary?

Przerwał wyładowywanie bzu. Położyliśmy śpiące dziecko na przednim siedzeniu i przykryliśmy ostatnim czystym ręcznikiem.

— Powstał około 1680 roku. Te groby tutaj są nowsze — powiedział wskazując najbliższy rząd grobowców. — To są Allenowie, przybyli tu pod koniec XIX wieku i musieli zająć miejsca bliżej drogi. Najstarsze są najbliżej morza. Moja rodzina jest tam, z tyłu. Krystyny także. I Murrayowie i Barlettowie i Goodenowie. Kto tu się znalazł pierwszy, zajął najlepsze ławki, że tak powiem.

— Pana rodzina jest tu od tysiąc sześćset któregoś roku? — zapytałam. — Myślałam, że wtedy nie było tu nikogo innego prócz Indian. To od zawsze.

— Niezupełnie — powiedział ubawiony. — Tu byli ludzie od około trzech tysięcy lat przed Chrystusem. Przybyli z Hiszpanii i Francji. Z tego co znaleziono z ich twórców wynika, że to były te same ludy, które wykonały malowidła w grotach Lascaux. Bardzo piękne, wyglądają jak nowoczesne. Potem przez kilka wieków byli Indianie, głównie Abenakowie, Lud Zarania. Potem stary Leif Erickson przywiódł tu swoich Wikingów i rozejrzał się na wszystkie strony; na skałach Monhegan są rzeźby, jeszcze parę innych miejsc na pewno zajęli też Wikingowie, a brukowana droga głęboko w Pemaquid to na pewno ich. Potem mieliśmy Anglików, Hiszpanów i Francuzów i Włochów, choć byli to przeważnie najemnicy — i znów Anglików, pod wodzą sir Waltera Raleigha i jego brata, i tak dalej i tak dalej. Pierwsze stałe miejsce osiedlenia to Kittery, w 1616. Moja rodzina przybyła z Massachusetts zaraz jak tylko ktokolwiek dowiedział się o Maine. Willisowie nigdy nie mogli wytrzymać bez własnej kupki piasku. Rodzina Krystyny to Duschesne'owie, potomkowie Francuzów, *coureurs de bois* — leśnych wędrowców, dzikich młodych łotrów, wysłanych tu by żyli z Indianami i poznali ich zwyczaje. Nie zdziwiłbym się też wcale, gdyby w żyłach rodziny Duschesne było trochę krwi jezuickiej. Oni tu rzeczywiście krążyli w imię Boże.

Patrzyłam na niego spokorniała.

— Nie wydaje mi się, żeby dużo ludzi wiedziało tyle na temat swojego stanu, czy swojej rodziny, co pan — powiedziałam. — My w Charlestonie wiemy, ale tylko o naszych rodzinach. Cała reszta Południowej Karoliny może równie dobrze nie istnieć. Czy uczą u was w szkołach dużo historii?

— Niewielu z nas chodzi do szkoły — powiedział trzeźwo. — Większość z nas wyjeżdża na polowy, albo by się uczyć obchodzenia z żaglami, albo spędza czas w składach drzewa czy na roli, póki nie dorośniemy i nie przyjdzie czas na długie spodnie. Jest kilka doskonałych szkół, tam dalej na wschodzie. Ale staramy się jakoś uczyć. Moja rodzina uwielbia czytać, uczymy się od małego. To właśnie robimy w długie zimowe wieczory, gdy pogoda nie pozwala wyjść. Inni muzykują albo tkają, malują albo rzeźbią. Mało kto spędza czas beczynn timer. I wszyscy opowiadamy różne historie pozostałym. Ale są wśród nas i tacy, którzy mają formalne wykształcenie.

Brat Krystyny jest biologiem w Bar Harbor, a jej wuj jest skrzypkiem koncertowym w Portsmouth. Jeden z moich wujów był kapitanem okrętu, a inny nauczycielem w Nowej Szkocji. Ja miałem chodzić do szkoły i na studia, ale ojciec stracił palce prawej ręki na skutek odmrożenia i nie mógł brać udziału w połowach, zajął się małym starym warsztatem szkutniczym, a ja mu pomagałem. Teraz to jest dobry okręgowy warsztat, jak wszyscy mówią. Robimy piękne drewniane łodzie, jeśli wolno mi się pochwalić.

Doszliśmy do miejsca, gdzie leżeli Willisowie w swych naruszonych zębem czasu grobach i położyliśmy na nich naręcza kwiatów. Zastawiliśmy też dosyć dla Duschesne'ów, a kilka gałęzi położyliśmy na sąsiednich grobach. Micah pokazał mi mały kamienny zbiornik na wodę przy źródle, na krańcu łąki pod wielkim wykrzywionym świerkiem. Zmyłam ile mogłam krwi z mojej twarzy i ubrania; słońce było już bardzo wysoko. Ruszyliśmy z powrotem do ciężarówki.

— Czy żałował pan kiedy, że nie chodził do szkoły?

— Może czasem — odparł, spoglądając na wodę, połyskującą teraz w południe bielą. — Ale na ogół nie. Willisowie zawsze mieli jakąś ziemię i dom, nawet jeśli nie mieli nic innego. Zawsze mieliśmy nasz własny próg. Nie wydaje mi się, byśmy mogli utrzymać to co tu mamy, gdybym wyjechał, i dla mnie nie byłoby tamto warte tego, na dłuższą metę. Nie jesteśmy zbyt wytworni; zawsze byliśmy skłonni poświęcić wszystko co mamy, by zachować ziemię i domy. Nikt z nas nie będzie bogaty. Może ten chłopak przetnie to i odejdzie. Ale jakoś mi się wydaje, że nie.

— Jesteście dokładnie tacy jak moja rodzina — powiedziałam. — Czy raczej, moja jest taka jak wasza. Moja rodzina związała się z tym ogromnym starym domem na bagnach po roku 1700; można by pomyśleć, że ziemia to dla nas święty Graal. Czy to nie dziwne? Pochodzę nawet z francuskiej rodziny, jak pana żona. Moje nazwisko panieńskie jest Gascoigne. Nigdy nie przypuszczałam, że znajdę tu jakąś duszę, z którą mam cokolwiek wspólnego.

— W dalszym ciągu pani nie ma — odparł cierpko. — Francuskie nazwisko to nie dość.

Milczałam przez moment, twarz mnie piekła z upokorzenia po tej odprawie. Przez chwilę zapomniałam, że łączą nas stosunki pracodawcy i pracownika; w moich oczach byliśmy tylko dwojgiem ludzi, których łączy wspólna nić, choćby najcieńsza. Poczułam namacalną ulgę.

— Nie lubicie nas za bardzo, prawda? — zapytałam. — Mam na myśli nas, letników.

— Widzi pani, to głównie dlatego, że nie pracujecie — odpowiedział z powagą i zrozumiałam, że mu przykro, że się tak ostro odezwał, ale że nigdy mi tego nie powie. — Oglądamy was tutaj w waszych wielkich domach i w waszych samochodach i łodziach żaglowych, ale nigdy nie widzimy, żebyście choć kiwnęli palcem. Ludzie w Maine kochają pracę.

— Większość z nas pracuje przez pozostałe miesiące w roku — powiedziałam, dziwiąc się dlaczego bronię tych ludzi, którzy są mi tak zupełnie obcy. — Niektórzy z nas pracują i tutaj. Mój teść pracuje nad

książką o ptakach i kwiatach. Mój mąż opracowuje programy swoich lekcji. Wiele kobiet pracuje jak szatany na swoich klombach i grządkach.

— Na grządkach. Co to za praca? To zawracanie głowy, które ma je same przekonać, że pracują. Jak pani myśli, co czują nasze kobiety patrząc na wasz sposób życia tutaj? Pracując dla was w waszych domach? Powtarzając: tak, proszę pani, nie, proszę pani. Jak pani myśli, co czują nasi mężczyźni, gdy widzą, że to robią ich żony? Albo nasze dzieci?

— Nie musicie tego robić, czy musicie? — zapytałam zmartwiona.

— Nie — odrzekł. — Nie musimy. Ale większość z nas po prostu lubi jeść w zimie. Nie wyobraża pani sobie zimy tutaj, skoro nigdy jej pani nie widziała. Albo nie widziała jej w którymś z naszych domów. To się bardzo różni od kilkudniowego pobytu w jednym z tych wielkich, przystosowanych do warunków zimowych interesów, jakie ma pani rodzina.

— To nie jest moja rodzina — odpowiedziałam. — Naprawdę. Moi bliscy są tak biedni i chyba tak uparci jak pańscy, jeśli chce się pan bawić w „Moja bieda jest szlachetniejsza od twojej biedy”. Bardziej jestem podobna do pana niż do nich. Myślę, że nie byłam tego tak naprawdę świadoma aż do dziś. Nie wiem, czy bym to sobie uświadomiła, gdybyśmy tu nie przyjechali i nie porozmawiali z sobą.

— No, lepiej byłoby gdyby nie nabrała pani tego zwyczaju — odparł, patrząc wprost przed siebie.

— Chce pan powiedzieć, że nie mogę więcej z panem rozmawiać? Ani z Krystyną albo z Kalebem?

— Nie wyjdzie to pani na dobre. Pani teściowej nie będzie się to podobać. Żadnej z tych starych dam. Pewnie też i pani mężowi.

— Niech pan nie wsadza Piotra do jednego worka z tymi... kobietami — zawołałam gorąco. — Gdyby pan w ogóle coś wiedział, wiedziałby pan, że nie jest taki jak one, ani trochę. I będę, do cholery, rozmawiać z kim mi się podoba. To coś, czego wszystkie stare dAmy w całym stanie Maine nie mogą mi zabronić.

Odwrocił się i popatrzył na mnie. To było długie spojrzenie, spokojne i oceniające. Jego oczy były bardzo ciemne, a usta zaciśnięte w prostą linię. Wyglądał jak wyrzeźbiony z ciemnego marmuru. Przypomniałam sobie, jakim ciepłem promieniowało jego ciało, gdy wynosił mnie z wody. Zaczerwieniłam się nagle i odwróciłam głowę.

— Nie będzie tu pani dobrze, Maude Chambliss — powiedział. — Zbyt ostro pani widzi. Ma pani nieroztropne serce.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Wypływanie w mgłę. Sarenka. Mój chłopiec.

— Nie rozumiem.

— To prawda — potwierdził. — Nie rozumie pani.

Wróciliśmy do ciężarówki, przytuliłam do siebie śpiące dziecko i pojechaliśmy w kierunku Zacisza, by mnie odwieźć do Liberty. Niewiele mówiliśmy, a gdy dotarliśmy do miejsca, gdzie stare wiosło wskazywało drogę, odchrząknął.

— Jesteśmy pani bardzo zobowiązani — rzekł. — Dla pani własnego dobra proszę, żeby pani nie wspominała o dzisiejszym dniu swojej rodzinie ani sąsiadom. Rozumiem, że zrobiła to pani z dobrego serca i dziękuję pani za to. Ale inni tutaj nie rozumieją tego.

— To znaczy nic nie mówić ani o wypadku, ani nic?

— To właśnie miałem na myśli. Pani teściowej ani Krystyny na ogół nie ma jeszcze o tej porze, i jeśli pani zmieni ubranie, nie będzie powodu, żeby się dowiedzieli. Wszyscy inni są albo na lunchu, albo na morzu. Zostawię panią i pojedę położyć tego bąka do łóżka. To było bardzo dobre, co pani powiedziała o bliźnie.

Skinęłam w milczeniu głową i gdy wjechał na drogę dojazdową do Liberty zobaczyłam, że miał rację; nie widać było nikogo z mojej rodziny. Całe lotnisko wyglądało jak wymarłe. Ale gdy wyszłam z samochodu, rozczochrana i brudna, mokra od źródlanej wody i ciągle jeszcze spryskana krwią, Panny Izabela i Charlotta Valentine wychodziły właśnie z domu trzymając w dłoniach obciążonych rękawiczkami wizytówki. Ogarnęła mnie przemożna chęć śmiechu, wycia, skręcania się wprost od śmiechu, śmiania się tak, że padnę na trawę i własna radość mnie zadusi. Najpierw koralowy szlafrok i ślady zębów, teraz rozwiane włosy, krew, poplamiona trawą sukienka i ciężarówka Micaha Willisa.

— Dzień dobry — powiedziałam do nich, tak jak tamtego dnia, który wydawał się odległy o całą długość życia. — Piękny dzień, prawda?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Na początku stycznia następnego roku okazało się, że jestem w ciąży i znów letni świat Zacisza zawęził się dla mnie do skrawka, który mogłam oglądać, czuć i słyszeć z werandy domu. Tego lata, gdy przyjechaliśmy, moja teściowa położyła mnie od razu pod warstwami wełny, prawie nim zdążyłam zdjąć kapelusz.

— Naprawdę myślę, że to nierozsądne ze strony Piotra, że przywiózł cię tutaj, ale on oczywiście nigdy nie słucha matki, więc przyjechałaś — powiedziała, przynosząc mi gorące mleko i odżywkę na werandę. Nie znosiłam jednego i drugiego.

— Czuję się doskonale — zapewniłam. — To już pięć miesięcy. Może wyglądam jak beka, ale nigdy w życiu nie czułam się lepiej. Mój lekarz w domu uważa, że umiarkowane ćwiczenia powinny mi dobrze zrobić.

— To ten młody człowiek gdzieś z Zachodu, prawda? — zapytała słodko.

Doktor Canfield z St. Louis, którego bardzo oboje z Piotrem lubiliśmy od czasu pierwszej wizyty u niego w Concord, zaczął w moich oczach maleć z szybkością błyskawicy. Anna była poirytowana, ponieważ nie zgodziłam się na przyjazd do Bostonu na sześć tygodni przed rozwiązaniem i urodzenie tam dziecka.

— Missouri — odparłam, postanowiwszy, że będę z nią żyła w zgodzie tego lata. — I wygląda na znacznie młodszego niż jest w rzeczywistości. Naprawdę, mamę. Będę się czuła strasznie, jeśli będę musiała całe lato leżeć.

— Zobaczmy, co powie doktor Lincoln — uśmiechnęła się lekko. — Prosiłam, żeby cię zbadał jutro rano. Nie możesz w twoim stanie przebywać tu w tej dziczy, jeśli nie będziesz pod opieką lekarza. Nie mogę brać za ciebie odpowiedzialności.

— Myślę, że Piotr robi to z przyjemnością — odpowiedziałam czując, że mój dopiero co uzyskany spokój ulotnił się natychmiast.

— Piotr... — powiedziała z czułym lekceważeniem. — Cóż mój beztroski syn może wiedzieć o przyszłych matkach? Dwa razy byłam tu w twoim stanie, i doktor Lincoln zawsze miał mnie pod swoją opieką.

Myślę, że oboje utrzymamy cię w zdrowiu i bezpieczeństwie. A to, moja droga, znaczy, że koniec z bieganiem po urwiskach i wałęsaniem się po morzu. I po cmentarzach — dodała, wyraźnie nie patrząc na mnie.

— Wiedziałam, że w końcu o tym usłyszę — powiedziałam tego wieczora do Piotra, gdy już leżeliśmy w łóżku na górze, zmęczeni, pod Wielką Pieczęcią Princeton. — Dziwiłam się, dlaczego nie usłyszałam przytyku zeszłego lata, gdy się to zdarzyło. A co do doktora Lincolna. Piotrze, on jest staroświecki! Możliwe, że gdy był w kwiecie wieku, pakowali kobiety w ciąży do łóżka na dziewięć miesięcy, ale doktor Canfield mówił...

— Wiem — powiedział, głaszcząc mnie po policzku, a potem przesuwał rękę spod moich piersi na kopic mego brzucha.

Dziecko było bardziej niż zwykle niespokojne tego wieczora; podróż z Northpoint, choć jechaliśmy przez dwa dni zamiast jednego i często zatrzymywaliśmy się w drodze, była jednak ciężka i męcząca. Ręka Piotra poruszała się wraz z ruchami dziecka.

— Obiecuję, że już nigdy nie usłyszysz o oceanach ani o cmentarzach. Pozwól przez tydzień, dwa, jej i doktorowi Lincolnowi na ich metody, a założę się, że dadzą potem spokój. Choć, mówiąc prawdę, ani trochę nie żałuję, że malec będzie cię trzymał z dala od cmentarzy i oceanów w tym roku.

Rzuciłam mu szybkie spojrzenie, ale nic więcej nie powiedział. Nie zrobił żadnej uwagi na temat mojej wyprawy do miasteczka i na cmentarz z Micahem Willisem, wtedy, gdy to miało miejsce zeszłego lata. Powiedział nawet matce, iż rozwiódłby się z kobietą, która by pozwoliła, żeby dziecko wykrawiło się na śmierć dlatego tylko, że jest miejscowe. A gdy ona odrzekła:

— Oczywiście, nie o to mi chodziło, myślałam o tym, jak to wygląda, ta jazda ciężarówką sam na sam z Micahem — prawie warknął, zaś ona napadła na niego:

— Piotrze Chambliss, tylko dlatego, że jesteś teraz żonaty...

Wtedy Duży Piotr wyszedł ze swej kryjówki, w której pozostawał przez ostatnie trzy dni i powiedział:

— Mam nadzieję, że to jak wyglądałoby martwe dziecko na progu twego domu bardziej by cię zdenerwowało, Anno — i powrócił do swojej nory zatrasnąwszy drzwi, a ona odwróciła się i poszła na górę. Nic więcej nie słyszałam tego lata o wypadku, ale gdy wyjeżdżaliśmy do Northpoint, miałam uczucie, że z rajskiego więzienia wydostaję się na błogosławione zwykłe powietrze.

— Piotrze, czy to może być dobre dla mnie albo dla dziecka, jeśli będę przez całe lato zmęczona i nieszczęśliwa? — zapytałam zdając sobie sprawę, że to uczuciowy szantaż, ale nie umiałam w inny sposób trafić mu do przekonania.

— Maude, jeśli naprawdę czujesz się tu tak nieszczęśliwa w tym roku — jeśli rzeczywiście, naprawdę, jesteś nieszczęśliwa — to po prostu więcej tu nie przyjedziemy. Przyrzekam ci to. Nie chcę cię każdego lata przez całe

życie skazywać na tortury. Ale tym razem spróbujemy jeszcze raz. Będzie inaczej. Ona przestanie cię krytykować, mówiliśmy o tym. Obiecała spróbować i zrobi to. Ty też spróbuj. Spróbuj troszeczkę myśleć w jej sposób. Bardzo się trudziła by zdobyć swoją pozycję na letniku; zna reguły gry. Naprawdę wierzę, że próbuje ci pokazać jak się tu dopasować.

— Czy to jest dobre miejsce, jeśli nie można tu być sobą? — zapytałam ponuro. Byłam osaczona, wiedziałam o tym. — Czy chcesz, żeby twoje dziecko wyrastało w ciągłym ograniczaniu się do czyjegoś szablonu? Czy chciałbyś, żeby on — czy ona — było tak obwarowane przepisami?

Ściągnął srebrzyste brwi nad szarymi oczami i spojrzał na mnie z prawdziwym zdumieniem.

— Dlaczego miałoby być? — zapytał. — Ja nie byłem ograniczany. I nie jestem. Zawsze tu byłem sobą.

Myślę, że dopiero wtedy zdałam sobie jasno i beznadziejnie sprawę, że w Zaciszu boska swoboda mężczyzn zawsze była okupowana ofiarnymi łańcuchami kobiet. Piotr naprawdę nie rozumiał, co mnie dręczyło.

— Więc lepiej módl się, żeby to dziecko było chłopcem — powiedziałam półszepem, przewracając się na łóżku i próbując znaleźć miejsce dla mojego brzucha na nierównym materacu. Bardzo długo nie mogłam zasnąć tej nocy.

Na początku nie było tak źle. Doktor Lincoln, co dla nikogo nie było niespodzianką, zgodził się ze zdaniem mojej teściowej i przepisał mi łażak na werandzie. Ale dotrzymując danego słowa, Mama Anna nie pouczała mnie ani nie robiła mi żadnych wyrzutów tego lata i jeśli jej towarzystwo popołudniami nie było szczególnie podniecające, było jednak uspokajające. Obojętne i dość miłe. Czytała mi głośno w zimne czerwcowe popołudnia książki, które czytywała sama, gdy była młoda — „Penrod i Sam”, „Jane Eyre”, „Silas Marner” — i sama była zdziwiona, gdy zaczęłam oczekiwać tych kilku godzin, zanim skłaniano mnie do drzemki, która nie była mi potrzebna. Rankami, gdy ona i Krystyna wychodziły, Piotr siadywał przy mnie na werandzie, sortując notatki i odczytując na nowo zadania. Miał prawdziwe powołanie do uczenia; zawsze interesowały go umysły młodych chłopców i zawsze był przekonany o wadze tego, co w nie wkładano. Czasem mówiliśmy o dziecku, ale w sposób raczej abstrakcyjny, bez tych rozważań, które — mógłby ktoś sądzić — powinny prowadzić przyszli młodzi rodzice. Wiedziałam, że ze strony Piotra było to tylko oczarowanie ideą ojcostwa, ale nie docierała do niego jego realność. Nie rozmawiał o przepisach, niańkach i organizowaniu życia z małym dzieckiem. Natomiast mówił o dorastaniu dziecka: jaki zawód obierze, jakiego rodzaju będzie człowiekiem, co będzie dla niego znaczyło jego bostońsko-charlestońskie pochodzenie. I często mówił, patrząc na mnie i udając lubieżność:

— To dziecko napompowało nieźle wszystkie stare poduszki, pani Ch. Czy jest pani pewna, że nie moglibyśmy, raz...

— Doktor Lincoln mówi, że nie — odpowiadałam.

— Do diabła z doktorem Lincolnem. Łatwo mu ordynować abstynencję. Pewnie zapomniał, jak to było dwadzieścia lat temu.

Co do mnie, nie wychodziłam myślami poza chwilę, gdy zaczęły się moje bóle. Wydawało mi się jakoś, że będę miała bóle i pojedę do szpitala, a tam wypuszczę powietrze jak z balona, wrócę do domu i zacznę od początku moje dawne życie. Fakt, że gumowa, elastyczna piłka w moim brzuchu zmieni nas oboje w zupełnie innych ludzi do końca naszego życia, pozostawał tego lata poza moją zdolnością rozumienia. Ciągłe jeszcze uczyłam się bycia żoną, uczyłam się bycia synową. Z pewnością nie można było jeszcze żądać ode mnie znajomości roli matki. Nie, naprawdę. Bez końca zamartwiałam się w tamtych dniach, że nie potrafię kochać dziecka.

Kiedyś zwierzyłam się z tego Piotrowi.

— To najgłupsze co kiedykolwiek słyszałem — odpowiedział. — Oczywiście, że potrafisz. To przyjdzie razem z dzieckiem.

— Czy kochałaś Piotra od chwili, gdy go zobaczyłaś? — zapytałam Annę.

— Natychmiast — odparła. — To było najwyższe uniesienie jakiego kiedykolwiek doznałam. Otrzymujemy to w darze razem z naszymi dziećmi, jestem tego pewna.

Ale ja nie byłam tego pewna. Wiele dałabym za to, żeby móc porozmawiać z Amy o tych wątpliwościach i lękach, ale Parker zabrał ją w podróż związaną z interesami do Hongkongu i mieli wrócić do Pięknego Brzegu dopiero w połowie lipca. Nie było nikogo innego z Zaciszu, z kim mogłabym choćby marzyć o rozmowie. Raz, gdzieś znikąd, wypłynęła ku mnie ciemna twarz Micaha Willisa i zdałam sobie sprawę, że gdybym miała do niego dostęp, mówiłabym z nim bez wahania. Ale oczywiście nie miałam dostępu i nie mogłam z nim rozmawiać. To rozumiało się samo przez się, po tym jak zeszłego lata odwiózł mnie do domu na oczach panien Valentine.

W drugim tygodniu Piotr i stary Micah spuścili „Annę” na wodę i potem pozostawałam już sama w słoneczne spokojne poranki na werandzie.

— Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? — pytał Piotr w drzwiach drżąc z pragnienia wyrwania się na roztańczoną błękitną zatokę.

— Nie. Naprawdę nie. Idź. Wolę wiedzieć, że jesteś szczęśliwy wychodząc, niż gdybyś miał tu tkwić. Ja i tak nie mogę nigdzie wyjść.

— To do wieczora — powiedział, ucałował mnie i poszedł. Potem godziny uwięzienia denerwowały mnie aż do bólu. Pragnęłam, żeby dziecko urodziło się przedwcześnie, żebyśmy już mieli to poza sobą i żebym mogła być znów swobodna, a później czułam się nieszczęśliwa i winna z powodu tych pragnień. Zaczął się zły dla mnie czas.

Na początku trzeciego tygodnia mój teść wyszedł na werandę i spostrzegł, że płakałam.

— Maude, co się stało, kochana? Czy źle się czujesz? Czy mam wezwać Ridleya Lincolna?

Nigdy nie słyszałam u niego tak podnieconego głosu. Biedak myślał pewnie, że jest w domu sam z kobietą, która zaraz zacznie rodzić. Uśmiechnęłam się słabo do niego i potrząsnęłam głową.

— Nie. Czuję się dobrze — powiedziałam. — Iw tym rzecz, papo. Czuję się doskonale, a od trzech tygodni nie wstaję, chyba tylko po to, żeby przejść do łóżka. Przykro mi, wiem, że wszyscy uważają, iż to najlepszy sposób, ale ja jestem przyzwyczajona do przebywania na powietrzu, poza domem. Brak mi lasów. Och, tak bardzo brak mi wody...

Zamilkłam, czując, że głos mi się załamuje. Naprawdę nie chciałam go niepokoić. Przez większą część miesiąca był milczący i wycofany z życia, rzadko go widywałam. Bałam się, że scena ze mną może go nieodwołalnie pchnąć w depresję.

Usiadł, ujął mnie za rękę i uściśnął ją w roztargnieniu, a ja patrzyłam na niego zdziwiona. Poza rytualnymi pocałunkami w policzek, nigdy mnie nie dotykał. Nie zauważył mego spojrzenia; patrzył w dal na wodę. Zatoka była spokojna i owiana mgłą, trudno było rozstrzygnąć gdzie się ona kończy a zaczyna morze. Jak na czerwiec, na werandzie było bardzo ciepło.

Zwrócił z powrotem głowę w moją stronę i uśmiechnął się. Mimo woli odwzajemniłam ten uśmiech, tak bardzo był podobny do mojego Piotra.

— Więc będziesz miała wodę — oświadczył. — Powiedz mi, gdzie jest twój sweter; zabiorę cię na mały spacer. To część Zacisza, której jeszcze nie znasz. Myślę, że będzie ci się bardzo podobała.

— Ale Mama Anna... — zaczęłam.

— Załatwię to z Anną — odparł, ciągle się uśmiechając. — Trzeba, żebym spędził trochę czasu z moją synową, zanim zrobi mnie dziadkiem. Nie jest łatwo komuś nowemu w Zaciszu, moja droga. Dobrze byłoby, żeby Anna częściej o tym pamiętała. Kiedyś była na twoim miejscu.

Wyprowadził wielki turystyczny samochód, którym on i Anna jeździli co roku do Maine i usadowił mnie na przednim siedzeniu. Wypadliśmy z podjazdu do Liberty na drogę za skrzyżowaniem bocznych dróg do Pięknego Brzegu i do Ogrodu Mary, Jodłowego Domku i Krańca Ziemi. Byliśmy prawie w połowie głównej drogi do miasteczka, gdy zatrzymał samochód i odgarnąwszy ogromne gałęzie zwisających rododendronów, otworzył srebrzystą, zniszczoną przez deszcz bramę. Nie było tam żadnego znaku, ani skrzynki pocztowej, ani wskazówki, że jest jeszcze jakaś inna droga za zasłoną rododendronów, ale widziałam, że była. Prześlizgiwała się przez gęsty sosnowy, świerkowy i brzozyowy las jak duch — biała piaskowa wstęga w zielonym półmroku. Nigdy by nie zgadł, że tam jest. Zastanawiałam się, jak dużo osób o tym wiedziało.

— Dokąd jedziemy? — zapytałam, gdy powoli wjechaliśmy na nią. Gałęzie tak mocno ocierały się o samochód, że dosłownie musieliśmy się przez nie przedzierać. Zniżyłam głos do szeptu. W tej zielonej ciszy, zwykły głos brzmiałby jak krzyk.

— Odwiedzić kogoś z moich bardzo starych przyjaciół, kto ma najpiękniejszy widok na morze na całym przylądku i kto, jak myślę, chciałby cię poznać. Myślę, że i ty ją polubisz.

Wyraz twarzy mego teścia był spokojny i obojętny, ale w jego oczach i głosie było coś tajemniczego i radosnego. Przypominały oczy i głos dziecka oczekującego Gwiazdki.

Nagle zrozumiałam.

— To Orle Gniazdo, prawda? — zapytałam. — Widziałam spod Pięknego Brzegu jego zarysy ze skał. Amy mówiła mi o jego mieszkańcach: Fowlerowie? Mówiła, że pani Fowler jest chora i że nikt ich nigdy nie widział.

— Tak, to Orle Gniazdo — uśmiechnął się do mnie. — Mieszkają tu Sara i Douglas Fowlerowie. Niewiele osób ich widziało. Znałem Sarę jeszcze gdy byliśmy dziećmi; dom należał do jej rodziny. Douglas przyjechał tu tego lata kiedy się pobrali i polubił go, a odkąd Sara zachorowała zawsze przywozi ją tu na lato. Wydaje się, że to jej dobrze robi. Sara zawsze kochała lasy i morze.

— Czy ona... jest bardzo chora? — zapytałam. Wydało mi się dziwne, że niepokoi chorą kobietę, bez względu na to od jak dawna się przyjaźnią.

— To trudno powiedzieć — odparł. — Przeważnie nie widzę zmiany; wydaje się taka jak zawsze. Czasem nie rozmawia, ale właściwie nigdy nie mówiła zbyt dużo. Wiem, że cieszy się gdy przyjeżdżam; nie robiłbym tego, gdybym nie miał pewności.

Nic nie odpowiedziałam; odwiedzał więc stale to zakazane miejsce? Kiedy tu przyjeżdżał? Myślę, że wtedy, gdy udawał się rankami do obozowiska w Rosier Pond, ale może źle zrozumiałam. Mój Piotr nigdy nie wspominał o Fowlerach.

Znów spojrział na mnie, odgadując moje zmieszanie.

— Choroba Sary nazywa się schizofrenia — powiedział. — Przynajmniej taką nazwę nadają jej lekarze. Straciła troje dzieci, jedno po drugim, śmierć trzeciego wytrąciła ją z równowagi; spędza tu dużo czasu. Gdy jest... z nami, jest prawie tak normalna jak zawsze, choć ma skłonność do mówienia tego co jej przyjdzie na myśl, co, jak możesz sobie wyobrazić, jest zgubnym zwyczajem w takim miejscu jak Zaciszce. Wychodziliby pewnie częściej, ale Sara zawsze nie znosiła towarzyskich obowiązków naszych letnich sezonów. Myślę, że właściwie prowadzi takie życie, jakie jej odpowiada.

— Mam nadzieję, że nie zakłócę jej spokoju — powiedziałam zaniepokojona. Pojęłam, że rozwiła się tajemniczość otaczająca to miejsce. Biedna kobieta: straciła troje dzieci, a ja w sposób widoczny jestem w zaawansowanej ciąży.

— Nie, ona chce cię poznać. Opowiadałem jej trochę o tobie. Uważa, że macie dużo wspólnego. Wie o twoim dziecku, jeśli to cię niepokoi.

Wyjechaliśmy z zielonego tunelu i widok otoczenia i morza pozbawił mnie tchu. Wielki dom o ścianach wyłożonych brązowymi gontami stał na samej krawędzi ściany skalnej, na polanie otoczonej gęstym lasem, a okna jego wychodziły wprost na morze. Trzy ściany wisiły niemal w lazurowym powietrzu. Krążyły nad nim mowy, a wiatr, który tylko kapryśnie powiewał w Liberty — tu poniżej huczał, jakby wydawał okrzyki radości.

Absurdalna myśl przebiegła mi przez głowę, że gdyby człowiek mieszkał w tym domu, w tym miejscu, umiałby fruwać. Daleko, daleko za nami drzemały Isle au Haut i Noryh Haven, a za nimi wzgórza Camden. Żagle wyglądały jak confetti na tym dzikim niezmiernym błękitcie. Jeden z nich — wiedziałam — należał do Piotra. U podnóża domu rosły bujnie kwiaty, a schody z poręczą prowadziły za urwisko i dalej, poza zasięg wzroku. Wszystko tu było żywiołowe: słońce, morze, wiatr, skała. Chciałam krzyknąć z czystej radości.

— Czy wystarczy ci tyle wody? — zapytał Duży Piotr, uśmiechając się na widok mojej zachwyconej twarzy i otwartych ust.

— Och, — powiedziałam słabo. — Och, to jest wspaniałe! O Boże.

Od schodów szedł w naszą stronę mężczyzna — stary człowiek — pomyślałam w pierwszej chwili, a potem zobaczyłam, że nie był starszy niż mój teść, ale pochylony i wąły, jakby trochę spłóviały. Ale uśmiech jego był pełen ciepła.

— Będzie pani mogła zobaczyć dlaczego nazywamy to Orlim Gniazdem — powiedział Douglas Fowler, gdy zostałam mu przedstawiona.

— Nazwałabym to niebem — wyznałam szczerze. — Wydaje mi się, że nigdy nie wyjechałabym stąd.

I nagle zaczerwieniłam się gwałtownie, ponieważ oczywiście oni wyjeżdżali. Ale powiedział tylko:

— Sara ma takie same odczucia jak pani. Jeśli kiedykolwiek widziałem ją płaczącą to wtedy, gdy wyjeżdżamy z powrotem do Vermont we wrześniu.

Nie z powodu dzieci? — pomyślałam. Ale oczywiście nie powiedziałam tego.

Wewnątrz, olbrzymi pokój ciągnął się przez całą długość domu; okna o wielu małych szybkach zajmowały całą szerokość ściany i wychodziły na kamienny taras, skrawek trawnika i dalej na dziki, przenikający wszystko błękit. Pomyślałam, że powinni zrobić wszystko co możliwe, żeby przedłużyć życie w tym pokoju, i chyba to robili: jedli, spali, pracowali, bawili się, kochali. W jednym końcu ogromny, szerniały kominek obudowany półkami bibliotecznymi zajmował całą ścianę; dokoła niego rozsiadły się grube, rozparte sofy, fotele i kanapy. Na drugim końcu stał okrągły, dębowy stół jadalny i krzesła. Przy ścianie z oknami, w których wnękach umieszczono ławeczki, ustawiono sztalugę, a trochę dalej małą mosiężną lunetę, wycelowaną w morze. Na krokwiach leżały stare, szerniałe, grube deski. Była też antresola pierwszego piętra, na którym mieściły się, jak przypuszczałam, sypialnie i łazienki. Rozłożone były jasne dywany i poduszki. Rozrzucone książki, gazety i magazyny; kwiaty jarzyły się na stołach i na gzymsie kominka; płonął na nim ogień, a na zniszczonym, wytartym dywanie przed nim drzemały dwa wielkie owczarki szkockie.

— Gdy umrę, tu mam nadzieję przyjść — powiedziałam do Douglasa Fowlera, a on się roześmiał i to samo zrobił ktoś jeszcze. Rozejrzałam się szybko wokoło i nikogo nie spostrzegłam, a potem nagle zobaczyłam.

Stała przy stole obok sofy, przy wejściu do holu, przez który dopiero co przeszliśmy i pomyślałam w pierwszej chwili: dobry Boże, ona jest duchem. Nigdy nie widziałam żywej istoty tak bladej jak Sara Fowler. W półmroku wielkiego pokoju była prawie przezroczysta.

A potem pomyślałam: jakże jest piękna! Bo była piękna. Wysoka, a robiła wrażenie jeszcze wyższej z powodu swej niezwyklej szczupłości; miała budowę łani czy charta wyścigowego a twarz rzeźby klasycznej. Takie twarze mają kobiety na średniowiecznych grobowcach, u ich stóp leży zwinięty charcik.

— Widzę, że przywiozłeś swego małego zbiega — powiedziała do Dużego Piotra i uśmiechnęła się do mnie, podeszła i pocałowała go w policzek. Jej twarz była piękna, bezkrwista i łagodna, oczy pełne światła a popielate włosy opadały jej na plecy. Wydawała się cała być ze srebra. Położył lekko rękę na jej włosach, dotknął ich delikatnie, jakby chciał je szcesać z policzka i nagle zrozumiałam, że kochał ją tak jak mężczyzna kocha kobietę — i że kocha ją od bardzo dawna. Z nagłym przebłyskiem wiedzy, który przychodzi w takich chwilach, pojęłam, że ona też go kocha i że jej bladej męża wiedział o tym, i że żadne z nich trojga nigdy o tym nie mówi. Nie umiałabym powiedzieć, skąd to wiedziałam, ale tego rodzaju wiedza spadała na mnie kilka razy w życiu, jakby wraz z oddechem. I za każdym razem ponad wszelką wątpliwość wiedziałam, że to prawda, i tak było. Mogłabym zapłakać nad beznadziejnością tego pocałunku i tego dotknięcia srebrnych włosów, tam w tym salonie obłąkanej kobiety.

Ale Sara Fowler uśmiechnęła się, z prawdziwą radością wzięła mnie za obie ręce i powiedziała:

— Prosiłam Piotra, żeby panią przywiózł, gdy usłyszałam, że Ridley Lincoln zapakował panią do łóżka. Stary wariat. Oczywiście, że musi pani wstawać i wychodzić na słońce; oczywiście, że musi pani mieć morze. To mnie uzdrowiało, gdy... byłam chora. To będzie i panią utrzymywało w zdrowiu. Chciałabym, żeby pani zeszła tymi schodami na plażę i tam usiadła, i niech to wszystko panią obmyje, podczas gdy ja będę rozmawiała z Piotrem a Douglas zejdzie do miasteczka. Gdy już się pani nasyci, proszę wrócić na herbatę.

— Saro, nie wiem, czy Maude może sama tymi schodami... zaczął Duży Piotr ale ona przyłożyła palec do warg i umilkł.

— Potrzebna jej przede wszystkim samotność, Piotrze. Uwierz mi, wiem o tym. Tu są czary, ale działają tylko w samotności.

— Proszę — zawołałam, oszalała nagle na myśl o zejściu schodami do morza; umierałam z tęsknoty za wodą.

Skinęła głową; wyszłam przez drzwi na taras i przeszłam go w mgnieniu oka, wprost pod strumień wiatru. Pochwyił mnie i obmył niczym woda, zimny, mokry, pachnący sosnami, solą, dałą i ciemnymi tajemniczymi miejscami pełnymi zieleni. Rozłożyłam ramiona, roześmiałam się głośno i spłynęłam z wiatrem po schodach biegnących po skalnej ścianie ku plaży i morzu.

To była pod każdym względem sekretna plaża, doskonały mały sierp pełen błyszczących kamieni z wielkimi, sterczącymi, różowymi głazami osłaniającymi go z obu stron; a powyżej było urwisko, dom i niebo. Nikt, nawet w tym domu, nie wiedziałby, że tu jesteś. Nie ścigał cię niczyj wzrok ani głos. Żadne języki nie mogłyby mówić o tym. Stałam tam sama, obmywana wciąż i wciąż przez morze i słony wiatr, a potem podciągnęłam spódnicę i weszłam do wody.

Była jasnozielona i zimna jak lodowata woda sodowa, musująca i sycząca, i jak straszna wydawała mi się zeszłego lata, tak cudowna była teraz. Łacha piasku pod wodą była równa i gęsta; brodziłam w wodzie, rozbrzygiwałam ją, pochylałam się i opryskiwałam zimną wodą twarz i ramiona, skakałam, kopałam i śpiewałam.

— „Tak, nie mAmy bananów” — wyśpiewywałam głośno. — „Nie mAmy dziś bananów” i „Pracowałam na kalei przez cały długi dzień”, i „Jest trzecia nad ranem, przetańczyliśmy całą noc”.

I nagle znów stałam się stworzeniem pełnym lekkości i wdzięku, dziewczyną, która naprawdę może przetańczyć całą noc z mężczyzną, który przywiózł jej naręczę bzów. Słońce świeciło, woda napływała falami i drzemała, a ja byłam młoda i wszystko wydawało mi się możliwe. Póki żyję będę pamiętać ten poranek na plaży pod Orlim Gniazdem.

Gdy przestałam brodzić w wodzie, znalazłam wygrzane słońcem wgłębienie w wielkim stosie skał, usiadłam tam i zamknęłam oczy pozwalając, by wiatr, słońce i morze przenikały mą skórę, aż nie pozostała we mnie żadna świadoma myśl i nie mogłabym powiedzieć, gdzie są moje granice, gdzie są granice morza i nieba. Dziecko było bardzo spokojne, wysoki dźwięk, który miałam w uszach zdawał się muzyką samej ziemi. Myślę, że spałam przez chwilę. Kiedy usłyszałam głos wołającego mnie teścia, słońce stało już wyżej na niebie, a policzki i nos zaczęły mnie piec. Opuśczenie tej plaży wydało mi się jedną z najcięższych prób.

Piliśmy herbatę i rozmawiali właściwie o niczym; zwykła miła rozmowa o tym, kto jest na lotnisku, a kto nie przyjedzie; o książkach, sztukach i prohibicji; o pracy w ogrodzie, o muzyce i filmach. Nie mówiliśmy o moim dziecku ani o Piotrze, ani o mojej teściowej, ani o Douglasie Fowlerze i wcale nie wydawało mi się to dziwne. Gdy Douglas wrócił z miasteczka objuczony zakupami, Sara uśmiechnęła się z prawdziwą czułością, a gdy żegnałyśmy się obdarzyła mnie takim sAmym uśmiechem mówiąc:

— Myślę, że moja kryjówka pani służy. Jest coś, co musi pani wiedzieć o Zaciszu, Maude: kilkoro spośród nas zawsze będzie potrzebowało od czasu do czasu kryjówki. Myślę, że pani do nich należy. Wiem, że ja należę. Mam nadzieję, że moja plaża może stać się pani plażą. Proszę z niej korzystać, kiedykolwiek pani zechce, tylko proszę pamiętać, że to jest naprawdę tajemnica.

— Bardzo bym tego chciała — łzy napłynęły mi do oczu i zdziwiło mnie to, jak bardzo są palące. — Naprawdę. Nigdy nie widziałam... lepszego miejsca.

— Proszę więc niedługo przyjechać — powiedziała i zwróciła się do Dużego Piotra. — Ty przyjedź także — mówiąc to przyłożyła palec do jego policzka. — Przyjeżdżaj i przywoź Maude tak często, jak będziesz uważał, że możesz.

Jej głos był inny, gdy do niego mówiła. Odwróciłam się w stronę samochodu, żeby nie widzieć jej ani jego oczu, mruczając podziękowania przez ramię. Douglas Fowler z obydwoma owczarkami odprowadził mnie przez taras.

— Mam nadzieję, że pani jeszcze przyjedzie — powiedział swoim nowoangielskim głosem, ucinając końcówki wyrazów. — Poza Lottie Padget, od lat nie odwiedzają jej żadne kobiety. Tylko Piotr. Myślę, że cudownie jej zrobiła pani wizyta. Widzę, że polubiła panią.

— Dziękuję, naprawdę niam nadzieję, że będę mogła — odparłam. — Bardzo dziękuję za przyjęcie nas.

— Życzę pani wszystkiego najlepszego z powodu maleństwa, Miss Maude. To piękne chwile dla kobiety. Niech się pani nimi cieszy. Gdy przyjdzie następne lato zamęczy się pani biegając za nim.

Pomyślałam o jego własnych dzieciach, za którymi nigdy nie będzie biegać piękna, jasna kobieta w domu na skale.

— Dziękuję — powiedziałam drżącymi wargami. Wtedy nadszedł Duży Piotr, pożegnaliśmy się i wyjechali. Nie rozmawialiśmy do chwili powrotu do Liberty, ale milczenie nie ciążyło nam.

— Jeżdżę tam raz albo dwa razy w tygodniu — powiedział takim tonem jakby mówił o pogodzie. — Dzięki temu Douglas może iść po zakupy, a ja mogę zobaczyć jak się czuje Sara. To jest coś takiego jak ucieczka; jestem przekonany, że cała rodzina myśli, że jestem w obozowisku. Sara nie miałaby nic przeciwko temu, żeby wiedzieli, ale... to takie szczególne miejsce. Lubię to uczucie, że mam tu jakąś tajemnicę.

Zdawałam sobie sprawę, że w delikatny sposób prosi mnie, bym nie wspominała o naszej wizycie ani o tym, że sam tam często bywa i bywał od wielu lat. Wiedziałam, że nie powiem nikomu, nawet Piotrowi. Plaża była także moją tajemnicą.

— Rozumiem dlaczego — powiedziałam. — Jeżdżenie tam często to byłoby po prostu raj.

— Wobec tego, moja śliczna Maude, będziemy tu przyjeżdżać przynajmniej raz w tygodniu, zanim wyjedziesz do domu i będziesz miała swoje dziecko — uśmiechnął się do mnie. — Nie wydaje mi się, żebyś potem miała najdrobniejszą szansę na tyle swobody, by jeździć sama z twoim teściem, ale to lato będzie twoje i moje, żebyśmy mogli się wzajemnie poznać i żeby dać ci próbkę zakazanych rozkoszy samotności i słonej wody. Nikt nie może mieć nic przeciwko temu pierwszemu, a co do drugiego — jeśli nie będą o tym wiedzieć, nikt nie poczuje się dotknięty.

— Dziękuję — powiedziałam, pochyliłam się i ucałowałam go w policzek. — To nie jest tak, że nie lubię być z... ze wszystkimi. Po prostu...

— Wiem — powiedział. — Naprawdę wiem.

I tak raz w tygodniu, do połowy lipca, wyjeżdżaliśmy marmonem, mój teść i ja, i jechaliśmy do Orlego Gniazda, jak dzieci na wagarach. Zawsze będę odczuwała wdzięczność za te spokojne, błogosławione morzem poranki. Pozwoliły mi się tego lata zmierzyć z samą sobą i dały mi wszystko, co mogłam zachować z człowieka, który był ojcem mego męża. 18 lipca, Duży Piotr miał atak serca, gdy pływał w lodowatej wodzie Rosier Pond i zmarł zanim wezwany natychmiast szeryf zdołał odwieźć go do szpitala w Castine. Pierwsze, o czym pomyślałam, gdy przyniesiono nam tę wiadomość, było: kto powie Sarze? Och, czy jest ktoś kto mógłby to zrobić?

Jeśli myślałam o tym, że mogłabym służyć mojej teściowej jako podpora w tych ciężkich dniach, to bardzo szybko doszłam do wniosku, że się myliłam, i że jestem niepotrzebna. Istnieje pewien wymuszony, niezmienny rytuał w Zaciszu, jeśli chodzi o śmierć, a nazywa się on „My”. Nikt spoza sfery nie ma do nikogo dostępu.

To Dierdre i Guildford Kennedy z Camp Corpy przyszedli, przyprowadzając doktora Lincolna. Kennedy'owie mają małą, po wiejsku urządzonej siedzibę na Rosier Pond, tak jak rodzina Piotra. Dowiedziałam się później, że Guildford pływał z Dużym Piotrem ale wydrapał się na brzeg basenu portowego, żeby się poopalać i w chwilę później usłyszał wołanie mojego teścia. Natychmiast wskoczył do wody, wyciągnął Dużego Piotra na brzeg i kazał Dierdre wezwać szeryfa i Lincolna Ridley'a. Kennedy'owie pojechali z szeryfem Carterem do szpitala, podtrzymując Dużego Piotra muskularnymi ramionami. Szeryf pobił wszystkie rekordy prędkości, ale gdzieś w połowie drogi Dierdre Kennedy powiedziała:

— Chyba nas opuścił. — A Ridley Lincoln, który czekał na schodach szpitala, potwierdził to. Mama Anna, gdy jej to powiedzieli, usiadła z kamiennym spokojem, blada i milcząca, a ja zatoczyłam się na leżak stojący na werandzie, czując jak krew odpływa mi z twarzy i rąk. Wiedziałam, że po ciszy wybuchnie żal i będzie straszny. Bardzo pokochałam Dużego Piotra w ciągu tych kilku tygodni.

Nikły, łagodny dźwięk, jakby westchnienie — tylko to — dobiegł mnie od strony mojej teściowej.

— Anno, kochanie. Pozwól że poproszę kogoś do ciebie. Maude jest tutaj, poproszę Maude.

— Nie — powiedziała Mama Anna. — Jej głos brzmiał jak głos bardzo starej kobiety. — Piotr. Chcę, żeby Piotr przyszedł.

— Och, moja droga — szepnęła Dierdre Kennedy i zdałam sobie sprawę, że myśli, iż Mama Anna mówi o Dużym Piotrze. Wiedziałam, że się myli.

— Mój syn — powiedziała Mama Anna. — Chcę mego syna.

— Guild posłał już paru ludzi po niego — rzekła Dierdre. — Przywiózł go najszybciej jak się da. Ale na razie, Maude.

— Nie chcę Maude — powiedziała moja teściowa. Była bardzo spokojna.

I tak, bardzo długo tego straszego dnia, siedziałam sama na werandzie Liberty i czekałam, aż nadejdą Piotr i żal, a dom powoli napełniał się kobietami.

Teraz już do tego przywykłam, oczywiście; we własnych kościach odczuwam ten odgłos bębnow w dżungli, jak zawsze nazywa to Piotr, który daje znać kobietom z Zaciszu, że jedna z ich grona pogrążona jest w żałobie, zanim nawet dotrze o tym wieść. Ciągłe nie mogę sobie tego wytłumaczyć, lecz od dawna przestało mnie to dziwić. Ale tego dnia było to dla mnie okryte tajemnicą. Jedna za drugą, w blasku południowego słońca, nadchodziły kobiety. Pierwsza była Helena Potter z Pięknego Brzegu; przytrzymała lekko Mamę Annę przy sobie i przytuliła swój policzek do jej policzka jak z marmuru. Oczy Heleny były zamknięte, a twarz spokojna, ale mogłam wyczytać prawdziwy ból z jej ściągniętych ust.

— Moja kochana Anno, jak mi przykro — wyszeptęła.

Anna skinęła głową, wciąż milcząc. Jej oczy były szeroko otwarte, podkrążone i patrzyły w nicość ponad ramieniem Heleny, ale straszliwy spokój nie opuszczał jej.

Potem przyszła zdenerwowana Mary Lincoln; później wyglądająca surowo Augusta Stallings, niosąca owiniętą w tkaninę jakąś butelkę; dalej chłodna Aurora Winslow i mała, miękka jak poduszka Eryka Conant, i panny Valentine patrzące podejrzliwie na mnie, chwiejącą się na werandzie, nim pozęglowały z wyciągniętymi ramionami do mojej teściowej, popiskując dyszkantem. Nadeszły inne; w ciągu pół godziny salon napełnił się przybyłymi kobietami, by otoczyć kręgiem Mamę Annę. Przyszło też kilku mężczyzn, nie weszli jednak do domu. Stali na trawniku lub na ganku, pałac, rozmawiając przyciszonymi głosami i potrząsając głowami. Wiem, że też byli pełni smutku; Duży Piotr był lubiany i to byli jego przyjaciele od dzieciństwa. Lecz przede wszystkim wydawali się pomniejszeni; trzoda starych samców, z których liczby ubył dziś jeden. To kobiety zdawały się promieniować siłą, niemal wydzielać ciepło z ciała. Zobaczyłam wówczas to, z czego naprawdę zdałam sobie sprawę dopiero znacznie później: śmierć mężczyzny w Zaciszu rzeczywiście uszczupla potencjał plemienia mężczyzn, ale przydaje jego żonie nowej siły. W Zaciszu, świeża wdowa zmienia się natychmiast z gospodyni w królową. I tak się stało z Mamą Anną.

Jeszcze coś innego ujrzałam tego dnia: w dostojnym obrządku przybywania tutaj biorą udział stare kobiety; to do nich należy przyjść, uspokoić, otoczyć opieką, być świadkiem. Młode kobiety zostają w domu, by zająć się dziećmi i chorymi. Piotr powiedział kiedyś, tylko na pół żartem, że gdy ktoś umrze na letnisku, stare kobiety zajmują pierwsze miejsce. Tęskniłam do Amy, ale powitałabym dziewczęta z rodziny Stallingsów z Compound, których nie mogłam odróżnić, wszechobecne mieszkanki Ogrodu Mary, czy trzpiotowate Klio, Talię i Kaliope Kennedy. Byłabym nawet rada zobaczyć Gretę Winslow. Ale przez długie, jak mi się wydawało godziny udreki, gdy siedziałam lub stałam ocieżale na werandzie czekając na

powrót Piotra, młode kobiety nie przychodziły. Dowiedziałam się, że ich kolej nadchodziła później. Wieczorem i następnego dnia przybywały, cichutko pukając i przynosiły coś do jedzenia lub słodczyce i bukiety kwiatów z ogrodów letniska z wetkniętymi wizytówkami od Elli Stallings czy Priss Thorne czy jeszcze od którejś innej. Obejmowały Piotra, dowiadywały się o Mamę Annę, pytały czy mogłyby coś jeszcze zrobić i mówiły: nie, dziękujemy, nie wejdziemy teraz, musimy wracać do dzieci, do obiadu do mAmy takiej-czy-takiej, i albo pomyślały, żeby się ze mną przywitać na moim wygnaniu na werandzie, albo nie.

Ale aż do popołudnia byłam sama. Kiedy odważyłam się wejść do salonu, gdzie gromadziły się kobiety, wypłoszono mnie, stanowczo kazano mi, na miłość boską, wyjść; czy chcę urodzić dziecko tu i teraz, na dodatek do tego wszystkiego? Albo grzecznie i chłodno pytano mnie czy czegoś sobie życzę, a gdy odpowiadałam z przygnębieniem, że nie, odwracały się z powrotem do kręgu, w którego środku Mama Anna płonęła jak ciemna świeca. Tylko doktor Lincoln wszedł do domu, w rozstargnieniu ujął palcami mój puls, skinął głową mówiąc „dobrze, dobrze” i znów wyszedł. Potem już nikt nie przychodził, dopiero na koniec Piotr. Gdy usłyszałam jego kroki na werandzie, całą mocą powstrzymałam łzy. Ale kiedy usłyszałam jego głos, popłynęły niepowstrzymanie.

Przebiegłam salon, by go spotkać, niepomna zgromadzonych tam kobiet. Wyciągnęłam ramiona, a on wszedł w nie tak naturalnie jak dziecko; trzymałam go tak mocno, jak tylko mogłam, przytulając twarz do jego piersi, i płakałam, płakałam nieprzerwanie.

— Tak mi przykro, och, Piotrze, jak mi przykro...

Bardziej czułam niż widziałam, że też płakał. Jego urywany oddech wznosił się i opadał, ciałem i ramionami wstrząsały dreszcze. Czułam sól z zatoki na jego swetrze i słyszałam gwałtowne bicie serca. Nawet nie byłam w stanie sobie wyobrazić tego strasznego żeglowania do domu. Oparł swoją głowę na mojej i poczułam jak jego łzy spływają po moich włosach. Milczał jednak.

Potem Anna zaczęła płakać. To był okropny dźwięk, jak srebrzysty płacz lalki albo małego dziecka. Nigdy nie słyszałam jej płaczącej, nawet nie mogłam sobie wyobrazić, że usłyszę, i gdy zaczęła płakać nie wiedziałam, skąd ten dźwięk dochodzi. Piotr podniósł głowę i powiódł dokoła niewidzącym spojrzeniem; zobaczyłam jego twarz i moje serce ścisnęło się jakby ktoś chwycił je i wykręcił. Robił wrażenie zmiażdżonego, zdruzgotanego, zniszczonego. Nie wiem, czy bym go poznała, gdybym go spotkała niespodzianie. Nigdy nie widziałam takiego bólu.

— Piotrze, och moje dziecko — zaszlochała Anna; jakby ktoś za pomocą czarów starł ból z twarzy Piotra i zamienił ją w marmur. Widziałam to patrząc na niego. Zobaczyłam jak znika na zawsze zranione dziecko Piotr, a opuszczone miejsce zajmuje Piotr-mężczyzna. Stał w dalszym ciągu, podtrzymując mnie i ponad moją głowę patrzył na matkę. Wyciągnęła do niego ręce, kurcząc i rozkurczając palce, jakby machała na pożegnanie. Przez chwilę matka i syn patrzyli na siebie, a ja na

7

nich oboje. Potem Piotr wypuścił mnie z objęć i postąpił krok ku niej. Honorowa asysta kobiet rozstała się, a ona stała lekko się chwiejąc, potem przybiegła przez dywan i rzuciła się w jego ramiona.

— Piotrusiu — łkała na jego piersi tak jak ja. — Tatusia nie ma. Straciliśmy tatusia, kochanie.

— Wiem, mamusiu — powiedział kołysząc ją w ramionach jak dziecko. — Wiem. Wiem.

— Maude, podaj swemu mężowi whisky — zagrzmiał przez cały pokój głos Augusty Stallings. — Przyniosłam trochę, nie wiedząc czy macie. Nie rozcieńczaj, niech będzie mocna. I przynieś przy okazji sherry dla Anny. Szok mija.

A gdy się zaważałam, dodała:

— No, idź, dziewczyno. Mówiłaś, że chcesz coś zrobić, więc zrób. Nie stój tu i nie gap się. Pozwól im na miłość boską, na trochę prywatności.

Twarz mi zapłonęła i łzy znów zapiekły pod powiekami. Prywatności? Odosobnienia? Ode mnie? Ja byłam żoną Piotra. Jego ojciec był moim teściem. Ja też poniosłam dziś stratę. Odwróciłam się i weszłam do kuchni, nalałam do szklanek whisky i sherry. Ale upłynęła chwila nim otarłam oczy z łez gniewu i bólu, i w tej chwili usłyszałam głos Anny:

— Piotrusiu, obiecaj, że nie zostawisz mnie samej dzisiejszej nocy. Rano już będzie dobrze; Hermie przyjedzie. Ale nigdy jeszcze nie spędziłam nocy w Zaciszu sama. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego teraz.

— Nie, mamó — powiedział Piotr. — Nie będziesz sama.

Zaniosłam tacę do pokoju i podałam ją Auguste Stallings.

— Może pani to poda — powiedziałam i nie czekając na odpowiedź poszłam na górę do naszej sypialni i zamknęłam za sobą drzwi. Usiadłam na łóżku i patrzyłam przez okno ponad dachem Pięknego Brzegu; ponad linią jodeł i świerków. W najdalszym punkcie, wysoko na tle nieba, zobaczyłam kominy Orlego Gniazda. Wtedy zaczęłam płakać. Gdy się uspokoiliłam, było już zupełnie ciemno.

Gdy przyszłam z powrotem na dół, spłakana i nieprawdopodobnie głodna, kobiet już nie było. Zdawało się, że w bawialni nie ma nikogo, skierowałam się więc tam i wtedy usłyszałam głos i cichy śmiech z niewidocznej niszy przy kominku. Choć słyszałam go tylko jeden raz, rozpoznałam natychmiast ten śmiech — to był śmiech Greta Winslow. Zatrzymałam się na najniższym stopniu.

— O tutaj jest, w tym śmieszonym sombrero i serape*, które matka i tatuś przywieźli mi z Meksyku — powiedziała cichym głosem, w którym śmiech mieszał się ze łzami. — Miałam wtedy osiem czy dziewięć lat, i nie mogłam się zdecydować, czy jestem zakochana w Dużym czy Małym Piotrze. Sombrero zdecydowanie przechyliło szalę na korzyść Dużego Piotra.

* serape — meksykański pled lub szal — przyp. tłum.

Usłyszałam w odpowiedzi śmiech: nie do wiary, był to śmiech Anny.

— Miał to sombrero na sobie podczas regat tamtego lata, pamiętasz, Piotrusiu? — mówiła. — Filip Potter powiedział, że czuł się tak, jakby zwycięstwo odniósł nad nim Ramon Novarro na słupie „Przyjaźń”. Muszę przyznać, uważałam, że to było pełne fantazji.

— Nosił ten kapelus, aż któryś z chłopców Stallingsów, nie pamiętam Albert czy może Henry, wykradł go i zatknął na drzewcu flagowym jachtklubu. Zniszczył się i wybrudził od deszczu — powiedział Piotr i też się zaczął śmiać. Usłyszałam cichy szelest przewracanych kartek i zdałam sobie sprawę, że siedzieli przy kominku oglądając fotografie w jednym ze starych, zniszczonych albumów, które stały na półce z książkami. Troje ludzi, którzy znali mego teścia przez większą część lub przez całe swoje życie, rozpoczynało powolny trud przedzierania się przez ból ku jakiemś ozdrowieniu, które mogli znaleźć. Jak rodzina. Odwróciłam się i weszłam do kuchni.

Micah i Krystyna Willisowie siedzieli przy starym sosnowym stole. Suszarka pełna pozmywanych naczyń i zlew napełniony właśnie zmywanymi usprawiedliwiał obecność Krystyny, a świeżo przybita drewniana półka przy drzwiach kuchennych — Micaha. Zapach ciasta wydobywał się z pieca, a dzbany i wiadra pełne kwiatów przydawały bogactwa woni. Krystyna wyrabiała pączki z żółtego ciasta na stolnicy, a Micah krajał wielką brązową nogę jagnięcą na delikatne cienkie różowe plastry. Coś bulgotało w wielkim żelaznym rondlu. Obok chłodziła się świeża malasa do pączków. Myślałam, że rozpłaczę się z głodu i z bólu.

Micah rzucił mi długie, nieodgadnione spojrzenie. Potem wyciągnął krzesło i wskazał na nie. Krystyna podniosła głowę i uśmiechnęła się.

— Proszę usiąść — powiedział Micah. — Marnie pani wygląda. Powinna pani coś zjeść; założę się, że przez cały dzień nie miała pani nic w ustach. Wszyscy są zbyt zajęci opłakiwaniem zmarłego, żeby zajmować się żywymi i tymi, którzy mają się narodzić.

— Och, biedactwo — powiedziała Krystyna Willis, troska owiała jej gładką twarz. — Nie wiedziałam przez cały dzień co się z panią dzieje. Pytałam Piotra, ale nie wiedział, gdzie pani jest. Nic pani nie jadła?

— Nie byłam dotąd głodna — powiedziałam, nie chcąc wyglądać na godną litości i opuszczoną. — Byłam dotychczas na górze. Proszę się o mnie nie niepokoić, na miłość boską. I nie przeszkadzajcie sobie z mojego powodu. Cały dzień wchodziłam komuś w drogę...

Nie miałam zamiaru tego powiedzieć, i łzy znów napłynęły mi do oczu. Musieli wiedzieć, że Greta Winslow siedzi w bawialni, tam gdzie ja powinnam być i nieść ukojenie mojemu mężowi i teściowej. Odwróciłam głowę.

— Ale jeden z pączków zrobi mi znakomicie. — I czy mi się zdaje, że czuję zapach kawy?

— Proszę siedzieć — rzekła Krystyna. — Zje pani coś więcej niż pączka. Są duszone homary, które Micah przyniósł przed godziną, mięso

z jagnięcia z trzody jego ojca i zrobiłam trochę zupy chlebowej. Pani teść zawsze bardzo lubił moją zupę chlebową...

Urwała, zaczerwieniła się i zajęła czymś przy kuchni, a Micah pochylił się nad swoją robotą, tak że twarz zakryła mu fala ciemnych włosów. W przyćmionym żółtym świetle padającym z góry wydawał się starszy, jakby wyrzeźbiony zniszczony, jak drzewo wychłostane przez sloty i burze. Był cały zwarty w sobie; nic nie było w nim złagodzone.

Zdałam sobie sprawę, że kochali także w jakiś sposób Dużego Piotra i tak samo jak ja usiłowali ukryć swój żal. Ta świadomość przyniosła mi niezmierną ulgę i ciepło. Pierwszy raz w ciągu tego strasznego dnia pomyślałam, że mogę mówić o nim nie płacząc.

— Będzie mi go straszliwie brakowało — powiedziałam po prostu, patrząc to na jedno, to na drugie z nich. — Zaprzyjaźniliśmy się teraz bardzo, on i ja. Pokazał mi... coś bardzo dla siebie cennego... o czym nigdy bym się nie dowiedziała. Nigdy tego nie zapomnę, że chciał bym to z nim dzieliła. To znaczyło dla mnie wszystko.

Nie wiem dlaczego tak do nich mówiłam. Nie mogło być nic, jak przypuszczam, bardziej niewłaściwego, według norm obowiązujących w Zaciszu. A jednak było to zupełnie naturalne i przynosiło ogromną ulgę. Uśmiechnęłam się mimo woli na myśl o wielkim domu, tam na cyplu.

— Taak — powiedział powoli Micah, nie patrząc na mnie. — Mógł panią zabrać któregoś dnia do Orlego Gniazda. Od razu mi się wydało, gdy pani tu pierwszy raz przyjechała, że może pani być tą osobą, którą tam zawiezie.

A więc wiedział. Ale co wiedział? Patrzyłam na jego ciemny profil i na Krystynę. Nie podnosiła oczu znad talerza, na którym szykowała dla mnie jedzenie. A więc wiedział wszystko. Willisowie wiedzieli wszystko o moim teściu i o pięknej biednej Sarze Fowler. Przyszło mi na myśl, że mogliby zaspokoić moją ciekawość, ale zrozumiałam, że nigdy nie zadam im żadnego pytania, a oni nigdy już więcej nie będą o tym mówić.

Zjadłam potrawkę z jagnięcia i zielony groszek, pączek i wypijałam dwie filiżanki kawy; poczułam się o wiele lepiej. Siedzieliśmy przy kuchennym stole, Micah, Krystyna i ja, i zrodziła się tego wieczoru pomiędzy nami jakaś tajemnicza więź, która miała nas połączyć na zawsze. Nieczęsto ma się dokładną świadomość nadejścia miłości. Zawsze odczuwałam głęboką wdzięczność za tę noc utraty i początku.

Zapytałam teraz, nie zastanawiając się nawet nad dziwnością zadawania takiego pytania najętym pracownikom:

— Czy on będzie tu pochowany?

— Ma pani na myśli, u nas? — spytał Micah i wiedziałam, że widzi mały, cichy, zalany słońcem cmentarz nad morzem i nas tam, wśród jego bliskich, z ramionami pełnymi kwiatów. — Nie wiem. Chciałem zapytać o to panią.

— Nie mam pojęcia — odparłam. — Mam nadzieję. Myślę, że on chciałby tego. Czy jest tu ktoś... z nas, czy są tu pochowani jacyś letnicy?

— To jest publiczny cmentarz — powiedział krótko. — **Niektórzy są.** Wszyscy byliby mu tutaj radzi.

Zrozumiałam z tonu jego głosu, że niewielu z nas.

— Lubiliście go, prawda? — zapytałam.

— Byłem do niego przywiązany. Nauczył mnie żeglować.

Coś bardzo podobnego do uśmiechu pojawiło się na jego twarzy, **ale** nie było to uśmiech. Zastanawiałam się, o czym myślał.

— Żeglować? Naprawdę? Myślałam, że klub... Myślałam, że to ojciec pana nauczył. Robił przecież łodzie...

Tym razem uśmiechnął się. Wydał się o całe lata młodszy.

— Myślała pani, że klub jest prywatny? Ma pani rację. To porządnie rozdrażniło członków klubu. Ale niewiele mogli zrobić. Był komandorem w tamtym sezonie. Miałem dziewięć lat, byłem niewiele starszy od jego syna. I tego pierwszego lata pobiłem tutaj wszystkie letniskowe kijanki, w klasie Bestii. Po tym już nie zapraszał mnie do żeglowania z letnikami; zdaje mi się, że maczały w tym palce niektóre panie. Ale Piotr i ja urządziliśmy nasze własne regaty, z przystani warsztatu. Mam na myśli Piotra, pani męża. Był dobry, przepłynął w czasie o połowę krótszym niż ja. Tak, dużo zawdzięczam pani teściowi, a żeglowanie nie należy do najmniejszych z tych rzeczy. Uczył też mojego chłopca. Założę się, że nikt z was o tym nie wiedział. Przychodził do warsztatu raz, dwa razy w tygodniu, przez całe lato. Mogłem sam to robić, ale on był lepszym nauczycielem. Chciałem, żeby Kaleb uczył się od najlepszego.

Żał ogarnął mnie na nowo. Czułam, że drżą mi usta i przycisnęłam do nich pięść, by się nie wykrzywiły; nie chciałam płakać przy Micahu i Krystynie Willisach.

— Myślę, że nie wszyscy letnicy są do was źle nastawieni — powiedziałam ochrypłym głosem. — Myślę, że jednego z nas uważaliście za przyjaciela.

Nie patrzyłam na niego, zdziwiłam się więc, gdy po długiej ciszy poczułam na ramieniu jego rękę. To było bardzo delikatne dotknięcie. Jego twarz też miała łagodny wyraz, gdy podniosłam głowę, by na niego spojrzeć. Nigdy przedtem nie widziałam u niego takiego wyrazu.

— Tyłko idiota mówi ogólnikami — powiedział. — On był moim przyjacielem. Miał bardzo wielu przyjaciół wśród tutejszych mieszkańców. Kilku z was miało. I będą pewnie inni. Nie ma tu żadnej polityki. Nie tylko wśród ludzi w Zaciszu pozostawi po sobie smutek. Myślę, że dla nas wszystkich to będzie zaszczyt, jeśli pozostanie wśród naszych bliskich.

Ale nie miało się tak stać. Następnego ranka Hermione przyjechała z Connecticut, blada, z zimnym wyrazem twarzy i zaczerwienionymi oczami i cały dom zaczął rozbrzmiewać burzą jej żalu i gniewu. To była furia opuszczonego dziecka; nawet ja zdawałam sobie z tego sprawę. To była furia naprawdę była furia. Pierwszym obiektem jej niepokonanej wściekłości stała się sugestia Piotra, by pochować ojca na małym cmentarzu nad morzem. Usłyszałam wybuch z podestu schodów, gdy schodziłam na spóźnione śniadanie, gdyż tkwiłam w sypialni, w której po raz pierwszy

spałam sama, dopóki głód mnie nie wypędził. Zgodnie z danym słowem Piotr przesiedział przez całą noc przy matce. Jeszcze raz się odwróciłam i poszłam z powrotem na górę, szukając schronienia w małej niszy wychodzącej na zatokę. Pomyślałam, że w ten sposób mogę nigdy nie zjeść żadnego posiłku w Zaciszu w niczym towarzystwie, poza Willisami. Zamknęłam mocno drzwi, ale wciąż słyszałam gorące, gorzkie słowa Hermie.

— Nie! Dopóki żyję, nie — krzyczała, dławiąc się od łez. — Nie zostawię go tutaj, z tymi wszystkimi miejscowymi prostakami, tak daleko, że nikt z nas nie będzie mógł do niego przychodzić; nie chcę, żeby był w tej pospolitej, małej, brudnej dziurze! To nie jest miejsce dla nas; Boston jest naszym miejscem! Nasi bliscy zawsze byli chowani w Bostonie! Nigdy nie mogłam go widzieć przez całe lato, ponieważ był tutaj i nie pozwolę, żeby został tu na zawsze! Nie pozwolę, mamó, nie pozwolę!

Jej głos wznosił się aż do płaczu; słyszałam głos Anny szepczący coś do niej i gniewny, mocny i twardy głos Piotra. Nie widziałam go od poprzedniego popołudnia, ale poczułam ulgę, słysząc, że głos jego dźwięczy jak żelazo. Wczoraj nie był taki.

Żadne drzwi nie mogły zagłuszyć tego syczącego jadem hałasu, tych słów przeżuwanym i wypluwanym wzajemnie na siebie przez mego męża i jego siostrę, walczących jak zgłodniałe psy nad ciałem ojca; mogłam tylko siedzieć tu, nieszczęśliwa i słuchać. Gdzieś w środku, Hermione napadła nagle na Piotra z powodu jego odmowy powrotu do domu i zajęcia miejsca ojca w banku. Wśród innych inwektyw nazwała go zdrajcą rodziny i pośrednią przyczyną długotrwałych depresji ojca. Anna zaczęła płakać.

— A na koniec prawdopodobnie go też i zabięś — krzyczała przenikliwie Hermie. — To nieustanna troska o ciebie tak osłabiła jego serce. Zawsze wiedziałam, że tak będzie.

Zapadła dźwięcząca cisza, a potem dał się słyszeć odgłos wymierzonego policzka, przerywane, nowe zawodzenie Hermie i trzaśnięcie frontowych drzwi. Zgięłam się w pół nad moim twardym brzuchem, prawie oślepa z udreki. Naprawdę nie byłam w stanie stawić czoła burzom tych dwóch kobiet, które straciły swoją ostoję; dwóch kobiet, które i tak nie pragnęły żadnej pociechy ode mnie. Nie mogłam tego zrobić sama. Wiedziałam, że Piotr skierował się w stronę morza. Nie wiedziałam tylko kiedy wróci.

Spędziłam następny dzień w swoim pokoju. W południe Krystyna przyniosła mi tacę i powiedziała, że Anna i Hermie pojechały do domu pogrzebowego w Castine załatwić przewiezienie pociągiem Dużego Piotra do Bostonu.

— Trzeba pójść na dół i zaczerpnąć trochę powietrza — położyła swoją zaczerwienioną od pracy rękę na mojej dłoni. — Wygląda pani mizernie. Doktor Lincoln zachodził dwa razy, żeby o panią zapytać, ale za każdym razem musiał się zająć panią Chambliss i Miss Hermie. Naprawdę ciężko to przechodzą. Prosił żebym do pani zajrzała. To całe poruszenie nie jest teraz dobre dla pani, sama pani wie.

— Dobrze się czuję, Tino — powiedziałam. — Mam książki, wiem, że nie da mi się pani zagłodzić. Lepiej chyba, żebym przynajmniej jeszcze przez dzień pozostała tu na górze. Rodzina ma różne sprawy, które musi przemyśleć.

— Wygląda mi na to, że Miss Hermie już wszystko przemyślała — odpowiedziała ściągając usta.

— Rozumiem więc, że zabiorą go z powrotem do Bostonu — powiedziałam. — Czy wie pani może kiedy? I... czy Piotr mówi kiedy wróci?

— Wyjadą z nim jutrzejszym południowym pociągiem z Bangor — odparła. — Dom pogrzebowy zabierze go prosto do pociągu, a Micah odwiezie ich tam i przyprowadzi samochód z powrotem. Proszę się nie niepokoić o Piotra. Przez wiele lat widziałam go uciekającego na morze. Wróci.

Uśmiechnęła się do mnie i pomimo niepokoju, odwzajemniłam jej uśmiech. Dziwne, że w ciągu zaledwie dwudziestu czterech godzin ona i Micah stali mi się najbliżsi w tym domu. Zawsze myślałam, że moja niezmienną ostoją będzie Piotr.

Ku mojej wielkiej uldze nie widziałam Hermione przez cały czas jej wizyty. Już prawie zasypiałam tego wieczora, gdy Anna weszła do mojego pokoju i usiadła przy moim łóżku. Hermie nie przyszła z nią.

— Położyłam ją do łóżka — powiedziała Anna. — Miała bardzo ciężki dzień. Tak jak i ja. Myślę, że ty także, Maude. Okazywałaś wielką wrażliwość w tym okropnym momencie i bardzo ci jesteśmy wdzięczni. Musisz wybaczyć, że cię zaniedbywaliśmy; wiem, że Willisowie zajmowali się tobą, ale myśmy cię zaniedbywali, ale wiem też, że kochałaś swego teścia. Wynagrodzimy ci to po powrocie z Bostonu, Piotr i ja. Na razie myślę, że najlepiej będzie jeśli pozostaniesz tu w spokoju i nie będziesz próbowała podjąć z nami tej podróży. Wolałabym, żebyś została tu, gdzie doktor Lincoln może cię mieć pod opieką. Poprosiłam Potterów, żebyś mogła na weekend przenieść się do nich. Amy przyjdzie po ciebie wcześniej rano i położy cię zaraz do łóżka, a doktor Lincoln przyjdzie trochę później. Najlepsze co możesz zrobić dla Dużego Piotra to zapewnić bezpieczeństwo jego wnukowi.

Skinęłam głową, wiedząc że nie mam nic do powiedzenia. I tak nie chciałam należeć do tego smutnego orszaku udającego się do Bostonu. Chciałam zostać w Zaciszu i zachować tu przy sobie wszystko co mi zostało z Dużego Piotra.

— Czy Piotr... czy słyszałaś?...

— Wróci do domu na czas, by z nami pojechać — odrzekła uśmiechając się z czułością. — Jest wytracony z równowagi. Bądź spokojna o niego, Maude. Zawsze wraca na czas.

Wrócił na czas, oczywiście. Przyjechał o świcie, wszedł po schodach na palcach, położył się przy mnie na łóżku, a ja odwróciłam się i wyciągnęłam do niego ręce. W milczeniu trzymaliśmy się mocno w uścisku. Jego skóra była zimna i wilgotna, a serce uderzało powolnymi głuchymi tonami.

Zdawało się, że nic nie można powiedzieć, nic więc nie mówiłam. Gdy sądziłam, że zasnął, wyszeptał:

— Czy dobrze się czujesz?

— Tak. A ty?

— Będę się lepiej czuł, gdy już to wszystko będzie poza mną i wrócę do ciebie. Maude?

— Co, kochanie?

— Chciałbym, żeby to dziecko było chłopcem. Chciałbym, żebyś mi dała chłopca i żeby też był Piotrem Williamsem Chamblissem.

— Dobrze. Tak będzie — powiedziałam i ucałowałam go. — Śpij.

— Tylko ty jedna masz jakieś znaczenie — wyszeptał, a potem zasnął. Po pewnej chwili i ja także zasnęłam. Gdy się obudziłam, przy moim łóżku stała Amy Potter z tacą ze śniadaniem, a słońce było już wysoko; oni już przed godziną wyjechali z Micahem samochodem.

* * *

Przez resztę lata Piotr był taki jakiego nie znałam. Cichy i roztargniony; częściej wyjeżdżał lub wychodził niż przebywał w domu. Gdy on i Anna wrócili z Bostonu, spędził jedną noc krążąc bez odpoczynku po domu, a potem wypłynął łodzią na trzy dni. Zajęta lawiną odwiedzających, pisaniem podziękowań za nadesłane kondolencje oraz najdrobniejszymi szczegółami swego świeżego królowania, Anna zdawała się prawie nie zauważać jego nieobecności. Znowu poddała mnie kwarantannie na werandzie. Pozostawiła mnie tam z haftami i powieściami w pożółkłych okładkach, lecz bez męża i teścia nie miałam żadnej przyjaznej duszy, która pomogłaby mi uciec od leżaka i pledów. Leżałam tu więc samotna i opuszczona, poza zasięgiem nieustannego przepływu kobiet i zastanawiałam się czy w tym pięknym wyrazistym otoczeniu będzie kiedykolwiek coś, co będę mogła uznać za swoje.

— Brakuje mi Piotra — powiedziałam jej raz, gdy zapytała czy dobrze się czuję.

— Lepiej będzie jeśli spróbujesz zaakceptować te jego małe wypadki — odpowiedziała. — Zawsze w ten sposób radził sobie z trudnościami. Jest bardzo wrażliwy i musi być czasem sam. Jego ojciec też to robił. Musimy pamiętać, my, kobiety, że to miejsce jest właściwie dla mężczyzn, ma im pomóc w odzyskaniu sił potrzebnych do pracy. Gdy w ten sposób na to spojrzysz, jestem pewna, że nie będziesz miała nic przeciwko jego małym, samotnym wypadkom na morze od czasu *Åo* czasu.

Ale ja miałam coś przeciwko temu. Małe wypadki Piotra stawały się coraz częstsze i trwały coraz dłużej. Ja stawałam się coraz grubsza, bardziej niezgrabna, bardziej zmęczona i nieszczęśliwa, a dziecko opuszczało się coraz niżej, czekając jak myślę, na chwilę narodzin. Mówiłam sobie, że wkrótce nadejdzie czas powrotu do Northpoint, a na jesieni urodzi się moje dziecko i wtedy na pewno będę miała Piotra z powrotem dla siebie i wszystko znowu będzie dobrze. Muszę tylko czekać. Tylko czekać...

Ale nie czekałam długo. W drugim tygodniu sierpnia, gdy Piotr wypłynął „Anną” daleko pod Naskeag Point i do Blue Hill Bay, nagle i gwałtownie chwyciły mnie bóle i Micah, zamiast mego męża, wiozł mnie przez te wszystkie nie kończące się mile do szpitala w Castine, a Mama Anna trzymała mnie w ramionach na tylnym siedzeniu, chroniąc przed możliwym urazem. Jej głos docierał do mnie wciąż i wciąż, mówiący:

— Wszystko będzie dobrze. Jestem tutaj.

To był długi, trudny poród, oślepiął mnie pot, ból i strach. Wiedziałam, że było za wcześnie. Dziecko będzie za małe. Nie mogłam pomóc; ból napływał ssącymi czerwonymi falami; nie można było użyć eteru, ponieważ poród był przedwczesny. Starałam się przeć, ale moje ciało było jak sparaliżowane. Próbowałam płytko i szybko oddychać, tak jak mi kazał błyszczący potem, roztargniony lekarz i zmęczone pielęgniarki, ale wydawało się, że tego też nie mogę zrobić. Przez całą wieczność tylko ból i parcie i znów ból; nikt mi nigdy nie mówił, że ból może być aż taki. Ten ból przekraczał granice wszelkiej potworności i pochłaniał świat.

O zmierzchu zdawało mi się, że moja matka jest ze mną w pokoju. Widziałam ją wyraźnie koło mego łóżka, małą, ciemną, śliczną i uśmiechniętą, kładła mi ręce na twarzy, a w jej głosie był miód i dym Charlestonu. Zaczęłam płakać z poczucia ogromnej ulgi.

— Och, mamo, nie mogę przez to przebrnąć — łkałam. — Powiedz im. Oni mnie nie słuchają i, mammo, ja naprawdę nie mogę.

— Możesz — powiedziała, lecz jej głos się zmienił; to już nie był jej głos.

— Nie mogę — szlochałam. — Nie mogę bez Piotra, nie mogę. Zostawił mnie samą, a ja nie mogę sobie bez niego poradzić. Och, mammo, nienawidzę go!

Słowa przechodziły w krzyk, a krzyk trwał i trwał. W tym krzyku kobieta pochyliła się nade mną, odgarnęła mi z czoła mokre włosy i mocno przytrzymała moje ręce; zrozumiałam, że to nie była moja matka, lecz moja teściowa.

— Możesz to zrobić — wyszeptała do mnie. — Możesz i musisz. Musisz przebaczyć Piotrowi i radzić sobie dalej, za wszelką cenę, my, kobiety musimy utrzymywać wszystko w spokoju. To do nas należy. I zrobimy to razem.

I tak było. O czwartej nad ranem mój syn, Piotr Williams Chambliss przyszedł na świat. Malusieńki, czerwony, wrzeszczący ale kipiący życiem. Ogromna miłość, która mnie porwała i sprawiła, że zawirowało mi w głowie, gdy go położyli na moim łonie, była silna i stara jak ziemia i, jak mętnie zdałam sobie z tego sprawę, tak samo jak ona będzie trwała. Choć zabrali go z moich ramion i zaczęłam wreszcie zapadać w sen, wyszeptałam: Mój, mój, mój.

Pierwsze, co zobaczyłam, gdy następnego ranka otworzyłam oczy, był bukiet jedwabistych anemonów w rękach pielęgniarki, anemonów tak doskonałych w kształcie i niewiarygodnych, jak skrzydła motyla. Podała mi kartkę.

„Od tajemnicznej przyjaciółki — czytałam litery napisane czarnym pochylonym do tyłu pismem — dla najnowszego Piotra. Z największymi serdecznościami. S.”

ROZDZIAŁ SZÓSTY

— To niesamowite, prawda — powiedziała do mnie Amy Potter w czerwcowy poranek mego trzeciego lata w Zaciszu — jak równoległe zdaje się przebiegać twoje i moje życie.

Siedziałyśmy na plaży poniżej Małego Domku przyglądając się pojedynczym maruderom jednych z sobotnich regat, z trudem wlokących się za cyplem, w stronę Wyspy Sarenki. Okrążą Brzozową Wyspę i wrócą do domu; te regaty będą trwały cały dzień. Piotr wypłynął na „Annie” bardzo wcześnie; widziałyśmy jak przepływał obok plaży. Wiatr wiał ze wschodu, co znaczy, że jutro lub pojutrze spadnie deszcz. Parker Potter dopiero teraz przepłynął na „Circe”; widać było jego rude włosy połyskujące na słońcu. Ustawiał akurat grot prawidłowo do wiatru. Amy westchnęła. To nie było dobre lato dla Parkera.

Piotruś leżał koło mnie na kocu, z buzią zaczerwienioną od płaczu, po którym wreszcie usnął wyczerpany. Jego małe zaciśnięte piąstki poruszały się bez wytchnienia; pęcherzyk powietrza uformował się pomiędzy czerwonymi wargami i pękł. Poprawiłam parasolkę osłaniającą od słońca mojego małego syna i spojrzałam na Amy.

— Myślisz tak dlatego, że mam dziecko i że jestem tutaj gdy zbliża się twoje rozwiązanie? — zapytałam. Amy była tego lata w ciąży; wydawała się kolosalna i przygnębiona. Jej dziecko powinno przyjść na świat przed końcem lipca. Parker obiecał zabrać ją za kilka tygodni do domu w Bostonie. Podobnie jak w zeszłym roku moja teściowa, jej teściowa była też zdania, że nie powinna w ogóle przyjeżdżać do Pięknego Brzegu i pozwalała jej wychodzić z domu tylko w soboty, ze mną i tylko po złożeniu przeze mnie obietnicy, że pójdziemy prosto na wybrzeże do Małego Domku starej Lottie Padgett. Zdawałam sobie sprawę, że Helena Potter, tak jak większość innych zamężnych kobiet na letnisku, uważała Lottie za niehigieniczną ekscentryczkę, lecz również za dobrą wrótkę, jeśli chodzi o dzieci.

I to była prawda. Gdyby doszło do najgorszego, Lottie Padgett mogła chyba równie dobrze przyjąć dziecko jak jakaś położna. Amy i ja odwiedzałyśmy ją w każdą sobotę rano. Ja z moim małym nieznosnym

Piotrusiem, Amy ze swym potężnym brzemieniem. Chorowała prawie przez cały okres ciąży i jeszcze teraz miewała czasami mdłości. Lottie Padgett zabiegała wokół nas i poiła ziołową herbatą z korzennymi ciasteczkami, sadzała nas na słońcu na swojej plaży, albo przy kominku, gdy pogoda nie dopisywała i wciągała w nieporządną i pełen czaru krąg odwiedzających ją zwierząt i dzieci, jakbyśmy byli jednymi z nich. Czułam jak napięcie odpływa ode mnie jak woda w tym tajemniczym domu lalek; Amy też wydawała się uspokojona i uwolniona od ciężaru, nawet Piotruś przestawał płakać i spał. Tego ranka Lottie była na plaży, zbierała muszle z jasnowłosymi dziećmi z Ogrodu Mary i jednym czy dwojgiem z Compound, a rodzeństwo osieroconych, rudych wiewiórek wygrzewało się w czerwonej wełnie koło osłoniętego kominka. Myślę, że rzadko zdarzały mi się chwile tak zupełnego, niezmażonego spokoju w Zaciszu, jak tych kilka czerwcowych sobót w Małym Domku.

Amy odgarnęła włosy z twarzy i wykrzywiła usta, gdy dziecko poruszyło się. To było silne kopanie; widziałam jak jej brzuch dosłownie tańczył przez całe lato. Chyba nie dawało jej to spać, i w ogóle męczyło. Jej ciemna, figlarna twarz była tego lata blada i wychudzona, tak że dołeczek koło ust wydawał się dziurą wydrążoną w ciele, a oczy były mocno podkrążone. Najbardziej jednak uderzało to, że jej ciemna krótka fryzura poprzytykana była srebrnymi pasmami. Pojawiły się w ciągu zimy, nie było ich bowiem poprzedniego lata. Pamiętam, mówiła mi, że jej matka dobiegając trzydziestki była zupełnie siwa, nie byłam więc specjalnie zdziwiona. Ale u Amy nie robiło to wrażenia odziedziczonej siwizny, lecz skutku choroby i wyczerpania. Wydała się tego lata naprawdę wyczerpana i bardzo słaba.

— No, tak, dziecko — powiedziała. — I śmierć teścia, tak nagła, jak Dużego Piotra. I to, że Parker był... wstrząśnięty, wszystko razem. Wiem, że dla Piotra czas po śmierci ojca był bardzo niedobry.

— To jest niesamowite, prawda? — powiedziałam. — Musisz tylko nie dopuścić, by twoje dziecko urodziło się w szpitalu w Castine. Bałabym się wtedy, że wszystko złe, co przytrafia się mnie, może się zdarzyć także i tobie.

Zobaczyłam, że jej zmęczone oczy pociemniały i dodałam szybko:

— To wcale nie znaczy, że urodzenie Piotrusia było jakimś złym doświadczeniem. Ale wolałabym, żeby to się odbyło w domu, żeby był Piotr, i wiem, że i ty byś tak chciała. I tak będzie.

Dziwne, że tego lata ja, młodsza i mniej doświadczona pod każdym względem nowicjuszka, wydawałam się starsza od niej. Znow pomyślałam, że przepaść oddziela kobietę, która urodziła dziecko od tej, która nie urodziła.

— Mam nadzieję — odparła, a jej głos brzmiał cienko i staro. — Przykro mi to mówić, ale zdaje mi się, że Parker nie myśli serio o powrocie do domu. Ani o niczym innym. Często myślę, że zapomina o tym, że chodzi o dziecko. I to o jego dziecko. Powiedział Grecie Winslow, że jeśli stanę się jeszcze grubsza i bardziej zaniedbana, rozwie-

dzie się ze mną. Ze mną i obydwoma siostrami Valentine, ciągle tam sterczącymi.

— Och, Boże, myślę, że Grecie-diablicy bardzo się to podobało — powiedziałam, czując przypływ gorącego gniewu na Parkera. To nie było pierwsze małe okrucieństwo, jakie zadał Amy tego lata.

— To możliwe — powiedziała Amy. — Zwłaszcza odkąd straciła następny milion funtów, a zyskała wspaniałą opaleniznę. Och, Maude, powiedz, że będzie lepiej kiedy dziecko się urodzi... Dla was wszystkich było lepiej, prawda? Czy jeśli chodzi o Piotra to w jakimś stopniu... czy nie zaczął trochę zapominać o śmierci ojca? Nie wiem co będzie, jeśli Parker nie zacznie.

Ja wiem co będzie — pomyślałam ponuro, ale nic nie rzekłam. — Zapije się na śmierć, a ciebie będą zamęczać jego matka i babka, i jego dziecko — do końca życia.

— Będzie lepiej, zobaczysz — powiedziałam, poklepując ją po ręce. Zdawało mi się, że czuję pod dłonią kości ptaszka, lekkie i nieprawdopodobnie kruche. — Piotr zebrał się w garść, gdy Piotruś się urodził. Przez długie dni nie wypływał łodzią; przestał być sztywny. Ujmuje się za mną u swej matki. To mój dawny Piotr, jesteśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek. I Parker się zmieni, zobaczysz. Poza zmianą, jaką pociąga za sobą ojcostwo, to jest coś w rodzaju drugiej strony monety śmierci. Narodziny tak szybko następujące po śmierci sprawiają, że wszystko wydaje się... naturalne, zdaje się częścią czegoś o wiele większego i starszego. Cykl ziemi. Nie pochłania smutku, ale pochłania najgorszy ból.

— Chciałabym tak myśleć...

— Jestem tego pewna.

Filip Potter zmarł na polu golfowym klubu w Brooklinie w kwietniu zeszłego roku, na skutek tego, że „czerwony kwiat aneuryzmu”, jak mówili lekarze, który prawdopodobnie spoczywał utajony przez całe jego życie, rozwinął się właśnie w tym momencie. To się stało błyskawicznie; zmarł zaraz, gdy dotarł do szlaku wodnego. Łaska boska, wszyscy mówili Helenie i Parkerowi. Był bowiem człowiekiem tego rodzaju, że nie zniósłby życia z chorobą czy kalectwem. To była prawda i zdaje się, że dla Heleny Potter wielkim była pocieszeniem. Jak tyle innych starszych kobiet w Zaciszu, ona także jakby zyskała ogromną siłę, moc prawie, po śmierci męża. Ona, która nigdy w życiu nie podjęła żadnej decyzji, nigdy nawet nie wyraziła zdecydowanej opinii, w ciągu jednej nocy stała się kobietą zdolną pokierować firmą, sprzedać wielką siedzibę przodków, znaleźć mniejszy i bardziej nowoczesny dom w Brooklinie i powiedzieć teściowej, która zawodziła przez czterdzieści osiem godzin jak zjawia zwiastująca śmierć, żeby umilkła. To Mamuśka nie mogła się uporać ze śmiercią Filipa Pottera. Mamuśka i jego jedyny syn. Parker tej nocy, gdy zmarł jego ojciec, upił się i od tego czasu mało kto widział go trzeźwym.

Zawsze dużo pił, i do pewnego stopnia letniczy przyzwyczajeni już byli do jego wyczynów. Ale przeważnie było to coś ze studenckiej wylewności, ostentacji nieznośnego chłopca. Były, na ogół, bardziej śmieszne niż

przynoszące szkodę. Uważano powszechnie, że Parker próbował przyciągnąć uwagę swego rudego, tryskającego humorem ojca, być przez niego traktowanym jak równy, a przynajmniej jak oczywisty prawowity następcą: młodzik wypróbujący swoje pazury na starym lwie.

Ale tego lata nie było nic zabawnego w zachowaniu Parkera Pottera gdy się upił, co zdarzało się właściwie codziennie. Stracił swą silną przewagę atlety na korcie tenisowym i przy starze „Circe”, popełniał gafy, błądził, potykał się i upadał, przegrywał w rozgrywkach i wyścigach, a gdy przegrywał, krzyczał i kłął, rzucał rakieta lub kopał boki swej łodzi, winiąc wszystko i wszystkich prócz siebie. Zachowywał się tak niewłaściwie na korcie tenisowym, że uprzejmy Cuilford Kennedy, który był jego partnerem, zwrócił mu publicznie uwagę, a Parker rzucił w niego rakieta i rozciął mu jego piękny nos. Krzyczał na młodego miejscowego kelnera, gdy dostał zimną kawę; wylał ją na chłopca i powiedział mu, żeby się wynosił i więcej nie wracał. Kiedy Amy próbowała przemówić mu do rozsądku, powiedział żeby zamknęła swoją przeklętą trzeszczącą jadaczkę i wyszedł majestatycznie przewracając krzesło i pozostawiając ją walczącą ze łzami, gdy za niego przeproszała. Zepchnął swym sportowym mercedesem z drogi do miasteczka samochód Eryki Conant, wystraszywszy mocno wściekłą Erykę i jej gości z klubu brydżowego z Beacon Hill. I, jak mi powiedział Piotr po powrocie któregoś popołudnia z regat, nikt już nie chciał z nim żeglować. Jego nastrój był po prostu tak zły, a jego umiejętności żeglarskie stały się tak mierne, że groziły niebezpieczeństwem podczas wyścigów dalekomorskich. Pamiętałam czerwonołicego, radośnie uśmiechającego się młodego człowieka, który przed dwoma laty bezbłędnie żeglował przez całe mile w zabójczej mgłę, nawet na pół pijany i pomyślałam, jak bardzo długą i smutną drogę przebył Parker od tego dnia.

— I wlał Bóg wie ile whisky do ponczu na dzisiejszej herbacie w jachtklubie, a wiesz, że tam są zawsze starsze panie i dzieci, które to piją — powiedział Piotr. — To wcale nie było śmieszne. Burdie Winslow mówił coś o odebraniu mu przywilejów klubowych, a Guild Kennedy proponował, żeby wykluczyć go na pewien czas z gry na korcie. Nigdy nie widziałem nikogo, kto by aż tak źle zachowywał się na letnisku, a było paru pełnych wigoru członków klubu przed nim. Na przykład jego ojciec sprawiał więcej zamieszania niż ktokolwiek inny za ludzkiej pamięci, ale jakoś nigdy naprawdę nikogo nie obraził. To alkohol. Za szybko mu uderza do głowy tego lata.

— Skąd on go bierze? — zapytałam. Wiedziałam, że w Pięknym Brzegu zawsze było trochę alkoholu, ale nie więcej niż miał każdy z nas, a to na pewno nie dość, by się codziennie upijać.

Piotr rzucił mi dziwne spojrzenie.

— Naprawdę nie wiesz? — zapytał. — Bierze go z tego samego miejsca co wszyscy. Kupujemy tutaj. Więcej whisky przemycą się podczas ciemnych nocy w tych zatokach i dopływach niż na całym pozostałym wybrzeżu Atlantyku. I to najlepszy gatunek. Tu, jeśli facet ma łódź do

połowy homarów, to możesz być pewna, że trudni się przemytem. Zacziesz ma trzy czy cztery oficjalne „źródła”. Nie powiem ci kto z nich, ale Micah Willis nie używał swego forda tylko do przewożenia towarów, możesz być pewna.

— Micah... och, nie mogę w to uwierzyć — powiedziałam. — On ma rodzinę, zajęcie... jesteś pewien? Myślałam, że alkohol w domach to coś... co każdy porzucił, gdy wprowadzono prohibicję. Piotrze, przecież wiesz tak jak i ja, że Micah Willis to jeden z najbardziej uczciwych ludzi, jakich kiedykolwiek znaleźliśmy.

— Zgadzam się — Piotr uśmiechnął się szeroko. — I gdyby uważał, że robi coś nieuczciwego przestałby i sam oddałby się w ręce szeryfa. On myśli, podobnie jak większość tutejszych mieszkańców, że to prawo jest niemoralne. Że rząd nie może narzucać człowiekowi co mu wolno pić, a czego nie wolno. Nie jestem wcale pewien czy nie ma racji.

— Czy to jest niebezpieczne?

— Możesz się założyć o ostatniego dolara, że jest niebezpieczne — odparł. — I to wszystko, co mogę ci powiedzieć o przemyśle czy Micahu, czy o kimkolwiek innym. I dobrze zrobisz jeśli nie wspomnisz nic o tym jemu ani Krystynie ani... mojej matce. Ona cały czas myśli, że nasze zapasy to jeszcze pozostałości ojca.

— Nie jestem idiotką — powiedziałam szorstko. I oczywiście nie wspomniałam o tym Micałowi ani nikomu. Ale już zawsze potem gdy mignęła mi przed oczami mocna postać Micaha przycinającego gałęzie lub przenoszącego drabinę za dom, czy wchodzącego lekkim krokiem do kuchni z naręczem drewna, widziałam poza nim, jakby to był rodzaj pentimento, ciemne kształty cichych skifów na wodzie w bezksiężycową noc. Opatulone wiosła na dulkach i milczące postacie oczekujących mężczyzn, wypatrujących w ciemności samotnego błysku światła daleko w zatoce i nasłuchujących niskiego warkotu silników pracujących na wolnych obrotach. I coś pradawnego i ciemnego w mojej własnej krwi pulsowało pragnieniem zobaczenia tych obrazów.

— Może byłoby lepiej gdyby nikt nie sprzedawał Parkerowi alkoholu — powiedziałam do Piotra, ale on potrząsnął głową przecząco.

— Micah i jeszcze paru innych nie będą mu teraz sprzedawać, ale zawsze znajdzie się ktoś dalej nad zatoką, kto to robi. Jeśli Parker chce się upijać, dostanie trunku z łatwością. Naprawdę myślałem, kiedy jego ojciec umarł, że się weźmie w garść, ale jest jeszcze gorzej.

— Oczywiście, że jest gorzej — odpowiedziałam. — Teraz już nigdy nie zwycięży. Już nigdy nie będzie mógł pokazać ojcu jaki jest twardy i jaki dorosły. Będzie pił i pił coraz więcej i coraz gorzej postępował i ciągle nie będzie mógł zwrócić na siebie uwagi ojca.

Piotr wyzwolił się z wilgotnego i słonego swetra, podszedł do mnie i otoczył mnie ramionami. Skryłam twarz na jego gładkiej, zimnej, mokrej piersi. Oblizyłam lekko jego skórę; poczułam smak soli i słodczy jego ciała. Pocałował mnie w czubek głowy.

— Jak to się dzieje, że jesteś taka bystra? — zapytał.

— Nie jestem — odparłam. — Po prostu wiem jak to jest kiedy się w nieskończoność prowadzi jednostronną rozmowę z nieżyjącym rodzicem. Przez całe lata miałam pretensję do mojej matki za to, że odeszła i zostawiła mnie, żebym dorastała bez niej. I... myślę, że też coś takiego robiłeś, kiedy wypływałeś łodzią zeszłego lata, po śmierci twojego ojca. Byłeś na niego wściekły, i dlatego uciekałeś z domu.

— Nie próbuj mnie tłumaczyć — szepnął w moje włosy. — Zachowywałem się jak gówniarz, jak wesz. Jeszcze dotąd zwijam się ze wstydu, gdy o tym pomyślę. Zostawić ciebie samą z całym tym głównem kiedy on umarł i gdy potem pojechałaś do szpitala, żeby urodzić nasze dziecko tylko z moją matką i wynajętym pracownikiem. Chryste! Dziwię się, że w ogóle wpuściłaś mnie jeszcze do domu.

— Wiem, jak byłeś przybity — powiedziałam, chowając twarz na jego ramieniu. — A poza tym dziecko miało się urodzić dopiero za dwa miesiące. I mogło mi się zdarzyć coś znacznie gorszego niż mieć przy sobie twoją matkę i Micaha, kiedy przyszła chwila rodzenia. No i poza tym, wróciłeś przecież, prawda? Od tego czasu ani razu nie uciekłeś na morze.

Pociągnął mnie za sobą na łóżko. Było zmięte i ciepłe, a za oknem płynęły chmury pędzone wschodnim wiatrem, wysysając ciepło z ostatnich promieni słońca. Ciągłe byłam trochę senna; jego powrót wyrwał mnie z drzemki. Na dole Piotruś spał w starym wiklinowym łóżeczku, które należało jeszcze do jego dziadka; czuwała nad nim dwunastoletnia Polly Willis, córeczka brata Micaha. Anna zatrudniła ją tego lata do opieki nad Piotrusiem — doskonale dawała sobie radę. Opiekowała się wieloma małymi braćmi, siostrami i kuzynami w domu. Wiedziałam, że jeśli Piotruś obudzi się czerwony od swego małego gniewu, Polly ukołysze go znów do snu. Zagrzebałam się w łóżku i przytuliłam do boku Piotra.

— Co ja bym bez ciebie zrobił? — zamruczał, sam senny, gdzieś w zagłębienie mojej szyi. — Co bym zrobił gdybyś była kimś innym a nie sobą, kimś z kim nie mógłbym rozmawiać? Co by było gdybyś nie rozumiała mnie tak jak mnie rozumiesz? Gdybyś była zarozumiała albo małoduszna, albo głupia?

— Wtedy wiedziałabym, że się ze mną ożeniłeś z powodu mojej urody — powiedziałam z zamkniętymi oczami. Po oddaleniu i troskach ostatniego lata, bliskość jego ciała była dla mnie w dwójnasób cenna, w dwójnasób krzepiąca. Tego ranka powiedziałam Amy prawdę; Piotr naprawdę wrócił i nawet nie mogłam sobie wyobrazić, że mógłby mnie zranić, odrzucić. Ale miałam i takie przeczucia.

— Co by było gdybym nie mógł... zrobić tego? — spytał, odwracając mnie twarzą do siebie i otulając swymi długimi nogami. — Albo tego...

Poddawałam mu się miękko, ale szepnęłam mu do ucha:

— Może lepiej się zastanów. To nie jest najlepszy moment, chyba że chciałyś mieć następne dziecko.

— O Boże, nie — powiedział podpierając się na łokciu i przecierając twarz dłonią. — Nie, dopóki to się nie uformuje.

Milczałam. Tak, powiedziałam Amy tego ranka prawdę o Piotrze, ale nie całą prawdę. Druga część tej prawdy to była tego lata pierwsza wielka kość niezgody pomiędzy nami.

Zdawało się bowiem, że Piotr nie potrafi nawiązać kontaktu z synem, już nie na tym intuicyjnym, głębokim poziomie, jak ja czułam się mu bliska, ale w żaden istotny sposób. To nie było tak, że ignorował Piotrusia. Bawił się z nim rankami, wytrzymywał go gdy był rozbudzony, świeżo po kąpieli i nakarmiony. Obnosił go po letnisku, gdy pierwszy raz pokazaliśmy go wszystkim przyjacielom młodości i wydawał się wtedy, w każdym calu i każdym włóknem dumnym młodym ojcem. I myślę, że w tych dobrych czasach był taki naprawdę. Nie potrafił jednak podtrzymać z Piotrusiem więzi w złych chwilach, a takich było dużo. Oddawał go wtedy mnie albo Polly i jeśli płacz nie ustawał, szedł do swego gabinetu lub z powrotem do wielkiej sypialni, by porozmawiać z matką lub — rzadziej — na wodę, do łodzi. Zdawało się, że w domu, w Northpoint, miał więcej cierpliwości dla dziecka i więcej współczucia dla mnie gdy walczyłam, by je uspokoić. Tam wydawał się, jeśli nawet nie owładnięty Piotrusiem, to przynajmniej wzruszony walką swego małego syna ze światem, a czasem miło nią rozbawiony.

— W porządku, kolego — mówił. — Goń za tym wiatrakiem i zrób mu piekło.

Ale w Zaciszu zdawał się oddalać od dziecka i wślizgiwać do surowego i nieprzejednanego obrazu matki.

— To dziecko musi się uformować. Pozwól mu płakać, Maude. Nigdy się nie uspokoi, jeśli będziesz przybiegać i brać go na ręce za każdym razem gdy otworzy usta.

— Mówisz dokładnie tak jak twoja matka — powiedziałam na początku tego lata. — Rózczką Duch Boży dziateczki bić każe. Dzieci powinno być widać a nie słyszać. Co się z tobą tutaj dzieje? Nie jesteś taki w domu. Uformować się, rzeczywiście. To dziecko ma dziesięć miesięcy, Piotrze! Wydaje się, że chętnie oddałbyś go do szkoły wojskowej.

— To byłby niezły pomysł — Piotr uśmiechnął się od ucha do ucha ponad okropnym wyciem synka, a ja porwałam Piotrusia w ramiona, miłość i żal ścisłał mi serce, gdy patrzyłam na jego żal. Piotr Williams Chambliss IV urodził się wściekły, jakby poddawany był torturom bezowocnego gniewu za to, że zbyt wcześniej wyciągnięto go z jego tajemniczego morza i jakby był po upływie dziesięciu miesięcy wciąż tym samym gniewnym i niepokieszonym niemowlęciem. Walczył, płakał, złościł się, łaknął, pragnął czegoś, czego nie mogliśmy mu dać. Czasem przerażał mnie czasem we mnie z kolei wywoływał gniew. Wydawał się nienasycony, drapieżny mały organizm, żywa oddychająca potrzeba. Był ciemny, małpi, czerwony i młócił powietrze rękami i nogami jak cepem. Wiem, że w oczach babki i w mniejszym stopniu także w oczach ojca, był jakby żywym obrazem ciemnych, przyziemnych obcych stworzeń z bag-nistego Południa, wśród których przyszłam na świat. W małym Piotrusiu nie było nic w tym wczesnym okresie z długokościstego, płowego

północnego szczepu jego ojca. Myślę, że Piotr widział to wyraźnie tylko wtedy, gdy byliśmy w Zaciszu, wśród tamtych ludzi; widział to, co widziała Anna i co ją skłaniało do sznurowania ust. W domu Piotruś był bardziej jego synem a nie wyłącznie moim.

Moim, moim... tak, on był mój. Każdą odrobiną, każdą kosteczką, rzęsą, paznokciem u palca, zębami i wrzaskiem należał do mnie. Cała byłam przepełniona miłością do niego; często płakałam nad jego nieukojonym, wściekłym żalem. Każde jego drżenie odczuwałam we własnym ciele. Wiem, że moja teściowa i mąż uważali, że go strasznie zepsułam.

— Maude, martwię się, że on będzie nieodwracalnie zepsuty, nikt nie będzie mógł z nim wytrzymać i jak będzie wyglądało jego życie? — powiedział kiedyś Piotr, gdy kołysałam dziecko w środku jeszcze jednej nieprzespanej nocy. Próbowałam potem nie wstawać tak często do mojego płaczącego syna. Zrobiłabym wszystko, by mu oszczędzić samotności i odrzucenia.

Ale w końcu nie mogłam mu pozwolić płakać w samotności. Wiedziałam coś o wyrzutkach i pariasach. Ja także płakałam w nocy w Zaciszu. Moje dziecko będzie tu, w tym miejscu, kochane, nawet jeśli tylko ja je będę kochać.

Mniej więcej w tydzień po naszej rozmowie z Amy, na plaży przy Małym Domku, Piotr zabrał mnie do Castine. Pojechalśmy przynajmniej raz sami, gdyż Anna miała grać po południu w brydża w klubie z gośćmi Eryki. Piotruś spał w swoim łóżeczku gdy wyjeżdżaliśmy, a Polly Willis siedziała przy nim czytając „Anię z Zielonego Wzgórza”. Kiedy pierwszy raz przyszła do nas tego lata zauważyłam, że bardzo lubi czytać i spragniona jest książek, wyrzebałam więc dla niej co było najlepszego w bibliotece domowej, a pożyczałam inne, które jak sądziłam, mogą jej się podobać, z małej wypożyczalni w miasteczku. Nawet zabrałam ją tam kiedyś i pomogłam jej uzyskać własną młodzieżową kartę. Miss Prudencja Comfort, bibliotekarka, powiedziała nam, że Polly jest najmłodszą czytelniczką w dziejach wypożyczalni i Polly była tak dumna jakby sama pisała książki, a nie tylko je czytała.

— Przepadła z kretesem — powiedział Micah, gdy przywiózł ją do nas tego ranka. — Nie można jej skłonić do najprostszej roboty, ciągle z nosem w książce.

Ale wyraz jego twarzy, gdy patrzył na swą siostrzenicę, czytającą przy śpiącym dziecku, był serdeczny.

— Niech pan nie udaje, Micahu Willisie — powiedziałam. — Wiem dobrze, że przesiadywał pan po nocach nad greką przy świetle latarni, czy nad czymś równie egzotycznym. To rodzinne, założyłabym się.

— To wszystko co pani wie, Maude Chambliss — skomentował, wychodząc kuchennymi drzwiami. — To łacina, nie greka. Przyjadę po ciebie o czwartej, Pol — zawołał do siostrzenicy. — Ciotki Krystyny dziś nie będzie, pojechała na pogrzeb starej pani Wałdo. Ale jeśli będę ci potrzebny, zadzwoń do magazynu lub poślij do warsztatu.

— Wszystko będzie w porządku, wuju Micahu — odrzyknęła, nie podnosząc głowy. Micah, Piotr i ja, uśmiechnęliśmy się patrząc na nią. Polly wywoływała taką reakcję u ludzi. Miała wspaniałomyślne, ufne serce w dojrzewającym ciele młodej kobiety. Było coś wzruszającego w tym połączeniu.

— My też wrócimy do domu o czwartej — powiedziałam, a ona także się uśmiechnęła. Piotr i ja wsiedliśmy do marmona i odjechaliśmy. Gdy wyjeżdżaliśmy z dojazdowej alei znów zauważyłam jak bardzo wybujały były, skrywając okna za ścianą zieleni i bieli. Zdawało się, że dni a nie lata upłynęły od czasu kiedy Micah je przycinał. Ich zapach oszałamiał, przyprawiał niemal o zawrót głowy.

Dzień był cudowny. Powietrze chłodne, świeże, zapach wodorostów i soli napływał od zatoki przy pełnej fali. Słońce stało wysoko na pastelowym sklepieniu nieba, a chmury burzowe, które miały wypłynąć dopiero w późniejszej porze dnia, na razie były tylko białymi jak marmur dmuchawcami na horyzoncie jakby ze srebra. Jasność widnokregu i widoczność odległych wzgórz zapowiadały zmianę pogody, ale nie na najbliższe dni. Na łąkach, które mijaliśmy widziałam różowe koniczyny i purpurowy łubin, jastrzębiec i dzikie żółtawe liliowce. Połyskujące różowo dzikie azalie, nazywane tu lambkills, migotały jak błyskawice w brzoszowym lesie. Stokrotki, jaskry, dzikie orliki i purpurowe chorągiewki polnych irysów rozsiane były jak gwiazdy na poboczach drogi. Za nimi leżała wieczna ciemność gąszczy sosen, jodeł i świerków, a pomiędzy nimi połyskiwała zatoka w barwie indygo. Odetchnęłam głęboko i złożyłam głowę z powrotem na oparciu.

— Takie właśnie jest Maine — powiedziałam. — Niebo, ocean, polne kwiaty, czarne jodły i świerki, skały, rybitwy i wieczny zapach sosen i soli w nosie. Reszta nie ma właściwie znaczenia; wszystko inne jest... jakby doczepione. Zakłócenie.

— Ja też? — zapytał Piotr. — I ty też? Czy jesteśmy po prostu zakłóceniem? — Przykrył jednak moją dłoń swoją dłonią i uściśnął ją i byłam pewna, że wie co miałam na myśli.

Zjedliśmy lunch na tarasie ozdobnego drewnianego hotelu Pentogoet, otoczonym skrzynkami pełnymi begonii i geranium z tańczącymi nad nimi motylami, wychodzącym na przystań upstrzoną plamkami żagli u stóp stromej ulicy. Wielki trójmasztowy szkuner, oficjalny statek szkoleniowy Akademii Morskiej stanu Maine, stał na kotwicy ze zwiniętymi żaglami, małe, niebiesko ubrane figurki poruszały się po jego pokładzie. Statek pocztowy do Islesboro nurzał się w doku, a tłumek skromnie, ubranych ludzi czekał na przybycie wielkiego parowca, ESS Belfast, kursującego po zatoce od Bostonu do Bangor, prawie od przełomu stuleci. Ulica i przystań sprawiały wrażenie licznie odwiedzanej miejscowości wypoczynkowej albo portu; wydawały się egzotyczne, zupełnie niepodobne do szarych, zielonych i kobaltowych teranów otaczających Zacisze. Tam gdzie siedzieliśmy, nie było słycać portowego gwaru, ale powietrze przesycone było atmosferą świąteczną. Tłusty żółty kot wyszedł z hotelu i ułożył się do

drzemki w słońcu, a na deser przyniesiono wspaniały biały krem z owoców mango, ozdobiony stokrotką. Stare dAmy, płaczące dzieci i wystraszone młode żony zdawały się oddalone o całe lata świetlne. Poddałam się południowemu ukojeniu, uśmiechnęłam się do Piotra i poczułam się znów młoda i wolna jak liść płynący po leniwej rzece.

— Trudno będzie ruszyć z powrotem — powiedziałam z rozmarzeniem. — Czuję się jakbym znów miała osiemnaście lat i jakby wszystko było jeszcze przed nami.

— Nie tak to daleko, skoro masz dopiero dwadzieścia. — Piotr uśmiechnął się szeroko zamykając oczy przed słońcem. Potem je otworzył i spojrzął na mnie. W świetle jeszcze bardziej niż zwykle przypominały jasny lód, lód ponad zimnymi głębiami nietkniętymi od wieków. Jego twarz i ramiona już nabrały tej głębokiej złoto-brązowej barwy, której przydały im długie dnie na wodzie, a burza włosów zjaśniała. Uśmiechnęłam się do niego, bo tak ładnie wyglądał siedząc tutaj. Mój mąż. Moja pierwsza miłość.

— Czy naprawdę tak ci tu ciężko, Maude? — zapytał łagodnie. — Czy to piękno naprawdę sprawia, że czujesz jakby wszystko co dobre było już poza tobą? Bo to przecież nieprawda.

— Nie — odparłam. — Ja wiem, że tak nie jest. Tylko teraz... znam zarys wszystkiego co jest przede mną. A tak nie było, gdy miałam osiemnaście lat.

— I teraz nie znasz — powiedział. — Nie pal się tak do tego, by twoje życie było ustabilizowane. Nikt nie zna przyszłości. Nikt nie może wiedzieć naprzód co się zdarzy.

— Ty nie możesz? — zapytałam go, naprawdę zdziwiona. Myślałam, że on najłatwiej ze wszystkich ludzi mógł widzieć kształt tego co go czeka, szczególnie w Zaciszu. W tym miejscu gdzie czas już od tak dawna stanął w miejscu.

— Oczywiście, że nie.

Milczeliśmy prawie przez całą drogę do domu. To był piękny dzień ucieczki i pławiłam się w nim, wiedząc że gdy dojedziemy Piotruś się obudzi i pewnie będzie wył i czar ostatnich kilku godzin pryśnie. Ale zawsze możemy znów pojechać. Będą na to całe dnie, lata i lata...

Było już dobrze po czwartej, gdy skręciliśmy na podjazd do Liberty i ciężarówka Micaha już tam była. Ale nie doprowadzona starannie do tylnych drzwi jak zazwyczaj, lecz ukośnie pochylona na podjeździe, dwoma kołami na trawniku, tarasowała wejście, a drzwiczki opierały się na szoferce, jakby je ktoś "gwałtownie otworzył i tak je zostawił. Drzwi frontowe domu też były otwarte; widziałam zamglone postacie za szybami werand sąsiednich domów, spoglądające w stronę Liberty.

— Piotruś — zapało mi oddech, serce podeszło do gardła, wyskoczyłam z samochodu i pobiegłam przez trawnik, zanim Piotr zdążył mnie zatrzymać. Usłyszałam jak zatrzaskuje drzwiczki i biegnie po trawniku wołając mnie, a potem jakby wysoki purpurowy lament podniósł się w moich uszach, zrozumiałam po chwili, że to był szum mojej krwi i nie

słyszałam już nic więcej. Gdy oszklone drzwi otworzyły się nagle i wynurzyła się z nich jakaś postać, nie słyszałam nawet tego hałasu. Patrzyłam z zatkanyimi uszami i ogłupiałymi, nic nie rozumiejącymi oczami na człowieka, który wykonał salto z frontowych schodów Liberty i leżał jak bezwładna masa na białym żwirowanym podejździe. Dopiero gdy Piotr pochylił się nad nim i powiedział z odrazą: „O Chryste, Parkie!”, zdałam sobie sprawę że człowiekiem tym był Parker Potter, że był zupełnie pijany i krew płynęła mu z ust. Strumień dźwięków powrócił i gdy biegłam do domu, słyszałam płacz mojego dziecka i jakby bardziej miękkie szloch, a głos mojej teściowej mówił:

— Wyjdź natychmiast z mojego domu. Zaraz wezwę lekarza i policję, i nigdy już więcej twoja noga nie postanie w tym domu.

Wewnątrz, w półmroku spowodowanym przez krzaki bzu, Micah Willis stał pośrodku bawialni, z trudem chwytał oddech, jedną ręką podtrzymywał drugą, błąd pod opalenizną jak śmierć. Oczy jego spoglądały ponad Anną na siostrzenicę, która siedziała skulona na fotelu z uszakami, z twarzą ukrytą w dłoniach i cicho płakała. Białe obwódki otaczały tęczówki w oczach Micaha, usta tworzyły szczelinę wykutą w granicie. Moja teściowa, w szlafroku, w którym nigdy nie widziałam jej poza jej buduaem, trzymała wielki mosiężny świecznik chiński w ręce jak maczugę, twarz jej pokrywały cętki gniewu i pomazana była cold creamem. Piotruś w swoim łóżeczku beczał i beczał. Podeszłam i podniosłam go automatycznie, zanim jeszcze w pełni objęłam wzrokiem scenę w pokoju. Piotr zapytał za mną:

— Co się u diabła dzieje?

Micah nie odpowiedział, tylko powoli przeniósł wzrok na Piotra, a Anna postąpiła parę kroków, ujęła Piotra pod ramię i powiedziała tym samym zimnym, oburzonym głosem:

— Usłyszałam to straszne zamieszanie i potem krzyki dzieci, przyszałam tu i znalazłam go po prostu tłukącego na miazgę Parkera Pottera, tu, na podłodze! Wyrzucił go przez drzwi; jestem pewna, że wszyscy to widzieli i słyszeli. Piotrze, wezwij szeryfa, chcę żeby go aresztowano. Nie życzę sobie w moim domu...

— Uspokój się mamo. O co chodzi, Willis? — zapytał Piotr. Jego głos był kopią głosu matki; nie słyszałam, żeby tak mówił kiedykolwiek przedtem.

Micah odetchnął głęboko i potrząsnął głową. Polly Willis głośno zaszlochała, a on spojrzał na nią i z powrotem na Piotra.

— Przyjechałem po Polly i trafiłem na moment jak się do niej dobierał na werandzie — powiedział. Głos jego był pełen napięcia, matowy. — Trzymał na niej łapy, jedną ręką zasłaniał jej usta... oparta była o okno, blada jak ściana, walczyła z nim, nie mogła oddychać... Ściągnąłem go z niej i skopałem jak psa i gdyby twoja matka nie przyszła, zabiłbym go. Jeszcze mogę go zabić. Jest pijany jak ścierwo i pił przez całe lato. Jeśli chcecie go znieść to wasza sprawa, ale jeśli dotknie palcem kogoś z moich jeszcze raz, to koniec z nim. Nie żartuję. To dziecko ma dwanaście lat i miesiąc...

— Wszedłeś do mojego domu i uderzyłeś tu gościa. — Zapiszczała nagle Anna. Potrząsnęłam głową chcąc to wyjaśnić. Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby podnosiła głos.

— Próbował zgwałcić moją siostrzenicę — powiedział Micah.

— Proszę nie używać takich słów w tym domu! Od tej chwili jesteś zwolniony...

— Co takiego? — usłyszałam mój własny głos, podniesiony na moją teściową. — Przyszedł tu i znalazł tego... tego potwora dobierającego się do jego dwunastoletniej siostrzenicy, a mama stoi tu i mówi, żeby nie używał brzydkich słów? Uważa mama, że Parker Potter przyszedł tu dziś jako gość? Czy mama pozwala swoim gościom gwałcić dwunastolatki? Gdzie mama była przez cały ten czas?

Porwała się w moją stronę.

— Zamknij usta! Nic nie wiesz o... o tym jak tu się załatwia sprawy! Nigdy nie wiedziałaś! Mogłam przewidzieć, że staniesz po stronie... po stronie hołoty, przeciw komuś z nas... Spałam. Nie miałam pojęcia, że tu jest ktoś jeszcze poza Polly i dzieckiem.

Patrzyłam na nią bez słowa, a potem odwróciłam się do Piotra. Milcząc, patrzył to na mnie, to na matkę.

— Piotrze! — krzyknęłam. Potrząsnął głową.

— Mamo, uspokój się — powiedział spokojnie. — Jeżeli nie możesz się uspokoić, idź do swego pokoju. Zrobił to co trzeba; nie mógł tu stać i pozwolić Parkerowi... Boże, co za świństwo. Dzięki Bogu, że się tu zjawił na czas. Micah, poczekaj aż odstawię go do Pięknego Brzegu i potem porozmawiamy. Oczywiście, że nie jesteś zwolniony; mam nadzieję, że nie myślisz...

— Nie myślę nic takiego, co nie jest prawdą — powiedział Micah Willis głosem zimniejszym niż głos Anny i zupełnie spokojnym. — Lepiej zaprowadź go do domu. Nie uderzyłem go bardzo mocno. Nie musiałem. Whisky zrobiła swoje. Chyba możesz go po prostu odprowadzić, jeśli czujesz, że możesz się do niego zbliżyć. I nie martw się o wyrzucenie mnie. Ja odchodzę.

Piotr spojrzął na Micaha, zaczął coś mówić, a potem odwrócił się i wyszedł frontowymi drzwiami. Milczałam, Piotruś sapał na moich rękach; położyłam dłoń na drżącej głowie Polly Willis. Wiem, że powinnam ją uspokajać, ale nie mogłam oderwać wzroku od ciemnego mężczyzny o nieruchomym spojrzeniu. Spojrzął na mnie, również milcząco. Zobaczyłam, że jego pierś przestała szybko unosić się i opadać i że jego oddech stał się spokojniejszy. Pod oknami przeszedł Piotr na pół niosąc Parkera.

— Polly, czy możesz iść, dziecko? — zapytał wreszcie Micah. Poczulałam pod ręką, że skinęła głową.

— To zawiozę cię do domu.

Podszedł do niej, objął ją ramieniem, podniósł z fotela i poprowadził do drzwi. Nie spojrzął za siebie.

— Micah, proszę poczekać — zawołałam.

Nie zatrzymał się. Oszklone drzwi zatrzasnęły się za nim.

— Micah, chcę z panem pomówić. Chcę panu powiedzieć... proszę wrócić na chwilę. Proszę mi pozwolić w tym pomóc. Micah, to ja...

Spojrzał mi prosto w twarz, ciemny i twardy w słońcu późnego popołudnia. Polly usiadła w samochodzie, patrząc prosto przed siebie.

— Nie — powiedział. — Czy pani nie rozumie? Nie jest pani jedną z nas. Nie chcę nic od pani ani od tej rodziny. Ani od nikogo z całej reszty was.

— Ale my nie jesteśmy tacy! To nie my, to Parker.

— To tylko jeden z was — przymówił. Wsiadł do ciężarówki i zatrzasnął drzwi. Usiadłam na tym samym fotelu, na którym kuliła się w przerażeniu Polly Willis, pochylałam głowę nad szamotającym się ciątkiem mojego dziecka i zaczęłam płakać. Piotruś też płakał, kołysałam go w ramionach, ale nie przestawał płakać a ja nie podnosiłam głowy.

Po jakimś czasie bardziej odczułam niż zobaczyłam, że ktoś stoi koło mnie. Podniosłam głowę; to był milczący Micah. Jego ręka spoczywała na pokrytej mezbrem głowce Piotrusia; dziecko przestało płakać i patrzyło na niego z powagą. Wciąż nic nie mówił, tylko stał tam, dotykał dziecka i patrzył na mnie.

— Pan tam był, gdy on się urodził — powiedziałam, czując słoność łez. — Był pan, gdy zaczęło się jego życie; brał pan w tym udział. Proszę. Proszę nie karać nas za to, co Parker zrobił. Ja chciałam... Chciałabym, żeby Piotruś znał pana, gdy będzie dorastał.

Westchnął.

— Źle zrobiłem — rzekł. — Nie, że go uderzyłem. Powinienem był to zrobić, a pewnie nawet więcej. Ale źle zrobiłem mówiąc, że odchodzę. To chciałem pani powiedzieć. Polly nie może zostać, to oczywiste, ale Krystyna i ja zostaniemy, przysięgam. Jeżeli będzie chciała nas dalej trzymać, jeśli Piotr powie, że tak, to nas zatrzyma. Ale to nie z jej powodu zostaniemy. To ze względu na pani teścia. I tego dzieciaka, co ze wszystkim wojuje, tak jak pani. I też ze względu na panią, jak myślę. Nie... pani nie jest jedną z nas. Ale mogłaby pani być. Na tym polega różnica. Pani ciągle walczy, prawda? Boże, wyczuwam pani walkę przez cały czas. Pani jest nieco gwałtowna, Maude Chambliss.

— Dziękuję — powiedziałam, uśmiechając się do niego przez łzy. Rozciągnął mimo woli usta w szerokim uśmiechu.

— To nie był komplement.

— W każdym razie dziękuję... Micah.

— Proszę bardzo... Maude — odparł i wyszedł, tym razem na dobre.

Potem wszystko szło prawie dawnym trybem, jak zawsze w lecie, nawet jeśli nie całkiem. Utrzymywaliśmy, jakbyśmy utrzymywali po dzień Sądu Ostatecznego, nasze uświęcone obyczaje poranne, południowe i wieczorowe. I znów przychodziło mi na myśl, jak trwałe było spoiwo utrzymujące razem Zacisze i do jakiego stopnia było ono produktem formy i zwyczaju. Ale teraz byłam z tego zadowolona. Mogłam dzięki temu wrócić do normalności, a czułam, że wszystkim nam bardziej tego trzeba niż

czegokolwiek innego. Och, Anna była zimniejsza dla mnie przez kilka tygodni i bardziej na dystans, ale nie czułam się z tego powodu pokrzywdzona. Krystyna była może trochę spokojniejsza w swojej kuchni, nie śpiewała tak często przy pieczeniu ciasta czy pasztetu, a Micah nie przychodził tak często ze świeżym drzewem, farbą czy nożycami. Ale przychodzili oboje i nigdy, ani wtedy, ani potem nie wspominali o tym strasznym popołudniu. Nie myślałam zresztą, żeby mogli.

Po jednych, pełnych udręki, przeprosinach ze strony Amy, których nie słuchałam, ściskając ją gwałtownie, nie mówiliśmy już o Parkerze ani o scenie w domu. Helena Potter przysłała wielki bukiet irysów z ogrodów Pięknego Brzegu, ale nie było przy nich żadnego bileciku, a co do Parkera — nikt go nie widział przez całe dziesięć dni po tym wypadku. Wypłynął — mówił Piotr ponuro — na „Circe” na dłuższą wyprawę po jachtklubach i przystaniach Penobscot.

— Powiedziałem, że jeśli wróci przed upływem tygodnia, sam porachuję mu kości — rzekł Piotr. — Obiecał, że nie wróci. Mówił, że zagrzebie się w Northeast Harbor u Fitzwilliamów, czy u kogoś innego, i będzie się starał wytrzeźwieć. Nie mam pewności co do wytrzeźwienia, ale mam co do Northeast Harbor, bo wiem, że jego przyjaciółka zatrzymała się tam u swoich znajomych.

— O Boże. To nie ma końca, prawda? — powiedziałam z najwyższym niesmakiem. — Nie wiem, jak Amy z nim wytrzymuje.

— Czy ma jakiś wybór? — zapytał. Nie odpowiedziałam. Cóż można było powiedzieć.

Pozostaje jednak faktem, że bez Parkera Pottera kolonia stopniowo zaczęła osiadać na starej, leniwej mieliźnie czerwcowych dni.

Pierwszego lipca wrócił, opalony, z jasnym wzrokiem, trochę szczuplejszy i bardziej opanowany niż kiedykolwiek. Przyszedł prosto z „Circe” do Liberty, świeży, w białych drellichowych spodniach i żeglarskich butach, jego rude włosy były wilgotne i przyczesane. Przyniósł ogromne pudło czekoladek dla Anny mówiąc, że trzymał je obłożone lodem przez całą drogę z Northeast Harbor, katarynkę grającą „Most Londyński się zawala” dla Piotrusia i skrzynkę ekstrawagancko drogiego Bordeaux dla Piotra. Nie miał nic dla mnie, powiedział, że nie chciał obrażać mnie prezentami, wiedząc jakie są moje uczucia dla niego, obiecał mi jednak uroczyste, że nie nadużyje ponownie przyjaźni jaka pozostała mu w Zaciszu.

— I chciałbym pani powiedzieć, że nie piłem od tamtego dnia — dodał pokornie. — I nie mam zamiaru pić. Zabieram Amy do domu po czwartym. Czas wreszcie, żebym dorósł i zaczął się zachowywać jak ojciec i mąż.

Kiedy wyszedł, popatrzyliśmy na siebie z Piotrem.

— Myślisz, że mówił poważnie? — zapytałam.

— Myślę, że jest trzeźwy — powiedział Piotr. — Tyle tylko mogę powiedzieć. Nikt nie zgadnie, czy w tym wytrwa. Myślę też, że byłby jednym z najgłupszych gówniarzy na świecie, gdyby znów tu zaczął tak prędko. Każdy ma go dość.

— No, cóż — odezwała się Mama Anna, rozkoszując się czekoladkami — nie możecie powiedzieć, że nie zachowywał się dzisiaj jak dżentelmen. Weźmie się w garść, zobaczycie. Krew przemówi.

— Szczególnie — zauważyłam półszepsem, kierując się na werandę, gdzie Piotruś znów popłakiwał — gdy jest tak zmieszana z alkoholem, że można by na niej usmażyć grzanki z serem.

Nie przekonała mnie skrucha Parkera. Pod łagodnym głosem, jasnymi szczerymi oczami zdawało się harcować i dźwigać swój obrzmiały kark coś innego, koziego i obrzydliwego. Gdybym znała wtedy to słowo, mogłabym przysiąc, że czuję mocny zapach testosteronu w powietrzu. Zbyt mocno tkwiły mi w pamięci słowa Piotra o odwiedzinach u przyjaciółki w North-east Harbor.

Ale przez kilka następnych dni Parker dotrzymywał słowa. Widziałam go o zmierzchu spacerującego z Amy po ogrodach Pięknego Brzegu, otaczał ją ramieniem, jej głowa spoczywała mu na piersi. Śmiali się, a raz poklepał lekko jej sterczący brzuch, w którym było jego dziecko. Odwróciłam się wtedy od okna, nie chcąc być intruzem, nawet na odległość. Lepiej wtedy myślałam o Parkerze niż kiedykolwiek.

Czwartego lipca Zacisze od pokoleń zapraszało na regaty jachtklubu z Brooklinu, z Sarniej Wyspy i z Northeast Harbor. O zmroku podawano słodką, gęstą potrawę z ryb lub z mięsa, a potem, o wczesnym szybko zapadającym nowoangielskim zmierzchu, wypuszczano z brzegu fajerwerki rozkwitające nad zatoką i wyspami jak fantastyczne kwiaty. Wszyscy wylęgają na fajerwerki i potrawkę, nawet tacy, których noga nie powstała w klubie ani na przystani od zeszłorocznego czwartego lipca. Niemowlęta śpią poowijane w pledy, dzieci krzyczą, dokazują i kłócą się. Młodzi mężowie i żony, opaleni, ożywieni słońcem i mocnym ponczem śmieją się na schodach i trawnikach wraz ze swymi rówieśnikami, kilkunastolatki muskają piórka, rozpychają się i flirtują, psy merdają ogonami i węszą po kątach, a stare dAmy w bawełnach, kardiganach i perłach obsiadają długie werandy, przyjmują talerze, drinki i komplementy od młodych nadzorując drapieżnymi oczami swą domenę z nienaruszalnych foteli na biegunach. Goście z jachtklubów, ich żony i załogi łodzi krążą dokoła witając starych przyjaciół, opaleni, jasnowłosi i biało ubrani, tak jak ich gospodarze w Zaciszu. O zmierzchu nie umiem odróżnić jednych od drugich. Nocują, wypwszy poncz, na swych lśniących, wycieczkowych jachtach lub na werandach przyjaciół.

Wśród nich tego dnia była wysoka, niezwykle smukła, młoda kobieta z ufarbowaną henną paziowską fryzurą i niedbałą, modną teraz pozą podlotka, ale wyraźnie bez jego płaskiej piersi. Nosiła białe flanelowe spodnie i pasiasty, bardzo obcisły golf żeglarski; jej zęby połyskiwały w mroku. Wyszczerała je często to wszystkich, a najczęściej do Parkera Pottera, i nagle zrozumiałam, choć nikt mi o tym nie powiedział, że to była jego przyjaciółka z Northeast Harbor. Piotr też to wiedział. Nie sądzę jednak, żeby o tym wiedziała Amy. Gdy Parker zaofiarował się dobrowolnie do sprzątnięcia w kuchni i znikł na tyłach klubu, a gość-podlotek

wycedził, że dotrzyma mu towarzystwa, Amy tylko uśmiechnęła się swym dawnym, szybkim, wywołującym dołeczek w twarzy uśmiechem i powiedziała:

— Lepiej ona niż ja.

Ale Piotr wiedział; jego usta stwardniały w wąską kreskę i przestał błaznować na trawniku z Burdie Winslowem, Alem i Henrym Stallingssem. Myślę, że inni też zdawali sobie sprawę. Wiele spojrzeń pobiegło w ślad za dwiema postaciami znikającymi w kuchni, lecz nie przerwało to szmeru konwersacji. Lepiej po prostu udać, że się nie wie i nic nie mówić. Coś gorącego zawrzało w mojej piersi. Jak on śmie? Jak ona śmie? Bezceremonialnie oddałam Piotrusia teściowej siedzącej na fotelu na biegunach i podeszłam do Amy, wyciągniętej na leżaku stojącym na trawniku, przykrytej pledem.

— Czy dobrze się czujesz? Nic ci nie potrzeba? Nie jesteś trochę zmęczona? — pytałam wesoło. Miałam nadzieję, że odpowie potakująco. Zabrałabym ją wtedy do domu i zostałabym z nią. Miałam już dość tego miejsca i tej nocy; całym sercem pragnęłam oszczędzić Amy.

Ale ona powiedziała:

— Nie, doskonale się czuję. Chcę zobaczyć fajerwerki.

Nic nie mogłam zrobić, żeby ją skłonić do odejścia, co nie ściągnęłoby na nią wszystkich oczu. Usiadłam koło niej na wilgotnej trawie, paplać głupio, zdecydowana nie dopuścić, by zauważyła przedłużającą się nieobecność swego męża i jego służebnicy i przez jakiś czas udało mi się tego dokonać. Piotr siedział z nami milcząc, Piotruś zasnął wreszcie w jego ramionach. Nie wiem kiedy, podczas fajerwerków, Amy zdała sobie sprawę, że ani Parker, ani kobieta nie powrócili. Gdy to zauważyła, większość biorących udział w uroczystościach wiedziała o tym już dawno. Głowy zwracały się w kierunku zamkniętych drzwi kuchni; szepty zrywały się jak wiatr przynoszący gwałtowne ochłodzenie podczas letniej nocy.

— Chodź — powiedziałam, podnosząc się i pociągając ją za sobą. — Jeśli jest za zimno dla mnie, to i dla ciebie jest za zimno. Zabieram cię do Liberty na filiżankę gorącej czekolady, a potem położę cię do łóżka i spędzisz u nas noc. Piotr... powie twojej rodzinie. Chodź, Amy. To będzie coś jak party z nocowaniem.

Spojrzała na mnie, w jej oczach był niezgłębiony ból, pustka i klęska. Niemal krzyknęłam pod wrażeniem siły tego wyrazu. Ale jej twarz pozostała spokojna; powiedziała tylko:

— Chyba pójdę. Wiedziałam wszystko już przedtem i jestem dość zmęczona. Proszę cię, Piotrze, powiedz mamie Helenie i Mamuśce. Nie mam siły z nimi dziś dyskutować.

— Nie martw się o nic — odparł, całując ją w policzek. — Zajmę się tym.

Ponad jej głową nasze oczy spotkały się, jego były zwężone z gniewu. Nieświadomie, jak sądziłam, pochylił głowę nad puszystą główką Piotrusia spoczywającą na jego ramieniu i pocałował miękkie zagłębienie pod

skłębionymi, ciemnymi włoskami. Ostrze bólu i miłości przeszło mnie. Nigdy go takim nie widziałam.

Amy nie chciała czekolady. Powiedziała, że chce się zaraz położyć. Zaprowadziłam ją do małej gościnnej alkowy nad werandą, uklepałam jej poduszki, wygładziłam stare rodzinne prześcieradła Mamy Anny z jedwabistego perkalu i ułożyłam stos pleców i wełnianych szali.

— Zostawię ci przy łóżku talerz z kanapkami i kakao — powiedziałam. — Nie tknęłaś potrawki, nie mam ci tego zresztą za złe. Jest co roku gorsza. Może będziesz miała ochotę coś zjeść, jeśli się obudzisz w nocy. Będę tu obok ciebie. Teraz zjedź poczekać na Piotra i Piotrusia. Jeśli będziesz chciała żebym przyszła, zawołaj.

Odwrociła się na bok i zagrzebała w kocach. Nie odwróciła głowy od okien wychodzących ponad świerkowo-brzozowym zagajnikiem nad klub i na przystań, a poza nimi, na czarne morze i niebo. Fajerwerki wciąż wystrzelały łukiem i rozkwitały w ciszy.

— Dziękuję, Maude — rzekła. Jej głos był łagodny, spokojny i martwy. — Gdyby nie ty, nie wiem, jak przeżyłabym tę noc.

— Och, Amy, kochana...

— Nie. Nie mów już nic więcej. Wszystko w porządku. Chcę teraz trochę zasnąć.

— Czy zaciągnąć zasłony?

— Nie, chcę widzieć księżyc — powiedziała przytłumionym głosem i pomyślałam, że teraz zapłacze. Może to byłoby dla niej najlepsze. Wypłakać...

— Kocham cię — wyszeptalam i wyszłam zamykając drzwi.

Piotr nadszedł wkrótce z matką i Piotrusiem. Wzięłam od niego śpiącego syna, powiedziałam dobranoc Mamie Annie i poszłam na górę położyć dziecko do łóżeczka. Nie chciałam żadnej wymiany zdań pomiędzy mną i moją teściową, przynajmniej nie teraz. Jeśli miałyby coś na obronę i usprawiedliwienie Parkera Pottera, nie zdołałabym tego słuchać.

Piotr poszedł za mną i usiadł ciężko na łóżku. Przesunął ręką po twarzy i ustach i usłyszałam chrapliwy chrzęst zarostu. Zawsze mnie to dziwiło. Wąsy Piotra były niewidoczne.

— Zasnęła? — zapytał.

— Nie wiem. Mówiła, że chce zasnąć. Mniej więcej przed godziną. Piotrze... ona wyglądała... jak umarła. Jak nieżywa kobieta. Och, jak on mógł? Jak mógł?

— Dla niego to równie łatwe jak potknąć się o pień. To przecież robi najlepiej, zresztą. Alkohol, oczywiście. Przez całe popołudnie na wodzie pociągał po pół kwarty. A Burdie mówi, że trzyma zapas w kuchni klubowej. To musi być prawda. Nie otworzyli drzwi, gdy odchodziłem, ale sądząc po odgłosach, które stamtąd dochodziły, zdecydowanie nie zmywali naczyń. Zdaje mi się, że wiele osób chętnie podłożyłoby ogień pod klub i spaliło ich dom. Powiem ci, Maude, że pierwszy przytknąłbym zapałkę.

— Ktoś będzie musiał tym razem coś z tym zrobić — powiedziałam. — Ona musi wrócić do domu do Bostonu; to dziecko w każdej chwili może się urodzić. Jeśli on się o nią nie zatroszczy, ktoś inny będzie musiał się tym zająć. Czy matka Parkera coś mówiła? A jego babka? Czy one mogą z nim porozmawiać?

— Skąd mogę wiedzieć? — warknął czując całą beznadziejność. — Żadna z nich nawet mrugnięciem oka nie dała do zrozumienia, że wie, że coś jest nie w porządku. Gdy odchodziły do domu, wszyscy w klubie rzucali spojrzenia w stronę kuchni, a te dwa stare pstrągi rozdawały uśmiechy wokoło, życzyły dobrej nocy i pożeglowały do domu, jakby dokonały przeglądu oddziałów. Na Boga, jego ojciec powinien wybić mu te wszystkie świństwa z głowy.

— Powinien — powiedziałam gorzko. — Nie mielibyśmy teraz tego wszystkiego. Przejdę się tam rano i powiem mu, że musi ją zabrać do domu — to znaczy, jeśli on tam w ogóle wróci — a jeśli jej nie zabierze, zrobimy to my oboje i zostaniemy z nią dopóki dziecko się nie urodzi. I powiem jej teściowej i tej strasznej starej babce też. Założę się, że zaczną skakać i zabiegać koło niej jeśli poczują, że mogą stracić swoją małą służącą.

— Zobaczmy co będzie — odparł niestrudzony Piotr. — Może już jest w domu. Jeśli nie, zagonię go rano i postraszę karą boską. Obiecuję ci. Nie musisz staczać walk za Amy. Ja mogę to zrobić i zrobię.

Pocałowałam go na dobranoc, zająrzałam do Piotrusia, a potem poszłam na dół i czytałam „Zielony kapelusz” Michaela Arlena, dopóki nie ogarnęła mnie senność. Już po północy pobiegłam na palcach do pokoju gościnnego i uchyliłam drzwi. Teraz Amy już na pewno powinna spać.

Nie spała jednak. Stała przy oknie; jej zogromniałe ciało owinięte było wlokącymi się pledami, a szyja wydawała się wzruszająco krucha pod ciężarem przetykanych srebrem włosów. Patrzyła w dal, za zatokę i las. Podeszłam do niej i objęłam ją bez słowa; ona milczała także. Daleko pod nami, na czarnej powierzchni wody, chwiały się i migotały światła. Myślę, że obie wiedziałyśmy, z całkowitą, dogłębną pewnością, że to światła odpływającej „Circe”, ale żadna z nas tego nie powiedziała. Nie było potrzeby.

W pewnej chwili potrząsnęłam lekko jej ramionami i powiedziałam:

— Naprawdę czas do łóżka. Ja tu jestem. Rano zastanowimy się, co dalej robić. Piotr pomoże. Zobaczysz. Wszystko wygląda rano lepiej.

Odwróciła do mnie głowę i uśmiechnęła się uśmiechem jak cień, pełnym bólu i zaczęła coś mówić, ale w tym momencie ogromna włócznia czystej kryształowej zieleni przeszła czarne niebo nad wodą, a potem olbrzymia fala opalizującej bieli, jakby ktoś zalał niebo płynnymi diamentami, następnie wielkie pulsujące języki różu, purpury i akwamaryny. Wstrzymałam oddech, a ona ścisnęła moją rękę aż do bólu.

— To zorza północna — powiedziała półszepem. — Aurora borealis. Och, Maude, spójrz. Przyjeżdżam tu od sześciu lat i nigdy jej nie widziałam. Och, patrz, patrz!

Stałyśmy tak chyba pół godziny, Amy i ja, milczące i spokojne jak dwie postacie wykute w marmurze, patrząc na łuk nieba, lśniący i zakwitający światłem. Nie mogłabym mówić nawet gdybym chciała. Widziałam później wiele razy, w czasie długich letnich pobytów w Zaciszu, te ogromne ognie na niebie, ale żaden dla mnie nie był tak zapierający oddech, tak niezmiernie piękny, jak ten pierwszy widok z górnych okien Liberty. Rozżarzały świat; pożerały niebo i księżyc i gwiazdy, i sprawiły, że zdradzieckie światła „Circe” zupełnie zbladły. Gdy wreszcie przestały lśnić, światło zgasło. Obie z Amy zasnęłyśmy, tym razem głęboko i naprawdę, w ciągu pięciu minut.

Po wielu latach czytałyśmy z Amy głośno, śmiejąc się, straszne wiersze Roberta Service’a. A gdy doszłyśmy do strofy zaczynającej się od słów: „Ach, zorza północna, dziwne sprawy oglądała, lecz najdziwniejszej nigdy nie widziała”, ukryłyśmy twarze w dłoniach i zaniósłyśmy się niepowstrzymanym śmiechem. Śmiałyśmy się, aż zaparło nam dech w piersiach, a Amy z trudem zdołała wyszeptać: „gdyby wiedział” i zaczęłyśmy na nowo. Gdyż dziecko Amy urodziło się następnego dnia w szpitalu w Castine, tak jak Piotruś, przy mnie, Piotrze i zdenerwowanej Helenie Potter. I dopiero w dwa dni później, gdy przywłókł się do domu, na „Circe” znów wyładowanej skrucą i prezentami, dowiedział się Parker, że ma córkę o imieniu Elizabeth Wainwright Potter. Miała już czterdzieści osiem godzin życia za sobą. Byłam obecna; gdy wszedł i gdy zobaczyła jego twarz, Amy wybuchnęła pierwszy raz spontanicznym śmiechem, który usłyszałam tego lata. Zawsze potem wspomnienie zorzy północnej wywoływało w niej śmiech, a ja przeważnie śmiałam się razem z nią.

Ale później nieraz przychodziło mi na myśl, gdy patrzyłam jak dorastała Elżbieta Potter, że to niesamowite światło nie było światłem dobrotliwym.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Najcenniejszym darem jakiego użycza morze jest poczucie nieskończoności. Przy nim, jeśli jesteś zdolny do przyjęcia tego daru, ogrom błękitu przestrzeni i czasu uspokaja, upraszcza, uzdrawia. Przy nim, gdy jesteś bardzo spokojny, widzisz wyraźnie, że życie jest i zawsze było poza czasem, że było od niego niezależne, nie musisz więc bać się zatrutych owoców czasu. Choć zawsze będą spadały na twoje kolana, w pobliżu morza ich smak nie jest gorzki.

Tego się nie wie, gdy się jest młodym i czas jest wykrętnym konkurentem, którego masz uwieść; ale starzy o tym wiedzą. Zawsze o tym wiedziały stare kobiety w Zaciszu. Właśnie to z takim trudem starały się za wszelką cenę zachować. Kiedy pierwszy raz przyjechałam z Piotrem do Zacisza irytowało mnie jarzmo tej narzuconej beczasowości: zębami i pazurami walczyłam z tymi, którzy je narzucali. Ale teraz sama jestem starą kobietą, siedzę na werandzie, spoglądam w odwieczne oblicze zatoki, smakuję gęsty miód nieskończoności i jednostajności, i w sercu mówię Annie i wszystkim innym, z którymi tak dawniej walczyłam: „racja była po waszej stronie”. To jest warte wszystkiego.

W tym miejscu, gdzie panuje morska cisza, wspomnienia wracają tak wyraźnie, jak obrazki w książce. Jedna książka: księga Maine. Gdy Piotruś miał około dziewięciu lat, on i Elżbieta Potter napisali książkę w grubym poliniowanym notatniku Blue Horse, zatytułowali ją „Prawdziwe dzieje Maine” i zilustrowali żywymi, zamaszystymi, boleśnie prawdziwymi rysunkami przedstawiającymi dzieci robiące cudowne rzeczy w łodziach i na skałach, na przystanich i trawnikach, oraz kulawych dorosłych robiących głupie rzeczy w tych smy magicznych miejscach. Znam każdy z tych rysunków na pamięć. Tak samo jest ze wspomnieniami, które napływają do mnie teraz, gdy siedzę w wiklinowym fotelu na biegunach, z poduszką wypchaną balsaminą. I fotel, i poduszka były już stare, gdy przyjechałam do Zacisza przed laty. Mów, pamięci, powiedział Vladimir Nabokov, i pamięć przemówiła. W pobliżu morza, często mówi wyraźniej niż rzeczywistość.

Czasem w miejscu takim jak Zacisze, gdzie ci sami ludzie żyją w ten sam sposób od pokoleń, lata i nawet całe dziesiątki lat zdają się upływać prawie bez zmian, mimo że w bieżącym życiu występują wzniesienia i spadki, powodzenia i klęski, które się postrzega jak wykres osobistego sejsmografu, sens czasu, jego etos i istota pozostają niezmiennie. Życie każdego człowieka ma luki, ale myślę, że widzi się je wyraźnie dopiero z perspektywy czasu. Wiele bólu można by sobie zaoszczędzić, gdyby się taką lukę widziało w środku drogi i wiedziało jaki jest jej cel, ale nie taka, oczywiście, jest natura życia. „To zły rodzaj pamięci, która działa tylko wstecz”, powiedziała Królowa do Alicji; pamiętam jak bardzo Piotruś lubił, gdy czytałam mu Lewisa Carrolla. Mądrość Carrolla przemawia zbyt często tylko do bardzo młodych.

Przychodzi jednak czasem moment, drobna, milcząca, jasna eksplozja świadomości sygnalizująca koniec jednego z tych długich, łagodnych, zawieszonych okresów, w sposób tak pewny, jak wycie syreny wielkiego statku, gdy zbliża się do portu. Ci, których ta świadomość pochwyli czują na karku rozległy zimny podmuch początku i końca oraz ukłucie zapowiedzi, której nie umieją nazwać. Spoglądając wokół siebie, widzą jednak poza znanym wewnętrznym krajobrazem cień nadchodzącej zmiany, czują powiew jej skrzydeł. To są przerażające momenty. Nikt ich nie jest w stanie objąć. Gdy przejdą, większość ludzi wkłada wiele wysiłku w udawanie, że ich wcale nie było. Ale nie możesz nie znać przyszłości, gdy raz już miałeś jej odczucie i już zawsze te przełomy będą dla ciebie sygnalizowane przez ów pierwszy moment, gdy zobaczyłeś ich zarysy przed sobą.

Dla mnie pierwsza z takich chwil przysłała w jachtklubie pod koniec sierpnia 1941 roku, podczas mego osiemnastego lata w Zaciszu, w noc lodowatego srebrnego blasku, gdy morze i gwiazdy zdawały się płonać. Amy Potter siedziała obok mnie, otulona tak jak i ja w gruby sweter i koce; piłyśmy kawę z termosu, który przyniosłam z domu. Pod wpływem impulsu dodałam do niej sporo rumu, cudownie smakowała w tym zimnym bezruchu. Czekaliśmy na powrót łodzi z ostatnich regat w sezonie, dwudniowego wypadu do Northeast Harbor i z powrotem; czekałyśmy bardzo długo. Priss Thorne przysłała z Ogrodu Mary przed mniej więcej godziną, by nam powiedzieć, iż Tobiasz usłyszał przez radio, że ciężka mgła z Long Island zalega w Zatoce Błękitnego Wzgórza, i że dopiero niedawno zaczęła się podnosić. Nie niepokoiłyśmy się więc ani o Piotra i Piotrusia na „Annie”, ani o Parkera z Elżbietą na „Circe”. Byłyśmy zresztą odrobinę pijane.

Westchnęłam z zadowoleniem.

— Gdyby rum miał zawsze tak wspaniały smak jak dziś, byłabym alkoholiczką — powiedziałam. A potem spojrzałam na Amy i skrzywiłam się. — Przepraszam. To nie było wcale zabawne.

Odwzajemniła mi uśmiech i wypła duży łyk kawy.

— Nie przepraszaj. Już od przeszło dwóch miesięcy Parker nie pije — powiedziała rzeczowo. — Doprawdy myślę, że może tym razem się to

uda. Naprawdę wierzę, że doktor nastraszył go mówiąc o wątrobie. Oczywiście, niewesoło z nim żyć, ale czy kiedykolwiek było wesoło? Poza tym wiem, co masz na myśli. Nie mogę tu siedzieć i pić z tobą przez całą noc, we dwie. Kiedy ostatni raz siedziałyśmy w nocy na dworze, nie musząc nigdzie iść? Po prostu we dwie?

— Ostatni raz, o ile pamiętam, to było tuż przed urodzeniem Happy — odparłam. — Tej nocy, gdy Piotruś i Elżbieta wypłynęli łódką na Spectacle i mieli wrócić do domu o zachodzie słońca, ale nie wrócili, a Piotr i Phinizy Thorne popłynęli na ich poszukiwanie. Pamiętasz? Usiadłyśmy dokładnie tu, gdzie siedzimy teraz, tak samo otulone kocami i czekałyśmy. Wiem, że musiałyśmy być śmiertelnie wystraszone, ale nie pamiętam tego. Pamiętam tylko, że czułam się wielka jak krowa i miałam nadzieję, że następane dziecko nie urodzi się w szpitalu w Castine.

— Nie wydaje mi się, byśmy były bardzo przestraszone — powiedziała Amy. — Przynajmniej na pewno nie bałyśmy się, że utonęli. Już wtedy Elżbieta mogła wyprzedzić Parkera. Przeszło mi przez myśl, że byłaby pierwszym jedenastoletnim dzieckiem na świecie, które zaszłoby w ciążę i mielibyśmy ślub Tomcia Palucha. Pamiętasz tę atmosferę miłosną, Maude?

— O tak — powiedziałam miękko. — Pamiętam.

Czy pamiętam? Tamto lato i dwa następne wryły się w mój umysł i serce, w każde włókno, siatkówkę oka i trzewia, jak nie kończąca się obecność wielkiego bólu, nawet wtedy, gdy to już minęło. Nigdy nie zapomnę tej trawiącej, dręczącej miłości Piotrusia do Elżbiety Potter, która zaczęła się, gdy miał dwanaście lat. Myślę, że wiele osób na lotnisku też nie zapomni. Co do Elżbiety, któż wie? Była, mając jedenaście lat, tak płomienna i zmienna, i kobieca, jak nigdy w swym późniejszym życiu. Wydawała się, w ciągu tych trzech sezonów, równie owładnięta i oczarowana miłością jak mój biedny, zagubiony syn. Ale pasje Elżbiety nigdy jej nie spalały. Mogła płonąć i drzeć, rozsypywać iskry wokół siebie, ale to nie ona spopielała się i załamywała. Myślałam o tym, tej nocy 1941 roku, że Elżbieta, wówczas piętnastoletnia i niemal zniewalająca swą pięknnością, w nie większym stopniu pamiętała o pożarze tej pierwszej miłości, niż o dniu swego urodzenia. Nie jej udziałem było ponoszenie kosztów.

Chyba odkąd zaczęła chodzić bałam się jej. Elżbieta Potter już w chwili urodzenia w jakiś sposób nie znała granic, była pozbawiona zdolności panowania nad sobą i umiarkowania. Wydaje się dziwne i głupie obawiać się nieumiarkowania u dziecka; jest to przecież sama istota dzieciństwa. Ale nawet najbardziej nieroztropne dziecko boi się czegoś, płacze wobec jakiegoś zagrożenia. Nigdy Elżbieta. Jeśli czegoś chciała, dążyła do tego z budzącym grozę nastawieniem na ten jeden cel — i osiągała go. Gdzie chciała iść, tam szła, chyba że zatrzymywano ją siłą, a wtedy po prostu wrzeszczała, zmuszając do usunięcia przeszkód z powodu wyczerpania i do kapitulacji. Słyszałam jak krzyczała tak przez prawie dwadzieścia cztery godziny. Wreszcie nikt nie mógł jej utrzymać z dala od skał i doków, od łodzi i morza. Od dzieciństwa zrećzna jak młoda kozica, zdawała się

nigdy nie czynić sobie najmniejszej krzywdy z wyjątkiem przypadkowych sińców czy zadrapań, na które w ogóle nie zwracała uwagi. To inni — przeważnie Piotruś — wspinając się za nią w strachu i desperacji — upadali, ranili się, łamali kości. Na długo nim zaczęłam się bać, że złamię mu serce, bałam się, że Elżbieta zabije Piotrusia.

Miała rude, barwy żywego płomienia włosy Potterów i nigdy nie pozwoliła nikomu ich obciąć. Gdy miała cztery, pięć lat wrzały na jej wąskich plecach jak lawa. Przeważnie powiewały swobodnie, ale czasem, gdy było bardzo gorąco, lub gdy była na morzu, zwijała je i upinała na czubku głowy. Wyglądała wtedy jak postać z obrazu Matisse'a, na o wiele starszą niż była w rzeczywistości. Miała oliwkową cerę Amy i skośne oczy po jakimś pirackim szarlatanem, przodka Pottera. To połączenie było uderzające, oszałamiające. Nie można było odwrócić od niej oczu, podobnie jak nie można było — ja nie mogłam — odwrócić oczu od Piotra, gdy był bardzo młody. Miała w sobie tę samą pełnię, takie samo spokojne sprawiało wrażenie. Kiedyś, na jakiejś herbatce w jachtklubie, kiedy była jeszcze zupełnie mała, ona i mój Piotr stali obok siebie pijąc żurawinowy poncz, on pochylił się słuchając czegoś, co szeptała mu do ucha i wtedy Augusta Stallings ryknęła na cały pokój:

— Spójrzcie na tych dwoje. Podobni jak ziarnka grochu w strąku. Ona powinna być twoja, Piotrze; poza tymi rudymi włosami nie ma w niej ani krzty z Par k e r a.

Zapadła niezręczna cisza i wszystkie oczy zwróciły się ku mojemu mężowi i dziewięcioletniej córce Amy, lecz po chwili srebrny śmiech Greta Winslow i monotony potok znów podjętej konwersacji zagłuszyły jej słowa. Jednak chyba tylko kilka osób zwróciło na ten incydent baczniejszą uwagę; wybuchy Augusty Stallings tak bardzo bowiem należały do letniego rytuału w Zaciszu, jak czarne muchy i komary. Troje ludzi zauważyło na pewno: zaczerwieniona twarz Parkera Pottera nabrała barwy karmazynu, mała twarzyczka Elżbiety zajaśniała czymś w rodzaju triumfalnej radości, a ciemna okrągła buzia Piotrusia zeszytniała z upokorzenia. Zalała mnie gorąca fala zniewagi i żalu za niego. Miał dziesięć lat i wiedział, że z jakiegoś tajemniczego powodu nie jest i nigdy nie będzie mógł być ukochanym dzieckiem swojego ojca. Ta wiedza nie odstępowała go i przenikała jego serce odkąd stał się dość duży by to pojąć.

— Dlaczego nie możesz być dla niego serdeczny? Dlaczego nie możesz się z nim bawić, mocować i, wiesz, rozburzać mu włosy i... przygarnąć? — krzyknęłam raz do Piotra, gdy Piotruś był mały i odchodził załamany ponieważ ojciec kazał mu zabrać piłkę i bawić się nią w pokoju dzieciennym.

— Nie wiem, Maude — powiedział Piotr i czułam prawdziwy ból w jego głosie. — Kocham go, mój Boże. Leżę czasem w nocy i myślę, co by było gdyby mu się coś stało? Gdybyśmy go nie mieli? Ale po prostu wydaje mi się, że nie mogę dać mu tego, co mu potrzebne. Maude, on jest najbardziej potrzebującym małym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem. Niczego nie ma dość; ściskasz go a on chce, żeby go tak stale trzymać, uśmiechniesz się do niego, a wchodzi ci na głowę przez resztę

dnia. Boję się tego. Nie potrafię wypełnić w nim tej dziury bez dna. Ty możesz; czasem myślę, że jesteś wszystkim co mu potrzebne w życiu, a on tym, czego ty potrzebujesz.

Umilkł, a ja patrzyłam na niego siedzącego na starym krześle w stylu Morrisa przy kominku, w małym domku w Northpoint. To było jego zimowe miejsce; zawsze go tam widzę podczas zimnych miesięcy, tak jak w lecie widzę go biegnącego po schodach doku do „Anny”, a słońce połyskuje na jego jasnych włosach. Jego twarz tego wieczoru była znękana i poczułam dawne ukłucie bólu z powodu jego bólu, to pierwsze i najgorsze źródło mojej udręki. Nigdy nie mogłam znieść bólu Piotra. Łatwiej mi przychodziło znoszenie bólu Piotrusia.

— Ojciec też mu jest potrzebny — powiedziałam łagodnie. — I musisz wiedzieć, że to ciebie ja będę potrzebowała przez całe życie. Ciebie miałam najpierw. Gdybym straciła Piotrusia nie wiem co by ze mną było, ale gdybym straciła ciebie, umarłabym.

Uśmiechnął się wtedy.

— Czy to, co mówię, brzmiało tak jakbym był zazdrosny? Może jestem, choć nie wydaje mi się. Ten rodzaj szalonej, zzerającej potrzeby... nie mogę temu sprostać, Maude. Mogę mu dać moją nieskończoną miłość, ale nie moją nieskończoną obecność. Przykro to mówić o naszym jedynym dziecku, ale wiem, że to prawda i w równym stopniu jak tego nie mogę znieść, myślę, że nie mogę też tego zmienić. Sądzę, że przejąłem to od ojca.

Pamiętałam czasy, gdy Duży Piotr zdawał się po prostu znikać z domu, czasem na całe dni i tygodnie, i czas kiedy Piotr robił to samo, gdy po śmierci ojca cały dom kobiet walił się na niego. Piotruś urodził się podczas jego nieobecności; więc nic dziwnego, że Piotr musiał go uważać za moje wyłączne dziecko. Dobrze więc, niech tak będzie. Dopóki kocha Piotrusia — a wiem, że go kocha — dam Piotrusiowi obecność za nas dwoje. Zapewnię mu bliskość. Nie można prosić Piotra o to, czego nie ma do dania.

Ale Piotruś o tym nie wiedział i ta próżnia, w której nie było ojca musiała go boleć jak wrzód przez całe dzieciństwo. Żałuję, że wtedy nie widziałam tego wyraźniej. Nic nie jest nigdy proste, wiem, ale myślę teraz, że gdyby Piotr mógł bardziej zbliżyć się do syna, mniej bólu wynikłoby z powodu Elżbiety, a może wcale by go nie było.

Bo to pełni Piotruś szukał przez cały czas, do dnia gdy mając jedenaście lat, Elżbieta podniosła swą płomienną głowę i naprawdę go zobaczyła. Coś nieposkromionego, bez warunków ni granic, coś, co go uzupełniało. Nawet moja miłość dla niego, choć wydawała mi się pełna empatii i czasem zbyt wielka, nie mogła go wypełnić. Ale wulkan, jakim była Elżbieta mógł i na pewien czas tak się stało, a konsekwencje tego były dla niego zgubne. Zdawało się, że Elżbieta wślizgiwała się w niego i kierowała nim jak demon. Jej wola była jego wolą i szedł za nią bez szemrania, tam gdzie prowadziła, a prowadziła go w sprawy, które w kruchym, doskonałym, małym mikroświecie Zacisza wiodły do szkody, do nieszczęścia.

Więź fizyczna pomiędzy nimi była silna i dojrzała. Nie mogli utrzymać rąk z dala od siebie. Piotr mając dwanaście lat wciąż był niewysoki i choć jego barki, ramiona i stopy zmężniały i nabrały siły, jego twarz była wciąż gładka i okrągła, a ciemne włosy delikatne i jedwabiste. Elżbieta w wieku jedenastu lat była już przyciągającą uwagę kobietą; używam tego określenia rozmyślnie. Miała zaledwie zawiązki piersi, ciało jej było tak długie, smukłe i śmigające w górę jak młode drzewko, ale coś w jej oczach i miękkich swawolnych ustach o lata świetlne wybiegało poza dzieciństwo. Jednak miała tylko jedenaście lat więc ciągłe ocieranie się o siebie i chowanie twarzy w ramieniu Piortusia, przeciągłe, skupione spojrzenia iskrzące się pomiędzy nimi byłyby niewłaściwe wszędzie. W Zaciszu stawały się niemal pornograficzne. Przestrzegałam Piotrusia i zabraniałam mu spędzać tak dużo czasu z Elżbietą. Wreszcie Piotr powiedział, żeby trzymał ręce od niej z daleka, inaczej zostanie odesłany do letniej szkoły w Northpoint. Myślę, że Amy musiała coś w tym rodzaju powiedzieć też Elżbiecie, ponieważ przestali dość szybko dotykać się wzajemnie w naszej obecności. Za to znikali razem na długie godziny w ciągu dnia, a to — myślałam z rozpaczą — było jeszcze gorsze. Lecz Piotr powiedział tylko:

— Ale co oni właściwie mogą robić, Maude? To są dzieci. Czy naprawdę myślisz, że oni się tam w Buck czy w Spectacle rzną? I że Parker zjawi się tam z dubeltówką, by zmusić Piotrusia, żeby się z nią ożenił? Dajmy temu spokój. Sami z tym skończą, szybciej niż ty byś tego dokonała.

Ja jednak nie myślałam, że tak się stanie. Myślałam, że mogą w Buck lub Spectacle robić właśnie to, o czym Piotr mówił. Piotruś był po prostu oszalały z miłości, oślepy i oniemiały. Jeśli przestali się obejmować przy nas, nie przestali gdzie indziej. Na lotnisku huczało tego lata od plotek. Mama Anna, słaba wtedy i zjadliwa jak osa, ciągle mnie tym zamęczała. Cokolwiek bym robiła, wszystkiego było za mało. Byłam w ciąży z Happy tego pierwszego lata ich wzajemnego oczarowania, zmęczona i pełna obaw o nowe dziecko po dwunastu latach. Gdy zaś próbowałam rozmawiać o tym poważnie z Piotrem, zdawał się rozwiewać jak mgła na wodzie. W rozpaczę poszłam pod koniec tego lata do Amy i powiedziałam jej, że musimy porozmawiać o Piotrusiu i Elżbiecie, a ona wybuchnęła płaczem.

— Proszę, proszę — mówiła, ukrywając twarz w dłoniach. — Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Jeśli uważasz, że coś trzeba zrobić, to zrób, ale nie mów ze mną o tym! Powinno być dla ciebie oczywiste, że Parker jest o krok od zapicia się na śmierć; wszyscy o tym wiedzą, a ja nigdy nie wiem, gdzie on jest, ani z kim, a ta stara kobieta doprowadza mnie do szaleństwa swymi żądaniem i skargami, wypędza każdą gospodynię, którą uda mi się znaleźć, obawiam się, że mogę znów poronić i... wszystko jest z Elżbietą w porządku! Gdyby ten przeklęty koziołek, Piotruś, trzymał się od niej z daleka, nie byłoby żadnego problemu!

Położyłam delikatnie rękę na jej głowie w lokach, zupełnie już prawie siwych i z ciężkim sercem wróciłam do Liberty. Powinnam była wiedzieć,

że Amy mi nie pomoże. Wszyscy na lotnisku wiedzieli, jak poważnie zagrożony był jej świat, a Elżbieta była niezmiennie radością jej serca. Przez te wszystkie lata Amy straciła wiele innych dzieci, ale myślę, że tamte straty nie dotknęły jej bardzo głęboko. Elżbieta zawsze wystarczała Amy.

Myśleliśmy, że zimowe oddalenie od Zacisza zmniejszy żar wzajemnego przyciągania, ale trwało ono jeszcze przez najbliższe dwa lata. Piotruś i Elżbieta dojrżeli i spotkali się, ogarnięci czymś przerastającym dziecienną namiętność. My zaś mieliśmy wtedy prawdziwy powód do tego, by się martwić co robili podczas długich godzin, gdy znikali z naszych oczu. W drugim roku Piotr odwiózł Piotrusia w połowie lipca z powrotem do Northpoint i zapisał do letniej szkoły po tym, jak on i Elżbieta znikli na „Annie” i nie powrócili do zmroku. Piotruś szybko uciekł ze szkoły i przyjechał do Zacisza z powrotem. Gdy, na początku trzeciego lata, Ella Stallings znalazła ich połączonych w uścisku na przystani wioślarskiej jej i Johna, podczas gdy troje najmłodszych Stallingsów przyglądało się temu z powagą, Amy wywiozła Elżbietę do Bostonu. Ukryła ją w chłodnym, pachnącym kamforą domu ciotki w Back Bay z nauczycielem i guwernantką. Wróciła po trzech tygodniach, ukradłszy pieniądze z portfela guwernantki, złapała pociąg z Bostonu do Bangor a potem uczepiła się ciężarówki z lodem jadącej do Zacisza. Tego lata miałam na głowie niemowlę i chorą, niezdolną Mamę Annę. Piotr pierwszy raz od czasu naszego małżeństwa został w Northpoint przejmując obowiązki dyrektora szkoły po pierwszym zawale doktora Fleminga. Gdy Elżbieta zjawiła się znów w Zaciszu, brudna po podróży i wydzielająca niewidoczny fluid przyciągający mego syna, jak przejrzały owoc żółtą osę, znalazłam się w stęchłej bawialni Lottie Padgett, we łzach, dosłownie u krańca wytrzymałości.

— Comamrobić — łkałam. — Nie mogę go zamknąć. Oni nie mogą jej zamknąć. Są za młodzi, to nie jest dobre, tego rodzaju... szaleństwo. Wszyscy o tym wiedzą, także i we wsi. Nawet gdyby byli dostatecznie dorośli, to nie byłoby żadnych podstaw trwania. Ten rodzaj nienasyceńca nie może pomóc, uszkodzi ich dusze. Nie ma równowagi, jasności, świeżości... Och, co ona w nim widzi? Można zrozumieć co on widzi w niej, mój Boże, ale co ona może widzieć w moim biednym, nieopierzonym Piotrusiu?

Miss Lottie przyniosła herbatę z żywokostu i zrzuciwszy grubego, puchatego szopa ze swego krzesła, usiadła. Raz przynajmniej nie było w Małym Domku dzieci, choć zapachy i dźwięki dobiegające z kuchni wskazywały, że przebywało w nim coś dzikiego, małego i osieroconego. W pokoju, jak zawsze był nieopisany bałagan. Gdy tu przychodziłam, zawsze czułam się młoda i na nowo uspokojona. Zapominałam, że jestem jedynym opiekunem wielkiego starego domu i chorej, złej, leciwej kobiety oraz młodego klockowatego, jasnowłosego, poważnego pędraka i czternastoletniego syna, który stracił duszę dla syreny.

Miss Lottie pozwoliła mi się wypłakać, a potem powiedziała:

— Co ona w nim widzi? Siebie. Widzi siebie całą, skończoną i piękną w oczach mężczyzny. Wiesz, że nigdy się taką nie widziała w oczach ojca. Czy chciałabyś być wrażliwą małą dziewczynką dorastającą w domu Parkera Pottera? Jakiego rodzaju obrazy kobiet tam znajduje? Będzie uważać, że jest nikim, nawet tam, dopóki nie zobaczy absolutnie ślepego uwielbienia w jakichś męskich oczach, to jest jak lustro. To widzi w Piotrusiu. Znowu czuje się scalona. Bezpieczna. Nic dziwnego, że tak rozpaczliwie go potrzebuje. Bez niego po prostu znika.

— Ale ona nie jest bezpieczna — powiedziałam. — Piotruś nie może jej zapewnić bezpieczeństwa, to absurdalne.

— Nie — odrzekła smutno Miss Lottie. — Elżbieta nigdy nie będzie bezpieczna. Dużo ludzi będzie z tego powodu cierpiało.

— Och, Boże, Miss Lottie, nasze biedne dzieci — wyszeptalam. — Tyle wysiłku wkładamy. Wiem, że i Amy to robi. Ale to nie wystarczy.

Wyciągnęła rękę i odgarnęła włosy, które opadały mi na twarz. Jej stare palce były jak gałązki, ciepłe i suche.

— Byłaś dobrą matką dla Piotrusia, Maude — powiedziała. — Nie możesz winić siebie za wszystko. Są sprawy, którym nie możesz zaradzić. To letnisko nie jest dobrym miejscem dla niektórych dzieci. To niedobre miejsce dla małych dzikich stworzeń. Mimo to kocham je bardzo, zawsze o tym wiedziałam. Próbowałam zbudować tu bezpieczną przystań dla dzikich serc, dla odmiennych. Rozwijałyby się doskonale gdzie indziej, gdzieś bardziej w świecie, ale tu... widziałam przedtem jak zaczynały walczyć z tym wszystkim. Może nie tak jak Elżbieta, nie w sposób tak destrukcyjny, ale to się zdarza w każdym pokoleniu. Czasem walczą, czasem uciekają. Niewiele możesz na to poradzić, trzeba próbować i być przy nich gdy upadają.

Pomyślałam o Dużym Piotrze kierującym się radośnie każdego tygodnia do Orlego Gniazda, wysoko na skalnej ścianie i o moim Piotrze pędzącym jak złota strzała ku morzu.

— Co mam zrobić dla mojego chłopca? — zapytałam.

— Myślę, że powinnaś mu pozwolić przeżyć samemu cały ból — powiedziała Miss Lottie. — Pozwól mu znieść z godnością całą siłę jego uderzenia, bez mamy, która go chroni jak tarcza. Wtedy nie będzie mu tak smutno, gdy Elżbieta odejdzie. Będzie miał rodzaj busoli, którą się będzie kierował.

— Myśli więc pani, że ona go porzuci?

— To jest właśnie cała Elżbieta — odparła. W jej starczym głosie brzmiał ból, lecz również siła i pewność. Wróciłam ścieżką nad urwiskiem do Liberty orzeźwiona, pokrzepiona i trochę uspokojona. Może ma rację, może to się wkrótce skończy...

Skończyło się w ciągu najbliższych dwóch tygodni. Piotruś wrócił któregoś piątku o zmroku, po dniu spędzonym z Elżbietą na wodzie; jego twarz była jak maska, blada i chora; poszedł prosto do swojego pokoju i położył się do łóżka. Nie otworzył drzwi gdy pukałam i nie tknął jedzenia

z tacy, którą zostawiłam pod jego drzwiami. Gdy poruszyłam klamką jeszcze raz przed pójściem spać, nie było żadnej odpowiedzi i wcale mi nie było wstyd, że obeszałam dom i zajrzałam do jego pokoju przez szparę w starych okiennicach. Leżał zagrzebany głęboko w koce i najwyraźniej spał.

Rano wyszedł zanim wstałam; wysłałam Krystynę Willis do jacht-klubu, żeby sprawdziła czy dinghy jest na miejscu. Gdy powiedziała, że nie ma jej, poszłam do Pięknego Brzegu i znalazłam Amy w kuchni przygotowującą śniadanie dla chorego na przykrytej serwetką tacy. Była zarumieniona i znów piękna, młoda.

— Czy Elżbieta jest tutaj? — zapytałam. — Piotruś wypłynął w dinghy i myślałam, że jest z nim razem.

— Nie, pakuje się na górze — odparła Amy, odwracając trochę ode mnie wzrok. — Powiedziała dziś rano, że chce wrócić do ciotki Lizy i chodzić tam do Instytutu Sztuki do końca lata. Nowa klasa akwareli zaczyna zajęcia w poniedziałek. Parker odwiezie ją rano. Wiesz, że ma zdolności do rysunku, ale nigdy nie sądziliśmy, że jest poważnie zainteresowana.

— Nie wiesz czy się posprzeczali? Piotruś jest w strasznym stanie — powiedziałam. — Nigdy go nie widziałam w takim stanie jak wczorajszego wieczora.

— Nie, nie sądzę — odpowiedziała Amy. — Mówiła, że mu powiedziała, iż myśli, że dla nich obojga będzie najlepiej jeśli nie będą przez jakiś czas się widzieli i że zawsze będzie o nim myślała jak o swoim najlepszym przyjacielu. Powiedziała, że nie mówił wiele na ten temat, więc pomyślałam — naprawdę, Maude — to odpowiedź na wszystkie nasze modlitwy, nie sądzisz? Odchodziłyśmy od zmysłów, a teraz nie ma się już o co martwić.

— Z wyjątkiem Piotrusia — odparłam, płonąc gniewem. — Tylko Piotrusia, który wygląda jak chodzący trup. Mój Boże, czy nie mogła go jakoś ostrzec, jakoś dać mu do zrozumienia? On ją dosłownie uwielbia!

— To przecież ty chciałaś, żebym ją trzymała z dala od niego, nie tak dawno zresztą przychodziłaś przecież w tej sprawie — powiedziała szorstko. — Teraz sama się tym zajęła, posłuchała ciebie. Czego ty chcesz, Maude?

— Nie wiem — powiedziałam odwracając się. — Myślałam, że to słuszne. Ale teraz nie wiem.

Następny tydzień był dla Piotrusia straszny, ale dla mnie też. Nie chciałam z mną mówić o Elżbiecie, mało jadł i to u siebie w pokoju, wypłynął sam na wodę w dinghy, i pozostał tam od wschodu słońca do nocy. Tylko ciągła uwaga, której wymagały ode mnie mała Happy i Anna nie pozwoliła mi go śledzić, biec za nim, przycisnąć go z całej siły do serca, jak to robiłam wtedy, gdy był malutki. Tylko to i niedawne słowa Miss Lottie:

— Pozwól mu przeżyć samemu cały ból.

Siedziałam więc z sercem obolałym od żalu nad jego milczącą agonią i pozwalałam mu odchodzić na morze, tak jak to robili jego dziadek i ojciec

przed nim. Po tym strasznym pierwszym tygodniu przyszedł pewnego wieczora i zapytał swoim dawnym żabim głosem dorastającego chłopca czy mógłby pojechać do Northpoint i spędzić resztę lata z ojcem.

— Mogę teraz podciągnąć matematykę — powiedział. — Może nawet zdałbym przy pierwszym podejściu, jeślibym się teraz wziął do pracy.

Patrzyłam jak odjeżdżał na stację w Ellsworth ciężarówką Micaha; duma, miłość i litość rozdzierały mnie jak mewy rybę na brzegu, myślałam o tym, że widzę dokładnie kształt mężczyzny jakim może się stać któregoś dnia i bardzo mi się podobało to na co patrzyłam.

— Boże, niech to już nareszcie przeminie — szepnęłam, gdy ciężarówka chwiała się na drodze i znikła. Gdy spotkali się następnego lata, tego lata, kiedy siedziałyśmy z Amy na nabrzeżu, czuwając i czekając, naprawdę wydawało się, że wszystko minęło. Elżbieta mając piętnaście lat była jeszcze piękniejsza. Robiła wrażenie stworzenia z dymu, ognia i śmiechu i traktowała Piotrusia z rodzajem lekkiego żartobliwego uczucia, jakie starzy przyjaciele mają dla siebie. A on z kolei traktował ją lekko, zdawkowo, jak wyniosły kilkunastolatek piękne dziecko. I tylko ja widziałam rozpalony ból płonący w nim jak ogień w głębi ziemi, który nigdy nie wybuchnie na powierzchnię. Wiedziałam, tej nocy gdy czekałyśmy na ukazanie się ich światła na ciemnej wodzie, że gdziekolwiek byli, płynąc z wiatrem bok przy boku, na „Annie” i „Circe”, Piotr cierpiał z powodu Elżbiety i starał się usilnie nie pokazywać tego po sobie.

— O tak — powiedziałam znów do Amy Potter. — Pamiętam.

— Tyle lat temu — rzekła. — Czy możesz w to uwierzyć? Gdy tu jesteś, myślisz, że czas wcale nie upływa, ale to nieprawda. Upływa. Och, Maude! Gdybyśmy mogły zatrzymać teraz czas! Nie chciałabym teraz zmiany.

Milczała przez chwilę, a potem zapytała:

— Maude?

— Hmmmm?

— Czy ty kiedykolwiek miałaś takie odczucia wobec Piotra? To szaleństwo, spalanie się?

Uśmiechnęłam się w ciemności, choć nie sądzę, by to widziała.

— Ciągle to czuję — powiedziałam.

— Boże — szepnęła; to było wszystko co powiedziała.

Widziałyśmy teraz światło, daleko na wodzie, podniosłyśmy się i poszłyśmy na koniec doku, ale wtedy usłyszałyśmy miękki warkot silnika i zrozumiałyśmy, że to nie była powracająca flotylla lecz łódź do połowu homarów, i to samotna. Patrzyłyśmy jak jej światła zbliżają się coraz bardziej i wkrótce zobaczyłyśmy jej ciemny kształt, a na jej białym boku czarny napis: „Tina”.

— To Micah — powiedziałam do Amy. — Co on na miłość boską robi tak późno poza domem? Przeważnie kończy połów w południe. O Boże, mam nadzieję, że nic się im nie stało.

Na kilka jardów przed dokiem wyłączył silnik i wśliznął się cicho; chwyciłam linę, którą mi rzucił i gdy lekko zeskoczył z pokładu na deski, na których stałyśmy, zapytałam:

— Czy widziałeś flotę? Czy tam wszystko w porządku? Słyszałyśmy, że była mgła i strasznie są spóźnieni.

— Nie widziałem ich — odparł; jego oczy wydawały się białe w usianej gwiazdami nocy. Poczułam ciepło jego ciała w zimnie idącym od wody i skrzyżowałam ramiona. Patrzyłam, jak przywiązywał „Tinę”. Kim jesteś? powiedziałam do siebie, patrząc na jego sylwetkę poruszającą się zręcznie przy cumowaniu łodzi. Znam cię od osiemnastu lat i wciąż nie wiem, kim jesteś.

Dopiero wtedy zastanowiłam się dlaczego zatrzymał się w klubowym doku. Zawsze cumował „Tinę” w przystani warsztatu skutniczego, za cypłem.

— Stało się coś? — znów zapytałam.

— Czy Piotr jest w domu? — spytał on. — Słyszałem, że przyjechał na weekend.

— Nie, jest na regatach. W tym tygodniu są regaty w Northeast Harbor. Micah, co to znaczy?

— Nie wiem — odpowiedział. — Nie mam pewności. Może to jest coś, a może nic. Chciałem o tym pomówić z Piotrem albo Guildem Kennedym i z chłopcami Thorne, bo oni są z Waszyngtonu. Oczywiście, nie ma wśród nich tegiej głowy.

— Micah!

Spojrzał na mnie białymi oczami, usiadł i zapalił krótkiego i grubego papierosa. W świetle zapałki jego oczy stały się niebieskie.

— Byłem dziś rano na moście na Sarniej Wyspie, popłynąłem „Tiną” by zabrać stamtąd pompę od Etona. Pod mostem zakotwiczony był potężny jacht żaglowy, w samym środku, a ruch po obu stronach mostu był wstrzymany. Wyglądało na to, że wstrzymali go ludzie szeryfa. Nie było żadnego statku dokoła na wodzie, tylko ta ogromna łódź, świecąca w słońcu jak weselny tort. Nie widziałem jej nazwy ani rejestracji i nie były wywieszane bandery. Pomyślałem, że lepiej się przyjrzę, wyłączyłem silnik i podpłynąłem do niej, zaraz jednak nadpłynął wojskowy kuter jak jastrząb za kurczakiem, jestem pewien, że z marynarki wojennej, dając mi znaki, żebym się cofnął. Nie bardzo chciałem, więc dalej płynąłem i wtedy zobaczyłem, że to była kanonierka, miała na pokładzie parę Boforsów. Wycelowanych prosto we mnie. Zawróciłem więc i wyniosłem się stamtąd, ale dopiero jak zobaczyłem dwóch mężczyzn na pokładzie jachtu siedzących w fotelach klubowych, pijących i palących, jakby byli zakotwiczeni w Miami, a nie w Penebscot Bay, w stanie Maine. Widziałem ich bardzo wyraźnie.

— I co? — zapytałam marszcząc czoło. Kanonierki, pod starym mostem Sarniej Wyspy? Chłód, który nie był chłodem nocy pochwycił mnie za kark.

— I nic — odpowiedział, wyrzucając niedopałek i ruszając z nadbrzeża w kierunku letniska. — Nic poza tym, że jeden z nich to był Franklin Roosevelt. Wszędzie poznałbym tę szczękę i tę cygarniczkę. I jestem najpewniejszy, że drugim był Winston Churchill!

— Och, na pewno nie — zaprzeczyła łagodnym szeptem Amy.
— Wiem co widziałem — powiedział Micah i byłam pewna, że to prawda.

— Co to znaczy? — zawołałam za nim cicho. Coś mi nakazało nie podnosić głosu.

— To oznacza wojnę — dobiegło do mnie od jego oddalającej się postaci. — To znaczy, że jesteśmy o krok od tej przeklętej wojny. I najwyższy czas, zapewniam. Już dość długo Anglia była sama wystawiona do wiatru.

Amy i ja patrzyłyśmy za nim bez słowa dopóki nie zniknął nam z oczu. Czułam jak strach wynurza się gdzieś spod moich żeber i płynie jak roztopiona lawa przez moje ramiona i nogi, jak wraz z nim zamiera we mnie oddech. Przeczułam wtedy zmianę; od brzegów ciemności nadlatujący wielki czarny kształt pterodaktyla, kształt zmiany, , utraty i nigdy więcej. Prawie widziałam jego ogromną masę. Czułam niemal jego oddech na twarzy, bijący w moje nozdrza.

— O Boże najwyższy w niebie — wyszeptałam. — To nie może być prawda. Nie możemy być wmieszani w tę wojnę. Wszyscy to mówią.

Amy nie odpowiedziała, a ja nie mówiłam już nic więcej. W ciągu najbliższej półgodziny, kobiety z letniska zaczęły się gromadzić na nadbrzeżu, przychodząc w ciszy z czarnych lasów za jachtklubem, w swych kardiganach i szalach, zacierając ręce od nocnego zimna i wypatrując, tak jak my, świateł w zatoce. Kiwałyśmy do siebie głowami na powitanie, zamieniałyśmy po parę słów, ale na ogół zalegało milczenie. W ciągu najbliższych piętnastu minut, większość z nas, te, które mogły wyjść z domów, znalazła się tutaj. Myślałam o Piotrusiu, tam, na ciemnej wodzie, i o Happy, leżącej w jego dawnym dziecięcym pokoju w Liberty, z Krystyną Willis obok, czytającą jej książkę. Myślałam o wracającym, śmiejącym się Piotrze, o ogniu zapalonym na kominku i może o kieliszku brandy. O ułożonych w stopy kołdrach na łózkach na górze. Nie wspominałam tego co Micah Willis widział rano pod mostem na Sarniej Wyspie.

Nagle daleko na wodzie ukazały się płynące światła, najpierw zapaliły się dwa, trzy, a potem zapłonęły wszystkie, jak flotylla robaczków świętojańskich daleko za Fiddle Head. Po chwili usłyszeliśmy głosy bardzo oddalone, nawojujące się pomiędzy łodziami, i śmiechy. Głosy wydawały się bardzo młode i jakaś alchemia nocy, wody i odległości sprawiła, że brzmiały tak jakby oddalały się od nas, a nie zbliżały.

I wtedy, jak w doskonałej wizji, zobaczyłam i zrozumiałam z absolutną pewnością i prawie ugięłam się pod jej ciężarem: będziemy mieli wojnę i kobiety będą się zbierały na brzegu wody, tak jak my teraz i będą nasłuchiwały skroś jej pustki głosów swych mężczyzn. Głosy nad wodą, nasłuchiwane z brzegu wody

Głosy oddalające się.

I czuwające kobiety.

* * *

Oczywiście, mieliśmy wojnę. Micah miał rację, nawet mimo że niektórzy z nas mieli pewne wątpliwości co do obecności Franklina Roosevelta i Winstona Churchilla na jachcie opodal Sarniej Wyspy. Ja w to nie wątpiłam. Nieco później w tym miesiącu dowiedzieliśmy się, że ci dwaj spotkali się na pokładzie kontrtorpedowca w Placentia Bay niedaleko Nowej Szkocji i bardzo blisko Campobello, by nieformalnie naszkicować to, co stało się Kartą Atlantycką. Ale nawet gdybyśmy o tym nie słyszeli, nie wątpiłam w to, co powiedział Micah. Rzadko mówił coś jeśli nie był tego pewien, a — jak powiedział — wiedział co zobaczył.

Gdy więc usłyszeliśmy pewnej sennej niedzieli w Northpoint, też po lunchu w jadalni, straszne wiadomości na temat Pearl Harbor, to nie szok sprawił, że twarz mi pobladła i zabrakło mi tchu, lecz lęk lodowatym ciężarem przytłaczający moje serce od tamtej nocy sierpniowej na nadbrzeżu.

— Piotruś — wyszeptalam, wbijając paznokcie w dłoń Piotra. — Nie pozwolę Piotrusiowi iść na tę wojnę.

— On ma dopiero szesnaście lat, Maude — powiedział Piotr patrząc na wyszczerbiony wylot starego Capeharta. — Lata miną nim będzie mógł pójść, nawet gdyby chciał.

— Ale jeśli ona będzie trwała i trwała?

— Nie będzie. Pójdziemy teraz walczyć jak szaleni; nawet stary Willie Hearst i izolacjoniści będą za Rooseveltem. Wrócimy do domu w ciągu roku.

— Nie, nie wrócimy — krzyknął zrozpaczony Piotruś z dywanu przed kominkiem, gdzie był zatopiony w „Walczących okrętach Jane”. Czytał to uważnie odkąd Niemcy zaczęli bombardować Anglię, pewien że wojna obejmie któregoś dnia morze. To było jego największe marzenie: dowodzić walczącym okrętem. Odrzucił książkę.

— Będzie trwała aż skończę osiemnaście lat; wiem, że tak będzie! Przyjmują osiemnastolatków do RAF-u, czasem nawet młodszych, jeśli nie wiedzą... Skłamię. Zaciągnę się. Nie ominie mnie ta wojna!

— Dlaczego po prostu nie kupisz karabinu, nie wycelujesz sobie w głowę i nie pociągniesz za cyngiel? — krzyknęłam wybiegając z bawialni, zamykając się w łazience i płacząc tak długo aż zabrakło mi łez. Gdy wyszłam, bawialnią była pusta, ogień na kominku dopalał się, a na stoliku przy frontowych drzwiach znalazłam kartkę z wiadomością, że Piotr i Piotruś poszli do Commons po najnowsze wiadomości.

Usiadłam pod oknem i patrzyłam na łagodny szary grudniowy campus. Przez romboidalnie ścięte szybki, dziedziniec wydawał się pozbawiony śladów ludzkich jak księżycowy krajobraz pozbawiony wszelkiego ruchu i spokojny, miejsce uchwycone poza czasem. Lecz w gotyckich oknach starego budynku Commons w oddali błyszcząły światła i wiedziałam, że w środku mężczyźni i chłopcy zgromadzili się razem, jak gromadzili się od niepamiętnych czasów, oddaleni od świata kobiet, oczekujący wieści z wojny. W całym kraju, wszyscy ci mężczyźni, wszyscy ci chłopcy, czekający... spokojnie, beznadziejnie. Znow zaczęłam płakać. Nie wierzy-

łam, że Piotruś nie będzie musiał walczyć. Nie wierzyłam wtedy nawet, że Piotr jej uniknie. Nie po raz ostatni płakałam podczas tej wojny oczywiście, ale przyrzekłam sobie wtedy, że nie będę płakała przy moim mężu i synu. I jakoś mi się to udało.

Piotr nie przyjechał w ciągu tamtego lata do Zacisza. Nie przyjeżdżał nawet na weekendy. Doktor Fleming miał drugi, poważniejszy zawał nazajutrz po ataku na Pearl Harbor a wobec przyspieszenia wojny i braku benzyny nie było możliwości by dojeżdżał i wracał z letniska. Piotruś poszedł w jego ślady i odmówił przyjazdu do Zacisza. Upierał się przy pozostaniu w Northpoint i zabranii się za historię marynarki wojennej, a Piotr obiecał, że będzie na niego uważał. Gdyby Anna nie zrobiła awantury, ja też bym została. Była jednak nieugięta, i Piotr ją popierał. Wyruszyłam więc z wojowniczą pięciolatką i chorą starą autokratką, teraz w fotelu na kółkach, zgrzytliwym, kołyszającym się pociągiem do Ellsworth. Tam znalazłyśmy taksówkę, która zawiozła nas do Blue Hill, a gdy już tam byliśmy, po prostu przekupiłam jedyne taksówkarza by powlókł się z nami do Zacisza. Już po zmierzchu skręciliśmy na drogę do Liberty i serce podskoczyło mi do gardła. W żadnym z mijanych domów nie świeciło się światło, nie było widać żadnych samochodów na podjazdach ani w garażach. Mogłyśmy równie dobrze wylądować, my trzy niedobre i nieustepliwe kobiety, na Uranie.

— Czy tylko my tu jesteśmy? Gdzie są wszyscy? — zapytała płaczącym głosem Anna z tylnego siedzenia, który odbił się echem w moim własnym stłumionym łku.

— Ja chcę do domu — zajęczała złowieszczo Happy.

— Po prawdzie, nie ma tu dużo ludzi — powiedział taksówkarz. — Ale na ogół, zobacz panie, to zaciemnienie. Nie można zapalać świateł, jeśli nie ma czarnych zasłon. Patrol to sprawdza. Na tych drogach co sześć godzin sprawdzają światła. I słusznie. Mówią, że pełno niemieckich łodzi podwodnych na tym wybrzeżu. Widziano je w Mount Desert i Stonington, a niektórzy mówią, że wynurzają się spod wody, żeby się rozejrzeć na całej długości Eggemogin Reach od Zatoki Francuza do waszego przylądka. Ludzie mówią, że spokojnie jak śmierć, jak rekiny; nigdy nie wiadomo, że są w pobliżu. Trasa głównego konwoju przechodzi obok Mount Desert. Słyszałem, że przed miesiącem czy dwoma na plaży waszego jachtklubu wylądował szpieg. Trudno powiedzieć, gdzie jeszcze będą skakać. Musicie wiedzieć, że wszyscy mężczyźni-letnicy poszli na wojnę i tu zostały tylko kobiety. Nie wiem prawdę rzekłszy, po co panie tu przyjechały.

Drżałam z gniewu i lęku, gdy płaciłam mu i próbowałam wyciągnąć Annę i jej fotel inwalidzki z taksówki. Na dźwięk słowa „szpieg” Happy zaczęła płakać. Była przekonana, że Adolf Hitler przybędzie tu osobiście, by ją zabić i w swej małej ciemnej duszyczce rozumiała, że szpiedzy byli jego wysłannikami. Gdy nie wykonałam żadnego ruchu, by ją pocieszyć, płacz przeszedł w wycie.

— Mam nadzieję, że mają panie jakieś zapasy — powiedział nasz taksówkarz, wychylając się przez okno. — Słyszałem, że nie mają tu

nigdzie w okolicy mleka, ani jajek ani mięsa. Warzywa i mąka też już dawno znikły. Homary i ryby też; poławiacze homarów poszli wszyscy na wojnę. Mogą być jakieś mięczaki, jeśli będą panie chciały je wygrzebywać.

Odwrociłam się do niego z wściekłością.

— Czy uważa pan, że to śmieszne straszyc do tego stopnia trzy samotne kobiety? Czy lepiej się pan dzięki temu czuje?

— Nie czułem się nigdy tak źle, od tego zaczniemy — powiedział wesoło i wyprowadził bez świateł swoją taksówkę na drogę.

— Zapisz numer rejestracyjny tego człowieka, Maude i porozum się natychmiast z jego pracodawcą — zawołała w rozdrażnieniu Anna. — Nie pozwolę by tak do mnie mówiono, szczególnie ktoś miejscowy.

— Ja chcę do domu — ryczała Happy.

— Przeście natychmiast obie! — zasyczałam przez zaciśnięte zęby, i ku mojemu zdziwieniu uspokoiły się. Po raz pierwszy w życiu weszłyśmy do domu, który był zimny i zupełnie ciemny. Piotr zapomniał pewnie napisać do Krystyny Willis, która zawsze przed naszym przyjazdem otwierała Liberty i zapalała ogień na kominku, napełniała lodówkę jedzeniem i zawsze coś cudownego gotowało się na kuchni.

— Jeśli któraś z was powie jeszcze choć jedno słowo, wyjadę i zostawię was — powiedziała drżącym od łez głosem i wyczułam w ciemnym, gęstym powietrzu, że obie skinęły głowami. Wstyd mnie przejął mimo samotności i strachu. Przeszłam po omacku na werandę, gdzie w górnej szufladzie starego biurka wymacałam zapalniczki, które zawsze były tam w małej puszcze. Zużyłam prawie wszystkie zapalając latarnie sztormowe i świece, ale wreszcie uzyskałyśmy małe przestrzenie oświetlone żółtym światłem w pozbawionym powietrza mroku. Bawialnią, z meblami przykrytymi białymi pokrowcami zaczęła nabierać życia. Ściągnęłam pokrowiec z sofy przed kominkiem, posadziłam na niej Annę i Happy, zapaliłam kilka w miarę suchych kłód, litościwie pozostawionych w kominku i spojrzałam na moje podopieczne. Odwzajemniły mi spojrzenie. Milcząc patrzyły szeroko otwartymi oczami oczekującymi wybawienia.

Wiem kogo chcę tu widzieć, pomyślałam żarliwie i z pełną jasnością. Micaha.

I tak jakbym przeczyściła lampę, usłyszałam łatwy do rozpoznania warkot jego ciężarówki na drodze, jej opony zachrzęściły na żwirze podjazdu, a on szybkimi, cichymi krokami przebiegł ścieżkę. Za chwilę otworzyły się frontowe drzwi i stanął przed nami.

Ubrany był w ciemny rybacki sweter, ciemne spodnie i buty, a twarz miał pomazaną czymś co wyglądało jak czarna maska piosenkarzy przebierających się za Murzynów. W tej czerni połyskiwały jasno jego oczy i zęby.

— Dobry wieczór paniom — powiedział. — Pomyślałem, że to może panie, gdy minęła mnie taksówka z Blue Hill. Nie mogłem sobie wyobrazić, żeby ktoś inny jeszcze mógł być... być tak stanowczy, by tu przyjechać, wobec tego wszystkiego co się dzieje.

— Chce pan powiedzieć uparty, prawda? — powiedziałam i poczułam jak oczy napełniają mi się łzami, a usta wykrzywiają się zdradliwie. — Och, Micah — dodałam po prostu, gdy byłam pewna, że nie będę płakać — naprawdę bardzo się cieszę, że pana widzę.

— Muszę przeprosić za czarny makijaż — powiedział. — Działam jako urzędowy patrol w tej części przylądka, a dzięki temu moja brzydka twarz nie świeci i nie straszy nazistów.

Potem, patrząc na twarz Happy uśmiechnął się i zęby zabłyśły znów bielą.

— To taki sposób mówienia, malutka. Nie ma w tych okolicach nazistów, gdy ja i Bruno działamy. Przyprawdę go za chwilę, żebyście go poznały, to wielki stary labrador, nie nadaje się do niczego innego prócz jeżdżenia w mojej ciężarówce i robienia urzędowej miny. Ale może wystraszyć samego diabła, swoimi wielkimi żółtymi ślepiami. Lubisz psy?

— Tak — powiedziała Happy, patrząc na niego zafascynowana. — Mam owczarka szkockiego, nazywa się Fala. Nie mógł przyjechać.

— Fala, hmm? No cóż, jest w dobrym towarzystwie. Coś ci powiem. Dlaczego Bruno nie mógłby być twoim tymczasowym przyjacielem zanim wrócisz do Fali? Chciałabyś?

Uśmiechnęła się nagłym, słodkim uśmiechem, od którego powstało jej przezwisko*. Dawno go nie widziałam na jej twarzy.

— Tak — odparła.

— Okay — powiedział... A potem, zwracając się do mnie:

— Tina przysłała trochę jedzenia. Jest potrawka z ryby, placek z czarną borówką i pączki z melasą. I tuzin jajek od jej własnych kur, jeśli nie zdradzicie nikomu. Nikt nie wie, że je mamy. Ona przyjdzie rano i zrobi porządek, a na razie rozpalę w sypialniach i przyniosę trochę drewna. Powinno być w drewni.

— Micah, nie wiem, jak mam... dziękować — powiedziałam słabo. — Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że tu jest tak źle, dopóki taksówkarz nie powiedział nam o brakach. I oczywiście o słynnych niemieckich łodziach podwodnych i o szpiegach. Nie będziemy pana męczyć później, przyrzekam. Piotr kupił zeszłej jesieni stary samochód i zostawił go w drewni, będę więc jeździła po to, co niezbędnie potrzebne, mam też nasze kartki przydziałowe i trochę zapasów; mamy sobie doskonale radę.

— Co do samochodu — powiedział Micah. — Obawiam się, że go nie ma. Szeryf Perkins zarekwirował go w kwietniu dla swego patrolu; co wieczór jeździ od Brooksville do Castine. Ja objąłem wybrzeże i miasteczko. I tak zresztą na nic by się nie przydał. Benzyna dostępna jest tylko dla samochodów urzędowych. Mogę od czasu do czasu coś paniom przywozić, a pani może chodzić do domu towarowego. Przywożłem pani rower Kaleba, jest w ciężarówce. Będziemy dbali o to, żeby panie miały wszystko co potrzebne do życia, ale to nie będzie zbyt łatwe, obawiam się. Naprawdę nie powinny były panie tu same przyjeżdżać.

* Happy — radosna, szczęśliwa — przyp. tłum.

— Micahu Willis, proszę powiedzieć szeryfowi, żeby natychmiast odesłał mój samochód, albo zwrócę się do przedstawiciela prawa — powiedziała zimno Mama Anna spośród swych pleców. — Jak śmiała konfiskować go bez mego pozwolenia? A co do przyjazdu tutaj, nigdy w życiu nie opuściłam lata w Zaciszu i nie mam zamiaru teraz zaczynać.

— Nie, proszę pani — powiedział Micah patrząc na nią. — Nie myślę wcale, że teraz pani zacznie. Ale, proszę mi wybaczyć, czy mogę zwrócić uwagę, że szeryf Perkins jest przedstawicielem prawa?

Uśmiechnął się do niej łobuzerskim uśmiechem. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu odwzajemniła mu uśmiech.

— W takim razie, Micah, proszę mi pomóc przejść do mojego pokoju — powiedziała wyciągając rękę, a on podszedł i pomógł jej wstać. Patrzyłam jak prawie wynosił ją z bawialni, jakby ją prowadził na uroczysty obiad, a potem zwróciłam się do mojej ziewającej córki.

— Okay, Punkin, trochę się zdrzemniesz, a potem zjemy kolację przy ogniu, jak pod gołym niebem.

Gdy już moja córka i teściowa zostały rozlokowane a my sprzątnęliśmy po jedzeniu, Micah przyniósł z ciężarówki zasłony zaciemnieniowe i założył je, a potem włączył elektryczność i pokój rozblił swojskim, łagodnym, żółtym światłem. Zrobiłam kawę i podałam mu; stał przy kominku pijąc. Nie mógł zostawać dłużej, bowiem jak powiedział, miał jeszcze przed sobą większość objazdów i wiele innych spraw do załatwienia w ciągu najbliższych sześciu godzin.

— Czy to wszystko jest naprawdę konieczne? — zapytałam.

— Tak, jest konieczne — odrzekł. — To co Ciem Peak mówił paniom o niemieckich łodziach podwodnych i szpiegach jest częściowo prawdą, choć stary idiota nie powinien pań straszyć. Nic nie udało się zobaczyć ostatnio, ale jest ich kilka za przylądkiem Rosier, a patrol szeryfa złapał którejś nocy chyba szpiega na plaży. Młody facet, mówił że jest Holendrem, ale to czysta bzdura. Więc zaciemnienie to poważna sprawa, tak samo jak patrole i środki ostrożności. Jeśli się tego przestrzega, to raczej nie grozi niebezpieczeństwo. Wszyscy w okolicy wiedzą, że patrolujemy teraz regularnie Zacisze i nie są panie same. W Małym Domku jest Miss Lottie, a w Krańcu Ziemi doktor i pani Lincoln, myślę, że w Ogrodzie Mary jest przynajmniej jedna z panien Thorne i dzieci. No i oczywiście pani Stallings w Utopii.

— Jednak nie ma nikogo w pobliżu nas — zauważyłam.

— Ktoś usłyszy jeśli będzie pani głośno wołać — powiedział. — Ale co dolega pani Chambliss?

— Doktor mówił, że artretyzm — odparłam. — Ale ja nie wiem... Wydaje się coraz słabsza. Ma pan rację, to nie był dobry pomysł. Mam nadzieję, że ona też zdała sobie z tego sprawę.

— Piotr nie przyjedzie — powiedział. To nie było pytanie.

— Nie, jest za dużo zamieszania w szkole, wielu starszych chłopców wyjeżdża by się zaciągnąć, niektórzy z młodszych nauczycieli też wyjechali. To tak smutno patrzeć, gdy chłopcy, których się znało tak długo idą na

wojnę. Wstrzymuję oddech codziennie z powodu Piotrusia... Och, Micah. A co z Kalebem? Czy on... czy on...?

— Wstąpił do Pszczół Morskich zaraz po rozpoczęciu wojny — powiedział. — Jest teraz w szpitalu w Brisbane. Dostał ciężki postrzał podczas zamieszania na Morzu Koralowym.

— Mój Boże, Micah. Ale wszystko będzie dobrze, prawda? Czy wróci niedługo do domu?

— Za jakiś miesiąc. Cały, tylko bez lewej nogi.

Popatrzyłam na niego i ukryłam twarz w dłoniach. Czułam, jak płyną mi łzy. Podniosłam głowę bez słowa, a potem szepnęłam:

— Tak mi przykro. Tak mi przykro.

Oczyma duszy ujrzałam małego, ciemnego chłopczyka biegnącego przez letnie pole z rączkami pełnymi bżów i znów poczułam w ramionach jego miękki, śpiący ciężar.

— Wiem — powiedział Micah. — Nie jest mu jednak potrzebna ta noga do połówów. Przynajmniej wraca do domu. Niektórzy nie wracają.

Podniosłam głowę i patrzyłam na niego w milczeniu, czując jak rumieniec zalewa moje policzki. To co musi znieść, znosi jak mieszkaniec tej ziemi, nie prosi o moje łzy i nie przyjmuje ich z wdzięcznością. Przrzekłam sobie, że on, tak jak i Piotr, nie zobaczy ich więcej.

— Tak — powiedziałam. — Niektórzy nie wracają.

— No więc jadę — rzekł i ruszył do wyjścia, a potem się zatrzymał. — Nawiasem mówiąc, na wszelki wypadek powinna pani mieć to przy sobie — powiedział, wyciągnął z kieszeni krótki, gruby rewolwer i podał mi.

— Nie chcę mieć broni w domu...

— Proszę wziąć. Niech go pani ukryje jeżeli pani chce, ale proszę go mieć pod ręką. Jeśli nie umie pani strzelać, przyjadę jutro i pokażę pani. Jest naładowany. I proszę, na miłość boską, być ostrożną; pewna dama z letniska w Sedgwick strzeliła sprzedawcy ryb w siedzenie, myśląc, że to szpieg.

Spojrzałam na niego bystro, ale uśmiechał się. Uśmiechnęłam się także i wzięłam rewolwer.

— Dziękuję — powiedziałam. — Tylko proszę uważać na swoje własne siedzenie. Nie powiem, żebym nie miała pokusy przez te wszystkie lata.

— Tak jak bym nie wiedział — odparł i wyszedł z domu. Wkrótce byliśmy we trzy same na ciemnym letnisku. Ale spałyśmy dobrze tej nocy dzięki jego wizycie, jak i dzięki jedzeniu, które przywiózł. Rewolwer zawięzałam w flanelową szmatkę i włożyłam go pod łóżko nim się położyłam. Nie denerwując mnie swym widokiem, zdawał się jednak świecić stamtąd uspokajająco jak tłący się węgiel i mogłam wyczuwać jego ciepło przez sprężyny, materac i prześcieradła. Zasnęłam nim jeszcze przyłożyłam głowę do poduszki.

Potem czułam się bezpieczna, choć pogłoski o łodziach podwodnych i lądowaniu szpiegów, o tajemniczych światłach na morzu i tajnych

wiadomościach przechwytywanych przez radio na statkach rybackich krążyły jak dokuczliwe komary wokół opustoszałego letniska i miasteczka. W jakiś sposób te pogłoski zdawały się — pierwszy i jedyny raz w moim życiu w Zaciszu — zbliżyć mnie do mieszkańców miasteczka. To było tak, jakby teraz, w czasach niedostatku i grożącego niebezpieczeństwa, wszystkie cienie i bariery rozwiały się, a zasady towarzyskie zanikły. Pan Courtney, który prowadził sklep w Oddfellows Hall w miasteczku, wysyłał legion swoich milczących dzieci do Zacisza z torbą napełnioną wszystkim co od czasu do czasu miewał, a ja posyłałam w zamian jeden z moich cennych talonów na benzynę, z których nie mogłam korzystać oraz moją książeczkę żywnościową. Pani Fellows z fermy przy drodze do Brookville odkładała dla mnie mięso krabów i świeże jarzyny, gdy je miała, a stary Trenton Percy, przy drodze w przeciwnym kierunku, przemycał mi mleko dla Happy. Jane Thorne z Ogrodu Mary mówiła mi, że dostarczała jej też dla dwójki jej dzieci. Micah regularnie przywoził homary i mięczaki, a Krystyna przynosiła chleb zawsze gdy go upiekła. Pewnego razu, gdy jego ojciec ustrzelił sarnę, która grasowała w zielonym groszku, Micah przyniósł nam udziec sarni. Wysyłałam pieczeń i kotlety tym kilku osobom, które oprócz nas były w Zaciszu — w większości starszym ludziom i kilku młodym matkom z dziećmi, jak ja.

Sama poprosiłam Michała i Krystynę, żeby przychodzili wieczorami po kolacji, by posłuchać ze mną radia albo muzyki klasycznej i oper z płyt, które tak lubił Duży Piotr i starannie przechowywał na półkach w gabinecie. Siadaliśmy we troje przy kominku, gdy Happy i Anna były już w łóżkach, zasłonięci od niepokoju nocy, pijąc kawę a czasem brandy z jednej z nielicznych już, zakurzonych butelek, które przechowały się w schowku Dużego Piotra z czasów prohibicji. Niewiele mówiliśmy o wojnie czy o nas sAmych, ale dużo o tak nieznaczących teraz sprawach jak sztuka, muzyka i ogrodnictwo. Czułam się bliska im obojgu w tym dziwnym, zawieszonym czasie. Miałam wrażenie, że jesteśmy podróżnikami na małym wygodnym statku, na czarnym, bezgranicznym morzu. Nie możemy zobaczyć brzegu ani za nami ani przed nami, nie znamy naszego portu przeznaczenia, jesteśmy więc z musu radzi temu, że po prostu istniejemy. To lato było w dziwny sposób przyjemne: pełne napięcia ale pod napięciem uspokajające niemal do senności.

„Dziwne jak bardzo cieszy mnie to lato, tak samo twoją matkę i Happy” — pisałam do Piotra pod koniec lipca. „W jakimś stopniu jest to najspokojniejszy czas jaki tu spędziłam. Cieszę się teraz, że przyjechałyśmy. Od tygodnia, w którym przybyłyśmy nie słyszałam ani o niemieckich łodziach podwodnych, ani o szpiegach”.

„Bardzo byłbym zdziwiony gdyby szeryf Perkins złapał sam żywego szpiega” — odpisał Piotr. — „Z tego co słyszałam na temat jego pozaprogramowej działalności, znacznie bardziej nadaje się do chwytania włóczących się agentów Wydziału Alkoholu, Podatków i Broni Palnej. Parker Potter kupował od niego przez cały czas piwo domowego wywaru”.

W nocy przed Dniem Pracy siedziałam na werandzie z doktorem Lincolnem, jego żoną i Jane Thorne, obserwując deszcz meteorów na czarnym niebie nad jodłami i świerkami. Wszyscy troje mieli wyjechać we wtorek, a Piotr miał po nas przyjechać następnego dnia. Byłam w trakcie likwidowania gospodarstwa. Skrzynki, pakunki i walizki zebrane były w bawialni, niektóre meble już były przykryte. Udusiłam resztę sarniny z jarzynami, które jeszcze miałam, a Krystyna zrobiła krem borówkowy; byliśmy śpiący, syści i leniwi, nikt z nas nie chciał opuszczać bezpiecznej przystani Zacisza i wracać do świata, „w niebezpieczne miejsce”, jak powiedział doktor Lincoln.

Pocałowałam ich lekko w policzki, zgodnie ze zwykłym sposobem pożegnania w Zaciszu, powiedziałam, że jeszcze się zobaczymy przed wyjazdem i poszłam na górę, by zająrzeć do Happy i Anny. Moja córka spała na boku z palcem w buzi; żadne maksy ani bury Anny nie mogły jej oduczyć ssania palca; ja już dawno skapitułowałam. Wyglądała słodko i spokojnie w świetle gwiazd, jej czoło było jasne i czyste, usta rozluźnione wokół serdelkowego palca. Poprawiłam jej przykrycie i zaszłam do pokoju Anny. Czasem czytała do późna, ale dziś światło było zgaszone i widziałam powolne wznoszenie się i opadanie jej oddechu pod kocem. Kiedy straciła tak wiele ze swej imponującej postury? Kiedy zrobiła się z niej taka drobna, mała kobieta? Gdy nie spała, przybierała postawę napuszonego gulgoczącego indyka, ale śpiąc była po prostu chorą, małą, drobną damą w wąskim staroświeckim łóżku.

Wyszłam na palcach zamykając drzwi i zaszłam do kuchni, by nalać sobie szklankę „nielegalnego” mleka Trentona Percy. Nie zapalałam światła, nie zaciągnęłam bowiem zasłon zaciemnieniowych. Na zewnątrz księżyc wylewał swe światło na werandę, białe na szerokich starych deskach. Nic, nawet zwykłe nocne dźwięki z północnego lasu nie zakłócały gęstej ciszy, nie było nawet słychać drobnych uderzeń fal o plażę. Będzie mi brakowało tego spokoju w domu, pomyślałam.

Wtedy zobaczyłam cień. Padł nagle na rozbielone księżycem deski werandy, długi, cienki, chybotliwy cień, wyraźnie cień mężczyzny. Pomyślałam ze zgrozą, że może mnie chwycić za włosy na karku, a moje wargi odsłonią zęby w dzikim zwierzęcym krzyku. Cień był nieruchomy, potem zrobił długi, chwiejny krok, zatrzymał się, a potem zrobił następny. Zamarłam, rozplaszczona na drzwiach kuchennych. Serce waliło mi jak młotem. Nie było wątpliwości: człowiek, który z pewnością nie był nikim z nas, skradał się przez werandę, oczekując i nasłuchując jakiegoś dźwięku, który by do niego dobiegł. Poruszył ramieniem i zobaczyłam groteskowy, ale nie budzący wątpliwości kształt rewolweru. To nie mogło być nic innego. Porzuciłam wszelką nadzieję, że mógłby to być ktoś z patrolu szeryfa albo nawet Micah. Nikt, kto nie chciałby wyrządzić krzywdy, nie skradałby się przez ciemną werandę z rewolwerem gotowym do strzału. Nie poruszałam się. Cień też się nie poruszał.

Mineła cała wieczność, podczas której dzwoniło mi w uszach a serce podchodziło do gardła; cień wycofał się. Wzięłam głęboki, długi i drżący

oddech i podeszłam do podnóża schodów, chcąc wejść na górę do dziecka. Wtedy usłyszałam go przy frontowych drzwiach; słyszałam jak otwiera stare skrzypiące oszklone drzwi i powoli, powoli przekręca starą mosiężną gałkę. Zamknęłam je, Micah przypominał mi o zamykaniu każdego wieczora, aż weszło mi to w zwyczaj, wiedziałam jednak, że jeśli będzie chciał, zmusi starą gałkę do przekręcenia się, albo po prostu zbije jedną z szyb, wsunie rękę i otworzy. Wszelka świadoma myśl wymknęła się z mojej głowy jak nietoperz wylatujący wieczorem z jaskini i, gdy przyszedłam do siebie, stałam na szczycie schodów przed pokojem Happy, z rewolwerem Micaha w dłoni wycelowanym w dół w ciemny kształt, który stał cicho jak śmierć, w połowie drogi i patrzył na mnie. Widziałam tylko jego zarys, ale wiedziałam na pewno. Rewolwer miał w ręce która zwiślała teraz tuż przy nodze. Nie pamiętam kiedy wbiegłam po schodach i wygrzebałam rewolwer spod łóżka. Nie pamiętam, bym słyszała intruza podchodzącego do schodów. Nie pamiętam bym słyszała lub widziała, jak zaczyna na nie wstępować. Nie słyszałam nic, żadnego dźwięku z jego strony, żadnego oddechu oprócz mojego własnego, szarpającego się w moim gardle. Wtedy, poza mną, Happy powiedziała sennie:

— Mama?

— Odwróć się i schodź bardzo powoli ze schodów, inaczej strzelę ci w łeb — rozkazałam mu. Mój głos był tak wysoki i perlisty jak głos kastratów. Nic nie powiedział, nie poruszył się.

— Zrobię to naprawdę — powiedziałam. — Wyjdź stąd natychmiast. Ten rewiower jest naładowany, naprawdę cię zabiję.

Coś powiedział, miękko, prawie szeptem. Nie mogłam zrozumieć. Zrobił krok naprzód, potem drugi. Nacisnęłam cyngiel pistoletu.

Czarny świat wybuchł płomieniem. Czerwona błyskawica rozlała się w moich oczach w biel; odbiła się rykoszetem w wąskiej klatce schodowej i odezwała się gżmotem w moich uszach. Nie opuściłam rewolweru; nie nie widziałam i nie słyszałam, ale czułam tętnienie jego kroków zbiegających po schodach. Strzeliłam jeszcze raz i jeszcze raz, aż rewolwer przestał strzelać. Rzuciłam go wtedy na schody i weszłam do pokoju Happy, zamknęłam drzwi i zastawiłam je komodą. Chwyciłam córeczkę w ramiona i mocno trzymałam. Krzyczała teraz wydając wysokie, cienkie wrzaski przestraszonego dziecka. Jak przez mgłę słyszałam z dołu wołanie mojej teściowej, ale nie mogłam zebrać sił by do niej iść. Siedziałam tu po prostu trzymając moje dziecko, z zamkniętymi oczami. Nie podniosłabym się nawet gdyby dywizja pancerna zaatakowała dom.

Micah znalazł się tu pierwszy. Nie wiem jak długo trwało nim przyszedł; wiem, że Happy zapłakała się prawie na śmierć. Powiedział mi później, że doktor i pani Lincoln usłyszeli strzały i że doktor pobiegł do Ogrodu Mary i zatelefonował z aparatu Jane Thorne do niego, gdy właśnie wybierał się na swój obchód o jedenastej. Zawołał mnie przez zamknięte drzwi sypialni i na dźwięk jego głosu podeszłam sztywno jak automat i otworzyłam je. A gdy zobaczyłam go stojącego tam, powiedziałam prawie takim tonem jakbym prowadziła zwykłą rozmowę:

— Micah, zdaje mi się, że chyba kogoś zabiłam. — Potem usiadłam ciężko na podłodze, kręciło mi się w głowie. Za mną, Happy znów zaczęła płakać.

Lincolnowie przesiedzieli ze mną w kuchni do rana; doktor dał Annie środek uspokajający, a Mary Lincoln ukołysa Happy znów do snu. Jeden z ludzi szeryfa został na straży przed werandą. Micah obudził kilku ludzi we wsi i wraz z nimi i dwoma zastępcami szeryfa przetrzasnęli z psami lasy i wybrzeże. Doktor Lincoln powiedział w którymś momencie tej długiej nocy, gdy piliśmy kawę i czekaliśmy na wyniki poszukiwań:

— Mam nadzieję, że nie będzie im trudno go znaleźć. Nie mógł daleko odejść ani szybko jechać. Było... było sporo krwi na podłodze na dole przy schodach i koło werandy, na zewnątrz. Powinno być łatwo go wysledzić.

Wydałam nikły dźwięk, bez słów, a Mary Lincoln poklepała mnie po ramieniu i powiedziała:

— Nie martw się, moja droga. Zmyłam ją bez śladu z dywanu mlekiem z twojej lodówki. Bardzo się przydało: mleko cudownie się nadaje do wywabiania plam z krwi. Nie ma już ani jednej na werandzie.

— Mary — powiedział doktor Lincoln. — Może zajrzyć do Anny. Jeśli wyda ci się niespokojna, daj jej następny proszek, który zostawiłem na nocnym stoliku.

— Och, Ridley, naprawdę — zaszczebiotała, ale poszła.

Doktor spojrzął na mnie i dopiero wtedy zauważyłam, że pod płaszczem miał tylko prawdziwą staroświecką koszulę nocną jakiej nigdy nie widziałam. Musiałam się do niego uśmiechnąć, bo powiedział:

— Odwagi, moja droga. Nie musi pani mieć żadnych wyrzutów z powodu tego co się zdarzyło dzisiejszej nocy.

Chciałam mu powiedzieć, że nie czuję żadnych wyrzutów, tylko lęk i znużenie i po prostu niedowierzenie, ale nie mogłam otworzyć ust. Siedzieliśmy we troje w milczeniu, aż przez szczeliny w zasłonach zaczęło się przesączać światło, wstałam wtedy sztywno i podciągnęłam je. Za oknem, na niskiej gałęzi, błękitna sójka skrzeczała na mnie zuchwale. Przetarłam oczy i gdy je otworzyłam, zobaczyłam nadchodzącego ścieżką Micaha z Brunem na smyczy i strzelbą zawieszoną na ramieniu. Patrzyłam, jak przecina trawnik Liberty, wchodzi do domu i do kuchni. Popatrzyliśmy na siebie, on i ja, ale przez pewien czas nie wyrzekliśmy ani słowa.

Mary Lincoln nalała mu kawy. Pijąc ją, powiedział krótko do doktora:

— Nie znaleźliśmy go, ale ktoś go znajdzie. Bardzo dużo krwi wskazuje ślad do lasu; wygląda jakby się kierował na wybrzeże zaraz poniżej jachtklubu. Myślimy, że tam szedł na brzeg. Są znaki, wskazujące gdzie wielka, płytko dryfująca łódź przybiła do lądu i skąd odpłynęła z powrotem. Musiała go zostawić. Byłbym zdziwiony, gdyby zdołał ją przywołać.

— Czy to mógł być... ktoś z nas, ktoś stąd? — zapytałam odrętwiałymi wargami. Najbardziej się bałam, że mogłam strzelić do kogoś, kto nie zamierzał zrobić mi nic złego. Ale nie sądziłam, żeby to było naprawdę możliwe.

— Nie — odrzekł Micah. — Nie, to nie mógł być nikt stąd.

Doktor i pani Lincoln wyszli potem, a ja i Micah siedzieliśmy patrząc na siebie ponad starym sosnowym stołem.

— Wygląda pani jak po przebyciu pięciu mil złej drogi — powiedziała.

— Pan wygląda jak po dziesięciu — odpowiedziałam.

— Dobrą rzecz zrobiła pani dziś w nocy, Maude — rzekł. — Dumny jestem z pani. Piotr też będzie z pani dumny.

Chciałam powiedzieć coś zdawkowego, subtelnie ironicznego, coś co on sam by powiedział lub co powiedziałyby kobieta z Maine. Zamiast tego, oparłam głowę na rękach i rozpłakałam się. Płacząc czułam dla siebie wzgardę i coś w rodzaju przytłumionej beznadziejności. Wiedziałam, że nigdy nie dorosnę do świata Micaha Willisa.

Ale nie mogłam powstrzymać płaczu. Po chwili przeszedł zza stołu do mnie, objął mnie ramionami, podniósł i trzymał mnie przy sobie, głaszcząc moje włosy.

— No, no Maude — mówił łagodnie. — No, no.

To brzmiało jakby mruczał. Poczułam jak śmiech bulgocze mi w ustach, histeryczny śmiech pewnie, ale śmiech i podniosłam do niego twarz, a on, tak jakby to robił każdego dnia swego życia, ucałował moje zalane łzami usta, długim, łagodnym, przenikliwym pocałunkiem. Gdy się odsunął patrzyliśmy długo na siebie, a potem ja powiedziałam głupio:

— Ma pan coś w kieszeni koszuli, co mnie uwiera.

Cofnął się i wyciągnął z kieszeni mały, ciemnobrązowy orzech.

— To chinąpin — powiedział. — Uważa się, że one przynoszą szczęście. Mój ojciec mi go dał; jego ojciec też go nosił. Nie wychodzę bez niego z domu.

Wzięłam mały orzech i pieściłam go palcami. Był gładki i jedwabisty, zdumiewająco ciężki.

— U nas nazywamy je buckeyes — powiedziałam. Mój głos był senny i niewyraźny. Zdałam sobie sprawę, że jestem śmiertelnie zmęczona. — Mój brat nazywał mnie Buckeye ponieważ jestem mała, brązowa i okrągła.

Uśmiechnął się wtedy i zobaczyłam zmęczenie także w jego twarzy i oczach. Zmęczenie i coś jeszcze, czego nie było przedtem.

— I ma pani szczęście, Maude?

— Tak — odpowiedziałam. — Myślę, że mam.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W 1950 roku władze administracyjne Stanów Zjednoczonych zamknęły mały urząd pocztowy w South Brooksville, który obsługiwał Zacisze, odkąd lotnisko powstało, i wybudowały nowy, większy. Ostatniego dnia działania starej poczty, panna Charity Snów, która była kierowniczką urzędu przez dłuższe lata niż sięga pamięcią większość zaciszian, ostatecznie i z wielkim bólem serca przeszła na emeryturę. Mówiono na lotnisku, że nadeszło bardzo surowe pismo z Waszyngtonu odwołujące Miss Charity z jej małej, jak dla lalek, poczty i wszyscy wiedzieli, że nie rozmawiała z Elsie Borders, nowo oficjalnie mianowaną kierowniczką, od kwietnia, gdy nadeszło urzędowe pismo zawiadamiające o zmianie warty.

— Co za ironia, że wyrok śmierci dla Miss Charity nadszedł pocztą Stanów Zjednoczonych AP. — powiedział Piotr. — Powinni oprawić znaczek i powiesić go pod nosem Elsie w nowym budynku.

— Nie bądź niemądry, Piotrze; Charity Snów była stanowczo za stara, by zajmować się w sposób właściwy korespondencją, a jej usposobienie stawało się naprawdę nie do zniesienia — powiedziała Anna. — Gdy przychodziłam na pocztę, przez długi czas w ogóle nie odzywała się do mnie i zawsze musiałam podawać jej swoje nazwisko. Jakby nie widywała mnie prawie codziennie przez pięćdziesiąt lat. Jestem pewna, że to sprawa jej arterii. Wiedziała, że zaniedbuje swoje obowiązki. Nie chciała przechodzić przez długi, pozbawiony godności upadek. Charity była próżną kobietą.

— Do diabła z tym. To było pozbycie się jej — powiedział Piotr. — Ta przemiła mała pocztka to było całe jej życie.

I musiało tak być. Nie myślę, żeby miała inne życie poza tym. Oszczędna, sztywna, wyprostowana stara panna, od pokoleń zakorzeniona w twardej ziemi Maine, Miss Charity żyła sama w małym białym domu przy swej maleńkiej poczcie. Obydwa budynki stały przy drodze i spoglądały ponad podmokłą, solankową łąką na zatokę. Oprócz bulwiastych begonii, które hodowała w skrzynkach podokiennych na poczcie, Miss Charity zdawała się nie dochowywać wierności niczemu żywemu; nie

miała krewnych ani żadnych ulubieńców, nie utrzymywała ogrodu. Opiekowała się po prostu pocztą i wracała do domu, by doczekać ranka i znów się nią opiekować.

Miss Charity znała trzy pokolenia letników, choć do kilku zaledwie osób zwracała się po imieniu i była dumna z tego, że nigdy nie myliła niczyjej korespondencji, bez względu na to czy chodziło o kogoś, kto od dawna się osiedlił, czy o kogoś kto przyjechał pierwszy raz. Jej znaczki oczekujące na sprzedaż były ułożone w rzędy i rulony, a banderole na pieniądzach były odkurzane każdego ranka, gdy już zamiotła nienagannie czystą podłogę. Raz w miesiącu czerniła pękata piec a flagę uroczystie opuszczała dokładnie o zachodzie słońca każdego wieczora, sprawdzając na wykresie czy robi to dokładnie we właściwym momencie.

Wieczorem ostatniego dnia jej pracy jako kierowniczkii poczty wyrównała szeregi swoich znaczków i monet, zamiotła podłogę, sprawdziła wykres, opuściła flagę, dokładnie ją złożyła i zamknęła drzwi tak samo jak robiła to przez chyba pięćdziesiąt ze swych siedemdziesięciu kilku lat. Następnego zaś ranka stary poławiacz homarów, wyruszający wczesnym świtem by rzucić sieci, znalazł ciało Miss Charity kołyszące się łagodnie w martwej ciszy zatoki o brzasku, na pół pogrążone w wodzie.

Jadłam właśnie śniadanie w starej kuchni Liberty, o pochyłej podłodze, późnym rankiem w czerwcu, gdy to się stało. Kiedy Krystyna Willis przybiegła z wieścią poczułam ukłucie bólu i żalu przekraczające proporcje moich powiązań z Miss Charity. Tina też była bardzo poruszona; to była chyba jedyna chwila w życiu, gdy widziałam ją płaczącą. Nie płakała gdy umarł Duży Piotr, a wiem, że rozdarło jej to serce. Nie widziałam też w jej pogodnych niebieskich oczach tego straszego dnia, gdy Kaleb wrócił z wojny bez nogi, ani później w ciągu długich niedobrych dni, gdy próbował znaleźć zapomnienie w alkoholu, szybkiej jeździe i walkach. Gdy umarł stary Micah Willis, ojciec Micaha, na deskach przystani wioślarskiej na skutek nagłego i miłosiernego ataku serca, miał bowiem dziewięćdziesiąt jeden lat, to Micah a nie Tina nie mógł mówić o swym ojcu bez drżenia głosu. Ale teraz łzy biegły po jej brązowych policzkach i kącikach ust, a głos jej się łamał.

— To było takie biedactwo; co by to szkodziło, gdyby prowadziła pocztę aż do chwili gdyby już zupełnie nie mogła? Co by szkodziło rok dłużej? Dwa lata? Oczywiście się psuły, wiedziała o tym. Nigdy nie miała nic innego w życiu i wyrzucić ją tak jak się wyrzuca złego pracownika... to tak jak zastrzelić ptaka, rybołowa czy starego orła. To marnotrawstwo i zwykła małość. Spodziewam się, że Elsie Borders jest szczęśliwa; mówi się, że ktoś wysłał do władz anonimowy list, że Miss Charity zaniedbuje pracę i robi się kłótniwa. No, kłótniwa, może, ale nigdy nie zaniedbywała pracy.

Ukryła twarz w dłoniach i płakała, otoczyłam ją ramionami czując, że i mnie łzy stają w oczach. Nieraz mnie irytowała arbitralność Miss Charity i wracałam do domu narzekając na nią do Piotra, ale Tina miała rację. Zwolnienie było niepotrzebne i okrutne. To było naprawdę jak zabicie

wielkiego starego ptaka morskiego. To i, w konsekwencji, śmierć starej kobiety było złem, błędem, obciążone było jakąś doniosłością, której nie umiałam nazwać, ale odczuwałam, że rzuci długi, ponury cień. Zdawało mi się czymś zapowiadającym kataklizm, a potem doszłam do wniosku, że podzieliło czas tak jak wielkie katastrofy historyczne i przyniosło Zaciszu nie tylko żal, nie tylko powiew wielkiego świata w postaci nowego budynku pocztowego, ale coś w rodzaju zmiany pokoleniowej i straty.

Powiedziałam to któregoś wieczora zgromadzonej przy stole rodzinie.

— Myślałam, że wojna zmieniła wszystko, ale tak nie jest. Przynajmniej nie w Zaciszu. Nic się właściwie tutaj naprawdę nie zmieniło. Ale to spowoduje zmianę. Nie wiem w jaki sposób, ale tak jest. Można przeczuć tę zmianę; to tak jakby ktoś uszkodził tamę i teraz wszystko się na nas wyleje.

— To znaczy co? — zapytał Piotruś nalewając do kieliszków wino.

— Wszystko co tam jest — powiedziałam, zdając sobie sprawę, że to co mówię jest trochę mistyczne i pomyłone, tak jakby przemawiało znikowane stare medium. Ale to było najbardziej zbliżone do tego co czułam.

— Czy mam dla ciebie zdobyć latający stolik, mamó? — zapytał Piotruś, uśmiechając się szeroko najpierw do Sary Forbes, a potem do mnie. Miał prawie dwadzieścia pięć lat i od przeszło dwóch lat zajmował stanowisko zastępcy wiceprezesa rodzinnego banku, ale w świetle migoczących świec wyglądał jak kragłolicy, trochę grubawy kilkunastolatek. Od tygodni nie obcinał włosów i ciemne kędziory wiły mu się wokół uszu i karku, a białe zęby były wciąż prawie tak drobne jak zęby dziecka. Miał moje zęby i moją małą, kragłą postać, czarne włosy i oczy, a cofniętą linię włosów, co nadawało mu wygląd niewinnego niemowlęcia, odziedziczył po moim ojcu. U Kemble'a też wystąpiło to wcześniej. Tylko wystający podbródek, rażący przy reszcie twarzy, mówił o Chamblissach. Anna już dawno przestała robić uwagi na temat gorszącej, jakby wiejskiej siły genów Gascoigne'ów, lecz wiedziałam, że odczuwała to za każdym razem, gdy patrzyła na Piotrusia. Uśmiechnęłam się do niego przez cały stół, myśląc o tym i o wielu innych rzeczach. Wiedziałam, że będzie się śmiał z moich wrażeń. Piotruś był, jak zawsze, przyziemny jak słup totemiczny. To przynajmniej miał po swojej babce.

— Czy wiesz, że wywodzisz się z długiej linii czarodziejek? — zapytałam. Mój uśmiech rozciągał się szeroko, gdy usłyszałam wyraźnie pogardliwe prychnięcie teściowej. Chyba myślała, że to prawda. Piotruś roześmiał się głośno, bogatym radosnym śmiechem Piotra, a ja roześmiałam się razem z nim z czystej ulgi. Był na to najwyższy czas, po tych latach z Elżbietą Potter, gdy nie słyszeliśmy jego śmiechu. Prawdę mówiąc, Piotr też niewiele się śmiał ostatnio. Śmiech ich obu był dla mnie teraz najcenniejszy.

— Więc kiedy masz zamiar zamienić Gretę Winslow w ropuchę? — zapytał. Poprzedniego dnia Greta ostro na niego napadła na korcie tenisowym i widziałam dawny chłopięcy błysk gniewu w jego oczach, choć nic nie powiedział.

— Piotrusiu, doprawdy — powiedziała poirytowanym głosem Anna.
— Jej dni jako istoty ludzkiej są policzone — rzekłam. Po drugiej stronie stołu Happy kręciła kotлетem po całym talerzu, robiła góry z puree z kartofli i wieńczyła ich szczyty groszkiem.

— Nienawidzę jej — powiedziała rzeczowo. — I tak samo nienawidzę tego głupiego Frediego i Julii. Oni wszyscy uważają się za Bóg wie co. Mam nadzieję, że wpadną do zatoki jak Miss Snów i utopia się. Mam nadzieję, że nie wypłyną aż do Bożego Narodzenia. I mam nadzieję, że ich głupia łódź też zatonie.

Happy miała trzynaście lat, była kanciasta i kłująca, dawno przestała już być tym zanoszącym się od śmiechu, paplającym brzdącem, który zdobył przezwisko. Daliśmy jej imię Kamila na cześć ukochanej ciotki Piotra, ale od czasu gdy zaczęła chodzić, z determinacją płacząc się pod jego nogami i piszcząc z radości gdy ją podnosił nad głowę, nazwaliśmy ją po prostu Happy. I pozostała Happy, choć jej słoneczne usposobienie gdzieś w połowie dzieciństwa znikło, gdy Piotr zaczął się na dobre poświęcać sprawom szkoły. Pod pewnymi względami przypominała Piotra i jego ojca; miała te same miękkie, jasne włosy, skórę i oczy o barwie szarej wody, ale jej były teraz przeważnie lodowate z niezadowolonia, a długie kości i wysmukłość, które u nich szły w parze, nigdy się nie zmaterializowały. Tak jak ja, była niska i okrągła; wyglądała jak trochę skrócony i poszerzony ojciec, jakby był przygnieciony czymś ciężkim. Nie zatraciła także swej dziecięcej pulchności; mając trzynaście lat ważyła trochę więcej¹, jak mi się zdaje, niż ja w jej wieku. Nie byłam tego pewna, gdyż Happy schowała lub popsuła wszystkie wagi zarówno w naszym domu w Northpoint jak i w Liberty.

Westchnęłam. Rozumiałam, że niełatwo jest być przysadkowatą dorastającą dziewczynką wśród młodych, ogorzałych od słońca gazeli. I rzeczywiście dzieci Winslowów, Freddie i Julia, oboje o rok od niej starsi, dawały jej otwarcie ostrą odprawę i nie chciały z nią żeglować, gdy o to prosiła. A jej ojciec przed kilkoma zaledwie dniami zostawił ją na całe lato i w ten sposób był dla niej nieuchwytny przez miesiące, a to zawsze doprowadzało ją do szaleństwa. Ale mimo to jej wybuch był nieprzyjemny i przesadny, niemal szokujący i byłam przekonana, że Anna powie jej lodowato coś raniącego, jeśli nie skarcę jej pierwsza. Do licha z Anną, pomyślałam ze znużeniem.

— To nie jest śmieszne i nie wolno się tak zachowywać, Happy — powiedziałam. — Proszę, żeby to się już nie powtórzyło przy obiedzie.

— To Piotruś zaczął. I ty powiedziałaś coś złego o pani Winslow. Jeśli możesz ty, ja...

— Uważam, że powinnaś zabrać talerz i dokończyć jedzenie na werandzie — powiedziałam spokojnym tonem.

— Och, oczywiście, to w porządku, gdy ty i stary święty Piotr mówicie okropne rzeczy, ale wystarczy, żebym ja trochę zażartowała...

— Happy.

Podskoczyła i wybiegła z pokoju, zostawiając jedzenie i zatraskując z hałasem drzwi od werandy.

— Tatuś nie mówiłby takich wstrętnych, obrzydliwych rzeczy do mnie — rzuciła przez ramię. Słyszałam jak łyż dławia ją w gardło. Mogła się wprawić w jeden ze swych przeraźliwych gniewów, który mógł nie minąć do rana. Biedna Happy. Miała rację co do ojca, choć nie w tym sensie jak by sobie życzyła. Piotr nie robiłby jej wyrzutów, ani nie kazałby jej odejść od stołu. Nic by nie powiedział. To milczenie było ciężarem, który przed laty zadusił płomień uśmiechu Happy.

— Obawiam się, że jest bardzo zepsuta — powiedziała Anna z satysfakcją, przez cały stół. — Zawsze to powtarzałam Piotrowi. To nowoczesne pozwalanie na wszystko będzie powodem ruiny niejednego dziecka. Za moich czasów nie pozwolono by na taki wybuch.

Policzki zapłonęły mi z gniewu na nią, tronującą w fotelu u szczytu stołu, gdzie siadywała od śmierci Dużego Piotra, choć już od lat to ja podawałam nasze posiłki, dbałam o gości i zajmowałam się w dużej mierze gotowaniem. Żeby się dostać do kuchni i z powrotem musiałam się właściwie po niej wspiąć, ale wiedziałam, że nie ustąpi mi swego tronu. Kilka razy w ciągu jednego posiłku widziałam jak szukała nogą przycisku na podłodze, którym niegdyś przywoływało się służbę z kuchni, zapominając, że odłączyliśmy go, gdy wreszcie po długich naleganiach udało mi się przekonać Piotra, że Tina Willis powinna wracać do swego domu po południu. Anna była teraz bardzo stara, naprawdę chora i słaba, prawie nieudolna, a pamięć na krótki dystans nie działała. Jednak jej autokratyczna wola nie zmieniła się.

— Gdzie jest Tina? Dzwonię od pięciu minut — mówiła.

— Przypomnij sobie, mamo, Tina nie przychodzi wieczorami już od prawie pięciu lat. Przycisk nie działa. Wyłączyliśmy go.

— Nikt mi o tym nie mówił. Dlaczego nie poradzono się mnie? Kto jej polecił, żeby nie przychodziła?

% — Ja, ale po tym, gdy się zgodziłaś, że byłoby śmieszne przychodzić, skoro jest nas tu tak mało. Ona też ma prawo do własnego życia, rozumiesz przecież.

— Kto będzie gotował dla Piotra? I dla Piotrusia?

— Mamo, robię to od lat. Przecież przez większą część czasu jesteśmy tu tylko ty, ja i Happy. Piotr i Piotruś przyjeżdżają tylko na tydzień, dwa tygodnie w lecie.

— Nie, nie wiedziałam o tym. Dlaczego nie przyjeżdżają? Czy pytałaś ich o to? Chcę, żeby Tina wróciła z powrotem. Wszyscy inni w Zaciszu mają wieczorem kucharkę w domu. Jak to wygląda, żebyś ty gotowała?

— Prawie nikt nie ma teraz kucharki, na cały dzień — powtarzałam. — Tylko Winslowowie mają; wszyscy inni zwolnili większość służby w czasie wojny.

— Jesteś bardzo przekorna, Maude — odpowiadała ona. — Wiesz, że to nieprawda. Augusta Stallings ma Marjorie, Mary i Ridley Lincolnowie mają Marwę, a Helena Parker — Dorothy.

Nic już nie mówiłam, bo Augusta Stallings i jej Marjorie już obie nie żyły, tak jak doktor, pani Lincoln i ich Marva, a Helena Parker była teraz prawie tak stara jak przerażająca Mamuśka, gdy zaczęłam przyjeżdżać do Zacisza. Dawniej przypominałam to Annie, ale to ją niepokoiło i gniewało, przestałam więc i przez większą część czasu żyła wśród armii dystyngowanych duchów, obsługiwanych przez wierne upiory.

Tego wieczoru nie odpowiedziałam na jej uwagę o zachowaniu Happy. Spojrzałam natomiast na Sarę Forbes siedzącą naprzeciw mnie, przyjaciółkę Piotrusia, która przyjechała z wizytą, zgarbioną w zakłopotaniu na krześle jak mały brązowy strzyżyk otrzepujący piórka przed burzą. Piotruś poznał ją przed rokiem w klubie na tańcach. Jej ojciec był visiting professor ekonomii w Uniwersytecie Bostońskim i byli nowi w mieście. Widywali się regularnie, a Piotr i ja lubiliśmy ją, choć czasem z trudem przypominaliśmy sobie jak się nazywa. Wydawało mi się, że trudno ją odróżnić od wielu innych młodych przybyszów, których poznaliśmy w Bostonie czy w New Hampshire od czasu wojny. Inteligentna, dobrze ubrana, wykształcona, dobrze wychowana, anonimowa. Nie było z jej strony żadnej ostentacji i w ogóle niczego, co mogłoby budzić jakieś obawy. Myślałam że w gruncie rzeczy byłaby zupełnie dobrą partią dla mego flegmatycznego syna. Wydawali się pod wieloma względami uszyci z tej samej dobrej tkaniny.

Ale czy Piotruś miał poważne wobec niej zamiary, trudno było powiedzieć; zachowywali się oboje jak dobrzy przyjaciele z dzieciństwa. Sądzę, że ona myślała o nim poważnie i była zdecydowana; czasem widziałam w jej okrągłych brązowych oczach coś intensywnego, coś tak gładnego i pożerającego, że mogło zatrwożyć. Zdawało mi się, że Sara Forbes pod swymi nieskazitelnymi zewnętrznymi pozorami dosłownie płonęła i ginęła z miłości do mego syna. Powinno mnie to nieco przestraszyć, ale nie przestraszyło. Widziałam taki sam rozpaczliwy głód, głód Elżbiety Potter i nie sprawiało mi przykrości, że teraz z kolei ktoś inny odczuwał w stosunku do mego syna to samo.

Ale byłam pewna, że Piotruś tego nie widział i choć zabrał ją po raz pierwszy do Zacisza, by poznała nas wszystkich, nie sądzę by już była, jak dziś mówią młodzi, przewidziana w jego programie. Trochę byłam rozczarowana i powiedziałam to Piotrowi, ale wzruszył ramionami.

— Z pewnością nie jest dla niego groźna. To przynajmniej jest w tym dobre. Jak to jest w przysiędze Hipokratesa? „Po pierwsze nie będę szkodził”?

— Ty romantyczny czarcie — powiedziałam. — Czy jej nie lubisz?

— Cóż tam jest do nielubienia?

To Anna nie lubiła Sary Forbes i choć oczywiście tego nie mówiła, jej dezaprobata promieniowała z niej małymi symetrycznymi falami. Zdawałam sobie sprawę, że Sara czuła się w jej obecności podobnie obco i niezręcznie jak ja, gdy pierwszy raz znalazłam się w starym domu na Charles Street. Sara i jej rodzice przyjechali do Bostonu z Michigan.

Dokładnie, z Grosse Point, lecz jednak Michigan. Można było Sarze wiele darować, ale nie to.

— Proszę nam wybaczyć ten rodzinny incydent, Saro — powiedziałam. — Piotr często mówił, że dzieci w okresie dojrzewania powinno się zamykać w klatkach i wypuszczać w dniu wyjazdu do college'u, i być może miał rację.

— Proszę nie przepraszać, Mrs. Chambliss — powiedziała z niesmiałym uśmiechem, który prześlizgnął się, choć patrzyła na mnie, w stronę Piotrusia. — Moja siostra Charlotta prawie do osiemnastego roku życia nigdy nie zjadała całego posiłku z nami.

Uśmiechnęłam się do niej, a Piotruś roześmiał się na głos. Wydawało się, że jego śmiech sprawił jej przyjemność, zarumieniła się, a ja poczułam dla niej przypływ serdeczności. Mój syn byłby bezpieczny z tą kobietą-ptaszkiem. Może nie wlatywałyby z nią na zawrotne wysokości, ale też i nie pogrążał w ciemnych głębinach. I śmiałyby się. Z ciemnych chwil Piotra dowiedziałam się ile warte są chwile beztroski i w tym momencie, w starej mrocznej jadalni w Zaciszu gotowa byłam oddać połowę życia Sarze Forbes za to, by swoje podzieliła z moim synem. Jak wiele matek — zastanawiałam się od tego czasu — tego właśnie pragnęło dla dzieci i z całą siłą pracowało nad tym, by to uzyskać: bezpieczeństwo. Zastanawiałam się też, dla jak wielu zwycięstwo okazało się fiaskiem. Nie ma bezpieczeństwa; oczywiście, że nie ma. Ale jego pragnienie rządzi jednak światem.

Wiedziałam, że Anna jest niezadowolona. Sara Forbes denerwowała ją tylko niewiele mniej niż Happy w napadzie złego humoru. Zdawałam sobie także sprawę, że jest zmęczona i gdybym nie skłoniła jej do położenia się, jej temperament poniósłby ją tak dalece, że gniew spadłby na kogoś z nas, może na Sarę. Męczyła się teraz bardzo łatwo. Choć przynosiłam jej śniadanie do łóżka i sprostawałam ją na dół na długą drzemkę poobiednią, stawało się dla niej prawie niemożliwością pozostawanie z rodziną po kolacji. Ale czasem nalegała by zostać. Wiem, jak bardzo lubiła spokojne ciemne wieczorne godziny z książką przy muzyce, przed mruczącym ogniem z brzozowych polan na kominku; nie upierałam się więc przy jej wczesnym kładzeniu się do łóżka. Gdy jednak się nie kładła, my, pozostali, płaciliśmy za to. Jej słabość i ból spowodowany wrzodem, który przed dwoma laty stwierdził jej stary lekarz w Bostonie, były stałe i — jak sądzę — poważne. Nie miałam pewności co do tego, gdyż nie chciała rozmawiać na temat swych żołądkowych dolegliwości i nie zgadzała się bym ją zawoziła do nowego ośrodka medycznego w Castine, gdy rankami budziła się ze zbieleńcami wargami, wyczerpana po wyniszczającej bólem nocy. Bóle były teraz częstsze i nieraz mówiłam zmartwiona Piotrowi, że może jej dolegać coś poważniejszego niż wrzód dwunastnicy. Łagodne jedzenie, które gotowałam, też już nie pomagało.

— On sam jest tak stary, czy nie mógł postawić złej diagnozy? — pytałam. — Albo może wie coś, co powinien nam powiedzieć?

— To dobry lekarz — odpowiadał Piotr. Był przez całe moje życie

i większą część jej życia lekarzem naszej rodziny. — Zostawmy to. Nawet jeśli jest coś więcej, ona jest tam, gdzie chce być: albo w Bostonie w swoim domu albo w Zaciszu. Czy myślisz, że lepiej by się czuła gdyby nie mogła przyjeżdżać do Zaciszu?

Milczałam więc. Ale martwiłam się i kiedy mogłam, układałam ją wcześniej do snu. Ta noc była jedną z tych, kiedy powinnam nalegać. Nie chciałam by niechęć Anny wylała się na Sarę, ale nie bałam się by Piotrusiowi przyszło do głowy stanąć po jej stronie przeciw babce, tak jak jego ojciec stawał po mojej stronie. Piotruś radził sobie z Anną, po prostu dostrajając się do niej. Myślę, że nie słyszał trzech czwartych tego co mówi.

Ku mojej uldze, nie protestowała, gdy zaproponowałam, by wcześniej położyła się spać.

— To całe gadanie o wróżbach, uszkodzonych tamach i latających stolikach to nonsens — powiedziała głosem, który był pozbawiony oddechu widmem jej dawnego, władczego głosu. — Znalazłam cały stos powieści Mary Roberts Rinehart, które ktoś musiał ukrywać w ciągu ubiegłych lat; nigdy ich nie widziałam. Ona, to dużo lepsze towarzystwo niż cygańskie wróżki.

— Pewnie tak — powiedziała podając jej ramię, by ją pociągnąć za sobą. Ponad jej głową Piotruś uśmiechnął się do mnie; wiedział, podobnie jak ja, że czytała wciąż od nowa książki Rinehart w czasie długich pobytów w Zaciszu; wiedział także, że jeszcze czasem smagała mnie swym dawnym biczem — mojego ciemnego cygańskiego kolorytu. Bowiem przez te wszystkie lata spędzone na północnym wschodzie, nie zatraciłam mej dojrzalej rozkwitłej karnacji równin. „Madame Maude” nazywali mnie czasem Piotr i Piotruś, a Piotr zauważył kiedyś że jego matka musiała być naprawdę rozczarowana, że czas spędzony na tej ziemi długich nocy i jeszcze dłuższych zim nie wybielił mnie trochę.

Ułożywszy ją z książkami, wróciłam do bawialni; po drodze rzuciłam okiem na moje odbicie w zniszczonym starym lustrze nad kredensem. W półmroku naprawdę spoglądała na mnie cyganka o czarnych oczach i włosach rozwianych dokoła ciemnej twarzy w ciemnych falach i lokach, o ciele wciąż okrągłym i nieelegancko bujnym, o piersiach i biodrach pełniejszych teraz, lecz o ciągle szczupłej talii. Spróbowałam się uśmiechnąć i małe ostre zęby błysnęły dziko. Podniosłam kryształową czarę z kredensu i uniosłam przed moją twarzą.

— Połóż pieniądze na dłoni Madame Maude, a ona przepowie ci cudowną przyszłość — wyszeptalam, a potem potrząsnęłam głową i poszłam do dzieci zebranych przy kominku. Oczywiście żadne z nich nie potraktowało poważnie tego co mówiłam o śmierci Miss Charity i o doniołości tego; któż by to traktował poważnie?

Micah — pomyślałam nagle z niezwykłą ostrością. Micah zrozumiałaby co miałam na myśli.

Nie miałam jednak możliwości porozmawiania z nim, przynajmniej porozmawiania na osobności. Od tej nocy z niemieckim szpiegiem — czy, mówiąc dokładniej, od tego ranka pierwszego i ostatniego pocałunku

o brzasku w kuchni Liberty — Micah Willis i ja nigdy, ani na chwilę nie byliśmy sami. Na mocy jakiejś milczącej obopólnej ugody, w ciągu minionych lat widywaliśmy się tylko w obecności innych. Przychodził dość często by wykonać swe zwykłe roboty koło domu, a ja spotykałam go równie często podczas moich spacerów po przylądku lub w małym kościele kongregacjonistów, na którego małym cmentarzu pierwszy raz rozmawialiśmy z sobą tak długo. Ale zawsze, od tamtego poranka, była przy tym Krystyna, Piotr lub Anna, albo któreś z dzieci.

To nie żaden przymus czy trwałe poczucie winy, wiedziałam, zmuszały nas do unikania samotnych spotkań, ani nawet obawa, że gdy będziemy sami, możemy wyjść poza pocałunek i że może to doprowadzić do niebezpiecznej, rozpaczliwej namiętności. Nie wiem dokładnie co to było: pewnego rodzaju dbałość o dobro drugiego i o dobro innych, którzy byli nam obojgu drodzy. Wiedziałam, że dla nas obojga pocałunek z łatwością mógłby się zmienić w coś innego, coś głębszego, pełniejszego i realnego. Myślę, że zawsze o tym wiedziałam. Było jednak tak, jakbyśmy, posiadwszy tę wiedzę, świadomie zadawalali się utrzymywaniem nienaruszonej przyjaźni która to poprzedzała. Jakby każde z nas wiedziało w głębi duszy, że ta cudowna inna możliwość, pozostaje zawieszona zawsze nad naszym widnokresem i że nie należy jej wykorzystywać, a na pewno nie należy przypieszać. Po prostu to. Wiem, że w żaden sposób nie zmieniło to mojej miłości do Piotra czy jego uczucia i oddania dla Krystyny. To było, dla nas obojga, coś innego i osobnego. Nie ma granic naszej zdolności kochania; to jedyna pewna wiedza jaką uchroniłam ze szczupłego zapasu prawd całego życia. Po raz pierwszy zrozumiałam to przy Micahu.

On i Krystyna często przychodzili wieczorami do Liberty, gdy wszyscy byliśmy już po kolacji i gdy naczynia były pozmywane. Te wieczory zaczęły się podczas samotnego, niełatwego pierwszego lata wojny i po prostu, jak starzy przyjaciele, utrzymywaliśmy ten zwyczaj. Robiliśmy teraz to samo, co i wtedy, słuchaliśmy muzyki i rozmawialiśmy o wszystkim co nas intrygowało i dodawało otuchy, piliśmy kawę i czasem trochę brandy i jedliśmy ciasto. Śmialiśmy się i opowiadali różne historie z naszego dzieciństwa i żartowaliśmy z ludzi z naszego otoczenia, którzy na to zasługiwali. Tak jak starzy przyjaciele robią wszędzie. Czasem, gdy był w Zaciszu, Piotr przyłączał się do nas i wieczory te cieszyły go chyba tak samo jak mnie. Zawsze bardzo lubił Tinę i mówił, że była prawdziwą niewyeksplloatowaną żyłą złota, a Micah Willis od dawna cieszył się jego sympatią i szacunkiem.

Dzieci bardzo lubiły Willisów i nie widziały nic niezwykłego w tym, że ludzie, którzy pracują w dzień dla ich rodziny, wieczorem śmieją się i piją brandy w ich bawialni. Ale ja zawsze podejrzewałam, że ubliżające uwagi ich rówieśników z letniska, a czasem także rodziców ich rówieśników, kiedyś osiągną cel. W Zaciszu, jestem o tym przekonana, nikt nigdy nie przyjmował ludzi najemnych w domu jako gości. Myślę, że Piotrusia i Happy dosięgał niejeden przyjacielski strzał z tego powodu, szczególnie ze strony Freddiego i Julii Winslowów pouczanych przez Gretę. Jeśli

czasem coś fałszywego na temat mnie i rodziny Willisów dobiegało moich uszu, źródłem tego była na pewno Greta Winslow. Niewiele mnie obchodziło to gadanie i myślę, że na ogół Piotrusia także nie. Wyrósł i oddalił się już od Zacisza, teraz należał do innego, nowszego świata. Ale plotki mogły zranić Happy; była niezmiernie wrażliwa na krytykę i chroniałam ją przed językami dobranej parki Winslowów najlepiej jak umiałam. Na dłuższy dystans nie miało to jednak znaczenia. Znacznie gorsze rzeczy słyszała od Anny.

To nie było tak, żeby moja teściowa nie lubiła któregoś z Willisów. Właściwie, na swój surowy sposób, lubiła ich oboje tak, jak lubiła wielu sąsiadów w Zaciszu, choć inaczej a być może nawet bardziej niż wielu innych. Nie przyszłoby jej jednak do głowy, że Micah mógłby z goryczą pamiętać jej wybuch owego pamiętnego dnia, gdy znalazł Parkera Pottera napastującego jego małą siostrzenicę Polly w bawialni; a Micah, przyznać trzeba, jeśli nawet pamiętał, nie okazywał tego po sobie.

— Micah i Krystyna to wspaniali ludzie, sól ziemi — słyszałam jak mówiła nieraz w czasie drinków, gdy zaczynał się wieczny temat służących, ustępujący tylko sprawie oczyszczania kanalizacji. — Dumna jestem z tego, że są moimi sąsiadami.

Ale — mogła dodać, choć nie musiała bo i tak wszyscy w Zaciszu to rozumieli — nie są moimi gośćmi. To, że Micah mógł grać na skrzypcach nienajgorsze klasyczne utwory i że czytał wielkich filozofów świata, a Krystyna miała bibliotekę dwa razy większą od biblioteki Anny w Bostonie i znała płynnie trzy języki, nie przyczyniało się do przełamania lodów. Myślę, że uważała ich za uczonych idiotów czy szympansy z laboratorium, które mogą w pamięci wykonywać skomplikowane obliczenia. Zdumiewające, ale to jednak szympansy. Byłam przyzwyczajona do tej postawy i nie przywiązywałam do niej zbyt wiele wagi, skoro nie pozbawiała mnie towarzystwa Willisów. Micah i Tina mieli delikatne czułki jeśli chodzi o takie sprawy i po prostu nie pokazywali się, gdy Anna zostawała z nami po kolacji. Nigdy nie mogłam zrozumieć skąd wiedzieli, a jednak wiedzieli.

Piotra doprowadzało to do szału. Wieczorem przed powrotem do Northpoint, posprzeczał się na ten temat z matką. Wjillisowie byli w Liberty poprzedniego wieczora i Anna kipiała i irytowała się przez cały następny dzień, aż wreszcie napadła na Piotra przy kolacji.

— To jest takie ostentacyjne, Piotrze, takie pretensjonalne i nieprzyjemne. O czym wy właściwie możecie mówić z naszym stróżem i z kucharką?

Uśmiechnęłam się szeroko i skrzyżowałam z nim spojrzenie za plecami Anny, bo „pretensjonalne i nieprzyjemne” wydarzenie było oczywiście moją winą. Ale zobaczyłam, że znajomy posepny rumieniec ogarnia policzki Piotra.

— Zaraz — powiedział — w zeszłym tygodniu mówiliśmy chyba o Masłowie i o naturze doświadczeń szczytowych. A potem o Jungu i jego koncepcji, że pojęcie czasu ogranicza wieczność. Bo jak wiesz, mamó,

wieczność z mocy definicji jest poza czasem. Micaha interesowało, w jaki sposób obraz Boga staje się ostateczną przeszkodą w doświadczeniu Boga i zdaje mi się, że to Krystyna zwróciła uwagę, że według Junga religia stanowi największe zagrożenie dla doświadczenia religijnego. Zgodziliśmy się w końcu wszyscy, że obrazy Chrystusa w naszej kulturze są bardzo niebezpieczne, gdyż trudno wyjść poza obraz do rzeczywistości, która się za nim kryje. Powinnaś być na następnym salonie Maude. Może cię to zaciekaWi.

Mama Anna prychnęła. Dwie czerwone plamy wykwitły na jej wysuszonych policzkach.

— To potworne — powiedziała. — Myślałam, że Willisowie są przynajmniej ludźmi religijnymi.

— Co do potworów — ciągnął w zadumie Piotr — o tym też mówiliśmy. Micah mówił, że czytał w swoich filozoficznych książkach o koncepcji, zgodnie z którą potwór może być istotą wzniosłą. Że może być kimś, kto łamie wszystkie koncepcje moralnego postępowania. Kimś zupełnie pozostającym poza osądem moralnym, do którego nie odnoszą się żadne ludzkie pojęcia moralności. Francuzi nazywają takie istoty *monstres sacres*, święte potwory. Sama mogłaś się z kimś takim zetknąć. Myślę, że ja się zetknąłem.

— Nie powiesz mi, że rozmawialiście o... tych sprawach z ludźmi, którym płacimy za to, że nam służą — powiedziała zimno. — Wprost nie mogę w to uwierzyć.

— O innych sprawach też mówiliśmy — odparł Piotr rozciągając usta w uśmiechu. — Micah mówił, że jednej z owiec Kaleba pękały sutki i, że ssanie ich przez małe było szkodliwe. Pytałem, co Kaleb na to stosował, a on powiedział, że Bag Balm i od razu wyleczył te sutki.

— Jeśli masz zamiar być ordynarny, kładę się spać — powiedziała Anna. A gdy już ją ułożyłam, wróciłam do bawialni i osunęłam się na kolana Piotra osłabła od śmiechu. Wreszcie i on zaczął się śmiać.

— Czasem się zastanawiam, jak z nią wytrzymałaś w czasie tych wszystkich wakacji — rzekł. — To ty przecież przy niej trwałaś.

— Teraz się zastanawiasz — powiedziałam. — Kiedy jest coraz łatwiej.

— Naprawdę, moja biedna mała Maude? — zapytał odgarniając mi włosy z czoła. — Cieszę się. Nie zniósłbym myśli, że Zacisze dla ciebie to jest tylko harówka przy starej chorej kobiecie. Chociaż to jest moja matka, i choć ją oczywiście kocham, każdego dnia gdy tu jestem, widzę jaka jest trudna. To dziwne, przez długi czas tego nie widziałem. Myślę, że nie chciałem widzieć. Gdybym widział, coś bym z tym zrobił, to znaczy zrezygnowałbym przez kilka dni z żeglowania czy z tenisa. Nigdy nie było ci tu łatwo, prawda?

Poczułam, że łzy zaczynają napływać mi do oczu i ukryłam twarz na jego ramieniu, żeby ich nie spostrzegł.

— Miałam tu też coś innego — odparłam. — Miałam samo Maine, przyładek, lasy, mgły i ocean, niebosięzne jodły... to dla mnie bardzo dużo

znaczy, Piotrze. I miałam przyjaciół. Amy jest cudownym przyjacielem, Willisowie także. A Miss Lottie albo dziewczęta z Ogrodu Mary — niech je Bóg błogosławi — nauczyły mnie wreszcie grać w tenisa. I dzieci przyjeżdżające tu na wakacje, odkrywające to magiczne miejsce... naprawdę, to równoważy wszystko inne, a nawet przewyższa.

— I — dodałam, gryząc go w szyję — miałam to największe szczęście, że kochałam się w wannie i na dnie łódki, a wczoraj na łożu z mchu, które nie tylko roiło się od czerwonych owadów, ale jeszcze na cal było zanurzone w kale rybołówów. I mówić tu o doświadczeniach szczytowych.

— No, tak — powiedział i ugryzł mnie w szyję. — Rozumiem teraz, że te nieprześcignione chwile mogą przewyższać wszystko.

Poprzedniego dnia wzięliśmy po południu dinghy, gdyż dzień był pogodny i ciepły jak w sierpniu, a zatoka była przejrzysta — tylko falowała łagodnie jak pierś śpiącej kobiety i przepawiliśmy się na Wyspę Rybołówów. Robiliśmy to co roku pod koniec sierpnia, przed wyjazdem z Zacisza, żeby zobaczyć jak się mają młode rybołowy i urządzić piknik na głębokim, jedwabistym, szmaragdowym mchu, który pokrywał większą część skalistej małej wysepki. To był nasz niezmienny rytuał; nie wyobrażam sobie bym mogła wyjechać do Northpoint nie pożegnawszy się z rybołowami.

Wyraźnie dziwnie czułam się wczoraj, jakby coś było nie w porządku w odbywaniu tej pielgrzymki na początku lata. Ale Piotr powiedział, że pogoda jest zbyt piękna by miała trwać długo; było niemal pewne, że przed końcem tygodnia zerwie się północno-wschodni wiatr. I może się zdarzyć, że pod koniec lata będzie tak uwiązany w Northpoint, że nie będzie mógł po nas przyjechać i Piotruś będzie musiał nas odwiedzić. Zapakowałam więc lunch i koc i popłynęliśmy pół mili za przystań jachtklubu do okrągłej, małej wyspy, pierwszej z całego archipelagu wysepek leżących opodal zatoczki.

Gniazdo rybołówów znajdowało się na samym szczycie wysepki, na grzbiecie nagiej różowej skały, który zawsze przypominał mi grzbiet smoka. Mieściło się w martwym drzewie, które jakoś przetrwało zimowe zawieruchy, szalejące przez całe lata od strony otwartego za Sarnią Wyspą oceanu. Odkąd Piotr sięgał pamięcią. Niektóre gniazda wykorzystywane były przez całe stulecie; ptaki co roku dokładały do nich aż osiągały średnicę pięciu stóp, a nawet więcej. To gniazdo wyglądało na jakieś cztery stopy: to było stare gniazdo. Staliśmy patrząc na nie w cieplej, wypełnionej brzęczeniem owadów ciszy, spoceni od wspinaczki i silnego słońca. Młode rybołowy były tu cztery, teraz już prawie tak wielkie jak ich rodzice, ale ciągle jeszcze kręcące swymi okrytymi piórami na kształt hełmu głowami drapieźników i wrzaskiem domagające się pożywienia. Dorosłych nie było.

— Wielkie dzieci — powiedział Piotr. — Dostatecznie wielkie, żeby się o siebie zatroszczyć, a wciąż czekające, aż zmęczeni mamusia i tatuś przyniosą im lunch. Nie opuszczą domu, dopóki radzina ich nie wyrzuci. Nie tak jak niektóre młodziki, które znam.

Uśmiechnęłam się i patrzyłam dalej na młode ptaki. Podobało mi się wszystko co wiedziałam o rybołowach z Wyspy Rybołowów. Ich piękno pełne gracji w locie; drapieżność z jaką atakowały rybę, pazury chwytające ją tak mocno, że walcząca ofiara doprowadzała nieraz do zatopienia napastnika. Ich wierne przywiązanie do gniazd i młodych. Na początku tego stulecia w Maine wyginęła większość rybołowów; wiedziałam, że stanowiły łatwą zdobycz dla myśliwych, ponieważ nie chciały opuszczać swych gniazd. Ale teraz, w połowie wieku było ich znów dość dużo, gdyż państwo wzięło je wreszcie pod ochronę i przypomniano też dawne wierzenie, że zabicie rybołowa przynosi nieszczęście. Stojąc tak wśród tej odwiecznej błękitnej ciszy morskiej i patrząc na piękne młode ptaki, miałam nadzieję, że się ono sprawdza. Gniew mną wstrząsnął na myśl o tym, że ktoś mógłby je skrzywdzić.

— Zdaje mi się, że lubię je najbardziej ze wszystkich ptaków Maine, wolę je nawet niż orły — powiedziałam do Piotra. — One wydają się takie... nie wiem: jakby chciały się dzielić z ludźmi. To nie to, żeby były oswojone; są najdziwniejszymi stworzeniami jakie znam. Ale nie uciekają od człowieka. Zbudowałyby wśród ludzi swe domy, gdyby im pozwolił. Jakimś rodzajem błogosławieństwa jest mieć je w pobliżu.

— Wiem — powiedział, uśmiechając się do moich fantazji. — Dobry przykład dla ich ludzkich partnerów. Szkoda, że nie zawsze możemy im dorównać. Wiwat, *Pandion haliaetus carolinensis*. Niech się twoje plemię pomnaża.

Ruszyliśmy z powrotem wśród ciemnych jodeł przez mech ku małej kamienistej plaży, gdzie zostawiliśmy koszyk.

— Skąd to znałeś? Ich łacińską nazwę? — zapytałam.

— Ojciec mi powiedział, gdy pierwszy raz mnie tu przywiózł. Kazał mi zapamiętać. Twierdził, że stworzenie tak szlachetne jak rybołów zasługuje na to, by znać jego właściwą nazwę i że powinniśmy ją znać, nawet jeśli się nią nie posługujemy.

— Więc ja też się jej nauczę — powiedziałam i poczułam nagły spazm żalu na myśl o teściu. Łzy stanęły mi w oczach. — Tak bardzo brak mi twojego ojca — rzekłam do Piotra. — Kiedy tu jestem, nie przestaję o nim myśleć. Nie umiem ci powiedzieć czym stał się dla mnie.

Piotr osunął się na koc, który rozpostarałam w cieniu wielkiego głązu pozostawionego na straży tego dzikiego miejsca przez ostatni przechodzący tędy wielki lodowiec. Milczał przez chwilę patrząc ponad spokojną błękitną wodą ku brzegom Zacisza.

— Myślę, że wiem — powiedział.

Poszłam za jego spojrzeniem i zobaczyłam, że patrzy na odległe ciemne szczyty kominów Orlego Gniazda, widoczne w blasku słonecznego światła z mgiełką upału. Nie byłam tam od tego lata, kiedy umarł Duży Piotr i urodził się Piotruś. Sara i Douglas Fowlerowie sprzedali posiadłość w następnym roku jakiejś rodzinie z New Haven, która przyjechała dopiero w sierpniu, tak że nie widywaliśmy ich prawie wcale. W kilka lat później dowiedziałam się, że Sara umarła, nikt jednak nie wiedział co było

przyczyną jej śmierci; wydawała mi się przez to nierzeczywista. Ciągle myślałam, że Sara jeszcze tu jest, w swym cudownym domu, wysoko w powietrzu, słońcu i wietrze; ciągle sobie wyobrażałam — gdy byłam sama — że ona ulatuje triumfalnie w błękitne powietrze nad swoim domem.

— Tyle się zmieniło — powiedziałam miękko. — Wszystko jest pozornie takie samo, wydaje się takie samo, ale iluż z nich już nie ma i każde z nich zostawiło po sobie pustkę. Rzucili długie cienie...

Mój wzrok pobiegł w kierunku plaży poniżej urwistej ściany, na której stało Orle Gniazdo. Mały Domek, zaczarowane schronienie małych stworzeń, prowadzone przez Miss Lottie Padgett, też był teraz pusty. Po jej śmierci w pierwszym roku wojny niedołączony Frankie, zamknięty w swym świętoszkostwie, nie był tu ani razu i z tego co wiedziałam nie miał zamiaru ani sprzedać, ani wynająć domu. Tak jakby jego matka i jej azyl dla zagubionych w Zaciszu nigdy nie istniały. Niektórzy z nas wysyłali Frankiemu oferty, głównie dlatego, że przykro było patrzeć na zamknięty, ciemny i popadający w ruinę dom, ale nigdy nie odpowiedział na żaden list. Z całego starego Zacisza, prócz braku ojca Piotra, najbardziej odczuwałam brak Miss Lottie. Często myślałam ile dobra mogłaby zyskać moja biedna Happy, gdyby Miss Lottie wzięła ją pod swoje skrzydła. Gdy przychodziło mi do głowy, a myślałam o tym często, że Zacisze i przyładek Rosier mają moc uzdrawiającą, to przede wszystkim Miss Lottie Padgett miałam na myśli.

Wielu innych, którzy pozostali w niezatartej pamięci moich wczesnych lat na letnisku, także już nie było. Mamuśka umarła już dawno, Helena Potter zeszłej zimy, tak że Amy była, po tylu ciężkich przejściach, jedyną panią Pięknego Brzegu. Doktor i pani Lincoln zmarli oboje, a Kraniec Ziemi był teraz własnością „chłopców”, których wciąż trudno było od siebie odróżnić, i którzy przyjeżdżali kolejno na wakacje ze swymi żonami i dziećmi. Panny Izabela i Charlotta Valentine zostawiły Petit Trianon niezainteresowanej nim siostrzenicy z Mobile, która spędzała lato w Point Clear i sprzedała dom Winslowom. Greta natychmiast zmieniła go w pensjonat, dodając mu bez końca elegancji za pomocą długich choć kiepskich nowiusieńkich wyrobów z wikliny i perkali. Tylko Augusta Stallings, starsza od Anny, była wciąż, nie do wiary, żywa i kłótniwa, choć przykuta do łóżka w Utopii, gdzie jej starzejący się synowie, doprowadzane do rozpaczki synowe i wciąż puszczający nowe pędy szczep wnuków oraz prawnuków rozsadał spoiny Compound. Moja teściowa była w istocie głową materiarchatu Zacisza. Myślałam czasem, że to właśnie utrzymywało ją przy życiu.

Piotr nalał wina i wypiliśmy je, jedząc kanapki, a potem położyliśmy się i pozwoliliśmy by słońce spłynęło na nas jak miód. Wtedy napłynął ten dźwięk, którego nasłuchiwałam każdego lata, ale słyszałam zaledwie raz czy dwa i tylko w chwilach zupełnego wyłączenia i spokoju. Wysoki niesamowity pomruk, o którym zawsze myślałam, że jest muzyką samej ziemi, albo rzeczywistą pradawną tajemnicą morza. Zastanawiałam się,

czy Piotr go słyszy. Już prawie miałam zakłócić jego trwanie i zapytać, gdy powiedział:

— Ojciec zabierał cię do Sary Fowler w Orlim Gnieździe, prawda? Tego lata, gdy umarł?

Leżałam przez chwilę, czując purpurę i ciężar słońca na powiekach, a potem odpowiedziałam:

— Tak.

A gdy milczał, dodałam:

— Nie przypuszczałam, że ty wiedziałaś, że on... jeździł tam czasem.

— Tak. Wiedziałem. Wiedziałem, że jeździł i że jeździł przez długie lata, i dlaczego. Wiedziałem, że ją kochał. Pojechałem tam kiedyś za nim, gdy miałem chyba osiemnaście lat i patrzyłem na nich przez okna. Nie dotknął jej nawet, ale widziałem to na jego twarzy, i jej. Cieszę się, że podzielił się nią z tobą. To była wyjątkowa kobieta i wyjątkowe miejsce. Chciałem, żeby mógł dzielić je ze mną.

— Piotrze, wiesz przecież dlaczego nie mogłem... myślę o twojej matce... zawsze kochał twoją matkę. Tamta sprawa nie umniejszała tego w niczym.

— Wiem — powiedział. Usiadł i jeszcze raz spojrzął na kominy i dach Orlego Gniazda.

— Co wtedy czułeś? — zapytałam.

— Najpierw to był szok, byłem zły i trochę skrupowany, jakby było w tym coś wstydlivego. Wiesz jacy konwencjonalni są młodzi. Ale potem zrozumiałem — nie wiem — że to było jakieś jego prawo. Że Zacisz zawsze było bardziej mAmą niż jego, że miał prawo do czegoś wyłącznie własnego. Zawsze wiedziałem, że to nie ma żadnego związku z mamą ani z jego dla niej uczuciami i że to nie zagraża ani mnie ani Hermie. To była po prostu... jakaś część jego, do której nie mogliśmy mieć dostępu ani o niej wiedzieć i może to było w porządku; może każdy ma do tego prawo. Możesz kochać dwie osoby i obu być wiernym. Potem zacząłem być zadowolony. Myślę, że to prawdziwy hołd dla ciebie, że byłaś tą, którą wybrał, by się podzielić.

Milcząc siedziałam w słońcu. Pomyślałam o Micahu Willisie i krew napłynęła mi do twarzy. Tak, to prawda, co powiedział o dwóch osobach... A potem poczułam zimno. Czy to możliwe, że mówił nie tylko o ojcu lecz i o sobie? Już od wielu lat Piotr nie przyjeżdżał w lecie do Zacisza lecz pozostawał w Northpoint; był teraz dyrektorem szkoły i wiedziałam, że otwierały się przed nim realne możliwości przeniesienia się jeśli zechce do St. Paul, do Deerfield czy Choate. I dobrze znałam cenę jaką za to płacił poświęcając swój czas i siły. Byłam temu przeciwna tylko dlatego, że wiedziałam jak bardzo lubił wakacje w Zaciszu i wiedziałam, że przez wiele lat nie będzie ich tam spędzał, jeśli dalej będzie się trzymał tej drogi. Byłam z niego dumna i godziłam się, by mnie opuszczał tak często i na tak długo, jak to było konieczne jeśli prowadziło to do tego, do czego dążył. Ani razu nie pomyślałam, że mogłoby być ktoś do kogo w ciągu letnich miesięcy udawałby się tak po prostu, jak jego ojciec do Sary Fowler w Orlim Gnieździe.

Patrzyłam na niego w świetle słońca i myślałam: To niemożliwe, a potem myślałam: A jeśli... a jeśli by tak było... czy to byłoby w porządku? Czy mogłabym zrozumieć Piotra tak jak rozumiałam jego ojca?

Wiedziałam, że nie mogłabym, nigdy bym nie mogła.

Ale żywisz uczucie do Michaha i ono nigdy, w żaden sposób nie dotyka tego co łączy cię z Piotrem, mówiłam sobie.

To zupełnie co innego, myślałam. I wiedziałam, że tak było, chociaż nigdy nie umiałabym wytłumaczyć dlaczego, ani sobie ani nikomu innemu. Gdyby mój mąż miał kiedykolwiek inną kobietę i wiedziałabym o tym, byłby to w jakiś sposób mój koniec. Umarłoby coś istotnego, co dawało mi życie i ciepło, co w ogóle umożliwiało mi istnienie w świecie.

Westchnęłam cicho, a Piotr przytulił mnie do siebie i kochaliśmy się w słońcu i ciszy na Wyspie Rybołowów. Pierwszy raz w naszym wspólnym życiu nie czułam później tej niewypowiedzianej pełni jaką odczuwałam dotąd.

• * *

Po tym dniu, kiedy Piotr wyjechał już do Northpoint, nie mogłam dać sobie rady. Nie chodziło o ciągłe napięcie, jakie towarzyszyło zawsze życiu pod jednym dachem z Happy; do tego byłam przyzwyczajona. Nie chodziło też o to, że byłam sama, teraz kiedy Piotruś i Sara wyjechali; nigdy nie czułam się samotna w Zaciszu to nie była nawet sprawa rosnącego złego samopoczucia Mamy Anny. Była od wielu lat obezwładniona i radziliśmy sobie. Tylko po prostu nic nie mogło mnie teraz całkowicie zająć, wypełnić mnie bez reszty. Głęboko we mnie tkwił ból, jakieś ssanie jakbym umierała z głodu.

W jakiś sposób Anna o tym wiedziała. Nigdy, podczas wszystkich lat, które przeżyłyśmy razem, nie wykazywała żadnej intuicji, ale tego lata wyczuwała tę pustkę we mnie, moje osamotnienie. I choć stawała się coraz słabsza a noce jej coraz częściej były bezsenne i pełne bólu, naprawdę podejmowała wysiłki by być dla mnie dobrą. Nie byłam pewna czy zdawała sobie sprawę, że ten głód ma coś wspólnego z Piotrem; nigdy nie rozmawiałyśmy o tym. Myślę teraz jednak, że mogła to podejrzewać, bo spędzała wiele godzin przy lunchu, drinkach czy przy obiedzie, a nawet wieczorami przy kominku, gdy mogła zostać, i opowiadała swobodnym tonem, z czułością o jego chłopięcych latach. Jej głos był wtedy bardziej miękki, a Piotr, którego wywoływała przed moimi oczami był innym dzieckiem niż to, jakie myślałam, że przechowuje w pamięci. Był zabawny, słodki i żywy jak rtęć, lekkomyślny i nawet nieroztropny. Zdziwiona byłam, że czasem się nawet śmiała opowiadając o jego wyczynach. Ten Piotruś, który jak sobie wyobrażałam, żyje w jej pamięci, był o wiele bardziej uległy i lepiej ułożony niż ten wspomniany przez nią Piotruś Pan. Śmiałyśmy się obie z tego dziecka i byłam jej wdzięczna tak bardzo, jak nigdy dotychczas.

Mówiła także o dniach swojej młodości na letniku i tamten ospały, zmanierowany świat przełomu wieków ożywał dla mnie. Dał mi głębokie i ostre poczucie ciągłości życia w Zaciszu, którego nigdy nie zatraciłam, bezcenny dar w świecie, który zaczynał płonąć zmianą. Myślę, że to najcenniejsza rzecz, jaką mi pozostawiła. Nigdy nie mówiła o swoich własnych odczuciach na temat Zacisza, tylko o jego zwyczajach, obyczajach i zakazach. Opowiadała też anegdoty, które wywoływały mój uśmiech lub, 0 wiele rzadziej, sprawiały, że łzy zbierały się pod moimi powiekami. I w jakiś sposób, w tych odmierzanych słowach, w bombastycznych i niewyszukanych historyjkach o jej wakacjach tu nad morzem, pojawiał się między nami duch innej zagubionej i nieprzystosowanej dziewczynki, dziewczynki, która tak jak ja, mogła płakać po nocach ze strachu i złości przed surową i nie wybaczącą starszą kobietą. Wiedziałam, że nigdy nie zapytam jej o tę dziewczynkę, ale zrozumiałam, że mogłabym naprawdę ją lubić, a lubiąc ją trochę, bardziej polubić tę starą kobietę, która przez długie lata nosiła ją zamkniętą w swoim sercu. Jednak wiedziała. I zwyciężyła.

Na początku lipca bóle i słabość zmniejszyły się trochę — nie chciała przyjmować proszków, które przysłał lekarz i do których połykania zmuszałam ją przymilaniem się cztery razy dziennie. Nie chciała także brać tabletek nasennych, które jej przepisał.

— Naprawdę czuję się dobrze, Maude — mówiła. — Myślę, że chciałabym pójść na regaty czwartego lipca, przynajmniej na koktajl i potrawkę i popatrzeć na fajerwerki. Już od tylu lat nie byłam. Ostatni raz to było chyba wtedy, gdy Eryka przyjechała i zabrała z sobą ten cały swój okropny klub brydżowy.

— Czy naprawdę mama myśli, że to rozsądne? — zapytałam. — Tam będzie przecież straszny tłum tych wszystkich kłębiących się ludzi z Blue Hill i Northeast Harbor i całe to picie, i wrzaski. Mnie to męczy; nie miałam zamiaru wybierać się w tym roku.

— Naprawdę bardzo chcę wszystkich zobaczyć — powiedziała. — Już dawno nic takiego nie czułam.

— To może zaproszę kilka osób na koktajl. Kogo będziesz sobie życzyła. Guilda i Dierdre Kennedych i Erykę, Stallingsów, dziewczęta z Ogrodu Mary.

— Nie. Proszę, na chwileczkę tylko — powiedziała i uśmiechnęła się. — Chciałabym zobaczyć dzieci, psy i wszystko.

Nie często się uśmiechała tego lata. Serce mi się ścisnęło. Nie można zdławić takiego porywu życia.

— Więc zrobimy to — obiecałam. — To będzie zabawne.

Czwartego lipca dzień wstał posepny i mglisty. Słyszałam wystrzały rozpoczynające pierwszy wyścig, głucho drobne trzaski — wiedziałam więc, że będzie pochmurno i mglisto o zachodzie słońca. Wilgoć sprawiała, że moje ruchy stawały się wolniejsze i trochę bolała mnie głowa; świat za oknem wydawał się płaski i poszarzały. Znow pomyślałam o alchemii słońca; przy nim krajobraz stawał się ostry, wielowymiarowy i magiczny; bez niego wszystko wydawało się po prostu banalne.

Happy była zła, spoglądała ponuro i oświadczyła, że nie pójdzie na głupie regaty. Ona i Carlton Anderson mieli zamiar malować jego dinghy, a potem iść do domu towarowego i grać w kręgle. Nie bardzo lubiłam Carltona Andersona; był agresywny i uciekał z oczami przy dorosłych, gdy przychodził po pieniądze za koszenie, malowanie i wywożenie śmieci, czym się zajmował, ale był synem kuzyna Micaha i znaliśmy go od dawna. Poza tym zbyt miałam zajęte ręce przygotowaniami do zabrania Anny na regaty, by sobie zaprzętać głowę ciągnięciem z nami upartej Happy.

— Dobrze — powiedziałam i poszłam obudzić Annę. Happy trzasnęła drzwiami wychodząc. Westchnęłam. Miałam nadzieję, że znajdzie w wakacjach w Zaciszu to, co jej ojciec znajdował w swoich: magiczny czar dni dzieciństwa. Wspomnienia, które będą ogrzewały noce dojrzałych lat. Ale Happy nie pragnęła dzieciństwa swego ojca. Tego lata, jak zawsze, chciała mieć samego ojca.

Anna była blada i poruszała się powoli. Wiedziałam, że znów miała za sobą bezsenność i z niecierpliwością wyglądała dnia choć nie przyznawała się do tego. Udało mi się wreszcie skłonić ją do zgody na koktajl i lunch zamiast długiego popołudnia i wieczoru w klubie. Gdy jednak poszłam do niej by pomóc jej się ubrać stwierdziłam, że brak jej tchu i mówi słabym głosem, zdałam sobie sprawę, że nigdy nie doprowadzę jej tam z laską i szalem, i z koszykiem napojów oraz przekąsek, które przygotowałam poprzedniego wieczora. Midge i Buck Fletcherowie z domu towarowego dostarczali potrawkę, sałatkę z kapusty i rogaliki dla tłumu przybywających na regaty, ale ci, którzy przychodzili na lunch zawsze zabierali z sobą własne koktajle i coś do jedzenia, a Mama Anna zażądała Bloody Mary i kanapek z krabami. Nie przejechałabym też samochodem zatłoczoną pojazdami drogą. Pomyślałam chwilę, a potem zatelefonowałam do Krystyny Willis. Przyszli za kwadrans, ubrani jak reszta letników w koszule z odkrytymi szyjami i buty żeglarskie, porozmawiali z Anną tak jakby codziennie wstępowali przed lunchem.

— Micah i Tina odprowadzą nas, mamó — powiedziałam zdawkowo mając nadzieję, że tego ranka nie okaże się despotyczna. Uniosła jedną ze swych ciemnych brwi, lecz powiedziała tylko:

— To miło z twej strony, Tino, Micah. Nie poruszam się tak łatwo jak kiedyś. Para silnych rąk będzie mile widziana.

Westchnęłam z wdzięczności dla nich wszystkich. Długą drogę musiała przebyć, by zgodzić się przyjąć pomoc z najemnych rąk, pomyślałam. A on musiał długą drogę przebyć, by ją zaoferować, po zajęciu z Parkerem Potterem.

Ruszyliśmy do jachtklubu piaszczystą drogą, Micah i Tina podtrzymywali Annę z obu stron, ja szłam z tyłu dźwigając koszyk i jej ekwipunek. Trwało to długo i musieliśmy często przystawać, by pozwolić jej zaczerpnąć tchu. Jej twarz miała połysk woskowej świecy zapalonej w chmurny poranek i nie podobał mi się jej ciężki oddech. Ale przez całą drogę mieszkańcy lotniska pozdrawiali ją, podchodzili, by ją uściśnąć i ucałować, a gdy byliśmy już blisko jachtklubu, podniosły się głosy

witające nas, a wiele osób odłączyło się od zgromadzonego tłumu na werandzie i zeszło do niej. To było właśnie to, czego potrzebowała i czego jej brakowało; widziałam to w błysku jej oczu i sile głosu. Stara królowa przybyła do swego ludu, a lud powitał ją z radością i złożył jej hołd. Ponad jej głową Tina uśmiechnęła się do mnie, a Micah mrugnął z namaszczaniem.

Na werandzie zobaczyłam, że Marjorie Stallings wstaje z fotela na biegunach i sprząta rzeczy swojej grupy ze stołu, a George zrobił ruch w naszym kierunku, chcąc ją podprowadzić. Machnięciem ręki wyraziłam podziękowanie. Wszystkie pozostałe fotele były tak jak zawsze zajęte przez najstarsze dAmy w Zaciszu; kilka z nich zajmowała Eryka Conant ze swą grupą, na innym siedziała Dierdre Kennedy, obok starej matki Jane Thorne, która przyjechała z wizytą z Providence. Trzy ostatnie, te z których był najpiękniejszy widok na przystań, zajęte były przez Gretę i Burdiego Winslowów i jego autokratyczną starą matkę, Aurorę. Przy nich stały ich dzieci, Freddie i Julia, ze znudzonym uśmiechem, także para równie końskich nastolatków, których nie rozpoznałam — pewnie goście. Byłam zadowolona, że Happy nie przyszła z nami; nie sądzę by Freddie i Julia oparli się chęci szczucia jej, a Happy reagowałaby dokładnie tak, jak oni sobie zaplanowali. Nic dobrego nie mogłoby z tego wyniknąć.

Greta Winslow podniosła głowę i zobaczyła nas, a ja zrozumiałam, że nie będzie to najmiłsza chwila. Wyglądała cudownie, świeciła jak perła w przyćmionym słabym świetle, ubrana w spodnie khaki i jasnobrazowy sweter, wydawała się stepowym stworzeniem, lwicą wśród bydła. Czy ona nigdy do cholery się nie zestarzeje? — pomyślałam z irytacją. A jeśli się zestarzeje, to czy nigdy nie złagodnieje? Gdy jej jasnozielone oczy objęły Annę podtrzymywaną przez Willisów i mnie idącą z tyłu jak miejscowy tragarz, zalsniły złośliwością i uśmiechnęła się swym leniwym, niewinnym uśmiechem. Naprawdę lwica wśród bydła. Nie miałam wątpliwości, że krew się poleje i że będzie to moja końska krew. Nie wiedziałam tylko przy jakiej okazji.

Podeszła by przywitać się z Anną, ucałowała jej policzek i podprowadziła ją do pustego krzesła; posadziła ją na nim, wzięła z moich rąk szal i otuliła nim jej nogi.

— Jak miło znów panią zobaczyć, Mamo Anno — powiedziała jedwabistym głosem, a moją twarz oblał rumieniec, zgodnie z jej przewidywaniem, bo uśmiech jej rozszerzył się od ucha do ucha. Greta była jedyną osobą w Zaciszu poza mną, która nazywała tak moją teściową i nikt w moim pojęciu nie miał do tego mniejszego prawa. Zobaczyłam, że Dierdre Kennedy odwraca głowę w naszą stronę, podobnie jak kilka osób z grupy Eryki i zrozumiałam, że nie tylko ja jedna to zauważyłam. Anna uśmiechnęła się i ujęła rękę Grety.

— Miło widzieć, że tak pięknie wyglądasz, moja droga — powiedziała. Jej głos był teraz silny. — Brakowało mi twoich odwiedzin tego lata.

— Byliśmy strasznie zajęci z gośćmi dzieci — odparła słodko Greta.
— Takie tłupy, że nie może pani sobie wyobrazić.

I oczywiście nie było Piotra, pomyślałam, co znacznie osłabiało bodziec do odwiedzania starych chorych kobiet.

Micah odwrócił głowę i spojrzał na mnie; zobaczyłam rozbawienie w jego oczach, choć ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy. Zrozumiałam, że doskonale wie, co Greta miała na myśli. Wywróciłam lekko oczy, a on wtedy uśmiechnął się słabo.

Trzymając ciągle dłoń Anny, Greta wyprostowała się i odwróciła do mnie. Leniwe zielone spojrzenie objęło Tinę i Micaha ubranych niemal identycznie jak każdy inny mężczyzna i kobieta w jachtklubie, a potem powoli przetoczyło się po zgromadzonych na werandzie, żeby się upewnić, że zwróciła ich uwagę. Tak; gwarantowała to zarówno obecność obojga Willisów w tym prawdziwie miejscu Świętym Świętych jak i jej niedbale rzucone „Mama Anna”.

— Szkoda, Maude, że nie dałaś znać komitetowi, że przyprowadzisz gości — powiedziała słodkim głosem. — Przygotowalibyśmy krzesła na werandzie dla wszystkich. Obawiam się, że jedyne jeszcze wolne są na zewnątrz. Ale cieszymy się, że przyprowadziłaś swoich przyjaciół... Wszyscy martwiliśmy się, że jesteś osamotniona podczas tych wakacji, gdy Piotra tu nie ma. To miło mieć kogoś, kto... naciągnie linę.

Wszyscy milczeli. Nie mogły paść żadne słowa. Po prostu nie sposób było nie zrozumieć, co miała na myśli. Nie musiała nawet przeciągnąć spojrzeniem po Micahu Willisie. Czułam jak płomień obejmuje mi twarz. Wściekły gniew dosłownie zadławił mnie na chwilę. Wszystkie tutaj lata samotności, bolesnego, krok za krokiem, przystosowywania się, które osiągnęłam, niewyczerpanej uprzejmości, kurtuazji i przywoitości Micaha Willisa wobec chłodu mojej teściowej, niczym nieuzasadnionej złośliwości Greta, zawrzały w moim sercu jak fala sztormowa. Nie mogłam złapać oddechu i to mnie uchroniło od rzucenia się na nią. Widziałam jak opalona twarz Micaha zbieleła, a później znów stała się spokojna i pusta, widziałam lekkie bezgłośnie wstrzymanie oddechu zranionej Tiny; widziałam także jak oczy mojej teściowej rozszerzają się a potem zwężają i jak oswobadza rękę z dłoni Greta.

Nim zdążyłam coś powiedzieć, zrobiła to Anna. To jej starczy głos usłyszałam pierwszy; brzmiał teraz słodko, pedantycznie i zjadliwie.

— Jeżeli o to chodzi, Greto — powiedziała wyraźnie — pan i pani Willis są moimi gośćmi, którzy przychodzą do mnie na lunch. Dziś jest nasz umówiony dzień, pomyślałam więc, że skoro wypada on w dniu regat, będzie to dla nich pewna odmiana po mojej małej ciemnej jadalni. To bardzo miło, że się o to troszczysz i z największą wdzięcznością przyjmujemy te krzesła. Prawda, że robi się już bardzo upalnie?

Niebieskie oczy przytrzymały spojrzenie zielonych przez długą chwilę, w czasie której wszyscy na werandzie i na trawniku, jak sobie wyobrażałam, wstrzymali oddech, a potem Greta spuściła swoje i wymamrotała:

— Prosimy bardzo — odwróciła się, weszła na werandę, zebrała rzeczy i sprowadziła przed sobą swoje mruczące dzieci ze schodów. Poczułam znów przyspieszony oddech. Będę cię kochać do końca mego życia, bez

względu na to co mi zrobisz, lub powiesz — powiedziała spojrzaniem Mamie Annie i spostrzegłam, że jej kamienno-niebieskie oczy lekko błysnęły. Odwróciła się do Micaha i Krystyny.

— Micah? Tina? Czy możemy?

Spojrzałam na Willisów; ich twarze były zamknięte i gładkie jak marmur. Och, proszę, błagałam w myślach. Proszę. Wiem, że to było straszne. Wiem, że macie ochotę plunąć nam wszystkim w twarz. Ale proszę. Zróbcie to dla niej. Nie wiecie, ile ją to musiało kosztować. Zróbcie to dla mnie.

— Bardzo dobre miejsce do obserwowania regat — powiedział uroczyście Micah, ujął jej ramię i podtrzymał gdy wstępowała na schody do grupy foteli. Zdawało mi się, że zemdleję z radości i ulgi. Zamknęłam oczy i po chwili znów je otworzyłam. Odwrócił się i patrzył na mnie z cierpliwością, jakby czekał na ociągające się dziecko, a obok niego Tina uśmiechała się swym pogodnym uśmiechem. Lekko jak dziewczyna wbiegłam na schody i zajęłam miejsce w pozostałym fotelu na biegunach. Dzień płynął jak zawsze od stu lat na tym starym przyładku.

I w taki sposób Micah i Tina Willisowie pili Bloody Mary i jedli lunch na werandzie jachtklubu na przystani w zatoce, jakby to robili przez wszystkie letnie miesiące swego życia, i choć nigdy więcej już tego nie robili, wiem, że mogliby, gdyby chcieli. Tego dnia bowiem naruszone zostało potężne tabu: naruszone przez jedną osobę, która mogła to zrobić: moją teściową, Annę Stuart Chambliss, seniorkę kolonii Zacisze na przyładku Rosier w stanie Maine, władającą w pełni zmysłami i wszystkim do czego upoważniał ją ten tytuł. I myślę, że to dzięki niej i tej jednej ostrej jak diament chwili na stopniach jachtklubu mógł Kaleb Willis w następnym roku zostać członkiem klubu przy jednogłośnie zgodzie, a po latach jego syn Micah został komandorem.

My czworo nie rozmawialiśmy o tym. Przynajmniej nie wprost. Po lunchu, Mama Anna powiedziała, że jest zmęczona i że chce się położyć, odbyliśmy więc nasz majestatyczny marsz z powrotem do Liberty pod strumieniem czułej i, jak mi się zdawało, pełnej podziwu paplaniny. Gdy ułożyłam ją już do drzemki, wyjąkałam po kilku nieudanych próbach:

— Dziękuję.

Machnęła niecierpliwie dłonią. Była biała i spocona, ale jej twarz po prostu jaśniała. Pomyślałam, że dzień ten udał się niemal tak doskonale jak mogła sobie tego życzyć. Nie tylko została przyjęta jak królowa, dano jej okazję wygłoszenia królewskiego edyktu. Triumf skrzył się na jej twarzy jak światło błyskawicy.

— To była cudowna rzecz...

Przyłożyła palec do ust więc zamilkłam. Popatrzyła na mnie przeciągle i westchnęła.

— Nie było ci tu łatwo, Maude — powiedziała. — Wiem o tym. I wiem jak to jest. Ale przetrzymałaś; potrafiłaś ułożyć sobie tu życie. Mogłaś przecież po prostu nie przyjeżdżać; o tym też wiem. Piotr zrobiłby to dla ciebie. Nie myśl, że ja zmienię się bardzo, ale zawsze powiem ci co myślę,

gdy będę uważała, że potrzeba. Happy i Piotrusiowi także. I zawsze będę myślała, że Piotr... twój Piotr — uśmiechnęła się słabo — mógł poślubić kogoś bardziej przystosowanego do sposobu życia, do jakiego sam został wychowany. Ale Greta posunęła się dziś stanowczo za daleko. Nie mogę na coś takiego pozwolić. Nie mogę w stosunku do mojej synowej, ani do Micaha i Tiny Willisów. To są dobrzy i wytrzymujący próbę ludzie, a ja traktowałam ich okropnie przez całe lata, szczególnie Micaha. Ani przez chwilę nie myślę, żeby jeden lunch na werandzie jachtklubu mógł to wynagrodzić, ale to najlepsze co mogłam wtedy zrobić.

Leżała na poduszkach i była tak spokojna, iż myślałam, że już zasnęła i zaczęłam na palcach wychodzić z pokoju, gdy powiedziała:

— Mogłaś zrobić coś gorszego niż wybrać Micaha na przyjaciela, Maude. Miej w nim oparcie, jeśli ci tego trzeba; możesz mu ufać. Piotr jest... Piotr jest jak jego ojciec. Tak jak tamten czasem po prostu odpływa od ciebie i pozostaje z dala przez długi czas. Och, oni zawsze wracają, ale są chwile gdy potrzeba ci silnego ramienia, a jego wtedy nie ma. Oprzyj się na ramieniu Micaha. Kobieta sama staje się twarda i pełna lęku. Wiem o tym.

Czy wiedziała więc o swoim mężu i Sarze Fowler? Czy nie? Ile tajemnic kłębiło się w tym domu.

Wróciłam do niej chcąc ją uściskać, ale potrząsnęła głową i zamknęła znów oczy.

— Jestem teraz zmęczona.

Wysłałam więc z pokoju, mówiąc miękko, gdy zamykałam drzwi:

— W każdym razie dziękuję.

— Bardzo proszę, moja droga — dobiegło mnie, gdy dochodziłam do kuchni.

Micah był w kuchni, układał drwa w skrzyni, ale Tiny nie było widać. Popatrzyliśmy na siebie a potem oboje uśmiechnęliśmy się szeroko i wreszcie wybuchnęliśmy śmiechem.

— Micah — odezwałam się — chciałam po prostu powiedzieć...

— Nie ma nic do powiedzenia — przerwał mi. — Jadłem lunch na krytej gontem werandzie w towarzystwie trzech nienajgorszych miłych dam, piłem fantastyczny trunek i obserwowałem regaty. Widziałem lepsze i gorsze, a te oceniam na trójkę. Choć nie widziałem nic lepszego niż sposób w jaki pani teściowa rozgromiła Gretę Winslow. Trudno byłoby znaleźć bardziej na to zasługującą damę.

— Wiem — powiedziałam ponuro. — Myślę, że nie wziął pan tego zbyt osobiście. Jej chodziło o mnie. Od chwili gdy ją poznałam prowadzi ze mną walkę.

— Tak — przytaknął. — Chciałaby mieć to, co ma pani i wie że nigdy nie będzie tego miała.

— To znaczy... Piotra? — zapytałam, zalewając się rumieńcem i zła z tego powodu.

— Nie, to znaczy, być może, ale miałem co innego na myśli.

— Więc co? Nie mogę sobie wyobrazić, co jeszcze poza tym mogłabym u licha mieć, co ona by chciała.

— Maude, pani napełnia powietrze wokół siebie wiosną — odparł, zaglądając do skrzyni z drewnem. — Greta przynosi zimę. Nie może tego zmienić, musi być zawsze lodowata. To wyzwala w niej małoduszność. Sprawia, że nienawidzi tych, którzy niosą wiosnę... Wystarczy pani drzewa na tydzień; przyniosę więcej, gdy przyjdę przyciąć żywopłoty w przyszły poniedziałek. Dziękuję za wyzerkę i za towarzystwo. Proszę podziękować od nas pani Chambliss.

I wyszedł z kuchni; oszklone drzwi łagodnie kołysały się na zawiasach, które nigdy nie działały jak trzeba.

Anna nie chciała jeść kolacji, zostawiłam kanapkę i szklankę mleka przy jej łóżku; Happy i ja zjadłyśmy więc same wczesną kolację i leżałam już w łóżku czytając od nowa „Wichrowe Wzgórza”, gdy zadzwonił telefon. Usiadłam w koszuli na górnym stopniu schodów w ciemności i podniosłam słuchawkę.

— Mamo?

— Piotruś?

— Tak. To ja. Posłuchaj. Muszę ci coś powiedzieć. Ja... my... posłuchaj, Sara i ja postanowiliśmy się pobrać na jesieni. Może w Dniu Dziękczynienia w szkolnej kaplicy, jeśli myślisz, że dałabyś radę... Po prostu skromny ślub, rodzinny, rozumiesz... Mamo?

Dzwoniło mi w uszach. Nadeszło to, co myślałam, że nadejdzie, nowina, której słuchałam na poły ze strachem, na poły z radością... Nie mogłam mówić. Nie, wołało moje wzburzone serce. Nie. Jesteś za młody, to szaleństwo. Nie pozwolę ci...

Tak, mówiła moja głowa. To będzie dobre dla ciebie. Będiesz z nią bezpieczny. Ja będę przy niej bezpieczna. I co na miłość boską przez to rozumiesz?

— Mamo? Jesteś tam? ^ " "

— Tak, kochanie. Jestem tutaj. No cóż, mój stary Piotrusiu. Ślub. O, Boże. Pozwól, że złapię oddech.

— Ty lubisz Sarę, mamo? — To było pytanie, drżące.

— Och, kochanie, tak, oczywiście, że lubię. Oczywiście. Bardzo się cieszę, naprawdę. I oczywiście w Dniu Dziękczynienia, wszystko tak jak chcecie. Och, poczekaj, powiem babci i Happy... Czy już mówiłeś tatusiowi? Och, Piotrusiu, co sprawiło, że się zdecydowałeś?

Roześmiał się, zdawało mi się, że z ulgą.

— A: poczekaj chwilę z zawiadomieniem babci i Happy, dopóki nie powiem rodzicom Sary. B: nie, nie mówiłem jeszcze tatusiowi. Zdecydowaliśmy dopiero dziś wieczorem, a on ma wykład w Brooklinie. C: Sara mi powiedziała, że jeśli się z nią nie ożenię, żebyś ty mogła być jej teściową i żeby mogła spędzać wszystkie wakacje w Zaciszu, to nie będzie więcej ze mną rozmawiać. Czy miałem jakiś wybór?

Milczałam. Oczywiście Sara Forbes będzie nie tylko żoną Piotrusia, będzie także moją synową. Oczywiście, że będą spędzać wakacje w Liberty, gdzie zawsze spędzał je Piotruś; a ja myślałam, że niby co będą robić? Zobaczyłam nagle wszystkie przyszłe lata w tym starym, krytym gontami

domu: dwie kobiety, teściowa i synowa, tylko że teraz to ja będę tą pierwszą, a ta mała stanowcza dziewczyna, której nie znałam, będzie tą drugą. Czekająca, czekająca na swoją kolej...

Chciałabym mieć go dla siebie przez chwilę, pomyślałam z żalem. Chciałam po prostu dla mnie i dla Piotra. Tylko przez kilka letnich sezonów. Nie chcę by ta młoda, silna kobieta tu przyjeżdżała, obserwowała mnie, obsługiwała i czekała...

— Czy mogę oddać słuchawkę Sarze? — zapytał. — Chciałaby z tobą rozmawiać.

— Kochanie, babcia mnie wola, a naprawdę nie czuję się dobrze — powiedziałam szybko. — Muszę pobiec i zajrzeć do niej. Ucałuj ode mnie Sarę i powiedz, iż uważam, że wszystko jest cudownie i porozmawiam jeszcze z tobą, kiedy powiesz tatusiowi. Zadzwoń do mnie jutro wieczorem i będziemy wszyscy rozmawiać.

— Dobrze, całujemy cię oboje — powiedział.

— Ja też, kochanie. Do widzenia na razie.

Odłożyłam słuchawkę i długo jeszcze siedziałam po ciemku na szczycie schodów, wpatrując się w nicość i słysząc w ciszy na dole głosy, które jeszcze się nie odezwały.

Mama Anna nie wołała mnie oczywiście, ale i tak podeszłam do jej drzwi, otworzyłam je cicho i zajrzałam. Leżała na boku, otulona w stary koc z Zatoki Hudsona, który zawsze był złożony w nogach jej łóżka. Okno było otwarte i dałeki szum fal przybrzeżnych wydawał się bliski i wyraźny jak oddech. Lekki powiew, pachnący sosnami i solą poruszał jej włosy. Jej kasetka z papierem listowym stała na podłodze przy łóżku; zauważyłam, że zjadła kanapkę i wypła mleko. Zamknęłam drzwi z powrotem. Niech śpi. Jutro będzie dość czasu by jej powiedzieć o Piotrusiu i Sarze. Nie wiedziałam teraz, czy będzie z tego zadowolona czy nie. Nie byłaby kiedyś, ale stara kobieta śpiąca w tym spokojnym pokoju nie była tą samą, którą znałam przez lata. Ani ja — pomyślałam, wstępując z powrotem ciężko na schody, a stara malowana podłoga była lepka i zimna pod moimi nagimi stopami — też nie byłam tą samą kobietą.

Gdy znalazłam ją martwą następnego ranka, kiedy przyniosłam tacę ze śniadaniem, nie byłam zdziwiona. To był szok, tak; nie mogłam opanować drżenia i wybuchu żalu, tak wielkiego, jak nigdy nie myślałam, że odczuję, ale zdziwiona nie byłam. Kobieta, którą znałam przez całe moje życie w małżeństwie, opuściła mnie już wcześniej. Stara kobieta, która leżała spokojna na łóżku była pod każdym względem kimś dla mnie nieznanym. Uklękłam przy niej i wzięłam jej dłoń w moje obie ręce. Zimna. Była bardzo zimna i jej spokojna twarz była zimna, i zimna była pofałdowana jedwabista skóra jej szyi.

— Nie odchodź — szepnęłam. — Tyle ci mam do powiedzenia.

Wstałam, poszłam do telefonu na dole i zadzwoniłam do Amy Potter w Pięknym Brzegu. Powolny, ceremonialny korowód śmierci w Zaczyszu zaczął się znów, tym razem dla MAMY Anny i tym sAMYM dla mnie.

Dopiero wieczorem, gdy Piotr i Piotruś byli w drodze do domu a Happy oddana pod opiekę Priss i Tobiasza Thorne'ów i łagodnych ich córek, znalazłam list, który zostawiła dla mnie. Leżał w jej kasetce z papierem listowym; podniosłam ją wreszcie z podłogi i gdy jej górna część się odchyliła, zobaczyłam zaklejoną kopertę z moim imieniem. Kiedykolwiek przestała oddychać i z jakiegokolwiek powodu, miała najpierw czas, by to napisać. Myślę, że nie odczuwała bólów, gdy to pisała ani nie odczuwała powodu do pośpiechu; list był dość długi, a pismo było okragłe, pedantyczne i piękne, pewne, kaligraficzne pismo jej młodości.

Maude. Muszę Ci to napisać, bo nie myślę, żebym mogła zrobić to osobiście. Wstyd mi z tego powodu, ale wyrzuty tylko tak daleko sięgają; nigdy my dwie nie zwierzałyśmy się sobie. Nie musi to być niczym złym, ale zbyt trudno mi mówić o tym z Tobą. Napiszę więc, a gdy będzie to konieczne, Ty przeczytasz.

Zostawiam Liberty i wszystko co jest w domu — Tobie. Mój testament w Bostonie poświadczy to moim podpisem. Nie wiem jakie będą w związku z tym odczucia Piotra, ale mam nadzieję, że nie będziesz musiała podawać mu moich powodów. Nie będą dla niego pochlebne. To Ty jesteś silna, Maude; zawsze o tym wiedziałam, i nie zawsze lubiłam Cię za to. Chciałam, żeby Piotr był taki. Ale to Ty jesteś silna i dlatego Liberty musi do Ciebie należeć i musisz je zachować takim jakie jest i przypilnować, by po Tobie tak samo utrzymała je żona Piotrusia. Troszcz się o nie całe: o dom, o to miejsce, o ten świat. To wszystko co mAmy, my kobiety.

Będziesz świadkiem wielkiej zmiany za Twojego życia: szczerze dziękuję Bogu za to, że to nie będzie moim udziałem. Wiem, że kochasz Zacisze, przyładek i ten dom na swój własny sposób i tylko Ty będziesz miała siłę, a tym sAmym konieczną bezwzględność, by je zachować, przynajmniej przez jakiś czas. Możliwe, że nikt nie będzie mógł tego zrobić na dłuższą metę. Ty jesteś silna, Maude. Nie mogłam Cię złamać, tak samo jak nie można było złamać mnie. Pozdrawiam Cię za to. Przepraszam Cię za wszystko przez co musiałaś przeze mnie przejść, ale musiałam wiedzieć, że wytrzymasz.

Opiekuj się Piotrem. Zachowaj to miejsce bezpiecznym dla niego, tak jak i dla siebie samej. Potrzebne mu jest jak powietrze i woda, ale nie zawsze będzie miał siłę, by pozostać i chronić je. Jego ojciec też nie miał. Ale Piotr nie będzie go mógł opuścić, tak samo jak w końcu nie mógł jego ojciec.

Myślę, że dom powinien od Ciebie przejść do rąk Sary Forbes. Widzę w niej to, co widziałam w Tobie, gdy byłaś bardzo młoda, choć nie mogę powiedzieć bym ją bardzo lubiła. Piotruś go nie zachowa, a myślę, że biedna Happy też nie. Będzie to więc musiała być Sara albo podobna do niej kobieta. Przypilnujesz, prawda, żeby Piotruś jej się oświadczył? Ty możesz to zrobić. On zrobi wszystko co powiesz.

Dziękuję Ci za to popołudnie i za wiele rzeczy, Maude. Nie zapominaj nigdy, że Greta Winslow nie jest Ci życzliwa i myślę, że nie zaszkodzi kopnąć ją czasem w siedzenie, po prostu dla zasady".

List był podpisany oficjalnie „Anna Stuart Chambliss” i opatrzony datą. Przeczytałam jeszcze raz ostatnie zdanie i zaczęłam się śmiać, a potem ukryłam twarz w dłoniach i zapłakałam z żalu za moim ukochanym wrogiem.

Bardzo późno tego wieczora, gdy Piotr i Piotruś już przyjechali i gdy przybył ambulans ze szpitala w Castine po Mamę Annę, Piotr pojechał z matką, zaś Piotruś telefonował do Sary, Amy i ja zeszłyśmy do jachtklubu i usiadłyśmy na werandzie.

Bujałyśmy się przez chwilę na fotelach stojących w świetle księżyca. Daleko, na wypunktowanej srebrem zatoce, ciemne wyspy Spectacle i Rybołowów wyglądały w tym świetle jak namalowane, a jeszcze dalej, wyspy Zachodnia, Hog i Fiddlehead zdawały się zawisać w powietrzu a nie tkwić w wodzie. Mrowie gwiazd błyszczało na niebie. Nie wiał nawet najłżejszy podmuch, nie dochodził żaden dźwięk poza skrzypieniem starych foteli na biegunach. Amy wyciągnęła rękę i ujęła moją dłoń.

— Teraz my, wiesz o tym, prawda? — powiedziała.

— Co my? — zapytałam. Miałam pustkę w głowie i byłam tak znużona, że nic do mnie nie docierało, nic nie budziło ciekawości. Jednak ciepło jej ręki przynosiło mi ulgę.

— My na werandzie. My mamy prawo do foteli na biegunach. Nie musimy wstawać by ustąpić starszym kobietom. My przejełyśmy teraz wszystkie przywileje werandy.

— Och, Amy — powiedziałam i łzy napłynęły mi znów do oczu, jak dziś rano, gdy czułam w mojej dłoni inną rękę, martwą. — Och, Amy, to nigdy nie było moim celem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tego popołudnia, z werandy Liberty, usłyszałam po raz pierwszy od wielu lat przesywający, płaczący krzyk rybołowa. Słyszałam go bardzo wyraźnie, mimo że mój słuch od jakiegoś czasu sprawiał kłopot mnie i niewątpliwie mojemu otoczeniu. Ale ten przenikliwy krzyk był wyraźny i bliski, choć głos dziwnie się odbija na wodzie, a mgła, która miała okryć tego wieczora Zacisze, zaczęła się już skradać, tak że nie mogłabym powiedzieć, skąd dochodził. Nie z Wyspy Rybołowów, to wiem. Już dużo czasu upłynęło odkąd rybołowy miały tu gniazdo. Orły, które zajęły ich miejsce to wspaniałe ptaki, ich przepych zapiera dech w piersiach, a kolonia otacza je daleko staranniejszą ochroną niż wszechobecne rybołowy, ale mnie zawsze brakuje tamtych dzikich i wiernych pierwszych osadników. Tyle zniosły, by zachować swoje gniazda i pisklęta; nigdy się nie poddawały i nigdy nie opuszczały gniazd dopóki mogły pozostać. Podziwiałam tę niewzruszoną lojalność rodzinną ponad wszystko. Można życie temu poświęcić, tak jak rybołowy.

Dźwięk sprawił, że poczułam się nagle bardzo szczęśliwa, poczułam ten sam zawrotny przypływ czystej radości jaką pamiętałam z czasów dzieciństwa. Tak, wyraźnie pamiętam, kiedy ostatni raz go odczułam: stałam na polanie opodal zatoki Wappoo któregoś październikowego popołudnia, sama w tej dziwnej ciszy, jaką jesień otacza Równiny, skapane w gęstym, miodowym złocie słońca sączącego się przez drzewa, które właśnie zaczęły przybierać przytłumione metaliczne barwy jesieni. Nie pamiętam co robiłam poza tym, że stałam bardzo spokojnie z zamkniętymi oczami. I nagle porwała mnie tak potężna radość i uniesienie, że musiałam osłonić serce i wstrzymać oddech przed uderzeniem tej raptownej fali szczęśliwości. Łuk złotych ogni rozprysł się pod moimi powiekami, a potem łzy wytrysnęły spod rzęs i popłynęły po policzkach. Nie wiem, co znaczyła ta chwila, ale odmieniła mnie. Poznałam smak pełni radości, której miarą odmierzałam późniejsze doświadczenia. Nic już właściwie nie mogło jej potem dorównać. Niektóre chwile niemal się o nią ocierały, ale żadna nie miała tej siły unicestwienia, zamazywania wszystkiego innego. Zawsze myślałam, że to co człowiek poznaje z Boga musi być do tej chwili

podobne, ale dopóki nie przyszła na mnie i nie rozumiałam jej, nie byłam świadoma braku tej transcendencji. Nie sądziłam, że jeszcze kiedyś to odczuję, ale odczułam — a może coś do niej zbliżonego — tego popołudnia, gdy usłyszałam krzyk rybólowa. Trwała mgnienie ale pozostawiła mnie zarazem wstrząśniętą i ukojoną. To wielki, bardzo wielki dar dla starej kobiety pod koniec jej życia.

Ludzie bardzo starzy mogą ci powiedzieć o spokoju. Walczyli z ciemną, zatapiającą, szarpiącą wnętrzości wiedzą śmierci — ich własnej śmierci — która zwiastuje średni wiek i dociera do miejsca, gdzie znów na ich spotkanie wychodzi dzieciństwo, a wraz z nim ten niewysłowiony skarb, który znają tylko bardzo młodzi i starzy: spokój chwili. Radość z życia takiego jakie co dzień jest mi dane, w pełni i wszystkimi zmysłami. To zadowolenie jest udziałem młodych, gdyż nic jeszcze nie wiedzą o bólu, lęku i przemijalności życia; starych, bo wszystkie te sprawy już są im znane i mogą je znieść tylko trwając w chwili. Słowa *Carpe diem* mogą być sumą całej mądrości świata. Zawsze myślałam, że Horacy musiał być stary gdy jej napisał.

A więc tak, starzy mogą ci powiedzieć o spokoju, ale rzadko o czystej radości i spadło to na mnie jak błogosławieństwo tego popołudnia na skrzydłach rybólowa szybującego gdzieś nade mną. Myślę, że czysta wstrząsająca siła tego doświadczenia związana była z faktem, że to moje własne dziecko przed laty wypędziło rybólowy z Zacisza.

Po śmierci Anny, przecucie zmiany, której ciężenie nad nami wyczuwałam w powietrzu w związku ze śmiercią Miss Charity Snów, urealniło się całkowicie. To dziwne, ale tego lata nigdy nie wiązałam mojego przecucia ze śmiercią kogoś z rodziny, jednak tak właśnie się stało. Piotr był dla mnie ciągle, po tylu latach małżeństwa, uosobieniem najbardziej żywej istoty jaką kiedykolwiek spotkałam, a nikt, myśląc o własnych dzieciach nie dostrzega ciągle zawieszony nad nimi groźby śmierci. Przynajmniej ja nie widziałam. Anna zaś wydawała mi się zawsze po prostu wieczna, nawet w chorobie i kruchości. Dopiero więc później, gdy spojrzałam wstecz zobaczyłam, że ciemność, która na nas spadła tego lata, zagrażała od tamtego dnia. Pośród niej na próżno usiłowałam walczyć z bólem i własną niemocą, zadając sobie w rozpaczy pytanie, co się nam wydarzyło i dlaczego?

Piotr poruszał się w owym czasie po śmierci matki jak automat, twarz miał szarą jak popiół i zamkniętą. Tym razem ja troszczyłam się o jedzenie i picie dla tych, którzy przychodzili wyrazić swój żal — cała kolonia. Otwierałam drzwi i odbierałam telefony, przyjmowałam naręcza ciętych kwiatów, listy i telegrAmy, poklepywałam kruche, pocętkowane dłonie starych kobiet, które były rówieśnicami Anny, uśmiechałam się i dziękowałam młodszym kobietom i mężczyznom, którzy znali ją przez całe życie jako stałą gwiazdę błyszczącą na małym firmamencie. Krystyna Willis przynosiła jedzenie, a Micah drzewo, strzygł trawę i robił zakupy. Nawet Happy, ponura i ciężko poruszająca się w znieawidzonych spódnicach i pantoflach, przez dwa czy trzy popołudnia pełniła obowiązki przy

drzwiach frontowych. Piotruś przyjechał z Bostonu i zajął się wszystkimi szczegółami związanymi ze śmiercią, które tak są wyczerpujące i ciągną się bez końca w małym oddalonym od świata miejscu: świadectwem zgonu, nekrologami w gazetach Nowej Szkocji, telefonami tam i z powrotem pomiędzy przedsiębiorstwem pogrzebowym w Castine a starym przedsiębiorstwem Fitzgeralda w Bostonie, które zajmowało się pogrzebami Chamblissów od niepamiętnych czasów, nabożeństwami, pogrzebem.

Piotr wypłynął na żagle z Parkerem Potterem.

Gdy wrócił do domu prawie po dwóch dniach, stoczyliśmy walkę.

— Jak mogłeś? — zapytałam, bliska też ze zmęczenia, mego nieoczekiwanego żalu i prawdziwego gniewu na niego. Był świeżo opalony od przebywania na wodzie lecz złota ścierń na jego twarzy i ciele pod oczami wydały mi się po prostu oznaką niechlujstwa.

— To było łatwe — odparł sztywno. — Spuszczasz po prostu łódź, ustawiasz grot i płyniesz.

— Wiesz o czym mówię. Gdy umarł twój ojciec, wypłynąłeś na wodę. Gdy Piotruś się urodził — też. Gdy umarła twoja matka — tak samo. Jeśli nie obchodzi cię to, że wszystko robimy za ciebie, mógłbyś choć pomyśleć o starych przyjaciółkach matki. Oni też ją kochali, wiesz przecież.

— Też? — zapytał, jego oczy stały się nagle dzikie i wzburzone jak wody zimą. — Co znaczy to „też”, Maude? Przecież wiesz dobrze, że nigdy jej nie lubiłaś.

Wstrzymałam oddech, jakby mnie spoliczkował. To było nawet gorsze, niż gdyby to zrobił. Łzy napłynęły mi do oczu, usta drżały z bólu i z poczucia niesprawiedliwości.

— Nawet więcej — powiedziałałam próbując powstrzymać drżenie głosu. — Kochałam ją w sposób, o jakim nawet nie wiesz, bo cię tu nie było. A ja zostawałam z nią. Ja się o nią troszczyłam. Może nie byłyśmy w największej przyjaźni, może nawet nigdy nie byłam synową jakiej pragnęła, ale byłam tutaj. I to dzięki mnie mogłeś wypływać na żagle kiedykolwiek zapragnąłeś.

— Dziękuję ci, święta Maude. Niewiele to pomogło, prawda? I tak umarła — wygarnął i teraz nic nie osłaniało bólu w jego twarzy i głosie. To był dalej sięgający, głębszy ból niż ten, którego byłam świadkiem, gdy umarł jego ojciec; tamten to była czysta boleść rozszerzająca się jak ogień. Ten był ciemny, przytępiony, bezgraniczny. Przemienił Piotra. Ta zawężona więź z matką, z której się wymykał tak długo i z taką determinacją, nie zerwała się. Uciekał przed nią przez wszystkie lata jej życia, ale na koniec trzymała go mocno. Mój gniew opadł. Na jego miejsce przyszła udręka z powodu udręki Piotra i lodowaty powiew lęku. Co z nami będzie teraz, z Piotrem i ze mną? Kim będziemy, gdy jej zabrakło na świecie by nas określić?

— Przepraszam cię — powiedziałałam. — To nie ma znaczenia. Jesteś tutaj. Myślałam, że można by odprawić nabożeństwo w miejscowej kaplicy zanim pojedziemy do Bostonu. Prosiłam nowego pastora i obiecał, że odprawi, a Piotruś obszedłby i zawiadomił wszystkich...

— Cokolwiek chcesz — oświadczył. — Ja jednak wracam dzisiejszej nocy. Chcę z nią pojechać do domu. Zatrzymam się w klubie uniwersyteckim.

— Ale... myślałam, że wszyscy pojedziemy jutro południowym pociągiem. Przedstawiciele Fitzgeralda przybędą i zajmą się nią. Prosiłam panią Harris, żeby otworzyła dom i przygotowała wszystko by przyjąć ludzi po nabożeństwie, a Piotruś ma już dla nas bilety...

— Raczaj załatwię to sam, Maude — powiedział nie patrząc na mnie. — Po prostu modlitwy przy grobie. Zadzwoń wieczorem w tej sprawie do doktora Constable'a. Wszyscy też rozumieją, że nie będziemy chcieli nikogo widzieć po nabożeństwie; nie mieszkałem w Bostonie odkąd ukończyłem college, a ty nigdy, i większość jej przyjaciół nie żyje. Hernie może coś później zrobić. Po prostu wydaje się, że tak będzie lepiej.

Spojrzałam na niego.

— Piotrze, to jest moja teściowa. To jest babka Happy i Piotrusia...

— Piotruś może ze mną pojechać — powiedział głucho. — I tak będzie musiał wrócić do banku. Lepiej byłoby, żeby Happy została tu z tobą. Nie wiem, czy mógłbym znieść teraz Happy, zresztą i tak muszę wrócić do szkoły. Pojadę tam zaraz po nabożeństwie.

— Ależ wszyscy rozumieją, jeśli zostaniesz do końca lata — nalegałam czując jak wali mi serce i wysychają usta. — Przecież wiesz, że Charles może się wszystkim zająć przez miesiąc. Piotrze, kochany, weź jeszcze urlop; nie możesz udawać, że to się nie zdarzyło. Przynajmniej daj sobie trochę czasu, żeby się nieco zagoiło. Możesz żeglować, będziemy robić wycieczki, wyjeżdżać.

— Teraz, kiedy już jej nie ma i jesteś wolna? — powiedział i uśmiechnął się do mnie okrutnym uśmiechem. — Nie sądzę, Maude, żeby to było możliwe. Tym niemniej dziękuję ci.

— Dlaczego mi to robisz? — szepnęłam.

— Nie wiem o czym mówisz — odparł Piotr, wyszedł z pokoju i poszedł na górę. Gdy zszedł po dwóch godzinach, był ogolony i ubrany do wyjścia. Obaj z Piotrusiem wyjechali wkrótce z Micahem Willisem, który odwiózł ich na stację w Ellsworth, gdzie ciało Anny miało być umieszczone w zarezerwowanym wagonie. Objął mnie i lekko uściśnął moje ramię, ale nie pocałował. Po raz pierwszy w ciągu naszego wspólnego życia odjechał ode mnie nie zrobiwszy tego. Walczyłam z bólem i łzami, by ani Piotruś, ani Micah Willis nic nie zauważyli i pozwoliłam popłynąć łzom dopiero gdy samochód zniknął na drodze. Ale nie miało to znaczenia, gdyż zobaczyła je Happy, która przybiegła nagle z werandy, gdzie podsłuchiwała z twarzą zmienioną gniewem i czymś, co jak zdałam sobie później sprawę, było udręką, gotowa do ataku.

— Uciekł przez ciebie! — krzyknęła — wypędziłaś tatusia, a mówił, że zostanie; obiecał mi, że zostanie i że będziemy robić różne rzeczy! Mieliśmy żeglować i może miałyby dla nas łódź, tylko dla niego i dla mnie, bo każdy wie, że ty nie możesz żeglować... Och, nienawidzę ciebie i nienawidzę tej głupiej staruchy!

Wiedziałam, że jest zupełnie oślepią łzami, pełna ich po brzegi i wyciągnęłam do niej rękę, przerażona i wstrząśnięta. Wszyscy byliśmy przyzwyczajeni do wybuchów Happy, ale to była wściekłość i żal pasujące do o wiele młodszego dziecka, zaś słowa, które wyrzucała z siebie były słowami dziecka w wieku przedszkolnym. Martwiłam się o nią przez całe lato, ale byłam pełna współczucia dla jej udręki i męczyła mnie moja niemożność uspokojenia jej i uczynienia zadość jej potrzebom. Piotruś był też drapieżnym dzieckiem, walczącym z własną pustką, ale zawsze umiałam go uspokoić i nasycić. Od samego niemal początku, tylko Piotra ramion i serca potrzebowała Happy. I tak samo jak w wypadku Piotrusia, nie umiał temu sprostać. Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego ten mężczyzna, którego miłość, którego cała istota tak bardzo napełniały i uzupełniały mnie, nie mógł nawiązać kontaktu ze swymi dziećmi. Może, pomyślałam teraz, próbując przytulić moje znękanе dziecko, może właśnie dlatego. Ta myśl napełniła mnie nową udręką i poczuciem winy.

Happy wywinęła się z moich ramion i płakała dalej. Dosłownie związała się przede mną w swym cierpieniu i wściekłości, ale nie pozwoliła mi się dotknąć. Dawne uczucie odrzucenia niemocy, które wywoływał zawsze we mnie ogromny, nienasycony głód uczuć u Happy, zalało mnie od nowa, opuściłam ręce i usiadłam w starym wyplatany m fotelu. Nagła nieobecność w moim sercu i w moim domu — tak, w moim teraz domu — dwóch istot, które wypełniały je przez więcej niż trzydzieści lat, zdała mi się otchłanią, w której się pograżam. Nie byłam w stanie wydostać się z niej, by zaopiekować się moim cierpiącym dzieckiem. Och, moje dzieci! Dlaczego oboje urodzili się tak bardzo nienasycony? Dlaczego nie mogłam znaleźć pożywienia dla młodszego, tak zgłodniałego? Dlaczego Piotr nie mógł przynajmniej zauważyć tego, co powoduje jego oddalanie się od niej, nawet jeśli nie potrafił tego zmienić?

Czekałam milcząc, aż wybuch uciszy się na tyle, bym mogła do niej przemówić wiedząc, że mnie usłyszysz. Wiem, że Piotr nie obiecywał jej tego lata ani tego, że zostanie, ani łódki; to były fantazje wyrosłe na podłożu potrzeby. Zdawałam sobie sprawę, że jest bardziej zdenerwowana i przestraszona, niż by to przyznała, nagłą śmiercią wszechobecnej babki. I rozumiałam też, że potrzebę zranienia Piotra, ukarania go, przeniosła, jak często bywało, na mnie. To samo robiła, gdy była zagniewana i zazdrosna o Piotrusia, którego uważała za mego faworyta. Spokój; będę spokojna dopóki ona się nie uspokoi. Zamknęłam oczy.

Płacz stał się teraz powolniejszy, stracił gwałtowność; nastała cisza, która zdawała się rozciągać w nieskończoność. Chciałam otworzyć oczy; za chwilę to zrobię. Za chwilę... Byłam tak bardzo zmęczona...

— I nawet nie możesz nie spać, kiedy do ciebie mówię! — krzyknęła Happy i wybiegła z domu trzaskając drzwiami. Nim doszłam do frontowej ścieżki, zniknęła mi z oczu; słyszałam jak jej buty na gumowych podszewkach klapią po ścieżce urwiska, biegnącej do plaży pod Pięknym Brzegiem. Pobiegłam za nią, ale zawrócił mnie dzwonek telefonu. Stanęłam, niezdecydowana, a potem wróciłam do domu i podniosłam słuchawkę.

Powinłam była pozwolić by dzwonił.

Happy była potem przez dłuższy czas zupełnie poza zasięgiem mojej kontroli. Po prostu znikwała na długie okresy, nie opowiadając się gdzie idzie. Gdy kilka razy wróciła do domu z jakiejś wyprawy rowerem późno po zapadnięciu zmroku, a ja tymczasem objeżdżałam samochodem lotnisko pytając każdego kto — sądziłam — mógłby ją widzieć i byłam o krok od wezwania szeryfa, zamknęłam rower w garażu i schowałam klucz. Po wielkim napadzie złości i trzech dniach daśów, zdawało się, że przyjmuje karę z odrobiną pokory. Zapytała czy nie mam nic przeciwko temu, by spędziła trochę czasu z Francie Duschesne, siostrzenicą Krystyny Willis. Francie, powiedziała, uczyła się tego lata pikować i zaproponowała, że ją nauczy.

— Zdaje mi się, że to mogłoby być zabawne — powiedziała. — I nie ma z kim spędzić ani minuty czasu na lotnisku. Poza tym ci straszni Freddie i Julia mówią, że każdy tutaj, kto nie ma łodzi to syf, i myślę, że mnie mają na myśli.

Spojrzała na mnie z ukosa, ale nie dałam się wciągnąć w dyskusję o łodzi.

— Myślę, że będzie cię to bawić — powiedziałam, odsuwając jej z twarzy jasny kosmyk włosów. Uśmiechnęłam się. Jej kształty wypełniały się szybko tego lata, zmieniała się nagle z dziecka w kobietę. Z okrągłości jej twarzy zaczęły się wyłaniać wysokie kości policzkowe Piotra, a pełne piersi rozwijać się równie wcześnie jak u mnie. Zastanawiałam się, czy jej to przeszkadza, tak jak przeszkadzało mnie. Na pewno wraz z dojrzałością fizyczną przyjdzie jakieś uspokojenie umysłu; może to był właśnie początek.

— Pomyślałam, że gdybyś pozwoliła, wzięłabym tam z sobą rower. Rama do pikowania jest w stajni za warsztatem Willisów, tam jest bardzo ciepło. Nie wrócę późno, przyrzekam.

Zawahałam się. Lubiłam Francie Duschesne; była córką młodszego brata Tiny, Clovisa, surowego, staroświeckiego ojca, który trzymał córkę mocno w ryzach. Mając czternaście lat, Francie przypominała mi siostrzenicę Micaha, Polly, gdy była w tym samym wieku, choć nie było między nimi pokrewieństwa. Była ładna, zdolna i inteligentna, ale bardzo nieśmiała więc pomyślałam, że może jej dobrze zrobić żywość Happy, a zaś Happy przykład jej dobrego zachowania. Nie lubiłam jednak jej starszego brata, Jackie. Był przebiegły i unikał patrzenia w oczy. Był przedwcześnie dojrzały i sprawiał niemało kłopotu we wsi: chodziło głównie o drobne przypadki wandalizmu i rozwydrzenie. Pracował w warsztacie szkutniczym z Micahem i Kalebem. Tina powiedziała mi na początku lata, że Micah wziął go do warsztatu by oddać przysługę Clovisowi, ale bała się, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

— Jest chytry i niezdolny — mówiła. — Cło vis nie chce tego widzieć, a Micah tego nie zniesie. Martwię się.

Nie podobało mi się, że Happy znajdzie się w pobliżu niego. Ale z pewnością pikowanie — w stajni, pod okiem Micaha — nie mogło być

groźne. Wiedziałam, że czuje się osamotniona na lotnisku i że brak jej ojca i babki.

— Dobrze — powiedziałam — ale proszę, kochanie, wróć zanim się zrobi ciemno. I nie przeszkadzaj ludziom w pracy w warsztacie.

— Nie interesuje mnie idiotyczny warsztat — odparła.

Wyjeżdżała więc co rano na rowerze i wracała wieczorem, opowiadając o ściegach i formach; moja nieufność zaczęła stopniowo opadać i spokojnie pograżyłam się w ciszy starego domu jak w chłodnej wodzie. Wykonywałam te same zajęcia, które wykonywałam w ciągu tych wszystkich długich letnich sezonów, słuchając poleceń Mamy Anny, albo, później, pod jej surowym wzrokiem. Gromadziłam jedzenie, myłam, polerowałam srebro i porcelanę; pisałam listy i zajmowałam się ogrodem, składałam wizyty i wywoziłam stare panie na wycieczki; trochę — i źle — grałam w brydża i spędzałam popołudnia na plaży pod Pięknym Brzegiem w towarzystwie Amy. Czytałam, słuchałam muzyki, chodziłam o szybko zapadającym zmierzchu na koktajle a do mnie z kolei przychodzili inni. Od czasu do czasu grałam rano w tenisa z dziewczętami z Ogrodu Mary. Przygotowywałam kolacje dla Happy i siebie, a czasem też dla Micaha i Tiny; przychodzili wieczorami tak jak zawsze. Jedząc śmiałyśmy się razem i słuchaliśmy muzyki.

Tylko, że teraz robię to dla siebie. W moim domu. I jeśli Mama Anna była wciąż niezmiennie z nami, tak jak wówczas gdy leżała w łóżku o dwie ściany dalej, to nie była to obecność widma. Jeśli mogło mi brakować i brakowało naprawdę tej kobiety, którą prawdziwie poznałam dopiero tego lata, to jednak trudno mi było tęsknić za tą, która tak bardzo niepokoiła otoczenie. W sierpniu poprosiłam Micaha Willisa by wyciął sporo krzaków bzu i odtąd dom zalany był światłem zarówno dosłownie jak i w przenośni.

— Tak — mówiłam do Piotra gdy telefonował, raz czy dwa razy w tygodniu — wszystko jest w porządku. Pogoda jest piękna, ułożyłam sobie codzienne zajęcia, i myślę, że sprawią mi przyjemność. Happy zaprzyjaźniła się z siostrzenicą Tiny i uczy się pikować; możesz sobie wyobrazić?... No tak, nie śmiej się, możesz sobie zaoszczędzić kosztów łodzi... ja też tęsknię za tobą. Obie tęsknimy. Czekamy z utęsknieniem i spodziewamy się ciebie w weekend w Dniu Pracy.

Nie mówiłam mu o moich kłopotach z Happy. Zadzwoił w dzień po pogrzebie matki bardzo przepraszając za swoje zachowanie. Byłam wdzięczna za to, że znów do mnie powrócił i tak nieszczęśliwa z powodu nieukojonego bólu, który wyczuwałam w jego głosie, że po prostu nie mogłam go już niczym martwić. I w głębi serca wiedziałam, że zrobię wszystko by uniknąć w jego głosie odowatego dystansu, który tak często przewyżniał zachowanie Happy. Uporam się z nią sama. Już się uporałam.

W pierwszą niedzielę sierpnia, trochę po czwartej, zakurzony niebieski sedan szeryfa zjechał przed Liberty i John Gray z nieporuszoną twarzą wysiadł z niego ciężko. Wyciągnął z tylnego siedzenia Happy i poprowadził ją przed sobą ścieżką do drzwi. Czytałam na werandzie, na pół

zatopiona w niedzielnej martwocie i gęstym spokoju, poprzedzającym burzę. Wyszłam na ich spotkanie, serce moje uderzało powolnymi, chorymi, głębokimi uderzeniami. Twarz Happy była kredowo biała, a nos i oczy spuchnięte i czerwone od płaczu.

— Co się stało? — słowa z trudem przechodziły mi przez gardło. — Czy jest ranna? Czy był jakiś wypadek?

— Nie, nie jest ranna — odparł John Gray. — I, myślę, że nie nazwałaby pani tego wypadkiem.

Jego głos był tak samo obojętny jak twarz, ale widziałam, że z trudem oddycha i coś, co — nie do wiary — wyglądało jak gniew, rysowało się w jego wzroku. Znałam go od wielu lat, odkąd przejął służbę od szeryfa Perkinsa. Był to burkliwy, ale wesoły mężczyzna, którego głos huczał często, gdy witał sąsiadów lub śpiewał w chórze w kaplicy w niedzielne poranki. Ale teraz nie huczał. Z trudem go rozumiałam. Patrzyłam na Happy, która zaczęła płakać i zakryła twarz rękami.

— Co? — zapytałam, pragnąc bardziej niż czegokolwiek na świecie nie słyszeć jego odpowiedzi.

— Złapałem ją z Francie i Jackie Duschesne'ów na Wyspie Rybołówów — mówił John Gray. — Dostałem wiadomość przez radio z łodzi przepływającej zatokę. Zanim tam dotarłem znalazli gniazdo i poszarpali na strzępy. Odłamkami skał; zgromadzili ich cały stos. Musieli dokończyć własnymi rękami. Ptaki odleciały, z wyjątkiem jednego, którego trafili kamieniem. Wyglądał prawie jak dorosły, ale jeszcze za dobrze nie latał. Zastrzeliłem go. Wie pani. Wdrapałem się tam kiedyś i zmierzyłem to gniazdo, gdy ptaki odleciały na zimę. Miało prawie pięć stóp obwodu. Dwie i pół stopy wysokości. Dodawały do niego co roku, odkąd powstało, a kiedy to było, już nikt nie pamięta. Jeszcze nie wiem, jak można ich ukarać, oczywiście nie dziewczęta. Pewnie zatrzymam chłopaka. To się już zdarzało. Ale gdyby ktoś tutaj żądał ukarania, nie będę powstrzymywał. Oddałem tamtych dwoje Clovisowi. Na pani miejscu trzymałbym ją w ukryciu. Te ptaki dużo znaczyły tutaj dla ludzi.

Odrzucił się i poszedł szybko ścieżką, a ja zostałam chora z przerażenia, patrząc na moje dziecko.

— Dlaczego? — wyszeptalam. Dzwoniło mi w uszach, a spokojne powietrze drżało wokół mnie.

— Zmusili mnie — jęczała Happy. — Jackie i Francie mi kazali. Powiedzieli, że nie będą się więcej ze mną przyjaźnić jeśli tego nie zrobię. To nie była moja wina.

Gniew, tak mrozący i straszliwy zalał mnie jak woda, że poczułam zbliżające się torsje. Mogłabym potrząsnąć nią w tym momencie tak mocno, że straciłaby przytomność; mogłabym zrobić wszystko, żeby tylko zamknąć jej usta. Więc ta gracja i wierność, ta dzikość, duma, piękno i pozycja...

— Idź na górę do swojego pokoju i nie przychodź tu — powiedziałam, dosłownie zmuszając się, by słowa przeszły mi przez zaciśnięte zęby. Usta mi się trzęsły.

— Zostań tam dopóki nie powiem, że możesz zejść. Przyniosę ci kolację, ale nie chcę cię widzieć do końca dnia. Nie obchodzi mnie kto ci powiedział. Nie ma żadnej siły na ziemi, która mogłaby zmusić człowieka do zrobienia tego, co ty zrobiłaś tym ptakom. To najpotworniejsza rzecz o jakiej kiedykolwiek słyszałam. Wiem, że kiedyś będzie to poza nami, ale teraz nie widzę możliwości.

— Och, nienawidzę cię — łkała Happy. — Zmusiłaś mnie do tego tak samo jak oni. Ja chcę mojego tatusia; tatuś nie pozwoliłby ci tak do mnie mówić!

— Twoje pragnienie szybko się spełni, gdyż zaraz do niego zadzwonię — powiedziałam i odwróciłam się od niej.

— Nie! Nie dzwoń do tatusia! Nie dzwoń do tatusia!

Jej głos wznosił się i wznosił, aż do granic hysterii. Słyszałam w nim rozpacz i strach, i skrajną odrazę do siebie samej, która może nie opuścić jej do końca życia. Moje słowa były okrutne, zraniły ją do krwi. Nie dbałam jednak o to, gdy je wypowiadałam.

— Czy wiesz, co twój ojciec mi powiedział zanim wyjechał pierwszy raz? — zapytałam. — Popłynęliśmy, żeby zobaczyć rybołowy a on powiedział: „Zawsze słyszałem, że zabicie rybołowa przynosi nieszczęście, ale dla mnie to jest po prostu grzech”. Myślę, że będzie bardzo zmartwiony, że do tego doszło, Happy. Idź już.

— Ale w każdym razie przyjedzie, prawda? — łkała wchodząc na schody. — Czy chce tego czy nie, będzie musiał teraz przyjechać!

Zamówiłam rozmowę, a potem usiadłam na werandzie i siedziałam tam do zapadnięcia zmroku. Wyrzuciłam z głowy straszne, zalane słońcem obrazy i pozwoliłam by wypełniła ją sprowadzająca rojenia biel. Słyszałam jak telefon długo dzwonił, ale nie poruszyłam się by go przyjąć. W pewnej chwili, wieczorem, przysłała na werandę Amy, stanęła przy mnie i ujmując w dłonie moje ręce powiedziała:

— Dowiedziałam się przed chwilą. Tak mi przykro, Maude. Ten Jackie zawsze mnie trochę przerażał... To przejdzie. Lato już się prawie kończy. Zabierz ją wcześniej do domu, a kiedy przyjedziemy w przyszłym roku, to już będzie należało do przeszłości i nikt o tym nie wspomni. Wiesz sama, że nie będą o tym mówić. Przecież zdajesz sobie sprawę, że nikt nie uważa żeby to mogła być w najdrobniejszej nawet mierze twoja wina.

— Wszyscy już teraz wiedzą — powiedziałam bez zycia. Nie było co do tego wątpliwości.

Przez chwilę milczała, a potem odpowiedziała:

— Tak. Myślę, że wiedzą. Czy Piotr przyjedzie? Czy chcesz żebym z tobą została?

— Nie, ale dziękuję ci — odparłam i uściśnęłam jej rękę. — Będzie tu za jakąś godzinę. Ja... potrzebuję spokoju. Och, Amy. Nasze dzieci.

— Tak — powiedziała. — Nasze biedne dzieci.

Piotr przyjechał tuż przed północą. Jego twarz wyglądała tak jakby ciało oddzieliło się od kości. Wyobrażałam sobie, że tak będzie wyglądał, gdy będzie bardzo stary lub umierający. Nie wiedziałam czy czuje gniew

na mnie tak samo jak na Happy. Jeśli tak, przeszedł mu, gdy zobaczył moją twarz. Musiała być równie straszna jak jego. Jęknął, podszedł do mnie, otoczył mnie ramionami i ukrył twarz w moich włosach. W udreće kołysaliśmy się w przód i w tył. Wreszcie podniosłam głowę.

— Można by pomyśleć, że ktoś umarł — powiedziałam ochryple.
— Z pewnością nie jest aż tak.

— Tak się czuję, jakby naprawdę ktoś umarł — powiedział. — Chciałbym niemal...

— Piotrze!

— Czy ona jest w swoim pokoju?

Skinęłam głową.

— Piotrze, może byłoby lepiej, gdybyś poczekał do jutra. Byłam bardzo surowa dla niej i jest teraz przerażona na myśl o tym, co ty jej powiesz. Chyba naprawdę jest tak jak mówi, że Jackie Duschesne zmusi ją do tego.

Popatrzył tylko na mnie.

— Dobrze — powiedział. — Nie wyobrażam sobie, żeby spała.

Nigdy nie dowiedziałam się dokładnie co jej powiedział. Słyszałam jak krzyknęła, raz, i przyszła mi do głowy szalona myśl, że może ją uderzył, ale oczywiście nie uderzył jej, nie mógł. Podniosłam się, żeby do niej iść, a potem usiadłam z powrotem. Było oczywiste, że nic, co bym powiedziała, co mogłabym powiedzieć, nie dotrze do Happy. Przynajmniej mogła słyszeć Piotra. Wyteżałam słuch, ale żaden dźwięk nie dochodził z góry. Myślałam o małym, trzęsącym się ze złości, wywodzącym trele, trajkoczącym jasnowłosym dziecku jakim była, wlokącym się bez końca śladem Piotra, jak mała łódka za jachtem żaglowym. Och, moje dziecko, powiedziałam bezdźwięcznie czując słony obrzęk w gardle. Czego nie byliśmy w stanie ci dać, ani ja, ani on? Czego by to wymagało? Czego będzie wymagało?

Piotr, gdy wrócił, niewiele mówił o swojej rozmowie z Happy, powiedział tylko, że obiecała spełnić warunki, które jej postawił. Pierwszy, że od rana obejdzie wszystkie domy i przeprosi. Następnie, że nigdy już nie zobaczy ani nie będzie rozmawiać z Jackiem i Francie Duschesne. Wróci do Northpoint jak tylko się spakujemy i zamkniemy dom i nie będzie brała udziału podczas tej zimy w żadnej działalności szkolnej, ale będzie wracała do domu zaraz po lekcjach oraz że nie będzie wychodziła nigdzie wieczorami. Jej wypłacana przez nas pensja będzie odkładana przez pół roku na fundusz, który zostanie przekazany Agencji Ochrony Dzikich Zwierząt Stanu Maine na cele przywrócenia warunków życia rybołówów na Wyspie Rybołówów. Wreszcie, napisze list z przeprosinami do mieszkańców miasteczka i wyśle go sama do Johna Graya, a Piotr poprosi by odczytał go głośno w niedzielę w kościele.

— Dzwoniłem do niego z Northpoint — mówił Piotr. — Powiedziałem, że wypiszę zaraz czek na pokrycie szkód i grzywny, jakie wyznaczysz. I powiedziałem też, że Happy zostanie odpowiednio ukarana.

— A co on na to?

— Powiedział, że nie sądzi by jakieś koszty wchodziły w grę; co by to zresztą dało? I nie chciał słyszeć o wysyłaniu czeku. Nie dziwię mu się. Żadne pieniądze nie naprawią tego co się stało. Wątpię, żeby ptaki kiedykolwiek wróciły. Na ogół nie wracają, gdy nie ma gniazda.

— O Boże — powiedziałam ze zmęczeniem. — Jakie to straszne dla wszystkich. Co za koszmar. Ale przynajmniej powiedziałaś co miałeś do powiedzenia i ona musi coś konkretnego zrobić. To bardzo trudne warunki. Musisz wiedzieć o tym jak bardzo jest zmartwiona. Jeśli potrafi spełnić twoje warunki, możemy jej przebaczyć i zapomnieć.

— Czy możesz to zapomnieć, Maude? — zapytał.

— Myślę, że nie. Ale przynajmniej przebaczyć.

— Nie — powiedział Piotr. — Tego też nie. Będziemy dalej żyli razem i będzie to pewnie dobre życie, ale nie przebaczę jej.

— Nie powiedziałaś jej tego?!

— Powiedziałem. Właśnie to.

— Kochany, proszę, idź do niej i...

— Nie będę jej okłamywał, Maude. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł to przebaczyć. Nie teraz. Może, kiedy zrobi co ma do zrobienia. Zobaczmy, jak będzie jutro wyglądało przeproszenie.

Ale następnego ranka nie było przeproszania. Obudziliśmy się późno. Świat wydawał się płaski, biały i głuchy w słonej mgłę, a Happy nie było.

Nie było jej nigdzie w pobliżu. Telefonowałam do wszystkich, którzy mogliby ją widzieć na przestrzeni kilku mil wokół Zacisza. Piotr jeździł samochodem, posuwając się cal po calu wzdłuż drogi, która otaczała pętla przylądek wokół; wołał, trąbił klaksonem, zapalał światła. Gdy wrócił był zachrypnięty i przemoczony, drżał z zimna i lęku. Temperatura spadła w nocy o dwadzieścia stopni. Koło czwartej, on, Parker Potter, mężczyźni od Stallingsów i nawet Freddie Winslow byli w każdym po kolei domu na lotnisku i w miasteczku przeszukując strychy i stajnie, przybudówki i przystanie. O piątej zawiadomiliśmy Johna Graya. Do siódmej wszyscy już szukali Happy, a oddziały wielu szeryfów złożone z mężczyzn i chłopców z naszego miasteczka i z otaczających osiedli przeszukiwały mgłę. Nie zginęła żadna zacumowana łódka z żadnego osiedla ani jachtklubu, poszukiwania nie objęły więc tej nocy morza; zresztą i tak nikt nie wyruszałby łodzią w taką mgłę. Ale wszyscy myśleliśmy o tym i o niewidocznym w mgłę czarnym milczącym morzu leżącym tuż obok nas. Wiem, że myśleliśmy. Myśleliśmy o nim, o jego głębi, ciemności i lodowatości. Myśleliśmy o bezgranicznych morzach wokół Wyspy Rybołówów. Tej nocy morze płynęło w mych żyłach zamiast krwi, czarne, lodowate i martwe.

Amy przyszła do mnie, oczywiście. Wszystkie kobiety na lotnisku, które mogły zostawić dzieci, przyszły. Krystyna wynurzyła się z mgły pogodna i czuła, z wielkim kosztem jedzenia, z ogromnym dzbanem pełnym kawy i przez całą tę pierwszą noc miała gorącą kawę i kanapki dla wychodzących na poszukiwania mężczyzn i czekających kobiet. Micach przyniósł drewno, rozpalili ogień, przykucnął przede mną, gdy siedziałam

w fotelu z uszakami należącym do Anny i popatrzył mi uważnie w twarz. Nie dotknął mnie.

— Ona nie jest w wodzie, Maude — powiedziała. — Nie może być. Wiedzielibyśmy o tym, wzięłaby łódkę. Znajdziemy ją. To może potrawić, ale znajdziemy ją. Nie mogła daleko odejść. Mgła się podniesie o świcie.

Spojrzałam w ciemną twarz i mogłam powiedzieć to, czego nie mogłabym powiedzieć Piotrowi ani nikomu innemu tej nocy.

— Ja to zrobiłam. To moja wina. Nie powiedziałam jej, że wszystko jest już w porządku i nie zmusiłam do tego Piotra. Nigdy nie kochałam jej tak jak Piotrusia, a ona o tym wiedziała i to ją zabiło.

Dotknął wtedy lekko mego policzka.

— Nie zabiła jej pani. Piotr też jej nie zabił. Ona żyje. Proszę tego więcej nie mówić. Nic nie możemy poradzić na to kogo kochał, ani jak bardzo. Wszystko się wyjaśni gdy pojaśnieje i znajdziemy ją, albo ona sama wróci. Trzeba czekać na światło, Maude.

Światło przyszło wraz z porankiem. Mgła się roziała. Ale Happy nie wróciła. O siódmej wszystkie łodzie żaglowe, które miały kapitanów wypłynęły, wszystko zostało spuszczone na wodę a Straż Przybrzeżna przybyła w trzech lśniących niebiesko-białych kutrach. Micah popłynął pierwszym z nich. Piotr i Parker drugim i trzecim. Zdawało się, że Piotr i ja nie jesteśmy w stanie z sobą rozmawiać; nie mogliśmy nawet patrzeć sobie w oczy. W jego oczach widziałam tylko brak przebaczenia, który popchnął Happy w mgłę. Po raz pierwszy w życiu zrozumiałam, że utrata dziecka może rozdzielić mężczyznę i kobietę. Nie rozumiałam tego przedtem. Nie wytrzymał Amy tego, pomyślałam z ostrą wyrazistością. Umrzemy dla siebie, jeśli ona umarła.

Koło południa odrętwienie spowodowane pierwszym lękiem zelżało i czułam jak histeria podchodzi mi do gardła i oczu, grożąc, że zaleje mnie tak, jak ciemnoniebieskie morze oblewa Liberty. Wiedziałam, że gdy raz jej się poddam, nie wyzwolę się już nigdy. Popatrzyłam tępym wzrokiem na pokój i zgromadzony w nim tłum kobiet, szukając po omacku o co by się zaczepić. Pierwsza twarz, którą zobaczyłam wyraźnie to była twarz Grety Winslow. Spojrzała raz tylko na mnie, przebiegła szybko przez pokój, chwyciła mnie za ramiona i postawiła na nogi. Zobaczyłam, że Amy drgnęła i zrobiła ruch w naszym kierunku, ale Greta potrząsnęła głową i Amy pozostała na miejscu.

— Słuchaj, Maude — powiedziała ostro. — Musisz to zrobić. Masz się trzymać jeszcze przez piętnaście minut. Możesz to zrobić. Każdy może się opanować przez piętnaście minut. A potem minie godzina i powiesz: „Będę się trzymać jeszcze przez godzinę. Każdy może to zrobić”. Słyszysz mnie?

— Tak — potwierdziłam. I trzymałam się przez cały ten morderczy dzień. Trzymałam się przez godzinę. A potem jeszcze przez jedną godzinę. A potem jeszcze. Pamiętam, że w pewnej chwili powiedziałam w oszołomieniu do Grety:

— Dlaczego walczymy?

— Nie wiem — odpowiedziała.

O siódmej przyszedł szeryf mówiąc, że łodzie wróciły, ale wypłyną znów następnego dnia o świcie. O ósmej wrócili Piotr i Parker, bladzi i milczący, a kobiety podały im kawę, kanapki i brandy i potem niektóre z nich poszły do domu, do swoich rodzin. O dziewiętej Micah przyniósł jeszcze raz drewna, uściśnął mnie bez słowa za ramiona i zabrał Krystynę.

— Popłynęliśmy w górę aż do Castine i w dół do Haven — powiedział. — Nic nie widzieliśmy. To najlepszy znak, Maude. Jutro przeszukamy wyspy Islesboro, Sarnią i Sarenki. Ale nie znajdziemy jej w morzu. Już byśmy ją znaleźli, gdyby tam była...

Mogłam tylko skinać w milczeniu głową. Jeszcze jedna godzina, jeszcze jedna więcej...

Micah poszedł zajrzeć do warsztatu. Kaleb zajmował się wszystkim przez cały dzień. Wiedziałam, że noga Jackie Duschesne'a nie postanie tam nigdy więcej.

Wrócił w pół godziny później niosąc w ramionach brudną, szlochającą Happy.

— Znalazłem ją pod brezentem na wielkiej łodzi Freddie Winslowa, którą mam naprawiać — powiedział ochrypłym głosem. Happy miała głowę wciśniętą w jego szyję i nie patrzyła na nas. Micah spojrzał na mnie i na Piotra, a potem postawił ją na ziemi. Chwiała się, osłepiona, jej twarz była mokra, brudna i szara, ubranie pokryte brudem. Zrobiła krok w moim kierunku, otworzyła ramiona czując jak kolana uginają się pode mną; zmieniła kierunek i pobiegła do Piotra. Podłoga podniosła się i zawirowała dokoła mnie, poczułam, że Micah Willis podnosi mnie i trzyma jak to już robił dwukrotnie w chwilach ciężkich prób. Zanim ogarnęła mnie mdła, brzęcząca ciemność zdażyłam jeszcze zobaczyć, że Happy wyciąga swe brudne ręce do Piotra, a on odwraca się powoli i wychodzi z pokoju. Ostatnie co słyszałam, gdy wzrok już mi się zaćmił, był dźwięk zagubionego płaczu Happy, gdy on wyszedł.

Potem próbowaliśmy postępować z nią inaczej. Zabraliśmy ją do Northpoint i choć byliśmy nieugięci jeśli chodzi o warunki, które ustalił dla niej Piotr, spędzaliśmy z nią tak dużo czasu, jak tylko było można. Ograniczyliśmy w tym celu nasze obowiązki do minimum. Dyrektor dużej, rozwijającej się szkoły prywatnej jest bardziej związany obowiązkiem niż ktokolwiek inny. Musi być całkowicie włączony w życie szkoły, grupy wychowanków, zespołu wykładowców, wspólnoty i szerszego środowiska, z którego hojności i funduszy może czerpać. Piotr złożył wszystko co mógł na barki Charlesa Corwina, swego zastępcy i spędzał prawie każdego wieczora po obiedzie przynajmniej godzinę z Happy, choć próby te coraz bardziej go udręczały i wycieńczały. Ja skróciłam moje nie kończące się posiedzenia komitetów, funkcje społeczne związane ze szkołą i uświęcone rytuały Northpoint po to, by być w domu każdego popołudnia gdy wracała ze szkoły. Była to pobliska szkoła dzienna, w której prowadzono szeroką pozaprogramową działalność dla wygody uprzywilejowanych uczniów, lecz Happy nigdy nie włączała się w to specjalnie, tak że nie

sądziłam, by odczuwała ich brak. Nic nie mówiła. Happy była tej jesieni i zimy milcząca i zamknięta w sobie jak nigdy w swym dotychczasowym życiu.

Przeglądałam jej domowe zadania, robiłam kanapki, zabierałam na zakupy i na poranki filmowe do Laconii, ścierałam jej piękne gęste, prawie białe blond włosy, tak, że nosiła tej jesieni krótką, do brody, błyszczącą fryzurę, w której było jej bardzo do twarzy. Kupiłam jej trochę kosmetyków do makijażu i pierwszy — od dawna potrzebny — biustonosz. Piotr podarował jej na urodziny kilka bliźniaczych kompletów ładnych, grubych, kaszmirowych swetrów i zapłacił za lekcje konnej jazdy na wsi, gdy powiedziała, że to by jej się podobało. Kupił jej piękny tweedowy żakiet do konnej jazdy i błyszczące angielskie buty na Gwiazdkę. Wyglądała w tym tak dorosła, że serce mi się ścisnęło. Nie miała wielkiego apetytu odkąd wróciliśmy z Zacisza i koło Bożego Narodzenia była szczuplejsza niż kiedykolwiek przedtem, tak, że jej ciężkie piersi i krągłe biodra uwydatniły się wyraźnie przy szczupłej talii. Przy kościach policzkowych Piotra, które uwidoczniała nowa fryzura, stała się, jak zauważyłam nagle, interesującą młodą kobietą. Jeśli nawet nie piękna, to atrakcyjną w jakiś bujny i trochę kłopotliwy sposób. Wyraz jej twarzy był na ogół nieczuły lub nadąsany, ale nie było w tym teraz uporu ani nic irytującego, jak wówczas gdy była kłótliwym dzieckiem. To było po prostu prowokujące. Piotr i ja popatrzyliśmy na siebie nad jej głową, gdy demonstrowała przed nami strój do konnej jazdy.

— Niemal chciałabym ją zamknąć dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat — powiedziałam tego wieczora przed snem. — Wygląda jakby już miała dwadzieścia jeden. Trzeba będzie kijami odganiać chłopców.

— Jak dotąd nie okazuje żadnego zainteresowania nimi — powiedział Piotr. — Nie martwiłbym się. Jaki chłopak w jej wieku spróbuje się przystawić do niej przy tej jej kamiennej twarzy?

— Nie myślę o chłopcach w jej wieku. Z nimi możemy sobie poradzić. Myślę o starych rozpustnikach, osiemnastoletnich i starszych. Spójrz na to ciało, wygląda jak to, co nazywaliśmy nimfetką.

Piotr uśmiechnął się szeroko.

— Wygląda jak twoje, kiedy cię poznałem — powiedział. — Właściwie wygląda jak twoje teraz. Tu jest jeden stary rozpustnik, który ma zamiar podkraść się do ciebie za pięć minut.

— Poczekaj aż zostaniesz zaproszony. Uważasz więc, że nie ma powodu do zmartwienia?

— Przynajmniej do czasu, aż ona zacznie wysyłać sygnały — odparł. — Myślę, że masz aż nadto czasu, by się niepokoić. Czy jestem zaproszony?

— Jesteś zaproszony.

Po upływie wyznaczonych sześciu miesięcy Happy napisała i podpisała krótki i, jak zwróciłam uwagę, pełen godności list do Agencji Ochrony Dzikich Zwierząt stanu Maine w sprawie rybołówów i załączyła czek na sumę w wysokości jej pensji za ten okres. Ojciec zabrał ją do miasteczka, by

go wysłała i by to uczcić kupił jej lemoniadę w drogerii a potem zjedliśmy we troje obiad w gospodzie w Northpoint.

— Bardzo jestem z ciebie dumny, Happy — powiedział do niej Piotr przy potrawie z homarów, którą zawsze bardzo lubiła. Tego wieczora zaledwie jej tknęła.

— Dziękuję — powiedziała unikając jego wzroku.

— Zachowywałaś się jak koń kawaleryjski i bardzo dorosła młoda dama — powiedziałam. — Myślę, że możemy znieść twoje ograniczenia czasowe.

Podniosła głowę i spojrzała na mnie oczami Piotra, a potem przeniosła je na ojca.

— Czy przebaczyliście mi? — zapytała.

— Och, kochanie, oczywiście, że przebaczyliśmy — odpowiedziałam szybko i serdecznie, a Piotr skinął głową.

— Uporałaś się z sobą bardzo dobrze, Hap — powiedział.

— I zapomnieliście o tym? — zapytała. Nie patrzyła na mnie.

Piotr odważemnił jej spojrzenie i przez długi czas nic nie mówił. Och, proszę, powiedziałam bezgłośnie.

— Skłamałbym, gdybym powiedział, że tak, Happy — rzekł wreszcie.

— To nie jest rzecz, którą się zapomina. Czy przebaczenie to nie dość?

— Nie — odparła Happy. — Nie sądzę, żeby to wystarczyło.

Nie mówiliśmy już o tym więcej. Happy była spokojniejsza niż zazwyczaj. Pod koniec lutego przyszała do nas, gdy piliśmy drinka przed kominkiem i powiedziała, że chciałaby się przenieść do szkoły Miss Cawthorne na peryferiach Providence.

— Mają najlepsze możliwości do konnej jazdy na Wschodzie — zachwalała. — Można tam mieć konia, jeśli się chce. Myślę, że zaoszczędzę na konia; zanim skończę szesnaście lat będę miała tyle, że to wystarczy, jeśli to nie będzie jakaś nadzwyczajność. Mam nadzieję, że mi pozwolicie. Naprawdę bardzo bym chciała.

— Ojej, kochanie — powiedziałam w zakłopotaniu. — Sądzę, że możemy o tym pomyśleć. Do jesiennego kwartału jeszcze daleko.

— Chciałabym zacząć od wiosennego — powiedziała spokojnie.

— Zaczyna się za niecały miesiąc. Mają inaugurację, wiem o tym i myślę, że mnie przyjmą, skoro tatuś jest dyrektorem szkoły i wszystko razem. Już do nich pisałam w tej sprawie. Wiem, że to będzie drożej kosztowało, z utrzymaniem, ale mogę podjąć jakąś pracę. W sklepiku szkolnym, jako kelnerka we wspólnej stołówce... Zająłam się tym też. Nie musicie się o mnie martwić. Tam są same dziewczęta i jest bardzo surowo. Nie będę miała innego wyboru tylko się dobrze zachowywać.

Serce mi uderzyło boleśnie, spojrzałam na Piotra. Mimo woli przymknął oczy.

— Nie sprawiałaś żadnych kłopotów w tym roku, Punkin — powiedział. — Nie ma zastrzeżeń.

— I nie będę nikomu przeszkadzać — ciągnęła Happy. — Wiem, że oboje musieliście zrezygnować z wielu rzeczy, żeby być ze sobą. Nie chciałabym żebyście znów musieli to robić. Czuję się strasznie.

- Bardzo nam było z tobą dobrze, dziecino — powiedziałam.
- Stałaś się inną kobietą — dorzucił Piotr, uśmiechając się smutno. Popatrzyła tylko na niego. Potem powiedziała:

— Mam nadzieję, że dacie mi niedługo znać. Naprawdę chciałabym tam być.

I poszła do swego pokoju.

Pozwoliłszy jej w końcu. Ja byłam temu przeciwna: była tak młoda, a ja byłam jednocześnie zaniepokojona i zadowolona ze zmiany, jaka się w niej dokonała w ciągu jesieni i zimy, sądziłam też, że byliśmy dla niej zbyt surowi. Ale niewątpliwie panowała nad sobą bardziej niż kiedykolwiek, uwielbiała konie i jazdę konną, a szkoła Miss Cawthorne miała od dawna w tej dziedzinie sławę. Jak zauważył Piotr, z promocją z tej czcigodnej uczelni była już właściwie jedną nogą w Seven Sisters. A czego nie dodał, to ja dobrze to wiedziałam — Happy w nieskażonej fortocy moralności, o setki mil od domu, to było ziszczenie jego życzeń. Mógłby wrócić do swych obowiązków z lżejszym sercem i czystym sumieniem. Happy z oczu, to była dla Piotra — obawiam się — Happy z serca.

Wyruszyła więc w drogę w błękitny, wietrzny poranek, samochodem osobowo-towarowym do Providence, ze mną i kufrem nowych ubrań i uprząży, z radiem i gramofonem. A za nami Piotr w volvo, ciągnąc przyczepę ze świeżo nabytym koniem — szybkoconą kłaczą do polowań z gońcymi, nazwaną Żywe Srebro. Zarówno szkoła jak i Żywe Srebro kosztowały więcej niż mógłby sobie na to pozwolić dyrektor szkoły, ale Piotr i Hermie podzielili równo spadek po Mamie Annie i przypadająca na nas część wydawała mi się ogromną ilością pieniędzy. Chociaż na Boże Narodzenie kupiliśmy w miasteczku stary rozwalający się domek w holenderskim stylu kolonialnym i zawarliśmy umowę na przeprowadzenie kosztownych lecz niezbędnych napraw w Liberty, Piotr szybko przekazał resztę naszego spadku w ręce dyskretnego starszego urzędnika w wydziale powierniczym banku, który zawsze zajmował się lokatami kapitału naszej rodziny, mogliśmy sobie więc pozwolić na konia i szkołę. Niewiele było rzeczy, na które można było wydać pieniądze. Piotr oddał rodzinny dom w Bostonie Piotrusiowi i Sarze w prezencie ślubnym i przeznaczył pewną sumę na jego utrzymanie. Z niczym więc poza bankiem, który działał siłą rozpędu, nie byliśmy związani.

— Warto było to zrobić, jeśli ją to uczyni szczęśliwą — powiedział Piotr gdy wracaliśmy do Northpoint na drugi dzień po umieszczeniu Happy w szkole Miss Cawthorne. — Nowe koleżanki, nowe doświadczenia i własny koń. Czego więcej mogłaby chcieć?

Pomyślałam, że mogła chcieć, by ojciec sprzeciwił się tej decyzji, by ją prosił, żeby została, powiedział, że będzie mu jej brakowało. Ale milczałam. Wiedziałam, że nagromadziło się przed nim dużo pracy, a to moratorium na konflikty z Happy pewnie nie będzie długo trwało. Powiedziałam więc:

— Czuję się —tak, jakbym patrzyła na koniec jej dzieciństwa. Jakby miała po powrocie stać się kimś, kogo nie znam.

— Może nie, przecież za dwa miesiące wróci na wakacje—powiedział, uśmiechając się do mnie Piotr. — Odpocznij i ciesz się z tego, Maude. Już tak dawno nie byliśmy sami. Będzie tą samą dawną Happy, zobaczysz. Jak bardzo może się zmienić w ciągu trzech lat?

Niedługo miało się okazać, jak bardzo.

W listopadzie następnego roku okazało się, że Happy spędziła noc w mieszkaniu młodego nauczyciela matematyki, a oskarżona o ten grzech przez zatrwożoną Miss Cawthorne oświadczyła, że to bynajmniej nie było pierwszy raz; spała z nim od kilku tygodni. Nauczyciel został natychmiast zwolniony, a Happy oczywiście wyrzucona. Do Piotra i do mnie przez długi czas nie mówiła nic, uśmiechała się po prostu, a potem zamknęła się w swoim pokoju. Najpierw nie chciała nas wpuścić, a gdy Piotr skłonił ją wreszcie do otworzenia drzwi, pytając ją lodowatym głosem, dlaczego, na miłość boską, jej uśmiech pogłębił się tylko.

— Przynajmniej zwróciłam jego uwagę — powiedziała.

W ciągu miesiąca, za pomocą nie wiem jakich pochlebstw i powoływań się na dawne zobowiązania, Piotr umieścił ją w Szkole Barbary French w Bostonie — znanej szeroko i daleko jako instytucja stanowiąca ostatni ratunek dla krnąbrnych młodych dziewcząt — groźnej kupie czerwonych cegieł, której brakowało tylko blanków i strzelnic, by mogła uchodzić za średniowieczną fortecę. Happy udała się tam w zimowym kwartale, prawie się nie odzywając do mnie ani do Piotra, bez Żywego Srebra. Nie było tam koni, ani rozrywek miejskich, nic w szkole nie mogło uprzyjemnić pobytu ani przyciągnąć uwagi podopiecznych.

— Wygląda tak, że przydałoby się trochę to ożywić — uśmiechnęła się szeroko, gdy wjeżdżaliśmy na podjazd do szkoły. To nie był uśmiech, który chciałam zapamiętać.

— Nie radziłbym — odparł Piotr, posyłając jej groźny uśmiech.

— Nie radziłybyś, tatusiu? To wstyd. Dziewczynie potrzebna jest od czasu do czasu jakaś rozrywka.

Miała zaledwie piętnaście lat. Podczas milczącej podróży powrotnej zastanawiałam się ponuro, jaki będzie następny kłopot i kiedy nadejdzie wiadomość.

— Nie powinniśmy byli znowu jej wysyłać — powiedziałam. — Trzeba ją było zatrzymać w domu; to ja powinnam się nią opiekować, a nie jakaś zimnokrwista pani cerber.

— Nie zgodzę się na to, żebyś spędzała cały czas jako strażnik Happy — powiedział ostro Piotr. — Barbara French robi to lepiej niż ktokolwiek inny. Happy potrzebuje mocniejszej ręki, niż ty możesz jej teraz? zapewnić; mocniejszej chyba niż moja. To jest najlepsze.

— Wydaje mi się, że my naprawdę nie wiemy, co jest jej potrzebne — powiedziałam zrozpaczona. — Chyba nigdy nie wiedzieliśmy.

— Przestańmy już trząść się nad Happy — odparł Piotr. — Jest tam gdzie powinna być i gdzie chcę, żeby była i to wszystko co chcę na ten temat słyszeć na razie. Powiedzmy, przez rok.

— Och, nasze dzieci — powiedziałam do Amy Potter tej nocy, gdy Happy zniszczyła gniazdo rybołówów.

— Tak, nasze biedne dzieci — odpowiedziała i zrozumiałam, że myślała o szarpiącym jej serce zwichniętym życiu Elżbiety. Jako kilkunastoletnia dziewczyna Elżbieta sprawiała Amy ból bez końca a historie na temat tej pięknej, płomiennej dziewczyny docierały do Zacisza. O picciu, doświadczeniach z narkotykami, o skandalicznych przygodach ze zdumiewającą liczbą mężczyzn, o jej ostatecznym przeniesieniu się do Paryża i życiu wśród, jak się później określało, szych. Słyszało się szeptane wzmianki o niesławnym jachcie i głośnym skandalu towarzyskim w rezydencji wiejskiej, o publikowanych w zagranicznych pismach skandalicznych fotografiach nagich osób, wśród których była Elżbieta i o długim szeregu utytułowanych i pozostawiających za sobą śwad skandalu mężczyzn. Parker nie rozmawiał o córce, Amy zmizerniała i posiwała zupełnie i jej perlisty śmiech nic płynął już wraz z porannym wiatrem z Pięknego Brzegu.

Inni nasi przyjaciele też mieli poważne kłopoty z dziećmi. Nie byliśmy sami. Gus, syn Alberta i Luizy Stallings nie chciał prowadzić rodzinnych interesów związanych z opatentowanym lekiem i pracował jako saksofonista w zespole jazzowym; słyszeliśmy o narkotyzowaniu się heroiną i poniżeniu w slumsach Lower East Side w Nowym Jorku. Ceile, córka Marii Conant, ukochana jedyna wnuczka Eryki miała przed dwoma laty nieślubne dziecko i oddawszy je do adopcji znikła przed wieloma miesiącami z oczu swej znekanej rodziny. A syn Micaha Willisa, Kaleb, przez całe lata żył w depresji po powrocie z wojny, w czasie której stracił nogę. Micah niewiele mi o nim mówił w ciągu tych lat, ale docierały do nas na lotnisku wieści o jego pijaństwie, bitkach i nocach w areszcie, o apatii i znikaniu, o nocnych telefonach z urzędów szeryfa w małych miasteczkach na całym wybrzeżu. Próbowałam raz rozmawiać z Micahem o nim, ale jego zmrożona twarz odwiodła mnie od tego; posiwał jednak przez te lata i schudł, a twarz Krystyny była często spuchnięta od łez. O tak, dzieci. Zdawało się, że nikogo z nas to nie ominęło.

Ale dzieci w końcu wracały do domu, jedno po drugim, nawet jeśli ujmować to metaforycznie. Elżbieta Potter porzuciła nagle swoje życie na wolnym biegu i wróciła do Paryża by studiować sztukę na Sorbonie; Amy jaśniała jak świeca mówiąc o tym z ulgą i promieniowała radością. Elżbieta poznała w Paryżu młodego Francuza z dobrej rodziny, ze starej bankierskiej rodziny jak Potterowie i poślubiła go dwa lata temu na Boże Narodzenie podczas skromnej uroczystości w jednej z kaplic Notre Dame. Oczekiwała teraz pierwszego dziecka i promieniowała szczęściem. Nawet znekana bólem z powodu Happy, odczuwałam prawdziwą radość ze szczęścia Amy. Jej melodyjny śmiech był mi w tych latach potrzebny i tęskniłam za nim tak, jak się tęskni za słońcem w deszczowe dni.

Gus Stallings wrócił na posterunek w rodzinnym przedsiębiorstwie, jak słyszałam pozbywszy się wszystkich nałogów poza saksofonem. I Ceile, córka Marii Conant, też wróciła do domu. A Kaleb Willis spotkał

przed kilku laty pełną siły, młodą kobietę z BukSPORT i zachwycił się nią, a ona dokonała w nim przemiany, tak, że w końcu, po trzydziestce ożenił się z nią. Przestał hulać i osiadł w nowym domu w Cove Harbor, który sam zbudował z pomocą Micaha i swych kuzynów Duschesne. Znowu pracował z ojcem w warsztacie szkutniczym, założonym przez dziadka. Często go widywałam, o wiele częściej niż przedtem; był teraz spokojnym mężczyzną o łagodnym głosie; miał gęste ciemne włosy ojca — choć w przeciwieństwie do niego trochę łyśiał — i niesłabnącą pogodę swej matki. Uśmiechał się i rozmawiał ze mną zawsze, gdy się spotkaliśmy i zawsze w jego ciemnej twarzy widziałam coś z tamtego brązowego, zawsze rozpędzonego dziecka, które trzymałam w ramionach podczas tej nie kończącej się jazdy do lekarza, tak dawno temu, w dniu, gdy rozciął nogę na dziedzińcu Liberty. Wiedziałam, że ma teraz własne dzieci, dwie małe ciemne dziewczynki, wyglądające równie tajemniczo jak on w ich wieku.

— Nie dam mu spokoju dopóki nie będzie miał chłopca — mówił Micah, przyglądając się swoim paplającym wnuczkom. Wnuczki! Micah! — Tonę w kobietach.

Wiedziałam jednak, że uwielbia te dziewczynki. Czy mógłby zresztą ich nie uwielbiać? Były widowymi dowodami powrotu jego marnotrawnego syna.

Tak, dzieci wracały do domu. I tak samo, myślałam — miałam nadzieję, modliłam się o to — wróci Happy. Gdy przyjdzie czas — ona wróci, Happy.

I wróciła. Późną wiosną 1953 roku, po mniej więcej roku uwięzienia w szkole Barbary French, którego nie przerwał żaden incydent. Happy wróciła do Northpoint holując z sobą rudego, nadzwyczaj przystojnego Irlandczyka, o dobre dziesięć lat od niej starszego i oznajmiła, że wychodzi za niego za mąż najszybciej jak się da. Chce, by ślub odbył się w kaplicy w Northpoint, a ślubne przyjęcie po uroczystości, w naszym salonie. Przedstawiła go Piotrowi i mnie jako Thomasa O'Ryana mówiąc, że był dotychczas zatrudniony jako kierowca autobusu i mechanik w szkole, ale że pragnie rozszerzyć swoje horyzonty i spróbować czegoś, co bardziej będzie odpowiadało jego talentom. Happy jest pewna, że ojciec znajdzie dla niego jakieś ambitniejsze zajęcie, albo w Northpoint albo w banku. Bank byłby najlepszy według niej. Tommy O'Ryan urodził się w Bostonie, tak jak Piotr, i bardziej czułby się tu u siebie. Ma nadzieję, że do ślubu mógłby zamieszkać w jednej z naszych gościnnych sypialni, ale jeśli to nam nie odpowiada poszuka sobie mieszkania gdzieś w miasteczku.

Tego łagodnego zielonego dnia czerwcowego, Happy wciąż jeszcze miała szesnaście lat. Od dwóch miesięcy była też w ciąży. Szybki, zimny cios, jaki Piotr chciał zadać jej planom, zamarł mu na ustach, gdy nam o tym powiedziała. Patrzył na nią wstrząśnięty, nie wierząc własnym uszom, jego ostre rysy zwiotczały, jakby ciało oddzieliło się od kości. Czułam jak zamiera mi oddech i wydało mi się, że już nie będę mogła go odzyskać. Happy uśmiechnęła się uszczęśliwiona; wydawała się tego wieczora pod każdym względem kobietą, dojrzałą, całkowicie zamkniętą

w swym ciele i obojętną. Tommy O'Ryan posłał Piotrowi uśmiech pełen uniżoności i poufałości zarazem. Na mnie nawet nie spojrzął.

— No więc jak myślicie? — zapytała Happy i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że głos jej drży. Zrozumiałam, że była wystraszona i próbowała bluffować. — Może Tomy zostać z nami, czy nie?

— Czy ty postradałaś zmysły, Kamilo? — Piotr powiedział niskim, strasznym głosem. Nawet ja, wstrząśnięta i przerażona, wzdrygnęłam się słysząc go. Ciął jak bicz. — Nie może zostać u nas, ani nie może zostać w tym domu. Wyjdzie natychmiast, a ty pójdziesz do swego pokoju i poczekasz aż twoja matka i ja będziemy mogli to przemyśleć, a potem powiemy ci co mAmy zamiar zrobić. Jak na miłość boską do tego doszło? Kierowca szkolnego autobusu? Szkolny mechanik? W jaki sposób, na Boga, do tego doszło?

— To proste tatusiu — powiedziała. — Po prostu zdejmuję się majtki, on wkłada swój przyrząd w mój i prędzej czy później wychodzi z tego dziecko. Myślałam, że wiecie. Słyszałam nieraz ciebie i mamę.

Myślałam, że ją uderzy i rzuciłam się pomiędzy nich. Tommy O'Ryan, wciąż uśmiechnięty, cofnął się o krok. Piotr zatrzymał się i zakrył twarz rękami.

— Idź na górę — powiedział. — Nie będzie ślubu. Pan O'Ryan opuści nas teraz, wdzięczny, że go nie zastrzeliłem. Czy zostanie aresztowany czy nie, zobaczymy później. Później też zdecydujemy co zrobić z twoim... dzieckiem. Nie chcę cię widzieć, dopóki nie przemyślimy tego wszystkiego. Jeśli pan O'Ryan ciągle jeszcze myśli o pozostaniu w tym domu, wezwę zaraz policję. To samo dotyczy tego miasta. Rozumiem, że nie może wrócić do szkoły, niech więc idzie gdzie mu się żywnie podoba i to najlepiej natychmiast.

— Jeśli odejdzie, ja odejdę z nim. Mam szesnaście lat. Nie możecie mnie zatrzymać — powiedziała Happy. Twarz jej zbielała i poszarzała jak twarz Piotra. Patrzyłam wzburzona to na jedno to na drugie. Co teraz z nami będzie?

— Więc zrób to — rzekł Piotr i odwrócił się, by odejść na górę.

My troje staliśmy w półmroku w holu i patrzyliśmy na siebie wzajemnie. Ciągle jeszcze nie mogłam wydobyć głosu.

— Mamo? — powiedziała Happy i nagle zobaczyłam moje dziecko pod maską dorosłej kobiety. — Mamo. Nie mAmy w ogóle pieniędzy. Nie mAmy gdzie iść. Czy nie możesz porozmawiać z tatusiem? Gdyby tylko dał Tommy'emu szansę, jestem pewna, że polubiłby go. I będzie miał wnuka...

Tommy O'Ryan przemówił po raz pierwszy, bogatym, melodyjnym tonem, który lekko mnie oczarował, choć rozpoznałam w nim wyćwiczoną barwę urodzonego szarlatana.

— Nie jestem takim łajdakiem, Mrs. Chambliss — uśmiechnął się całą twarzą. — Mam teraz trochę związane ręce, ale się poprawię i zorganizuję dom dla Happy i dla naszego dziecka. Przywykłem do ciężkiej pracy i potrafię robić zrecznie wszystko do czego się wezmę. Myślę, że to stało się zbyt nagle, ale kocham pani córkę i wszystko jeszcze będzie dobrze.

Spojrzałam na niego. Nic nie będzie dobrze. Wszystko czym Tommy O’Ryan wydawał się być i był, i czym mógłby się stać, będzie dla Piotra przekleństwem. Byłam o tym do głębi przeświadczona. Ale, och, Happy!

— Mamo?

— Poczekaj chwilę. Poczekaj i uspokój się — powiedziałam i poszłam do kuchni, gdzie zostawiłam torebkę. Wyjęłam tygodniową sumę przeznaczoną na jedzenie, którą miałam w portmonetce i dałam ją Tommy’emu O’Ryanowi.

— Proszę iść do gospody i wynająć pokój — mówiłam wargami zdrętwiałymi od bólu i szoku. — Porozmawiam z mężem. Mogę już teraz powiedzieć, że nic dobrego z tego nie wyniknie, ale nie zgodzę się, by moja córka wyszła nie mając gdzie spędzić nocy, a byłoby lepiej, gdyby jej tu teraz przez jakiś czas nie było. Poczekajcie dopóki nie dam wam znać rano. Nie rozwiążemy wszystkiego w tej chwili.

— Mamo — zaczęła znów Happy i zrobiła krok w moim kierunku. Łzy stanęły jej w oczach i po chwili popłynęły spomiędzy złotych rzęs, które były rzęsami Piotra. Nie, nie, powiedziałam, a ona podeszła, otoczyła mnie ramionami i przytuliła się do mnie. Trzymałam ją lekko, czując ciężką nabrzmiałość jej piersi i obłą linię młodych, wykorzystanych bioder. Rozplakałam się także.

— Idź już. Przyjdę do ciebie — szepnęłam i patrzyłam jak moje dziecko, moje ostatnie dziecko, wychodzi by spędzić noc w hotelu z mężczyzną, który — przeczuwałam — nie da nam spokoju do końca życia. Potem poszłam na górę, by porozmawiać z Piotrem.

To była straszna noc, gorsza niż wszystko co przeżyłam dotąd z Piotrem. Nawet dziś nie mogę sobie dokładnie przypomnieć co mówił i co ja mówiłam; miałam później przez te wszystkie lata tylko poczucie udreki i nieodwracalności, braku nadziei, końca. Nie wiedziałam zresztą wtedy, co się kończy. Teraz wiem: to był koniec szansy na to, że Piotra kiedykolwiek będzie mogła połączyć jakaś głębsza więź z jego tęskniącą, ale zabijającą wszystko swym niszczyielskim pędem, córką. Biedna Happy, zniszczyła w ciągu tej jednej nocy wszystko za czym krwało jej serce przez całe życie. Zawsze tak robiła. W jakiś sposób dla Happy potrzeba była równoznaczna z wyrokiem śmierci na jej spełnienie.

Do rana uporaliśmy się z tym. Pozwolimy im na ślub, gdyż wiedziałam, że i tak uciekną do Maryland czy gdzie indziej, by zawrzeć go bez naszego pozwolenia. Piotr zrobi co będzie mógł, by pomóc Tommy’emu w znalezieniu pracy; byłam pewna, że może to zrobić. Wynajmiemy dla nich mieszkanie w pobliżu miejsca jego pracy i przez rok będziemy płacić czynsz tak, że będzie mógł odkładać pieniądze na zaczątek gniazda. Jeśli Tommy nie będzie mógł, zapłacimy rachunki za szpital Happy, gdy nadejdzie chwila rozwiązania. Zapewnimy jej niańkę do dziecka przez pierwszy rok.

Happy z dzieckiem będzie mogła nas odwiedzać nie częściej niż dwa razy w tygodniu, najlepiej wtedy gdy Piotra nie będzie w domu. Tommy

0'Ryan miał nigdy więcej nie pokazywać się u nas w Northpoint. Żadne z nich nie może przyjeżdżać do Zacisza.

Warunki były surowe. Były zbyt surowe — myślałam — bym ja mogła je znieść, ale tym będę się martwiła później. Zdawałam sobie sprawę, iż miałam szczęście, że w ogóle udało mi się ustalić z Piotrem jakiegokolwiek warunki. Nigdy go nie widziałam równie wściekłego, nieprzejednanego. Tej nocy nic w nim nie było z młodego, czułego, promiennego młodego mężczyzny, który tańczył ze mną w świetle księżyca na brzegach zatoki Wappoo. Och, płonął stale, ale to był zimny ogień.

Happy rozplakała się, gdy przekazałam jej następnego dnia warunki ojca, ale uciszyłam ją.

— Daj mu czas — powiedziałam. — Spróbuj zrobić to bez zamieszania i daj mu trochę czasu. To był bardzo wielki wstrząs, Happy. To jest najlepsze, co mogłam wyjednać i właściwie nie masz żadnego wyboru.

— To nie miałyby znaczenia, gdybym nawet przyprowadziła do domu Jezusa Chrystusa — łkała Happy. — Nienawidzi mnie i nienawidziłby każdego, kogo chciałabym poślubić. Powinnam była wiedzieć, że mnie nienawidzi. Myślę, że wiedziałam, ale po prostu nie chciałam się do tego sama przed sobą przyznać.

Nic nie mogłam na to odpowiedzieć. Piotr nigdy nie nienawidził Happy. Oczywiście, ale uchwyciła jakieś ziarno prawdy o ojcu — nigdy jej również nie kochał. W pełni, bez reszty, bez warunków i granic. Tego potrzebowała i dlatego płakała owego ranka. Nie, nic nie można było powiedzieć. Nie odpowiedziałam jej.

Dwa dni później stałam w nędznym biurze sędziego pokoju w małym miasteczku za Laconią; deszcz lał nieprzerwanie, a ja patrzyłam jak moja córka staje się panią Tomaszowa Seanową 0'Ryan. Potem zabrałam nowo poślubionych małżonków na lunch do małego domku myśliwskiego nad Jeziorem Winnepesaukee, w którym Piotr i ja spędzaliśmy pierwszą noc po naszym przybyciu do Northpoint. Pamiętam, że usiedliśmy wtedy, tamtego wieczora, nad brzegiem wielkiego jeziora i rozmawialiśmy o zbliżającym się wyjeździe do Zacisza, moim pierwszym tam wyjeździe. Pamiętam, iż nie chciałam jechać, przeczuwając że mnie to zmieni, że zmieni na zawsze moje życie. Kochaliśmy się w przesyconym zapachem sosen mroku, pod drzewami; śmialiśmy się. Moje biedne dziecko, nie dla niej śmiech tego lata. Ale i przed nią podróż, która zmieni jej życie. Nasze też.

Nieczęsto widywaliśmy ich tego lata i tej jesieni. Piotr rzadko mówił o Happy, a ja nie próbowałam podejmować tego tematu. Może, gdy dziecko się urodzi — myślałam — może, może... Czasem Piotr bywał w domu, gdy Happy, w mocno zaawansowanej ciąży, przychodziła z wizytą i był wobec niej swobodny i miły. Nie chciał widzieć Tommy'ego 0'Ryana. Nie chciał w ogóle z nim rozmawiać.

Syn Happy, Sean Williams 0'Ryan urodził się w styczniu, trzymałam go w ramionach i znów czułam ten słodki, pachnący mlekiem, krzepki ciężar. Dotykałam jedwabście skręconego czuba złotorudej głowy i przez

chwilę odczuwałam błogie, ślepe szczęście. Teraz, oczywiście, Piotr nie może zaprzeczyć istnieniu dziecka. Dziecko było rodzinnym portretem. Miało w brodzie typowy dołek Chamblissów, ten sam pukiel włosów na czubku głowy. I oczy: szare oczy Piotra, a nie błękitne jak farba wodna oczy Tommy'ego O'Ryana.

Ale Piotr nie przyszedł. Ani Happy nie zaniósł dziecka do niego.

— Może go nie widzieć do końca życia, jeśli tak chce — powiedziała zimno. — Jest mój i to wszystko, co mi jest potrzebne. On i Tommy. Do diabła z tatusiem.

— To doskonale, jeśli o mnie chodzi — rzekł Piotr, gdy mu powiedziałam, że Happy nie przyniesie do niego wnuka.

Patrzyłam na niego, zatopionego teraz w zimnym milczeniu, w monotonej szarości, w jaką wtapiał się kiedyś co jakiś czas jego ojciec. Tej zimy Piotr przebywał ze mną tylko fizycznie i to nieczęsto. Pozostawał do późna w Northpoint, a wyjeżdżał wcześniej. Rzadko nasze rozmowy wykraczały poza przypadkowe, starannie ograniczane rozmowy i nie kochaliśmy się od poprzedniej jesieni. Zastanawiałam się wówczas, czy nasze życie już tak będzie wyglądało do końca. Zamarznięty strumień lat płynących ku śmierci. To był czas, kiedy najbardziej byłam nieszczęśliwa w życiu; jeszcze teraz, po latach, mogę to potwierdzić.

Pewnego dnia na początku sierpnia, gdy siedzieliśmy z książkami na werandzie Liberty, usłyszeliśmy odgłos zatrzymującego się opodal samochodu i kroki na ścieżce, a potem Happy przeszła cicho przez cały dom na werandę i położyła swoje dziecko w ramionach Piotra. Stała i patrzyła na niego. Nic nie powiedziała. Piotr pobladł, spojrzął na nią, a potem na małego Seana. Dziecko patrzyło z powagą w jego twarz, utkwivszy szare oczy w oczach Piotra. Tycjanowskie loki na jego głowce błyszcząły w przedwiecznym słońcu. Później uśmiechnęło się, a potem uśmiech rozszerzył się od ucha do ucha. Figlarnie, pełne zachwytu, włożyło palec do ust Piotra gaworząc z rozkoszą. Piotr zamknął oczy, a gdy je otworzył, był na powrót z nami, tak zupełnie i bezgranicznie jak nigdy. Cały promieniał; jego dawny ogień zapłonął w nim na nowo; w jego oczach migotało coś, czego nigdy w nich nie było dla własnych dzieci, a uśmiech objął i otulił dziecko.

— Na Boga — powiedział do maleństwa. — Gdzie byłeś dotąd?

Od tej chwili Sean stał się po prostu sercem jego serca. Miłość Piotra do niego była bez granic, bez dna, niemal absurdalna. Rozjaśniała dom, spływała na mnie, sączyła się na Happy i obejmowała nawet, wprawdzie tylko przelotnie, Tommy'ego O'Ryana. Przynajmniej była jakaś przerwa w zimnej pogardzie wobec Tommy'ego. Piotr nie wrócił, jak planował, do Northpoint; został w Zaciszu i przez całe lato robił to, co niegdyś: żeglował, grał w tenisa, wieczorami czytał przy kominku i zabierał mnie na wycieczki do Castine, Blue Hill i Bar Harbor, a raz nawet do Camden na całe dwa dni.

A gdziekolwiek szedł, nawet czasem gdy wypływał na „Annie” mały Sean towarzyszył mu trzymany na ręku! Tommy, który odwiózł Happy

i dziecko do Zacisza starym, kupionym przez siebie fordem, musiał wrócić do pracy jako kierownik remontów w kolumnie samochodowej North-point i po dwóch dniach wyjechał... Akurat w odpowiednim momencie, pomyślałam, gdyż po dwóch dniach jego pozostawiające wiec do życzenia manieri, zawadiacka i napuszona barwność ubioru i sposobu bycia oraz całkowite lekceważenie wszystkich rytuałów i niuansów łączących mieszkańców letniska stały się zbyt rażące. Burzowe chmury gromadziły się już w szarych oczach Piotra. Ale Happy pozostała przez resztę lata, a potem przyjechali na trzy tygodnie Piotruś z Sarą i pięcioletnią Maude Caroline i zatrzymali się w odnowionym domu Miss Lottie, który wynajęliśmy dla nich. W niedzielę po ostatnich regatach ochrzcziliśmy Seana w małej kaplicy na wybrzeżu i całe Zacisze zjawiło się na małym przyjęciu z szampanem, które wydałam z tej okazji w Liberty. Piotr przez całe popołudnie nosił Seana na rękach. Wszyscy wyrażali swe zachwyty nad dzieckiem i chwalili Happy. W tym momencie i tego lata nie było na twarzy mojego dziecka dawnego wyrazu pragnienia i potrzeby, lecz tylko to, co było nią całą, radość. Jeśli patrząc na nią moi przyjaciele i sąsiedzi widzieli zamiast młodej matki nieznośne, złośliwe dziecko i słyszeli dawno zamarły krzyk rybołówów, nie dali tego poznać po sobie nawet mrugnięciem oka.

Niech was Bóg błogosławi — mówiłam do nich bezgłośnie, pełna wdzięczności, a później, głośno, do Piotra, gdy już ostatni goście wyszli i Happy poszła położyć Seana do łóżeczka:

— Niech cię Bóg błogosławi. Dałeś mi tyle szczęścia tego lata. Już myślałam, że do mnie nie powrócisz.

Otoczył mnie ramionami, przytulił i oparł brodę na mojej głowie, tak jak kiedyś.

— Ciebie niech Bóg błogosławi, moja droga Maude. To nie ciebie opuściłem. Nigdy cię nie opuszczam. Czy jeszcze tego nie wiesz?

— Och, Piotrze. Nie opuszczaj już nikogo z nas — wyszeptaliśmy w jego szyję. — Jesteśmy tu wszyscy, każde z nas, w tym miejscu, które kocham jak żadne inne na świecie; które i ty kochasz. Nic na całej ziemi nie może być lepsze od tego; to o tym marzyłam przez wszystkie lata... to właśnie o tym. I o nas wszystkich tutaj razem. Ale pustka nie miałaby granic, gdybyś ty nas opuścił.

— Więc — powiedział Piotr — nie opuszczę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

— W tym poranku jest coś miłego i coś z Normana Rockwella, prawda? Trzy pokolenia razem spędzające dzień na plaży — powiedziała Elżbieta Potter Villiers pewnego promiennego, niespokojnego dnia w czerwcu 1961 roku, na małej kamienistej plaży pod Pięknym Brzegiem.

Ośłoniłam twarz przed promieniami wysokiego południowego słońca i spozierałam na nią. Na tle połyskującej srebrno plaży rysowała się jej sylwetka: długie nogi prześlizgujące się w wąskie biodra, piękna linia talii przepływająca w wyniosłość piersi. Zdawała się obrysowana srebrnym światłem, tak jak wszystkie przedmioty na wybrzeżu przed nadejściem burzy. Wydawała się naga i była prawie naga; miała na sobie francuskie bikini, takie jakie dopiero w tym roku weszły w modę na amerykańskich plażach i to na tych leżących na południe od Zacisza. Tylko błysk jej białych zębów i miedziany połysk jej odgarniętych do tyłu włosów przełamwały otoczkę stłumionego srebrnego blasku. Roześmiałam się głośno. Nawet w ogólnych zarysach nic zupełnie nie kojarzyło mi się w Elżbiecie z Normanem Rockwellem.

— O Boże, kochanie, poczułam się tak stara jak matka Matuzalema — powiedziała Amy Potter, lecz jej ciemne oczy, spoglądające na córkę, zadawały kłam ponurym słowom. Jej siwe loki przykrywał ogromny czerwony, słomkowy kapelusz, który Elżbieta przywiozła jej z Włoch, twarz i błyszczące radością oczy sprawiały, że wyglądała tak młodo, jak przed wielu laty. Elżbieta mogłaby powiedzieć, że wygląda jak matka Whistlera, a ona roześmiałaby się swoim dawnym, pięknym, głębokim śmiechem. Mimo konfliktu i choroby w Pięknym Brzegu nad nami na urwisku, Amy była tego lata radosna. Elżbieta przyjechała do domu z Europy, po raz pierwszy po prawie dziesięciu latach, a do Zacisza pierwszy raz odkąd opuściła college i wyjechała do Paryża, gdy miała zaledwie dwadzieścia lat. Pomyślałam — bynajmniej nie pierwszy raz tego lata — że szczęście Amy jest zagrożone.

Elżbieta rzuciła się na ręcznik obok matki, opryskując nas kroplami wody. Paliły jak kwas albo lód. Wiedziałam, że temperatura wody w zatoce nie osiągnęła jeszcze sześćdziesięciu stopni, ale ona zanurzała się już w niej

dwukrotnie tego ranka; za drugim razem odpłynęła bardzo daleko w oślepiający blask, tak, że straciliśmy ją z oczu w tym iskrzeniu. Skóra mi ścierpła od lodowatych kropli, lecz Elżbieta zdawała się nie odczuwać zimna. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami obok matki, bikini zaledwie przykrywało jej piersi; uniosła ręce, związała mokre włosy w ciemny węzeł na karku i umocowała go wielką szpilką z kości słoniowej. Była opalona, jej całe ciało miało koloryt i cienie stepu. Drapieźnik wśród nas, pomyślałam. Drapieźnik wśród adorujących go owiec.

Oczywiście zmieniła się w ciągu tych lat, gdy straciłam ją z oczu, a jednak, w jakiś sposób pozostała taka sama. Jak dawno to było? Chyba pod koniec tego straszego lata, gdy wróciła do Bostonu pozostawiając Piotrusia zranionego i krwawiącego z rozpaczliwej do niej miłości. Miała wtedy piętnaście lat: dziecko, ale w jakiś sposób już w pełni kobieta, jak ta, która siedziała na naszej plaży o poranku i związywała swe mokre włosy. Wszystko co się w niej zmieniło, to stopień nasycenia kobiecością. To co wówczas było obietnicą, teraz wypełniło się w dojrzały sposób i Elżbieta Potter Villiers była piękna, żywa i w pewnym sensie zmysłowo niewinna, jak wielki drapieźnik.

A drapieźnik — pomyślałam — to było właściwe słowo. Z tego co mi mówiła Amy i z plotek, krążących po lotnisku w ciągu tych lat, wiedziałam, że ciągnął się za nią sznur umarłych i umierających, zarówno w dosłownym jak i przenośnym sensie tego słowa. Były dwa czy trzy zerwane związki w Paryżu, w Grecji i w Hiszpanii w ciągu pierwszych lat pobytu za granicą. Francuski bankier w średnim wieku i jego żona, ofiary morderstwa i samobójstwa z pozostawioną zmiętą kartką, na której widniało nazwisko młodej Elżbiety. Aborcja w Atenach i zagrożenie śmiercią samej Elżbiety z powodu zakażenia. Inne pozrywane znów związki miłosne po powrocie do Francji, krótki i barbarzyński epizod z heroiną w Paryżu, do czasu gdy młody Toby Villiers poślubił ją i został ojcem ciemnego, obecnie pięcioletniego chłopca, który harcował teraz w wodach zatoki Penobscot, szczebiocząc srebrzystą francuszczyzną.

I wreszcie, gwałtowny kres tego małżeństwa, wyjazd do Włoch i ukrycie się na wzgórzach Toskanii, gdzie Elżbieta znalazła otwarte ramiona i wielką wilłą florenckiego barona o zadziwiającym bogactwie i uroku. Niestety, baron miał, w klasycznym stylu tego najbardziej światowego z miast, przystojnego syna-nicponia i kocio fałszywą żonę. Oboje wpadli niespodzianie do willi, gdy Elżbieta przebywała tam z baronem. Po kilku podniecających lecz pełnych napięcia tygodniach, podczas których baron i baronowa walczyli ze sobą, zaś Elżbieta i młody baronet zabawiali się w pobliskich tawernach oraz bardziej sekretnych miejscach, Elżbietę tak wystraszył wzrastający niebezpiecznie gniew baronowej, że uciekła do matki razem z dzieckiem. Jak zawsze, gdy w wyniku jej własnych poczynań katastrofa spadała jej na głowę, zdawała się naprawdę zdezorientowana i zraniona przez te niefortunne wydarzenia. Zawsze jednak ta podatność na zranienie, lekko słodkawa woń ofiary przenikająca jej francuski aromat, dodawały pewnej pikanterii jej atrakcyj-

ności. Nawet, gdy się najbardziej miało ochotę wstrząsnąć Elżbietą, w jakiś sposób bardziej chciało się ją chronić, choćby tylko przed nią samą. Nawet ja to odczuwałam.

Poza ciemnym małym Warriem Villiersem i grubą małą Sally — córką Piotrusia i Sary, my, trzy kobiety, byłyśmy same na plaży. Happy nie zbliżyłaby się do Elżbiety za nic i wyraźnie dawała to wszystkim do zrozumienia. Nigdy nie widziałam równie nagłej antypatii, nawet u mego emocjonalnie obnażonego dziecka. Nie pozwalała nawet Seanowi przebywać w pobliżu małego Warriego; Seana to zresztą nie martwiło wobec dużej różnicy wieku. Uczył się, tego lata, żeglować na swym pierwszym kecie-Żuczku, „Rybołowie” i był całkowicie zaabsorbowany nauką i czekającym na niego morzem. Był cały jasnością, długością i energią, tak jak jego dziadek, i był cały chłopcem. Nigdy nie było w nim, nawet w najmniejszym stopniu, nic z dziewczynki, jak to bywa u większości małych chłopców. Rzadko miał czas dla matki i dla mnie, a co do Warriego Villiersa, lekceważył go po prostu:

— To małe i zniewieściałe dziecko. Ropuszka. Macha paluszkami i ma za długie rzęsy.

Gniewałam się na niego za „ropuszkę”, na próżno czekając, że Happy zwróci mu uwagę. Nie karała nigdy swego syna, a Piotr nie podniósłby palca, ani nawet brwi, na chłopca. Zauważyłam uśmiezek satysfakcji na twarzy Happy, gdy jej syn wypowiedział ten mały epitet; moja twarz zapłonęła. Sean był prawie modelem wszystkiego co Piotr i ja lubiliśmy w dzieciach; nie pozwolę, by pogrążał się w szpetocie.

— Czy lubisz czy nie lubisz Warriego, to twoja sprawa — powiedziałam sucho. — Ale to, jak go nazywasz w moim domu, to moja sprawa. To jest brzydkie i krzywdzące słowo i nie chcę tego więcej słyszeć, rozumiałeś, Sean?

Patrzył na mnie swymi szarymi oczami z leżącymi równo nad nimi brwiami i z twarzą wykrzywioną impulsywnie. Nie odciął się jednak. Powiedział tylko:

— Tak, babuniu. Przepraszam. — I serce mi stopniało, choć wiedziałam, że ani trochę nie jest skruszony.

— Chodź, Gnacie — powiedział do niego Piotr, unikając moich oczu. — Mamy parę godzin do obiadu. Opłyniemy „Anną” Wyspę Rybołowów i wrócimy. Jest tak spokojnie — myślę, że możesz się zająć rumplem.

I wyszli; nim Happy i ja zdążyliśmy wyrzec słowo, oszklone drzwi zatrzasnęły się za nimi. Choć denerwowało mnie, że Piotr podważa dyscyplinę, którą stosowałam wobec Seana, musiałam się uśmiechnąć na myśl o nich obu, lekkich i opalonych, w spodniach khaki i koszulkach polo, z włosami opadającymi na oczy, pluskających się przy wyciąganiu dinghy z doku. Happy powiedziała za moimi plecami:

— To bardzo zabawne grać drugie skrzypce u własnego ojca, po dziecku. Tatuś nigdy nie zabierał mnie na swoją cenną „Annę”.

Jej głos był tak dziecinny i schrypnięty od urazy i tęsknoty, że po prostu nie miałam siły na nią spojrzeć. Choć sprawy uległy znacznej poprawie

w ciągu tych lat, gdy przyjeżdżała do Liberty z synem, bywały jednak chwile takie jak ta, gdy zdawałam sobie ze znużeniem sprawę, że Happy nigdy nie wyleczy się ze swej zżerającej potrzeby Piotra i że on nigdy jej nie zadośćuczyni. Zmęczona byłam do ostateczności ciągłymi próbami łagodzenia, uśmierzenia, kompensowania. Sean był Piotra oczkiem w głowie, a Happy była daleka jego sercu i nic nie mogłam na to poradzić.

Tego ranka na plaży zrozumiałam jednak, patrząc na Warrie, co Sean miał na myśli. Rzeczywiście było coś kobiecego w tym chłopcu, coś świadomie przystosowującego się i prawie przebiegłego. Nie byłoby to nie na miejscu u dziewczynki; może by się uśmiechnąć na widok miniaturowej kobiety ukrytej w ciele dziecka. Ale u Warrie rzucało się to w oczy. Zbyt często trzepotał ciemnymi rzęsami i patrzył spod nich bokiem, najczęściej na matkę, a jego długie, smukłe palce rzeczywiście tańczyły w powietrzu, trzepotały, kręciły się. Ich koniuszki prawie wibrowały nad coraz to innym przedmiotem, nie dotykając go właściwie. Jego głos to był cienki sopran, normalny u małego dziecka, a szybki potok francuszczyzny wydobywający się z jego różowych ust był zupełnie oczywisty u dziecka urodzonego w rodzinie, gdzie francuski był pierwszym językiem. Ale w jakiś sposób u Warrie to wszystko pozostawiało w świadomości obserwatora cień czegoś nieprzyjemnego, bardzo mały cień. Pomaślałabym, że niebezpiecznie przechylała się w kierunku czegoś nieodwracalnie kobiecego, gdyby nie jego sposób zachowania wobec matki i jej wobec niego. To było bardziej zachowanie mężczyzny wobec kobiety, niż dziecka wobec matki. Jego ręce dotykały jej piersi i boków, włosów i karku tak często i przypadkowo, jak muszli i kamyków, które zbierała, zaś jej dłonie gładziły jego jedwabista, brązową nagość ze świadomym upodobaniem, gdy tylko znalazł się w pobliżu. Poczułam, zdając sobie przecież sprawę z głębokiej różnicy pomiędzy obyczajami łaćńskimi a obyczajami tego zimnego północnego wybrzeża, że nie mogę dłużej patrzeć na Elżbietę Villiers i jej syna. Zobaczyłam też, że — próbując nie zwracać na to uwagi — Amy też nie może na nich patrzeć. Inność przywarła do nich, matki i syna, jak miazmat. Inność i jakby zagrożenie. To było zagrożenie, które wyczułam w śmiechu Amy Potter tego ranka, groźbę, która ciążyła w powietrzu, gdziekolwiek znalazła się Elżbieta.

Przypomniały mi się słowa Miss Lottie Padgett sprzed dwudziestu lat, gdy przybiegłam do niej w rozpacz i bólu z powodu Piotrusia i Elżbiety: „Elżbieta nigdy nie będzie bezpieczna. Wiele osób będzie z tego powodu cierpiało”.

I już cierpieli. I więcej będzie cierpiało. Ale nie Amy. Och, nie, nie moja biedna, odrodzona Amy. Wydawało mi się, że Amy nie znieśie już więcej bólu, nie od tej marnotrawnej córki jak żywe srebro, która była sercem jej serca. Już dość było bólu z powodu Parkera. Po przeszło ćwierć wieku ostrzeżeń ze strony lekarzy, scen, kryzysów, alarmów, bólu serca i upokorzeń — Parker Potter zdawał się ostatecznie i naprawdę bliski śmierci z powodu picia, którego ani nie mógł znieść, ani rzekomo powstrzymać się od niego. By być u boku matki w tym ostatnim

i najgorszym okresie, Elżbieta opuściła Włochy i przyjechała do Zacisza. Ale upływające dni przeszły w lato, a Elżbieta więcej czasu spędzała na plaży niż u boku ojca. Przez większość poranków udawało jej się nakłaniać Amy, by z nią tam siadywała i Amy stawała się coraz spokojniejsza, ogorzała od słońca, przeświecona miłością i śmiechem, mimo to, że jej mąż rozdymał się jak zjadliwa ropucha od toksyn, których jego wątroba nie była już w stanie zwalczyć. Myślę, że odkąd jego córka wróciła, Parker pił, by na nowo, w rozgoryczeniu prowokować, a burze, gniewy i zniewagi wypuszczone w obieg z Zacisza nasiliły się pod względem liczby i ostrości. Rzadko zdarzał się dzień, by Piotr nie musiał porzucić zajęcia i biec na oszalałe, telefoniczne wezwania od Amy czy Elżbiety. Ja także chodziłam tam kilkakrotnie nadaremnie. Parker pił i urządzał awantury. Ale Amy miała swoją córkę i swe poranki w promieniach słońca i na razie to było więcej niż mogła sobie wymarzyć.

Sally przybrnęła do mnie niepewnym krokiem, z zaczerwienionym od słońca nosem, wyjąc z powodu uderzenia, które Warrie, starszy i większy od niej, jej zadał. Chwyciłam w ramiona jej ciepłe, wyslizgujące cię ciało i kołysałam patrząc na Warrie. Czy tylko ja widziałam łobuzerski, zadany z boku cios jego brązowej małej stopy? Nie, Elżbieta widziała to także; potrząsnęła głową w kierunku syna, ale uśmiechała się jednocześnie i posłała mu milczący pocałunek. Odwzajemnił go. Zwróciłam na nią spojrzenie.

— Powinna była oddać mu kopniaka — powiedziała Elżbieta, wyciągając się tak, że jedna różowo-brązowa brodawka jej piersi wysunęła się z górnej części bikini. Warrie zachichotał, a ona wprawnie przykryła ją z powrotem. Jej zaczesane do tyłu włosy lśniły jak polakierowane; na długich palcach miała wiele złotych pierścionków z drogocennymi kamieniami. Wyciągnęła jeden z tych palców i uniosła nim małą, czerwoną z wściekłości twarzączkę Sally w górę, do słońca.

— Po prostu oddać mu kopniaka, *cherie*, najlepiej w jego małe, brązowe jaja — powiedziała. — Nigdy nie jest za wcześnie dla dziewczyny, by się nauczyła, co może zwrócić uwagę młodego człowieka. O Boże, ależ ona to żywy obraz Piotrusia, prawda? Dokładnie tak musiał wyglądać, gdy był w jej wieku, gwałtowny, zdeterminowany i uparty jak mały muł. Chciałabym go takim pamiętać; moje pierwsze wyrażne o nim wspomnienie, to jak biegnie z mną wrzeszcząc, że poskarży jeśli skoczę z nabrzeża do wody. Skoczyłam, a on też to zrobił. Śmiertelnie przerażony i wściekły, ale skoczył. Musieliśmy mieć wtedy osiem i dziewięć lat.

Śmiała się, a potem puściła twarz Sally i zwróciła się do mnie.

— Chciałabym, żeby nie czuł się zmuszony do wyjazdu, Maude — powiedziała leniwie. — Nie miałam zamiaru go pożreć tego lata.

Czułam jak gniew we mnie narasta, nawet Amy spojrzała surowo na córkę, rumieniec zalał jej twarz. Piotruś i Sara opuścili Mały Domek i wrócili do Bostonu zaledwie w kilka dni po przyjeździe Elżbiety. Cała kolonia wiedziała, że mieli zamiar spędzić tu całe lato. W domu, który Piotr i ja kupiliśmy dla nich, gdy w końcu niedołążny syn Miss Lottie

wystawił go na sprzedaż. Wiem, że zaraz podniosła się fala cichego brzęczenia, gdy wyjechali podając jako wymówkę nagłą chorobę ojca i zostawili z nami Maude Caroline i Sally. Większość mieszkańców Zacisza pamiętała, jak sądzę, dni rozpaczliwej miłości Piotrusia do Elżbiety, powiązali więc te dwa fakty w jedno. Tylko ja i Piotr wiedzieliśmy, że to Sara z pobladałą i skamieniałą twarzą nalegała na wyjazd. Dotąd nie wiem, co było bezpośrednim powodem jej decyzji i mam nadzieję, że nigdy się nie dowiem. Jeśli cokolwiek było powodem, by mój syn i synowa porzucili plany spędzenia lata w Zaciszu na skutek czegoś co zaszło między Piotrusiem a Elżbietą, to jestem pewna jak tego, że słońce świeci na niebie, że nie Piotruś to zainicjował. Wiedziałam, że Amy też jest tego pewna.

— Może się zdarzyć, że jedna czy dwie osoby w Zaciszu będą zmieniały plany i nie będzie to miało żadnego związku z tobą, Elżbieto — powiedziała oschle Amy. Elżbieta roześmiała się głośno, a jej śmiech miał bogaty, gęsty, płynny dźwięk. Światło zdawało się zbierać wokół niej, zagęszczone jak śmietana. Nie straciła nic ze swej świetlistej, narzucającej się obecności, którą odznaczała się jako dziecko; byli wraz z Piotrem jedynymi ludźmi, których to cechowało.

— Jestem pewna, że tak jest — powiedziała, a potem przechylając głowę ku mnie dodała:

— Maude, chciałabym, żebyś przymierzyła jeden z moich kostiumów bikini; jesteś tak soczysta jak dojrziała brzoskwinia; doprowadziłabyś tutaj facetów do szału pokazując te swoje „zderzaki”, tę cienką talię i biodra — ani minuty nie miałabyś spokoju we Francji czy we Włoszech. Ty jesteś Tintoretto albo Velasquez z tymi czarnymi włosami i oczami. I akurat odpowiedni wiek na Europę. Powinnaś pojechać ze mną, gdy będę wracać.

— Ale kochanie, mówiłaś, że masz zamiar zostać co najmniej przez rok czy dwa lata — głos Amy przeszedł prawie w płacz.

— Oczywiście, mam. I zostanę. Ale wcześniej czy później będę musiała pojechać, by uporządkować swoje sprawy i chodzi też o naukę Warriego...

— Warriego powinien tu zostać i chodzić do Miss Dawson, a później do Choate i dalej studiować w Harvardzie czy w Yale, jak prawdziwy Potter — powiedziała stanowczo Amy.

— Jakoś nie wyobrażam sobie by drogi tatuś Warriego zgodził się na to — odparła rozbawiona Elżbieta. — Jego rodzinny honor byłby splamiony. A będzie musiał płacić rachunki za to piskłę, bo ja nie mam ani grosza. Musiałam dosłownie złożyć okup, żeby się wydostać z Francji i wykraść Warriego w ciemną noc. To wszystko było bardzo podniecające, prawda, kociaku?

Wyciągnęła rękę pieszcząc twardy tyłek swego dziecka; Warriego związał się z przyjemnością, a ja podniosłam beczącą Sally i powiedziałam:

— Myślę, że ten kociak ma już dziś dosyć słońca. Jej nos płonie.

Odwróciłam się, by opuścić plażę. Słyszałam za plecami, że Amy coś powiedziała ostro lecz niewyraźnie i usłyszałam w odpowiedzi omdle-

wający śmiech Elżbiety. Dość słońca, próżniactwa i ciała, pomyślałam z nagłym niesmakiem. Odczułam potrzebę kąpieli i chłodnej, wykrochmalonej, czystej bielizny dla Sally i dla mnie i drzemki w białym pokoju, przez który przewiewa ostry, słony wietrzyk. Uśmiechnęłam się w spokojny kark mojej wnuczki. Sama byłam stworzeniem zrodzonym ze słońca, próżniactwa i ciała. Charleston był przecież właśnie miastem tego wszystkiego, co najmniej jak Cap Ferrat czy Rapallo. Jakże daleką drogę od domu przebyłam.

Nie było w domu nikogo, gdy wróciliśmy z Sally. Sean był, jak wiedziałam, w jachtklubie, gdzie Kaleb Willis dawał najmłodszym dzieciom z letniska lekcje na nowych ketach-żuczkach. Klub zakupił całą flotyllę tych łódek od kupca w Bostonie, małych, wywrotowych ketów, które miały zastąpić starzejące się, właściwie już prawie nie do uratowania „Brutalne Bestie”, na których całe poprzednie pokolenia uczyły się żeglarstwa. Wszyscy cieszyliśmy się, gdy Raleb wynurzył się przed naszymi oczami spoza ciemnej masy wyspy Sarenki w mglisty czerwcowy poranek poprzedniego lata, ciągnąc za łodzią do połowów swego ojca długi sznur „Żuczków”. Piotr i ja wzięliśmy jeden dla Seana i Maude Caroline i kto tam jeszcze po nich przyjdzie, ale Maude Caroline podzielała moją wrodzoną odrazę do kołtysania i związała swój los z tenisem i pływaniem. W tym roku kończyła dwanaście lat. W ciągu ostatnich czterech lat uczęszczała do dziennego obozu na Rosier Pond, w Camp Four Rivers, podobnie jak wiele innych dzieci z Zacisza. Żółty obozowy autobus jeździł każdego ranka do końca drogi i chór mocnych młodych gardeł tak głośno i często rozbrzmiewał w spokojnym brzasku słowami „*Yay. Camp*”, że większość z nas zapomniiała o prawdziwej nazwie obozu i nazywaliśmy go po prostu *Yaycamp*. Wiedziałam, że Maude Caroline jest tam dzisiaj, prawdopodobnie prując jak mała brązowa rybka wody tego błękitnego jeziora, które tak kochał jej dziadek... i w których umarł. Piotr wypłynął na „Annie”, a co do Happy — nie wiedziałam gdzie się podziewa, wiedziałam tylko, że jej nie ma. Najczęściej zabierała rano samochód i wyjeżdżała koło dziesiątej, a wracała koło trzeciej czy czwartej, akurat na czas by dopilnować kąpieli, popołudniowego posiłku Sally i wypić drinki na werandzie z Piotrem i ze mną.

Gdy pytaliśmy gdzie była, odpowiadała na ogół:

— W okolicy. Po sprawunki gospodarskie tu, po wypieki tam. Lubię być w ruchu.

Rzadko więc ponawialiśmy pytania. Moja droga Happy; rzeczywiście lubiła być w ruchu.

Czasem gdy chodziliśmy na drinka do tego czy innego domu na letnisku, towarzyszyła nam, nie często jednak. Niewiele było domów w Zaciszu, w których Happy miała przyjaciół. Nie nalegałam, gdy nie chciała brać z nami udziału w tych wieczorowych wizytach. Kiedy bowiem wypijała o parę kieliszków za dużo, stawała się równie groźna jak wówczas, gdy była zagrażającą napadami złego humoru nastolatką. Nigdy nie było wiadomo co może powiedzieć. Nie znosiłam tych wieczorów; Piotr także

ich nienawidził; całymi dniami trzymał się potem zimno z daleka, a Happy była nieszczęśliwa. Nieczęsto więc chodziła z nami.

Gdy nie piła zbyt wiele, bywała tego lata dobrym towarzyszem. Radość Piotra z Seana przelała się na nią i jeśli była zazdrosna o uwagę, którą ojciec poświęcał wnukowi — a widziałam, że była — to rozważnie nie okazywała tej zazdrości Piotrowi. Sean sam był wobec niej bezceremonialnie czuły, tak jak wobec każdego, z wyjątkiem, jak myślałam, swego ojca. Jeśli, rzadko zresztą, widywałam mego wnuka w towarzystwie Tommy'ego O'Ryana, ten ostatni objawiał ostentacyjną hałaśliwość w sposobie bycia, jakby jakaś mania współzawodnictwa wrzała tuż pod powierzchnią jego szorstkiej *jolie de vivre* — uważałam, że jest równie zazdrosny o syna jak Happy, ale z innych powodów i odczuwałam pewną pogardę i zażenowanie w obecności tego podskórnego prądu. Z wyjątkiem swych błyszczących rudoblonde włosów i dwóch głębokich pionowych dołków w policzkach, Sean był w każdym calu Chamblissem, w każdym calu obrazem swego dziadka, zarówno w wyglądzie jak w sposobie bycia. Wkraczał pewną nogą i bez zastanawiania się tam, gdzie jego ojciec nie potrafiłby wkroczyć. Zdawałam sobie sprawę, że Tom O'Ryan nie mógł tego znieść, nawet gdy się rozpromieniał i wykorzystywał to jako najbardziej skuteczny klin wbijany w świat, do którego na mocy urodzenia należała jego żona. Ta niewypowiedziana nienawiść budziła we mnie lęk. Któregoś dnia — myślałam — da nam się we znaki. Sean ze swej strony był spokojny i zamknięty w sobie, nie do rozszyfrowania w obecności ojca, przynajmniej przy mnie i przy Piotrze. O czasie, który spędzali wspólnie w małym domku, który kupiliśmy dla nich w Saugus, gdzie zawiodła ich ostatnia praca Tommy'ego, Happy mówiła nam tylko:

— Współżycie jego z ojcem nie bardzo się układa. Tommy potrzebuje małej dziewczynki, która adorowałaby go tak, jak Sean uwielbia tatusia. Cały czas mi o tym mówi.

I uśmiechała się głębokim i smutnym uśmiechem.

Mój Boże, Tommy O'Ryan. Jakże ten przystojny szarlatan ciążył nad nami, nawet gdy go nie było. Nie myliłam się co do tego od pierwszego dnia, gdy go zobaczyłam. Na swój sposób dawał odczuwać stałą obecność, tak jak Piotr czy Elżbieta Potter. Nikt w grupie ludzi, wśród których się znajdował, nie mógł odwrócić od niego spojrzenia. Do ostatniego dnia, w którym go widziałam pozostał jednym z najprzystojniejszych mężczyzn jakich znałam. Widziałam obcych, zarówno kobiety jak i mężczyzn, którzy oglądali się za nim na ulicy. Czasem, gdy się patrzyło na niego z bliska, gdy śmiał się swym pięknym tenorowym śmiechem a jego białe zęby połyskiwały i świecąca czerwonołosa głowa odrzucona była do tyłu lub gdy słuchał cię z uwagą, z pochyloną głową i utkwionymi w tobie oczami, po prostu wstrzymywałaś oddech. Rozumiałam wtedy dlaczego Happy drżała czasem z czystej, niemal fizycznej ekstazy w jego obecności. Nawet gdy ich wzajemne stosunki układały się najgorzej, zawsze był ten ciepły, niewidoczny prąd cielesny pomiędzy nimi dwójkiem, który mówił o wspólnych nocach miłości. Nawet wówczas, gdy wzbudzał we mnie

najsilniejszy gniew, mogłam zrozumieć dlaczego moje dziecko nie może go opuścić. Czy nie czułam tego samego wobec Piotra od pierwszego wieczora, gdy go poznałam? Co — myślałam często — zrobiłabym, gdyby Piotr był Tommym O'Ryanem? Nie mogłabym od niego odejść tak jak i Happy.

Ale nie potrafił zachować żadnych dobrych uczuć, które wzbudzał. Tommy O'Ryan nie znał granic i nie wyczuwał ich u innych. W jakimkolwiek bądź czasie, w jakiegokolwiek grupie ludzi, jakby szatan go kusił do przekraczania granic dobrego smaku i wrażliwości, a często nawet zdrowego rozsądku, a jego apetyt na to, co często i głośno nazywał dobrym życiem, był bez dna. Przechwalał się, nadymał, chełpił, przybierał miny, gdy odwiedzał nas w Northpoint lub w Zaciszu, aż wreszcie Piotr odmówił mu prawa wstępu do obu domów. Zrażał mieszkańców Zacisza hałaśliwością i poufałością, oburzał nawet Parkera Pottera swym opilstwem i słownictwem, oraz skandalicznie zalecał się do każdej kobiety poniżej sześćdziesiątki, z wyjątkiem Grety Winslow, którą nazywał — w jej obecności — zimną suką.

Gdy Piotr usłyszał od zaambarasowanego Guilda Kennedy'ego, że Tommy oszukiwał w pokerze podczas uświęconego Męskiego Środowego Wieczoru w jachtklubie, zagroził, że wydziedziczy Happy, jeśli jego zięć jeszcze raz zjawi się w Zaciszu. Tak więc przywoził tylko do Liberty i odwoził Happy i Seana. Rzadko go widywaliśmy, ja prawie wcale. Wiem, że Piotr widywał go od czasu do czasu, gdyż Tommy porzucał każdą kolejno pracę i wciąż okazywały się potrzebne nowe rekomendacje Piotra.

Myślę, że przestałby w ogóle pracować i żyłby z tego, co nazywał „prawami pierworództwa” Happy, gdyby Piotr nie był związał części spuścizny po Annie przypadającej Happy w nierozdzielalnym funduszu powierniczym i nie ustanowił, że jedynie średni dochód będzie jej co miesiąc przekazywany. Zrobił to po spotkaniu z Tommy O'Ryanem, na długo przed dwudziestymi pierwszymi urodzinami Happy. Co do darowizn pieniężnych dla niej, po prostu ich nie robił. Będzie, powiedział z ponurym grymasem, szukał pracy dla Tommy O'Ryana, gdy tylko ten straci poprzednią i jest przygotowany do szukania tych prac aż do czasu, gdy „piekło zamarznie”; będzie też łożył na wykształcenie Seana, zapewni mieszkanie, samochód oraz opiekę lekarską, gdy zajdzie potrzeba. Ale dopóki Happy będzie żoną Tommy O'Ryana, będzie otrzymywała swój spadek w formie prezentów, które zaspokoją poszczególne potrzeby. Jeśli to jej nie odpowiada, może się z nim rozwieść. W innym wypadku musi po prostu czekać aż Piotr i ja umrzemy, by móc zapewnić Tommy'emu styl życia do jakiego aspirował, a nawet wówczas będą istniały sposoby uchronienia większej części tego, co nazywał jej „pierworództwem” od wpadnięcia w te silne, kształtne irlandzkie ręce.

Happy złościła się i dąsała ale Piotr był stanowczy. I tak przez wiele lat Tommy O'Ryan był z nami tylko we włosach i dołęczkach swego syna, w czekach, które Piotr wysyłał, gdy przychodziły rachunki lekarzy i dentystów, w nieuchronnych telefonach od naszych znajomych, którzy

go zatrudniali, w dygoczącym ciele i miękko rozluźnionej twarzy jego żony, a naszej córki. Ale był z nami.

— Jest, był i zawsze będzie — mówił Piotr zamykając miękki, stary skórzany portfel należący jeszcze do jego ojca, po załatwieniu kolejnego żądania ze strony doktora czy dentysty Seana lub Happy. — Na wieki wieków, amen.

— Mogło być gorzej — zauważyłam raz w ciągu tego lata.

— Jak?

Nie odpowiedziałem.

To było któregoś dnia w lipcu, zaraz po zakończeniu czwartolipcowych regat. Tego dnia przyszła Elżbieta Potter Villiers i powiedziała szlochając, że jej ojciec próbował zabić matkę pogrzebaczem i proszę, Piotrze, przyjdź szybko. I znów Piotr wziął ją za rękę i pobiegł z nią do Pięknego Brzegu, a ja za nimi, z sercem ściśniętym strachem, że tym razem Parkerowi mogło się to udać.

Gdy dobiegliśmy do Pięknego Brzegu, znaleźliśmy Parkera na podłodze wymiotującego przed zimnym kominkiem i Amy bezskutecznie próbującą go podnieść. Pogrzebacz tkwił w swym żelaznym stojaku. Piotr rzucił Elżbiecie szybkie spojrzenie, ale nic nie powiedział. Spłonęła i odwróciła się. Piotr uniósł Parkera za ramiona i postawił na nogach, a potem poprowadził, potykającego się, do dolnej sypialni. Choć monstrialnie spuchnięty od trujących płynów, które napełniały jego brzuch i kończyny, Parker był tak wysuszony, że Piotr unosił go lekko, jak worek suchych patyków. Amy odgarnęła siwe włosy z zalanej łzami twarzy i próbowała się uśmiechnąć do nas.

— Przepraszam, że znów zostaliście w to wmieszani — powiedziała zadziwiająco mocnym, choć głęboko znużonym głosem. — Prosiłam Elżbietę, żeby do was nie biegła. Tym razem to był tylko drugi czy trzeci alarm. Nie sądzę by mógł wyciągnąć pogrzebacz ze stojaka, a tym mniej uderzyć kogoś.

Uścisnęłam ją i powiedziałam:

— Nic się nie stało. Po to przecież tu jesteście.

— Oczywiście — powiedział Piotr, wracając.

— Nie — odparła Amy. — Tak nie jest. Nikt nie powinien robić tego, do czego was wzywamy. To był błąd przywozić go tutaj, ale lekarz powiedział, że to może być jego ostatnie lato.

— Mam nadzieję — powiedziała niskim, zimnym głosem Elżbieta. — Mam nadzieję, że to będzie jego ostatni tydzień. Nie jest już nawet człowiekiem. Nie mówiąc o tym, że nie jest ojcem. Nigdy zresztą nie był.

— Lizzie — zaczęła Amy, ale wtedy Elżbieta wybuchnęła płaczem i rzuciła się Piotrowi w ramiona. Trzymał ją delikatnie i poklepywał po plecach patrząc bezradnie na mnie ponad jej trzęsącą się rudą głową.

— Wiem, że to było głupie, że po ciebie pobiegłam, Piotrze — szlochała na jego ramieniu. — Ale zagroził, że zabije mamę pogrzebaczem i wiem, że zrobiłby to gdyby mógł... Boję się go. Nie czuję się bezpiecznie z nim w domu.

— Kochanie, tatuś od dawna nie może cię już zranić — Amy rzekła łagodnie, ale Elżbieta potrząsnęła głową. Jak mogła nie czuć się bezpiecznie z tym biednym straszylkiem? — pomyślałam zdenerwowana przez chwilę. Najwyraźniej czuła się bezpiecznie z niektórymi najbardziej niebezpiecznymi mężczyznami w Europie. Ale potem przypomniałam sobie słowa Miss Lottie — „Elżbieta nigdy nie będzie się czuła bezpiecznie” — i pomyślałam, że to, co Elżbieta mówiła o bezpieczeństwie w mniejszym stopniu dotyczyło fizycznego zagrożenia ze strony Parkera niż pierwotnej więzi między ojcem i córką, której nigdy nie było. Miała rację; Parker nigdy nie był dla niej ojcem.

Jakby odczytując moje myśli, Amy powiedziała:

— Nigdy właściwie nie znała ojca. Już go nie obchodziła, gdy przyszła na świat. Myślę, że tego właśnie szukała przez te wszystkie lata... Przykro mi, że tak szuka oparcia w Piotrze tego lata; sądzę, że stał się dla niej jakby zastępstwem Parkera. Porozmawiam z nią. Już za duży ciężar złożyliśmy na was dwoje.

— Ja też przepraszam — wtrąciła Elżbieta podnosząc głowę i patrząc na Piotra, a potem przenosząc wzrok na mnie. W tej chwili jej twarz była wyzbyta wszelkiego innego wyrazu poza utratą, tęsknotą i strachem; poczułam jak ogarnia mnie litość. Wyglądała jak przestraszone dziecko. Jakim — pomyślałam — w istocie była.

— Nie trzeba przepraszać — powiedział Piotr wykręcając jej nos. — Przez długi czas nie mogłem odgrywać Galahada. Moje dwie kobiety to twarde sztuki.

Spojrzałam na niego, potrząsając głową z żartobliwym wyrzutem. Odczuwałam jednak lekki szok. Czy naprawdę tak o mnie myślał? A jak mógł tak myśleć o swojej niezrównoważonej, znękaney córce?

— Pozwólcie więc, że zrobię drinka jako ofiarę złożoną dla pojednania — zaproponowała Elżbieta, lecz ja odmówiłam.

— Sally może się teraz obudzić i Maude Caroline wraca z obozu, a nie sądzę by Happy była już w domu — wyjaśniłam. — Może kiedy indziej?

— Ja wypiję szybko i zobaczę, co z twoim ojcem — powiedział Piotr, a Amy i Elżbieta uśmiechnęły się obie z wdzięcznością. Chyba od dawna żadna z nich nie miała przyjemności wypić towarzyskiego drinka z kimś, kto jak Piotr, był w pełni i niewymuszenie sobą.

— Dobra myśl — rzekłam i ucałowawszy Amy i Elżbietę wróciłem do Liberty. Gdy wstępowałam na kamienny stok usłyszałam za sobą odrodzony śmiech Elżbiety i głęboki, przebogaty Amy. Dzięki ci, kochany, powiedziałam w myślach do Piotra.

* * *

W połowie sierpnia urządziłam koktajlowe przyjęcie dla Elżbiety Potter Villiers. Taki był zwyczaj w Zaciszu, gdy bliski przyjaciel przyjeżdżał w odwiedziny do rodziny lub przyjaciół, a poza tym wiedziałam, że Amy bardzo pragnęłaby urządzić je sama, by wprowadzić

z powrotem Elżbietę do groma letników, nie miała jednak odwagi tego zrobić wobec stanu Parkera.

To było wielkie przyjęcie. Nałożyłam sobie nawet wędzidło i zaprosiłam Winslowów. Młody Freddie adorował Elżbietę gdy oboje mieli po kilkanaście lat, nawet wtedy, jak pamiętam, gdy miłość jej i Piotrusia była najgorętsza; zawiązała też kilka lżejszych przyjaźni wśród młodzieży w jej wieku przebywającej na letnisku. Wszyscy chcieli ją zobaczyć. Zaprosiłam więc po prostu wszystkich. Większość przyszła, wiedziona bądź ciekawością w stosunku do Elżbiety, bądź lojalnością wobec Amy, trudno mi było odgadnąć. Byłam zadowolona ze względu na Amy, że przyszli.

To było piękne przyjęcie, z dekoracją późnych kwiatów i japońskich lampionów i odbywało się nawet na trawniku. Zachód słońca nad zatoką miał tego wieczora barwy krwistej czerwieni, pomarańczowej i głębokiej, złotem obrzeżonej purpury — niezapomniane. Był jesienny zachód słońca. Wszyscy wylegli przed dom i pozostali tam do zmierzchu, pomimo chłodu. Wydaje mi się, że niewiele mieliśmy tak pięknych dni jak ten. Nawet Micah Willis, który przyszedł z Krystyną, Kalebem i jego żoną z Bucksport oraz małym synkiem Micahem — ostatnim, zdecydowanie najbardziej ukochanym owocem tego małżeństwa i kopia dziadka — wypowiedział uwagę o tym zamieraniu słońca.

— Nie widziałem takiego ognia od lat — stwierdził. Gdy się zdarzał taki zachód mój ojciec zwykł był mówić, że to diabeł pali swoje śmieci. W dawnych czasach ludzie myśleli, że ta czerwień i purpura przywołuje zorzę polarną. Nie byłbym zdziwiony, gdybyśmy ją zobaczyli niedługo, którejs nocy.

— Och, mam nadzieję — odezwała się Elżbieta. — Nie pamiętam, żebym ją kiedykolwiek widziała.

— Ja widziałam, wiele razy — zapewniła Happy. Trzymała w ręku coś, co wyglądało na szklanekę czystej bursztynowej whisky; próbowałam uchwycić jej spojrzenie, by ją ostrzec przed wypiciem zbyt wiele. Patrzyła jednak na Elżbietę.

— Tatusz zabierał mnie łodzią, żebym ją mogła lepiej widzieć — oznajmiła. — Nigdy nie jest tak piękna, gdy się ją ogląda z łądu, jak widziana na wodzie.

Piotr spojrział na nią obojętnie i uśmiechnął się. Wiedziałam, że nigdy nie wypłynął z Happy łodzią, by obserwować zorzę północną.

— Och, Piotrze, jeśli pokaże się tego lata, czy zabierzesz mnie na wodę? — wykrzyknęła Elżbieta. — Tak bym chciała zobaczyć zorzę. Nie sądzę, by to było możliwe w Europie.

— O Boże, Elżbieto, przecież Skandynawia to jej prawdziwa ojczyzna — prychnęła Happy. — Co za głupstwa mówisz.

Elżbieta zaczerwieniła się, a Piotr powiedział:

— Oczywiście, że cię zabiorę, jeśli będzie dostatecznie długo widoczna. Czasem po prostu zapala się i zaraz gaśnie.

— Twoja matka i ja widziałyśmy ją tej nocy, gdy się urodziłaś

— wtrącałam. — Czy nigdy ci tego nie mówiła? Jesteś dosłownie urodzona pod zorzą polarną.

— No tak, tru-tu-tu — powiedziała Happy sarkastycznie.

— Nie — odrzekła Elżbieta. — Chyba nigdy mi nie mówiła.

Gdy wróciliśmy do Liberty, był tam Parker Potter; pół siedział, pół leżał na wyplatanej kanapie, ubrany w rozchełstany płaszcz kąpielowy i nic poza tym, pił whisky z na pół opróżnionej butelki. Goście zamilkli. Wyglądał strasznie, jak trup, jak śmiertelnie chory, obscenicznie, ze skurczonym penisem, obnażonymi jądrami i monstrualnym sterczącym brzuchem przeświecającym rybią bielą spod płaszcza. Amy wstrzymała oddech i rzuciła się ku niemu, Elżbieta wydała krzyk trwogi i zabulgotała jej w gardle. Piotr ruszył ku niemu za Amy. Nikt więcej nie drgnął.

— Niech go piekło pochłonie — powiedziała Elżbieta głębokim, drżącym głosem. — W jaki sposób tu się dostał? Sonny Norton miał nad nim czuwać.

Właśnie wtedy Sonny Norton, ogromny młody mężczyzna, który pracował w tym roku jako pomocnik kierownika poczty i od dawna pomagał Amy przy Parkerze wykonując różne posługi w Pięknym Brzegu, wbiegł do pokoju. Miał pod okiem gwałtownie puchnące rozcięcie, krew zaschła na jego twarzy i koszuli.

— Jezu, jak mi przykro, pani Chambliss — wyjąkał. — Uderzył mnie butelką i zanim zdążyłem się pozbierać, wyszedł.

Parker rozejrzał się po pokoju pełnym przyjaciół i sąsiadów, spojrział potem na wahającą się żonę, na Piotra, który usiłował obciągnąć płaszcz na jego brzuchu i uśmiechnął się szeroko i strasznie. A potem zamachnął się butelką whisky i cisnął nią Amy w twarz. Osunęła się nie wydawszy głosu.

Salon napełnił się wybuchem przestraszonych głosów i ruchem. George Stallings pochwycił Amy nim zdążyła upaść na podłogę i wyciągnął ją na werandę. Micah Willis i Piotr zachłapani whisky przytrzymali Parkera za ramiona. Tłum ruszył w kierunku milczącej grupy jak fala, a potem zatrzymał się, niezdecydowanie, gdy Kaleb Willis uniósł dłoń nakazując ciszę.

— Proszę, niech państwo wrócą do domów — powiedział swym głębokim głosem, tak bardzo przypominającym głos ojca. — Jeśli jest tu Frank Stallings, może ktoś mógłby przynieść jego torbę a on zająłby się panią Potter. Nie wydaje się, by była poważnie zraniona, ale trzeba zbadać. Wiem, że pani Chambliss będzie wdzięczna, jeśli wszystko się tu uspokoi. Na pewno wkrótce zadzwoni do wszystkich i da znać jak się czuje pani Potter.

— Dziękuję, Kaleb — powiedziałam wśród zamierającego szmeru, próbując przetrzeć sobie drogę przez tłum do Amy. Micah i Piotr zabrali Parkera do naszej wielkiej sypialni za kuchnią, a George Stallings umieścił Amy na werandzie. Widziałam, że poruszała słabo rękami, powieki jej opadały. Na policzku miała czerwoną plamę i tylko cienki strumyk krwi przecinał jej białą skórę.

Happy tkwiła nieporuszona przy barze, pijąc whisky obserwowała Elżbietę.

Elżbieta stała na środku werandy patrząc na matkę; nagle zaczęła krzyczeć.

Frank Stallings, lekarz, który przyjechał w odwiedziny do swych rodziców, Alberta i Luizy, nadbiegł właśnie ze swą lekarską torbą i pochylił się nad Amy.

— Niech ktoś wymierzy Elżbiecie policzek — powiedział — a potem dam jej środek uspokajający. Reszta niech się wycofa i da nam trochę powietrza. Najlepiej rozejdźcie się, tak jak Kaleb radził.

Goście zaczęli wychodzić rozmawiając między sobą przyciszonymi głosami, a Elżbieta nadal wydawała oderwane krzyki, prawie jak automat. Oczy miała zamknięte i bladą jak papier twarz. Happy odstawiła kieliszek, podeszła do niej i uderzyła ją w twarz tak mocno, że zakołysała się na wysokich obcasach. Elżbieta zachłystnęła się powietrzem, przestała krzyczeć i otworzyła oczy, które za chwilę zwięziły się w szparki. Wyglądała teraz jak Meduza, jakby chiński tygrys. Wstrzymałam oddech, a Happy wymierzyła jej jeszcze jeden policzek, równie mocno jak poprzednio, uśmiechając się lekko zdawkowym uśmiechem.

— Koniec z płaczem, Elżbieto? Chętnie zrobię to jeszcze raz — powiedziała. Elżbieta wydała dźwięk przypominający czajnik, który zaczyna gwizdać, odchyliła ramię do tyłu i nagle zatrzymała się, patrząc ponad głową Happy. Idąc za jej spojrzeniem, ja i wszyscy pozostali zobaczyliśmy Piotra stojącego w drzwiach kuchni i patrzącego nieruchomo na Elżbietę i swoją córkę.

Elżbieta zamarła z kredowo białą twarzą zmarszczoną od płaczu, a potem pobiegła wprost w ramiona Piotra. Podtrzymał ją i spojrzał na Happy. Przez długą chwilę słychać było jedynie zachłystujący się szloch Elżbiety.

— Czy musiałaś uderzyć ją aż tak mocno? — zapytał Piotr. Jego głos był spokojny, ale przerażający. Nie pamiętam czy kiedykolwiek słyszałam, by mówił takim głosem. Twarz Happy zaczęła się powoli roztopiać jakby ktoś przystawił do niej świecę.

— Doktor Stallings kazał — powiedziała wibrującym głosem małego dziecka.

— Na pewno nie kazał jej znokautować — odparł Piotr.

— Och, Piotrze, zabierz mnie do domu, chcę iść do domu — łkała Elżbieta, a gdy nie odpowiedział, spojrzała mu prosto w twarz. Z jakiegoś powodu widok tych dwóch głów tak blisko siebie, tych dwóch twarzy o cal przy sobie, uderzył mnie jak cios pięścią. Wyglądali jak... jak z jednej bryły, wyrzeźbieni z tego samego połyskliwego kamienia. Błysnęła mi nagle w myślach scena z dzieciństwa Elżbiety, wyraźna i żywa. Piotr w jachtklubie, pijący poncz, pochylony, szepczący coś do ucha dziewięcioletniej Elżbiety i głos starej Augusty Stallings mówiącej głośno: „Spójrzcie na tych dwoje. Podobni jak ziarnka grochu. Ona powinna być twoja Piotrze; poza tą rudą głową nie ma w niej nic z Parkera”.

— Więc pójdiesz, kochana — powiedział Piotr do Elżbiety i obejmując ją ramieniem zwrócił się w kierunku drzwi. Pozbawiona tchu z lęku i czegoś jeszcze, czego nie umiałabym nazwać, patrzyłam niemo za nimi. Wszyscy patrzyli. Usłyszałam szept Grety Winslow:

— Wygląda na to, że Piotr ma tego lata na swoich barkach drugą wrażliwą córkę, prawda?

A potem usłyszałam śmiech Happy. To był brzydki śmiech.

— Córkę? — powiedziała. — To pani ma na myśli, Mrs. Winslow? Ona jest na barkach tatusia, to prawda, ale nie nazwałabym jej córką!

Cisza w pokoju podobna była do ogłuszającego dźwięku. Piotr zatrzymał się i spojrzął na Happy.

— Idź na górę do swego pokoju, Kamilo — odezwał się tym nowym lodowatym głosem. — Porozmawiam z tobą później.

— Nie możesz mi już więcej rozkazywać — zapiszczała. — Jestem dorosłą kobietą i mam syna; nie możesz mi mówić co mam robić!

— Idź — powtórzył, odwrócił się i wyszedł z płaczącą Elżbietą u ramienia. Nikt się nie odezwał.

Happy pomknęła po schodach i z hukiem zatrzaskała za sobą drzwi.

Oczywiście wszyscy potem wyszli. Frank i George Stallings zabrali Amy do domu i wkrótce pozostali tylko Micah i Krystyna Willisowie. Pomyślałam z rozpaczą, że, nawet gdybym próbowała, nie mogłabym wyobrazić sobie bardziej niszycielskiej i przerażającej sceny. Nikt mi oczywiście o niej nie wspomni później, ale nikt jej także nie zapomni. To będzie jedna ze szkaradnych, wciąż żywych nici w osnowie gobelinu Zacisza. Historia opowiadana i powtarzana wciąż od nowa przez lata. Może straci coś ze swej aktualności, ale na pewno nie straci nic ze swego znaczenia. Podniosłam głowę i spojrzałam na Micaha i Krystynę, którzy przynieśli tacę z kawą i postawili ją przede mną na stole.

— Chamblissowie dodali właśnie swoje hieroglify do innych na ścianie jaskini — powiedziałam ciężko. Byłam tak zmęczona, iż myślałam, że nigdy się już nie podniosę. Krystyna nalała kawę, a Micah mi ją podał. Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, a potem rzekł:

— Myślę, że to nie są twoje hieroglify, Maude. Raczej pani Villiers. Piotra też, jeśli o to chodzi. Nikt nie odczyta tam twego imienia.

— Happy nie spisała się za dobrze — powiedziałam.

— Nie. Nie myślę, że za dobrze — zgodził się. — Ale to nie o Happy będą mówić na lotnisku; jeśli to właśnie cię martwi. Happy nie jest niczemu winna poza tym, że potrzebuje ojca. Może jest na to trochę za duża, ale to nie jest nienaturalne. Im szybciej woda rozdzieli panią Villiers i Zacisze, tym lepiej będziemy się wszyscy czuli. Nie bądź zbyt surowa dla Happy, Maude. I na miłość boską, nie bądź też zbyt surowa dla siebie. Jeśli ma się obrzucić kogoś błotem, to trzeba celować we właściwą osobę.

— Micah ma rację — wtrąciła Krystyna, kładąc mi rękę na włosach i odgarniając je z mojej twarzy. — Nie trzeba być geniuszem, żeby widzieć, kto tu jest wilkiem w owczej skórze. Odpocznij trochę, a pani Potter niech

się zajmie swoją rodziną. Nie ma żadnej potrzeby, żeby Piotr to robił, a już ty z pewnością nie.

Wstałam, ucałowałam z wdzięcznością jej policzek i uściśniłam twardeą brązową dłoń Micaha. Wyszli, a ja usiadłam znowu, ocięzała i wydrażona od wewnątrz. Sean wrócił właśnie z tańców dla młodzieży w jachtklubie, przyjrzał mi się bacznie w milczeniu, wziął sobie szklanekę mleka, kawałek ciasta i wrócił do pokoju.

— Wszystko w porządku, babciu?

— Kładź się do łóżka, kochanie — powiedziałaś tępo. — Nie jestem dziś zbyt dobrym towarzystwem. Była okropna scena z panem Potterem, a twoja mama i dziadek pokłócili się. Dziadek odprowadził panią Villiers do domu i byłoby lepiej, żebym porozmawiała z nim sama, kiedy wróci. Wszystko wróci do normy rano.

Nabrał nagle smutnego, opuszczonego wyglądu.

— Och, babciu Maude — powiedział niskim, ściśniętym głosem. — Mama zabierze mnie do domu. Wiem, że tak będzie. Zawsze tym grozi, gdy ona i dziadek się pokłócą, albo gdy myśli, że on jest dla niej podły. Ostatnim razem powiedziała, że jeśli się to powtórzy, pojedziemy do domu i nigdy więcej nie przyjedziemy do Zacisza. Och, jej...

Łzy pokazały się w jego szarych oczach; odwrócił twarz. Wyciągnęłam rękę i ujęłam jego dłoń.

— Kochanie, twoja mama tego nie robi — zapewniłam. — Nie pozwolimy jej na to. Twój dziadek na to nie pozwoli. Wszyscy wiemy, ile dla ciebie znaczą wakacje tutaj. To jest twoje miejsce; po prostu żadne lato bez ciebie tu się nie uda.

Spojrzał mi wtedy prosto w twarz; chude, ogorzałe od słońca dziecko z pięknymi szarymi oczami i bólem, prawie nie do zniesienia, w twarzy. To była w tym momencie twarz stanowczo zbyt stara jak na małego chłopca. Czują jak łzy napływają i do moich oczu. Zamrugał i znów odwrócił głowę. Gdy się odezwał, mówił jakby w dal.

— Ty nie wiesz — rzekł prawie szeptem. — Ty po prostu nie wiesz jak wyglądają zimy, babciu. Nienawidzę ich. Nienawidzę każdej minuty, podczas której nie jestem w Zaciszu. Mama i tatuś... razem, oni są... ja nie wiem. Nie tacy jak inni rodzice. Nie widzisz ich, ale oni nie są tacy jak inni rodzice. Gdybym nie mógł przyjeżdżać do Zacisza i być z tobą i z dziadkiem w lecie, myślę, że umarłbym. Chciałbym... chciałbym zostać tu na zawsze.

Twarc mu się wykrzywiła.

— I zostaniesz — powiedziałaś, przyciągając go do siebie, tak, by nie widział moich łez. Do diabła z Happy, do diabła z Tommy O'Ryanem, nie zasługują na tego syna o wielkim sercu. Dlaczego nigdy się nie zastanawiałam jak wyglądają jego zimowe miesiące w małym obskurnym domu w Saugus? Dlaczego nigdy nie pomyślałam o tym, żeby zamieszkał z nami, albo zaczął mieszkać w Northpoint?

Ale znałam odpowiedź. Tommy O'Ryan nie zgodziłby się na to, a był przecież ojcem Seana. Nic nie mogliśmy zrobić. Zrobimy więc wszystko, by wakacje były lepsze, ja i Piotr.

— Bardzo cię kochamy, najdroższy, twój dziadek i ja — powiedziałam.
— Ja też was kocham — zawołał głosem przytłumionym przez mój uścisk. Potem pociągnął nosem z westchnieniem, mocno mnie ucisnął i oderwał się ode mnie.

— Lepiej pójde spać — powiedział. — Dziadunio obiecał, że płyniemy jutro do Wyspy Sarenki jeśli pogoda się utrzyma. To znaczy... czy myślisz, że jeszcze będzie chciał?

— Chyba żartujesz? Najdziksze konie nie powstrzymałyby go — odpowiedziałam uśmiechając się, a on pocałował mnie lekko na pożegnanie i pobiegł na werandę, na której spał, przeskakując po dwa stopnie na raz. Usiadłam z powrotem i czekałam na Piotra.

Wrócił w pięć minut później.

— To powinno uspokoić wszystkich na jakiś czas — powiedział siadając ciężko na sofie koło mnie i sięgając po kawę. — Frank dał wszystkim trojgu środki uspokajające i zaraz rano pójdzie zobaczyć jak się czują. Ja także. Amy będzie musiała oddać Parkera do szpitala. Ona nie jest w stanie dłużej tego znieść, tak samo jak Elżbieta.

Milczałam przez chwilę, a potem poprosiłam:

— Piotrze, myślę, że powinieneś przestać tam chodzić na każde wezwanie Elżbiety. Ktoś inny będzie musiał to robić po tym, co zaszło dzisiaj. To po prostu... zbyt wiele kosztuje nas wszystkich.

Spojrzał na mnie.

— Bierzesz poważnie te bzdury, którymi bluzgała Happy, Maude? — rzekł wreszcie głosem, w którym zabrzmiała ta zimna martwa nowa nuta, którą zauważyłam już wcześniej.

— Wiesz przecież, że tak nie jest — odparłam. — Wiesz o tym. Ale kochany... to jest takie małe miejsce. Ludzie źle rozumieją. Ludzie już gadają. Twoja matka powiedziała mi kiedyś, że w Zaciszu jak nigdzie indziej na świecie pozory znaczą wszystko i wreszcie zaczynam widzieć, że to prawda. Nie chcesz przecież by twoi przyjaciele mówili za twoimi plecami o twoim... związku z Elżbietą Villiers, choćby tylko przez wzgląd na Happy i Seana. Dla Happy to jest straszne; wiesz przecież, że jest zazdrosna o Elżbietę. Po co ją na to narażać? Odkryłam właśnie dziś wieczorem, że twoje z nią kłótnie uderzają w Seana. Pozwól, że ci powiem...

— Nie będę o tym dyskutował — odrzekł wstając. — Nie mogę uwierzyć, że to mówisz. Elżbieta jest... dzieckiem. Dzieckiem, Maude. Czy mogę się odwrócić od dziecka, które mnie potrzebuje?

Spojrzałam na niego ze zdumieniem.

— Piotrze — powiedziałam. — Tak właśnie postępujesz wobec Happy przez całe jej życie.

Pomyślałam, że rozgniewa się na mnie, ale usiadł z powrotem i wziął moje ręce w swoje.

— Maude, spróbuję, może będę umiał ci powiedzieć co czuję w związku z Happy — rzekł zmęczonym głosem. — To jest tak, jak było z Piotrusiem; mogę kochać ich oboje i kocham, ale po prostu nie

wytrzymuję ciśnienia tej ich ciągłej potrzeby; jest zbyt ciężka i zbyt stała; nie mogę sprostać im i samemu oddychać. Mam czasem uczucie, że ten... brak mnie zadusi. Muszę się cofnąć, inaczej umrę. Oni mają ciebie; nie jestem im aż tak bardzo potrzebny, nie przez cały czas... Moja matka trzymała mnie zawsze lekką ręką, nie trzymała się mnie kurczowo. Ty też nie, nigdy tego nie robiłaś. Kochasz mnie, ale nie potrzebujesz mnie śmiertelnie...

Siedziałam wciąż patrząc na niego. Nie było nic do powiedzenia. Potrzebuję ciebie, płakało w milczeniu moje serce. Zawsze cię potrzebowałam. Zawsze będę cię potrzebowała. Kocham cię i potrzebuję cię, czy tego nie widzisz? Dlaczego tego nie widzisz? Zawsze jesteś tu, by mnie kochać, ale często nie zauważasz mnie, nawet, gdy cię potrzebuję. To nie twoje ręce dźwigają mnie wtedy...

Pomyślałam o tym, czyje ręce mnie podtrzymują, zawsze mnie podtrzymywały i odrzuciłam tę myśl. Był jeden wiersz w poemacie Roberta Frosta, który szczególnie lubiłam: „Miłość z potrzebą gdy w jedność spleciona, a trud — zabawą ostatecznościami...”

Piotr nie lubiłby tego poematu. Ciężałby za dużo na jego sercu.

0, Mamo Anno, pomyślałam smutno. Okaleczyłaś swego syna twą straszną siłą. Przez całe życie uciekał przed siłą twego uścisku: to suma tego, czego się od ciebie nauczył.

— Dobrze — powiedziałam — zastanów się czy nie mógłbyś wynagrodzić tego Happy rano. Byłaś bardzo dla niej surowy, wobec wszystkich. Zrób to dla Seana, jeśli nie możesz tego zrobić dla niej czy dla mnie. On będzie cierpiał, jeśli tego nie zrobisz. Zrozumiałam to dzisiejszego wieczora.

— Co masz na myśli? — zapytał.

1, dobry Boże, nie powiedziałam mu. Odparłam tylko:

— Później, proszę, kochany. Ja już prawie umieram.

Nie powiedziałam mu.

* • *

Gdy obudziliśmy się, szare chmury gnały pędzone wiatrem, a zatoka wzdymała się falami. Micah, który przyszedł z drewnem do kominka powiedział, że przez radio zapowiadają sztorm na wybrzeżu, pierwszy z jesiennych sztormów, i że żadna łódź rybacka nie wypłynęła na połów homarów. Deszcz i silny wiatr może spaść w południe.

— Dzień do siedzenia przy ogniu i czytania książki. — Uśmiechnął się do mnie, jakby wczorajsza noc nie była naznaczona zniszczeniem.

— To właśnie mam zamiar robić — powiedziałam. — Może byćście przyszli z Tiną posiedzieć z nami przy kominku po obiedzie? Piotr przywiózł trochę Courvoisiera z Ellsworth.

— Zrobione — rzekł. — Czy tutaj ze wszystkimi w porządku?

— Tak więc wydaje — odparłam. — Piotr pojechał do Castine po coś do „Anny” od Pengallena, Happy myślę, że śpi i słyszałam jak Sean

wychodził o świcie. Miał żeglować z Piotrem, ale pewnie go spotkał wracając z jachtklubu i pojechał z nim do Castine. Z pewnością to nie jest odpowiedni dzień do przebywania na wodzie.

— Nie jest, to fakt — powiedział Micah i wyszedł z kuchni.

Zagłębiłam się z powrotem w starej książce o ogrodach angielskich, którą znalazłam w biblioteczkce. Gdyby nie przewlekły dreszcz bólu i gniewu, który wisiał jak dym nad Liberty, byłyby to dzień z tych, jakie najbardziej lubiłam.

Happu zwlokła się koło drugiej, z obrzękłą twarzą, onieśmielona.

— Czy jest tu tatuś? Myślę, że szybko bym go przeprosiła, żeby już było po wszystkim — powiedziała.

— Pojechał do Castine z Seanem — odpowiedziałam. — To by nie było złe, Punkin. On też to zrobi, jeśli ty go pierwsza przeprosisz i będziemy to już mieli poza nami.

— Ph — prychnęła. — Do czasu, aż Elżbieta znów go wezwie.

Popatrzyłam na nią a ona szepnęła:

— Przepraszam — i poszła przygotować sobie spóźniony lunch.

Koło czwartej Piotr wyszedł do kuchni tupiąc, strząsnął deszcz z włosów i ubrania. Wiatr za oknami przeszedł w wycie, widziałam jak bzy skłaniają się przed domem.

— Tatusiu, przepraszam — powiedziała nagle cienkim głosem Happy-

Zawahał się, a potem powiedział:

— Nic się nie stało. Gdzie jest Sean?

Ja i Happy zamarzyliśmy patrząc na siebie. Serce zaczęło łomotać mi w piersiach. Twarz Happy zbielała.

— Nie widziałam go, ale słyszałam jak rano wychodził i myślałam, że zabrał się z tobą — powiedziałam zza ściśniętych warg. — Czy w ogóle go nie widziałeś?

Nie odpowiedział. Jego twarz była stężała i pusta.

— Happy? — zapytał.

Potrząsnęła głową, że też nie, nie patrząc w oczy ani jemu, ani mnie. Patrzyła na swoje ręce. Twarz jej poczerwieniała, a potem zbladła.

— Happy — powiedział Piotr. To nie było pytanie.

— Nie widziałam go, naprawdę — szepnęła. — Ale... myślę, że on mógł, no wiecie, uciec czy coś takiego.

— Dlaczego? — zapytał Piotr, prawie zdawkowo.

— No, powiedziałam mu... po tym, jak byłeś taki dla mnie okropny, tatusiu, ostatniego wieczora, wiesz, wobec wszystkich, gdy kazałeś mi wyjść...

— Happy!

— Powiedziałam mu, że wyjedziemy dziś do domu i więcej nie wrócimy — wyszeptwała, a potem rozpłakała się. — Ale mówiłam mu to nieraz; wie, że nie myślę tak naprawdę. Wie, że po prostu tak mówię...

Piotr wybiegł z domu. W głowie mi huczało, pokój zaczął się powoli obracać dokoła. Happy wybiegła, słyszałam jak ciężko biegnie na górę

i zatrzaskuje drzwi. Chwyciłam płaszcz od deszczu i pobiegłam za Piotrem. Wiedziałam, że pobiegł do jachtklubu.

Wiatr był tak silny, że musiałam z nim walczyć. Miotał deszczem w poziomych srebrnych wstęgach. Nic nie widziałam przed sobą. Spotkałam Piotra na trawniku przed Camp Corpy. Zagarnął mnie ramieniem i powlókł w kierunku domu, ze spuszczoną głową, bez słowa.

— Łódź? — krzyknęłam. — Piotrze, czy „Rybołów” tam jest?

— Nie — odkrzyknął. Zaczęłam płakać. Myślę, że już wiedziałam wtedy.

To Kaleb Willis w rybackiej łodzi Micaha, znalazł go. Powiedział mi dużo później, że gdy nadeszła wiadomość od Piotra jego ojciec powiedział:

— Ty pojedź, Kaleb. Ja nadam tym razem depesze radiowe do zatok. Nie mogę do niej iść i powiedzieć jej, że morze zabrało tego małego chłopcę.

Kiedy Kaleb mi to powiedział, wiedziałam, że Micah nie Happy miał na myśli.

Kaleb znalazł go prawie od razu. Nie przeszliśmy dręczącej dwudniowej próby; zawsze dziękowałam Bogu za to. To było tak, jakby Kaleb wiedział, gdzie Sean popłynie „Rybołowem” i udał się prosto tam: do skalistego brzegu Wyspy Rybołowów.

— Uczyłem go żeglować na „Rybołowie”, pamiętaj — powiedział Piotrowi, gdy tkwiliśmy w czerwonej mgle bólu, która otuliła nas tej nocy. — Wiedziałem i on wiedział także, że mógłby prawie dać radę brzegom Wyspy Rybołowów sam, gdyby był uważny — oczywiście w dniu nadającym się do żeglowania, a nie... takim jak dzisiejszy. Żartowaliśmy nieraz, że tylko jego ket miał swój własny port macierzysty. Wypłynąłby na jego miejscu. Ale po tym morzu...

Na tym zagniewanym morzu Sean nigdy nie miał szansy. W jaki sposób zdołał dotrzeć tak daleko, to było pytanie, które nawiedzało mnie przez wszystkie noce, które mi pozostały. Tak jak i Piotra. Wiem o tym. Leżałam bezsennie, pełna niepokoju, widząc falę, która wreszcie załała go i zastanawiałam się, jakie musiały być te ostatnie chwile, a potem słyszałam jak Piotr jęczy i porusza się i rozumiałam, tak jakby czerwona lina oplotła nas oboje, że też to widział.

Kaleb znalazł „Rybołowa” u stóp skały w pobliżu Wyspy Rybołowów. Sean unosił się obok na płytkich wodach; długi fał, który musiał ciągnąć jego i pędzącą małą łódkę przez całą drogę na tym odcinku rozszalałego morza do przystani na Wyspie Rybołowów, był okręcony ciasno wokół jego stopy. Musiał się w niego zaplątać i upaść w miejscu, skąd już widać było wyspę, a mały ket bez swego napiętego żagla i ręki na rumplu przewrócił się. Kaleb uczył nawet najmłodszych jak odwrócić keta-zuczka, gdy się wywróci, ale uczył ich tego w spokojnej wodzie na przystani, w zatoce, w letnim słońcu.

Sean wyglądał jakby spał; jedynie kostkę miał otartą. Nawet jego opalenizna nie zbladła. Pomyślałam głupio, gdy Kaleb zalany łzami odsunął brezent z twarzy Seana, że to zimne morze przyczyniło się do tego.

Piotr odwrócił się na ten widok i ruszył w górę schodami Liberty. Happy, bardziej oszalała i pozbawiona zmysłów niż kiedykolwiek przedtem, poszła za nim.

— Będę miała drugiego dla ciebie, tatusiu — krzyczała, gdy chwyciłam ją w pół i trzymałam z całej siły. — Jestem w ciąży od trzech miesięcy; będę miała drugiego dla ciebie...

— Cicho, kochanie, cicho — płakałam, podtrzymując ją. — Nie wiesz co mówisz. Cicho...

Piotr odwrócił się i spojrzął na nią.

— Wygląda na to, że nie mogłaś utrzymać przy życiu jednego, Kamilo — powiedział prawie miłym głosem. — Nie zaszczycaj nas drugim.

Wszedł do swojej sypialni i zamknął drzwi. Przez długi czas, straszny czas, gdy sztorm kipsiał, a dom wypełniał się i ambulans z nowego centrum medycznego w South Brooksville nadjechał z wyciem, a Happy krzyczała, krzyczała i krzyczała, nie widziałam go.

Wreszcie o północy, gdy drzemałam na koniec przed kominkiem, a Krystyna Willis siedziała spokojnie w pokoju z robotą na drutach, zszedł. Ubrany był w swoje ceratowe ubranie i trzymał w ręku marynarski kuferek.

— Czy już wszystko załatwione? — zapytał. Jego głos brzmiał niemal konwencjonalnie.

— Tak — odpowiedziałam, niezdolna do zdziwienia i niemal niezdolna do odczuwania bólu. Chyba nie miał zamiaru, nie mógł teraz żeglować. Wiatr ustał, ale deszcz będzie jeszcze o ziemię.

— Tommy przyjedzie rano — powiedziałam. — Oni będą... tu będzie nabożeństwo i pogrzeb na cmentarzu. Powiedziałam mu, że chcieliśmy zabrać go do Bostonu, że Happy by tego chciała, ale nie chciał o tym słyszeć. Nie mogłam go przekonać, Piotrze. Sean nie jest naszym dzieckiem, tylko Tommy'ego i Happy, a oni tak chcą. Przynajmniej Happy tak chce. Była nieugięta. Teraz jest już poza tym; Frank dał jej potrójną dawkę środka uspokajającego. Tommy powiedział... powiedział, że to będzie pojutrze. Chce żebyśmy poprosili nowego pastora...

— Świetnie. Ty poprosisz pastora — oznajmił Piotr. — Mnie tu nie będzie. Możecie wszyscy robić co chcecie z... nim. Niech Tommy O'Ryan tradycyjnie czuwa przy zwłokach, ze wszystkim co tam trzeba, jeśli mu się podoba. Może tańczyć.

— Gdzie ty idziesz?

— A jak myślisz? — odparł, wyszedł i trzasnął drzwiami.

Zerwałam się i pobiegłam za nim, w deszcz. Złapałam go gdy skręcał ze ścieżki na drogę do jachtklubu. Objęłam go mocno za ramiona.

— Piotrze — powiedziałam — jeśli pójdziesz teraz na łódź, zostawię cię i nigdy nie wrócę. Słyszysz mnie? Jeśli pójdziesz teraz na łódź, nie zastaniesz mnie, gdy wrócisz. I nigdy więcej nie wrócę. Przysięgam przed Bogiem.

— I gdzie byś poszła, Maude? — zapytał. Nie widziałam jego twarzy pod rondem nieprzemakalnego kapelusza.

— Do domu, do Charlestonu — powiedziałam nagle i w tym momencie zdałam sobie sprawę, że pojechałabym tam. Nie nazywałam go domem od wielu lat, nawet we własnym sercu, ale jakieś korzenie musiały pozostać. Belleau stanęło przed moimi oczami, drzemiące w ciszy letnich mokradeł, złote, pełne i nieśmiertelne. Kemble go nie chciał po śmierci naszego ojca i wynajął je jakiemuś lekarzowi i jego żonie z Connecticut, a sam z Yolande Huger przeniósł się do wielkiego domu jej rodziców przy ulicy Legare. Mogłam pojechać do Belleau i pojadę; byłam istotą z tamtych bagien i tamtej wody, nim stałam się kimś z tej zatoki. Mogę umierać z żalu i samotności, bez Piotra, ale wiedziałam, że Belleau mnie podtrzyma. Nie będę miała żadnych skrupułów z wyrzuceniem tych jankesów z mego domu.

— Zrobiłabyś to? — zapytał Piotr z niedowierzaniem. — Zrobiłabyś, Maude?

— Wypróbuj mnie, to zobaczysz — odpowiedziałam.

I tak, w pewien rozmyty zimny dzień sierpniowy 1961 roku Piotr siedział kolo mnie w małym kościele nad zatoką Penobscot, za nami wszyscy mieszkańcy letniska i większość mieszkańców miasteczka, a przed nami w ławce ogłuszona Happy i Tommy O’Ryan ze zbielałą twarzą i słuchaliśmy modlitw nowego młodego pastora.

— O miłosierny Ojcze, którego twarz aniołowie twoich dzieci zawsze oglądają w niebie, spraw byśmy niezachwianie wierzyli, że to dziecko znalazło schronienie w Twej nieskończonej miłości, przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen.

Podniosłam zalane łzami oczy na Piotra i zobaczyłam, że jego usta układają się w słowa „Matko, weź go pod opiekę”, a potem schował głowę w ręce i zapłakał głośno. Nigdy, przez całe życie nie widziałam go tak płaczącego i nigdy nie miałam zobaczyć.

Większość członków kongregacji wyszła po nabożeństwie. Tylko kilka osób zostało z Happy, Tommym, Piotrem i ze mną — Micah i Krystyna Willisowie, Kaleb, młody pastor, tak mi się zdaje — gdy Seana Williamsa O’Ryana składano w ciepłej od lata ziemi koło zatoki Penobscot, by tu pozostał, tak jak chciał, na zawsze.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wszyscy wyjechaliśmy potem z Zacisza. Choć jeszcze pozostało parę tygodni lata, a obóz Maude Caroline miał się zakończyć dopiero za kilka dni. Następnego ranka po pogrzebie Seana, gdy wreszcie się zbudziłam obolała, ociążała i sztywna jakby mnie obito, odnalazłam Piotra na podjeździe ładującego rzeczy do samochodu. Wypiłam dwie filiżanki kawy i wyszłam bosymi nogami na ostrą i moką od rosy trawę. Zobaczyłam wtedy coś, czego nie zauważyłam przedtem: że poprzedniego tygodnia, lato umarło. Stalowy błękit obrzeżał zatokę i niebo, a berbersowy żywopłot poczerwieniał kępkami, podobnie jak jarzębina za drogą, na trawniku Compound i że orlica na krańcu małego brzozowego zagajnika za kortem tenisowym nabrała barwy bladego florenckiego złota. Będzie wczesna zima na przylądku Rosier, i mroźna.

— Czy ty wracasz do szkoły, czy wyjeżdżamy wszyscy? — zapytałam. Naprawdę nie wiedziałam. Po pogrzebie, Piotr wyprowadził „Annę” na wodę, a gdy wrócił ja szybko zasnęłam, bezdennie pogrążona w śmiertelnym znużeniu. Nie rozmawialiśmy więc ze sobą.

— Myślałam, że może będziesz chciała pojechać ze mną, ja nie mogę zostać — odparł. Wyglądał strasznie, poszarzały, jakby krew z niego wyciekła. Jego dawny tajemny płomień wypalił się.

— Nie — odrzekłam. — Ja też nie mogłabym chyba zostać. — Może będzie lepiej w przyszłym roku, ale to lato jest skończone. Poję obudzić wszystkich i powiem im.

— Happy i Tommy wyjechali przed godziną — powiedział Piotr. — Widziałem jak samochód skręcał z drogi kiedy wychodziłem z pokoju. To i dobrze. Nie mógłbym rozmawiać z żadnym z nich. Mówiłem już z Piotrusiem i Sarą, przyjadą do Northpoint po Maude Caroline i Sally. Wrzucmy ubrania do samochodu i wyjeżdżajmy. Micah i Tina pozamykają wszystko, a ja za zabezpieczenia „Anny” na zimę.

— Piotrze — powiedziałam niepewnie — co do Happy... Nie możesz jej teraz zostawić. Widzisz przecież jak bardzo jest obolała. Spróbuj, kochanie: wyjdź jej jakoś naprzeciw, okaż jej, że nie jest sama.

— Ona nie jest sama — odpowiedział. — Ma Tommy'ego. Ma ten nowy napiętnowany owoc swego niezwykłego łona. Ma ciebie. Bardzo jej daleko do bycia samą.

— Piotrze...

— W porządku, Maude — powiedział martwym, równym głosem. — Spróbuję. Postąpią z nią jak będę umiał najlepiej. Ale najpierw muszę mieć trochę czasu.

Jakby czując nastawienie ojca, Happy trzymała się od nas tej jesieni z daleka. Nawet nie telefonowała, co dawniej zawsze robiła podczas weekendów. Gdy przyjeżdżałam do małego domu w Saugus była uprzejma, choć przytłumiona i znużona, nie wspominała o ojcu, zdawkowo tylko o niego pytając. Na moje pytanie czy z nią wszystko w porządku, odpowiedziała, że tak. Gdy zapytałam jak znosi ciężę, odparła, że świetnie, a pytanie o Tommy'ego zbyła zapewnieniem, że ma się, tak jak zawsze, dobrze. Nie pytała o przyjazd na Dzień Dziękczynienia czy na Boże Narodzenie i nie wspominała, by mieli z Tomem jakieś plany na wakacje. Gdy zapytałam o termin rozwiązania, powiedziała: „luty” i kiedy zaproponowałam, że przyjadę, by z nią być, odrzekła, że siostra Toma z Chicago zaprosiła ją do swego małego mieszkania w mieście i że Tommy także tego chciał, tak więc ma zamiar to zrobić. Niewiele wiedząc o niechętnym nam, pozbawionym wykształcenia klanie Tomma, z południowej dzielnicy Chicago, przestraszyłam się na myśl, że nasz wnuk czy wnuczka ma wejść do ich przesądnego i przyziemnego świata. Zachowałam jednak milczenie. Było jeszcze dość czasu, by pomyśleć co z tym zrobić. Wymyślę jakiś sposób.

W ciągu tej jesieni i zimy wydawało mi się, że nasze życie szło drogą jakichś ustalonych z zewnątrz nakazów. Było tak, jakby istniał jakiś powszechnie przyjęty podręcznik dla tych, którzy musieli żyć po śmierci ukochanego dziecka i jakbyśmy robili wszystko co w naszej mocy, by go skrupulatnie przestrzegać, zamykając jednocześnie z rozsądku uszy na krzyk, gniew, rozdzierający ból i żal, które kłębiły się w nas. Pograżyłam się cała w moich obowiązkach gospodyni Northpoint, znajdując jakieś złagodzenie w ruchu i zaangażowaniu, uciekając od niepokoju na naoliwionych kołach, które zdawały się mnie nieść, jak maszyna, poprzez coraz krótsze dni. Piotr zaczął tej jesieni dawno planowaną i długo odkładaną książkę, wspomnienia dziesiątków lat poświęconych dbaniu o zdyscyplinowanie chłopięcych lat uprzywilejowanych synów Nowej Anglii. Miały te wspomnienia pewną wdzięczną lekkość, czuła, lecz zupełnie nieromantyczną wizję chłopców, którzy gromadnie biegali i krzyczeli na tych stronicach i pomyślałam, że rodzicom na całym Północnym Wschodzie będą się podobać. Piotr pisał dobrze, tak jak dobrze robił wszystko, do czego przyłożył rękę i nic we wciąż rosnącym stosie kartek, który co noc trzymał go do późna przy biurku, nie mogło ranić ani zagrażać. To było tak, jakby unosząc lekko w swym sercu owe dziesiątki chłopców, starał się wygorzyczymować ból związany z tym jednym chłopcem, ciężko zalegającym to serce. Oboje pracowaliśmy bez wytchnienia. Po kilku tygodniach

mogliśmy znów, jak mi się zdaje, dobrze sypiać. Nasze życie biegło naprzód i jeśli nie mogliśmy dawać sobie wzajemnie ukojenia, to przynajmniej staliśmy ramię przy ramieniu i patrzyliśmy przed siebie. To pomagało; spełniało swe zadanie.

Ale czasem... och, czasem, przychodziła na każde z nas chwila, gdy widzieliśmy przed sobą pustkę i niemożność zajęcia się czymkolwiek, i gdy zatrzymywaliśmy się patrząc tępo w nicość i zadając sobie pytanie: Co dalej? Jaki ma być następny krok? Jakie ma być dalsze działanie, jaka następna myśl, uczucie kogoś, czyje serce nie zostało jeszcze wypalone do dna i bezpowrotnie zlodowaciałe? I kiedy nadejdzie odpowiedź, że to właśnie, a nie co innego, mamy robić.

Tak było często ze mną podczas tej zimnej, ciemnej jesieni. Wiem, że z Piotrem działo się podobnie. Widziałam to wypisane na jego twarzy i w jego postawie, tak jak i on musiał widzieć co się dzieje ze mną. Tak minął czas do Bożego Narodzenia.

Szesnastego grudnia późnym wieczorem zadzwonił telefon. Siedziałam w mojej kryjówce przed kominkiem z nogami na starym połamaniem, krytym skórą podnóżku. Czytałam listę gości szkoły na Boże Narodzenie, w dwa dni po Festiwalu chórów kolęd, odkładając opuszczenie małego ciepłego pokoju, by się przenieść na drugie piętro do naszej chłodnej ciemnej sypialni. Od tygodni było szaro i zimno do szpiku kości — miałam rację co do wczesnej zimy — ale dotychczas nie spadł śnieg. To suche, ciemne, ściskające kleszczami zimno było gorsze niż nasze normalne, otulone bielą, zimy. Trudno nam było w tym roku ogrzać nasz wielki stary dom. Zaczęłam się wyplątywać z gniazda wełnianych szalów, by odebrać przeraźliwie dzwoniący telefon, ale usłyszałam, że Piotr podniósł słuchawkę i z wdzięcznością zatonąłam z powrotem w okryciach. To na pewno i tak do niego; telefon zwykle dzwonił bez przerwy tuż przed długimi wakacjami.

Drzemałam, prawdę mówiąc, nad literą J, gdy usłyszałam, że drzwi od mojej kryjówki otwierają się, a gdy nic nie mówił, podniosłam głowę. Stał w drzwiach w swym starym kardiganie, trzymając się framugi, z twarzą pobladałą i zeszywniałą. Poczułam jak wargi układają mi się w słowo: Co?, ale nie wydałam żadnego dźwięku.

— To była Elżbieta Potter z Bostonu — powiedział cienkim i powolnym głosem. — Amy umarła przed godziną. Sądzą, że to aneurizm. Powiedziała, że boli ją głowa, podniosła rękę do czoła i zaraz... upadła. Była martwa, gdy Elżbieta do niej dobiegła. Prosi żebyśmy przyjechali.

Rozpłakałam się. Poszłam na górę i zaczęłam się pakować, a potem zapakowałam torbę dla Piotra, tymczasem on telefonował i załatwiał konieczne sprawy. Zmieniłam ubranie i usiadłam na brzegu łóżka, i gdy on przygotowywał się do wyjazdu, przez cały czas płakałam. Płakałam za pełną życia młodą kobietą z rozrzuconymi lokami i pałającymi policzkami, która podtrzymywała rennie w moich pierwszych dniach w Zaciszu. Płakałam za kobietą o głębokim śmiechu, która miała w późniejszych latach niewiele powodów by się śmiać. Płakałam za wysmukłą siwowłosą

kobietą, która tak często siadywała ostatnio na plaży w czerwonym kapeluszu od słońca i znowu śmiała się z czystej radości i z miłości do swej córki. I płakałam nad sobą, bo kto teraz w Zaciszu będzie się tak śmiał ze mną, kto będzie rozumiał i uśmiechał się od ucha do ucha z żartów ze starych dam, które tak nieubłaganie zaanektowały fotele na biegunach na werandzie jachtklubu, kto zrozumie i odpowie sekretnym uśmiechem, gdy niebo nad zatoką Penobscot zakwitnie płomiennym ogniem zorzy polarnej? Amy umarła, a z nią wielki szmat moich osobistych dziejów. Piotr był moim sercem, ale Amy to moje lata dziewczęce.

Gdy czerwony mrok stanął w płomieniach nad miastem, dojechaliśmy do domu na Endicott Street, gdzie Amy z Parkerem przeprowadzili się po sprzedaży olbrzymiej rodzinnej siedziby. Elżbieta była przed domem i w ramionach Piotra nim jeszcze wstąpiliśmy na spękane marmurowe schody. Podtrzymawał ją płaczącą w milczeniu, a na jego twarzy malowała się tylko litość i jakiś skupiony spokój. Nie mówiliśmy wiele podczas naszej długiej podróży z Northpoint, trochę tylko o pierwszych dniach naszego małżeństwa z Zaciszu i o Parker ze i Amy. Zanim wszystko przeszło w smutek, zapamiętanie i ruinę. Ale w pewnym momencie powiedział:

— Zrobię wszystko co będę mógł dla Elżbiety, Maude; wiesz że Parker nie będzie w stanie. Ona pewnie będzie szukała we mnie oparcia. Czy masz coś przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie — odpowiedziałam i tak czułam rzeczywiście.
— To tylko tego lata, gdy wszyscy zaczęli mówić... Och, kochany, oczywiście, że nie. Jeśli tylko będziesz mógł jej pomóc, zrób to. Parker może jeszcze wcale nie wiedzieć. Ale na pewno są inni krewni; wiem, że Amy ma rodzinę gdzieś w Vermont i wydaje mi się, że Parker miał brata, który porzucił fabrykę i przeniósł się gdzieś na zachód, i są jacyś kuzyni w Salem...

— Kiedy się zjawią, z zadowoleniem przekażę wszystko w ich ręce — odparł. — Ale proszę cię, dopóki ich nie będzie, miej cierpliwość. Ona ciągle jest w wielkim stopniu dzieckiem, pod tym całym europejskim fru-fru.

Uśmiechnęłam się słabo:

— Może głęboko pod — powiedziałam, a on zaśmiał się miękko.

Ale gdy rzuciła mu się w ramiona i ukryła twarz w jego szyi i zaczęła nią pocierać tak jak ja to czasem robię, w przypływie uczucia czy smutku, coś pradawnego i lodowatego zadrgało w moim sercu i musiałam się zmusić, by otoczyć ją ramionami, łagodnie odciągnąć od Piotra i wprowadzić do domu. Ubrana była tylko w krótki peniuar z jakiegoś zielonego materiału z morskiej pianki na jeszcze krótszej nocnej koszuli i różowo-brązowe brodawki jej piersi sterczały w zimnym powietrzu. Jej twarz była obrzmiała i pokryta smugami, a oczy zwężone bólem i jakimś rozpaczliwym połyskiem, dziką rozterką, niemal szaleństwem.

— Chodźmy do domu, kochanie, napijemy się kawy, włożysz ciepłą sukienkę i zastanowimy się nad wszystkim — powiedziałam. A gdy była

już owinięta płaszczem kąpielowym i usadowiona na sofie w salonie, gdzie Piotr rozpałił ogień na kominku, wytarłam jej twarz ciepłym ręcznikiem i przycesałam skłębione rude włosy.

— Zaraz — powiedziała. — Jak twój ojciec to przyjął? I co powiedział oficjalnie lekarz? Wiem, że nie miałaś czasu zawiadomić krewnych, zrobimy więc to za ciebie. Sądzę, że twoja rodzina korzysta z usług Fitzgeralda jak większość rodzin w Bostonie. Czy mogę do nich zatelefonować i powiedzieć w którym jest szpitalu?

Elżbieta spojrzała na mnie, potem na Piotra. Wstała z sofy i podeszła do Piotra, który siedział na wielkim fotelu Hepplewhite'a przy kominku; usiadła przy nim na podłodze, objęła ramionami jego kolana i położyła na nich głowę.

— Ona nie jest w żadnym szpitalu — powiedziała głosem małego dziecka, stłumionym i śpiewnym. — Jest tutaj na podłodze w małym pokoju. Jeszcze nie wzywałam lekarza. Nie znam tu żadnych lekarzy i nie wiedziałam co trzeba powiedzieć. Tatuś jeszcze śpi na górze. Albo może jest pijany. A może też umarł. Warrie i jego niania są w dzieciennym pokoju na drugim piętrze. Jeszcze przez całe godziny nie wstaną. Czekałam aż Piotr tu będzie; wiem, że on będzie wiedział co zrobić. Przykryłam ją kocem. Tam jest zimno, a nie wiem, gdzie jest termostat.

Popatrzyliśmy na siebie z Piotrem ponad jej schyloną głową. Amy musiała tam leżeć od wielu godzin; wiadomość dotarła do Northpoint koło jedenastej.

— Kochanie, co robiłaś przez cały ten czas? — zapytałam. — Ktoś musi wiedzieć o twojej matce, sama wiesz.

— Przecież Piotr tu jest i ty — powiedziała, ciągle wtulona w jego kolana. — Nie myślałam, żeby coś się miało zdarzyć nim się zrobi jasno. Siedziałam przy niej trochę, ale zrobiło mi się zimno, więc przyszedłam tutaj. Trochę czytałam. I miałam radio.

Potrząsnęłam w rozpacz głową i spojrzałam na Piotra. Po prostu też potrząsnął głową. Potem podniósł Elżbietę, doprowadził do sofy i posadził przy mnie.

— Idź na Górę z Maude i ubierz się — powiedział. — Pójdę powiedzieć twojemu ojcu, a potem wezwiemy lekarza. Trzeba będzie się nią teraz zająć. Rozumiesz, prawda?

— Co masz na myśli? — zapytała Elżbieta patrząc na niego swymi skośnymi oczami.

— Doktor będzie musiał zabrać ją do szpitala i wydać orzeczenie o... śmierci, a potem u Fitzgeralda muszą ją przygotować do uroczystości żałobnych. Zajmiemy się tym wszystkim, nie martw się. Musisz tylko powiedzieć Maude, gdzie matka trzymała książkę telefoniczną i adresową. Ty i tatuś powiecie nam do kogo mAmy zadzwonić i zrobimy to dla was.

— To znaczy, że zabiorą ją stąd?

— Będą musieli, kochanie, na chwilę — powiedziała. — Takie są przepisy.

— Ale potem przywożą ją z powrotem?

— No... nie, wezwą Fitzgeralda, żeby przyjechał i zabrał ją, a potem już oni będą się wszystkim tym zajmować.

— To znaczy wypompują z niej krew i umalują ją? — dopytywała Elżbieta ostrym głosem.

— Kochanie — zaczęłam. Trudno było pamiętać, że to trzydziesto-pięcioletnia kobieta.

— Nie — powiedziała Elżbieta.

— To dla jej dobra, Elżbieto, musimy się nią teraz przyzwoicie zająć — rzekłam. — Nie chcesz chyba, żeby ludzie przyszli i zobaczyli ją leżącą na podłodze.

— Nie! — krzyczała Elżbieta.

— Elżbieto, to by bardzo martwiło twoją matkę — powiedziałam, usiłując trzymać nerwy na wodzy. Nic nie było w tym połamanym dziecku z nieustraszonego, pełnego żaru elfa, który migotał dawnymi laty w Zaczyszu.

— Ze wszystkich ludzi ona najbardziej by pragnęła, żeby wszystko szło tak, by nikomu nie sprawić niepotrzebnego bólu. I wiem, że ciebie też tego uczyła.

Szybkim ruchem zerwała się na równe nogi, przejrzyste warstwy nylonu odchyliły się na jej prężnym, nagim ciele, wciąż jeszcze brązowym od słońca poprzedniego lata. Przebiegła po grubym starym dywanie Aubusson i stawiając stopę o cal od mojej, spojrzała mi z góry w twarz. Była wyższa ode mnie; musiała się pochylić.

— Nigdy nie uczyła mnie tego ani niczego innego — krzyknęła. — Nigdy nie nauczyła mnie jak żyć, a teraz nigdy nie nauczy mnie jak umrzeć! Nienawidzę jej! Jestem przerażona i nienawidzę jej! Nie wiem, kto się teraz będzie o mnie troszczył!

Wyciągnęłam do niej rękę, a ona uderzyła mnie mocno w policzek, podbiegła do Piotra i otoczyła go znów ramionami.

— Nie dotykaj mnie! — krzyknęła. Stałam milcząc, wstrząśnięta, słyszałam jednak historię narastającą w jej głosie. Nie mogłam się poruszyć. Twarz Piotra zbieiała, gdy Elżbieta wymierzyła mi policzek, odsunął ją od siebie obu rękami i patrzył na nią bacznie.

— Nigdy więcej nie uderzysz Maude, Elżbieto — powiedział. — Przeżyłaś wielki szok i rozumiemy to, ale nigdy więcej nikogo nie uderzysz. Weź się w garść, idź z Maude i włóż jakieś ubranie. Mamy bardzo dużo do zrobienia dziś rano i twój syn niedługo się obudzi.

— Nie! — krzyknęła. — Nie pójdę z nią! Nie pójdę z nikim poza tobą! Nie obchodzi mnie Warrie; jego głupia nianka może się nim zająć. Potrzeba mi ciebie Piotrze! Chcę, żebyś ze mną został... został ze mną... został ze mną...

Krzyk nabrał jednostajnego rytmu, jej twarz stała się biała jak kość, powieki opadły, usta wykrzywiły się jak u płaczącego dziecka. Piotr zaczerpnął głęboko oddechu i wymierzył jej policzek z obu stron; krzyki zamarły w długim wciągniętym do wnętrza oddechu. Otworzyła oczy i spojrzała na niego.

— Teraz idź z Maude — powiedział Piotr zwykłym głosem.
— I skończ z tymi głupstwami.

Patrzyła na niego długo, jej pierś unosiła się ciężko, a potem odwróciła się, podeszła do mnie, włożyła dłoń w moją rękę i stała czekając.

— Powinam iść do Amy — powiedziałam.

— Nie — rzekł Piotr. — Pozwól, że ja to zrobię. Będiesz ją chciała mieć w pamięci taką jak mówiłaś, że ją widziałas tego lata na plaży. Śmiejącą się, w czerwonym kalepuzku. A nie taką.

— Nie — powiedziałam. — Nie taką. Wzięłam Elżbietę za rękę i zaprowadziłam ją na górę. Byłam tak oślepiąona łzami, że musiałam iść po omacku, wymacując wolną ręką poręczce. Zawsze byłam wdzięczna Piotrowi, że oszczędził mi ostatniego widoku Amy Potter. Powiedział mi znacznie później, że to było straszne, ale nie wdawał się w szczegóły.

To był bardzo długi dzień, bez końca. Gdy Elżbieta się ubierała, poszłam do dzieciennego pokoju na drugim piętrze i obudziłam niankę Warrie Villiersa. Powiedziałam jej co się stało i czekałam. Ona poruszyła się nerwowo, trzepała swą prędką francuszczyzną, bez wątpienia miotając przekleństwa na tych barbarzyńskich Nowoangielczyków, którzy mieli śmiałość i niewątpliwie złe maniery by umierać, gdy ona przebywa pod ich dachem. Kiedy ubrała się w całe warstwy białego jedwabiu i poszła do swego małego podopiecznego, wróciłam na pierwsze piętro i zajrzałam do Elżbiety. Była ubrana w krótką, prostą jak kolumna suknię z kremowego dżerseju, która wyglądała jak wylana na nią z dzbana; stała w pończochach, trzymając małe pantofle na wysokich obcasach w ręce, spoglądała w dal ponad nagimi koronami drzew na Beacon Hill. Słyszałam, że nuciła niemelodyjnie; zamknęłam cicho drzwi, by jej nie przeszkadzać i poszłam szukać pokoju Parkera Pottera. Znalazłam go leżącego nago na wznak z zsuniętą na podłogę kołdrą, bez ruchu, bladego, rozdętego jak ryba wyrzucona przypływem i oddychającego tak chrapliwie jakby umierał. Pusta butelka po koniaku leżała na pięknym grubym dywanie, poplamionym teraz zaschniętą ciecżą z takich smyich butelek. W pokoju był zaduch alkoholu, choroby i niemytego ciała. Wyszłam i zamknęłam drzwi. Piotr albo ktoś z męskich krewnych musi się zająć Parkerem Potterem. Wiedziałam, że po raz ostatni go widzę i że zawsze później, gdy będę o nim myślała, to nie będzie to szeroko uśmiechnięty młody człowiek o łobuzerskiej twarzy z rozwichrzonymi rudymi włosami, którego poznałam, ale ten opuchnięty żywy trup.

— Żegnaj, Parker — wyszeptalam i udałam się na dół, gdzie Piotr przy wysokiej hepplewitowskiej sekreterze załatwiał pierwszy telefon.

— Możesz odliczyć Parkera — powiedziałam. — Ktoś musi go umieścić w szpitalu. Nie myślę, żeby przeżył dzisiejszy dzień, nie mówiąc o pogrzebie.

— Dobry Boże — westchnął Piotr. — Co się z nimi stanie? Kto będzie się troszczył o Elżbietę i Warriego?

— Myślę, że możemy na jakiś czas zabrać ich do nas — powiedziałam niechętnie.

— Nie — odparł Piotr, nie podnosząc głowy znad spisu telefonów.
— To nie jest dobry pomysł. Niedługo będzie tu ktoś z rodziny Amy albo Parkera.

— Ale Piotrze, myślę, że ona nie zna nawet swoich krewnych — rzuciłam. — Wyjechała zaraz po skończeniu szkoły. Nigdy nie słyszałam o nikim dla niej bliskim.

— Nie jesteśmy dla Elżbiety żadnym wyjściem — powiedział i coś w jego głosie kazało mi porzucić ten temat. Zamilkłam.

Przygarbiony stary doktor przybył szybko, wszedł do pokoju, w którym leżała Amy Potter i wyszedł potrząsając głową.

— Anewryzm, nie ma wątpliwości — orzekł. — Mogła cierpieć przez całe życie. Przykro mi. Kochałem Amy Potter jak córkę.

Zanim poszedł na górę by zobaczyć Parkera, potrząsnął znów głową i powiedział:

— Przyjmę go dziś po południu do Silver Hill. Córka podpisała zgodę. Jest bardzo prawdopodobne, że stamtąd nie wyjdzie. I może wcale się nie dowiedzieć, że Amy nie żyje. Nie wiecie, czy córka tu zostanie? Jeśli tak, będzie musiała zawrzeć z nimi jakiś rodzaj stałej umowy w związku z utrzymaniem...

— Wątpię czy jest w stanie — powiedział Piotr. — Gdy jego brat i siostra tu się zjawią, przekażę im to; na razie biorę odpowiedzialność za wszystko co jest do zrobienia. Nasze rodziny były od dawna zaprzyjaźnione. Jestem Piotr Chambliss...

— Wiem, kim pan jest — uśmiechnął się stary człowiek. — Mam odrobinę tego i owego złożoną w banku pańskiego ojca. Powiem w szpitalu, u Fitzgeralda i w Silver Hill, żeby się zwracali do pana.

Przez cały dzień ludzie wchodzili i wychodzili z wąskiego starego domu, gdy blade cytrynowe słońce tego zimnego grudnia zamierało a śniegowe chmury zaczynały się gromadzić. Ciemni, pełni szacunku młodzi ludzie od Fitzgeralda przyjechali i spokojnie zabrali z sobą Amy; wyprowadziłam Elżbietę w tym czasie do kuchni i obserwowałam jak jadła bez apetytu bułkę z kawą przygotowane przez zapłakaną kucharkę. Mały Warrie, wyglądający bardzo po francusku i uroczyście w swych krótkich ciemnych spodenkach, skarpetkach do kolan i ciemnej marynarce, kręcił się milcząco koło matki, z rękami zawsze gdzieś na jej ciele i ciemnymi skośnymi oczami utkwionymi w jej twarzy. Był grzeczny, cichy i tylko raz usłyszałam jak pytał:

— Czy wrócimy potem do Paryża, mam?

— Nie, cicho bądź, nie wiem — odpowiedziała Elżbieta, połącz jednego papierosa za drugim; jej wzrok błędził bezustannie wokoło.

— Czy skończyły się nam pieniądze? — spytał.

— Na pewno nie, Warrie, nie zamęczaj mnie — powiedziała głuchym głosem. — Dziadek i babcia mają bardzo, bardzo dużo pieniędzy. Na pewno nie będziemy głodować.

— Ale kto będzie teraz wypisywał czek, gdy babcia umarła?

— Mówiłam ci, że wszystko będzie w porządku. Idź gdzieś z mam-

selle, dlaczego nie pójdziesz gdzieś z mamselle? **Idź do... och**, idź do parku. Możesz pojeździć na łabędzich łódkach.

— Mamo, na dworze jest zimno.

— Idź więc na górę i posłuchaj płyt! Mama jest zmęczona twoim paplaniem i jest smutna. Czy nie wiesz, że babunia umarła?

— Przepraszam, mamusiu — powiedział miękko chłopczyk; serce mi się ścisnęło z żalu nad nim. Wydaje się, że nigdzie w tym wysokim ciemnym domu — w istocie, w tym całym obcym kraju, do którego uciekła z nim jego matka — nie ma takiego miejsca, gdzie szczupły ciemny chłopczyk ze zbyt starymi oczami byłby mile widziany.

— Może, gdy wszystko się trochę uspokoi, mógłbyś pojechać i bawić się z moimi wnuczkami — powiedziałam. — Mieszkają niedaleko stąd, w Brooklynie. Spotkałeś je zeszłego lata, w domu twojej babci w Maine.

Gdy tylko wypowiedziałam te słowa, zapragnęłam je cofnąć. Prawdopodobieństwo, że Sara pozwoli dziecku Elżbiety Potter bawić się z małą Sally było praktycznie żadne. W moim zmęczeniu, żalu i litości zapomniałam po prostu o wszystkim co było pomiędzy Elżbietą a Piotrusiem.

— Naprawdę wątpię, by Sara uznała to za właściwe — powiedziała Elżbieta i nawet w swej rozterce i żalu uśmiechnęła się z jakimś wyrazem bliskim uciechy.

— Myślałem, że ten chłopiec wpadł do wody — powiedział Warrie Villiers. — Mama mówiła, że tak i że już go nie zobaczę.

— To był mój inny wnuczek — powiedziałam w zamęcie bólu. — Mam jeszcze dwoje.

Późnym popołudniem wszyscy krewni ze strony Potterów i Barlettów zebrali się w salonie, gdzie omawiano przygotowania do spokojnego pogrzebu. Elżbieta siedziała w swych kremowo-złoty tonacjach, przytulona najbliżej jak mogła do Piotra i słuchała wyłączona, jak rozmowa na temat uporządkowanej opieki nad uprzywilejowanymi zmarłymi toczyła się w pokoju. Noc już zapadła a starzy służący zaciągnęli zasłony i przynieśli tace z napojami, otwierali drzwi na ciche odgłosy dzwonka, by przyjąć bilety wizytowe z kondolencjami i bukiety ciepłarnianych kwiatów albo wpuścić jakiegoś przyjaciela pozostającego w dość bliskich stosunkach, by włączyć się w sprawy rodziny. Wobec wszystkich Elżbieta pochylała swą lśniącą rudą głowę i szeptała podziękowania, cierpliwie nadstawiała policzki do ucałowania i odpowiadała, że nie, nie wie jeszcze jakie będą jej plany i tak, to łaska boska, że jej matka nie cierpiała. Wszystko to robiła siedząc u boku Piotra. Gdy wstał, by iść do kuchni, szła za nim; gdy szedł do łazienki na dole, odprowadzała go wzrokiem. Po kilku godzinach zobaczyłam, że brwi zaczynają się unosić, że kilka kobiet wymienia szybkie spojrzenia, a raz przerwałam szeptaną rozmowę w ciepłarni. Uginałam się pod ciężarem znużenia i czegoś w rodzaju tępej urazy. Byliśmy na nogach całą noc i cały dzień; obojgu nam potrzebny był sen. Oboje powinniśmy opuścić ten mroczny dom, udać się do Piotrusia i Sary w Brooklynie i zapaść w długi głęboki sen w wielkiej sypialni na

górze, którą dla nas rezerwowali. Ale jak oderwać Piotra od bezgranicznej potrzeby Elżbiety Potter?

Już miałam zamiar poruszyć ten temat, gdy zobaczyłam, że Elżbieta podniosła głowę, w jej brązowych oczach zabłyśło coś jakby wyzwolenie i blask objął rzeczywiście jej twarz. Idąc w ślad za jej spojrzeniem ujrzałam Piotrusia i Sarę stojących w drzwiach salonu, w paltach i butach, z puchem świeżego śniegu na ramionach i ze starym lokajem w miękkim obuwiu za plecami. Sara, z ciemnymi włosami zmierzwionymi pod przepaską, którą je przewiązała i zadartym nosem zaczerwienionym od zimna, uśmiechnęła się łagodnie i pomachała ręką Piotrowi i mnie, a potem zwróciła się w stronę Elżbiety. Piotruś stał sztywno, patrząc przez cały pokój na nią. Odczytałam wyraz jego twarzy i poczułam, jak zalewa mnie lodowate zimno. To było jego dawne spojrzenie, to które pamiętałam ze strasznych czasów jego dorastania: czyste, obnażone, żywe pragnienie. Elżbieta oderwała się od boku Piotra, przebiegła obok Sary i jej wyciągniętych rąk, prosto w ramiona Piotrusia i zobaczyłam raczej niż usłyszałam, że jej wargi formują słowa tuż przy jego szyi „Och, Petie, pomóż mi” i bardziej poczułam w sobie niż usłyszałam jego odpowiedź: „Jestem tu. Pomogę ci”.

Potem, w ciągu tego wieczora i następnego dnia, przez poranek w dniu pogrzebu i podczas samego pogrzebu, podczas spotkania w domu, które nastąpiło po pogrzebie i podczas następnej nocy, mimo moich i Piotra spojrzeń pełnych dezaprobaty, a potem napomnienia, otwartych ostrzeżeń i milczenia poblądłej Sary i jej wyjazdu z domu przy Endicott Street, Piotruś otaczał opieką swą dawną miłość całym sercem i stałą obecnością. I nic — ani łzy w głosie Sary przez telefon, których nie mogłam nie słyszeć, ani stężące twarze i uniesione brwi wszystkich krewnych Elżbiety, ani szczypta, szeptem prowadzona kłótnia z ojcem, którą słyszałam z kuchni domu Potterów — nie poruszało go. Gdy Piotr i ja przybyliśmy do jego i Sary domu w Brooklynie, by spędzić tam ostatnią noc, nie było go, a Sara zamknęła się w swoim pokoju i nie rozmawiała z nami. Następnego dnia rano, jeszcze nie wrócił. Przygotowałam śniadanie dla dzieci zaś Piotr, z ponurą twarzą, pojechał do domu przy Endicott Street, by rozmówić się z nim ostatecznie, ale zobaczył go tylko wsiadającego do taksówki z bładą, otuloną w futro Elżbietą i milczącym Warrie, a gdy zapytał gdzie mają zamiar się udać, to Elżbieta odpowiedziała:

— Z powrotem do Włoch, Piotrze. Piotruś odwozi nas na lotnisko.

Piotruś nie odezwał się wcale. Elżbieta lekko ucałowała Piotra w usta.

— Dziękuję — powiedziała. A potem odjechali.

Piotr wrócił do domu w Brooklynie, by czekać na syna, ale teraz, gdy Piotruś wysiadł z taksówki i wszedł do swego cichego domu, jego twarz odzwierciedlała takie wyczerpanie i zniszczenie, że Piotr nie miał siły robić mu wymówek.

— Sara jest na górze — powiedział spokojnie. — Nie jest w zbyt dobrej formie.

— Wiem — odparł mój syn martwym głosem. — Przepraszam, tatusiu, mamó. Spróbuję się z tym uporać, jeśli będę mógł.

— Czy już po wszystkim? — zapytałam. Nic nie czułam.

— Tak — powiedział Piotruś.

Ale nie było po wszystkim. Zaraz po Nowym Roku Sara zadzwoniła do nas do Northpoint. Jej głos był tak ochrypły od łez, że w pierwszej chwili nie mogłam jej zrozumieć i powiedziała, że Piotruś jest w Zaciszu z Elżbietą, ukryci w Pięknym Brzegu. Odkryła to, gdy Micah Willis, zobaczywszy światła w domu Potterów zadzwonił do Piotra i do mnie, by się dowiedzieć czy ktoś tam jest i nie zastawszy nas, zadzwonił z kolei do Piotrusia i Sary w Brooklynie i z nią rozmawiał. Sara pojęła natychmiast, że Piotruś nie jest na spotkaniu Amerykańskiego Stowarzyszenia Bankierów w Nowym Jorku, jak mówił; zadzwoniła do Pięknego Brzegu i zastała Elżbietę Potter, która śmiała się, lecz nie zaprzeczała, że Piotruś jest z nią. Piotruś sam nie podszedł do telefonu. Była pewna, że Elżbieta była pijana, gdy z nią rozmawiała.

— Proszę, proszę cię, Maude — łkała Sara. — Jedź po niego. Posłucha ciebie, nikogo więcej. Jest pijany, albo szalony, albo nie wiem już co. Jeśli tego nie zrobisz, nie będę mogła już z nim dłużej pozostać i co się stanie z moimi dziećmi? Proszę, pomóż mi.

Pojechaliśmy. Nie było żadnego innego wyjścia.

Ciężar spadał zawsze z mego serca, gdy samochód skręcał na wschód od Northpoint na wijącą się czarną drogę, która doprowadzała nas wreszcie, nad brzegiem, do Maine. Ale w ten zimny, szary poranek leżał kamieniem na mojej piersi, jakbyśmy, Piotr i ja, jechali, by towarzyszyć przy śmierci. I może tak było, pomyślałam; przy śmierci małżeństwa mego syna i jego miejsca w świecie, które zawsze zajmowała nasza rodzina: w świecie porządku i reguł, w świecie odpowiedzialności. Poza tym światem panowało szaleństwo. Wiedziałam o tym szaleństwie być może więcej niż ktokolwiek inny z rodziny Piotrusia. Sam Piotruś nie wiedział o nim właściwie nic, poza tymi krótkimi latami, tak dawno, gdy błądził za Elżbietą Potter po jej płynnych śladach i tak doszczętnie w tym spłonął, że myślałam, iż wyrzekł się tego na zawsze. Biedny Piotruś, może też tak myślał. Ale Elżbieta była wcielonym szaleństwem, i gdy wszedł w jej orbitę, nawet po tylu latach, skruszyła jego opokę za pomocą jednego zdania. Nie wiedziałam, w czasie tej długiej milczącej podróży przez skute lodem Maine, czy zdołam przewyciężyć tę siłę.

Piotr prowadził samochód równomiernie, tak zamknięty w sobie, że rzadko się do niego odzywałam. Co zresztą można było powiedzieć? W pewnej chwili odwrócił głowę do mnie i powiedział:

— Co się stanie z naszymi dziećmi, Maude? Czy to wszystko nasza wina? Co mogliśmy im dać, a nie daliśmy? Co możemy im dać teraz?

Wreszcie spadł śnieg; leżał w wielkich szaroniebieskich nasypach wzdłuż szosy, gdzie go odgarnęły pługi, na polach i skałach, i na obsypanym głazami wybrzeżu pod Camden Hills. Wyspy były błękitno-czarno-białe, a małe zatoczki i enklawy stanowiły plamy bieli obrzeżonej błękitem: lód pod śniegiem. Nigdy nie widziałam takiego błękitu jak błękit śniegu Maine. Zimne światło podkreśliło ostry relief profilu Piotra

i wydobyło się delikatnych zmarszczek wokół jego oczu, ust i na czole. Jego jasne włosy były w tym północnym świetle bardziej srebrzyste niż złotawe. Piotr skończył w tym roku sześćdziesiąt lat i pierwszy raz odniosłam wrażenie, że dokładnie na tyle, a nawet na więcej wyglądał. Poczułam jak łzy napływają mi do oczu.

Miałam pewne wyobrażenie co do tego czego nie daliśmy Happy i Piotrusiowi i co moglibyśmy spróbować dać im teraz, ale nie mówiłam o tym. Teraz nie była odpowiednia po temu chwila, by mówić o tym z człowiekiem, którego kochałam najbardziej i najdłużej, i który był tu przy mnie, obolały i pokonany. Jeśli uda nam się odzyskać Piotrusia, wtedy będzie czas porozmawiać o kompensacyjnych paliatywach dla niego. Co do Happy, nie wyobrażałam sobie by cokolwiek mogło ją uleczyć lub zmienić. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam policzka Piotra.

— Jest bardzo dużo rzeczy, które nasze dzieci muszą same dla siebie zrobić, a których jeszcze nie zrobiły albo nie mogły zrobić — powiedziałam. — Albo ich dokonają albo nie. Nie szukaj w sobie winy, kochany.

— Zastanawiam się, czy cokolwiek mogłoby odmienić Elżbietę — powiedział.

— Nic, z wyjątkiem Parkera, a to już o dziesiątki lat za późno — odpowiedziałam. — Piotrze, najdroższy, gdy już będziemy mieli Piotrusia z powrotem, a będziemy go mieli — będziesz musiał odciąć Elżbietę zupełnie od naszej rodziny. Nie ma w nas nic co mogłoby być dla niej pomocą, a w niej nie ma nic co nie przynosiłoby nam bólu. Wiesz o tym, prawda?

— O, tak — odparł Piotr. — Wiem o tym.

Przyjechaliśmy do South Brooksville późnym popołudniem. Otwarto tu poprzedniego lata małą nową gospodę i choć była zamknięta w ciągu zimowych miesięcy, Piotr zatelefonował przed naszym wyjazdem i obiecano mu otworzyć dla nas pokój i rozpalic na kominku. Właściciele gospody, para podobnych jak dwie krople wody sztywnych mężczyzn w średnim wieku w wąskich blue-jeansach i swetrach świadczących o Abercrombie i Fitch, powiedzieli, że nasz pokój jest na górze przy schodach, że jest tam włączony okresowo ogrzewacz i są dodatkowe kołdry, że możemy zjeść z nimi wczesne śniadanie złożone z herbaty i tostów, gdyż innego jedzenia nie ma. Wybierali się, jak powiedzieli na licytację nieruchomości w Castine i zobaczą się z nami, być może, rano. Jeśli nie, mamy zostawić należność na stole w kuchni.

— Czy zawsze są panowie tak pełni zaufania? — zapytałam uprzejmie.

— Rzadko — odpowiedział jeden z nich. — Właściwie nie otworzylibyśmy wcale, gdyby nie to, że Micah Willis przyjechał i zostawił zadatek. Wszyscy tu wokoło znają Willisów.

— Większość zna także Chamblissów — powiedział sztywno Piotr, a oni jednocześnie kiwnęli głowami i wyszli, pozostawiając nas w zimnym komforcie małego pokoju o niskim suficie z trzeszczącym ogniem, trzema cienkimi szarymi kocami, wiadrem węgla przy kominku i łazienką na drugim końcu sieni. Ale widok z okna o małych szybkach na Bucks Harbor

zapierał oddech, drzeworyt w czerniach, szarościach i przydymionych błękitach na tle doskonałej bieli papieru. Księżyc w kwadrze jak biały duch wisiał w kruchym błękitcie nad Harbor Island.

— „Zimna Komfortowa Rezydencja Wiejska” — powiedział Piotr, dokładając węgla do ognia. — Liczyłem na coś gorącego do jedzenia. Trzeba będzie zamiast tego łyknąć.

Wyciągnął butelkę brandy z walizki i nalał trochę dla mnie do szklanki od zębów, a sam pociągnął spory łyk z butelki. Wypiłam i ciepło wypełniło zimną próżnię w moim sercu.

— Założę się, że Micah i Tina nakarmią nas — powiedziałam. — Zadzwoń do nich z dołu. Nie możemy pojechać do Zacisza z pustymi żołądkami. Boże, Piotrze, to zupełnie inny świat, prawda? Nie spodziewałam się, że tu będzie tak jak w lecie, oczywiście, ale to jest... niesamowite. Poza ludzkimi granicami, w jakiś sposób. To jest prawie przerażające.

— To jest piękne — powiedział Piotr, patrząc przez okno na szybko zapadający błękitny zmierzch. — Nie myślałem przedtem zbyt wiele o izolacji domu, ale można by przecież przyjeżdżać tu czasem w zimie, Potterowie robili to, wiesz?

Pomyślałam o Pięknym Brzegu i o tym jak musi wyglądać w tym pustym błękitcie: statek-laterniowiec, forteca świecąca w zimnej niekończącej się nocy. Forteca, w której dwoje zbłąkanych dzieci uprawiało gry zepsucia w świetle czystej nieludzkiej bieli...

— Powinniśmy jechać — powiedziałam. — Zatrzymamy się u Willisów po drodze. Miejmy to już poza sobą.

— Nie chcę, żebyś ze mną jechała, Maude — powiedział Piotr nie odwracając się od okna. — Chcę żebyś została tu, gdzie jest ciepło, przynajmniej dopóki nie zbadam gruntu. Chcę to sam przeprowadzić; za długi już pozwoliłem ci dźwigać ciężar Piotrusia. To może być bardzo nieprzyjemne, i to ja powinienem się z tym uporać.

— Czy myślisz, że nigdy nie radziłam sobie z nieprzyjemnymi sprawami? — zawołałam urażona. — On jest też i moim synem; znam go lepiej niż ktokolwiek inny...

— Właśnie — powiedział Piotr. — Teraz pozna swojego ojca.

— Czy będziesz dla niego bardzo surowy? — powiedziałam głupio. Czyżbym myślała, że przyjechaliśmy tu, by nakłonić Piotrusia pieszcotami do powrotu?

— Tak surowy jak trzeba — odparł Piotr. — Dostatecznie surowy, by raz na zawsze zapamiętał, że bardzo się troszczę o to, co się z nim dzieje. Nie walcz ze mną, Maude. Zadzwoń do ciebie, jeśli będę cię potrzebował.

— Dobrze — powiedziałam słabo, znenawidziwszy nagle samą myśl o przebywaniu przez puste godziny w tym gołym pokoju, zawieszonym w powietrzu ponad krajobrazem, którego nie znałam. A potem:

— Ale pozwól mi zadzwonić do Micaha. On może z tobą pojechać.

— Nie — Piotr patrzył na mnie spokojnie, dwie gorączkowe plamy wykwitły na jego wysokich kościach policzkowych. — Nie może. Zadzwoń

do niego, jeśli chcesz; on i Tina dadzą ci jakąś kolację. Ale nie chcę, by Micah Willis pomagał mi w sprowadzeniu do domu mojego syna.

Pocałował mnie w policzek, wyszedł i zamknął drzwi za sobą. Słyszałam echo jego kroków na schodach, frontowe drzwi zajazdu otworzyły się i zatrzasnęły, i rozległ się warkot silnika. A potem zapadła cisza. Postawiłam butelkę z brandy i szklanke na stoliku przy łóżku, owinęłam się trzema kocami i wyciągnęłam się, by poczytać książkę i czekać aż mój mąż przyprowadzi do mnie mojego syna. Rzadko w życiu czułam się tak osamotniona. Rzadko czułam się tak tępo, beznadziejnie smutna.

Musiałam drzemać mimo niewygodnego, cienkiego materaca i szorstkich kocy, ponieważ, gdy zbudziło mnie pukanie do drzwi ogień zupełnie się wypalił, a kwadrat okna był czarny i usiany gwiazdami. W pokoju było zimno; od podłogi cierpły mi nogi w pończochach, gdy biegłam, by otworzyć drzwi. Piotr, wołało moje serce i myśl, ale to nie Piotr stał w drzwiach. To była Krystyna Willis; uśmiechała się z wyciągniętymi ramionami. Rzuciłam się w nie z lekkim jękiem rozczarowania, pomieszanym ze szczerą wdzięcznością z powodu jej mocnej, uspokajającej obecności. Jej ciężki barani kożuch był zimny od nocnego powietrza, a jej policzek, gdy przycisnęła go do mojego, był lodowaty, lecz ramiona jej i głos były ciepłe.

— Byłam trochę wściekła, że nie daliście nam znać, że tu jesteście — powiedziała, pociągając mnie w kierunku gasnącego ognia. — Siedzieć w ciemności i zimnie, gdy mam od paru godzin upieczoną jagnięcą nóżkę dla ciebie i Piotra i dobre czerwone wino... Chodź, włóż palto i buty i wyjdźmy z tego straszego poddasza, ogrzejemy się w domu przy ogniu. Wątpię czy ci dwaj ekstrawagancy faceci zarobią bodaj grosz, jeśli tak będą traktować swoich gości.

— Tina, ja nie mogę wyjechać. Piotr może wrócić w każdej chwili — zaczęłam, a potem urwałam w pół słowa. Ile wiedziała z tego co wydarzyło się w Pięknym Brzegu, czego się domyślała? Niewiele było rzeczy, których Tina i Micah Willisowie nie wiedzieliby o nas, ale to... to był szczególnie ból, szczególnie hańba. Nie sądziłam, by Piotr chciał, żebym o tym mówiła.

Patrzyła na mnie, jej gładka twarz była jak zwykle pogodna, ale oczy miała pełne współczucia.

— Piotr telefonował do Micaha przed chwilą — powiedziała spokojnie. — Prosił, żebyśmy ciebie zabrali, dali ci kolację i położyli do łóżka; on zostanie w Pięknym Brzegu do rana. Zrozumiałam, że Piotruś jest... że nie chce wyjechać, a Elżbieta jest zupełnie pijana i bliska hysterii. Piotr powiedział, że da sobie radę, ale widać to jeszcze musi trochę potrwąć.

— Och, Tina, ja muszę tam iść — zawołałam, sięgając po płaszcz.

— Nie. Powiedział, że absolutnie nie. Musieliśmy mu obiecać, Maude. I zgodziliśmy się, Micah i ja. To nie jest dziś dla ciebie miejsce. To, co trzeba zrobić w tym domu musi być zrobione przez Piotra i jego syna. Proszę, zgódź się na to.

Chciałam gwałtownie zaprotestować; co ona wiedziała o mnie i o moim synu, o więzi, która nas łączyła i o bólu tego strasznego zimowego spotkania? A potem pomyślałam o latach bólu, które ona i Micah przeżyli, gdy Kaleb pograżył się w swoim szaleństwie, i o trudnym spokoju, do którego doszli. Krystyna Willis wiedziała. Zmęczenie i jakiś ciężki spokój zapanowały nade mną.

— W porządku — powiedziałam. — Dobrze. Z przyjemnością się stąd wydostanę. Czułam się jak Królowa Śniegu w jej więzieniu, tutaj, ponad tym zimnem i lazurem.

— Ja się tak czuję od listopada do kwietnia. — Roześmiała się i wyszłyśmy razem w rozległą noc.

Tina i Micah Willisowie mieszkali w dobrze utrzymanym, ładnym domu w holenderskim stylu kolonialnym, tuż przy drodze, o pół mili od wjazdu do Zacisza. Za domem był ogród i podmyta solanką łąka pokryta śniegiem, a dalej mały lasek jodłowy i brzoźowy, a za nim przystań wioślarska, plaża i zatoka. Wszystko było pograżone w ciszy, posrebrzone wątlm młodym księżycem.

Zawsze zastanawiałam się nad domami stałych mieszkańców przylądka Rosier; z widokiem na pustą i okazałą linię wybrzeża, które obsiadły trzema lub czterema rzędami wyboistą drogę, a ich wielkie stajnie połączone były pasażami. Ale tej nocy zrozumiałam. Spadły śnieg, głęboki na trzy, cztery stopy a nawet więcej, tam gdzie nagromadził się przy domach i ścianach z kamieni był nie do przebycia, poza tymi miejscami, gdzie go odgarniano. Nikt tutaj, gdy znalazł się w śniegu, nie mógł przebić sobie przejścia do drogi. Był uwięziony do nadejścia pługu lub odwilży. Myślałam o wąskich drogach Zacisza i zastanawiałam się, czy dwa samochody stały w świetle księżycy na drodze w wjazdu oznaczonego zniszczonym wiosłem i czy dwie pary stóp pozaczyły ślady na diamentowo białej powierzchni śniegu, podobnie jak przepiórki, lisy i zajęce, zanim przykrył je ten ostatnio spadły śnieg? Jak Piotr się przedostał?

Jak gdyby odpowiadając na moje nie postawione pytanie, Krystyna powiedziała:

— Micah zabrał Piotra na starych rakach Kaleba. Wszystko w porządku. Micah wrócił zaraz jak zobaczył, że Piotr zniknął na werandzie. Rano wysłał Enocha Cartera z pługiem. Wtedy wszyscy będą mogli wyjść.

— Czy myślisz, Tina, że oni wszyscy wyjdą? — zapytałam.

— Ach, tak — odrzekła spokojnie. — Jestem pewna.

— Niewiele jest rzeczy, których o nas nie wiecie, ty i Micah. Zastanawiam się czasem jak to jest, że sobie nami zwracacie głowę.

— Zasługujecie na to, by się o was martwić, Maude. Jesteście jednymi z niewielu, którymi warto się przejmować — powiedziała Tina Willis uśmiechając się do mnie. Musi być ode mnie starsza przynajmniej o dziesięć lat, pomyślałam, ale w zielonym świetle padającym z tablicy rozdzielczej starego volvo mogłam wyraźnie zobaczyć młodą żonę, którą kiedyś poznałam, jasnowłosą dziewczynę, łagodną i głęboką jak jezioro z przezrystą wodą, dziewczynę, którą kiedyś poślubił Micah.

— Jeśli będziesz mogła to powiedzieć po dzisiejszym dniu, to jesteś lepszą kobietą niż ja — rzekłam czując gorycz łez w nosie i gardle. — Niewiele pozostało z mężczyzny w moim synu tej nocy.

— Mój syn żyje dzięki tobie — odpowiedziała. — Miał swoją złą passę, tak jak ma twój Piotruś, jednak znalazł sobie zaciszną przystań. Ale nie żyłby, żeby tego dokonać, gdyby nie było ciebie tego dnia, gdy tak mocno rozciął sobie nogę. To nie jest najmniejszy powód, dla którego uważam, że jesteś warta troski, ale to pierwszy powód. Myślę, że ty i Piotr jesteście jedynymi spośród naszych letnich dolegliwości, o których tak myślę. Jeszcze było kilka innych osób, ale większość nie żyje.

Wyciągnęłam rękę i uściśnięłam jej dłoń na kierownicy, a ona odwzajemniła mi uścisk. Drzwi wielkiej stajni były otwarte i wjechałyśmy do środka; zatrzasnęła drzwi i przebiegłyśmy przez ciemny pasaż, pełen butów i raków, kufrów i narzędzi ogrodniczych, do wielkiej wyłożonej terakotą kuchni, gdzie ogień płonął na otwartym palenisku, krzesła z drzewa czereśniowego stały dokoła polerowanego stołu pośrodku, a sofa z poduszkami w rogu przy kominku. Micah Willis w pięknym islandzkim swetrze i spodniach sztruksowych stał przy nowoczesnym piecu kuchennym krojąc kruche brązowe mięso jagnięce na cienkie różowe platy. Prawie się rozpłakałam od ciepła i zapachów czosnku, bazylii, czerwonego wina i widoku jego ciemnej bezpiecznej postaci. Wyciągnął ramię i podbiegłam do niego, a on pocałował mnie w policzek wciąż wywijając nożem w drugiej ręce.

— Wejść do domu, pani letniej pory — rzekł głębokim bogatym głosem, który jak mi się wydawało, tkwił w moich uszach od ostatniego lata. — Czy wiesz, że nigdy tu nie byłaś dotąd?

— Och, Micah, p o w i n n a m była być, przez tyle lat — powiedziałam.

— Nie. My zawsze przychodziliśmy do Liberty. To nie miało znaczenia wtedy i nie ma teraz; twoja teściowa mogła tylko do tego się nagiąć. Ale cieszę się, że mogę cię tu powitać. To nasza kolej i trochę przeszłości.

Nalał czerwonego wina do cienkich starych kryształowych kieliszków i usiedliśmy na sofie przy kominku, piliśmy a ja rozejrzałam się dokoła. To był pokój kulturalnych ludzi; byłam w wielu takich w Northpoint i w Bostonie: pełen książek i pięknych kruchych przedmiotów na półkach, ciepły od blasku płomieni tańczącego na wypolerowanym starym drewnie, mosiądzu i srebrze. Wytarte do jedwabnej osnowy wschodnie dywany leżały na podłodze, a rośliny i kwiaty, odsunięte starannie od rzeźbionych drzwi i okien, stały na stołach w głębokich włoskich dzbanach. W rogu stał mały szpinet, na nim leżały skrzypce Krystyny i dobry gramofon, a część ściany zajmowały chyba setki płyt. Przypomniałam sobie, że Micah mówił kiedyś, że i jego i Tiny ojcowie trudnili się handlem porcelaną; pozostałości tej bogatej ery widoczne były w całym pokoju. To było coś znacznie więcej niż kuchnia, to było serce tego domu i jądro tego, co — jak zobaczyłam nagle — składało się na bogate, skomplikowane i pełne życie,

jakie Micah i Krystyna przeżyli razem. Coś zupełnie odrębnego od tego co znałam z ich życia latem; inny świat. Nie umiem nazwać uczucia, które jak dym przedostało się na powierzchnię mojej świadomości: coś jakby zazdrość? Tęsknota?

— To jest przepiękny pokój — powiedziałam. — Nie wiem dlaczego to jest taka niespodzianka: chyba jestem przyzwyczajona do myślenia o Maine w kategoriach Zacisza, lata, wikliny, trzciny i zniszczonych starych werand. To bardzo krótkowzroczne spojrzenie. Zawsze myślałam o Zaciszu jako o realnym świecie; czekałam przez cały rok, przez wszystkie sezony w Northpoint, by wrócić do rzeczywistego świata. I nigdy nie wiedziałam, przez cały ten czas, że gdy lato się kończy, wciąż jest dla was, dla was wszystkich... to wszystko.

— Dla nas — powiedziała Krystyna Willis — realny świat zaczyna się, gdy wy wyjeżdżacie. To jest nasz rzeczywisty świat.

Spojrzała na Micaha a potem na mnie i uśmiechnęła się.

— Można mieć dwa realne światy — powiedziała. — Ale nie można ich mieć jednocześnie. Mój realny świat i twój... mogą stać obok siebie, ale nie mogą się połączyć. To nie czyni żadnego z nich mniej rzeczywistym czy mniej wartościowym. Są tylko odrębne.

Ona wie, pomyślałam nagle. Wie o Micahu i o mnie — cokolwiek tu jest do wiedzenia — i zawsze wiedziała. Zastanawiam się, czy ma coś przeciw temu. Jakoś, myślę, że nie. Sama powiedziała: „Mogą stać obok siebie, ale nie mogą się połączyć”.

Spojrzenie Micaha spoczęło na mnie, ciemne, nie do odczytania i poważne, spojrzenie jakie widziałam setki razy przedtem, spojrzenie, na którym się opierałam przez dziesiątki letnich wakacji, które mnie podtrzymywało tak pewnie jak skała lub drzewo.

— Piotr robi słuszną rzecz tej nocy, Maude — powiedział. — Ma siłę i to jego sprawa. Nie twoja tym razem. Odpocznij i pozwól nam się zająć tobą przez pewien czas. Wszystko będzie dobrze. Prawie wszystko lepiej wygląda rano.

Pomyślałam nagle o tym odległym poranku po długiej nocy z intruzem, którego ciągle uważaliśmy za niemieckiego szpiega. Micah Willis przyszedł tego ranka i wszystko naprawdę zaczęło wyglądać lepiej, gdy przyszedł.

— Czy wciąż jeszcze masz swój chinuapin? — zapytałam.

— Tak — uśmiech rozjaśnił całą jego twarz. — Nie ruszam się bez niego.

— Jesteście oboje obłąkami — powiedziała zrównoważonym głosem Tina Willis i przyniosła talerz z jagnięcym mięsem i brązowymi kartoflami na stół. Ze zdumieniem stwierdziłam, że mimo wszystko jestem naprawdę bardzo głodna.

Po kolacji oglądaliśmy migocący, bezdennie głupi program telewizyjny z Bangor, potem Micah nastawił kilka płyt — Koncerty Brandenburskie i Wariacje Goldbergowskie, a Krystyna zagrała kilka starych francuskich pieśni ludowych na swoich skrzypcach. Nie rozmawialiśmy jednak

prawie wcale. Dopóki nie zabrmi pukanie do drzwi zapowiadające Piotra i Piotrusia — czy cokolwiek co miało nadejść z Pięknego Brzegu — po prostu nie było nic do powiedzenia. Myślałam, że nie będę spała, że będę siedziała na kanapie i czekała, że nie będę, że nie zdołam spać, ale o północy Micah pochylił się nade mną, dotknął mojej ręki i powiedział:

— Żadnemu z nich nie pomoże, jeśli umrzesz stojąc, a i tak nie mogą przybyć przed świtem. Połóż się do łóżka, Maude. Obiecałem Piotrowi, że dopilnujemy, żebyś się choć trochę przespała. Tina przygotowała dla ciebie dawny pokój Kaleba. Zobaczysz najpiękniejszy wschód słońca na świecie, nad zatoką.

— Piotr może zadzwonić...

— Mówił, że nie będzie dzwonił. Prosił, by ci powiedziec żebyś nie czekała na telefon. I żebyś tam także nie telefonowała. Nie chcesz rozmawiać z Elżbietą, zapewniam cię Maude. Z tego co mi powiedziały widać, że nie wiośtuje teraz za dobrze. Zawsze tak zresztą było, jeśli mam być szczery. Zawsze sprawiała i sprawia zmartwienie, zawsze będzie sprawiała komuś zmartwienie. Wątpię jednak, czy po tej nocy będą to Chamblissowie. Piotr miał taki wzrok, że nie chciałbym spotkać go ciemną nocą. No, chodź.

Wziął mnie za rękę; wstałam i poszłam za nim przez sień, tam gdzie Tina rozwijała całe ławice watowanych przykryć na nogi na pięknym rzeźbionym saneczkowym łóżku w pokoju, który wyglądał jak strona wyrwana z książki ze starymi skandynawskimi drzeworytami. Rozebrałam się i stałam spokojnie aż Tina włożyła mi przez głowę jedną ze swych długich flanelowych koszul nocnych z karczkiem i gdy wczołgałam się pod przykrycie, oboje pocałowali mnie w policzek i życzyli dobrej nocy.

— Zawołajcie mnie, gdyby coś się stało — wymamrotałam, czując że sen zalewa mnie jak fala.

— Zawołam — powiedział Micah.

A Krystyna dodała:

— Naleśniki i syrop klonowy na śniadanie.

Zgasili lampę i pokój wraz ze mną pogrążył się w ciemności. Nie odwróciłam się i nic mi się nie śniło.

Obudziłam się, gdy jakiś ciężar upadł na krawędź łóżka; ranoek był w pełni. Blask śniegu rzucił cętki na sufit. Piotr był tutaj. Jego twarz była pokryta ściernią czystego złota, ubranie miał zmięte, nieświeże i po prostu siedział utkwwszy swe szare oczy w próżnię. Straszne oczy. Poczuję na sobie mój wzrok i odwrócił się do mnie.

— Piotrze — szepnęłam. Byłam przerażona. Jego oczy miały okropny wyraz.

— Piotruś jest w pociągu z Ellsworth — powiedział ochrypłym i słabym głosem, jakby mówił czy krzyczał przez całą noc. — Sam go wsadziłem, o piątej rano. Sara wyjdzie po niego. Elżbieta jest w naszym pokoju w zajeździe. Micah odwiezie ją do pociągu za godzinę czy coś takiego. Wraca do Bostonu, a potem do Włoch.

Piotrze, jak...

Później, Maude — powiedział. — Później. Proszę.

Czy ona naprawdę wraca do Włoch?

Nawet gdybym miał ją sam wsadzić do samolotu.

Piotrze... czy naprawdę myślisz, że już po wszystkim?

- Tak — odparł.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pogoda była dziwna i zmienna tego roku, gdy urodziła się moja wnuczka Darcy. Gdybym była mądrzejszą kobietą lub tak dziką za jaką miano mnie na lotnisku, gdy przybyłam tu po raz pierwszy jako młoda żona, umiałabym odczytać zapowiedzi. Nie byłam jednak ani taka, ani taka. Nigdy nie byłam.

Mała Darcy Chambliss 0'Ryan przyszła, wrzeszcząc, na świat w połowie lutego, ale powietrze za oknem szpitala Brigham and Women's, gdzie leżała ze swą matką, było tak łagodne, jak w maju i pełne świeżych zapachów wiosny. Otworzyłam do połowy jedno z okien pokoju Happy, by wpuścić tę dziwną świeżość i pochwycić w pierwszych powiewach łątwą do rozpoznania woń równinnych moczarów rzecznych; nie mogłam sobie wyobrazić jaki tajemniczy zielony wiatr przywiał ją tu długą mroźną drogą. Na chwilę przymknęłam oczy w przyprawiającym o zawrót głowy uniesieniu i w przypływie tęsknoty za domem. To było jak błogosławieństwo nad rudą głową mojej nowej wnuczki, błogosławieństwo dla niej od mojej dalekiej rodziny. Biedna malutka potrzebowała błogosławieństwa.

Pośpiesznie wbiegła pielęgniarka z naganą i zamknęła okno.

— Wystawiać noworodka na powietrze w lutym? Doprawdy, pani 0'Ryan — zgromiła Happy, a ta spojrzała na nią tępo. Happy prawie się nie poruszyła, gdy przyniesiono jej piszczącą rudą Darcy i nie odezwała się ani słowem. Nie mogła także, lub nie chciała, karmić piersią; Darcy otrzymała swoje pierwsze pożywienie w życiu w obcych ramionach, z butelki. A gdy położono przy niej dziecko, Happy pozwoliła mu tam po prostu leżeć. Gdyby Tommy 0'Ryan nie skoczył by chwycić swoją córkę, stoczyłaby się na ziemię. Zrozumiałam wtedy, że coś bardzo niedobrego dzieje się z Happy; ale dopiero gdy spojrzała w rozmarzeniu na nagie zimowe gałęzie za oknem i powiedziała:

— Prawda, jakie piękne są w tym roku jesienne barwy? — zaalarmowało to jej lekarza i sprowadził psychiatrę. Happy przeniesiono po południu do psychiatrycznego oddziału szpitala z rozpoznaniem poważnej nerwicy poporodowej, a Darcy, gdy mogła już opuścić szpital, pojechała ze mną i z pielęgniarką do domu w Northpoint. Tommy 0'Ryan po raz

pierwszy pokonany i naprawdę zaniepokojony o swoje dziecko przyjeżdżał na każdy weekend i zatrzymywał się w naszym domu gościnnym na końcu ogrodu, by być blisko niej. Nawet Piotr nie mógł się temu sprzeciwić. Po prostu udawał się na soboty i niedziele do swego biura w szkole, a Tommy roztropnie spędzał całe dnie z córką, zaś w godzinach wieczornych przesiadywał w szynkach przy Water Street, przechwalając się nią. On i Piotr zaledwie raz się spotkali podczas tej zimy i wiosny.

Tommy O'Ryan robił wiele rzeczy, które mnie oburzały i obrażały i nie wątpiłam, że wielu jeszcze innych dokona, ale przeszedł długą drogę podczas tej dziwnej, łagodnej zimy, która go odkupiła w moich oczach. Godzinami siedział w dzieciennym pokoju Darcy kołysząc ją i śpiewając srebrzystym irlandzkim tenorem, który choć okazał się równie niedotarty jak jego głos, gdy mówił to umiał ukoić ją i uspokoić jak nikt inny: ani ja, ani flegmatyczna niemiecka niańka, ani Piotr, choć czasem też brał ją na rękę. On pierwszy zwrócił uwagę na to, że poza jedwabistą czupryną kręcących się, błyszczących rudych włosów, była moim wykapanym obrazem. Ja dopiero potem to dostrzegałam i nie mogłam się oprzeć oczarowaniu.

— Silną krew macie, ty i Piotr — mówił Tom. — Najpierw chłopiec, który był wiernym obrazem Piotra, a teraz ta odrobina, która jest całą tobą, nie sposób się pomylić. Wszystko w niej co jest ze mnie to włosy. Mam tylko nadzieję, że ona odziedziczyła i twoją dobroć, Maude. I twój mocny charakter.

— Och, Tommy, więcej jest w niej z ciebie — zaprotestowałam, śmiejąc się. — Posłuchaj jej głosu. Czysto irlandzki. Nawet kiedy płacze słychać harfy eolskie. Żadnego nowoangielskiego, Chamblissowskiego pochrząkiwania przez nos, za co jestem wdzięczna na wieki.

— I ja jestem wdzięczny za ciebie — powiedział i byłam pewna, że mówi szczerze. — Nie dałbym sobie sam rady z dzieckiem. Nie wiem nawet jak będę w stanie opiekować się Happy, gdy wróci do domu. Nigdy nie chciałem, żeby moja rodzina sprawiała wam kłopot, przysięgam na Boga, choć nie sądzę, by Piotr w to wierzył.

— Daj mu trochę czasu, Tommy — powiedziałam. — Tak dużo przeszedł tej zimy z powodu syna, a teraz córka jest w szpitalu psychiatrycznym. Zawsze było coś mrocznego w rodzinie Piotra i przeraża go, gdy dostrzega to samo w którymś ze swych dzieci. Kiedy zrozumie, że to, co się stało z Happy spowodowane jest przez hormony, a nie przez dziedziczność, będzie się czuł o wiele lepiej. Myślę, że jest zadowolony, że Darcy jest tutaj, bez względu na to, czy daje temu wyraz czy nie.

I myślę, że naprawdę był zadowolony. Gdy przychodził wieczorami w ciągu tygodnia do domu, szedł zaraz na górę do pokoju dzieciennego Darcy, by na nią popatrzeć. Przeważnie kapała się wtedy i jadła z butelki, była świeża, wilgotna od kąpieli i zarumieniona. Jej złotorude włosy wily się w mokrych krótkich kędziorach, a wielkie jak bratki oczy rozszerzały się ciekawością. Szłam za Piotrem, brałam Darcy od Fraulein Schott, którą wysyłałam na kolację, a sama siadałam koło kominka z małym

kręcącym się zawiniątkiem na starym fotelu na biegunach należącym jeszcze do MAMY Anny. Kołysałam ją i śpiewałam dla niej. Darcy szczebiotała i fikała nogami i rączkami, a Piotr śmiał się i dotykał jej jedwabistego policzka albo delikatnego znamienia na główce. Schodził potem do salonu i przyrządzał dla nas koktajle, które piliśmy tam w zapadającym mroku, razem z najnowszą z Chamblissów. „Następną z nas” jak mówił Piotr. Widziałam, że Darcy oczarowała Piotra tymi sAMymi sposobami, które stosował Sean: śmiechem, nieustraszoną, czymś w rodzaju przekornego dziecięcego dowcipu, który dawał o sobie znać od czasu do czasu. I jeszcze coś było:

— To tak jakby patrzeć na ciebie kiedy byłeś dzieckiem — mówił.
— To tak jakbym dostał w prezencie ciebie od zawsze, a nie dopiero od siedemnastego roku życia.

Ale nieczęsto brał ją na ręce lub kołysał. I nie pozostawał długo w dziecinnym pokoju, gdy już skontrolował, co się z nią dzieje; Piotr oddał swoje serce jednemu śmiejącemu się dziecku. Więcej tego nie powtórzy.

Happy wróciła ze szpitala do domu któregoś kwietniowego tygodnia; było szaro i zimno przenikało do szpiku kości jakby to był luty; ani cienia zielonej mgiełki na drzewach a żelazna obręcz ściskająca ziemię. Prosiłam, żeby przyjechała do nas, abyśmy z Fraulein mogły zająć się jeszcze przez jakiś czas nią i Darcy, ale była nieubłagana. Tommy zabrał Darcy do domu podczas następnego weekendu; jego przystojna twarz zachmurzyła się zwątpieniem i troską, jedyne co mogliśmy z Piotrem zrobić, to nalegać by Fraulein została przez tydzień w małym domu w Saugus i zapłacić jej za to z góry. Płakałam, gdy Tommy zabrał dziecko ode mnie, ubrane jak małe chińskie bobo w warstwy koronkowych, robionych na drutach, bieli i oddał do rąk Fraulein w zużytych, naładowanym po dach plymouth-fury, który kupił przed laty. Czułam się tak jakbym oddawała część samej siebie, część mojego ciała. Nawet Piotr miał błyszczące oczy i szybko się odwrócił.

— Dbaj o nią Tommy — wyszeptalam. — Proszę, jeśli będziemy potrzebni...

— Zrobię co tylko będę mógł, Maude — odrzekł i w tej chwili nie było żadnej chętności w jego głosie. Tylko troska, tylko zwątpienie.
— Może, gdy wszystko się ułoży, Happy zobaczy, że potrzebna jest jej jakaś pomoc...

Ale Happy nie potrzebowała pomocy. Czy wszystko się u niej ułożyło też nie wiedzieliśmy, gdyż przez dłuższy czas nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości, tylko Tom zadzwonił mówiąc, że zwolniła po dwóch dniach Fraulein i zatrudniła kobietę z tej samej ulicy, z którą się zaprzyjaźniła i która przychodzi codziennie, by pomóc jej w opiece nad Darcy.

— Wyczuwam w tym jakieś niebezpieczeństwo, Maude — powiedział Tommy O’Ryan. — Florrie Connaught ma dobre serce, ale jest wielka jak stodoła i nie za bardzo lubi mydło i wodę. Razem z Happy oglądają telewizję od chwili, kiedy ona przychodzi rano aż do chwili, gdy wycho-

dzi tuż przed kolacją. I, nie jestem tego pewien, ale zdaje mi się, że trochę popija. Poczujęm raz od niej zapach alkoholu. Mam nadzieję, że to od niej. Nie pozwolę, żeby Happy z nią piła, nie wtedy, gdy mała jest w domu.

— Oczywiście że nie — powiedziałam i od tego momentu malutka Darcy O'Ryan zajęła w moim sercu takie miejsce jakiego nie miało żadne dziecko od czasów Piotrusia. Jej buzia łobuziaka, trójkątny koci uśmiezek i płonąca głowa zawsze były obecne w moich myślach i stale martwiłam się o nią.

— Chciałabym żebyśmy mogli ją jakoś wydostać od Happy, przynajmniej do czasu, gdy pójdzie do szkoły — powiedziałam kiedyś wiosną do Piotra.

— Naprawdę myślisz, że twoja córka nie może wychowywać swojego dziecka? — zapytał.

— Chciałabym myśleć, że może, ale po prostu nie mam pewności.

— Odpręż się, kochanie — rzekł, całując mnie w czoło. — Dzieci są bardziej wytrzymałe niż ci się zdaje. Są bardziej elastyczne niż dorośli; ciągle to widzę.

Był czas, że nie widziałeś tego w ogóle, pomyślałam. Nie widziałeś tej słynnej elastyczności we własnych dzieciach, bo jej nie było. O czym myślisz, że teraz mówimy?

Ale milczałam. Piotr kończył już prawie swoją książkę i był bardziej roztargniony i bardziej rozbity niż kiedykolwiek przedtem. Gdy już ją skończy, może w środku lata, będzie mógł się odprężyć i przeżyjemy długie, spokojne dni w Zaciszu, a potem zaczniemy to jakoś porządkować, ten niekończący się dylemat naszych dzieci i ich...

Po raz pierwszy w życiu pojechałam tego lata sama do Zacisza. Od tygodni o tym wiedziałam i nie martwiła mnie ta perspektywa. Często zostawałam sama w Zaciszu, teraz kiedy dzieci były już dorosłe, a Piotr czasem przyjeżdżał tylko na weekendy albo na tydzień pod koniec lata. Nie myślałam, że będę samotna. Nigdy nie było takich momentów, żeby dzikość i majestatyczność przylądka Rosier, dzikie, bogate życie lasów, pól, skał i samego zimnego morza, zawłość i pierwotny spokój rytmów każdego letniego dnia nie pochłaniały i nie wypełniały mnie całkowicie. Nie wyobrażam sobie takich chwil, w których to wszystko co stanowiło Maine nie podtrzymałoby mnie.

Ale tego lata byłam sama. Prawie tydzień błąkałam się bez odpoczynku i spałam niespokojnie, by wreszcie zrozumieć: w obrębie setek mil nie było nikogo, komu byłabym potrzebna. Piotr był pochłonięty ostatnimi stronami swojej książki, letnim życiem szkoły i pozostawał pod opieką Mrs. Craig, naszej gospodyni i Craiga, jej męża. Piotruś i Sara odwieźli dzieci do niewidzących poza nimi świata Forbesów na ich lotnisko w Santa Fe i wyjechali na dwumiesięczny odpoczynek na Jamajkę. Happy nie rozstawała się z Mrs. Connaught i jej mydlanymi operami więc nie przywiozła Darcy do Zacisza. Zaś Kemble i Yolande, którzy od dawna planowali w lipcu przyjechać z Charlestonu, kupili stary dom na wyspie Sullyana i zamiast tego zabrali się do jego żmudnej renowacji. Amy

niedawno odeszła na zawsze i Piękny Brzeg po raz pierwszy, odkąd pamiętam, stał zamknięty i ciemny. „Anna” Piotra i „Rybołów” Seana były zasłonięte i zablokowane w przystani wioślarskiej Micaha. Nawet Greta Winslow wyjechała za granicę z Freddiem, Julią i ich rodzinami. Przez całe moje dorosłe życie czekałam na tę chwilę doskonałej wolności w Zaciszu, a teraz, gdziekolwiek podążyłam w tym mglistym zielonym czerwcu, towarzyszyły mi tylko miękkie kroki moich zmarłych.

Nie było nawet Micaha i Krystyny Willisów. W czerwcu przypadała czterdziesta piąta rocznica ich ślubu i Micah zabrał Krystynę w dawno obiecywaną podróż przez Zatokę Francuza do Bar Harbor i na wzburzony błękitny Atlantyk, na wschód do Nowej Szkocji, gdzie miała krewnych Duschesne’ów, których nie widziała od dzieciństwa. Kaleb przysłał swoją pasierbicę z Buksport, szczupłą kilkunastolatkę o zamkniętej twarzy i imieniu Ruby, by otworzyła dla mnie Liberty i „pracowała dla mnie” jeśli będzie trzeba. Jednak szybko zaczęłam odczuwać jej ciemną obecność w Liberty jak nisko wiszącą chmurę, więc zapłaciłam jej za miesiąc i odesłałam, zapewniając, że doskonale potrafię zaspokoić swoje własne niewielkie potrzeby. I potem byłam już tak sama, mimo zwykłych letnich wizyt i rewizyt koktajlowych czy spotkań w domu towarowym, jakbym nie miała nikogo bliskiego na całej ziemi.

Tak by tu było gdybym była wdową, pomyślałam, widząc oczyma duszy kruche stare panie, z których Amy Potter i ja chichotałyśmy, Ignące do siebie w swej zagorzałości i rozkapryśzeniu w bezcennych fotelach na biegunach na werandzie jachtklubu. Już nigdy, pomyślałam, nie będę się z nich śmiać.

Starałam się, by mój głos brzmiał lekko, w czasie wieczornych rozmów z Piotrem, ale wreszcie pewnej niedzieli, po pięciu dniach nieprzerwanej mgły, która przywierała do okien jak wielka oślepta twarz, gdy nie widziałam nikogo ani nie słyszałam niczego poza nieprzerwanym łoskotem boi koło cypla, załamalam się.

— Jestem tak osamotniona, że zdaje mi się, że umieram, Piotrze — prawie płakałam. — Wstyd mi za siebie, ale tak jest naprawdę. Nigdy sobie nie zdawałam sprawy z tego, na ile czar tego miejsca wiąże się z tobą i dziećmi.

Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

— Maude, co byś myślała o miejscu nad Winnepesaukee? Jest do sprzedania wielki stary dom na Weirs Beach; Gordon Wells mówił mi o nim. Pomyślałem, że mógłbym pojechać i obejrzeć. To najwyżej dwie godziny drogi od naszego domu; mógłbym tam dojeżdżać codziennie po szkole i mieć czas na żeglowanie przed kolacją, a ty byś mogła wyjeżdżać, by zobaczyć dzieci kiedy byś tylko chciała. To nabiera coraz większego sensu, teraz gdy pracuję przez tyle godzin.

— Ach, Piotrze... opuścić Zacisze? — nie mogłam pojąć jego słów.

— Mnie się wydaje, że się od niego oddalamy — powiedział powoli. — Coraz trudniej mi tam przyjeżdżać, i dzieci nie przyjeżdżają zbyt często, a ty czujesz się osamotniona i przygnębiona...

— Piotrze, to jest... część nas — powiedziałam. — Zacisze jest częścią tego, czym jesteśmy. Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli je po prostu — co, sprzedać? Wynająć?

— Niewiele w nim teraz dla mnie zostało, Maude — rzekł łagodnym stłumionym głosem. Zrozumiałam, że znów widział puste wejście do miotanej burzami przystani, gdzie powinien kołysać się „Rybołów” Seana, a nie było go tam i światła zimą w Pięknym Brzegu, gdzie żadne światła nie powinny świecić.

— To się zmieni, kochanie — odparłam. — Poczekaj tylko aż skończysz książkę i będziesz znów wypływał na „Annie” w słońcu i cały czas na świecie będzie przed tobą. Nie powinnam ci się żalić. To ta przekłeta mgła; dokuczała nam przez tyle dni.

— Ale pomyśl o tym — powiedział. — Zrobisz to dla mnie?

Obiecałam, że pomyślę i myślałam. Wzięłam kanapkę i szklankę mleka i położyłam się do łóżka, zamykając okiennice przed przyciśniętą do szyby jak twarz mgłą i przed boją zawodzącą jak płaczka i myślałam o letnich nocach na innym wybrzeżu. Czy mogłabym porzucić Liberty i Zacisze? W środku tej długiej, białej i ponurej nocy zaczęło mi się wydawać, że może jednak mogłabym, gdyby Piotr był ze mną.

Obudził mnie jasny, błękitny poranek i trzeszczenie drew w wielkim kominku, które było znakiem, że pali się na nim ogień. Poczułam też zapach świeżej kawy więc pobiegłam w mojej flanelowej koszuli do bawialni, gdzie zobaczyłam Micaha otrzepującego brzożową korę z rąk i gwizdzącego „Drogę na Wyspy”. Miał na sobie pasiasty golf i stare białe spodnie, co znaczyło, że się wybierał na żagle, a ja byłam bliska płaczu z radości, że tu jest, mocny i brązowy jak zawsze, w mojej zimnej bawialni. Płomienie skakały na palenisku i para kłębiła się nad kubkiem kawy, który mi podał; uśmiechnęłam się i wzięłam ją od niego.

— Czy ty przyniosłeś słońce, czy ono przyniosło ciebie? — zapytałam, wypiwszy połowę. W mgnieniu oka świat znów się zmienił i myśl o opuszczeniu Zacisza stała się równie śmieszna jak pomysł skolonizowania Saturna. Dlaczego uważałam, że koniecznie trzeba być bez przerwy zadowolonym? Z pewnością wystarczy po prostu być.

— Ciągnąłem za nim przez całą drogę na zachód od Grand Manan — odpowiedział Micah. — Myślę, że cała mgła świata zbiera się w Nowej Szkocji. Trudno mi sobie wyobrazić tłum, który bardziej by na to zasługiwał.

— Chyba nie mówisz o swych dawno niewidzianych krewnych ze strony żony? — zapytałam. — Wstydź się, Micahu Willis.

— To mi przypomina coś, co czytałem o Verrazano, który trafił w te strony szukając przejścia północno-zachodniego — odrzekł. — Relacjonował on, że tutejsi ludzie wydali mu się bardzo nieuprzejmi, a gdy wyczerpały się im błyskotki, które przywieźli na handel i w darze, tubylcy „robili wszelkie możliwe pogardliwe i nieprzystojne znaki jakie tylko mogą czynić nieokrzesane stworzenia, jak na przykład pokazywanie tyłków i śmiechy”. Cytuję. Stary Yerrazano nazwał to *Terra Onde di Mata*

Gente na swej mapie. To znaczy Ziemia Złych Ludzi. Zawsze uważałem, że to się odnosiło do klanu Tiny.

— Mam nadzieję, że nie podzieliłeś się z nią tą intuicją — powiedziałam, śmiejąc się.

— Nie. Jesteś pierwszą osobą, której to zdradziłem. Jeśli jej to powtórzysz, oskarżę cię przed trybunałem w domu towarowym, że przyjmujesz rano panów w koszuli.

Spojrzałam na moją nocną koszulę. Zakrywała mnie od brody po kostki, ale byłam tak świadoma mego nagiego ciała pod nią, jakbym nic na sobie nie miała. Zaczerwieniłam się, a on roześmiał się głośno.

— Idź włożyć na siebie coś w czym mogłabyś żeglować — powiedział.

— Chcę ci coś pokazać.

— Wiesz, że nie znoszę żeglowania.

— Bardziej nie będziesz mogła znieść tego, że cię to ominie.

— Czy obiecujesz, że będziesz ostrożny?

— Nie trzeba bać się dzisiaj morza, Maude — powiedział spokojnie i zdałam sobie sprawę, że on też czasem widział puste miejsce na przystani jachtklubu a jego małego użytkownika ciśniętego na skały Wyspy Rybołowó w.

— Za minutę będę gotowa — rzuciłam.

Micah miał rację; nie było potrzeby bać się wody koło Przylądka Rosier w ten brylantowy poranek. Wypłynęliśmy nowym smukłym słupem Kaleba, który w kwietniu tego roku wyszedł z warsztatu skutniczego Willisów; „Beth” ślizgała się po lśniących falach jakby jej kil był naoliwiony nie przechylając się nawet o stopę w lekkim powiewie. Gdy okrążyliśmy cypel Harbor Cove zobaczyłam, że kierujemy się ku Wyspie Rybołowów i wstrzymałam oddech z bólu i zdziwienia, że Micah może mnie tam zabierać w tak niedługim czasie po śmierci Seana, nie mówiąc o tym, że w ogóle mnie tam zabiera. Usłyszał moje westchnienie i spojrzał na mnie przez ramię.

— Nie mogę zmienić tego, co się tam stało, Maude — powiedział.

— Ale mogę uczynić to miejsce znów dla ciebie do zniesienia, jak mi się zdaje. Albo przynajmniej przedstawić cię pewnym duszom, które mogą tego dokonać.

— Nigdy więcej nie chciałam go widzieć — powiedziałam stłumionym głosem.

— Nie możesz przebywać w Zaciszu i nie widzieć Wyspy — rzekł.

— To by znaczyło nigdy nie patrzeć na morze, a prędzej czy później zrobisz to, albo wyjedziesz.

Milczałam obserwując żywą grację jego wciąż prężnego ciała i kocią łatwość z jaką poruszał się po „Beth”. Tak jak Tina, musiał mieć sześćdziesiąt pięć lat, lub może już nawet więcej, ale młody człowiek, który wyciągnął mnie z lodowatego morza wciąż żył w nim tuż pod powierzchnią. Tylko siwe włosy na skroniach i na szyi i pajęczyna zmarszczek na ciemnej twarzy mówiły o pracy, pogodzie, bólu i upływie czasu. Żadne z nas nie zaniedbało się z wiekiem, pomyślałam, spoglądając na moje

własne ciało w swetrze i w spodniach. Ani Tina i Micah, ani Piotr i ja. Stwardnieliśmy jakby, staliśmy się bardziej muskularni, ogorzali, związani. Leczeni zimnem jak starzejące się pingwiny, uśmiechnęłam się do siebie. Może Ponce de Leon mylił się i Zdrój Wiecznej Młodości był zawsze tutaj, w tych lodowatych zatokach i małych zatoczkach.

Micah zaczął długie lawirowanie, by się dostać do Wyspy Rybołowów, żar słońca był poza nami i pierwszy raz zobaczyłam, że niski, pająkowany most, może pontonowy, rozciąga się od długiego występu Skały Nura do skalistej plaży Wyspy Rybołowów. Nie widać go z Liberty ani z Pięknego Brzegu, ale zdałam sobie sprawę, że umożliwia dostęp do Wyspy każdemu, kto może się przedostać przez gęste podszycie Skały Nura. Poczułam jak trwoga ścisła mi serce.

— Micah, kiedy przerzuciono ten most? — zapytałam. — Kto go postawił?

— Myślałem, że w ogóle nie zauważysz — uśmiechnął się słysząc ton mojego głosu. — To cała paskudna historia, jeśli chciałabyś posłuchać.

— Wiesz, że chcę! Czy ktoś to kupił? Och Micah, nie mów mi, że ktoś chce postawić dom na Wyspie Rybołowów.

— Nic ci nie powiem, dopóki się nie uspokoisz i nie zaczniesz słuchać — odparł, puszczając luźno grot i prześlizgując się o kilka jardów do brzegu. Potem przerzucił kotwicę za burtę, odwrócił się do mnie twarzą z rękami spoczywającymi na kolanach i z oczami zmrużonymi od lśnienia wody.

Czekałam.

— Wiesz, że Fowlerowie z Orlego Gniazda byli właścicielami Wyspy Rybołowów i sprzedali ją razem z wielkim domem tym ludziom, których rzadko widzimy. Zeszłej jesieni wystawili ją na sprzedaż nie mówiąc o tym nikomu i została zakupiona po cichu przez jakiś zespół ludzi z New Jersey, którzy chcieli tu założyć fabrykę konserw sardynek. W wodzie opływającej Wyspę Rybołowów było zawsze tak gęsto od sardynek, że prawie można było po nich chodzić. To przede wszystkim przyciągnęło tu rybołowy.

— O Boże — szepnęłam z żalem, ale on podniósł rękę i uśmiechnął się, zamilkłam więc.

— Wieść o tym rozniosła się koło Bożego Narodzenia, jak musiało się stać, i kilku z nas zwróciło się do facetów od parków narodowych. Wiedzieliśmy, że jeśli skłonimy tych od parków, żeby kupili wyspę, to przynajmniej ochroni to ją od zabudowy. Byli dostatecznie zainteresowani, by przedstawić dobrą ofertę. Ale to nie zainteresowało tych od sardynek, więc utworzyliśmy mały komitet i powiedzieliśmy im, że żaden mężczyzna ani chłopak na północnym wschodzie nie będzie pracował przy budowie fabryki. Dali więc spokój, gdyż liczyli na tanią miejscową siłę roboczą, jak to ujęli. Nie mogliby ściągnąć własnych załóg tak tanio. Najpiękniejsze słowo, jakie znają ci faceci z New Jersey to „tani”, zaś ludzie stąd nie wiedzą jak inaczej mogliby pracować. Ale wszyscy zgodziliśmy się; nie dotkniemy tej przeklętej budowy nawet gdyby miała

się zmienić w naszych rękach w złoto. To przyhamowało dość dobrze sprawę, bo ci od sardynek porwali się na armaty i sprowadzili całą flotę swoich buldożerów gotowych do roboty, poniszczyli drogi, możesz mi wierzyć, a brygadzysta powiedział, że zaczniesz pracować swoimi spychaczami, nawet gdyby miał sam to robić. Nie wyglądało to za dobrze dla Wyspy Rybołówów.

— I co się stało?

— Coś zabawnego — odparł, spoglądając w kierunku widnokągu. — Brygadzysta wyskrobał sobie załogę z kilku barów w Ellsworth, przyszli tu o wschodzie słońca i znaleźli wszystkie swoje przekłete buldożery uszkodzone w ciągu nocy. Tu brakuje koła zębatego, tu zęba, gdzie indziej rozerwana przekładnia. Przekłety idiota. Powinien wiedzieć co zimna sól może zrobić z maszyną kiedy się ją zostawi na dworze na całą noc.

— No i co?

— Poszedł do tej gromady z New Jersey i powiedział, że są mu winni trzynaście buldożerów i że się stąd wynosi. I właściciele uznali wreszcie, że rozsądniej będzie przyjąć ofertę Służby Parkowej i zrobili to. Wygląda więc na to, że wszystko co zostało zrobione, to ten most. I Służba Parkowa może od czasu do czasu wjeżdżać i wyjeżdżać na czterech kołach, żeby uprzątnąć wybrzeże po sztormach i uzupełnić muszle, mięczaki i skorupiaki. Też mi się to nie podoba, ale wydaje się, że to najlepsze w tej sytuacji.

— I nie masz pojęcia kto... ee, pomógł trochę słonemu powietrzu przy tych spychaczach? — zapytałam.

— Nie mógłbym powiedzieć na pewno — odparł. — Nie mógłbym rzucić takiego oszczerstwa na nikogo z moich przyjaciół i sąsiadów.

— Ty szaleńcze — powiedziałam śmiejąc się. — Mogłeś na całe lata wylądować w areszcie. Dlaczego tak nadstawiasz swój uparty kark?

Popatrzył na mnie poważnie. Jego twarz była spokojna.

— Tu są teraz orły, Maude — powiedział. — Widziałem zeszłej jesieni gniazdo i jajka na początku pory roztopów. Myślę, że może być więcej niż jedna para. Nadstawił bym więcej niż kark, żeby orły mogły tu przybyć, gdy nie mogą przybyć rybołowy.

Poczułam jak włosy u nasady zaczynają mnie kłuć, a ręce drżą mi jak od zimna.

— To właśnie to chciałeś, żebyś zobaczyła? Orły?

— Tak — odrzekł, nie patrząc na mnie. — Nie mają zastąpić chłopca, którego tu straciłaś, ale to wielka rzecz, że jakieś życie wróciło na Wyspę. Myślałem, że to może... przynieść ci jakąś ulgę.

— Więc zaprowadzę mnie do nich, Micah — powiedziałam miękko.

Podpłynęliśmy do brzegu w dingle „Beth”, do innej części plaży niż tak, gdzie Piotr i ja przybiliśmy tak wiele lat temu na nasz piknik i gdzie Sean spadł z „Rybołowa” do wody. To był bardziej dziki brzeg, usiany gęsto skałami, głazami i skrzyconymi korzeniami jak księżycowy kamienny ogród pokryty szmaragdowym mchem na kilka cali grubości. Był jeszcze mokry od czasu mgły i tak śliski, że często musieliśmy się posuwać na

czworakach, wczuając się na prawie pionową skalną ścianę, jak alpiniści w górach. Ściana była skałą; olbrzymie osłaniające jodły, sosny i świerki rosły wyżej, na szczycie. Nie mówiliśmy nic; żaden dźwięk nie dawał się słyszeć w tej ogromnej przestrzeni przesyconego solą powietrza i wysokiego słońca, ciemnoniebieskiego nieba, poza krzykiem mew i pluskaniem fal o brzeg i łagodnego odgłosu naszych oddechów. Czasem Micah wyciągał do mnie rękę, ale potrzasałam głową, zdecydowana dotrzeć do tego uzdrowienia, jeśli uzdrowienie tam było, sama, o własnych siłach. Tego ranka wydawało mi się to najważniejszą rzeczą, jaką mogłabym kiedykolwiek zrobić.

Niedaleko szczytu urwiska Micah Willis powiedział półszepem:

— Spójrz.

Spojrzałam: niemożliwy, nieprawdopodobny cień ogromnego ptaka unosił się nad naszymi głowami, a potem sam ptak wzbił się z prądem powietrza i opadł na gałąź suchej jodły, być może rażonej piorunem przed laty przy wielkim zmierzwionym gnieździe przytulonym do rozwidlenia konarów. Drzewo tkwiło na urwisku; gniazdo i ptak nie mogły być o więcej niż dziesięć stóp ponad nami, i ptak nie mógł nas nie widzieć. Nie poruszały się jednak, i my nie poruszaliśmy się również. Przez długą chwilę patrzyliśmy wprost w zimne żółte ślepie wielkiego łysego orła, największego, jak Micah powiedział później, z tych jakie kiedykolwiek widział. Czas, dźwięk i uczucia zatrzymały się jakby całe życie poza życiem tych oczu uszło ze świata.

Głowa orła była biała i lśniła w słońcu, a w jego wielkim zakrzywionym dziobie, prawie tak długim jak sama głowa, trzepotała się słabo ryba. Orzeł odwrócił głowę z lewa na prawo, patrząc na Micaha i na mnie, przywarłych do skały, a potem upuścił rybę w otwór olbrzymiego gniazda. Było bardzo szerokie i głębokie; mogło się w nim ukryć dwoje, a nawet więcej dorosłych ludzi, ale po przeraźliwym klekoczącym wrzasku wydobywającym się z niego poznałam, że są tam orlątko. Patrzyłam ciągle z zapartym tchem; pokryta meszkiem głowa, rozdzielony szeroko żółty dziób i różowe wole ukazały się nad obrzeżem gniazda, a potem jeszcze inne i jeszcze inne, i orzeł rozpostarł swe kolosalne skrzydła w błysku białego ogona i podbrzusza i wzniósł się znów w błękit, a nas owionął podmuch jego lotu. W powietrzu ponad nami krzyknął przeraźliwie, odpowiedział mu też z wysoka krzyk innego orła i dziecinne kik-kik-kik-kik stało się bardziej zaciekle; zrozumiałam, że drugi rodzic wracał do gniazda przynosząc więcej jedzenia dla młodych. Przyłożyłam twarz do kamiennej ściany urwiska i zapłakałam. Przypływy radości, siły i gwałtownego bólu, śpiew miłości, który wezbrał we mnie, był niemal nieprawdopodobny; mogłabym ulecieć w czyste powietrze tak jak orzeł, tak jak przed wielu laty wyobrażałam sobie, że ulatywała Sara Fowler w powietrzu ponad Orlim Gniazdem. Czułam w tej chwili, że kocham to dzikie miejsce, Przylądek Rosier, z namiętnością i siłą, która była porywająca i moja własna, niezależna od Piotra, od Micaha, od Piotrusia, od nikogo i niczego na ziemi. Tuliłam się do ściany i płakałam

silna w tej chwili jak skała, pełna jak wyspa. Zrozumiałam, że nigdy nie opuszczę Zacisza.

Nigdy nie przyszyłoby mi do głowy, że groziło nam na tej urwistej skale niebezpieczeństwo, dopiero później, gdy płynęliśmy już z powrotem, Micah powiedział mi o tym; łzy nie zaschły jeszcze na jego twarzy.

Potem letnia fala przechyliła się ku radości i ze wszystkich wakacji w Zaciszu, jak teraz pamiętam, to orle lato do końca było najbardziej złociste.

• * *

Tuż przed czwartym lipca Piotr skończył książkę i wysłał ją do swych bostońskich wydawców. Spotkała się z tak entuzjastycznym przyjęciem ze strony tych dostojnych osobistości, że mogłoby, jak mi się zdaje, przylecieć do Zacisza na skrzydłach ich pochwał. Przyjechał prawie o tydzień wcześniej, przechylając się na zakrętach na drodze i na podjeździe do Liberty lśniącym, warczącym zagranicznym wozem sportowym, którego nigdy przedtem nie widziałam. Zahamował gwałtownie wzbijając żwir, jednym skokiem przebył frontowe schody, porwał mnie z werandy gdzie sadziłam w doniczkach begonie i okręcił mnie dokoła tak, jak to robił mój ojciec, gdy byłam małym dzieckiem. Potem, zanim zdążyłam coś powie-

dzieć, pocałował mnie w usta tak mocno i długo, że straciłam oddech, a Jane i Fern Thorne, w drodze na kort tenisowy nagrodziły go oklaskami, zaś Phinizy Thorne włożył dwa palce do ust i gwizdnął. Piotr puścił mnie i głęboko się ukłonił.

— To jest austin healy — powiedział trochę później pokazując mi kremowe skórzane wnętrze małego samochodu. Nazywają go „British Racing Green”. Nie wyobrażasz sobie, Maude, jak bardzo jest szybki; to tak jakby się prowadziło jakiś pocisk. I sposób w jaki czujesz drogę!

— Mogę sobie dokładnie wyobrazić sposób w jaki czujesz drogi na Przylądku Rosier, Piotrze — uśmiechnęłam się do niego. — Sześćdziesięcioletnie kręgosłupy nie nadają się do tego.

— Mów za siebie — odrzekł. — Mój kręgosłup czuje się jakby miał dwadzieścia lat. Moje nogi i ręce, chyba piętnaście. A nie wyobrażasz sobie jak młody czuje się mój...

— Nie, chyba nie mogę sobie wyobrazić — przerwałam szybko, widząc na drodze Erykę Conant z jej klubem brydżowym, zmierzające na werandę do jachtklubu. — Ale może będziesz mógł mnie przekonać dowodząc mi tego.

— Z największą przyjemnością, jeśli wybaczysz dwuznacznik — powiedział Piotr śmiejąc się w słońcu tego czerwonego popołudnia, a ja uściśnęłam go gwałtownie, mniejsza o Erykę czy nie Erykę. Piotr wrócił, Piotr bez cieni; cały jak światło i tak młody, jak wówczas gdy itańczył ze mną walcąc na zalanych księżycowym światłem brzegach za

rękopisu, czy nowego samochodu sportowego, czy może spowodowały to po prostu plamy na słońcu, albo jony — niech tak będzie. Piotr przez resztę tego lata był takim Piotrem, jakim zawsze myślałam, że będzie a ja wraz z nim, gdy oboje zostaniemy sami w Liberty z bogactwem wielu lazurowych dni, którymi będziemy dysponować wedle chęci. Pamiętam, że wybiegałam bardzo daleko w przyszłość z tej dawnej twierdzy przepisów, obowiązków i wyrzutów i widziałam dokładnie to lato przed sobą.

Gdy patrzę wstecz, wydaje mi się, że deszcz w ogóle nie padał, a jednak trawa i kwiaty polne na słonych łąkach były bardziej błyszczące niż kiedykolwiek; że nigdy nie było gorąco i parno; że mgła nigdy nie podkradała się by przyciskać swą wygłodniałą twarz do mego okna; że muchy i komary nigdy nie dokuczały. Kryształowo-błękitne dni przechodziły jeden za drugim, jak w uroczystej procesji sznur sprawnych przątek pogody, którą przędły przez cały lipiec i sierpień, i nie uprzedły żadnej innej prócz dźwięcznego złota dni i usianych gwiazdami nocy. Piotruś i Sara wrócili z Jamajki odnowieni, odrodzeni i bliżsi sobie niż dawniej. Otworzyli Mały Domek, a mała Sally i Maude Caroline udawały się codziennie do Yaycamp. Krótko widywaliśmy naszego syna i jego małą brązową żonę: tylko na koktajlach lub zimnych niedzielnych kolacjach, na piknikach na jednej z wysp — bo było to lato spędzone na wodzie, nawet przeze mnie — i zawsze byli otuleni płaszczem głębokiej, spokojnej miłości i szczęścia, które wywoływały łzy wdzięczności w moich oczach. Mój syn przeżył tamten wielki sztorm i znalazł przystań, tak jak Piotr, najwyraźniej, znalazł swoją. Jeśli Sara i ja zawdzięczałyśmy to Elżbiecie Potter Villiers, myślę, że obie obsypałybyśmy wdzięcznością jej rudą głowę bez żadnych zastrzeżeń. To co się wydarzyło w tę zimną straszną noc przed siedmioma zaledwie miesiącami, zbliżyło Piotra i Piotrusia bardziej niż cokolwiek innego przedtem mogłoby ich zbliżyć. Żeglowali razem wchodząc daleko w zatokę, i nieraz widziałam, jak Piotr kładł rękę na ramieniu Piotrusia, a Piotruś uśmiechał się do niego z zadowoleniem na swej okrągłej twarzy. Elżbieta wróciła do Francji pod koniec stycznia i osiadła z powrotem w zamku swego męża. Greta Winslow słyszała o tym w Paryżu i powtórzyła nam, gdy przyjechała z dziećmi do Zacisza. Często myślałam tego lata, że to ostateczne pożegnanie z Elżbietą tak rozjaśniło i nasyciło powietrze wokół mnie i moich bliskich.

Piotr i ja jeździliśmy austinem healy po przyładku tak często i tak lekkomyślnie, że nowy szeryf, choć niechętnie, dwa razy ukarał nas mandatem. Raz zabrakło nam benzyny o zmierzchu na szczycie Caterpillar Hill, gdzie pojechaliśmy popatrzeć na zachód słońca, nad wciąż dla mnie najpiękniejszym widokiem morza, wysp i nieba w całym Maine. Byliśmy daleko od domu i musielibyśmy pewnie spędzić męczącą noc w samochodzie, ale Micah i Krystyna Willisowie wiedzieli gdzie jesteśmy i przyjechali z pełnym kanistrem benzyny i mięczakami na wynos z „Bagaduce Lunch”.

— Skąd wiedzieliście, że zabrakło benzyny a nie, że spotkała nas jakaś straszna katastrofa? — Piotr zapytał Micaha, ponieważ Micah uważał, że Piotr prowadzi samochód jak lunatyk i nie chciał z nim jeździć.

— To nie jest lato katastrof — odparł spokojnie Micah. — Ale z pewnością już najwyższy czas, żeby ci zabrakło benzyny.

Widywaliśmy Micaha i Krystynę dość często tego lata, siadywaliśmy razem przy kominku w Liberty, rozmawialiśmy i pili wyśmienitą brandy. Te wieczory były tak przyjemne jak zawsze i jeśli czasem myślałam o wspaniałej kuchni Willisów gdzie tylko raz byłam, odrzuciłam tę myśl od siebie. Nasze światy nie mogły się mieszać; Tina mi to powiedziała. Wystarczyło mi, że Micah i Krystyna dzielili z nami nasz świat.

Kochaliśmy się z Piotrem niemal wszędzie w Liberty, a czasem poza domem, podczas nocy gdy księżyc wisiał nisko nad nami i zawiewał wiatr od morza; byliśmy jak nienasycone dzieci z tamtych naszych pierwszych dni w Northpoint. Upierałam się przy wietrze; dźwięki, które wydawaliśmy były bardziej niż niedelikatne i na pograniczu obsceniczności. I zawsze wszystko kończyło się śmiechem. Śmiałyśmy się jak nigdy od czasu, gdy byliśmy tu, w Liberty jako młode małżeństwo, tłumiące bogate dźwięki miłości przed doskonałym słuchem Mamy Anny rękami, kocami i cokolwiek jeszcze zdołaliśmy znaleźć w naszym krańcowym uniesieniu. Kiedy poszliśmy na górę do małego pokoju, który był naszą pierwszą sypialnią w Zaciszu, a przedtem pokojem Piotra i kochaliśmy się na kulawym małym łóżku, które załamało się pod nami, tak jak groziło tamtej dawnej nocy i prawie udusiliśmy się od śmiechu. Wstaliśmy z podłogi, Piotr pociągnął mnie do łazienki, wrzucił do wanny stęchły stary pled z Princeton i robiliśmy po dziesiątkach lat to samo co tamtej pierwszej nocy, uwalniając się tak jak wtedy, słabi, pozbawieni tchu i roześmiani.

— Nigdy nie wyrzucę tej derki — powiedział Piotr siedząc nago na brzegu starej wanny na lwich łapach. — Kiedy będziemy mieli dziewięćdziesiąt pięć lat, jakiś biedny małżonek któregoś z naszych wnucząt znajdzie się tu na tym kocu, a my będziemy mogli stukać w sufit szcztoką pytając czy nikt nie jest chory. Wszystko się kręci dokoła i wraca na swoje miejsce, Boże, Maude, spójrz na siebie, starsza pani z siwymi włosami, a te piersi i siedzenie są tak samo okrągłe jak były i odbijają się jak piłka, a ty wciąż wydajesz okrzyki jak Indianie ze szczepu Komanczów.

— Co za wytworność — powiedziała wyciągając się na całą długość w wannie na wszędobylskim kocu, wciąż jeszcze przepełniona nim w moim wnętrzu. — A ty, mój drogi stary wariacie, jesteś o całe lata starszy ode mnie i wciąż wyglądasz jak wyprężony żuraw. Wszystko co się kręci wraca do punktu wyjścia.

— Żegluj ze mną tego lata, Maude — prosił, gdy przyjechał i uległam. Pierwszy i jedyny raz w życiu wstałam o chłodnym poranku i poszłam z Piotrem do jachtklubu, do dinghy i popłynęliśmy różową zwierciadlaną wodą tam, gdzie czekała „Anna”. Najpierw nie odpływaliśmy daleko; Piotr wiedział jak bardzo przerażało mnie to i przygotowało o mdłości, trzymał się więc linii wybrzeża i wypływał tylko do najbliższych wysp.

Powiedziałam mu o orłach na Wyspie Rybołowow i myślę, że naprawdę cieszył się bardzo, że wrócili, nie proponował jednak, by tam płynąć, a gdy ja to zasugerowałam, powiedział tylko:

— Wstyd byłoby je wystraszyć, gdy dopiero się tam urządziły. Pojadę na przyszyły rok.

Zrozumiałam, że uzdrowienie, które ja tam znalazłam nie będzie jego udziałem i zasmuciło mnie to głęboko. Nie nalegałam jednak. Tylko o Seanie Piotr tego lata nie mówił.

Stopniowo zaczęłam, jeśli nawet nie lubić, to akceptować płynny ruch „Anny” i płaczący zgrzyt tekowego pokładu, gdy wchodziliśmy coraz dalej w połyskliwą zatokę. Daleko na wodzie, gdy brzegi Rosier, Islesboro i Sarniej Wyspy widoczne były jak podobne do chmur plamy na widnokregu, czułam się lepiej; pęd tego przewianego wiatrem lazuru i bieli radował mnie do upojenia i zaczynałam rozumieć odwieczny zew, który wciąż i wciąż wyprowadzał Piotra w morze. Z nim przy boku, to były czary. Ale sama... wiedziałam, że zawsze będę nienawidziła morza i bała się myśli o samotności na nim. Nie dla Piotra; był jednym z najlepszych żeglarzy na przyładku. Ale dla siebie. Dla mnie samotne przebywanie w łodzi na morzach wokół przyładka Rosier było jak oddanie się w ręce mego najstarszego i najbardziej nieubłaganego wroga. Nawet w ciągu tych promieniejących światłem dni w lipcu i sierpniu morze w swym lodowatym jądrze pozostawało moim wrogiem.

Pewnego dnia pod koniec sierpnia, gdy światło wokół przyładka było tak czyste, błękitne i promienne, że cały świat zdawał się wryty w kryształ, Piotr popłynął „Anną” poza Wyspę Zachodnią i zarzucił kotwicę przy Zielonej Skale. Wiatr ucichł, miodowozłote słońce stało wysoko, a „Anna” kołysała się na pustym morzu jak kołyska. Zjedliśmy kanapki i wypiliśmy wino, a potem rozebraliśmy się i kochali na pokładzie, dwa razy, a potem trzeci raz i naprawdę myślę, że gdyby Piotr nie oparł swej bosej nogi na listwie uszczelniającej luk, mogliśmy spaść do morza.

— Nie próbuję nawet sobie wyobrazić, co ktoś żeglujący koło nas mógłby sobie pomyśleć, gdyby to zobaczył — powiedziała, leżąc spokojnie i pozwalając lekkiemu wiatrowi wysuszyć pot na moim ciele.

— Nikogo dziś tu nie ma poza łowiącymi homary — odparł Piotr. — A tutejsi mieszkańcy patrzą trzeźwo na takie rzeczy. Znasz stary dowcip o poławiaczach homarów za przyładkiem, którzy zobaczyli pustą łódź wiosłową rzucającą się jak koń stający dęba, a gdy podpłynęli bliżej zobaczyli Ciernia i Mary w miłosnym uścisku, więc ukłonili się grzecznie wołając: Dobra pogoda do tego!

Śmiałyśmy się przez całą drogę do domu i gdy już cumowaliśmy łódź, pełen godności siwowłosa Guildford Kennedy zawołał z werandy klubu:

— Krażyliście po morzu, dzieci? Dobra pogoda do tego — zwinęliśmy się w pół i przez kilka minut nie mogliśmy wykrztusić słowa.

— To nie z ciebie, Guild, to... po prostu stary nudny żart rodzinny — wykrztusiłam wreszcie, pewna, że nietowarzyscy Kennedy'owie nie znali tego. — To naprawdę był bardzo dobry dzień do tego.

— Wygląda na to, że to jeden z ostatnich jakie nam pozostały — powiedział pogodnie Guild. — Słyszałem dziś w telewizji, że huragan nadchodzi na wybrzeże od Północnej Karoliny i Wirginii i że może w nas uderzyć za dwa, trzy dni. To Andrea. Pierwszy w tym sezonie. W najlepszym razie porządnie nas zmoczy.

— Nigdy nie słyszałem o huraganie na wybrzeżu Maine — powiedziałam krzywiąc się do Piotra, gdy ciężko posuwaliśmy się drogą do Liberty dźwigając marynarskie kufarki.

— Słyszałem o nich, ale nigdy nie widziałem — odrzekł. — Istnieje taka teoria, że rzadko się tu zdarzają z powodu prądów Humboldta, czy jakiegoś innego diabelstwa. A te, które mAmy, lecą ku otwartym brzegom. W zatokach rzadko zdarza się więcej poza dmuchaniem; zbyt daleko od otwartej wody i zbyt są zakryte przez te wszystkie wyspy. Z przykrością myślę, że uderzy w zewnętrzne wyspy i szlag mnie trafia na myśl o końcu tego piękna. Ale przynajmniej łatwiej będzie wyjechać stąd jeśli pogoda się popsuje. Kiedy byłem mały zawsze marzyłem o tym, żeby deszcz spadł w dniu, w którym wyruszyliśmy do domu.

— Chciałabym, żebyśmy zostali trochę dłużej w tym roku — powiedziałam.

— Ja także, ale to po prostu niemożliwe. Na przyszły rok, gdy książka już wyjdzie i znajdę nowego zastępcę, zostaniemy. Obiecuję.

Prąd Humboldta nie wywarł wielkiego wrażenia na Andrei. Huragan nieubłaganie torował sobie drogę na wybrzeże; obserwowaliśmy, jak rozmazane czarno-białe obrazy pieniających się fal sztormowych i łamanych drzew migały na ekranie zużytego telewizora, którego Piotr nie chciał wymienić. Dmuchał na Długą Wyspę, zrównał całe połacie brzegu morskiego na przylądku Cod, wykonał spiralny manewr na York Beach daleko na południe od nas, a potem skręcił w prawo i niezdecydowanie skierował się ku Nowej Szkocji.

— Wygląda na to, że kuzyni Tiny popróbują trochę jak smakuje Andrea — rzekłam do Micaha, gdy przyszedł z podwójnym naręczem drewna przed Dniem Pracy. Było szaro i mgliście, wiatr zachowywał się dziwnie: przebiegał jak pajak po powierzchni zatoki i zapadał w martwą ciszę a potem podwajał podmuchy i wirował wokół kominów Zacisza. Głuche jęki, jakich nigdy nie słyszałam, dobywały się z wysoka, ze szczytów jodeł, były jednak stłumione i nie nazbyt złowieszcze. Boje przy Cyplu Przylądka i Wyspie Małej Sarenki zgrzytały, a stada srebrnych ptaków morskich, głównie mew, krążyły nad głowami a potem odlatywały w chmurach w głąb łądu.

Ale sumienny synoptyk z Bangor zapewniał ciągle tego ranka, że huragan Andrea ominie wybrzeże Maine i zaledwie dotknie Nowej Szkocji nim przeniesie się na otwarte wody.

— Nie martwię się o krewnych Tiny — powiedział Micah, zrzucając drzewo do skrzyni przed kominkiem. — Mogą usiąść na drzewach jak mewy; myślę, że tak zaczęli. Nie miałbym jednak nic przeciw temu, żebyście wy się stąd wynieśli.

— Ale telewizja podaje, że to nas ominie — powiedziałam zaniepokojona.

— Może tak być, a może nie — odparł Micah. — Nie podoba mi się tchnienie i zapach tego wiatru, a mewy więcej wiedzą niż ten mały typek w Bangor. Czy Piotr zabezpieczył dobrze „Annę”?

— Właśnie tam jest — odparłam. — Powiem mu, że uważasz iż powinniśmy wyjechać. Ale Micah, potrzebuję dwóch dni, żeby zamknąć Liberty...

— Wyjedźcie i zostawcie Liberty otwarte — rzekł. — Tina i ja zamkniemy później. Przecież nieraz to robiliśmy.

— Nie sędzę, żeby mi się udało ruszyć Piotra — powiedziałam. — Przetrwiał tyle ciosów w ciągu tych lat, Micah.

— Nie wyobrażałem sobie, że go przekonasz — odparł Micah. — Dlatego właśnie przyniosłem podwójną porcję drewna. Będziemy pewnie pozbawieni prądu, ale możesz gotować na kominku jeśli będziesz musiała, i podgrzewać wodę. Przyprawdę jednak tutaj wasze dzieci z wybrzeża.

W południe niebo pociemniało od białego półmroku, a piana narosła na powierzchni zatoki jak dym. Jęk wiatru przeszedł w wycie. Ulewny deszcz siekł po przystani, ustał, a potem znów spadł ulewą. Piotr poszedł zadzwonić do Piotrusia i Sary, by zabrali dzieci i przyszli ścieżką nad urwiskiem do Liberty, ale nie było sygnału w telefonie.

— Przerwało gdzieś linię — powiedział. — Pójdę po nich. Zaraz wrócę. Dlaczego nie zagrzejesz wczorajszej potrawy z mięczaków? Mama zawsze podawała ją na lunch podczas sztormu.

Znikł w narastającej szarości w swym żółtym przeciwdeszczowym kombinezonie, a ja poszłam do kuchni i postawiłam garnek z potrawką na piecu, żeby się zagrzała. Pod wpływem impulsu nalałam sobie szklaneczkę brązowego porto. Nie wiem dlaczego; nigdy nie przepadałam za nim.

— Twoje zdrowie, Mamo Anno — zawołałam, unosząc szklanke. — Potrawka z mięczaków na sztormową pogodę będzie jak należy. I żadnego porto na burzę.

Zachichotałam z własnej chytrości i w tym momencie światło zamigotało, zadrgało, zapaliło się jeszcze raz i zgasło.

— Gówno — powiedziałam i poszłam dołożyć polano do ognia, który Micah rozpałił. Regularnie bywaliśmy pozbawiani światła na przyładku; niemal każdy silniejszy wiatr mógł przewrócić murszejący słup lub przerwać którąś ze starych linii, którą przedsiębiorstwo „Bangor Hydroelectric” obiecywało wymienić, ale nigdy nie spełniło obietnicy. Przygotowywałam posiłki w ciemności, czasem przez cały dzień czy nawet dwa dni więc na pewno mogę to i teraz zrobić. Nie podobało mi się jednak wycie wiatru; harcował po niebie jak oszalały, a niebosiężne jodły przed domem słaniały się niemal do ziemi i nie widać było nawet małego brzoźowego zagajnika za kortem tenisowym. Powiesiłam garnek na starym obracającym się ramieniu w kominku i wyjęłam świece i lampy naftowe, a potem usiadłam czekając na Piotra i dzieci.

Weszli wraz z wirem deszczu i wyciem wiatru, przemoczeni do suchej nitki i jakby przemarznięci. Znalazłam ręczniki i koce i poszli przebrać się w suche ubrania z kufrów z posegregowanymi zużytymi rzeczami, które trzymaliśmy w przechowalni. Piotr przyszedł, usiadł na sofie i popatrzył na mnie.

— Zatoka wygląda jak wyrwa od pioruna — powiedział. — Woda sięga do werandy. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Myślę, że tu naprawdę coś może być, Maude.

— Czy możemy się przedostać w dużym samochodzie, jak myślisz? — zapytałam. — Dostać się przynajmniej do miasteczka, żeby nie być przy wodzie.

— Nie — odparł. — Ogromny świerk zatarasował drogę. Myślę, że to spowodowało wyłączenie prądu. Nie możemy się wydostać, chyba że na piechotę, i nikt się tu nie dostanie, dopóki nie będzie po wszystkim i przybędzie brygada okręgowa. Myślę, że tu będziemy dość bezpieczni; jest ogromna różnica pomiędzy wiatrem tutaj a wiatrem na brzegu. Tam jest dużo silniejszy. Piękny Brzeg zasłania nas bezpośrednio, a drzewa chyba wytrzymują. Stary świerk, który leży na drodze wysychał już od dwóch lat. W większości domów widać światło lamp w oknach i dym leci z kominów; niewiele osób wyjechało. Musimy po prostu podtrzymywać ogień i może w coś pogrążyć. Tu gdzieś jest całe pudło starych gier. Kto wie, może pośpiewamy. Jedyne, co chciałbym, żebyśmy mieli, to radio na baterie; miałem zamiar się o nie postarać ale nie zrobiłem tego.

— No, jeśli nie będzie gorzej niż w tej chwili, myślę, że damy sobie radę — powiedziałam. — To prawie jak przygoda, prawda? Przynajmniej dopóki dach nie sfrunie.

— Ten stary dom stał sto lat — rzekł Piotr. — Nic mu się i teraz nie stanie. Czy potrawka się zagrzała?

To było zupełnie udane popołudnie i wieczór. Mrok zapadł wcześniej i okrył wszystko, a wiatr huczał i wył, dym wkręcał się z powrotem do komina i parę razy usłyszeliśmy wdzierający się w serce zgrzyt i trzask, a potem długi śmiertelny łoskot upadającego drzewa, ale to było głównie w zagajniku brzozowym wśród kruchego, srebrnego wojska, które zawsze kochałam. Większe drzewa trzymały się, a wiatr nie wydawał się sięgać wyżej i koło szóstej tego wieczora z przenikliwego przeszedł w czysty szum, rodzaj dzikiej kołysanki w tle kaskadowej ulewy deszczu.

Usmażyłam na kolację bekon i jajka na żelaznej patelni nad ogniem, a Sara przypiekła bułkę na długim widelcu. Przygotowaliśmy coś, co Piotruś nazwał kawą pionierów i w świetle lampy przy migoczącym ogniu i tańczących po starej bawialni cieniach, patrząc na twarze pięciorga ludzi najbliższych mi na ziemi, poczułam nagły przypływ miłości i wdzięczności tak wielkiej, że było to prawie objawienie. Wydawało się, że jest nas więcej w pokoju, niż było naprawdę, a moja miłość dosięgała wszystkich i przelała się na nich. Widziałam ciężkie stare kryształowe karafki w srebrnej oprawie, należące do Dużego Piotra; Piotruś nalewał z nich dla nas brandy. Piotr siedział na wygiętej starej sofie, którą jego babka sprowadzi-

ła z Bostonu statkiem pocztowym razem z rozsypującym się już oprawnym w skórę tomem bajek, które on czytywał jako dziecko; teraz czytała je Sally. Maude Caroline miała na sobie barwny hiszpański szal MAMY Anny, którym się okrywałam tego pierwszego lata, gdy przyjmowałam na werandzie wszystkich mieszkańców letniska, po wypadku z sarenką. Sara nalewała kawę ze starego błękitnego, cętkowanego dzbana, który gospodyni Piotra babki przywiozła z Bostonu, odmawiając używania ciężkiego dzbana ze srebra, który tak szybko czerniał od wilgoci. Nad kominkiem, na kamiennym murku, płomienie tańczyły na wypokostowanej belce z „Rybołowa” Seana. Piotr powiesił ją tu bez słowa zanim wyjechalśmy poprzedniego lata i wiedziałam, że będzie tu wisiała dokąd będzie istniało Liberty.

Dziękuję ci, Mamo Anno, pomyślałam. To było po to, prawda? Po to, żebyśmy mogli wszyscy przyjeżdżać razem do Liberty i przetrwać burze — wszyscy, żywi i umarli. Ktoś musi wiedzieć jak to zrobić, prawda? Ci co wiedzą, muszą uczyć następnych, a oni z kolei następnych...

— Kocham was wszystkich — powiedziałam w rozświetloną ogniem ciemność.

Roześmieli się wszyscy, a Piotruś rzekł:

— Ładnie wyglądamy przy ogniu, prawda?

I śmieliśmy się znowu.

— Mamo — głos Maude Caroline dobiegł z tyłów domu, gdzie odważyła się zapaść do łazienki. — Przyjdź tu na chwilę. Dym leci z Pięknego Brzegu i chyba światło... myślę, że może tam się pali!

Popatrzyliśmy wszyscy na siebie, a potem Piotr i Piotruś zerwali się na nogi i chwyciwszy nieprzemakalne okrycia z wieszaka, otulając się w nie wybiegli w burzę. Sara, ja i dzieci pobiegliśmy do tylnych okien, wychodzących na Piękny Brzeg; zobaczyliśmy to na własne oczy — dym przedostający się poprzez ukośnie padający deszcz i skaczące cienie w górnym oknie, co oznaczało płomień. Dobry Boże, pomyślałam, nie ma możliwości wezwania ochotniczego oddziału straży pożarnej, i tak by się zresztą nie przedostał; dlaczego ten przeklęty deszcz tego nie zaleje? Jak na miłość boską, mogło się zapalić? Nie było piorunów...

Drzwi frontowe otworzyły się z hukiem i zatrzasnęły; pobiegłam do bawialni. Piotr i Piotruś stali tam, ociekając kroplami wody na dywan, z twarzami pobladłymi śmiertelnie.

— Piotrze? — szepnęłam.

— Weź płaszcz przeciwdeszczowy i chodź, Maude — powiedział. Jego głos był głuchy i spokojny. Skóra u nasady nosa zbielała. Piotruś wyglądał jak sztywno podparty umarły człowiek. Poczułam skurcz w sercu.

— Co? Co to jest?

— Chodź. Na miłość boską, po prostu chodź. Pospiesz się. — krzyknął Piotr; obaj z Piotrusiem wyszli znowu w rozszalałą ciemność.

Wbiłam się w przeciwdeszczowe okrycie i zawołałam Sarę. Przybiegła zaraz.

— Czy to pożar?

— Nie. Nie wiem co to jest, ale to nie jest dla nas niebezpieczne. Piotr chce, żebym tam poszła. Proszę cię, Saro, zostań z dziećmi i nie pozwól, żeby się przestraszyły... Trzymaj je z daleka od tylnych okien. Jak tylko będę mogła zaraz przyjdę ci powiedzieć co się stało.

— Nie mogę zostać nie wiedząc... — zaczęła.

— Możesz, do cholery, jeśli choć trochę dbasz o swoje dzieci — krzyknęłam. — Nie wiem co to jest, ale to nie jest nic takiego co mogłoby zagrażać komuś z nas. Piotr nie wzywałby mnie tam. Zrób ten jeden raz to, co mówię i przestań jęczeć, Saro! Nie mamy na to czasu.

— Tak, Maude — powiedziała równym głosem i zdałam sobie sprawę, że w tej chwili nienawidziła mnie tak jak ja nienawidziłam Anny i choćbym próbowała do końca życia jej to wynagrodzić, nigdy mi się to nie uda. Wybiegłam w deszcz i wiatr, z sercem martwym jak kamień. Wiedziałam, jakby Piotr mi powiedział, co znajdę w Pięknym Brzegu.

Elżbieta leżała w górnej sypialni, która należała do Amy i Parkera. Była biała jak papier; nawet jej powieki wyglądały jak wybielone, nawet wargi. W pokoju było zimno; ogień który próbowała rozpaścić skwierczał i roz-snuwał falisty dym po pokoju; tylko od niego padało światło i od jednej topiącej się świecy na stole przy jej łóżku. Ale nawet w tym migocącym wątłym świetle mogłam dojrzeć, że prześcieradła pod nią i na niej przesiąknięte były krwią, a dziecko, które trzymała przy piersi też było splamione krwią, bielsze i bardziej przezroczyste niż płatki narcyza. Dziecko było, pomyślałam z zadziwiającym spokojem, prawie na pewno martwe; po prostu było zbyt małe i zbyt spokojne, by mogło być inaczej. Wyglądało jak mała chińska lalka.

Piotr i Piotruś stali ramie przy ramieniu na środku pokoju, patrząc na mnie, a Elżbieta podniosła głowę i uśmiechnęła się.

— Straszna pogoda na odwiedzin, prawda? — powiedziała. Jej głos brzmiał tak, jakby nie miała dość tchu, by słowa mogły się przedostać. Białe dziecko wydawało dźwięk jak mewa, bardzo daleki. Podbiegłam wtedy szybko.

— Piotrze, biegnij na dół, rozpal ogień, zagrzej wodę i znajdź butlę do gorącej wody; zrób to szybko — powiedziałam, a on odwrócił się i szybkim krokiem wyszedł z pokoju. — Piotrusiu, zbierz wszystkie koce, jakie znajdziesz w domu, poszukaj whisky i przynieś tutaj. — On też zniknął. Ani on, ani ojciec nie wyrzekli słowa.

Podeszłam do Elżbiety i spojrzałam na dziecko. Przyszło na świat za wcześnie, nawet ja to widziałam, było tak maleńkie, że nawet w szpitalu miałyby niewielką szansę przeżycia. A tu, w tych ciemnościach, w zimnym domu, podczas sztormu? Wyciągnęłam zakrwawiony koc spod maleńkiej buzi i kwilenie stało się głośniejsze. Krew ścięła mi się w żyłach w lód i naprawdę myślałam przez chwilę, że serce we mnie zamarło.

Nie było wątpliwości co do wygiętego w łuk nosa, który oglądałam u mego nowo narodzonego syna, ani małego delikatnego dołka w brodzie, tak charakterystycznego dla Chamblissów. Wyglądały jakby były wycze-lowane w tej małej woskowej twarzy przez miniaturzystę.

— Och, Piotrusiu — powiedziałam do mego syna, który wszedł z kocami i patrzył z przerażeniem nie niniejszym niż moje na zamierające dziecko. — Och, Piotrusiu, coś ty zrobił?

— Nie wiedziałem — odparł, głosem takim jakiego nigdy u niego nie słyszałam. — Nie wiedziałem.

Łzy stanęły mi w oczach, spłynęły i pobiegły w dół po policzkach. Podniosłam dziecko i owinęłam je w jeden z czystych pledów — tak lekkie, tak bardzo lekkie, tak małe... położyłam na łóżku i podniosłam głowę Elżbiety z poduszki. Oparła się na moim ramieniu jakby pozbawiona rdzenia kręgowego. Skrzywiła się z bólu.

— Czy jeszcze krwawisz? — zapytałam szybko.

— Nie. To się skończyło przed chwilą. Jestem tylko taka... śpiąca, Maude. Tak bardzo chce mi się spać. Dziecko... przyszło za wcześnie, prawda? Wiem, że tak jest... Nie wiedziałam, że to się zbliża, gdy wyjeżdżałam z Bostonu. Dopiero kiedy byłam koło South Brooksville to... się zaczęło. Myślałam, że będę je mogła urodzić tutaj i znaleźć kogoś... może Franka Stallingsa, albo kogoś z miasteczka, jakąś położną... ale to się stało, gdy tu wchodziłam. To było naprawdę bardzo szybko. Prawie nie poczułam, jest takie maleńkie, widzisz przecież. Tylko było tyle krwi...

— Elżbieto, jak dostałaś się do Pięknego Brzegu? — zapytałam głupio, jakby to mogło mieć jakieś znaczenie. Mówiąc, owijałam czystymi ręcznikami jej krocze i nogi, starając się nie słyszeć dźwięku jaki oddychając wydawało dziecko. To brzmiało jak małe miechy, chrapiące, zatrzymujące się, chrapiące...

— Zaparkowałam samochód na drodze, tam gdzie leży drzewo i szłam piechotą — powiedziała Elżbieta.

— Boże miłosierny — usłyszałam głos poza mną; odwróciłam się, Piotr stał tam z parującym czajnikiem i butlą gorącej wody, patrząc to na Elżbietę, to na dziecko leżące na łóżku.

Wzięłam czajnik i butlę i odstawiłam je, a potem ujęłam mego męża i syna za ramiona i dosłownie powlokłam ich do drzwi. Potykali się koło mnie jak automaty, jak ofiary straszliwej klęski. Byli nimi, oczywiście. Wszyscy byliśmy.

— Wracajcie — rozkazałam. — Wracajcie. Wydostańcie się kiedy będziecie mogli i sprowadźcie pomoc. Idźcie do Micaha, przyślijcie Micaha i Krystynę i jeśli jest w miasteczku lekarz, sprowadźcie go. Wiem, że na lotnisku nie ma żadnego... Idźcie już. Nie przychodźcie tu więcej.

— Maude... — rzekł Piotr. Jego twarz wyglądała strasznie.

— Zabierz stąd Piotrusia! — powiedziałam. — Zabierz go stąd, jego i Sarę i dzieci, zaprowadź ich do Stallingsów czy do Willisów i powiedz im... och, Boże, nie wiem, powiedz im to co musisz i nie pozwól Piotrusiowi o tym mówić.

— Maude... — powiedział znów Piotr.

— Na miłość boską, Piotrze, idź! — krzyknęłam i Piotr wziął Piotrusia za ramię i wyszli. Odwróciłam się do Elżbiety i dziecka na łóżku.

— Dlaczego, Elżbieto? — zapytałam, podsuwając jej whisky do ust. Położyłam zawinięte dziecko na butli z gorącą wodą, powalczyło słabo przez chwilę, a potem uspokoiło się. Zdałam sobie sprawę, że nie mogę na nie patrzeć.

— Ponieważ mieszkańcy lotniska będę musieli zaakceptować małego bękartą, jeśli tu będzie urodzony — powiedziała. — W innym wypadku wiem, że nigdy nie zostanie uznany w Zaciszu. W Zaciszu to jest bardzo ważne, gdzie jesteś urodzony, szczególnie gdy się jest nieślubnym dzieckiem. A poza tym... on ma tu rodzinę. To jest też ważne. To jest on, wiesz, Maude.

Zamknęłam oczy, a gdy je otworzyłam, patrzyła na mnie swymi skośnymi oczami, w których był straszliwy spokój, rodzaj pogodnego szaleństwa.

— On nie będzie żył, prawda? — spytała.

— Nie wiem — odparłam, podniosłam dziecko i trzymałam je i butlę z gorącą wodą, koc i wszystko razem przy swojej piersi. Podeszłam z nim do fotela na biegunach przy kominka, gdzie Amy lubiła siadywać gdy urodziła się Elżbieta, kołysząc je, wciąż kołysząc.

Siedziałam tam z dzieckiem bardzo długo, ogrzewając je moim ciałem i dłońmi, śpiewając mu piosenki, których już teraz nie pamiętam, czując raczej niż słysząc nierówny, słaby oddech, walczący wciąż i wciąż, i wciąż. Zdaje mi się, że siedziałam z nim prawie aż do świtu.

Ale dziecko umarło o świcie, zanim zdążyła nadejść pomoc.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tuż przed świętami Wielkiej Nocy wydawcy Piotra otrzymali list od prezydenta Johna F. Kennedy'ego, któremu wysłali wcześniej — z nadzieją wbrew nadziei — egzemplarz książki Piotra; list wychwalał „Commons” za wnikliwość, humanitaryzm i pozbawiony sentymentalizmu dowcip. Jack Kennedy, który sam wyszedł z Choate i należał do tego samego korowodu uprzywilejowanych i przeznaczonych do władzy, od których roiło się w książce, ze zrozumiałych względów nie mógł napisać na niej promocyjnej notatki reklamującej, ale dał znać przez jednego z redaktorów firmy, który studiował z nim na Harvardzie, iż nie czułby się zmartwiony, gdyby środki przekazu doniosły, że „Commons” leży zawsze na stoliku przy jego łóżku. Ten smaczny kąsek pojawił się w „The New York Times” w dzień później i „Commons” osiągnęła zdumiewający drugi nakład w ciągu tygodnia. Wydawcy natychmiast zorganizowali dla Piotra podróż autorską po kraju. Gdy odpowiedział, że nie ma na to chęci, jego redaktor nie zareagował rozślawieniem nazwiska, ani miejscem na liście bestsellerów „New York Timesa” — Jack Kennedy bardzo się o to postarał — lecz życzeniem, by honorarium autorskie zostało związane ze stypendium na nazwisko Piotra i zgodnie z jego wyborem, w Northpoint.

— Tak więc — powiedział nam Piotr podczas wielkanocnego śniadania w Wielką Niedzielę, gdy opowiadał nam o proponowanym tournée — nie widzę żadnego przyzwoitego sposobu wykręcenia się od tego. To tak jakbym użył Northpoint, by się wzbogacić, a potem nie chciał się podzielić zdobyczą. Ta podróż nie będzie dłużej trwała niż miesiąc, dwa. Możesz ze mną pojechać, Maude; Martin to proponował. Co o tym myślisz? Pierwsza klasa przez całą dobę, do Pocatello, Idaho, Scranton w Pensylwanii i tak dalej?

— Och, Piotrze, kiedy? — zapytałam. Moje serce przepełniała duma i ulga, że mgła martwego przygnębienia, która zdawała się go otaczać przez całą zimę i wiosnę, trochę się rozproszyła. W jego szarych oczach pojawiała się czasem odrobina dawnego światła, które jaśniało w nich ostatniego lata, przed straszną nocą huraganu. Oddałabym wszystkie swe

siły, by to światło zapłonęło jeszcze raz, wszystko — poza tym o co podejrzewałam, że jestem proszona.

— Chcę zacząć w czerwcu i zakończyć pod koniec lipca — powiedziała zdawkowo Piotr. Ale jego spojrzenie było intensywnie we mnie utkwione.

— To znaczy, że nie pojechałbyś do Zacisza — rzekłam.

— Myślę, że bym pojechał, w każdym razie gdzieś w połowie sierpnia — odparł.

Milczałam przez chwilę, patrząc w dół, a potem powiedziałam cicho:

— Piotrze, ja muszę pojechać w tym roku. Tego lata bardziej niż kiedykolwiek muszę tam być. I ty także. Wszyscy musimy. Czy nie mógłbyś tam mieć jakby bazy i wyjechać z... och, z Bangor?

— Nie — odpowiedział Piotr. — Nie mogę. I prawdę mówiąc, Maude, nie planowałem w ogóle przyjazdu do Zacisza w tym roku.

— Co? — zapytałam patrząc na niego. Odwrócił teraz wzrok ode mnie, spoglądając na wielkie aksamitno-zielone gałęzie starej wierzby, rosnącej tuż za oknami naszej jadalni. Wielkanoc wypadła w tym roku późno i wiosna była ciepła.

— Myślę, że powinnaś wiedzieć, że my też nie przyjedziemy w tym roku — powiedział sztywno zza stołu Piotruś. Przeniosłam wzrok na niego. Na policzkach wystąpiły mu czerwone plamy, ale patrzył mi zdecydowanie w oczy. Sara utkwiała wzrok w talerzu. Nie odzywała się.

Czułam jak coś bliskiego paniki rodzi się w moim sercu i musiałam kilka razy zaczerpnąć oddechu, zanim mogłam zapytać:

— Dlaczego?

Piotr milczał, a Piotruś powiedział wreszcie, tym samym zimnym, suchym głosem:

— Wydaje mi się, że tam nic nie ma dla nas, mamó. Rozmawialiśmy o tym i jesteśmy co do tego zgodni.

Patrzyłam to na mego syna, to na męża, a serce uderzało mi jak młotem.

— Piotrze?

Podniósł ręce, a potem je opuścił i potrząsnął lekko głową.

— Myślę, że tak jest naprawdę, Maude. Tam... tam nie ma już po prostu nic.

Zdawało mi się, że nie mogę głęboko oddychać ani panować nad śmiesznym galopem mego serca. To było absurdalne. Zmusiałam się, by bez tchu mówić spokojnie.

— Jeśli któryś z was boi się, że zastanie tam Elżbietę, to możecie być spokojni. Nie będzie jej. Bardzo wątpię, żeby jeszcze kiedykolwiek się tam zjawiła — powiedziałam.

— Skąd wiesz? — zapytała Sara. Jej głos też był spokojny, ale mogłam odczytać ile ją ten spokój kosztował, patrząc na zbieleiałe kostki jej skrzyżowanych rąk. Dziewczynki skończyły lunch i poszły do domu gościnnego, który stanowił ich wakacyjne schronienie, gdy przyjeżdżały do nas; wiedziałam, że w przeciwnym wypadku Piotr nie poruszyłby tematu podróży.

— Wiem — powiedziałam. — Wierzcie mi, ja wiem.

I wiedziałam rzeczywiście. Kiedy karetka pogotowia ratunkowego dostała się wreszcie rano do Zacisza, po ustaniu huraganu, pojechałam z Elżbietą do ośrodka medycznego w South Brooksville, podczas gdy Piotr pakował nas i zamykał Liberty, a Piotruś i Sara przygotowywali dziewczynki i samochód do drogi. Powiedziałam Piotrowi w wilgotny, załzawiony poranek, który nastąpił po sztormie, że tak chcę to rozwiązać, a on skinął głową na zgodę. Chciałam także, powiedziałam mu, zostać z Elżbietą aż do chwili, gdy się okaże, że jest zdolna do podróży i ktoś przyjedzie z Bostonu, by dopilnować sprawy pochowania dziecka; tu także Piotr nie wyraził sprzeciwu. Był blady, daleki i twarz miał spokojną, poruszał się ciężko i sztywno; nigdy nie widziałam go takim. Nie wiedziałam i nigdy nie będę wiedziała co zaszło pomiędzy nim a Piotrusiem i Sarą, gdy wrócili do Liberty i pozostawili mnie na noc w Pięknym Brzegu. Wiem tylko, że jakoś Piotr się z tym uporał; Piotruś i Sara pozostali razem i w pełni świadomi tego, co się zdarzyło; kochałam mego męża za to — cokolwiek to było — co powiedział memu ogłuszonemu synowi i co sprawiło, że on i moja synowa mogli pozostać razem. Wiedziałam, że Piotruś i Sara nie rozdzielią się teraz; więź pomiędzy nimi była niemal widoczna. Niczego więcej nie mogłam żądać od Piotra.

Zatrzymałam się w gospodzie w Bucks Harbor, tam gdzie Piotr i ja zatrzymaliśmy się zeszłej zimy i stamtąd zatelefonowałam do opiekuna majątku powierniczego Elżbiety w banku, poinformowałam go o sytuacji — raczej o tych elementach sytuacji, o których powinien wiedzieć. Zgodził się wysłać młodszego urzędnika z pieniędzmi, papierami i pełnomocnictwem by działać w jej imieniu. A gdzie chciałaby pochować dziecko?

— Jestem pewna, że w Bostonie, w grobie rodzinnym—odpowiedziałam, a on obiecał, że załatwi to z przedsiębiorstwem Fitzgeralda.

A czy ona zostanie w domu rodzinnym w Bostonie?

— Nie — odparłam uprzejmie. — Jestem pewna, że powróci do Francji. Dom powinien być otwarty tylko do chwili, gdy załatwi sprawy związane z podróżą.

Zajmie się, powiedział, także sprawą otwarcia domu na Beacon Hill. Podziękował mi za moją uprzejmość i troskę.

— Bardzo proszę — odpowiedziałam i poszłam do ośrodka zdrowia by dopilnować wszystkiego.

Elżbieta leżała nieruchomo w białym pokoju, w którym zimne niebieskie światło padające z przystani tańczyło na ścianach i na suficie. Jej rude włosy były tak pozbawione połysku jak skrzydło martwego ptaka; z metalowej podstawy zwiisała do jej ramienia rurka. Nie odwróciła głowy gdy weszłam, powiedziała tylko:

— Maude. Wiedziała, że tu będziesz. Chciałabym, abyś zrobiła co trzeba, żeby pochować dziecko na tutejszym cmentarzu. Nie wiesz, czy trzeba o to poprosić pastora?

Usiadłam przy niej.

Dziecko będzie pochowane w waszym grobie rodzinnym w Bostonie — odpowiedziałam serdecznie. — To już załatwione. Chartres Cobb

wysłała kogoś, kto wszystko załatwi i dopilnuje żebyś została właściwie wypisana ze szpitala i dojechała bezpiecznie do Bostonu. Otworzą dla ciebie dom i załatwią formalności związane z podróżą, gdy już podejmiesz co do tego decyzję. Rozejrzy się z tobą w twojej sytuacji finansowej i dopilnuje, żebyś nie miała kłopotów ani tu, ani we Francji. Jestem pewna, że nie będzie ci brakowało pieniędzy. Zostanę z tobą dopóki ten człowiek nie przyjedzie.

Wtedy odwróciła głowę i spojrzała na mnie. Duch dawnej Elżbiety przesunął się po jej bladej twarzy, a potem zniknął. Uśmiechnęła się słabym, znużonym, cynicznym uśmiechem.

— Wypędzasz mnie, prawda, Maude? — zapytała.

— Jeśli chcesz to tak ująć — odparłam. — Bądź spokojna i wyjeźdź, Elżbieto. Nie ma już tu więcej nic dla ciebie w Zaciszu, ani w Pięknym Brzegu, ani w Małym Domku, ani w Liberty. Po prostu... nic. I już nigdy nie będzie.

Milczała, a po upływie długiej chwili powiedziała:

— Nie. Nigdy nie będzie. Widzę to. Ale powiem ci jedną rzecz, moje dziecko tu zostanie. Zostanie tu z... swoją rodziną.

I znów uśmiechnęła się tamtym uśmiechem.

— Nie, nie zostanie, Elżbieto. — stwierdziłam, odwzajemniając jej uśmiech z taką łaćwością jak byśmy rozmawiały o pogodzie. — Twoje dziecko będzie leżało w Bostonie, z jego rodziną. Mówiłaś, że kochałaś swoją matkę bardziej niż kogokolwiek na ziemi; jak myślisz, jakby się czuła widząc, że jej córka bawi się jej wnukiem jak piłką, jak małą maczugą... by nią okładać ludzi? Jak myślisz jak będą się czuli przyjaciele twojej matki?

Nie powiedziałam — czuli się.

Po długiej chwili ciszy, schyliła słabo głowę na poduszkę i zamknęła oczy.

— Masz rację — szepnęła. — Nie ma tu już więcej dla mnie nic. I pewnie we Francji także, ale co do tego, zobaczymy. W porządku Maude. Czy to tak ma być? Wyjeżdżam i nigdy nie wrócę do Pięknego Brzegu, a tamto... przestaje istnieć? Nigdy się nie zdarzyło? Dla mnie, dla ciebie czy dla Piotrusia?

— Tak — powiedziałam spokojnie.

— I to wszystko dla... niego?

Skinęłam głową.

— Wszemocny Boże — szepnęła. — Straszna siła twojej miłości może zmienić rzeczywistość. Nie wiedziałam tego o tobie. Takie z ciebie... biedne maleństwo. Taka mała, delikatna kobieta.

— Zaśnij Elżbieto. Im prędzej odzyskasz siły, tym prędzej będziesz mogła stąd wyjechać. Wszystko wtedy będzie lepiej wyglądało, zobaczysz.

Zamknęła oczy.

— Powinnam ci podziękować, Maude. — powiedziała. — Gdyby nie ty, prawdopodobnie bym nie żyła. Ale nie będę ci dziękować. Chciałabym nie żyć i mam nadzieję, że już cię nigdy więcej nie zobaczę.

I wiedziałam, że mnie nie zobaczy, ani ja jej.

— Nawet jeśli to prawda i ona nigdy nie wróci — powiedział teraz Piotruś, po upływie tylu miesięcy — już nic nigdy nie będzie takie samo w Zaciszu. Dla nikogo z nas.

— To zależy tylko od ciebie — odparłam.

— Mamo — Piotruś mówił z zimną cierpliwością, która doprowadzała mnie do wściekłości, gdy miał kilkanaście lat — bez względu na to jak bardzo chcesz żyć szczęśliwie nawet po tym wszystkim, w tym doskonałym małym świecie z marzeń, w który zmieniałaś we własnej głowie Zacisze, rzeczywistość jest taka, że dla reszty z nas Zacisze nie jest tym samym miejscem po tym co się zdarzyło i jeśli uważamy, że nie do zniesienia będzie dla nas powrót tam, powinnaś to uszanować. Wiesz, że ludzie będą gadali, nawet jeśli...

Zamilkł, spojrzął na Sarę, wyciągnął rękę i pogłaskał jej zaciśnięte dłonie, a ona posłała mu szybki, pełen napięcia uśmiech. Piotr zdawał się odległy o całe mile, jakby odjechał od nas wszystkich.

Pomyślałam z całkowitą jasnością, teraz to nadchodzi, i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że odkąd wszyscy wróciliśmy do domu z Zacisza we wrześniu i zaczęliśmy bardzo starannie unikać rozmów o huraganowej nocy, miałam zawsze ostre uczucie, że stoję nad przepaścią, w oczekiwaniu, że ktoś mnie do niej popchnie. Nie wiedziałam czyja ręka tego dokona, ale wiedziałam, że na dnie urwiska leży zguba. Utrata Zacisza i być może utrata wszystkiego. Patrzyłam na mojego nieprzejednanego, nieszczonego syna i choć moje serce szarpało się z miłości i litości dla niego, zdawałam sobie sprawę, że będę z nim walczyła jak lwica, by uniknąć tej przepaści.

— Kto będzie gadał? Nikt nic o tym nie wie — powiedziałam. Mówiąc to zdawałam sobie jednak sprawę, że moje słowa są puste; ludzie wiedzieli i będą o tym mówić. W Zaciszu zawsze działał tajemniczy system, który Piotr nazywał bębniami w dżungli.

Teraz odezwała się Sara wybuchając wściekłym, szybkim potokiem słów.

— Och, na miłość boską, Maude, oczywiście, że ludzie będą mówić; zaczęli już pewnie tego dnia, gdyśmy wyjeżdżali w zeszłym roku. Kierowca karetki mówił i lekarz mówił, i ci dwaj cudowni właściciele gospody, i pielęgniarka, i człowiek z banku, który przyjechał po Elżbietę, i może nawet sama Elżbieta. Byłaby rada, gdyby zaczęto nas obrzucać błotem, sama wiesz. Gdyby ktokolwiek z ludzi przyjeżdżających do Zacisza nie wiedział o tym, byłabym zdumiona. Jak ty sobie wyobrazasz, że przeżyję to ja, Piotruś i dziewczynki? Nawet jeśli tobie to nie przeszkadza...

Zamilkła i jeszcze raz opuściła oczy. Patrzyłam na nią jakby chcąc zapamiętać jej twarz lecz i coś w mojej własnej twarzy musiało być trudne do zniesienia. Czułam jak lęk, ból i gniew wyzieraają z moich oczu.

— Zrób więc to dla mnie — powiedziałam drżącym i bliskim załamania głosem. Czułam jak łzy zaczynają mi spływać po policzkach. Co

się ze mną działo, na miłość boską? Kim była ta, która mówiła? — Jeśli nie chcecie tego zrobić dla sAmych siebie, zróbcie to dla mnie. Po prostu... po prostu pojedźcie! Żyćcie! Róbcie to co robicie każdego lata w Zaciszu. Udawajcie, że to się nigdy nie zdarzyło, a ludzie pójda waszym śladem; zobaczycie! Tak jest w Zaciszu. Zawsze tak było. Nikt nawet nie wspomni...

— Wspomni o czym, Maude?

To był głos Piotra, odezwał się po raz pierwszy, był łagodny, elegancki, ton człowieka prowadzącego zwykłą rozmowę: jego publiczny głos w klasie szkolnej. Strach i furia podeszły mi jednocześnie do gardła.

— Że to dziecko wyglądało dokładnie tak jak my! — krzyknęłam.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na mnie, z twarzami pobladłymi i zmrożonymi. Pomyślałam o tym co nie do pomyślenia, wymówiłam niewypowiedziane. Niech więc to spadnie na twoją głowę, mówiły ich oczy.

— Nie widzicie? — próbowałam znów krzyknąć, lecz mój głos zabrzmiał jak ściśnięty szept. — Jeśli nie wróćcie, wszyscy, i to na całe lato, będzie po wszystkim i będziecie mogli już nigdy nie wracać! I wtedy będzie na nic, wszystko.

— Co wszystko? — zapytał znów Piotr, miłym „szkolnym” głosem.

Nie powiem tego, pomyślałam. Nie zmusicie mnie. Gniew zalewał mnie, zatapiał.

— Niech to diabli wezmą — krzyknęłam. — Te wszystkie gadania o was sAmych. O waszym bólu, waszych tkliwych uczuciach, waszej niemożności-zniesienia-tego i waszych nic-nie-pozostało. A co ze mną? Ani razu przez całe życie, żadne z was, nie zapytało mnie, czego ja chciałam! Zostawiłam całe... całe życie, cały świat, przyszłam tu, pracowałam jak niewolnica i czekałam przez całe lata, by zrobić z Liberty i z Zacisza miejsce, gdzie... gdzie moglibyśmy wszyscy być razem bezpieczni, nasze miejsce, miejsce Chamblissów... A teraz kiedy zaczęłam je kochać bardziej niż jakiegokolwiek inne miejsce na ziemi wy wszyscy jesteście gotowi je porzucić z powodu jednej nocy jednego roku w całym waszym życiu. Zróbcie to dla mnie! Jeśli nie widzicie, że to jest dla was sAmych, to zróbcie to dla mnie! Może kiedyś zobaczycie, że to było dla was wszystkich, od samego początku.

Zamilkłam, gdyż zabrakło mi tchu. Kręciło mi się w głowie, w uszach mi dzwoniło. Jakby ci się podobało, Mamo Anno? to jedyna wyraźna myśl, którą mogłam zapamiętać. Patrzyłam w swój talerz i czekałam na to, co miało nadejść.

Piotruś przemówił pierwszy. Wydawało się, że bardzo dużo czasu upłynęło nim zaczął. Spokojnie, spokojnie.

— Wobec tego pojedziemy oczywiście na początku czerwca jak zawsze, mamo, i zostaniemy do Dnia Pracy. Nie mieliśmy pojęcia, że odczuwasz to tak, że my... nie myślimy o tobie.

— Oczywiście — zamruczała Sara. — Wybacz, że cię zdenerwowałam.

Zachowałam się wstrętnie, naprawdę musieli mnie za to nie znosić, pomyślałam niewesoło, ale nie byłam w stanie przeproszać. Nie czułam ulgi.

Podniosłam oczy na Piotra, który się nie odezwał.

— Przyjadę — powiedział — w sierpniu, zaraz po ostatnim referacie. Nie mogę się wycofać z podróży, ale przyjadę jak tylko będę mógł.

— Dziękuję — powiedziałam. — Dziękuję wam wszystkim.

Wstałam i zaczęłam sprzątać ze stołu. Brzydota tego wielkanocnego śniadania będzie szła za mną przez całe życie. Nic nie mogłam na to poradzić.

Gdy wychodzili, Sara odciągnęła mnie na bok, w hallu.

— Chciałabym, żebyś wiedziała, Maude — rzekła drżącym głosem — że będziemy przyjeżdżać do Zacisza tak długo, jak długo Piotruś będzie tego chciał i będziemy zostawać tak długo, jak długo będzie chciał. Ale kiedy ciebie już nie będzie, moja noga tam nie zostanie więcej. Piotruś może tam jeździć jeśli chce, ale ja nie. Twoje bezcenne Liberty może zostać sprzedane plemieniu krajowców jeśli o mnie chodzi, i tak będzie, jeśli będę miała coś do powiedzenia. Możesz więc pozostawić je komuś innemu. Nie poznaję cię, zmieniłaś się... zmieniłaś się w Mamę Annę! I jeśli nie pamiętasz jak ona traktowała ludzi, szczególnie ciebie, swoją synową... no cóż, ja pamiętam. Pamiętam.

Odwrociła się i wyszła za Piotrusiem i córkami w łagodnie zielone popołudnie.

Gdy wyszli, Piotr szybko pocałował mnie w czoło, poszedł do swego gabinetu i zamknął drzwi. Byłam w łóżku, zgasiałam światło na długo przed tym, nim przyszedł do sypialni. Myślę, że żadne z nas nie spało. Rano wszystko wyglądało tak, jak przez cały rok: przyjemne, zawieszane, gładkie, równe. Czułam, że odniosłam zwycięstwo mego życia, ale nie czułam się tak, jak powinien się czuć zwycięzca. Jedynie trochę winna wywołania sceny (ale właśnie zupełnie nie czułam się winna); tylko bez humoru i ociężała. A pod tym wszystkim — przyczajona panika. Panika, która powinna była wygasnąć, lecz nie wygasła.

Odkryłam pewnego popołudnia na początku maja, gdy pracowałam przy klombie tulipanów, wyraźnie, otwarcie, jakby spadło to na mnie z powietrza, że źródłem głębokiego, sączącego się lęku były słowa Sary w hallu, w dzień Wielkiej Nocy: „Kiedy ciebie już nie będzie, moja noga tam nie zostanie więcej”.

A więc kto? Kto podejmie nasz sztandar w Zaciszu? Dla kogo mam zachować w opiece Liberty, kogo mam uczyć tych ciasnych ożywczych reguł? Nie Happy; moja biedna zraniona i raniąca Happy nigdy nie będzie umiała gospodarować, nawet swoim własnym życiem. Więc kto?

Odrzuciłam rydel ogrodniczy i usiadłam wprost na zimnej jeszcze ziemi, przymrużyłam oczy od słońca i poczułam jakby odpowiedź była właśnie tu, zamknięta w swym jądrze jasności: Darcy. Będę zabierała każdego lata Darcy Chambliss O’Ryan do Zacisza i przekazywała jej cały jego dar, a ona mu da całą siebie. To było wyzwienie. Roześmiałam się do słońca na myśl o prostej słuszności tego rozwiązania.

Jakby przywołany przez to objawienie, następnego wieczora zadzwonił telefon; dzwonił Tommy O'Ryan z Saugus. Happy wyjechała tego ranka zabierając torbę, trochę ubrań i kopertę z pieniędzmi przeznaczonymi na nieprzewidziane wydatki i po prostu... poszła. To było jej pierwsze zniknięcie, pierwsze z tych, które miały wypełnić resztę jej życia, ale nikt wtedy o tym nie wiedział. Tommy był naprawdę zdenerwowany i zaczął jej szukać po wszystkich, rzadko rozsianych, znajomych i miejscach, do których lubiła zachodzić w sąsiedztwie. Miał zamiar wezwać potem policję. Czy mogłabym tymczasem przyjechać? Olbrzymia, powłócząca nogami Florrie Connaught, powiernica Happy i pomocnica w gospodarstwie domowym, znikła także — niewątpliwie z Happy — i nie miał kto zostać z Darcy.

— Moja praca wisi na włosku, Maude — powiedział ciężko Tommy. — Nie mogę tracić więcej czasu. Koniec z nami, jeśli stracę to zajęcie. Znajdę kogoś do dziecka najszybciej jak tylko zdołam, ale czy do tego czasu mogłabyś...

— Będę jutro — odpowiedziałam. — Nie martw się o dziecko. Skup się na szukaniu Happy i na pracy.

— Bóg zapłać, Maude — rzekł Tommy.

Tego wieczora, gdy się pakowałam, Piotr siedział w naszej sypialni popijając whisky. Mało mówił, ale widać było, że jest bardzo zaniepokojony i nieszczęśliwy z powodu mojego wyjazdu do Saugus.

Skończyłam wreszcie pakować ubrania, podeszłam do niego i otoczyłam go ramionami całując w czubek jasnej głowy. Wyczułam chłodną czaszkę pod moimi ustami; kiedy to się stało?

— Pomogłoby, gdybyś mówił o tym, kachany — powiedziałam, — Zmieniliśmy się w prawdziwą małpią rodzinę: nie słyszymy nic złego, nie widzimy nic złego, nie mówimy o niczym złym. Jak mogłabym nie jechać? Ta malutka nie miała nigdy nic stałego w życiu. Tommy mówi, że płakała cały dzień za matką. To będzie jeszcze gorzej, jeśli przyprowadzi do domu kogoś obcego, żeby się nią zajmował.

— Ja wiem — powiedział. — Musimy zrobić to, co trzeba dla tego dziecka. To nie o to chodzi. To Happy. Myślę — Maude, czasem tak bardzo się boję, że przekazałam jej... coś ciemnego, chorego, fatalnego. Wiesz, jaki był mój ojciec, wtedy gdy odchodził. Wiem, że to samo jest we mnie; czasem świat wydaje się martwy, skończony, zimny i muszę od niego odejść — i zastanawiam się, czy to samo nie wystąpiło teraz w trzecim pokoleniu, u Happy, tylko że u niej stało się prawdziwym obłędem, prawdziwą chorobą? Ziarna były w niej zawsze, wiesz o tym przecież. Wiem... ty myślisz, że powodem jej katastrofy po urodzeniu Darcy były głównie hormony, ale ja zawsze myślałem, że było tam coś więcej.

— Trudno — powiedziałam oddychając głęboko, gdyż ten sam lęk prześladował mnie od czasu pobytu Happy w szpitalu — będziemy musieli sobie z tym poradzić. Znaleźć odpowiedniego dla niej lekarza, czy lekarstwa, czy szpital, cokolwiek będzie potrzebne albo sami się o nią

troszczyć, jeśli Tommy nie będzie mógł. Zatrzymać u nas Darcy, jeśli będzie trzeba.

Przykrył moją dłoń swoją ręką, patrząc wciąż w ogień.

— Moja mocna, mała dziewczynka. Mój mały tytan — powiedziała i wyczułam uśmiech w jego głosie. — Zawsze byłaś zagorzała, Maude; rzucić na ciebie obowiązek, a ty staniesz do waliki. Ja zawsze spokojnie na to patrzyłem i opierałem się na tobie. Wszyscy opieraliśmy się na tobie. Miałaś prawo natrzeć nam wtedy uszu. Ale rzeczywisty obłąd... czy dasz sobie z tym radę?

— Oczywiście — powiedziałam. — Jeśli będę musiała. I tak samo ty.

— Mój Boże, jednak, Maude, pomieszanie zmysłów... szaleństwo... zawsze wydawało mi się to odrażające, straszne, nieodwołalne. I gdy pomyślę, że mogę być czymś w rodzaju nosiciela...

— Piotrze — rzekłam. — Dużo jest na świecie rzeczy gorszych od obłądki. Każdy południowiec o tym wie. Jesteśmy przyzwyczajeni do ekscentryczności i szaleństwa; większość z nas w takiej czy innej formie żyła z tym przez całe lata. Na Południu nie zamykamy naszych szaleńców. Rzadko zdarza się rodzina, w której nie byłoby ciotki przemykającej się po górnym piętrze, notorycznie pijącego wuja, albo kuzyna czy dziadka, wygłaszającego kazania na rogach ulicy, czy dziwnego siostrzeńca przy stole w Dniu Dziękczynienia albo na Boże Narodzenie. To smutne dla nas, ale to nie jest tragiczne, a na pewno nie ma w tym nic wstydliwego. Pracujemy nad tym i troszczymy się o naszych bliskich. I tak samo zrobimy ty i ja, jeśli będzie coś naprawdę niedobrego z Happy.

Roześmiał się.

— Obraz Stallingsów albo Guilda czy Dierdre Kennedych wygłaszających kazania na rogach ulic przekracza granice wyobraźni — powiedział.

— Dlatego, że myślą, iż nie ma odmienności, troski i bólu w ich rodzinach — odparłam.

— Nie — rzekł Piotr. — Jestem pewien, że smutne i skandaliczne rzeczy zdarzają się wszędzie. Ale nie wydaje mi się, by zdarzały się w Zaciszu.

Zdałam sobie sprawę, że dla Piotra burzliwa noc wrześniowa nie skończy się nigdy, jej wspomnienia nic nie złagodzi i nie uśmierzy. Jego lęk i odraza wobec szaleństwa i gwałtu tkwiły zbyt głęboko, a jego przerwaniu na myśl o tym, że mogłyby zaistnieć w jego rodzinie, w tym schronieniu jego pozbawionych skazy chłopięcych lat, było nie do pokonania.

— Więc Happy po prostu nie będzie przyjeżdżała do Zacisza wtedy, gdy nie będzie za siebie odpowiadała — rzekłam. — Wiem co to dla ciebie znaczy. Nie pozwolę tego zniszczyć.

— Będzie mi ciebie brakowało bardziej niż umiem ci to powiedzieć — Piotr wstał i wziął mnie w ramiona; tej nocy spaliśmy przytuleni do siebie, fasolki w jednym strąku, dwie części jednej całości. Leżałam nie śpiąc, gdy on już zasnął, miałam wrażenie, że oddychaliśmy jednocześnie

jakby jedna istota leżała śpiąc w starym łóżku z ananasami na okuciach, należącym jeszcze do mojej matki, które przywiozłam z Charlestonu. Sypialiśmy w ten sposób od początku, Piotr i ja.

Zostałam w Saugus prawie do końca czerwca. Już po upływie tygodnia stało się to dla mnie męczarnią. Tommy O'Ryan pracował do późnej nocy i mały dom był ciemny i jakby przesycony duchem, który opierał się wszelkim moim próbom ujawnienia go i przepędzenia. Chuda kobieta o chytrej twarzy z sąsiedztwa, którą Tommy znalazł dla mnie do pomocy przy Darcy dowiodła, że ma umysł niepozorny jak ona sama. Millie Leary była przebiegła, przymilała się do mnie, wykazywała jadowite zainteresowanie moimi ubraniami i książkami, które czytałam, moim życiem i rodziną; była to również tak bogobojna — czy może powinnam raczej powiedzieć bogo-bitna — istota jakiej nigdy nie widziałam. Zasłaniała się Biblią świętą, ustępem o Duchu Świętym radzącym dzieteczki bić różeczką, gdy przyłapywała ją na policzkowaniu Darcy za to, że drugi raz tego samego ranka wylała sok pomarańczowy. Darcy kuliła się w swoim wysokim fotelu, z białą twarzą, na której kwitł tylko czerwony odcisk ręki Millie Leary i milczała jak grób. To było dla mnie przerażające: piętnastomiesięczne dziecko powinno wykrzyczeć płuca z powodu zniewagi i bólu, gdy się je spoliczkuje. Ale Darcy rzadko płakała lub mówiła. Najczęściej kuliła się kurczowo. Wyrzuciłam Millie Leary z miejsca i stałam w drzwiach z Darcy przyciśniętą do mojej szyi, gdy odchodziła, prawie plując z wściekłości. Potem zadzwoniłam do Toma O'RYana do pracy, czego normalnie nigdy bym nie zrobiła i powiedziałam mu zimno i bez wstępów:

— Chcę żebyś mi powiedział, czy ktoś ma zwyczaj bić dziecko?

Jego piękny irlandzki głos zaczął już przymilną piosenkę zaprzeczeń, gdy nagle urwał się. Słuchaliśmy przez chwilę wzajemnie naszych oddechów.

— Myślę, Maude, że czasem Happy to robi — powiedział. — Nie przy mnie, oczywiście, ale przyszedłem raz, gdy Darcy jeszcze trochę płakała i był... on, może maleńki znak czy dwa na jej buzi. Ale — dodał szybko, jakby to wszystko wyjaśniało — tylko wtedy, gdy trochę za wiele wypije. Kiedy jest trzeźwa i ja robię jej z tego powodu zarzuty, płacze tak jakby serce miało jej pęknąć. Ach, Maude, wszystko się zmieni, gdy wróci teraz do domu. Wiem. To jest dobra dziewczyna, nasza Happy. Też o tym wiesz.

Odłożyłam słuchawkę nie odpowiadając, serce szarpał mi gniew; usiadłam i kołysałam Drący, aż rozluźniła swój kurczowy uścisk i zasnęła. Pomyślałam, że zabiorę ją nazajutrz do Zacisza nie dbając o to co powie Tommy, Piotr czy ten lekarz o mętym umyśle. Ona nie zostanie ani przez jedną noc dłużej pod tym dachem, ani ja, i wcale nie jestem pewna czy jeszcze kiedykolwiek tu będzie. W każdym razie nie prędzej niż zdobęde pewność, że Happy nigdy jej już nie uderzy.

Z ciężkim dzieckiem w ramionach zadzwoniłam do Micaha i Krystyny Willisów prosząc by otworzyli Liberty i poszukali kogoś, kto pomógłby mi przy Darcy w ciągu dnia. A potem zaczęłam się pakować. Położyłam Darcy

na łóżku koło mnie i za każdym razem, gdy się poruszyła śpiewałam jej urywki jakiejś piosenki bez sensu, a ona mamrotała, napinała się i zasypiała ponownie, zaróżowiony chochlik, małe brązowe zwierzątko, nareszcie pogrążone głęboko w bezpiecznym śnie.

Poczułam gwałtowny przypływ miłości do niej, impuls bronienia jej bezpieczeństwa tak pierwotny i głęboki, że mógł powstać tylko w głębi mego łona.

— Jedziemy do Zacisza — śpiewałam jej półszepem. — Wszystko jest okay, bo jedziemy do Zacisza.

W dwa tygodnie po zniknięciu, policja znalazła Happy w motelu niedaleko South Yarmouth, stęchłym anonimowym miejscu z opłatami za godziny i niechlujnie utrzymywanymi pokojami, wychodzącymi na błotnistą deltę Bass River. Happy była w jednym z nich, kompletnie pijana o drugiej po południu, z ciałem posiniaczonym od dawnych uderzeń i skurczonym; jej cuchnące ubranie leżało porzucone na lepkiem linoleum podłogi zmieszane z bielizną i poplamionymi blue jeansami wielkiego mężczyzny. Nigdy się nie dowiedziałam, kto to był; policja była zdania, że musiał zobaczyć wóz policyjny z migocącym niebieskim światłem i po prostu odjechał. Kierownik motelu stwierdził, że nigdy nie wrócił, by zapłacić rachunek czy zabrać rzeczy. Piotr pojechał po Happy, zabierając z sobą naszego domowego lekarza, ale była w takim stanie krzykliwego i bojowego upojenia alkoholowego, że zawieźli ją na oddział nagłych wypadków szpitala w Hyannis. Stamtąd, po upływie dwóch dni, Piotr odwiózł ją do małego, urządzonego jak na wsi i oszafamijająco drogiego szpitala psychiatrycznego w Vermont, który zalecił nasz doktor. Od tego czasu pozostawała tam. Zezwolenia na wizyty udzielano dopiero ostatnio tylko Tommy'emu O'Ryanowi, który jeździł tam w niedziele i wracał opowiadając nam jak pięknie wygląda, jak bardzo chce podobać się nam wszystkim i wrócić do domu, do dziecka.

Ale jej lekarz mówił co innego. Happy wymagała długiego leczenia psychiatrycznego i ciągłego medycznego kontrolowania jej alkoholizmu, a jej żywiciele — jak to określił — sami wymagali konsultacji, by móc ją efektywnie podtrzymywać, gdy opuści już szpital. Jeździłam sumiennie do poważnego młodego człowieka, którego polecono nam w Bostonie, z Tomem i z Darcy. Piotr zaczął już swój objazd i odmówił skrócenia go, by się do nas przyłączyć. Nie mam mu tego za złe; gdy ją znalazł, Happy zachowywała się wobec niego tak obelżywie, znieważała go fizycznie i słownie, że nie mógł, nawet teraz, o tym mówić.

— Ale to pana ona najbardziej potrzebuje, Mr. Chambliss. — mówił do Piotra młody psychiatra przez telefon po naszej pierwszej wizycie. — To pana ona szuka w tych wszystkich łóżkach i butelkach.

— Mam pobożną nadzieję, że względu na was wszystkich, że zacnie myśleć o tym, by szukać gdzie indziej — powiedział Piotr z Waszyngtonu, gdzie przemawiał tego wieczora w Folger Shakespeare Library. — Proszę przesłać rachunki do mojego biura w Northpoint; moja sekretarka dopilnuje, żeby zostały zapłacone.

Z gabinetu lekarza słyszałam jak odkłada słuchawkę i powstrzymałam chęć roześmiania się, zdając sobie sprawę jak niewłaściwy byłoby w tym momencie śmiech. Mogłam odczytać z bladej twarzy lekarza, że Piotr posłużył się tym, co zawsze nazywaliśmy oficjalnym tonem Chamblissów. Niewiele osób było w stanie mu się przeciwstawić. Nie proponowałam więcej, by Piotr brał z nami udział w konsultacjach.

I tak przez całą wiosnę i wczesne lato, słuchaliśmy o urazach dzieciństwa, zahamowanej seksualności regresyjnych stanach ego i o psychozie alkoholowej. A Darcy wciąż płoszyła się i tuliła do mnie kurczowo, jej wielkie błękitne jak goryczka oczy miały niemal białe obwódki dokoła, a złoto-rude loki zdawały się jedynymi żyjącymi elementami w bieli zbyt szczupłej małej twarzyczki. Zaczynała niepewnie chodzić, gdy przyjechałam, ale szybko przestała i pełzała na rękach i kolanach, a płynny, radosny, ptasi szczebiot, do którego byłam przyzwyczajona, przeszedł w kwilenie a potem w milczenie. Wywiozłabym ją już dawno, skoro jej ojciec spędzał z nią tak niewiele czasu i byłybyśmy tylko we dwie w tym ciemnym małym domu, ale doktor powiedział, że bardziej niż czegokolwiek innego potrzeba jej ciągłości środowiska rodzinnego.

— Środowisko rodzinne, w którym przebywała mogłoby przynieść Starego Króla Kapustę — powiedziałam do Piotra, gdy zadzwonił tego wieczora. — Zabieram ją rano do Zacisza i do diabła z ciągłością. Tommy twierdzi, że będzie się niepokoił, ale nawet ja słyszę syreni zew szynku McNulty'ego w jego protestach. Do diabła z nimi wszystkimi, Piotrze. Potrzeba jej Zacisza i mnie także. Założę się, że i tobie. Kiedy będziesz mógł przyjechać?

— Och, Maude, dopiero za jakiś czas — odrzekł i miałam wrażenie, że był pełen skruchy. — Martin chce przedłużyć podróż jeszcze o miesiąc; proszą, żebym pojechał na południe, i naprawdę powinienem. Stypendium jest prawie zagwarantowane. A potem jakieś jedno czy dwa miasta w Kanadzie...

— Och, Piotrze — powiedziałam miękko, zawiedziona. Tak długo widziałam nas wszystkich oczyma duszy, bawiących się na plaży z Darcy albo żeglujących z nią, jej mała głowa płonęła w całym tym lazurze.

— Ale obiecuję, że przyjadę gdy będę mógł — zawołał szybko. — Posłuchaj. Czy chciałabyś spotkać prezydenta? Nie mówiąc już o Jackie?

— Piotrze! Kiedy?

— Gdzieś koło Bożego Narodzenia; Martin mówi, że JFK chce, żebyśmy przyjechali na jedną z tych państwowych awantur w czasie wakacji. Obiad i koncert czy coś takiego. Powiedziałem, że bardzo bym chciał, ale oczywiście muszę jeszcze nakłonić ciebie.

Śmiał się. Wiedział, że lubiłam wysokiego młodego Prezydenta z gwałtownością zdolną sprostać tej rudej głowie a moja radość i duma z niego wciągały mnie w „gorącą wodę” podczas uroczystych obiadów w Bostonie i Northpoint, gdzie republikanizm rósł bujnie niczym

pomidory w zagrodzie dla świń, jak zwykła mówić dwano temu Aurelia nad zatoką Wappoo.

Roześmiał się także.

— Chłopcze, będziesz musiał się wyginać w nowych garniturze — powiedziałam. — Okay. Zobaczymy cię wtedy, kiedy cię zobaczymy. Ale sierpień, Piotrze. W sierpniu. Przyrzeknij.

— Przyrzekam, Maude — rzekł.

• * *

Zacisze rzeczywiście zaczęło oddziaływać swym czarem na Darcy prawie od pierwszej chwili, gdy przyjechaliśmy do Liberty. Micah zaangażował zdolną, zręczną żonę Kaleba, Beth, by się nią zajmowała rankami i wczesnym popołudniem, pod warunkiem, że mały Micah Willis III będzie mógł z nią przychodzić. Od chwili, gdy oczy Darcy spoczęły na dobrze zbudowanym, brązowym, szybkim trzylatku, zaczął się proces zdrowienia. Darcy wyciągnęła palec z bezpiecznego schronienia moich ramion, dotknęła jego nosa i powiedziała: „Śmieszny” i dwoje dzieci zaczęło się sobie przyglądać, a potem wybuchnęły śmiechem, tym wspaniałym, rehotliwym śmiechem dzieciństwa, który wszystko z sobą porywa i zmienia w radość. Potem powróciło jej żywe dojrzewanie i zaczęła chodzić, a później biegać za nim po całym Liberty i na trawniku, i na plaży, i w jachtklubie, gdzie zabierała ich Beth. W ciągu dwóch dni stali się nierozłączni, bliscy sobie prawie jak bliźnięta.

— Nigdy nie widziałam czegoś podobnego — powiedziałam do Micaha po południu drugiego dnia, gdy przyszedł po Beth i małego Mike'a. — Jest tak bezwstydną jak markietanka. Och, Micah, co to za miejsce dla dzieci; życzyłabym każdemu dziecku porcji Zacisza. Już ją właściwie wyleczyło, kiedy nawet lekarz nie mógł pomóc.

Wiedziałam, że zrozumie moją aluzję. Mówiłam mu o Happy i naszych wizytach u konsultanta rodzinnego, a on tylko prychnął na to.

Popatrzył na mnie teraz bacznie i wyczytałam coś w jego ciemnej twarzy, co powstrzymało mój język. Czekałam. Milczał.

— Co cię niepokoi? — zapytałam wreszcie.

— Nic, co nie mogłoby poczekać.

— Powiedz mi teraz. Na kolację przyjdzie Piotruś z Sarą i cokolwiek to jest będzie nade mną wisiało dopóki się nie dowiem. Powiedz mi, żebym mogła się cieszyć moim wieczorem.

Usiadł na brzegu kuchennego stołu, podniósł Darcy i trzymał ją na rękę, w roztargnieniu pieszcząc jej rude loki, gdy ona uderzała go lekko po głowie, po twarzy, po ramionach, ustach i nosie, cicho do siebie gadając.

— Myślę, że Piotruś i Sara nie powiedzą ci, przynajmniej nie od razu, więc ja to zrobię, bo powinnaś wiedzieć. To nie jest coś, co by wiele znaczyło, ale to jest takie mała miejsce... gadano trochę na lotnisku tego lata o ubiegłej jesieni. O huraganie, o Elżbiecie i dziecku, i o wszystkim. To

nie jest takie wstrętne jak mogłoby być, ale dość podłe, i doszło do Piotrusia, Sary i dziewczynek. Słyszałem, że coś powiedziano dziewczynom na obozie. Piotruś i Sara przejęli się i przestali bywać, a ludzie uważają, że oni są zbyt przestraszeni, by ich prosić, myślą, że nie będą chcieli przyjść — wiesz, ten przekłety tutejszy kontredans towarzyski. Więc teraz — myślę — że Piotruś i Sara sądzą, iż wszyscy ich unikają. Dobrze, że tutaj jesteście. Siedzą od dwóch tygodni w Małym Domku jakby byli oblężeni. A naprawdę jest tak, że każdy chętnie by ich zobaczył, ale myślę, że oni już nie są zdolni tego wyczuć. To nie jest nic takiego, czemu nie mogłabyś zaradzić, jestem pewien.

Serce mi osłabło, a potem ogarnął mnie gniew, ślepy i purpurowy.

— Co za gadanie, Micah? Kto zaczął?

— Gadanie o tym, do kogo dziecko mogłoby być podobne i coś tam jeszcze, i jeszcze — odparł zrównoważonym tonem. — Będziesz musiała tego słuchać, Maude, i to musiało się zacząć. W takim małym miejscu i przy całym tym dramacie, gdy wszyscy wiedzieli o tym, że Piotruś i Elżbieta byli tu przedostatniej zimy, a większość umie liczyć. To mogłoby zrobić trochę zamieszania i uspokoić się, ale Greta Winslow dowiedziała się wcześniej od tych dwóch małych czarodziejów z gospody — ci troje, tego lata rozumieją się jak para łotrów; mają zamiar otworzyć tu magazyn artykułów domowego użytku jak słyszałem — i zabawia się puszczaniem plotek w obrót. Niewiele potrzeba, wystarczy tu rzucić słowo, ówdzie unieść lekko brwi. Gdyby Piotruś i Sara wyśmieli ją albo kazali jej się zamknąć, gdy pierwszy raz o tym usłyszeli, byłoby już po wszystkim. Ale nie zrobili tego. Zamknęli się w Małym Domku.

— Zabiłabym ją — powiedziała poruszona do łez. Ale nie płałam.

— To nie byłoby złe — odparł. — Ale zrobisz lepiej jeśli skłonisz Piotrusia i Sarę by zaczęli wychodzić i zadali kłam jej wersji. To nie będzie trudne. Wystarczy jeśli przyjmą parę osób a jej nie zaproszą. Zabrałem Piotrusia w zeszłym tygodniu na żaglówkę i zasugerowałem mu to, ale myślę, że oni się teraz boją, że nikt nie przyjdzie na ich zaproszenie.

— Nie — powiedziała. — Mogę zrobić coś lepszego. Wydam przyjęcie i zaproszę wszystkich w Zaciszu, oprócz Greta. Każdą żywą duszę. Przyjęcie powiedzmy na — urodziny Piotrusia. Wczesne party urodzinowe. Zrobię to w przyszłym tygodniu. To będzie największe przyjęcie, jakie kiedykolwiek było w Zaciszu i będą z nim mówić przez całe lata, a Greta Winslow będzie jedyną oddychającą istotą, która nie weźmie w nim udziału. Wyślę zaproszenia dziś wieczorem.

— To chyba dobry pomysł — rzekł Micah i roześmiał się.

— Co w tym śmiesznego? — spojrzałam na niego.

— Ty. Tak bardzo przypominasz mi swoją teściową.

— No cóż, dziękuję bardzo, Mr. Willis. Jeśli bym mogła kiedyś odwzajemnić uprzejmość, proszę mi dać znać.

— Nie, czy pamiętasz ten rok, kiedy umarła, gdy Greta Winslow ciskała się na nią i na ciebie ponieważ przyprowadziłyście nas do jacht-

klubu, a ona poprosiła nas, żebyśmy usiedli na werandzie z nią razem na oczach całej kolonii i na dodatek zajęliśmy fotele Grety.

Ja też zaczęłam się śmiać.

— Ukaranie za pomocą przywilejów werandowych — powiedziałam. — Rodzaj zemsty socjalnej znany tylko żeńskim osobnikom gatunku.

— Tak — rzekł Micah. — Ale cała rzecz w tym, że ona i tak miała nas za diabła wartych, a jednak zrobiła to. Myślę, że uważała, iż popołudnie z nami jest lepsze niż minuta języka Grety Winslow. Pohamowała go, jak sobie przypominam. Nie wiem czy teraz zdałoby to egzamin. Greta zachowuje się w tym roku tak jakby rządziła zarówno Zaciszem jak i miasteczkiem. Nie ma granic dla jej języka. Niejednego zraniła. Chyba ma się za seniorkę.

— Jest wiele rzeczy, za które Greta jest odpowiedzialna — powiedziałam. — A teraz odpowie przede mną.

— Dobrych łowów, Maude — rzekł i podniósł kciuk nagłym ruchem salutując jak lotnik z II wojny światowej, a potem wciąż uśmiechając się szeroko, wyszedł z kuchni.

* * *

— Absolutnie nie — powiedział Piotruś tego wieczora, gdy zawiadomiłam jego i Sarę o przyjęciu. Na jego twarzy plamy gniewu pomieszały się z czymś co wydawało mi się strachem. Micah miał rację; on i Sara nie wspomnieli o plotkach na lotnisku, ale oboje zmizernieli, twarze mieli napięte i blade, twarze, na które rzadko padało słońce. Byłam zadowolona, że napisałam zaproszenie dla mieszkańców lotniska zaraz po wyjściu Micaha, Beth i małego Mike'a, i że pobiegłam na pocztę by je wysłać tuż przed przyjściem moich dzieci do Liberty. Teraz już nie można było się cofnąć.

— To będzie wspaniałe przyjęcie — zapewniałam. — Nigdy właściwie nie miałeś urodzinowego party w Zaciszu, a jesteś pierwszym dzieckiem w Zaciszu jakie znam. Zresztą stało się.

— To potworne — powiedział Piotruś. — To wulgarna zniewaga i jeszcze gorzej, to jest przekupywanie wszystkich tutaj. Absolutnie nie będziemy się z tym liczyć.

Sara nic nie mówiła, tylko patrzyła na mnie bacznie.

— Myślę, że musicie się z tym liczyć, kochanie — powiedziałam. — Zaproszenia już zostały wysłane — do wszystkich z wyjątkiem Grety, oczywiście; naprawdę nie wyobrażam sobie, by jej obecność przydała coś uczystości.

— Więc będziesz je miała sama, bo my nie przyjdziemy — rzekł mój syn, plamy na jego twarzy zbiegły.

— Tak, przyjdziemy — powiedziała Sara. — Dziękujemy, Maude. To doskonały pomysł.

— Saro — zaczął Piotr, ale odwróciła się do niego z błyszczącymi oczami.

— Cicho — rzekła. — Czy nie rozumiesz, że twoja skóra jest prawie uratowana?

Piotruś uspokoił się. Wypiliśmy w miłym nastroju brandy przy kominku; obserwowałam w świetle ognia Sarę. Była w niej teraz siła, której nie widziałam przedtem i to przyniosło mi ulgę. Piotruś może być niekwestionowanym władcą w tym małżeństwie, ale widziałam, że Sara stała się w ciągu tych trudnych lat jego opoką. Uśmiechnęłam się do niej, a ona z całą szczerością odwzajemniła mój uśmiech.

— Dziękuję ci, naprawdę, Maude — powiedziała do mnie serdecznie, gdy Piotruś szukał latarki, by oświetlić im ścieżkę nad urwiskiem w drodze do Małego Domku. — To genialny pomysł — dodała wybuchając śmiechem. — Jeśli masz złamać reguły to trzeba je złamać w wielkim stylu. Zapamiętam to sobie. Nawet jeśli się to nie uda, to przyjęcie będzie najwspanialszym zademonstrowaniem lekceważenia jakie widziałam.

— Uda się — powiedziałam całując ją w policzek. — Poczekaj, to zobaczysz.

— O czym ty na miłość boską myślisz — zapytał Piotr, gdy zadzwoniłam do niego później. Był w Atlancie, a następnego dnia miał się udać do Nowego Orleanu. Głos miał ostry i rozdrażniony. Piotr nie znoślił upałów.

— Myślę o przyjęciu urodzinowym dla naszego syna, ni mniej, ni więcej — odparłam. — Dzwonię, żeby zobaczyć czy to możliwe, żebyś nie umknął i przyjechał. Wracasz na ten weekend do Bostonu, zanim pojedziesz do Kanandy. Mam tutaj twój rozkład. Mógłbyś przyjechać tylko na ten wieczór, jeśli inaczej się nie da. Piotrze, musisz. Tylko ciebie brakuje do całości. Naprawdę musisz przyjechać.

— Uważam, że to jest upiorny pomysł, Maude — rzekł. — Chyba najgorsze co można zrobić w tych okolicznościach. Oszczędź nas wszystkich i odwołaj to.

— W tych okolicznościach, Piotrze — powiedziałam — to jedyna rzecz, jaką mogę zrobić.

Milczał, a potem skomentował:

— Źle się tam dzieje.

— Tak. Oczywiście Greta. Ale teraz wszystko wygląda trochę lepiej. A to przetnie sprawę ostatecznie. Ale ty musisz być tutaj, To jest najistotniejsze.

— To wybuchnie prosto w nas, aż pod niebo — protestował. — A co będzie jeśli nikt nie przyjdzie, albo tylko kilka osób? Co za grę planujesz, Maude?

— Grę ostatecznościami — odpowiedziałam łagodnie.

— „Miłość z potrzebą gdy w jedność spleciona” — powiedział po chwili Piotr i wyczułam uśmiech w jego głosie. — „A trud — zabawą ostatecznościami, / Tak, tylko wtedy czegoś się dokona / Dla nieb nad nami i wieków przed nami”.

— Robert Frost nie mógłby tego lepiej powiedzieć — rzekłam.

— Uważam więc, że trzeba tego dokonać dla nieba i przyszłości?

— Tak. Tak uważam.
— Postaram się więc przyjechać — powiedział. — Nie mogę obiecać, ale będę się starał.

— Staraj się bardzo mocno, kochany — odpowiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

Podczas tego weekendu zabrałam Mike'a Willisa i Darcy w jej sportowym wózku do jachtklubu. Było późne popołudnie i łodzie odpływały po sobotnich regatach, większość mieszkańców lotniska zebrała się na werandzie by na nie patrzeć i wypić herbatę. Nic się nie zmieniło od czasów MAmY Anny.

To był piękny lazorowy dzień, cieplejszy niż większość dni bliżej sierpnia; weranda i stopnie były przepełnione ludźmi. Serce uderzyło mi mocniej, gdy minawszy ostatni zakręt drogi ukazałam się ich oczom z małym ciemnym chłopcem u boku i Darcy gaworzącą w swym wózku. Jej włosy błyszczały w słońcu, różowo-brązowe rumieńce wykwitły na policzkach. Pod wpływem fantazji ubrałam ją w niebieską podkoszulkę i białe spodnie, miniaturowe kopie mojego ubrania. Zaczerpnęłam głęboko oddechu. Nie widziałam żadnej z tych osób od chwil poprzedzających huragan we wrześniu zeszłego roku. To było swego rodzaju wyzwanie, nawet jeśli chodziło o moich najstarszych przyjaciół. A wiedziałam, że pomiędzy nimi była Greta Winslow. No trudno, tego nie można już dłużej odkładać. Niech się już raz stanie.

Najpierw była cisza, potem wyrwało się kilka nieśmiałych uśmiechów, łagodne szepty, i Dierdre Kennedy zawołała z jednego z bujanych foteli, gdzie siedziała z seniorkami Zacisza:

— No, patrzcie, kto to przyszedł! Brakowało nam ciebie, Maude, kochanie. Daj tutaj to dziecko, niech się przyjrzymy. Strasznie chcieliśmy je poznać.

Dzięki ci, Dierdre, powiedziałam w duchu i podniosłam Darcy z wózka, ujęłam rękę Mike'a i weszłam po schodach do grupy foteli na biegunach. Ze mną szły dalsze uśmiechy i szmer powitań, ręce wyciągały się by pogłaskać Darcy; mój oddech trochę się uspokoił. Ale po chwili znów stał się przyspieszony. Greta Winslow siedziała z tyłu, o całe lata młodsza od innych kobiet zajmujących fotele. Był w niej jednak tak królewski spokój jakby władała całym klubem tylko mocą swego istnienia, a w jej wspaniałych wodnistozielonych oczach czaił się wyraz lwicy gotującej się, by zadać śmiertelny cios. Nie można było mieć co do tego wątpliwości.

— Hallo, Greto — powiedziałam. — I Dierdre, Eryko, wszyscy Stallingsowie. To jest Darcy, córeczka Happy. Spędza z nami lato; daliśmy hojną łapówkę za nią jej matce i ojcu. Czy możesz powiedzieć halo, Darcy?

— Lo! — zawołała Darcy i wszyscy się roześmiali, Greta najgłośniej.

— A kim jest twój przystojny przyjaciel, Darcy? — zapytała patrząc na Mike'a Willisa spod swych wydłużonych powiek. — To chyba któryś z Willisów, jeśli się nie pomyliłam. Zachowujesz w rodzinie, kochanie?

Spojrzałam na nią. Uśmiechała mi się prosto w twarz. Piękna; ciągle jeszcze była po prostu bardzo piękna. I tak niebezpieczna dla mnie i dla moich bliskich jak obłąkana kobieta. Nie było jeszcze czasu by przyszły odpowiedzi na moje zaproszenia, ale wiedziałam, że Greta musiała słyszeć o przyjęciu. Miałam zacząć płacić za to już dzisiaj, podobnie jak moi najbliżsi. Micah powiedział, że jej język w tym roku nie miał hamulców. Miał rację.

— Mam nadzieję — odparłam, rada, że ciemne okulary zasłaniają moje oczy. — Za każdym razem, gdy patrzę na Mike'a chciałabym, żeby jeszcze wciąż rodzice kojarzyli małżeństwa.

— Och, ależ robią to — przynajmniej jeśli mają szczęście — rzekła Greta, a drobny pomruk powiał przez werandę. Stare dAmy obecne tutaj doskonale pamiętały, jak bardzo niezadowolona była Mama Anna z wyboru syna.

— Nie zawsze, w przeciwnym razie wiele z nas nosiłoby inne nazwiska, prawda? — uśmiechnęłam się do Grety, a jej gładka opalona na kolor kawy twarz pociemniała. Stare kobiety pamiętały też niezawodnie, że Greta publicznie łąpała Piotra na męża przez wszystkie lata nim zostaliśmy małżeństwem.

Odwrociłam się do Dierdre Kennedy i uściskałam ją, a ona wyciągnęła ręce do Darcy. Darcy pozwoliła na to, gruchając i uśmiechając się.

— Jakaż ona słodka! — powiedziała Dierdre. — Jak to dobrze, że znów tu jesteś z nami, Maude. Kiedy Piotr przyjedzie? Jesteśmy wszyscy tak poruszeni jego książką.

— B-iotl — zapiszczała Darcy i wszyscy się roześmiali.

— Tak, kochanie, Piotr — powiedziałam. — Dziadunio. Przyjedzie na następny weekend, Dierdre. I cieszy się, że was wszystkich zobaczy.

Nie musiałam patrzeć na Gretę, żeby wiedzieć, że zrozumiała dokładnie, gdzie Piotr zobaczy wszystkich. Przyjęcie pulsowało w powietrzu między nami jak plama na słońcu.

— Wiecie — powiedziała Frances Stallings pochylając się ku Darcy — to jest twój absolutny wizerunek, Maude. Nie koloryt ale wszystko inne: kształt twarzy, uśmiech i małe, prężne ciało. To jest niesamowite.

— Prawda? — powiedziała Greta Winslow.

Zdawałam sobie sprawę z tego, co nadchodzi, i że to będzie coś złego. Napięłam mięśnie w oczekiwaniu.

— I czy to nie skandal z dzieckiem Elżbiety — mówiła półgłosem. — Gdyby żyło, Piotr miałby do obnoszenia wkoło doskonałą miniaturkę Chamblissów, tak jak Maude ma Gascoigne'ów. Jakby dobrany zestaw podobnych wnucząt.

Tym razem nie straciłam oddechu. Milczałam. To za bardzo przekraczało granice przyzwoitości; nawet Greta zdawała sobie sprawę z tego. Otworzyła usta, żeby dalej mówić, ale nic nie powiedziała. Odwracała ode mnie spojrzenie patrząc w dół.

Pomóż mi, Mammo Anno! wyszeptalam bezgłośnie, zupełnie spontanicznie, a potem pochyliłam się lekko, tak by musiała spojrzeć mi w oczy i powiedziałam:

— Mogłabyś dać temu spokój, Greto. Piotr nie ożenił się z tobą, kiedy mógł i nie poszedł z tobą do łóżka — a znakomicie by mógł! — i nie pójdzie nigdy w przyszłości. Gdybym była tobą zapobiegłabym dalszym stratom i wycofałabym się z gry.

Uśmiechnęłam się, wzięłam Darcy od Dierdre Kennedy, zesłam po schodach, posadziłam ją w wózku i poszliśmy z powrotem drogą w kierunku domu, ze skaczącym przed nami Mike'em Willisem. Za mną, gdy zniknęliśmy już na zakręcie, usłyszałam, tak wyraźnie jak to słyszałam każdego lata w Zaciszu z małego kortu tenisowego, delikatny odgłos oklasków.

Zrozumiałam, że nikt nie odmówi przyjęcia na przyjęcie urodzinowe Piotrusia.

— I nikt nie odmówił — powiedziałam Piotrusiowi w połowie tygodnia przez telefon. Zdecydowałam, że nie powiem mu o scenie z Gretą. Wiedziałam, że to się już nie powtórzy — przynajmniej nic takiego co mogłoby nas dotknąć. — Wszyscy przyjadą. Zaprosiłam nawet tych dziwnych ludzi z Los Angeles, którzy wynajmują tego lata Piękny Brzeg, i oni przyjdą. Wszyscy mówią, że to są aktorzy, Piotrze; czy to nie cudowne? Tego nam właśnie potrzeba w Zaciszu. To będzie party stulecia.

— Cieszę się, kochanie — powiedział Piotr. — Wobec tego nie będę ci potrzebny, prawda? Maude, sama myśl o tym mnie zatyka...

— Potrzebuję cię bardziej niż kiedykolwiek, Piotrze — odpowiedziałam z naciskiem. — Nie zdajesz sobie po prostu sprawy; trzeba koniecznie żebyś tu był. Nie ma wyboru. Nie rozumiem, co cię w tym teraz niepokoi; wszyscy przyjdą, czy nie widzisz, to znaczy, że wszyscy są za nami, przebaczone synowi marnotrawnemu, możemy żyć dalej tak, jak żyliśmy zawsze.

— Czy ty nie widzisz, że to jest szarada, Maude? — zapytał Piotr. — Właśnie to mnie niepokoi. To kłamstwo. Piotruś nie jest synem marnotrawnym...

Przerwałam mu zrozpaczona. Nie mogłam już tego słuchać.

— Kochanie, to jest metafora. Miałam na myśli... w porządku, Piotrze, nie chciałam ci tego mówić, ale jeśli tego potrzeba żebyś tu przyjechał, to powiem. I tak ktoś to robi, wcześniej czy później.

I powiedziałam mu o scenie w jachtklubie podczas zeszłego weekendu. Wszystko, od początku do końca. Gdy skończyłam, w słuchawce panowała długa cisza, tak długa, że zaczerpnęłam oddechu, by coś powiedzieć, ale wtedy Piotr się odezwał:

— Do diabła z Gretą — powiedział. — W porządku. Rozumiem. Masz rację, nie mam wyboru. Wyjadę z Bostonu po południu tego dnia, ale dojadę późno. Martin zorganizował jakiś lunch, którego nie mogę odwołać.

— Och, kochany... dziękuję ci! Będzie cudownie, zobaczysz. Nikt nawet nie wspomni o tym zajściu z Gretą; z tym już koniec. I po prostu wszyscy o ciebie pytali. Darcy pyta trzy razy dziennie.

— Ucałuj ją ode mnie — powiedziała. — Tęsknię za nią. Tęsknię za tobą też. Maude...

— Co, kochanie?

— Pamiętasz zatokę Wappoo? Pamiętasz, co śpiewaliśmy tamtej nocy?

— Tak jakby to było wczoraj — odpowiedziałam, śmiejąc się.

Śpiewał cicho, przez druty z bardzo daleka. „Jest trzecia nad ranem... przetańczyliśmy całą noc...”

— To nie brzmi ani trochę lepiej niż wtedy — rzekłam.

— Rzeczywiście, prawda? Utkwiło mi w głowie ostatnio; śpiewam to po całych dniach.

— No, przycisz trochę i śpiewaj to przez całą drogę tutaj w sobotę i śpiesz się!

— Będę się śpieszył. Posłuchaj, Maude. Gdyby coś innego się zdarzyło — cokolwiek, co byłoby nieprzyjemne — wezwij Micaha. Zrobisz to? Możesz polegać na nim.

— Nie ma potrzeby wzywania Micaha — odpowiedziałam zaintrygowania. — Radzę sobie z Darcy i z sobą. Czy nie widzisz? Stąd właśnie wynika ta smutna, głupia scena w jachtklubie. Daję sobie radę.

— Wiem, że dajesz — odparł Piotr. — Chcę jednak, żebyś mi przyrzekła, co do Micaha.

— Wobec tego, przyrzekam... Przyjeżdżaj szybko, kochanie. Potrzebne mi są twoje ramiona.

— Kocham cię, Maude.

— Ja też cię kocham.

* * *

Deszcz padał w dniu przyjęcia, ale na godzinę przed jego rozpoczęciem wypogodziło się i wspaniałe zachodzące słońce przebiło się przez burzowe chmury nad zatoką. Zapłonęły od niego ogromne masywy Islesboro i Camden Hills. Nad wszystkim zawisł biały duch młodego księżyca. Wysłałam z domu w szlafroku, z nieumalowaną jeszcze twarzą, by to podziwiać. Micah i Tina stali koło mnie; przyszli wcześniej na spokojnego drinka i by pomóc mi przy ostatnich przygotowaniach. Nie było ich wiele. Od początku to przyjęcie żyło jakby własnym zaklętym życiem. Kwiaty, które zamówiłam były najpiękniejsze ze wszystkich, jakie zdarzyło mi się widzieć; przekąski, które Tina i ja wymyślałyśmy od tygodnia miały wygląd uroczysty, elegancki; japońskie lampiony, które należały do tradycji przyjęć w Liberty wyglądały tajemniczo na tle zachodu słońca i zanikających świateł burzy; Darcy zachowywała się przez cały dzień jak aniołek i bez słowa zjadła kolację z Beth i Mike'em w dzieciennym pokoju na górze.

— Pamiętasz, jak mówiłeś, że gdy słońce w taki sposób zachodzi to znaczy, że diabeł pali śmiecie? — powiedziała do Micaha, a on skinął

głową. Wyglądał świetnie w swych szarych spodniach marynarskich i granatowej marynarce, nie różnił się niczym od mężczyzn, którzy przyjdą tu tego wieczora, podobnie jak Tina, w swej pastelowej, lnianej sukience i kaszmirowym kardiganie, nie różniła się od kobiet. Takich, jakie teraz były.

— I mówiłeś, że taki zachód słońca zapowiada czasem zorzę północną — ciągnęłam. — Czy to nie byłoby wprost doskonałe? Właściwe ostatnie pociągnięcie, znak łaski.

— Nie byłbym wcale zdziwiony — powiedział Micah; wróciliśmy do Liberty i pobiegłam przebrać się na górę. Słyszałam jak Micah wita Piotrusia i Sarę i uśmiechnęłam się. Będą pamiętać ten wieczór.

Schodziłam właśnie po schodach, gdy rozległo się pukanie do drzwi, nieśmiałe, delikatne. W tej samej chwili wycie z dziecinnego pokoju zapowiedziało koniec anielskości.

— Otwórz Piotrusiu, dobrze? — zawołałam. — To pewnie chłopcy z gospody z krewtkami; jeszcze za wcześnie na kogoś innego. Ja zobaczę co się tam dzieje na górze.

Zaczęłam wchodzić znów na schody, gdy usłyszałam głos Piotrusia: Mamo?

Odwrociłam się powoli i zaczęłam zstępować po stopniach, patrząc na niego. Piotruś od lat nie mówił do mnie mamo. Zatrzymałam się. Jego twarz była dziwnie pokawałkowana; wyglądała tak jakby odpadał z niej rys po rysie. Za nim stał nowy szeryf, ten który zatrzymywał mnie i Piotra wtedy, gdy austin healy był nowy. Zeszłego lata. Nie mogłam sobie przypomnieć jego nazwiska.

— Mamo — powiedział znowu Piotruś i zrobił krok w moją stronę. Cofnęłam się. Zaczęłam potrząsać głową, w tył i w przód, w tył i w przód.

— Mamo. Tatus, to o tatusia...

Cofnęłam się jeszcze o krok, patrząc w przestrzeń, potrząsając głową. Piotruś podszedł do mnie ze swą straszną twarzą.

— On... samochód spadł z Caterpillar Hill — powiedział i rozpłakał się. Znowu się cofnęłam. Było tak jakby nic nie pozostało na świecie poza mną prócz przestrzeni, zimnej i pozbawionej granic. Więc to było tu: przepaść.

— To nieprawda — powiedziałam, potrząsając głową, cofając się.

Wtedy ręce objęły moje ramiona i trzymały je mocno w uścisku, poczułam ciało przy miom ciele, ciało, które trzymało mnie mocno, gdy próbowałam się cofnąć jeszcze raz. Micah. Stałam nieruchomo w jego uścisku.

— Jest mi tak cholernie przykro, Miz Chambliss — powiedział nowy szeryf trzęsącym się głosem. — Jacyś ludzie znad Penobscot parkowali tam na wzniesieniu, podziwiali zachód słońca i samochód wjechał prosto na szczyt, obrócił się i... przeleciał. Wezwali mnie z Bagaduce Lunch; mieliśmy tam samochód. My... samochód był na dnie, niedaleko miejsca gdzie się zaczynają te lasy koło Walker's Pond. Znaleźliśmy jakieś papiery z jego nazwiskiem w przegródce na rękawiczki, ale nie znaleźliśmy — nie

znaleźliśmy jeszcze pana Chamblissa. Nadejdzie jednak pomoc z Brooksville i Castine...

— Więc wracajcie i szukajcie — powiedziałam. — Zaraz. Może być ranny; mogliście nie słyszeć jak wołał.

— Proszę pani, on... samochód był przewrócony — odparł szeryf. — Tam jest spadek z wysokości tysiąca stóp.

Potrząsnęłam głową. Dłonie Micaha zacisnęły się na moich ramionach. Próbowалам sobie to uzmysłować, ale widziałam tylko próżnię, biel. Nie mogłam zobaczyć Piotra. Coś było tu nie tak.

— Co on robił na Caterpillar Hill? — zapytałam ze zdumieniem. — To wszystko nie tak; to nie Piotr. Piotr skręciłby na prawo do Brooksville. Caterpillar Hill nie było po drodze... To jakaś pomyłka...

— Może chciał popatrzeć na zachód słońca — powiedział cicho szeryf. — Bardzo dużo ludzi ogląda go stamtąd. Przykro mi, Miz Chambliss, naprawdę. Ale to był jego samochód.

Ale ja stale potrząsałam głową. Nie, nie.

Piotruś płakał cicho w ramionach Sary. Tina przyszła z kuchni, z twarzą zbieła jak wyschnięta kość. Potrząsałam głową.

Micah odwrócił mnie obu rękami i popatrzył mi w twarz. Był spokojny i uważny. Zauważyłam, że zaciął się koło ucha przy goleniu. Jeszcze było widzieć cienką zaschniętą strużkę krwi.

— Piotr to doprowadzi do porządku — powiedziałam, usiłując dotknąć szrAmy.

— Piotra nie ma, Maude — powiedział Micah. — Musisz to zrozumieć.

Patrzyłam na niego. Czułam jego ręce i ramiona. Nie mogłam zobaczyć obrazu; nie mogłam odnaleźć Piotra w mojej pamięci.

— Micah — powiedziałam. — Zawsze myślałam, że to będzie morze.

Wtedy jego twarz skurczyła się i wygięła w bólu, przyciągnął mnie do siebie, a ja zamknęłam oczy i obrazy napłynęły: panorama wzgórz, stawów i małych zatok, wysp i skał, i wreszcie otwarte morze, płonące w zachodzącym słońcu, palące się; mały zielony samochód wiszący w tym pełnym blasku powietrzu przez ułamek sekundy; mężczyzna — czy śpiewał, czy naprawdę śpiewał? — mężczyzna z jasnymi włosami, unoszący się w chmurach i znikający, znikający i nagle opadający...

Potem czerń zaczęła się nasuwać, gdzieś od boków mojej wizji, w pewnym punkcie musiała się jakby podnieść, by dotknąć młodego księżycy. Postać spadała, spadała, a czarność wślizgiwała się i ja podążałam za nią w dół i słyszałam siebie samą wołającą w pierś Micaha Willisa, gdy sama też spadałam: „Micah, ja nie chcę iść na werandę! Nie chcę iść na werandę!”

DARCY CHAMBLISS O'RYAN

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jechałam z powrotem do Zacisza zardzewiałym pontiakiem firebird z 1979 roku, z nalepką na zderzaku z napisem: GÓWNO SIĘ STANIE. Podziwiałam tę nalepkę przez cały czas pobytu w szpitalu; podziwiałam tak bardzo, że Leroy Greene, którego nazywaliśmy Kutwą, zaproponował, żebym przejechała pontiakiem dwa tysiące mil do Maine, kiedy mnie wypuszczą ze szpitala, zamiast lecieć samolotem, jak planowałam.

— Daj mu chwilę wytchnienia zanim dotrzesz, żeby podjąć dystyngowane życie wielkiej dAmy — wyszczerzył zęby od ucha do ucha. — Jedź tam z hukiem, z rozwiniętymi wszystkimi flagami. Miej serce na zderzaku.

— Och, Kutwa, co za wspaniały pomysł! — zawołałam. — To naprawdę może być właśnie to. Ale nie mogę tak po prostu wziąć twojego wozu.

— Daj spokój — odparł, odwracając się do stołu bilardowego w świetlicy, jakby ten temat przestał go już interesować. — W życiu już nie będę jeździł tym starym złomem.

To była prawda. Poza tym, że go leczono w Peachwood z nałogowego alkoholizmu i narkomanii, Kutwie zabroniono prowadzenia samochodu w najbliższej przyszłości w stanie Georgia. Kutwa zbierał bowiem mandaty drogowe równie często jak opłaty postojowe w Atlanta Falcons, w swej krótkiej lecz błyskotliwej karierze recydywisty. Teraz samochód widywał tylko wtedy, gdy jego brat Errol przyjeżdżał z Zebulon w Georgii, by raz w miesiącu go odwiedzić. Kutwa miał dwa czy trzy inne samochody: mercedesa i BMW, jak mi się zdaje, zamknięte w garażu koło mety w Buckhead. Ale poprosił Errola, by przyprowadził dwunastoletniego pontiaca. Wiedziałam, że to była naprawdę jego wielka miłość, a nie sądzę, żeby miał inne. Kutwa był olbrzymi, czarny, całkowicie pozbawiony charyzmatu bohatera sportowego i... kutwa. Tylko ze mną w Peachwood prowadził stałe rozmowy. Czułam się zawsze z tego powodu dumna i zaszczyciona.

Wzięłam więc w końcu pontiaca, obiecując go zwrócić na jesieni, gdy wrócę do Atlanty, i chowając do kieszeni znaczną sumę na bilet lotniczy, którą moja babka przysłała mi na drogę do Maine; rozpoczęłam drogę,

trzydniową, podróż samochodem, która miała mnie przywieźć w końcu na Przyładek Rosier.

Przez cały dzień czułam się wspaniale: nieugięta, twarda i wolna. Częściowo zawdzięczałam moją euforię czerwono-żółtym pigułkom Xanaxu, z których zapasem miesięcznym opuściłam szpital. W szpitalu przyjmowałam je trzy razy dziennie; odsuwały panikę na odległość, którą tolerowałam. Bardzo lubiłam te pigułki. A tego pierwszego dnia czułam się tak jakby świat przepływający tuż obok, gdy przekraczałam granice stanów, oddzielała ode mnie tylko szklana szyba. Nie musiałam się w ogóle nim zajmować, tylko prowadzić samochód. Może nigdy nie musiałam.

Ale inny, bardzo potężny, bodziec tego dobrego samopoczucia wiązał się bez wątpienia z tą nalepką na zderzaku. GÓWNO SIĘ STANIE. Co za cudowne, chłodne, mocne zdanie: właśnie takie, jakie chciałam przewieźć przez tyle mil drogi i ostentacyjnie wystawić na pokaz w tym pięknym miejscu, które prawie doprowadziło mnie do śmierci. Jaka czysta, prężna deklaracja panowania nad sobą, pogardy i dobrego samopoczucia. Nowa Darcy O’Ryan. Odpieprzyć się ode mnie.

— To mógłby być niezły pomysł — rzekł mój psycholog, gdy mu powiedziałam o prowadzeniu samochodu do Maine i o nalepce na zderzaku. Był młody, kudłaty i trochę otyły; lubiłam go tak bardzo jak nikogo innego, co nie znaczyło dużo. Osłabić moje mechanizmy obronne do tego stopnia bym dopuściła głębsze pozytywne uczucie znaczyło dopuścić także lęk; zdawałam sobie z tego sprawę. Myślałam jednak, że był mniejszym skurwysynem niż inni w tym idiotycznym miejscu, i wiedziałam, że interesował się tym, co się ze mną dzieje. On także zaopatrywał mnie w pigułki. Za mniej współpracowałabym z sAmym Charlesem Mansonem.

— Dlaczego — zapytałam. — Myślałam, że chciałeś, żebym leciała samolotem. Czy nie mówisz, że prowadzenie samochodu przez tak długą drogę nie jest teraz dla mnie najlepsze?

— Tak — odparł, czyszcząc okulary mankietem koszuli. — Ale będzie cię chronił w drodze twój osobisty amulet. I to cholernie dobre określenie twojej sytuacji. GÓWNO SIĘ STANIE to gniewna deklaracja. Jest najbliższa temu do czego doszłaś przed rokiem, przyznając że bryknęłaś. A teraz proponujesz, że rzucisz się prosto w paszczę wroga i mówisz to, nawet jeśli mówisz to tylko na swoim zderzaku. Przepraszam, na zderzaku Kutwy. Nieźle, Darcy.

— Ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem rozgniewana? — zapytałam. — Ani razu nie czułam gniewu; to, co czułam przez więcej niż dwa lata to był lęk, wyraźnie, zwykły lęk. Nie wiem, dlaczego nie możesz tego zrozumieć. Czy psychiatrzy boją się lęku?

— Jesteś niczym, jeśli nie jesteś zła — powiedział. — Powinnaś być. Każdy byłby. Gdybyś mogła choć raz poczuć gniew i przyznać się do niego, wyszłabyś stąd już wiele miesięcy temu. Jesteś wściekła na swoją matkę, jesteś wściekła na swego ojca, jesteś wściekła na tego niedołęznego osła, twojego eks-narzeczonego, jesteś wściekła na siebie i na cały świat,

i jesteś wściekła na miejsce, do którego jedziesz. Gdybyś znalazła inne miejsce dla siebie na trzy miesiące, nie brałbym pod uwagę tego Zacisza, ale nie mogłem, przepisy mówią, że musisz być przez trzy miesiące po zwolnieniu pod czyjąś opieką. Jesteś już przygotowana do tego, żeby stąd odejść, nawet jeśli nie myślisz, że jesteś. Zatrzymywanie ciebie tutaj byłoby gorsze niż wysłanie cię do twojej babki. Robisz się za bardzo przywiązana do tego małego półtraju. Nawiasem mówiąc, na swoją babkę też jesteś wściekła. Zestawiwszy wszystko razem, to może nie być takie złe, jak myślałem z początku. Przynajmniej jesteś zdolna pokazać co czujesz, jeśli nie wprost, to przez nalepkę na zderzaku.

— Dlaczego myślisz, że jestem wściekła na babunię Maude? — zapytałam i zdałam sobie sprawę, że pierwszy raz od prawie dwunastu lat użyłam tego zwrotu z dzieciństwa. On też to zauważył, a ja zaczerwieniłam się z irytacji.

— Że nie chroniła cię tamtego lata — odparł. — Co jeszcze? Miałaś zaledwie siedemnaście lat. Powinna była lepiej sobie z tobą poradzić.

— Próbowała — odrzekłam, głęboko zdziwiona sama sobą. Nie pamiętałam przez te wszystkie lata, że moja babka próbowała wtedy powstrzymać bieg wypadków. W ogóle mało o niej myślałam. — Ona nie wiedziała, że ja z nim spałam — dodałam cicho.

— Naprawdę nie wiedziała? — powiedział psycholog. — Myślę, że wiedziała. Jak mogła nie wiedzieć? Okay, Darcy. Aprobuję. Zgadzam się na samochód. Pojedź tam i powiedz jej jakie są twoje odczucia. Myśl o tym po drodze. Uporządkuj to sobie w głowie, raz na zawsze, i powiedz jej. Nie zaczniesz naprawdę przychodzić do zdrowia, jeśli tego nie zrobisz. I niech cię gówno prowadzi.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, szerokim, miłym dzieciennym uśmiechem, który tak często widziałam i tak bardzo lubiłam; uściskałam go. W wyznaczonym dniu, powiedziawszy do widzenia Kutwie i paru jeszcze osobom, które coś dla mnie znaczyły, załadowałam pontiaca i wyjechałam z podjazdu Peachwood w słońcu gorącego czerwcowego dnia, z pełną kieszenią pigułek Xanaxu i napisem GÓWNO SIĘ STANIE chroniącym mnie, jak mój psycholog powiedział całą mocą dawnego klanowego amuletu. Pierwszy dzień przeszedł dobrze.

Ale wieczorem drugiego dnia, gdy podjeżdżałam do Holiday Inn, który wybrałam zaraz za New Haven, zobaczyłam, że coś ciemnego jak klej Krazy, nie dającego się zetrzeć paznokciem ani nawet metalowym pilnikiem do paznokci, chlapanęło na nalepkę na zderzaku. Teraz napis wyglądał jak SIĘ STANIE i moje dobre samopoczucie ulotniło się z miejsca. IT HAPPENS to nie było to samo, zupełnie nie to samo. IT HAPPENS to było jakby coś w rodzaju bezsilnego psychicznego wzruszenia ramionami, fatalizm kogoś poddającego się upadkowi. Dwa lata spędziłam na próbach wyciągnięcia się z dobrowolnego upadku. Weszłam do mojego pokoju, zamówiłam na obiad hamburgera i martini i połknęłam trzy pigułki nim zmałał szarpący lęk. Zanim to zrobiłam, przeliczyłam pozostałe pigułki na narzucie łóżka. Przy takiej dawce wystarczy na

dziesięć dni, zamiast trzydziestu, jak byłam przygotowana. Wiedziałam, że mój psycholog przyśle mi receptę, ale dopiero jak te będą wyczerpane zgodnie z zaleceniem. Dwadzieścia dni w Zaciszu bez mego leku i bez mego GÓWNA. No cóż, będę musiała znaleźć sposób na zdobycie tego pierwszego. Powinnam potrafić przekonać jakiegoś miejscowego lekarza, że potrzebny mi jest Xanax. Oczywiście jeśli jakiś lekarz na przyłładku Rosier słyszał o nim.

Albo to, albo mogę umrzeć. Myślałam o tym i przedtem.

Była trzecia nad ranem, gdy przebrzmiał odległy łoskot przetaczających się ciężkich aut, i zasnęłam.

Podróż samochodem z New Haven do Zacisza trwa około ośmiu godzin. Wyjechałam o szóstej, czułam w oczach piasek ze zmęczenia, Xanax szumiał w mojej krwi jak muzyka. Nieobce mi mocne uderzenia serca nie były początkowo tak wyraźne, ale gdy zjechałam z I-95 w Bostonie i wjechałam na starą USi, która wije się wzdłuż całego wybrzeża Maine, zaczęło się znów walenie. Z każdą przybyłą milą, każdym rzutem oka na przestrzeń, miasteczko, szare spłukane gonty, z każdym powiewem przynoszącym woń sosen i soli, z każdym skrawkiem czystego lazurowego czerwcowego morza i nieba, lęk anektował nowe całe terytorium. Gdy więc dojechałam do Camden Hills miałam sucho w ustach i zawroty głowy. Wzięłam następną pigułkę podczas lunchu w Rockport a następną, gdy dojechałam do Orland i skręciłam na południe na 15, w kierunku Przyłładka Rosier i Zacisza. Zawsze przedtem lęk, gdy osiągał apogeum, wyłączał zewnętrzne wrażenia, ale teraz barwy, wonie, widoki, dźwięki i echa szarpały mnie jak ostro-dziobe ptaki.

— Spodziewaj się wielu ataków paniki, i być może gorszych, zanim miną zupełnie — mówił mi mój psycholog. — Zaburzenia lękowe nie znikają po prostu i nie całkiem ustają. Może się jeszcze ujawnić jakiś utajony atak, nawet dwa lub trzy. Jesteś teraz pod opieką; pamiętaj o tym, nawet jeśli na to nie wygląda. Teraz już wiesz, że możesz je po prostu przeczekać, a gdy już miną, będziesz dalej sobą ale po przeciwnej stronie. Wiesz o tym. Przedtem tego nie wiedziałaś: na tym polega różnica. I zawsze możesz mnie wezwać, jeśli zaczniesz być bardzo źle.

Wiedziałam więc, że mogę się spodziewać lęku, a jednak, zaraz za Brooksville, gdy znany widok zielonych i błękitnych wód Spruce Head i Walker's Pond wynurzył się przed moimi oczami po lewej stronie, zatrzymałam się, poszukałam telefonu w domu towarowym i zadzwoniłam do Peachwood. Strach był po prostu zbyt wielki, poddanie się nie do zniesienia.

— Nie dam rady — powiedziałam do telefonu, gdy odezwała się telefonistka. Ale kiedy zapytała: „Z kim chciałaby pani mówić, proszę?” — sala przyjęć ze sztucznymi palmami w stylu lat pięćdziesiątych, z kojącymi motelowymi abstrakcjami zielono-błękitnymi — kojącymi barwami dla zgłaszających się bestii — i jej antyseptyczny odór — wszystko to razem straszne stanęło mi w pamięci i odłożyłam słuchawkę. Nie

mogłam tam wrócić. Kupiłam coca-colę, połknęłam jeszcze dwie pigułki i pojechałam na przylądek, a krew szumiała mi jak szampan.

Za miasteczkiem, też przed miejscem, gdzie stare zszarzałe wiośło przybite na słupie wskazywało drogę do Zacisza, zobaczyłam nagle mały cmentarz, gdzie chodziliśmy z Mike'em Willisem, paliliśmy papierosy i opowiadaliśmy sobie historie; gdzie chodziliśmy też gdyśmy bardzo zawinili i chcieliśmy uniknąć kary; lub gdy nasza wyraźna obcość wśród rówieśników stawała się zbyt uciążliwa. Wydawał się pusty od strony drogi. Zwolniłam i opuściłam szybę. Lato, spokój, duchy z papierosowego dymu, krzyki mew i śmiech, od wielu lat zamarłe, owiały mnie chłodnym wiatrem znad zatoki. Błogosławieństwo. Bez żadnej świadomej myśli przejechałam pomiędzy dwiema marmurowymi kolumnami, zatrzymałam samochód i wysiadłam. Tu był spokój, jeśli był dla mnie spokój w Zaciszu. Posiedziałam chwilę pod jednym z wielkich świerków, czekając aż uciennie oszalały galop mego serca i zrozumiałam, że mogę pojechać do Liberty, gdzie czeka na mnie moja babka i tamte wszystkie dawne lata.

Siedziałam długo pod wielkim świerkiem na szczycie wzgórza, w ulubionym miejscu moim i Mike'a. Stąd rozpościerał się przed nami widok pracowitej przystani i zatoki: białe trójkąty żagli z jachtklubu, krzątająca w warsztacie skutniczym jego dziadka i ojca, łodzie rybackie wcześniej wracające z połowu homarów. Stąd widzieliśmy też każdego, kto nadchodził przez bramę i w ten sposób unikaliśmy złapania, gdy byliśmy niegrzeczni, albo natręctwa dorosłych, jeśli nasze zachowanie było w porządku. Tuż przed nami ciągnęły się groby wszystkich jego przodków ze strony Willisów i Duschesne'ów. Pomiędzy nimi, na prawo, grób mojego starszego brata Seana, który utonął koło Wyspy Rybołówów zanim się urodziłam, a obok grób mego dziadka, Piotra Chamblissa, który zginął w wypadku, gdy byłam jeszcze zbyt mała, by to pamiętać; jego samochód spadł ze szczytu Caterpillar Hill. Pamiętam, że zazdrościłam Mike'owi wielkiej liczby zmarłych członków jego klanu, a on zazdrościł mi, że moi bliscy umierali w tak tragiczny sposób.

— O ile wiem — powiedział kiedyś — w mojej rodzinie wszyscy umierali albo od choroby, albo po prostu ze starości. Nikt nie umarł w jakiś szczególny sposób, tak jak twój. U nas ciągle się mówi w jaki sposób umarł twój brat i twój dziadek, ale nigdy nie mówi się o naszych bliskich. Przynajmniej nigdy nie słyszałem.

— Ale — powiedziałam chcąc go pocieszyć — może niektórzy z nich umarli w jakiś straszny lub hańbiący sposób i dlatego o tym nikt nie mówi. Dlaczego nie zapytasz swego dziadka?

Nie pomyślałam nawet, by sugerować Mike'owi, żeby zapytał swego ojca. Kaleb Willis miał tylko jedną nogę, był surowy i pełen godności, nie wydawało się możliwe, by mógł dzielić jakieś tajemnice rodzinne z synem. A jego matka, Beth, która opiekowała się mną kiedyś, a potem kontynuowała to do chwili, gdy już opieka nie była mi potrzebna i którą kochałam, odznaczała się zbytnią prostolinijnością. Z tej strony nie można było oczekiwać wyjaśnień. Ale dziadek Mike'a Micah, to co innego.

Ciemny, z czarnymi brwiami, choć bywał srogi, jednak jego białe zęby połyskiwały w uśmiechu i opowiadali sobie różne historie z moją babką; często ich słyszałam, gdy już leżałam w łóżku w wielkim pokoju z tyłu domu. Często przychodził do Liberty i uwielbiałam go, podobnie jak Mikę. Spędzał z nami dużo czasu, gdy byliśmy mali, na morzu w naszych małych łódkach i w Liberty albo w cudownym, zagraconym domu Willisów przy drodze. Jeśli poprosiliśmy, by coś opowiedział, wydawało się, że historie które nam opowiadał nie mają końca.

— Mój dziadek nie lubi rozmawiać o naszych nieżyjących krewnych — powiedział Mikę. — Wydaje mi się, że nigdy o nich nie mówił, na pewno nie po śmierci mojej babki. Nie chcę go pytać.

Nie pamiętałam babki Mike'a, Krystyny, ale moja babka często mi o niej opowiadała, o pięknej, pogodnej kobiecie z jasnymi kręzącymi się włosami, która cudownie grała na skrzypcach i która przychodziła do Liberty częściej nawet niż jej mąż.

— Tina była cudownym przyjacielem — pamiętam, jak babka powtarzała to często z łagodnym uśmiechem na twarzy.

— Możemy zapytać babuni — powiedziałam tego dnia do Mike'a. — Wiesz nie ma nic takiego, o co nie można by jej spytać.

I to była prawda. Odkąd pamiętam, moja ciemna mała babka była dla Mike'a Willisa ostoją i ucieczką, portem absolutnego bezpieczeństwa w częstych burzach jego dziecinnego życia, okładem na rany, dostarczycielką słodyczy, tym kto mówi prawdę i komu się mówi prawdę.

— Nie myślę, żeby wiedziała — odparł Mikę. — Letnicy nic o nas właściwie nie wiedzą. Tak mówi mój ojciec. Matka też.

I teraz, prawie dwadzieścia lat później, nadal nie wiem, czy jacyś przodkowie Mike'a Willisa odeszli w chwale barwnej i gwałtownej śmierci.

I już się nie dowiem. Mikę i ja rozeszliśmy się tamtego lata w gorzkim, duszącym gniewie; nie pożegnał się ze mną i ja nie wróciłam. Nie pisał i ja nie pisałam. O ile wiem, ożenił się i miał dzieci; babunia Maude pisała kilkakrotnie o nim do mnie do Atlanty, ale ja darłam listy nie chcąc nic od niego i niewiele od niej. Pamiętam jednak, że został architektem i że miał gdzieś posesję nad oceanem. Sądziłam jednak, że to było gdzieś bardzo daleko od Przylądka Rosier i od Zacisza. Nie byłam nawet pewna, czy pamiętam jak wygląda. Ciemny, dobrze zbudowany, z niebieskimi oczami — ale co jeszcze? Dziwna luka w pamięci. Przez szesnaście letnich wakacji był moją drugą połową.

Słońce zaczęło się opuszczać nad zatokę, gdy wstałam zeszywniała od siedzenia na ziemi. Czułam zawrót głowy, gdyż pigułka przestawała działać a i głód dawał mi się we znaki. To był dobry pomysł jednak, żeby tu przyjechać; spokój unosił się w powietrzu jak dym. Nie mogę zapomnieć tego miejsca. Spojrzałam jeszcze raz na zatokę, zasłaniając oczy przed diamentową połyskliwością morza: dzień rodzący pogodę, pomyślałam nagle, przypominając sobie wyrażenie z dzieciństwa. Byłam na pół oślepiąta światłem tańczącym jak srebrna łuska na wodzie.

— Maude? — dobiegł mnie z tyłu głos. Odwróciłam się, ale w blasku zobaczyłam tylko ciemny zarys krępkiego mężczyzny siedzącego niżej. Ale kształt głowy i coś w sposobie w jaki trzymał ją przechyloną na bok...

— Mike? — powiedziałam. A gdy nie odpowiedział, zapytałam — Czy to ty?

— Nie — odparł mężczyzna. — Proszę podejść bliżej, żebym mógł panią zobaczyć. Światło świeci mi w oczy.

Zrozumiałam wtedy kto to jest i podbiegłam do niego z radością.

— Pan Willis! Micah!

Dobiegłszy, zatrzymałam się. Niskie krzaki jeżyn wzdłuż kamiennego muru przełamały błyszczące światło i zobaczyłam, że to naprawdę był Micah Willis. Bardzo stary i chory. Siedział na wózku inwalidzkim i tylko jego głowa, dłonie i ramię z jednej strony poruszały się. Paraliż, pomyślałam. Jego obwisła, pomarszczona twarz, zamglone oczy i proste siwe włosy, wszystko mówiło o tym: o chorobie, bezradności, wieku. Musiał być bardzo stary; był starszy od mojej babki, a ona miała... zaraz? Jakies osiemdziesiąt pięć lat? Poczułam tak wielki żal, że napełnił mi oczy łzami. Był najbardziej żywotnym, pełnym siły mężczyzną jakiego znałam.

— A więc — powiedział, patrząc na mnie. — To Darcy O'Ryan, prawda? Maude mówiła mi, że przyjedzie pani tego lata, ale zdawało mi się, że spodziewała się pani jutro.

Jego głos był słaby i cienki, jakby rozdrażniony. A potem uśmiechnął się tak, jakby lata spłynęły po nim i odpłynęły w dal, jak w animowanym filmie. Był tu znów, on, dawny Micah Willis, pod tym rozbitym wrakiem. Przemawiał swym uśmiechem, jeśli nie oczami i głosem.

— Jest pani jej portretem — powiedział. — Myślałem, że to ona, przez chwilę, jej sylwetka tam pod drzewem, na tle zatoki. Gdyby odjąć rude włosy i zmienić błękitne oczy na czarne, byłaby pani Maude Chambliss, taką jaką ją pierwszy raz zobaczyłem, gdy była młodsza od pani o jakieś dziesięć lat.

— A ja wzięłam pana za Mike'a — uśmiechnęłam się do niego. — Gdy tak pan siedział z przechyloną głową. Zawsze tak na mnie patrzył kiedy myślał, że coś głupiego zrobiłam, co się bardzo często zdarzało. Jesteśmy więc kwita.

— Niewiele poza tym jest we mnie z Mike'a — powiedział trzeźwo patrząc na swoje wychudzone ciało w fotelu.

— Przykro mi — powiedziałam niezręcznie — czy to był...?

— Paraliż. Trzy lata temu. Niech pani nie będzie przykro. Daję sobie nieźle radę. Jedną z młodszych dziewcząt Duschesne jest przy mnie z wyjątkiem chwil, kiedy śpię — moja żona była z domu Duschesne, wie pani — a Kaleb i Beth zaglądają codziennie i przynoszą mi zakupy. I raz albo dwa razy w tygodniu zabierają mnie, bym mógł odwiedzić pani babkę, tak, że kogoś z was też widuję.

— To dobrze — powiedziałam zastanawiając się, czy wiedział dlaczego byłam tego lata w Zaciszu. Nic innego nie przychodziło mi do głowy, co mogłabym powiedzieć, rzekłam więc:

— Babunia Maude mówiła mi o pana żonie. Przykro mi bardzo.

Popatrzył w dal na wodę, a potem na grupkę grobów i westchnął:

— Tak... Mnie też. No, lepiej niech pani jedzie do Liberty, bo pani wuj Piotruś i ciotka Sara mają zabrać babcię na kolację, więc się z nią pani minie, jeśli zaraz nie pojedzie. Cieszę się, że pani tu jest, Miss Darcy. To pani miejsce, Zacisz. Niech pani będzie teraz dla niej dobra. Tak jakby tylko połowa serca jej została po pani wyjeździe i drży jak ptaszek ze szczęścia, że przyjeżdża pani tego lata. Bez względu na sposób w jaki ją pani zostawiła, proszę się postarać, żeby teraz było dobrze. Bardzo długo była sama, a nie jest już młoda.

— Spróbuję. Czy mogę pana podwieźć?

— Nie. Kaleb zaraz będzie wracał. Zostawia mnie tu każdego popołudnia i zabiera po drodze do warsztatu. Ale dziękuję.

— Zobaczę więc pana później — powiedziałam, odwracając się, by dojeść do pontiaca. Nagle zapragnęłam zapytać o Mike'a ale jakoś nie mogłam. Nie budźmy tego, zostawmy to...

Otworzyłam drzwiczki samochodu, gdy zawołał za mną:

— Ładny samochód. Interesujące kolory. Co to za „TO”, które ma się stać?

Spojrzałam na niego z ukosa i zobaczyłam, że wyszczerzył w dawnym uśmiechu swoje białe zęby.

— Doskonale pan, u licha, wie — zawołałam, a on roześmiał się głośno; wyjechałam z cmentarza i po raz pierwszy od dwóch dni moje serce nie zerało samo siebie w lęku.

Lęk powrócił jednak, nurtujący, szarpiący i kłujący, gdy podjechałam do zniszczonego starego słupa i pochylonego wiosła. Białe litery na piórze wiosła były teraz zupełnie zatarte, ale ciągle jeszcze oznaczało ono dla mnie Zacisz, jak żaden inny symbol. Musiałam zatrzymać samochód i położyć głowę na kierownicy zanim mogłam ruszyć dalej.

— Gówno się stanie — szepnęłam do siebie w końcu, zakręciłam i wjechałam na drogę do lotniska. Moje ręce ścisnęły tak mocno kierownicę, że myślałam, iż nie będę mogła ich oderwać i to było dobrze; droga ciągle jeszcze nie była wybrukowana, samochód podskakiwał i kołysał się na koleinach. Zdałam sobie sprawę, że okręg nie wyrównał ich wcześniej przed sezonem, pęknięcia były tu głębokie na czternaście cali. Pontiac przechylił się ze zgrzytem jak pijany, usłyszałam jak metal ociera się o skałę i mruknęłam pod nosem „kurcze”. Dopiero później, gdy mój chałaśliwy samochód zapowiedział się wszystkim, ośmieliłam się rozejrzeć wokół. Ogarnęło mnie doznanie czegoś palącego, ostrego.

Nikogo nie było na korcie tenisowym, ale w moich oczach roіło się tam od postaci w pomiętych białych ubraniach, wśród nich byłam ja i Mikę. Czułam ukośne promienie niskiego letniego słońca; czułam własny pot i gorycz porażki z rąk jakiegoś młodego opalonego zaciszskiego królewiatka. Czułam aromat sosen, świerków, soli i ciemnej tajemnej wilgoci brzoźowego zagajnika za kortem; słyszałam nosowe prychnania uczniów szkoły przygotowawczej na moją irlandzką niezgrabność i czerwieniącą się

twarz. Zwróciłam głowę w prawo: tu zaczynał się szereg starych domów pokrytych szarymi, brązowymi i białymi gontami i każdy z nich był mi tak bliski jak komora mego własnego serca. Wydawało się, że nie ma tu nikogo. Łzy i lęk mieszały się w moim gardle; pierwsze były znakiem niewinności, miłości i pamięci; drugi był znakiem śmierci i wszystkim co się z nią wiąże. Nie rozglądałam się już więcej. Dotarłam do alei wjazdowej do Liberty, ciągle ukrytej za wysokim żywopłotem z berberysu, i skręciłam w nią. Nie chciałam patrzeć na wysoki rozłożony przede mną stary dom — na pewno był zmieniony, pociemniały, mniejszy, zniszczony — ale wreszcie spojrzałam. Wydawał się nie zmieniony od dnia, gdy go opuściłam. Stał tak, jak stał od stu lat i przemówił do mnie tak samo jak przed upływem tamtych wszystkich lat: „Tu będziesz bezpieczna. Zachowam cię od złego”.

— Kłamiesz — powiedziałam głośno, wyszłam z samochodu i weszłam do Liberty.

Przeszłam przez bawialnię, jadalnię, do kuchni: pusto, nieskazitelnie, bez zmian. Duchy kiwały do mnie i płaszały; głosy wołały i przymilały się. Nie widziałam ich i nie słyszałam. Nic nie będzie ze mnie w tym domu tego lata, poza tym, czego sama udzielię. A to będzie krótkotrwałe i niewiele tego będzie. Trzy miesiące. Trzy miesiące konieczności, i ani dnia więcej z wyboru. Wsadziłam głowę do wielkiej sypialni na tyłach, w której zawsze sypiałam, ale ona także była pusta, świeża, błyszcząca i czekająca. Nigdzie nie było widać mojej babki: to dobrze. Może była u wuja Piotrusia i ciotki Sary, jak mówił Micah Willis. To mi da trochę czasu...

Weszłam na werandę i ona tam była. Leżała na starym wiklinowym leżaku, na którym zawsze, odkąd pamiętam, czytywała po południu; teraz spała, otulona w miękkie cienkie fałdy starego hiszpańskiego szala, który zawsze tu trzymała jako okrycie na chłodne wieczory. Jego kolory zbladły teraz, tak że trudno było powiedzieć jakie były pierwotnie i na jej nieruchomym ciele i dłoniach zrobiły nagle wrażenie całunu, osłony umarłej. Ta myśl, w pełni i wyraźnie zarysowała się w moim mózgu: moja babka nie żyje.

Gdy od niej odjeżdżałam była pełna życia, miała ciemną skórę, jej wijące się włosy były czarne z siwymi pasmami, twarz łagodna i opalona, z delikatnymi zmarszczkami, jak stary jedwabisty aksamit. Jej ciemne oczy były żywe, a mała wystająca broda ostra i stanowcza, ciało zachowało swe okrągłości i poruszało się szybko w spodniach i swetrach, które zawsze nosiła. Nie chciała, poza wieczornymi koktajlami i proszonymi obiadami nosić drukowanych jedwabi i płóciennych sukienek, w które ubierały się inne starsze kobiety i otulała się od zimna nie w obszyte jedwabiem kardigany lecz w szale. Zawsze miała tę samą parę dyndających złotych kolczyków w przekłutych uszach i zawsze myślałam o niej jako o tajemniczej brance tego miejsca, o cygance przywiezionej i trzymanej tu mocą jakichś nie dających się przełamać czarów. Powiedziałam jej to kiedyś.

— Jestem nią — śmiała się. Babunia Maude śmiała się często, bogatym, gardłowym śmiechem. — Naprawdę jestem. I — ciągnęła dalej

— będę nosiła te małe sukienki i małe sweterki gdy zacznę się ubiegać o przywileje na werandzie tego przeklętego klubu. Ani minuty wcześniej.

Ale teraz miała na sobie sukienkę, granatową drukowaną szmizjerkę, która zdawała się wchłaniać jej kruche ciało w swe sztywne fałdy. Jakby zmałała; jej drobne jak u ptaszka kości wystąpiły wyraźnie, a nie napięte ciało układało się i fałdowało dokoła nich jak rozciągnięta tkanina. Wciąż jeszcze była ciemna, ale teraz robiło to wrażenie suchej, martwej złotawej śniadości spowodowanej długim okresem mumifikacji. Usta stanowiły cienką wybladłą kreskę, te usta, które były pełne, miękkie i kapryśne, i nie było ani cała na jej twarzy, rękach i ramionach, który nie byłyby tak całkowicie pokryty zmarszczkami, jak coś co poddano długotrwałemu procesowi konserwowania i suszenia. Zamknięte oczy były zapadnięte w ciemnych jamach, które zdawały się zajmować połowę jej małej twarzy, a kości czoła i policzków były kośćmi pięknego małego szkieletu. Opuzczone powieki prześwitywały sinością, delikatne jak zgnieciona tkanina. Stara; dobry Boże, jakże była stara! Zabrakło mi oddechu. Ta krucha, stara mumia z niepokalanie białymi, przypominającymi mlecz włosami i skórą z jedwabiu nie mogła zapewnić mi bezpieczeństwa.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że jednak myślałam, iż będzie mogła, i że ta myśl prowadziła mnie przez wszystkie pełne drżenia mile, które przebyłam od Atlanty. Zamknęłam oczy przed strachem, który mnie ogarnął. Próbowałam złapać oddech ale nie mogłam; stałam na werandzie w Liberty przed wiekową i być może martwą kobietą i czułam, że nie mogę dalej żyć.

— Prrrrlll?

To był miękki, gardłowy, wibrujący, cichy dźwięk i poczułam go w kościach i w sercu. Otworzyłam oczy. Olbrzymi kot-szop z Maine wysunął głowę z fałd szala, chmura pasiasto-brązowego futra była prawie niewidoczna na tle wzoru o tej samej barwie; wyprężył nogi i zakręcił krótką wielką łapą w powietrzu.

— Ach, Zoot — powiedziałam cicho i rozpłakałam się.

Podniosłam go z leżaka, posadziłam sobie za ramieniu i ukryłam twarz w jego futrze, jak dawniej. Miało ten sam zapach: suchego jedwabiu, który wchłonał słońce i trochę kurzu. Nie czułam jego ciężaru; pamiętam, że na jego ogromną masę składało się głównie bogate złote i brązowe futro. Leżał cierpliwie w moim uścisku, to też pamiętam. Zoot był zawsze flegmatycznym zwierzęciem. To zadawało kłam jego egzotycznej powierzchowności. Nazwany Zut Alors przez młodego człowieka, który mi go podarował podczas mego ostatniego lata w Zaciszu, szybko zmienił swą nazwę na Zut a potem Zoot dzięki mojej babce, która twierdziła, że jego długie getry bardzo przypominają strój zoota. Patrzyliśmy wtedy na nią bezmyślnie, a ona potrząsnęła głową w udanej irytacji.

— Wy dzieci, nie macie o niczym pojęcia — powiedziała. I on pozostał Zootem. Bardziej to do niego pasowało. Nigdy nie był francuskim kotem.

— Myślałam, że już nie żyjesz — powiedziałam ocierając nos o jego futro. -- Tak się cieszę, że wciąż tu jesteś.

— Darcy — usłyszałam cichy głos i podniosłam głowę. Babunia Maude obudziła się i patrzyła na mnie. Robiła wrażenie przestraszonej. Jej ciemna twarz pobladła. Ale oczy były takie jak pamiętałam: ciemne, przejrzyste i błyszczące. A potem zobaczyłam w nich łzy.

— To ja — powiedziałam. — Halo, babuniu Maude. Nie chciałam cię obudzić.

Mój głos brzmiał głupio: wysoki i dziecinny.

— To naprawdę ty? — zapytała; cichy głos przybrał trochę na sile. Przetrwało w nim coś z łagodnego bogactwa Równin, coś, czego nigdy nie zatraciła.

— To naprawdę ja. Postanowiłam przyjechać samochodem, dotarłam tu dość wcześniej i nie pomyślałam, żeby zadzwonić. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłam.

Potrząsnęła głową jakby chcąc wyjaśnić i uśmiechnęła się. Coś z dawnej babuni Maude powróciło wraz z rumieńcem na jej twarzy.

— Śni mi się wielu zmarłych w ostatnich dniach, i czasem nie pamiętam, kto jest, a kogo nie ma na świecie — powiedziała. — I nie zawsze jestem pewna gdy-się zbudzę. Bałam się, że może widzę ducha.

— Ja też — rzekłam uśmiechając się niepewnie.

Wypuściłam Zoota z ramienia, a on popędził na jej kolana i zabrał się do czyszczenia swego tyłka. Przypomniałam sobie jak babunia określała zawsze tę jego pozę z nogą nad głową: gra na wiolonczeli.

— Tak się cieszę, że on żyje — powiedziałam.

— Ja się cieszę, że ty jesteś — rzekła i łzy zaczęły spływać po jej spękanych policzkach. Jęknęłam cicho z żalu, a ona potrząsnęła niecierpliwie siwą głową i osuszyła je.

— Nie zwracaj na to uwagi — powiedziała. — Starzy ludzie płaczą, tak jak inni czkają. Albo pierdzą. To jest zupełnie nieświadome i służy do uwolnienia napięcia. To wszystko. Ale to musi być strasznie nieatrakcyjne, gdy się na to patrzy... Och, moje dziecko. Jesteś nareszcie. I ciągle ta sama, choć trochę szczuplejsza. I obcięłaś włosy; podoba mi się to. Wyglądasz jak rudy elf.

Jej głos był taki jak moja krew pulsująca w żyłach. Ogrzewał mnie i uspokajał; pragnęłam tylko nieruchomego, zupełnego spokoju. Potrzebowałam kontroli i dystansu.

— Obcięli mi w szpitalu — wyjaśniłam. — Nie pozwalają mieć żadnych lokówek ani nożyczek, ani suszarek, ani niczego co potrzeba, żeby dbać o długie włosy. Kiedy jedna kobieta popełniła samobójstwo zabierając elektryczne lokówki pod prysznic, kazali wszystkim ściąć włosy, nawet facetom. Niektórzy mieli pstro w głowach i bardziej przez to cierpieli niż ja.

Patrzyła na mnie poważnie, lekko się uśmiechając, a ja czułam się tak samo jak wtedy, gdy jako dziecko próbowałam ją zgorszyć ale nie udało mi się.

— Więc masz samochód — powiedziała. — Cudownie. Nie będę zależna od Piotrusia, Sary czy kogoś z Willisów w związku z zakupami

i będziemy mogły robić dłuższe wyprawy. Sprzedałam duży samochód przed wielu laty, gdy moje ręce stały się już zbyt słabe, żeby prowadzić — artretyzm; to potwornie niezdolne.

— Nie sędzę, żeby ci się podobał ten samochód — rzekłam. — Należy do ponurego alkoholika i narkomana, jest cały zardzewiały i ma na zderzaku nalepkę, na której jest napisane GÓWNO SIĘ STANIE. Raczej będzie z powrotem napisane, jeśli uda mi się czymś wyczyścić.

Popatrzyła na mnie chwilę w milczeniu, a potem usta jej drgnęły i wybuchnęła śmiechem. Więc istniał wciąż, trochę wyblakły i cieńszy, ale istniał: dawny śmiech babuni Maude. Mimo woli uśmiechnęłam się także.

— Doskonale — powiedziała. — Zabierzemy wszystkie stare dAmy w Zaciszu na lunch. Mieliśmy tu już hasła: CHROŃMY WIELORYBY i DZIECKO NA POKŁADZIE, a zdaje mi się, że ktoś z młodych Conantów miał GRAJĄCY W RUGBY JEDZĄ SWOICH ZMARŁYCH ostatniego lata, ale o ile wiem nigdy nie było GÓWNO SIĘ STANIE. Chodź, kochanie, podaj mi rękę, zaprowadzę cię do twego pokoju, a potem chyba zadzwonię do Piotrusia i Sary, żeby podziękować za dzisiejszy wieczór i zrobię dla nas martini. Może po dwa. MAMy wystarczającą ilość krabów na obiad.

Pomogłam jej wstać z leżaka i wykrzywiłam się poczuwszy sztywność jej zdeformowanych rąk i sposób w jaki opierała się na mnie swym pochylonym ciałem. Była tak lekka jak dziecko, a ja pamiętałam jej prosty kręgosłup i szybkie kroki. Teraz trzymała się mnie kurczowo, utykała, a jej oddech był ciężki i sapała chwytając go z trudem.

— Babuniu, czy dobrze się czujesz?

— Doskonale — powiedziała z wysiłkiem. — To tylko brzmi tak przerażająco. Myślę, że to niskie ciśnienie albo coś nie w porządku z krążeniem. A przede wszystkim wiek. Umieściłam cię na górze w moim dawnym pokoju; przepraszam, że cię przeniosłam, ale nie mogę już chodzić po schodach. Czy to nie szkodzi?

— Oczywiście. Nigdy nie mogłam zrozumieć dlaczego przez te wszystkie lata dawałaś mi zawsze ten wielki pokój na dole. Dziecko w najlepszej sypialni... Wiem, że to była sypialnia twoja i dziadka.

— To właśnie dlatego — powiedziała łagodnie. — Nie mogłam już tam później sypiać. Ale w tym roku stwierdziłam, że jest doskonale. Powinnam była już dawno tu się przenieść.

Tego wieczora moja babka i ja upiliśmy się. Wzięłam kąpiel w starej wannie na lwich łapach i włożyłam czyste jeansy i sweter, a gdy zesłam do kuchni, była już tam w jasnym bawełnianym hinduskim kaftanie, usta miała lekko umalowane i dokoła siebie chmurę zapachu Caleche; przygotowywała martini w dzbanie. Na starym drewnianym stole zajmującym zawsze dokładnie środek kuchni stała misa z krabami i sałatką majonezową. Zabrałyśmy dzban na werandę i siedziałyśmy pijąc i patrząc na słońce zachodzące za Camden Hills. Wszystko co zaszło przed dwunastu laty i wcześniej leżało między nami — zbyt wiele. Wiedziałam, że nie będziemy o tym mówić, nie tego wieczora. I nie mówiłyśmy. Wypiłyśmy jednego

drinka, potem drugiego, a potem nalałam nam po jeszcze jednym. Spokój otoczył mnie jak szklana kopuła. Mówiliśmy trochę o mojej podróży z Atlanty i kto był tego lata w Zaciszu, ale przede wszystkim patrzyliśmy na nieśmiertelny lazur zatoki i pomarańczowe słońce. I piłyśmy. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek moja babka wypita więcej niż dwa kieliszki. Spokój pogłębiał się i gestniał.

Potem usiadłyśmy przy stole w świetle dwóch świec w starych fajansowych lichtarzach i patrzyłyśmy na siebie. Rumieńce wystąpiły jej na policzki, oczy błyszczały. Moja twarz paliła mnie.

— Nie pamiętam kiedy tak dużo wypita — powiedziała. — To jest cudowne. Nie wiem dlaczego częściej tego nie robię. Ale dowiem się na pewno rano.

— Wyglądasz o dwadzieścia lat młodziej niż w chwili kiedy cię zobaczyłam dziś po południu — rzekłam. Ten spokój był głęboki i cudowny. Czułam, że mogłabym jej wszystko powiedzieć.

— Ty także — odparła.

— Nie piłam nic odkąd stąd wyjechałam — pochwaliłam się. — Dwanaście lat suchych jak kość. Ostatnio moim nałogiem były środki uspokajające. Tyle przepuściłam. Czuję się lepiej niż przez całe lata. Trunek, to jest rozwiązanie. Wiesz, co najbardziej pamiętam z tego miejsca? Tę... tę pewność spokoju. Mam nadzieję, że to nie jest tylko wpływ alkoholu.

— Nie całkowicie — powiedziała babunia Maude. — To jest to, co Zacisz daje najlepszemu. Ciesz się, że to czujesz. Miałam nadzieję, że będziesz to czuła.

— Mój psycholog mówił, że to niedobrze zanadto polegać na miejscach lub ludziach. Mam się uczyć polegania wyłącznie na samej sobie, na własnych siłach. Czy to nie śmieszne? Ale wiem o co mu chodzi. Miejsca się zmieniają albo się je traci. Ludzie odchodzą albo umierają.

Nie patrzyłam na nią. Ona niedługo umrze, pomyślałam. Milczała przez długą chwilę, rozgrzebując widelcem sałatkę z krabów, a potem zapytała:

— Czy to było bardzo straszne, ten lęk? Nigdy nie mogłam dobrze zrozumieć na czym polegają zaburzenia lękowe. Ale czasem myślę, że jest dużo, bardzo dużo rzeczy gorszych niż lęk.

Gniew wybuchnął we mnie pod alkoholowym spokojem. Nic nie wiedziała.

— To było straszne — powiedziałam. — To jest straszne. To nie ma nic wspólnego ze zwykłym strachem, nawet z przerażeniem. To jest jak... wyobraź sobie, że wiesz, że zaraz umrzesz w sposób przerażający, okropny, i powiększasz to tysiąc razy i pozwalasz temu uczuciu sączyć się przez miesiące i lata. Coś, od czego chcesz krzyczeć. Czasem to robisz: krzyczysz i krzyczysz, i krzyczysz...

— Kiedy to się zaczęło?

Jej głos był spokojny, ale znów miała łzy w oczach. Odczułam na ich widok perwersyjne zadowolenie.

— Nie jestem pewna. Stopniowo. Czasem myślę, że to było wtedy, gdy skończyłam szkołę, przyjechałam do domu i nie było tam tatusia. To znaczy wiedziałam, że pojechał do Nevady; rozmawialiśmy o tym i zdecydowaliśmy, że zatrzymam mieszkanie, ponieważ i tak będzie mi potrzebne. Ale myśleliśmy, że może do czasu ukończenia przeze mnie szkoły mama wróci ze szpitala, ale oczywiście nie wróciła. Nie było w ogóle nikogo. Nie wiem dlaczego było tak źle, czy po prostu inaczej, że byłam tam sama. Tatuś często wyjeżdżał gdy dorastałam. Mniej więcej od szesnastego roku życia nikt ze mną nie zostawał. Byłam przyzwyczajona do dbania o niego i o siebie. O nią także, początkowo. Ale to było co innego; zaczęłam się bać; serce zaczynało mi szybko bić i czułam się tak jakby coś strasznego miało się stać. Nie mogłam zachować spokoju. Wychodziłam więc i stukałam do różnych drzwi. Przyjęłam pierwszą pracę jaką mi zaproponowano, w agencji reklamowej, jako portierka. Postarałam się o mniejsze mieszkanie i o współlokatorkę. Pracowałam bez wytchnienia, dzień i noc przez następne sześć lat, a potem pracowałam w regionalnym czasopiśmie i to też szło mi bardzo dobrze; przez długi czas zupełnie nie myślałam o lęku. Wracał czasem, gdy byłam sama i nie zajęta, na przykład podczas długich weekendów.

A potem spotkałam Hanka, on był taki doskonały — stara rodzina z Atlanty, pieniądze, urok, inteligencja, widoki na przyszłość: całe dziewięć jardów miał stary Henry Chiles Taliaferro — zaręczyliśmy się i myśleliśmy, że się pobierzemy w czerwcu. To było w styczniu, gdy miałam dwadzieścia siedem lat... no i miałam pierwszy wielki atak lęku tego wieczora, gdy jego rodzice zawiadomili o naszych zaręczynach wszystkich swoich krewnych. Zamiast do Piedmont Driving Club pojechałam na oddział nagłych wypadków w Piedmont Hospital. Stwierdzili, że to z przemęczenia i niedotlenienia; powiedzieliśmy wszystkim, że to było zatrucie pokarmowe, ale zaczęło się to zdarzać coraz częściej i częściej, ataki były coraz gorsze i gorsze aż wreszcie sama widziałam, że potrzebna mi jest jakaś pomoc albo po prostu... umrę. W tym czasie bałam się wychodzić z mieszkania, bałam się zostać sama nawet przez pięć minut. Moja współlokatorka wyprowadziła się i straciłam pracę. Hank powiedział, że nie może poświęcić więcej czasu na pilnowanie mnie jak dziecka, więc sama zgłosiłam się do szpitala w Peachwood. Zapłaciłam rachunek za pierwszy miesiąc i potem poleciłam im, żeby się skontaktowali z tatusiem w Las Vegas. Nie miałam od niego wiadomości od prawie trzech miesięcy; wiem, że musiałś zapłacić za wszystko. Nawiasem mówiąc uważa się, że to jest bardzo dobry szpital. Matka Hanka sama go wynalazła i przyjechała, gdy on mnie tam odwoził. Nie widziałam żadnego z nich od tamtego wieczora.

Siedziałyśmy w ciszy, w migotliwym blasku świec. Był tylko spokój wokół nas i coś jakby ciche westchnienie, jak lekki poszept. Słuchałam tego z zadowoleniem.

— Czy on był jakiś nadzwyczajny, ten Hank? — zapytała teraz babunia Maude.

— Niestety, nie mogę sobie nawet przypomnieć jak wyglądał — odrzekłam.

Zaczęłyśmy obie chichotać.

— Za to pamiętam, jak wyglądała jego matka. W.C. Fields. Nie była zachwycona perspektywą chorej psychicznie synowej. Spróbuj powiedzieć takiej pani o urazach z dzieciństwa, o opóźnionej reakcji, o tłumionym gniewie i o całym tym jazzie. Na Boga, ona wiedziała, że to było rodzinne. Myślę, że stary Hank powiedział jej o nastrojach pradiadka i dziadka, i o potężnych nastrojach mAmy, jeszcze nim zatrzymał samochód tego wieczora, gdy mnie zamknęli. Następnego roku ożenił się z Luxanne Ormsby, czytałam o tym w kronice towarzyskiej. Nic nie dociera do tej rodziny poza republikanizmem i pieniędzmi i może, dawno, jakąś małą glistą.

— Myślisz, że ten... cokolwiek to jest, lęk... ma związek z krwią Chamblissów?

— Kto wie? — powiedziałam. — Nawet mój psycholog nie wie. Pewnie jak diabli, że to nie mogło pomóc.

— No cóż — powiedziała babunia Maude — masz tyle samo krwi Gascoigne'ów w sobie co i Chamblissów, i powiem ci, że nie ma silniejszej krwi na wschodnim wybrzeżu niż ta pierwsza. Może ekscentryczna, ale wielu z nas jest beznadziejnie zdrowych i skazanych na to, że takimi pozostaną. Nastaw się więc na ten uśmiech losu.

Wypiłam wino i nalałam znowu. Czułam jego nasycony aromat na języku: cudowne lekarstwo. Zdawało się, że babcia Maude ma niekończący się zapas. Postanowiłam, że przez całe trzy miesiące pobytu w Zaciszu będę stale trochę pijana.

— Opowiedz mi o Mike'u — powiedziałam, gotowa teraz do wysłuchania wszystkiego.

— No, Mike. Poczekaj. Jest bardzo dobrym architektem w... to chyba jest Portland, a może Portsmouth, nie mogę nigdy zapamiętać. Zdobywa nagrody i jego projekty są w czasopismach. Był przez krótki czas żonaty, dawno temu, zaraz po ukończeniu Instytutu Technologicznego Stanu Massachusetts. Rozeszli się chyba po roku, nie było dzieci. Zdaje mi się, że ona była bardzo bogata, a on nie, i któremuś z nich to bardzo przeszkadzało, no i jedno doprowadziło do drugiego... Nieczęsto przyjeżdża teraz do domu, ale gdy przyjedzie, przychodzi mnie odwiedzić i całymmi godzinami mówi i mówi, tak jak dawniej. Jest znacznie bardziej pociągający jako mężczyzna niż był jako chłopiec, ale tak naprawdę to bardzo się nie zmienił. Szalenie go lubię. Nigdy nie skończył z tobą. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek skończył. Nie musisz się jednak martwić; wątpię, żeby planował przyjazd tutaj tego lata.

Milczałam. Przez chwilę Mike Willis stał przy mnie w migotliwym powietrzu, ciemny, mocno zbudowany, z błyszczącymi, niezwykłymi niebieskimi oczami i gęstym lokiem prostych czarnych włosów zwisającym nad lewą brwią. Widziałam ciemne pęgi rozrzucone na grzbiecie jego nosa i szparę między przednimi zębami.

— Kiedy umarła jego babka? — zapytałam. — Zdałam sobie dziś sprawę, że nigdy nie wiedziałam.

— Tina umarła w lecie, w rok po twoim dziadku — odpowiedziała miękko babunia Maude. — To był rak jelit; musiała być już chora poprzedniego lata, ale nie wiedzieli o tym, czy może ja nie wiedziałam... nie przyjechałam do Zacisza pierwszego lata bez Piotra; to było jedyne lato odkąd byliśmy małżeństwem, kiedy nie przyjechałam, ale... nie przyjechałam i dlatego nie było mnie tutaj, gdy umarła. Micah zadzwonił do mnie do Charlestonu. Myślę, że to nastąpiło bardzo szybko. Niewielu rzeczy w moim życiu żałowałam tak bardzo jak tego, że nie było mnie tutaj, gdy Tina umarła.

— Widziałam dziś twojego boyfrienda — powiedziałam, uśmiechając się do niej szeroko, wino szumiało mi w uszach.

Uśmiechnęła się pytająco.

— Twojego starego przyjaciela Micaha Willisa. Zatrzymałam się na chwilę na cmentarzu i on tam był. Przykro mi z powodu jego paraliżu; musi to bardzo ciężko przeżywać. Bardzo się posunął, prawda? Ale pozostało w nim ciągle coś z dawnego Micaha.

Była spokojna, spojrzałam na nią przez stół i zobaczyłam coś w jej twarzy, czego nie było przedtem.

— On był twoim przyjacielem, prawda? Na Boga, babuniu Maude, dokuczam ci, ale on był... był kimś dla ciebie, prawda?

Dobry Boże, pomyślałam jakąś częścią mego umysłu, co ty mówisz? Nie możesz mówić takich rzeczy do babci Maude. Ale ona uśmiechnęła się do mnie.

— Tak — odpowiedziała. — On był kimś ważnym dla mnie. Jest kimś ważnym. Ale nie boyfriendem. Nie... kochankiem. Tylko twój dziadek nim był... zawsze.

— Ale kochałaś go... Micaha.

— Był mi potrzebny.

— To to samo.

— Nie. Ale w jakiś sposób, bardzo prawdziwy, kochałam go także, choć nie w taki sposób o jakim myślisz.

— Chcesz powiedzieć, że nigdy nie... miałaś z nim romansu? Och, dlaczego babciu? Zawsze byliście razem, wy dwoje; prawie nie pamiętam dnia bez Micaha. To mogłoby być czymś bardzo dla ciebie i dla niego dobrym, po tych wszystkich latach kiedy byłaś sama, a potem on był... Czy to dlatego, że on był stąd?

Uśmiechnęła się.

— Nigdy z tego powodu. To było... myślę, że to było z powodu Piotra — twojego dziadka — i Tiny.

— Ale oni nie żyli.

— O, nie.

— Chcesz powiedzieć, że ty i Micah czuliście, że musicie być wierni ich pamięci?

— Możesz to tak ująć. Boże miłosierny, cóż za rozmowę prowadzę

z moją wnuczką. To nie jest właściwe — powiedziała i zrozumiałam, że już dziś nie będzie więcej mówiła o Micahu Willisie. Trudno, przyjdzie na to czas. Biały spokój wirował i poszeptywał bez końca.

— Nie dostrzegam nic z mojej matki w tym domu — rzekłam rozglądając się po starym, mrocznym pokoju. Ciepłe przydymione złoto ścian nie zmieniło się od czasów mojego dzieciństwa. Wszędzie było pełno amuletów rodzinnych, które znałam. Ale po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że nie widzę tu mojej matki.

— Ja widzę bardzo dużo z niej — powiedziała babunia Maude — ale nie z kobiety, która została twoją matką. Tylko z małej dziewczynki, która była moją córką. Pełno tu jej wszędzie. Twoja matka nigdy tu nie była po twoim urodzeniu.

— Czy z powodu niechęci dziadka do mojego ojca? — zapytałam.

— Myślę, że tak — odparła. — Z tego i z innych powodów.

— Oczekują po mnie, że będę odczuwać wobec nich terapeutyczny gniew — powiedziałam pogodnie — ale nie wydaje mi się, żebym coś takiego odczuwała. Nigdy nie czułam.

— Jakże byś mogła? — powiedziała babcia Maude. — To byłoby coś takiego jak rozgniewać się na parę abstrakcyjnych idei. Nie możesz czuć gniewu wobec swojej matki, gdyż ona nigdy nie była dla ciebie matką. Właściwie nigdy niczym dla ciebie nie była; ucieczki, picie i obłąd zaczęły się zanim byłaś dostatecznie duża, by to pamiętać. Przez większą część twego życia była w szpitalach, a kiedy nie była, ty byłeś bardziej matką dla niej niż ona dla ciebie. A w ostatnim szpitalu jest od... poczekał... od siedniu lat? Ośmiu? Nie wydaje mi się, by teraz wyszła. Już nie uda jej się wyleczyć. A twój ojciec... dobry Boże, czym on był dla ciebie? Ciągłe w rozjazdach po kraju, od jednej pracy do drugiej, przeważnie bez grosza, rzadko w domu, ty w tych okropnych internatach, które dla ciebie wynajdywał; nigdy nie pozwalał ci do mnie przyjeżdżać z wyjątkiem pobytów tutaj w lecie... Jeśli przez kilka miesięcy byliście razem w domu, zajmowałaś się nim jak mała żona. Możesz czuć gniew na myśl o tym czym oni byli dla ciebie, lub czym nie byli, ale nie wobec nich jako rodziców, gdyż nigdy nimi nie byli. Nic dziwnego, że nic nie możesz czuć.

Przestała mówić, oddychała ciężko, lekko pokaszując i wypijała wino. Przyglądałam się jej. Nigdy nie słyszałam jej mówiącej tak o swej córce ani o człowieku, którego ona poślubiła. Wiedziałam tylko, że płaciła za mnie rachunki gdziekolwiek byłam, jeszcze zanim ją opuściłam tamtego lata jak i potem, i że przez większą część siedemnastu lat mego życia była jego podporą i gwiazdą przewodnią. Nigdy się nie zastanawiałam nad jej odczuciami wobec Happy Chambliss O'Ryan, choć podjerkowałam co myślała o moim ojcu.

— Zdaje mi się, że obie jesteśmy pijane — powiedziałam. — I możesz mieć rację co do tego wszystkiego. Ale jakoś wydaje mi się, że to bardzo ważne, żebym czuła gniew. Mój psycholog powiedział, że naprawdę muszę, w przeciwnym razie nigdy nie będzie ze mną dobrze.

Wydała pełna odrazy westchnienie.

— Co on może o tobie wiedzieć, ten psycholog? Dajmy im spokój. To jest coś, co starzy zawsze chcą powiedzieć młodym i rzadko im się to udaje; jedna z niewielu prawd, których się uczymy w życiu. Więc... zostawmy ich. Nie możesz mieć ich z powrotem jako rodziców; oni odeszli od ciebie. Niech idą. Zachowaj swój wspaniały gniew dla czegoś, co będzie jego warte.

— To znaczy czego, babuniu Maude? Co jest warte mego gniewu?

— Dowiesz się — odparła — gdy przyjdzie czas. Nie martw się. Dowiesz się. I to będzie piękny gniew, taki, który wstrząśnie światem. To nic nie znaczy, że go nie odczuwasz, z wyjątkiem tego, że nie ma nic, co by na niego zasługiwało.

— Mój psycholog mówi, że powinnam czuć gniew także wobec ciebie.

— Zdawało mi się, że go czułaś przez te wszystkie lata.

— Nie — powiedziałam cicho. — Nie gniew. Chyba bałam się o tobie myśleć; na pewno bałam się pozostawać z tobą w kontakcie. Bałam się, że pobiegnę z powrotem do ciebie i tu skończę. I teraz tu przybiegłam. Dobry Boże, babciu Maude, jak mogłam pozwolić, żeby przeleciało dwadzieścia dziewięć lat?

— Kochanie, naprawdę myślę, że nie masz żadnego wyboru, jeśli pragniesz życia.

Spojrzałam w ciemność rozpościerającą się poza kręgiem światła topniejących świec.

— Nie widzę nic przed sobą — szepnęłam. — Nie widzę, co będzie dalej. Tylko biel, jak w zepsutym telewizorze: śnieg. Nie mogę zobaczyć.

— Ale czy musisz? — zapytała wyciągając rękę, by dotknąć mojej dłoni. — Dlaczego przez chwilę nie odpocząć? Właśnie po to jest Zacisz, dokładnie po to.

— Muszę wiedzieć.

— Nikt nie wie, kochanie. To jeszcze jedna z prawd, które poznałam. Nikt nie wie, co jest przed nim.

— Jak ludzie mogą to znieść?

— Nie zakładając nic z góry — odparła gwałtownie. — Mając odwagę przyjąć cokolwiek, wszystko. A potem... zostawiając to. T.S. Elliot wyraził to najlepiej: „Naucz nas troszczyć się i nie troszczyć. Naucz nas milczeć”.

Później, gdy odprowadziłam ją do wielkiej sypialni, gdy widziałam jak uśmiecha się do mnie i zamyka drzwi, wróciłam i położyłam się na sofie przed zamierającym ogniem. Wiedziałam, że powinnam wstać i iść na górę do łóżka, ale kręciło mi się w głowie i ogień kominka działał na mnie hipnotycznie, bałam się, że gdy pójdę, zgubię gdzieś kruchą osłonę białego spokoju. Przykryłam się starym kocem znad Zatoki Hudsona, który zawsze leżał na oparciu sofy i leżałam w ciemności rozświetlanej tylko drgającym ogniem. Czułam się samotna na całej planecie, ale jakby zamknięta w kokonie ciepła i beczasowości, nie pozostająca w żadnym miejscu.

— Pozwalam wam odejść — powiedziałam do mojej matki i ojca w ciemność. — Naprawdę.

Trochę później przyszedł na miękkich łapach Zoot, lekko wskoczył na sofę i zwinął się przy moim boku, a ja dopłynęłam przy ogniu szepczącym z jednej strony i lekkim spokojnym oddechu Zoota z drugiej.

— Pozwalam wam odejść — wyszeptałam i zasnęłam.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Następnego ranka te dwa złośliwe duchy odeszły. Byłam tego pewna, bo bębny lęku, który rozsadzał moją krew w ciągu dwóch ostatnich lat, ucichły także. Nie zostały jedynie przytłumione, w stanie zawieszenia, lecz odeszły. Siedziałam na krawędzi sofy, w zimnym pokoju, patrząc na wygasłe popioły w kominku i wciągałam głęboko oddech. Potem skoczyłam na nogi, pobiegłam na werandę, wystawiłam głowę za oszklone drzwi i wciągnęłam do płuc słono-słodkie, ostre świerkowe powietrze aż poczułam jak radość rozsadza moje serce. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że od wielu, wielu miesięcy nie miałam odwagi wciągnąć głębiej powietrza. Mogłabym płakać, krzyczeć, ulatywać nad ziemię z radości. Jak brak lęku smakuje nie da się powiedzieć komuś, kto go nie odczuwał przez długi czas. Jak smakuje temu, kto był pewien, że nie zazna już nigdy wolności od strachu.

Zatoka i niebo jaśniały satynowym błękitem wczesnego świtu, a woda była spokojna jak lustro, zamglona tam, gdzie obmywała Islesboro i wyspę Sarenki. Nie widziałam jednak całej drogi do North Haven i pomyślałam, że później nadejdzie jakaś zła pogoda. Chyba nie przed zmierzchem; będzie więc można cały ten cudowny dzień poświęcić na obejście letniska: pójście nad wodę, do jachtklubu, w gąszcz brzoź, wspiąć się na krawędzie urwisk — wszędzie, gdzie biegałam jako dziecko. Poczuć jeszcze raz smak tego wszystkiego, poczuć jeszcze raz jego błogosławieństwo. Rzuciłabym okiem na niektóre domy i zobaczyłabym kto w nich jest; powiedziałabym „halo” ludziom, których dawniej znałam...

Lecz lęk smagnął mnie jak uderzenie fali. Zatoczyłam się dosłownie pod tym uderzeniem i usiadłam na bujaku walcząc o oddech, który dopiero przed chwilą mnie wypełniał. Położyłam głowę na kolanach i bujałam się próbując to przeczekać. Przeczekać. Chyba nigdy nie byłam tak beznadziejnie pewna — nawet w szpitalu — że przede mną jest tylko śmierć.

Istnieje rozpowszechniony pogląd, że samobójstwo jest aktem największego tchórzostwa. Nawet impuls w tym kierunku, mówią niektórzy, oznacza szczególnie brak charakteru, moralnego kośćca, zwyczajnego oleju w głowie. Dzielni ludzie tego nie robią. Wzbudzało to nasz śmiech

w szpitalu. Najdzielniejszych ludzi jakich znałam, poznałam właśnie tam: tych którzy przetrwali następny dzień nie kończąc swego życia. Nie myślcie, że nie można pozbawić się życia w szpitalu psychiatrycznym. Jest parę sposobów i jeśli przebywa się tam przez kilka miesięcy, można się z nimi dokładnie zapoznać. Łatwiej jednak pozostać tam przy życiu. Jest się otoczonym ludźmi, którzy trwają z tobą. Na zewnątrz... na zewnątrz jest niebezpiecznie. Siedziałam na oszklonej werandzie Liberty w ten spokojny poranek i czułam poważne zagrożenie życia.

A potem straszliwy lęk zaczął odpływać i szybko cofnął się do znajomego, szpitalnego poziomu: jeszcze wrzący, lecz oddalony. Jeśli wezmę pugiłkę Xanaxu, jeśli będę się poruszać powoli i nie będę głęboko oddychać, przetrwam ten dzień. Ale tylko wtedy, gdy ktoś przy mnie będzie.

Prawie nie sposób opisać, jak straszny jest lęk przed lękiem: gorszy nawet niż on sam. To jego zwiastun, migocący wokół jak aura migreny zanim się ona sama zacznie; każe ci szukać towarzystwa, za wszelką cenę nie pozostać samą. Gdy jesteś w towarzystwie ludzi, coś w rodzaju przegrody oddziela cię od lęku. Musiałby przejść przez nich, żeby ciebie osiągnąć. Przed szpitalem spędzałam całe dnie na promenadzie, albo depeząc po piętach zdesperowanemu Hankowi na weekendach, na wycieczkach, gdy grał w golfa czy tenisa. Raz nawet zaprosiłam kobietę — świadka Jehowy — do mieszkania i udawałam zafascynowanie; została przez wiele godzin i później wielokrotnie wracała; byłam w takim stanie, że nie posiadałam się z radości na jej widok. Musiała się zastanawiać jaki popełniła błąd, gdy pewnego dnia zapukała i stwierdziła, że mnie nie ma. W tamtych dniach wpuściłabym każdego, kupiłabym wszystko.

Teraz podniosłam się z fotela i pobiegłam obudzić babunię Maude. Mój psycholog mówił, że to może powrócić; no więc jest lecz przetrwam to, ale musi ktoś być ze mną. Tak były rozdane zresztą karty: ja to będę przeżywać w Zaciszu, a babunia Maude będzie mi towarzyszyć.

Zanim dobiegłam do drzwi, usłyszałam, że kaszle, wiedziałam więc, że już nie śpi, ale gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że przypięła kartkę do zamkniętych drzwi: „*Kochanie — czytałam — zostanę przez dzisiejszy dzień w łóżku. To cena grzechu. Czy dasz sobie radę? Zobaczymy się przy kolacji*”. Podpisałam się: „DCO”, ubrałam się i zmusiłam do wyjścia.

Postanowiłam, że pójdę na kamienistą plażę przed Małym Domkiem, gdzie przebywali w lecie moja ciotka i wuj. Babka mówiła, że mieli pojechać tego ranka do Bar Harbor; to znaczy na cały dzień. A moich starszych kuzynów nie było tego lata w Zaciszu. Chyba nie często przyjeżdżali; dziewczęta, które wyszły za mąż poza letniskiem, przeważnie nie przyjeżdżały. Będę pewnie miała choć część plaży dla siebie. Mogłam stamtąd widzieć ludzi i znaleźć w ten sposób schronienie, jeśli będę musiała, ale jeśli nie będzie bardzo źle, będę mogła się od nich odizolować. To nie był odpowiedni ranek, by spotykać mieszkańców letniska.

Usiadłam na górnym schodku Małego Domku i patrzyłam na brązowe dzieci bawiące się w płytkiej wodzie. Podobnie jak dzieci za moich tutaj

czasów wszystkie były jakoś do siebie podobne: mocno zbudowane, jasnowłose, już miały długie twarze i zdecydowane podbródki. Ubrane były w spłowiełe niemodne kostiumy kąpielowe a na nich podkoszulki z napisem „Yaycamp” chroniące od promieni słońca. Niemal widziałam wśród nich moją matkę i mego wuja Piotrusia, mojego starszego brata, legendarnego Seana. A nawet małego Mike'a Willisa i siebie samą. Gdy pierwszy raz przyjechałam do Zacisza, zgodnie z tym, co mówi babunia Maude, śmiałam się, byłam nieustraszona i towarzyska, byłam ulubienicą całej kolonii. To było w czasie, do którego nie sięga moja pamięć, zanim zniknięcia mojej matki stały się zbyt częste i zbyt długotrwałe. Zanim krzyki i policzki, łzy i wybuchy wściekłości zaczęły się powtarzać, gdy była w domu. Zanim mój ojciec zaczął wyjeżdżać do innych miast, a potem do innych stanów „na wywiady” i nie wracał. Zanim zmieniające się ordynarne, irlandzkie „towarzystki” dla mnie zaczęły przepływać strumieniami. Zanim nadszedł czas, gdy klasztorny internat o zielonych ścianach i podłodze wyłożonej linoleum zaczął mnie uczyć poczucia winy, odrazy do siebie i cierpliwości. Naprawdę bardzo dawno temu.

Moje własne dziecko byłoby tu teraz, gdybym je miała — pomyślałam i zdałam sobie sprawę, że bez względu na to jak gorzko zniechędziłam to miejsce, jednak gdybym tylko mogła, podarowałabym dziecku Zacisze letnich miesięcy. Ciągłe był tu, mimo wszystko, jakiś walor beczasowości i trwania, na tej plaży. To byłby bardzo cenny amulet dla dziecka.

Dlaczego więc zawiódł mnie? Czy może ja zawiódłam?

Małeńkie dziecko, mniejsze niż pozostałe, szło jak cień za większymi od siebie dziećmi, które wyskoczyły na plażę za opiekującym się nimi znudzonym podlotkiem. Przynajmniej to się zmieniło; za moich dni były to nianie lub zaślepione babcie. Przy mnie przeważnie była babunia Maude. Starsze dzieci odwróciły się i śmiały z małej, a ona usiadła na kAmykach i rzewnie płakała dopóki zniecierpliwiona dziewczynka nie wróciła i nie zabrała jej, besztając. Piekące łzy pod moimi powiekami zdziwiły mnie.

To ja, pomyślałam.

I to była m rzeczywistość ja: przynajmniej taką jako dziecko siebie pamiętam. W tym czasie nie byłam popularnym dzieckiem w Zaciszu. Nie takim, jak małe latorośle, które spędzały wakacje w Zaciszu od pokoleń. Och, miałam z jednej strony bostońskich Chamblissów, ale wystarczyło spojrzeć na moje ogniste włosy lub posłuchać mego ochrypniętego głosu, by wiedzieć, co było z drugiej strony. A dzieci wiedziały o tym i w przeciwieństwie do starszych nie ociągały się z robieniem mi z tego zarzutów. Ponad moją małą głowę unosił się mętny cień mojej szalonej matki, Happy, i ciężka irlandzka obecność mego ojca Tommy'ego. Był też wciąż obecny blady duch zmarłego dziecka mego wuja Piotrusia, gdyż mieszkańcy Zacisza ciągle jeszcze o nim po tylu latach wypominali, a ich dzieci skwapliwie mi o tym donosiły. Ciężar tych wszystkich widm, był zbyt wielki dla mnie. Wesoła z natury, stałam się gwałtowna i agresywna.

Wdawałam się w bójki, podbijałam arystokratyczne, błękitne oczy i rozkrwawiałam arystokratyczne, małe noski, gdy dzieci nazywały mnie córką tłustej małpy lub wytykały, że moja matka sypiała z kimkolwiek bądź i spędzała połowę życia w domu wariatów, a ubiegłej zimy próbowała popełnić samobójstwo przecinając sobie żyły na rękach nożyczkami do paznokci.

Kłępałam także, z biegiem czasu, której dorównać mogłaby tylko moja matka, od której się tego nauczyłam i byłam przez długi czas besztana, gdy po prostu znikaliśmy w lasach albo wykradałam się w łódce moich starszych kuzynów i przez całe godziny nie można było mnie znaleźć. Dzikość i odludność przylądka Rosier były najwcześniejszymi i najlepszymi jego dla mnie darami; wchodziłam w nie jak dzikie stworzenie i pozostawałam w nich pogrążona dopóki mnie ktoś nie odnalazł. Przeważnie była to babunia Maude.

Byłam urodzonym narwańcem; gdy miałam sześć lat pływałam jak ryba i uczyłam się żeglować, jak miejscowe dzieci, pod kuratelą starego Micaha Willisa i nie było na letniku drzewa, ani dachu, skały czy urwiska, na które bym się nie wspinała. Lekceważyłam stare dAmy, które były dla mnie słodkie jak syrop i starych jowialnych, czarujących dżentelmenów; nie omijałam przyjęć lub chodziłam na otwarte tańce w jachtklubie. Nosiłam tylko blue jeansy. Byłam jedynym dzieckiem na letniku, które nie znosiło Yaycampu. Dzieci uważały, że jestem dziwna, niedziewczęca i pospolita, a dorośli myśleli tak samo. Po pewnym czasie zdecydowano, że moje maniery, mimo wysiłków mojej babki, nie były czymś co chciano, żeby ich potomstwo naśladowało. Gdyby nie babunia Maude, która zdawała się nie zauważać, że coś było ze mną nie w porządku i nie słyszeć tego co o mnie mówiono, i gdyby nie Mikę Willis, spędzałabym czas w zupełnej samotności.

Ale była tam babunia Maude. I był Mikę.

Mówiono mi, że gdy pierwszy raz przyjechałam do Zacisza, bawiłam się z nim przez całe lato; i że nawet choć on miał prawie cztery lata a ja niecałe półtora roku, byliśmy nierozłączni. Nie pamiętam oczywiście tego lata w Zaciszu. Ale pamiętam następne — lub przynajmniej jedno zdarzenie z następnych lat.

Mając cztery i pół roku dziecko pamięta rzeczy, które znaczą w jego życiu. Ja zapamiętałam Mike'a Willisa. Myślę, że to musiało być pierwszego dnia, gdy przyszedł do Liberty ze swoją matką, Beth, która opiekowała się mną poprzednio i, którą babka przekonała, by znów się mną zajęła. Tak jak tamtego lata, jej syn, Mikę, przyszedł razem z nią. Zawsze go raczej chroniła. Stanowczo był za mały by pomagać w rodzinnym warsztacie szkutniczym, a nie było nikogo z kim można byłoby go zostawić. Przyrowadzanie go do Liberty nie stanowiło żadnego problemu; babunia Maude zawsze kochała Mike'a. Ciagle mi opowiadała jak tego ranka, gdy on i Beth weszli do kuchni, ja spojrzałam na nich znad talerza z kaszą, uśmiechnęłam się szeroko jakbym ich widziała poprzedniego dnia i zapytałam: „Gdzie byliście?”

Nie pamiętam tego. Ale pamiętam coś innego. Pamiętam z tego dnia coś, co mnie intryguje; nie mogłam sobie przecież tego wymyślić. Pod koniec, gdy babunia Maude czytała nam „Księgę dżungli”, a jego matka zawołała do niego, że czas do domu, zapytałam:

- Dlaczego idziesz do domu z tą panią?
- Muszę. Ona jest moją matką — odpowiedział.
- Nie, wcale nie — powiedziałam, zmartwiona i zaniepokojona.
- No, ależ jest. Kim mogłaby być? — zapytał Mike.
- Nie wiem. Ale jeśli jest twoją matką, to gdzie ona idzie?
- O co ci chodzi?
- No wiesz, idzie. Matki odchodzą. Gdzie twoja chodzi?
- Ona nigdzie nie chodzi — odparł Mike, rzucając groźne spojrzenie.
- Przychodzi tu i idzie do domu, i ja idę z nią.
- No dobrze, a gdzie chodzi twój tata?
- Co się z tobą dzieje? Chodzi do warsztatu a potem wraca do domu
- powiedział.

Zaczęłam płakać.

— Kłamiesz — łkałam. — Kłamiesz. Oni odchodzą!

Moja babka podniosła mnie w ramionach i poprzez łzy zobaczyłam jak Beth Willis pochyła się i szepcze coś do Mike'a, a on podszedł do mnie i położył mi nieśmiało rękę na ramieniu.

— Ja nie odejdę i nie zostawię cię tego lata — powiedział burkliwie.

— Będę przychodził codziennie, jeśli chcesz.

— Nie chcę — łkałam. — Nienawidzę cię i nie chcę, żebyś tu więcej przychodził.

Ale chciałam, żeby przyszedł. I przychodził przez większość dni tego lata i w ciągu innych lat, które nadeszły później. Od samego początku Mike Willis był ze mną. Skazał się nawet razem ze mną na banicję. Nigdy się nie dowiedziałam czy go to dużo kosztowało.

Z początku, jak go pamiętam, nie był wygnańcem. Był mocnym, pogodnym, małym chłopcem o miłym usposobieniu, o szerokim, ukazującym szparę pomiędzy zębami uśmiechu i kruczoczarnych włosach jak u jego ojca i dziadka. Nie przechwalał się ani nie starał się imponować, ale było w nim coś, co przyciągało oczy i nakazywało uwagę. Myślę, że to była jego wrodzona wiara w siebie. Mike mógł zrobić wszystko własnymi rękami, zajmować się każdym sportem, pływać i żeglować szybciej niż starsi chłopcy, nie poddawać się w żadnej bójce. Nawet choć pochodził stąd — a to jeszcze miało wtedy znaczenie w Zaciszu i pewnie ma nadal — był jak gdyby przywódcą młodzieży. Pochodził stąd, ale była pewna różnica: jego dziadek był powiernikiem jednej z uznanych senierek letniska, Maude Chambliss, a jego ojciec był nie tylko członkiem jachtklubu lecz przed rokiem także komandorem. Willisowie to była wieś, ale tu też była pewna różnica. Zawsze słyszałam, że byli w bardzo dobrej komitywie z Chamblissami od czasów młodości mojej babki i mojego dziadka. To miało coś wspólnego z groźną starą kobietą, która była moją prababką, ale nie pamiętam co.

Tak więc Mike Willisa nie był, zanim wróciłam do Zacisza, pariasem. Sam wybrał tę rolę i zrobił to dla mnie i ze mną; pamiętam dobrze lato, kiedy to zrobił. W istocie pamiętam nawet ten dzień i niemal godzinę.

Miałam tego lata siedem, a on około dziesięciu lat. Obserwował jak stale traciłam dobrą reputację ze spokojem niezwykłym u chłopca w jego wieku. Bronił mnie, gdy pogrążałam się zbyt głęboko, pocieszał burkliwie i trzeźwo, gdy byłam zraniona lub zła i spędzał coraz więcej czasu ze mną, ponieważ odmawiałam przebywania z innymi na plaży czy w jachtklubie. Jednak zawsze inne dzieci otaczały go jak świergotliwe ptaki, gdy tylko na to pozwalał. Tego dnia byliśmy w samym środku małego stada, on i ja, siedząc na keji i warsztatu Willisów ubrani w swetry i długie spodnie z powodu zimnej mgły, która udaremniła tego ranka regaty ketów-żuczków. Wszyscy byliśmy z tego powodu niespokojni i nieznośni i graliśmy nieskładnie w jakąś grę, surowo zabronioną przez wszystkich dorosłych. Pomyślałam wtedy gorzko, że na lotnisku było za dużo Winslowów; w grupie otaczającej Mike'a było ich troje i żadnego z nich nie lubiłam. Byli ładni, autokratyczni i jednolicie przeciętni.

Jedna z nich, na cześć swej babki nosząca imię Greta, wpiła swe skośne oczy w Mike'a i powiedziała:

— Przetnijmy ręce w przegubach i zostaniemy braćmi i siostrami z krwi. Założę się, że boisz się to zrobić, Mike.

Była o rok od niego starsza, ale ścigała go wszędzie owego lata tymi swoimi oczami. Widziałam to; obserwowałam ją przez całe lato.

— Nie — powiedział Mike, zręcznie wyszarpując kieszonkowy nóż zza ucha i wbijając w drewno.

— Boisz się — powtórzyła Greta.

— Nie — rzekł Mike, wyciągnął nóż z pokładu i szybko, dość głęboko naciął mały niebieski trójkąt żył na swym brązowym nadgarstku. Krew trysnęła w górę i rozlała się na szarym drewnie. Poczułam mdłości i zawrót głowy, ale nie odwróciłam oczu. Inni wstrzymali oddech i pomrukiwali, a Greta Winslow wydała cichy okrzyk zdziwienia. Mike patrzył na nią spokojnie.

Potem oczywiście wszyscy nacięli nadgarstki. Nikt nie miał odwagi się uchylić od tego, po tym, gdy Mike to zrobił. Większość zadrapała tylko skórę, żeby uzyskać choć kroplę krwi, ale nikt się nie uchylił. Potem Mike podał nóż mnie.

— Chcesz, żebym ja to zrobił, czy wolisz sama? — zapytał.

— Poczekaj chwilę, jej nie miałam na myśli — powiedziała Greta Winslow. Mocno się trudziła, by utrzymać małe jasne krople tworzące się na jej przegubie. Mike przez cały czas mocno krwawił.

— Nie, z nią nie — zawołał ktoś inny.

— Dlaczego nie? — głos Mike'a brzmiał miło, włosy miał jak zawsze na oczach, nie widziałam ich więc. Mdłości walczyły we mnie z gniewem i rozpaczą. Bardziej niż czegokolwiek na świecie zapragnęłam być daleko stąd, ale nie mogłam wstać i uciekać na ich oczach. I nie płakałam.

— Bo ma w żyłach smar z garażu zamiast krwi — powiedział naj starszy z Winslowów, uśmiechając się od ucha do ucha, a wszyscy z wyjątkiem Mike'a wybuchnęli śmiechem.

— Może powinna jednak przeciąć swoje — rzekła Greta głosem, który przypominał głos jej babki. — Może wtedy choroba wypłynie. Może szaleństwo wycieka. Ale lepiej, żeby nikt nie dotykał tej krwi. To chora krew.

Mikę podniósł głowę i spojrział na nią.

— Może zechcesz nam powiedzieć, o czym mówisz, Greto? — powiedział.

— Przecież wszyscy wiedzą, że jej matka podcięła sobie żyły w domu wariatów zeszłej zimy — odparła broniąc się, gdyż usłyszała w jego głosie coś, co nieczęsto słyszała. — Wszyscy wiedzą, że w krwi jej matki jest choroba; w jej własnej pewnie też. Wszyscy o tym mówią. Choroba i obłąd, to jest we krwi. Moja babcia tak mówi. Musieli próbować wydobyć to z niej w szpitalu.

Wszyscy się roześmiali.

— Darcy, wyciągnij rękę — powiedział Mikę.

Wyciągnęłam, a on naciął ją, sprawnie i szybko, a potem wyciągnął swoją rękę i połączył ją z moją. Patrzyłam zahipnotyzowana jak krew miesza się i spływa po naszych dłoniach. Nie mogłam oderwać wzroku. Nie czułam zupełnie bólu z powodu nacięcia.

— Teraz pójdziesz do domu, Greto i zabierzesz z sobą swoich małych przyjaciół — powiedział dziesięcioletni Mikę głosem dorosłego mężczyzny. — Nie chcę mieć krwi Winslowów w mojej krwi, ani nikogo z was pozostałych.

— Poskarżę na ciebie — zawołała z wściekłością Greta, gramoląc się z doku i puszczając biegiem.

Inni ruszyli za nią, pomrukując. Nikt z nich nie spojrział na mnie.

— Powiem mojej babci, że próbowałeś przeciąć mi rękę i jeszcze inne okropne rzeczy — krzyknęła. — Powiem, że wyciągnąłeś na mnie nóż. Jesteś prawie tak samo zły jak ona: Chamblissowie i Willisowie, jedni i drudzy to hołota. Moja babcia tak mówi. Sprawí, że twoja matka i ojciec ukarzą cię na resztę życia.

— Szczerze w to wątpię, młoda damo — rzekł Micah Willis, wychodząc z warsztatu i patrząc na nią. — Jeśli usłyszę, że powiedziałaś choć słowo o Mike'u lub Miss Darcy, powiem twojej babce co się zdarzyło i nie ma wątpliwości, że to nie Mikę będzie tym, kto będzie miał wygarbowaną skórę. Twoja babka wie, z której strony jej chleb jest posmarowany, wierz mi.

Greta zachnęła się, inni wtopili się w zagajnik brzozowy między warsztatem skutniczym a kortem tenisowym Zacisza. Micah Willis odszedł spokojnym krokiem z rękami w kieszeniach i stał patrząc na nas z góry. Mikę obejrzał się na niego, przyciskając palcem nacięcie na nadgarstku. Ja patrzyłam na deski, obserwując spadające powoli, rozpryskujące się i wysychające czerwone krople.

— Wiesz, że macie nie bawić się w tę grę? — zapytał Micah.
— Tak, dziadku.
— Wiesz co twój ojciec powiedział, że zrobi, gdy następnym razem cię na tym złapie?
— Tak, dziadku.
— Więc nie rób tego więcej.
— Dobrze, dziadku.
— Idźcie do pani Chambliss, żeby opatrzyła wam ręce, obojgu.
Micah odwrócił się w stronę warsztatu.
— Dziadku, czy ty powiesz? — zawołał za nim Mike.
— Myślę, że nie — odpowiedział jego dziadek, nie odwracając się do nas.

— Poskarżysz na Gretę?
— Nie ma potrzeby. Być Winslowem to dostateczna kara — odparł. Mike i ja zaczęliśmy się śmiać, tam, na brzegu; mgła zbierała się jak dym w brzeźniaku, otoczywszy już białą najbliższe wyspy.
— Oświadczam teraz, że jesteś honorowym Willisem — powiedziała. Potem, przez pozostałe lata, nieczęsto się rozdzielaliśmy.

W ciągu następnych kilku lat niewiele się zmienił. Och, tak, przeszedł stosunkowo wolne od kłopotów dojrzewanie, stał się wysoki i chudy, gdy przedtem był niski i krępy. Potem jego cienkie ramiona i nogi zmężniały, okrągła twarz nabrała kantów charakteryzujących twarz jego dziadka i ojca. I bywał czasem w ponurym nastroju, gdy przedtem był otwarty i wesoły. Znikał na całe popołudnie lub nawet na cały dzień w swym kecie-żuczku, albo szedł do lasu czy wspinał się na wysokie, dzikie skały pod Orlim Gniazdem. Ale mnie to nie przeszkadzało; istota Mike'a pozostała ta sama. Ja od najwcześniejszego dzieciństwa robiłam zawsze to samo, spędzałam długie, zawieszony w czasie popołudnia leżąc na plecach w miękkim zielonym mchu w gąszczu brzoź, wpatrując się w baldachim liści nad głową lub śniłam o morzu na niższych skałach pod Pięknym Brzegiem, gdzie moja babka, podczas swego pierwszego pobytu w Zaciszu, próbowała wyratować sarenkę. Wspólnota Mike'a i moja była rdzeniem tych letnich sezonów, ale nasza bliźniacza potrzeba samotności była jej podstawą.

Zmieniłam się jednak, przynajmniej zewnątrz, i nienawidziłam tej zmiany. Mając dziesięć lat wyrosłam nagle tak, że sięgałam tuż poniżej pięciu stóp, a moje chude ciało wypełniło się i nabrało miękkości. Nie znosiłam zarówno nowego ciała jak i wysokości myśląc w rozpacz, że jeśli przedtem zwracałam uwagę wśród moich rówieśników w Zaciszu, to teraz stałam się wręcz groteskowa: wyższa o pół głowy od wielu z nich i wyposażona w kształty miniaturowej kobiety, a całą tę żalną posturę wieńczyła grzywa płonących rudych loków. Tego lata, przecierpiawszy powódź nietaktownych uwag ze strony większości chłopców i kilku dziewczynek, wzięłam krawieckie nożyce babuni Maude i obcięłam włosy. Potem nie było już żadnych wątpliwości: rzucałam się w oczy jak łysiąca karlica wśród tych wszystkich fryzur do ramion i prostowanych żelazkiem

włosów, modnych w tym czasie. Dosłownie kryłam się przed oczami wszystkich, nawet przed Mike'em, aż do późnego lata, gdy moje włosy dostatecznie urosły by powiewać w lokach wokół mojej twarzy.

— To całkiem ładne — powiedział Mike. — Wygląda po francusku.

— Skąd możesz wiedzieć? — zapytałam. — Nic nie wiesz o Francuzach.

— Trochę wiem — odparł. — Rodzina mojej babki to byli Francuzi, prawda Mrs. Chambliss?

— Tak, naprawdę. Dushesne'owie z Nowej Szkocji, a przedtem, zdaje mi się, że twoja babka mówiła, że z Bretanii. Dzikie wybrzeże, coś takiego jak to. To byli ludzie uprawiający żeglarstwo, nawet tam, we Francji.

Siedzieliśmy przy kominku w Liberty wczesnym rankiem, ubrani w swetry i ciepłe skarpety, gdyż zimna biała mgła nie chciała się rozwiać. Mike pracował tego lata w warsztacie rodzinnym, nie mogłam więc, choćbym chciała, zbyt często go widywać, lecz przede wszystkim nie chciałam. A potem nagle zapragnęłam go zobaczyć i jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wynurzył się z mgły niosąc talerz jeszcze ciepłych pączków z melasą od swej matki i tom esejów Theoreau, które chciał przedyskutować z babunią Maude. Często to robił; nie pamiętam czasów, by Mike i moja babka nie rozmawiali o książkach i pisarzach, gdy byli razem. Zdawało mi się, że jest nawet wyższy niż pamiętałam i zaczerwieniłam się z jakiegoś niezgłębionego powodu. Od połowy czerwca, gdy obcięłam włosy, rzadko go widywałam.

Gdy objedliśmy się pączkami i przewertowaliśmy Thoreau, a babcia Maude poszła na górę, by się przebrać, Mike powiedział:

— Weź płaszcz nieprzemakalny. Chcę ci coś pokazać.

I tak naturalnie, jak byśmy poprzedniego wieczora się widzieli, wzięłam mój żółty płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz i wyszłam w ślad za nim w mgłę.

— Gdzie idziemy?

— Na Wyspę Rybołówów — odparł; uśmiechnęłam się. Pierwszy raz zabrał mnie ze sobą na Wyspę Rybołówów jego dziadek, gdy byłam bardzo mała i potem jeździliśmy tam przynajmniej raz do roku. Mike żeglował na swym własnym kecie gdy uznano, że jest już dość duży. Nie bywaliśmy tam często; to był teraz teren Służby Parkowej i oni nie zachęcali do pieszych wycieczek z powodu znajdujących się tam gniazd orłów. Ale stali mieszkańcy Przylądka Rosier i niektórzy letnicy bywali tam, i choć Służba wiedziała o tych wizytach, nie zatrzymywała nikogo. Te pielgrzymki były po prostu składaniem hołdu. Kolonia orłów rozrosła się; i gdy patrzyłam na ogromne jak sakwy gniazda i wielkie skrzydła na tle nieba zawsze czułam skurcz w gardle i łzy stawały mi w oczach. Wyspa Rybołówów: to była cudowna myśl, wysławianie dzikości i swobody. To oznaczało koniec mojego narzuconego sobie wygnania.

Nie poszliśmy jednak do doku, gdzie kołysała się przycumowana łódź Mike'a. Przecieliśmy gęsty las świerkowy i jodłowy, który spływał ze skal

na plażę pod Orlim Gniazdem. Wiedziałam, że można się tamtędy dostać do drewnianego mostu, który łączył długi występ Skały z Wyspą Rybołowów, nigdy jednak nie przechodziłam przez ten most i byłam tylko raz na małej, sekretnej, wygiętej jak sierp plaży, gdzie babunia Maude zabrała mnie i Mike'a kiedyś na piknik. Zjedliśmy lunch i brodziliśmy w płytkich przybrzeżnych falach, a potem babcia opowiedziała nam o pięknej samotnej kobiecie, która mieszkała w wielkim domu nad plażą, która była przyjaciółką mojego pradziadka i o tym jak ona sama przychodziła tu, by posiedzieć w słońcu i marzyć, gdy czekała na urodzenie się mojej matki. To było zaczarowane miejsce, ale jakoś nie czułam się tam dobrze. Zanim odczuwało się tam, że to jest czyjaś własność. Dom i plaża należały do ludzi, którzy już umarli, a jednak żyli jakoś w spokojnym powietrzu. Nie prosiłam nigdy o to, by znów tam iść, i babunia Maude nie proponowała już tego. Może też czuła ich obecność.

Wiedziałam, że gdy przyjdzie czas, Mikę wyjaśni dlaczego poszliśmy dziś tą drogą. Niewiele rzeczy robił bez powodu. Cieszyłam się tego mglistego ranka, że stąkam ciężko za nim w moich przysysających się butach, trzymając się ręką jego sztormowej kurtki. Nie widziałam nic poza ścieżką, najbliższymi drzewami i kępami biało nakrapianych paproci. Często w naszych wędrówkach przez długie chwile w ogóle nie rozmawialiśmy. Nie było potrzeby. Czytaliśmy nasze myśli.

Przebrnęliśmy przez obfitujące w paprocie poszycie, które rozposcierało się aż do szczytu Skały Nura i dopiero gdy zbliżyliśmy się do wody zobaczyłam przed sobą buldożery leżące na brzegu jak prehistoryczne zwierzęta, stopy budulca pod brezentem i surowe żółte zaczątki o wiele większego mostu koło starego, pająkowatego. Zdawał się sięgać w nieskończoność, niknąć w białej mgłę. W ogóle nie widziałam Wyspy Rybołowów.

— O, co to za gówno? — zapytałam. — Nie wiedziałam, że to tutaj jest.

Mikę uśmiechnął się od ucha do ucha słysząc mój język, ale potem jego twarz znów stała się poważna.

— Nikt nie wiedział, aż do czasu, gdy robota mocno się posunęła. Wygląda na to, że Służba Parkowa ma zamiar zbudować most dla pieszych i brać od ludzi opłaty za przychodzenie na Wyspę Rybołowów, urządzenie pikników i gapienie się na orły. Urządzą tu parking i będą sprzedawać bilety i wszystko. Dziadek mówi, że nieźle na tym zarobią.

— Ale Mikę, orły!

— Wiem — powiedział z goryczą w głosie. — One odlecą. Służba Parkowa twierdzi, że nie, ale dziadek mówi co innego.

— Co? — byłam bliska płaczu. — Co on mówi?

— Mówi, że jakiś przeklęty idiota porobił badania, z których wynika, że orły mogą się przyzwyczaić do ludzi, więc będą tu ściągać durniów i sprzedawać im widoki orłów całymi furami.

— Czy on nie może ich powstrzymać? Czy nie może z nimi porozmawiać?

— Próbował, Darcy. On i kilku innych mężczyzn pojechało do Augusty, żeby porozmawiać z tymi facetami od parków, wnieśli petycję,

napisali do centralnego zarządu w Waszyngtonie. W Augustcie nie chcieli nawet z nimi rozmawiać, z Waszyngtonu nikt nie odpowiedział na pismo. Dziadek próbuje się dowiedzieć do kogo teraz się zwrócić. Ojciec telefonował do jednego gościa z „Ellsworth American”, którego zna, żeby się dowiedzieć czy nie napisały o tym artykułu, lecz on powiedział, że mu przykro z powodu orłów, ale, że to naprawdę nic nowego. Prosił, żeby dać mu znać, gdyby było coś poważnego. Ojciec zapytał co on przez to rozumie, a on powiedział, że gdyby orły wniosły petycję w Augustcie, to byłoby to coś nowego. I śmiał się. Tata był wściekły, tak samo dziadek. Ale obaj mówią, że nic nie możemy na to poradzić.

— Ale ty uważasz, że możemy — powiedziała. To nie było pytanie.

— Tak.

Odwrócił się w stronę Wyspy Rybołówów, patrząc w mgłę, jakby mógł zobaczyć wyspę w tej kłębiącej się gęstości. Potem zwrócił się znów do mnie.

— Myślę, że możemy im dostarczyć poważnych wiadomości — rzekł.

Tego wieczora, gdy babunia Maude poszła się położyć, włożyłam jeansy i sweter i wyszłam na werandę by tam czekać na Mike'a. Serce uderzało jak młotem w mojej piersi, ale to co czułam, to nie był lęk. Było to raczej potężne, głębokie poczucie spotkania z jakimś nieodwołalnym przeznaczeniem, z czymś, czego tylko ja sama mogę i muszę dokonać, z czymś, co zmieni mnie zupełnie i na zawsze. To było jednocześnie uroczyste, radosne, ważne uczucie, mocne i dojrzałe. Skuliłam się w rozrzedzonej mgłę i patrzyłam w ciemność za berbersowym żywopłotem. Na drodze nie było świateł. Minęła już północ. Mike powiedział mi dlaczego muszę zrobić to z nim razem, i wtedy zrozumiałam, że ma rację.

— To twoja matka, moja ciotka i mój wuj wypędzili rybołowy — rzekł.

— Byli wtedy młodszy od nas — przynajmniej ode mnie. Zabili młodego ptaka i rozbili wszystkie gniazda. Nikt nie wie dlaczego. Rybołowy nigdy nie wrócili. Wiem, że to nie ma nic wspólnego z tobą ani ze mną — dziadek mi to powiedział, kiedy odkrył, że już wiem — ale wydaje mi się, że ktoś musi coś teraz zrobić dla tych orłów, i że to powinniśmy być my. Żeby jakoś choć trochę odkupić to, co zrobili nasi bliscy. Rozumiesz?

— Tak. — Byłam przerażona i czułam wstyd. Nigdy nie słyszałam o tej sprawie. Wydawało się, że nie ma końca temu, co zniszczyła moja matka.

— Możemy mieć kłopoty.

— Nie dbam o to.

— Ja także nie. Okay. Zrobimy to.

Zobaczyłam, że łagodne żółte światło w oknie pokoju babci zgąsło i jakby w odpowiedzi na sygnał Mike wyszedł spoza żywopłotu i dał mi znak, bym szła za nim. Miał na sobie, tak samo jak ja, ciemne ubranie i trampki, a w obu rękach marynarskie worki z rzeczami, które były nam potrzebne. Odetchnęłam głęboko i weszłam za nim w ciemność.

Nim doszliśmy do plaży przy Skale Nura, mgła już się prawie rozproszyła i szpilki gwiazd kłuły wysokie niebo. Nie było księżycy, ale widzieliśmy wszystko wyraźnie. Szepcząca, pofałdowana zatoka i wyspy zdawały się wysyłać własne, intensywne światło także mogliśmy łątwo rozpoznać maszyny, przykryte brezentem sterty budulca i most. Nieraz widziałam takie światło na innych morzach. Nigdy nie dowiedziałam się, co to jest.

Mikę stał nieruchomo, patrząc ku Wyspie Rybołówów, tak jak tamtego ranka, a potem zobaczyłam raczej niż usłyszałam, jak głęboko wciągnął oddech.

— Jeszcze możesz wrócić — powiedział.

— Nigdy w życiu — odparłam gwałtownie. — Uważasz mnie za dziecko? Nie jestem dzieckiem. Zrobiłeś mnie honorowym Willisem, pamiętasz? Jeśli ja jestem dzieckiem to i ty jesteś dzieckiem.

— Okay. Więc bierzmy się do dzieła.

Wyjął bańkę z naftą z worka i oddał mi drugi worek, mineliśmy buldożery i weszliśmy pod przęsło rusztowania nowego drewnianego mostu, namaszczać deski świeżym znakiem zniszczenia. Gdy doszliśmy do miejsca, do którego sięgał most, Mikę wyjął pudełko zapałek i podał mi.

— Chcesz zapalić?

— Oczywiście.

Ręce mi się trzęsły, wyjęłam trzy zapałki ale w końcu zapaliłam tylko jedną i stałam patrząc na niego, a on na mnie. Rzuciłam zapałkę na deski i obserwowaliśmy jak tliła się i syczała; wstrzymaliśmy oddechy, a potem, gdy dobrze się rozpałiła i rozkwitła w płomień przy poręczach, pobiegliśmy z powrotem na brzeg czując ogień za plecami.

Staliśmy przez krótką chwilę na zimnej plaży, patrząc jak ogień rósł i wycofywał się, a potem przeleciał z hukiem wzdłuż mostu ku brzegowi; rusztowanie z desek poczerniało i skurczyło się w jego blasku. Wspięliśmy się na ścieżkę nad urwiskiem, pobiegliśmy przez las do przystani wioślarskiej i zadzwoniliśmy do oddziału straży pożarnej, do redakcji wszystkich dzienników i stacji telewizyjnych na środkowym wybrzeżu; Mikę uprzednio przygotował spis. Dzwoniliśmy do Portland, do Augusty i do Bangor. Tym razem facet z „Ellsworth American” wysłuchał tego co mieliśmy do powiedzenia.

Następnie poszliśmy obudzić moją babkę oraz rodziców i dziadka Mike'a i czekaliśmy, co będzie dalej.

Sądziliśmy, że jesteśmy przygotowani na to, że Służba Parkowa będzie nas obwiniać, a rodzice ukarzą, ale taka jest natura dzieci, że widzą w sobie bohaterów nie do zranienia; jestem pewna, że w głębi serca każde z nas myślało, że gniew złagodzi podziw dla naszej śmiałości i namiętnego pragnienia uratowania orłów. Ale burza urzędowego gniewu jaka rozszalała się nad naszymi głowami, była szybka, zimna i zupełnie dorosła. Jeszcze zanim ogień sam wygasł tuż przed nosami bezradnej ochotniczej straży pożarnej, przedstawiciele Służby Parkowej w Augustie pukali do drzwi w Liberty, gdzie babcia Maude oraz rodzice i dziadek Mike'a nas

uwięzili. Był tam także wcale nie rozbawiony szeryf i jego dwaj zastępcy oraz kilka starszych osób z letniska, zaprzyjaźnionych z babunią. Pili kawę i szeptali, a od czasu do czasu spoglądali na mnie i na Mike'a, siedzących ramię przy ramieniu na sofie przed kominkiem, nikt się jednak do nas nie odezwał. Babunia wyglądała na postarzałą o milion lat, pobladła i chorą. Pomyślałam siedząc tam w odosobnieniu — gdyż powiedziano nam, że mAmy siedzieć i być cicho — że po raz drugi ktoś z jej bliskich został niechlubnie przyprowadzony do domu z Wyspy Rybołowów. Ogarnął mnie wstyd.

— Nie chciałam sprawić babci bólu — szepnęłam do Mike'a, pociągając nosem. Uścisnął mi rękę.

— To trzeba było zrobić. Ona to zrozumie.

— Cicho tam — powiedział ojciec Mike'a tonem, który zmroził mi krew w żyłach. Zamilkliśmy. Dziadek Mike'a podniósł się słysząc pukanie i poszedł wpuścić ludzi z Augusty.

To była straszna noc. Była przytłumiona, chłodna rozmowa o konsekwencjach prawnych i o karze; były podniesione głosy; rzucono gniewne słowa. W pewnej chwili Kaleb Willis podniósł pięść na bezbarwnego, przebiegłego faceta ze Służby Parkowej, który najbardziej upierał się przy karze, ale jego ojciec w milczeniu złapał go za rękę, coś do niego szepnął i wyprowadził go do kuchni. Beth Willis wyszła za mężem, i potem wszystko trochę się uspokoiło. Ale wciąż nikt się do nas nie odzywał. Babunia siedziała w wielkim wyplatany fotelu na biegunach, lekko się bujała i nic nie mówiła, gdy Micah Willis dyskutował z ludźmi ze Służby Parkowej. Pomimo naszej niedoli, Mike i ja drzemaliśmy; jak przez mgłę słyszeliśmy rozmowę o odszkodowaniu, przepisach sądowych i zawieszeniu kary ze względu na młodociany wiek oraz oddaniu nas pod nadzór władzy sądowej; ale wszystko to wydawało się nierealne. Tuż przed świtem ludzie z obsługi parków wyszli a Micah Willis poszedł do babuni i usiadł ciężko na podnóżku bujanego fotela, przecierając oczy.

— Nic więcej nie mogą im zrobić ze względu na ich młody wiek — powiedział zmęczonym głosem. — Mogą naciskać na oskarżenie ich i zawieszenie kary z oddaniem pod nadzór, wolno im to zrobić, ale bardziej prawdopodobne jest, że poproszą o odszkodowanie.

— Jak myślisz, jak duża to może być suma? — zapytała prawie szeptem babcia Maude.

— Nie wyobrażam sobie, by mosty Służby Parkowej mogły być tanie — odparł Micah Willis.

Mike wstał, podszedł do dziadka i stanął przed nim. Ja zrobiłam to samo i stanęłam patrząc na babunię Maude. Nie patrzyła na mnie lecz na Mike'a. Nie widziałam w jej oczach gniewu, ale nie umiałam odczytać ich wyrazu.

— Będę pracował i zapłacę za to, dziadku — powiedział Mike.

— No, to będziesz pracował przez niemąłą część swego życia — odparł Micah. Jego twarz była poważna ale nie gniewna.

— Ja też mogę pracować — powiedziałam, walcząc ze łzami. — Mogę się opiekować małymi dziećmi w szkole; siostry pozwalały nam to robić.

— Och, Darcy — powiedziała babunia Maude, nareszcie patrząc na mnie. — To nie sprawa pieniędzy. Znajdziemy pieniądze. To po prostu chodzi o to, że... ach, kochanie, to już się zdarzyło kiedyś. Twoja matka, gdy była małą dziewczynką...

— Wiem — rzekłam; łzy spływały mi po policzkach, mimo wysiłków by je powstrzymać. — Mike mi powiedział. To właśnie dlatego, babuniu. Myśleliśmy... myśleliśmy, że jeśli zrobimy coś, żeby uratować orły, to mogłoby się to przyczynić do naprawienia...

Nie mogłam dalej mówić nie szlochając głośno, zamilkłam więc i wykrzywiłam twarz usiłując powstrzymać niepohamowany płacz.

Babunia Maude rozplakała się także; jej twarz była nadal spokojna i łagodna. Nie przypominam sobie, żebym ją kiedyś widziała płaczącą. Serce ścisnęło mi się boleśnie.

— Mogłaś się zabić, kochanie. Mogłaś się tak łatwo zranić albo zabić i co bym wtedy zrobiła? Nie można się tak narażać na niebezpieczeństwo.

— Można — łkałam. — Tak, można! Trzeba! Trzeba zrobić wszystko co konieczne, jeśli to ma znaczenie.

Babunia wyciągnęła ręce i przytuliła mnie do siebie na długą chwilę. Słyszałam oddech Mike'a i jego dziadka, ale żaden z nich się nie odezwał. Wreszcie babcia odsunęła mnie na długość ramienia, popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się słabo.

— Może trzeba — powiedziała wolno. — Tak, oczywiście, być może trzeba.

Ostatecznie nikt nie wniósł żadnych oskarżeń i Służba Parkowa nie domagała się odszkodowania z tego prostego powodu, że środki masowego przekazu podkreślały *„bohaterskie wysiłki dwojga młodych mieszkańców okręgu Hancock by uratować kolonię orłów zagrożoną przez budowę mostu zapoczątkowaną przez Służbę Parkową, który umożliwiłby ruchowi pieszemu dostęp do ich środowiska”* i chociaż babunia Maude i rodzice Mike'a nie zgodzili się na wywiady i na żaden kontakt z mediami, staliśmy się na krótko w okresie wzrastającej świadomości spraw związanych z zagrożeniem środowiska, czymś w rodzaju czczonych bohaterów. Rzeczywiście, wzniecone oburzenie tak się nasiliło, że zaskoczona tym Służba Parkowa zrezygnowała z pomysłu udostępnienia Wyspy Rybołowów dla turystów, zniszczyła węglone resztki mostu i wydała ponadto setki tysięcy dolarów na przywrócenie starego wąskiego mostu. Umieściła nawet znaki „WSTĘP WZBRONIONY” na wybrzeżach Skały Nura.

Mike i ja nie cieszyliśmy się jednak zbyt długo naszą szybko przemijającą sławą. On pracował przez całe dni w warsztacie szkutniczym, a ja do końca lata byłam trzymana w areszcie domowym. Nie wolno było nam się widywać. Nie widywaliśmy się też aż do następnego lata, gdy on stał się jeszcze wyższy, a ja jeszcze bardziej okrągła, miękka i obrzydliwie kobieca i gdy wszyscy zapomnieli, że kiedykolwiek przystępowaliśmy do obłożenia mostu wiodącego do Wyspy Rybołowów — albo, jeśli nie zapomnieli, to

nie mówili o tym — bo taki był obyczaj na lotnisku. I lato znów płynęło, tak jak wszystkie przed nim i znów byliśmy razem, i choć zmieniły się nasze powłoki zewnętrzne, wszystko inne w nas pozostało bez zmian. I to wystarczało.

Ale pod koniec lata przestało wystarczać, i to Mikę zakończył. A może ja, ale z pewnością Mikę przyspieszył sprawę. Pod koniec jego siedemnastego lata tutaj, a mego czternastego, gdy przygotowywał się do podjęcia na jesieni studiów architektonicznych w Instytucie Technologicznym Stanu Massachusetts, ja uparcie udawałam, że nic się nie zmieniło i nic się nie zmieni, zabrał mnie swym nowym, nie mającym jeszcze nazwy słupem na Wyspę Rybołówów na pożegnalny piknik. Tam nagle ściągnął mnie z kamieni, na których siedziałam, otoczył mnie ramionami i pocałował. To był bardzo długi, penetrujący pocałunek i czułam się tak jakbym połknęła ogień, który przeniknął mnie do głębi.

Gdy podniosłam głowę, uniosłam ramię i oslepała od lęku, wymierzyłam mu policzek. Patrzył na mnie osłupiały.

— Myślałem, że może czujesz to samo co ja — powiedział. Głos z trudem wydobywał mu się z gardła, oczy miał pociemniałe z bólu i szoku. Odcisk mojej ręki był siny na jego opalonej twarzy.

Zaczęłam płakać.

— Dlaczego musiałeś to zepsuć? — łkałam. — Dlaczego musiałeś wszystko zmienić? Czy nie rozumiesz, że już nigdy nie będziemy tacy sami? Nie widzisz co zrobiłeś?

— To nie mogło się nie zmienić, Darcy — powiedział.

— Mogło. Tak, mogło zostać bez zmian! Ale teraz nie może, teraz musi się skończyć! Tak się dzieje kiedy ludzie zaczynają się całować i zakochiwać i te wszystkie idiotyzmy... wszystko się kończy! Kończy się i odchodzą!

— Ja nie odejdę.

— Cholernie łatwo odejdziesz, już za kilka tygodni — zawołałam. — Pojedziesz do Bostonu na całe pięć lat, a kiedy wrócisz ja będę miała dziewiętnaście lat i w ogóle nie będziesz mnie nawet pamiętał!

— Będę tu zawsze w lecie, jak dotychczas — powiedział. — Będę pracował w warsztacie, nic się nie zmieni, wiesz o tym.

— Tak, zmieni się! Już się zmieniło!

— Czy chcesz, żebym udawał, że moje uczucia w stosunku do ciebie nie są inne niż wtedy, gdy byliśmy dziećmi? Dobrze, będę udawał. Ale to nieprawda. I czuję... coś zupełnie, zupełnie innego. Nie jesteś dzieckiem. I ja też nie. Teraz chcę dla nas czegoś zupełnie innego. Myślałem, że ty może też.

— Chcę żebyś mnie odwiózł do domu. Chcę wrócić do domu. I nie chcę więcej z tobą rozmawiać. Nie chcę cię więcej widzieć.

Nie rozmawialiśmy płynąc do domu i gdy dobiliśmy do brzegu wyskoczyłam ze słupu i pobiegłam do Liberty. Zamknęłam się w swoim pokoju i nie wychodziłam; płakałam i płakałam bez końca. Nie wiedziałam dlaczego płaczę i nie wiedziałam co mnie tak przestraszyło. Nigdy nie

byłam tego całkowicie pewna. Ale to nie miało znaczenia. On wyjechał w trzy dni później do MIT, znacznie wcześniej niż miał zamiar i przez następne dwa lata nie przyjeżdżał na Przylądek Rosier, lecz znalazł jakieś zajęcia przy budowach w Marblehead czy też na Przylądku Cod.

Nikt, ani babunia Maude, ani rodzice Mike'a, ani Micah Willis nie wspominali potem przy mnie o nim. Tylko raz, podczas pierwszego lata, gdy nie wrócił, a ja miałam spędzać cały czas na moim własnym nowym kecie, moja babka zapytała:

— Czy wszystko w porządku z tobą, kochanie?

— Tak, madame — odparłam. — Wszystko doskonale.

I taka była moc morza i samotności, która otaczała mnie tego lata, iż przez długi czas myślałam, że wszystko było naprawdę w porządku.

• * *

— Co dziś robiłaś — zapytała tego wieczora babcia Maude, gdy wróciłam z plaży a ona wreszcie wstała, ubrała się i przygotowała dla nas kolację. Pomyślałam, że wygląda tak bezcieleśnie jak ćma, była prawie przezroczysta, a jej oddech wciąż był krótki i słaby, lecz oczy błyszczały i na policzkach miała rumieńce. Piłyśmy wino do kolacji, lecz już nie tamto zgubne martini.

— Siedziałam na plaży i oglądałam duchy — powiedziałam.

— O, kochanie. Mam nadzieję, że nie były groźne.

— Nie. To były miłe duchy. Lubiłabyś je.

— Może wciąż lubię — powiedziała uśmiechając się.

Spałam tej nocy, po raz pierwszy na górze, w małej sypialni, która zawsze była sypialnią babki i stwierdziłam z ulgą, że była tak mała, przytulna i kojąca jak kokon albo łono. Widziałam gwiazdy i sylwetki spiczastych jodeł za oknem, ale nie mogłam zobaczyć rozległego niepokojnego blasku zatoki. Słyszałam jednak jej łagodne szmery i niekończące się delikatne westchnienia. Pomyślałam, że będę mogła tu zasnąć i miałam rację: położyłam się w wąskim małym, białym łóżku i przykryłam starymi, jedwabistymi prześcieradłami, pachnącymi lawendą i cedrem i zapadłam głęboko w ten ciemny pozbawiony marzeń sen, który jest darem morza. Chwilami w ciągu nocy żeglował ze mną Zoot; nie budząc się, ułożyłam go w zagłębieniu ramienia i tak spałyśmy.

Gdy się obudziłam o świcie, przez jeden krótki moment zdawało mi się, że znów mam siedemnaście lat i zaczyna się lato i za chwilę pobiegnę przez mokrą od rosy trawę do Pięknego Brzegu na spotkanie mojej miłości.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

W niedzielę rano, w drugim tygodniu mego pobytu w Zaciszu, wtedy gdy miałam siedemnaście lat, wyszłam boso potykając się z mego pokoju; nieuczesane włosy opadały mi na oczy a zbyt obszerna podkoszulka jachtklubu w Cove-Harbor, w której sypiałam, opadała mi z ramienia; babcię Maude znalazłam w kuchni, gdzie piła kawę przy stole z młodym człowiekiem, którego nigdy przedtem nie spotkałam. Widząc w twarzy babuni wrażenie jakie musiałam wywołać, odwróciłam się by pobiec z powrotem do pokoju, ale on uśmiechnął się do mnie i powiedział:

— Proszę nie uciekać. Podziwiałem w zeszłym tygodniu w Uffiziach „*Primavera*”, a oto jest tu we własnej osobie.

I oto stałam tutaj, uśmiechając się do niego. Poprzedniej zimy na historii sztuki przedmiotem studiów był obraz Botticellego i zdawałam sobie sprawę, że powiedział mi podwójny komplement: jeden wiązał się z moją urodą, a drugi z tym, że nie wyjaśnił aluzji.

— Założywszy, że miała sześć milionów piegów — powiedziałam.

— I podkoszulkę do kostek — dodał miękkiem głosem, w którym pobrzmiwało coś... co? Nie obcy akcent, ale jego cień. — Nic nie szkodzi. Wyraz jest ten sam.

— Warrie, to jest Darcy O’Ryan, moja wnuczka — powiedziała babunia Maude, przenosząc spojrzenie ze mnie na młodego człowieka. — Darcy, to jest Warrie Villiers. Warren, oczywiście. Jego babka była moją najlepszą przyjaciółką, a jego matka jest teraz właścicielką Pięknego Brzegu. Widziałam go ostatni raz gdy był bardzo małym chłopcem. Przez całe życie mieszkał za granicą, i o ile wiem, pierwszy raz wrócił teraz do Zacisza od czasu gdy miał niecałe pięć lat. Zajrzał do mnie przed chwilą i od razu go poznałam. Dokładny wizerunek jego babki Amy.

— To miło usłyszeć — rzekł młody człowiek. — Prawie wszyscy uważają, że jestem podobny do mojej matki. Nikt prawie nie uważa bym był podobny do ojca. Nie przypominam go sobie dobrze — mojej babki także nie. Halo, Darcy O’Ryan. Masz wszystkie ognie Irlandii na głowie, ale reszta jest bardzo francuska.

Poczułam, że się czerwienię i pochyliłam głowę.

— Nie wydaje mi się — wymamrotałam. — Przede wszystkim irlandzka, a od strony rodziny mojej matki — angielska — myślę.

— No, jest w przeszłości mała domieszka krwi francuskich hugenotów — powiedziała babcia. — Moje panięskie nazwisko brzmiało Gascoigne. Chociaż mogę cię zapewnić, że te dobre surowe dusze nie miały nic wspólnego z żadnymi francuskimi o-la-la, jak możesz sobie wyobrazić.

— Szkoda. To jest właśnie to, co w nas najlepsze — powiedział Warrie Villiers i znów się uśmiechnął. To był nieznaczny uśmiech, łagodny na jego pełnych czerwonych ustach i była w nim odrobina smutku. Właściwie w całej jego twarzy. Był ciemny, głowę miał pokrytą gęstymi ciemnymi lokami obciętymi dłużej niż nakazywała tegoroczna moda, ze srebrnymi wśród nich pasmami, oczy miał przysłonięte powiekami, prawie czarne i uniesione w kącikach: cygańskie oczy, pomyślałam. Nos miał wysoki, wąski i długi, i był bardzo opalony. Nawet gdyby babunia nie powiedziała, że mieszkał przez całe życie za granicą, poznałabym to. Było w nim coś nieokreślenie cudzoziemskiego, różnica tak uderzająca, że prawie namacalna. Palił krótkiego brązowego papierosa bez filtra, trzymając go między kciukiem i środkowym palcem. Dokoła niezwykłych oczu rysowały się delikatne białe kreski. Był starszy, niż w pierwszej chwili sądziłam.

— Zrobię ci jakieś śniadanie — powiedziała do niego babunia. — Jeśli przyjechałeś po północy, to jestem pewna, że nie masz nic w kuchni do jedzenia. Czy pokrowce są zdjęte z mebli? Nie widziałam, żeby tam ktoś wietrzył. Darcy, idź i włóż coś na siebie.

— Miło było cię poznać — mruknęłam znowu; skrzyżowałam dłonie na piersiach i wyszłam z kuchni na palcach jak gdybym mogła powstrzymać je w ten sposób od nadmiernego podskakiwania. To było na nic; nagłe wystrzelenie w górę, gdy miałam dziesięć lat już się nie powtórzyło, miałam więc nadal pięć stóp wysokości, ale wczesna zapowiedź piersi i bioder spełniła się. Miałam, jak mogłam zauważyć oglądając stare fotografie, dokładnie kształty mojej babki Maude, gdy była zaledwie o kilka lat ode mnie starsza. Usłyszałam wychodząc cichy chichot Warrie Villiersa i znów oblałam się rumieńcem, nie wiedząc czy śmiał się z buntowniczej, ożywionej bujności pod moją podkoszulką, mojego z tego powodu skrępowania, czy po prostu czegoś, co powiedziała babka. Włożyłam naj ciaśniej szy stanik i naj luźniejszą oksfordzką płócienną koszulę, obszerne dżinsy, przeciągnęłam wilgotnym grzebieniem po mojej dzikiej miotle i wróciłam do kuchni. Babunia Maude uśmiechnęła się do mnie i podała mi filiżankę kawy, ale nie odezwała się, a jej uśmiech był zupełnie oderwany. Cała jej uwaga była skupiona na tym obcym młodym człowieku i zdawało się, że nie ma o nim wyrobionego zdania. Jej usta uśmiechały się do niego i wypowiadały ciepłe, miłe słowa, ale spoczywające na nim oczy były niepewne, zaniepokojone. Babunia Maude rzadko była niezdecydowana co do czegoś czy kogoś. Kuchnia i poranek były przepełnione czymś obcym, przemieszczone w czasie.

Wśliznęłam się na krzesło naprzeciwko Warrie Villiersa i zatopiłam nos w kawie, spoglądając na niego poprzez parę. Znów się do mnie uśmiechnął, ale nie odezwał się do mnie. Siedział na odchylnym do tyłu krześle, bujając się na jego tylnych nogach, pił kawę i patrzył na moją babkę poruszającą się po kuchni gdy przygotowywała śniadanie. Zdawało się, że czuł się zupełnie swobodnie jak na kogoś kto nie widział babuni odkąd był bardzo mały i może nawet jej nie pamiętał. Właśnie ta zimna krew uderzyła mnie w nim najpierw i była ostatnią rzeczą jaką zapamiętałam z niego. Był nieskrępowany w swej ciemnej skórze, dogłębnie pewny swego miejsca w tej kuchni, na tym lotnisku i w tym świecie. Nie wydawało mi się to cechą zrodzoną z zarozumiałości, raczej z panowania nad sobą. Zdawał się wydzielać z siebie opanowanie tak, jak zapach ciała. Bardzo mnie to pociągało. Całe moje krótkie życie spędziłam na poszukiwaniu tego.

— Co cię więc sprowadza do Zacisza? — zapytała babcia Maude, mieszając jajka i nie patrząc nawet przez ramię na niego.

Roześmiał się krótkim, ostrym śmiechem.

— Mogłaby pani raczej zapytać, co mnie przysyła. Albo kto — odpowiedział. — Jestem tutaj, bo przed moją matką otworzył się nowy widok i obecność w tej chwili w jej życiu dwudziestotrzyletniego syna niezbyt dokładnie się zgadza z wiekiem o jakim napomyka. On będzie przez całe lato w willi, jak się zdaje, a ponieważ ja powinienem być w domu i zająć się moją pracą dyplomową, Maman wpadła na pomysł, że Zacisze i Piękny Brzeg to wymarzone do tego miejsce. Spokój i cisza, wie pani. Izolacja, zdrowe jedzenie, brak rozrywek. Zdaje się, że dżentelmen, który chyba zajmuje się jeżdżeniem samochodami wyścigowymi czy czymś takim, jest może o dziesięć lat ode mnie starszy a ostatni kapitalny remont Maman w Szwajcarii był po prostu znakomity; wygląda młodziej niż on. Mówiłem jej, że będę utrzymywał, iż jestem jej młodszym bratem, ale uparła się. Upór jest mocną stroną Maman. No więc jestem tutaj, a jej jest dobrze. To będzie doskonałe miejsce do myślenia i pisania; nie wyobrażam sobie, by nocne życie obfitowało w rozrywki. Tu jest naprawdę pięknie; widziałem fotografie, ale nie pamiętam dokładnie domu i morza i tego wszystkiego. Bardzo się różni od morza, które znam.

— Gdzie to jest? — zapytałam, czując w sercu szarpnięcie żalu nad nim, nie chcianym przez matkę. Znałam to uczucie.

— Na Sardynii. Maman ma tam willę po swoim trzecim mężu, jugosłowiańskim królu handlarzy jarzynami. Tam też jest pięknie, ciepłe róże i czerwienie, skały i piasek, oślepiający błękit i biel, ale tamto nie kładzie się tak miękko na sercu jak to miejsce.

Uśmiechnęłam się. Takie właśnie jest Zacisze.

— A gdzie mieszkasz w zimie? Gdzie się uczysz?

— MAmo mieszkanie na Trastevere w Rzymie. To stara dzielnica, bardzo stara, bardzo malownicza, bardzo droga, jeśli się mieszka tam gdzie my. Maman ma to mieszkanie po swoim czwartym i ostatnim mężu, importerze tajwańskich „antykwów” i może jeszcze kilku innych, wybranych, kontrolowanych artykułów. Jest teraz usadowiona, jeśli chodzi

o główne i dodatkowe mieszkania i może się nastawić na bardziej... przemijające przyjemności. Myślę, że rodzina mojego ojca zapłaciła jej wystarczająco by opuściła Francję — i ich — może więc żyć jak jej się podoba jeśli będzie bardzo ostrożna. Oczywiście, rzadko jest ostrożna. Nie jestem w uczelni w tym trymestrze, bo znów zapomniała opłacić czesne i nie przysłała mi pieniędzy tego lata na dom, jedzenie i służbę, będę się więc pewnie paść na trawniku jak krowa. Ale dostanę w przyszłym miesiącu czek z mego funduszu powierniczego — to jest poza Paryżem; nie może na tym położyć ręki — więc dam sobie doskonale radę. Jestem przyzwyczajony do dawania sobie rady. Żyłem sam odkąd zacząłem naukę.

Jego słowa mogłyby brzmieć bardziej gorzko gdyby nie był tak bardzo nieskrępowany w naszej kuchni i gdyby jego uśmiech nie był tak czuły i swobodny. Przy tym wszystkim jego głos brzmiał tak jakby był rozbawiony i przywiązany do swojej matki. Ale moje serce znów podskoczyło rybitm skokiem. Być może opanowany, nie pozbawiony środków do życia, ale jednak był Warrie Yilliers, tak jak ja, dzieckiem opuszczonym przez rodziców. Oczywiście, ja miałam babcię Maude i to była ogromna różnica — ale mimo wszystko, ja też stapałam po pustyni. Chciałam, żeby o tym wiedział, ale nie miałam pojęcia jak mu to powiedzieć.

— Ja też długo bywałam sama, z wyjątkiem chwil, gdy jestem tutaj — powiedziałam. — To naprawdę nie jest wcale takie złe.

— Ani trochę — odparł. — Ale żałuję, że nie bywałam tutaj gdy dorastałam. Jakże wszystko byłoby inne.

Babunia Maude postawiła talerz z jajkami na bekonie przed każdym z nas i usiadła. Byłam zdziwiona widząc łyż błyszczące w jej oczach.

— Będziesz jadał z nami kolacje, dopóki nie nadejdzie czek — powiedziała — i nie sprzeciwiaj się. Wyślę dziś po południu Sukie Duschesne z paroma rzeczami potrebnymi w domu. To młoda kobieta, która pomaga mi tego lata; jej rodzice byli przez wiele lat z nami zaprzyjaźnieni. Jestem pewna, że będzie mogła poświęcić kilka godzin w tygodniu, żeby ci pomóc w domu, albo na pewno zna kogoś, kto będzie mógł. Nic sam nie zrobisz ani nie utrzymasz w porządku tego ogromnego domu.

Większość młodych mężczyzn, których znałam, automatycznie za-protestowałyby przeciw temu, by babcia sprawiała sobie kłopot z ich powodu, ale Warrie Villiers tego nie zrobił. Powiedział tylko:

— Będę bardzo wdzięczny, Mrs. Chambliss. Moja matka mówiła, że pani jest nadzwyczajną kobietą i miała rację. W przeciwieństwie do ślicznej Blanche Tennessee Williamsa, nie byłem nigdy zależny od dobroci obcych, ale jestem wdzięczny, że mogę być przez pewien czas na pani utrzymaniu. Pozwoli mi pani oczywiście załatwiać w zamian dla siebie zakupy i może dbać o pani trawniki, czy jeszcze coś innego, co mógłbym robić.

— Nonsens — odparła babunia Maude. — Mam kogoś, kto się tym zajmuje. Pozwól mi zapraszać się na kolacje dla czystej przyjemności przebywania w twoim towarzystwie. Już mówiłam, że twoja babka była

dla mnie najlepszym przyjacielem jakiego miałam w życiu, a twoja matka jest jednym z najżywszych wspomnień jakie mi pozostały z tamtych lat.

Uśmiechnął się.

— Ona to samo mówi o pani. Mówi, że bardzo dużo się od pani nauczyła. Zdaje mi się, że ona była bardzo zaprzyjaźniona z pani synem?

— Tak — odparła babcia wstając. — Podajcie mi swoje talerze, oboje, dam wam dokładkę. A twój ojciec, Warrie, czy jesteś z nim w kontakcie?

— Mój ojciec nie żyje — powiedział obojętnie. — Zginął w wypadku samochodowym w Dordogne, gdy miałem siedem lat. Jego rodzina — moi dziadkowie — niespecjalnie lubią moją matkę, ani, jak sądzę, mnie. Nie widujemy ich. Przesyłają pieniądze zgodnie z wolą mego ojca. Myślę, że sprawia im to wielką przykrość. Nie wiem dokładnie dlaczego; to nie jest dużo, a oni są bardzo bogaci. Chciałbym, żeby Maman była z nimi w lepszych stosunkach, ale co robić. Nie musiała być miła wtedy, w tamtych latach, a teraz, gdy jest... bardziej dojrzała, powiedzmy, dba tylko o to żeby się podobać młodocianym kierowcom samochodów wyścigowych. Ale myślę, że nie zrezygnowała z pieniędzy Villiersów; zgodnie z jej życzeniem studiuje finanse i ma nadzieję, że zostanie bankierem i będę przyjęty zarówno do firmy rodzinnej jak i do serca.

— A czy ty lubisz finanse? — zapytała babcia.

— Prawie tak jak lubię... jak wy to nazywacie? Root canals — powiedział. — Finanse! *Zut alors!*

To było pierwsze wyrażenie francuskie jakiego użył i tak komicznie się przy tym wykrzywił, że obie z babką roześmiałyśmy się głośno. W ciągu następnych tygodni stało się to dla nas trojga hasłem. „*Zut alors!*” wykrzykiwaliśmy, gdy coś nas zdziwiło lub zachwyciło. Wiele było takich rzeczy tego lata.

Zakochałam się w nim oczywiście, od tego pierwszego dnia. Gdy spojrzeć wstecz, wydaje mi się, że musiało się tak stać. Moje nietknięte serce, z wyjątkiem może zimnej pustki, w której nie było Mike'a Willisa, gdzie po prostu nie pozwalałam sobie zaglądać, mój umysł i ciało dojrzały do pogrążenia się w intensywności przeżyć; moje zamknięte serce było tego spragnione, poza moją świadomością. Czas nadszedł, musiał nadejść czas, kiedy żywicielska miłość babki przestała wystarczać. Tego lata z zaciekleścią dawałam folę mojej bujnej naturze; postarałam się i użyskałam pozycję zastępcy stewarda w jachtklubie i spędzałam codziennie długie godziny wykonując jakieś czarne roboty, których starszy steward by nie tknął. Ale całe to frymarczenie z łodziami, linami, brezentami, wykresami pływów, kuchennymi śmieciami i rumowiskami sztormowymi nie mogło zamaskować jakiejś miękkiej, pączkującej zieloności, która do mnie przywarła. Widzę to teraz, gdy patrzę wstecz. Wtedy nie widziałam. To musiał być zły okres dla babci Maude. Nic nigdy nie przychodziło mi łatwo. Musiała wiedzieć, że ta pierwsza miłość — bo nie mogła nie wiedzieć, że to było to — także nie była łatwa. I bez względu na to jak bardzo Warrie ją czarował i sprawiał, że się śmiała i jak bardzo wzruszała ją jego podatność na zranienie pod zimną trzeźwością, i jak głęboko czuła, że

jego odsunięcie od miejsca, które mu się z urodzenia należało, było przez nią spowodowane — choć o tym dowiedziałam się znacznie później — wiele rzeczy w Warrie Villiersie martwiło ją. Czytałam to przez całe lato w jej oczach, choć otwarcie rozmawiała ze mną o tym dopiero pod koniec.

Nie miałyby zresztą znaczenia gdyby mówiła. Starsze i mądrzejsze ode mnie kobiety nie potrafiłyby się chyba oprzeć temu połączeniu wrażliwości i zmysłowości. Ja więc zupełnie nie miałam szansy i nie pragnęłam jej. Warrie Villiers dokonał podczas tej pierwszej rozmowy czegoś, czego nie dokonałby nikt spośród moich młodych znajomych, ponieważ był niepodobny do żadnego z młodych ludzi, których znałam. Był całkowitym przeciwieństwem wszystkich chłopców w Zaciszu, których towarzystwo tak gwałtownie odrzucałam; przyjechał z Rzymu nie obciążony niczym, czego nauczyłam się bać. Gdy patrzyłam na niego i słuchałam go, nie widziałam duchów, nie czułam dreszczu rozpoznania i w ogóle nie słyszałam żadnych odgłosów dawnych dni. Widziałam tylko jego, Warrego nowego dla mnie jak poranek, nie leżała bowiem pomiędzy nami żadna przejmująca przeszłość.

Był daleki od Mike'a Willisa. Nic z jego smutku i samotności nie mogło przypłynąć do mnie od Warriego. Nic z Mike'a nie istniało w jego aurze.

Początkowo rozmawiał głównie z babką. Przychodził tak, jak prosiła, prawie każdego wieczora, jadł z nami kolację i rozmawialiśmy... raczej oni rozmawiali, a ja słuchałam, zadowolona z tego, że siedzę po prostu przy kominku i przy świetle świec, że patrzę i słucham. Nie pozostawał długo; koło dziewiątej wracał do Pięknego Brzegu, a ja kładłam się spać w wielkiej sypialni na tyłach domu i leżałam obserwując światło w górnym oknie, o którym wiedziałam, że było oknem jego pokoju, czułam jego obecność wszystkimi nerwami, tuż za kamiennym murem. Pracował do późna w nocy i przez całe dni. Nigdy nie widziałam go w jachtklubie. Z tego co usłyszałam od starych kobiet siedzących na bujanych fotelach na werandzie, bez względu na to jak starały się zwabić przystojnego, francuskiego wnuka Amy Potter na koktajle i lunche, on zawsze grzecznie im odmawiał, mówiąc że tonie w pracy dyplomowej, ale ma nadzieję, że napisze ją przed końcem lata i wtedy będzie mógł przyjąć ich zaproszenia. Dowiedziałam się, że został uznany za dobrą partię.

— Szkoda, Maude, że Darcy jest taka młoda — powiedziała stara pani Stallings do babuni Maude na herbatce czwartego lipca; słyszałam to z kuchni. Babunia przyszła do jachtklubu jako jej gość; nie chciała być członkiem klubu po śmierci dziadka. Zdecydowała, że nie będzie siadywać na werandzie i bujać się na fotelu. Nauczyłam się żeglować na kecie-zuczku, który mi kupiła, ale korzystałam z karty członkowskiej wuja Piotrusia i ciotki Sary. Babka przychodziła do klubu raz czy dwa w ciągu lata, zazwyczaj oparta na ramieniu Micaha Willisa i w towarzystwie jego syna Kaleba i synowej Beth.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Marjorie? — zapytała babcia tego popołudnia.

— Oczywiście to, że skoro on tutaj jest, to byłoby małżeństwo skojarzone w niebie, gdyby ona nie była tak młoda — powiedziała pani Stallings. — On właściwie tylko z wami rozmawia. Co za słodkie zrządzenie losu, on — wnuk Amy i naprawdę o ileż bardziej odpowiedni niż chłopiec Willisow. Wszyscy tak uważamy. Wiem naturalnie, co zawsze czułaś do Elżbiety...

— Nie, nie wiesz, Marjorie — powiedziała słodko babunia. — Nie masz zupełnie pojęcia. Oczywiście Darcy jest zbyt młoda; ma zaledwie siedemnaście lat, a on dwadzieścia trzy. To zbyt duża różnica wieku. Dzięki Bogu, on zupełnie o niej w ten sposób nie myśli i wydaje mi się, że i ona nie zwraca na niego żadnej uwagi.

W tym czasie wyłącznie zwracałam na niego uwagę i babcia o tym wiedziała. Twarz płonęła mi rumieńcem w kuchni jachtklubu, jak płonęła wieczorem przy kolacji, gdy uśmiechnął się do mnie. Jak płonęła i jak płonęło całe moje ciało w noc, gdy leżałam bezsennie patrząc w jego okno.

Ale rozmawiał zawsze tylko z babcią i głównie jej poświęcał uwagę. Różnica sześciu lat i całe złoża odmiennych doświadczeń pomiędzy nami były wprost namacalne.

Stopniowo jednak zaczął włączać mnie do rozmowy, a jego uwaga nieskrępowanie i delikatnie skupiła się na mnie i wieczory przy stole w Liberty stały się inne. Należałam teraz do kręgu trzech śmiejących się razem osób, opowiadających sobie nieważne historie o ludziach z letniska, o małym świecie Przyładka Rosier i o większym, poza nim. Zmniejszyła się różnica lat pomiędzy nami. Dokuczał mi z powodu mojej irlandzkiej krwi, ja dokuczałam mu francuską. Oboje dokuczaliśmy babuni Maude, mówiąc o jej południowej piękności. Choć zmieniałam każdego wieczora moją zdartą odzież stewarda, kąpałam się i ubierałam najstaranniej jak mogłam i próbowałam się malować, bardzo uważałam, by nie dać poznać moich uczuć dla niego. On zaś niczym nie zdradzał, że mógłby inaczej o mnie myśleć niż jak o miłej trzeciej osobie, z którą co wieczór siadywał przy stole. Naprawdę wierzyłam, że babunia Maude może być spokojna w miarę jak upływały wieczory i nic nie wskazywało na katastrofę. Raz pozwoliła nam pozmywać i poszła się położyć, następnie stało się to praktyką. I w dalszym ciągu nic się nie zmieniło pomiędzy Warrie a mną. I wciąż leżałam w ciemności, płonąc przez całe noce.

Pewnego wieczora w połowie lipca przyszedł na kolację z ogromnym brązowym puszystym młodym kotem w ramionach. Kotek przewiązany był wielką czerwoną kokardą i miał taki wyraz zachwycającego zdumienia na mordce, że babcia i ja wykrzyknęłyśmy równocześnie: „Zut Ałors!”. I tak został Zutem, zmienionym później, jak mówiłam, na Zoota, z powodu swych ekstrawaganckich getrów.

— Czy to stworzenie jest dla mnie? — zapytała owego wieczora babka, uśmiech drżał na jej ustach pomimo wysiłków, by zachować powagę. Nikt nie mógł być poważny przy Zoocie, gdy był młodym kotkiem. Był po prostu zbyt radosny, hałaśliwie zachwycony światem i wszystkim co w nim znajdował. Nigdy nie spotkał człowieka, którego by nie lubił i to uczucie na

ogół było odwzajemniane. Babunia Maude, nie przepadająca wcale za kotami, pieściła jego miękkie jak mech futro pod pyszczkiem, a Zoot mruczał w uniesieniu radości.

— Nie. To stworzenie jest dla Darcy — powiedział Warrie. — Zobaczyłem go śpiącego na półce w domu towarowym i wydał mi się tak bardzo podobny do Darcy O'Ryan, że wybuchnąłem śmiechem i musiałem się tłumaczyć, ponieważ wyprowadziłem tym panią Sylvester z równowagi. Powiedziałem więc, że mam przyjaciela, który dokładnie tak wygląda, a ona wyraziła nadzieję, że mój przyjaciel jest bardziej łowny niż ten kot, bo on jest do niczego, że chciała go oddać do okręgowego schroniska dla zwierząt. Nie mogłem do tego dopuścić. To tak jakby uspić Darcy. Nie miałem więc innego wyjścia, prawda? To jest przeznaczenie.

— To szantaż — powiedziała babunia Maude, ale śmiała się. Zoot wyciągnął grubą łapę i poklepał ją po policzku delikatnymi, motylimi uderzeniami. Oddała mi go.

— Idź się podlizywać swojej mamusi — powiedziała. — Mam dość twoich niedobrych manier. Szczerze mówiąc, Warrie, cieszę się, że nie oczarowało cię jakieś prosię czy coś w tym rodzaju.

— *Moi? Un cochon?* — powiedział Warrie, poruszając brwiami. Wyciągnęłam ręce i babcia złożyła w nie Zoota; był lekki jak z piór pod swym płomiennym futrem. Wsunął mi się pod brodę, zamknął oczy i zaczął ugniatać moje ramię wielkimi miękkimi łapami.

— Ty głupi kocie — zawołałam z radością. — Kocham cię.

Babka poszła do siebie na górę kiwając głową, a Warrie i ja zaczęliśmy zmywać. Nalałam gorącej wody do garnka, a on zmywał, nie patrzyliśmy na siebie. Coś musowało w mojej piersi jak gazowany napój przyprawiony imbirem i zdawało mi się, że mogłabym się śmiać, albo płakać, albo po prostu krzyczeć ze szczęścia.

Zoot wskoczył na zlew i siedział nieruchomy i majestatyczny, patrząc na nas wielkimi brązowymi oczami. Potem wyciągnął łapę, włożył do garnka z wodą i z namaszczeniem chlapnął nią w twarz Warrie. Wybuchnęliśmy oboje śmiechem, a ja otoczyłam mokrymi rękami Warrie i uściśnięłam go. Stał przez chwilę nieruchomo, a potem wziął mnie w ramiona i przyciągnął do siebie tak mocno, że poczułam jak moje piersi rozplaszczają się na jego ciele, a pod palcami wyczułam jego żebra. Był wysoki; moja twarz znalazła się w zagłębieniu jego szyi. Czułam uderzenia pulsu i ciepło bijące od niego przez koszulę.

Podniosłam twarz, a on pocałował mnie, długim powolnym głębokim pocałunkiem. To nie był pocałunek przyjacielski. To było coś, czego nigdy nie doznałam, ani nie wyobrażałam sobie takiego doznania. Przypomniałam sobie dopiero później, że tylko raz ktoś mnie tak całował, Mike Willis. To było jednak coś innego.

Podniósł wreszcie głowę i popatrzył na mnie z góry. Zdawało mi się, że wciąż widzę odcisk moich ust na jego wargach. Serce biło mi tak szybko, że czułam je w gardle.

— Postarzałaś się o pięć lat — powiedział ochryple.

- Czy to wystarczy? — wyszeptalam.
- Do czego? — jego głos był prawie **tak samo cichy. Brzmiał...** pośepnie.
- Do niczego. Do wszystkiego.
- Uważaj, Darcy — rzekł.
- Nie chcę — odparłam.

Skończyliśmy wycierać talerze i próbowaliśmy znów się czuć swobodnie, co w zasadzie się udało. Ale oczywiście coś nowego, tamto, drżało pomiędzy nami w powietrzu. Dotknął mojego policzka i zaczął coś mówić, a potem zamilkł. Wkrótce poszedł do domu. Stałam patrząc na zamknięte oszklone drzwi, Zoot kołysał się mrużąc i wtulając w moje ramiona; zabrałam w końcu mego kota i poszłam do łóżka. Zoot wyciągnął się wzdłuż mego boku, mrużąc w ciemności. Początkowo nawet usnęłam.

Ale mogłam przewidzieć, że nie będę spała przez całą noc i nie spałam. Obudziłam się w dwie godziny później i jakoś wyczułam, że on jest za moim oknem. Gdy wstałam i boso podeszłam do okna, zobaczyłam, że czerwony ślad jego papierosa przecina aksamitną ciemność tuż obok. Siedział na kamiennym murze oddzielającym trawnik Pięknego Brzegu od trawnika Liberty, i był tak blisko, że prawie czułam gryzący dym jego Playera.

Pobiegłam na palcach przez kuchnię, tylne drzwi, naokoło domu i podeszłam do niego. Nie mówił nic, otworzył ramiona a ja weszłam w nie milcząc, naga pod moją cienką podkoszulką. Trzymał mnie blisko, lecz nie mocno, drugą ręką jakby machinalnie obrysowywał linię mego ciała od piersi do bioder. Drżałam jak z zimna.

- Musisz poprosić — powiedział teraz. — Nie rzucam się na kobiety. Nie będę cię przynaglał.
- Proszę — powiedziałam, pijana pod jego dotykiem.
- Jesteś pewna?
- Och, tak!
- Więc... co?

Ukryłam twarz na jego piersi i trzymałam się go jak gdyby życie od tego zależało, czując się tak, jakbym zstępowała z powierzchni świata w otchłań bez dna. Lęk i pragnienie wstrząsały mną jak silny wiatr.

- Pokaż mi... coś francuskiego — szepnęłam.

Podniósł mnie w ramionach jakbym była dzieckiem, zaniósł do Pięknego Brzegu, położył na wielkiej sofie przed wygasłym kominkiem i zrobił to. A to rozdarło mnie i doprowadziło do pasji, rozpałiło od ust do stóp, zmieniło moje kości w galaretę, moje mięśnie w gąbkę, a moją krew w lawę. Wyniosło mnie krzyczącą na szczyt najwyższej góry i runęło ze mną w purpurową nicość jakby wielki ptak trzymał mnie mocno w dziobie. Płakałam, łkałam, krzyczałam i śmiałam się głośno; uderzałam w niego pięściami, trzymałam w uścisku nóg i upadałam na niego biodrami, a w pewnym momencie uderzyłam go w usta aż pociekła krew, a gdy wszedł we mnie jak strumień, a ja wybuchnęłam ogniem i zapadłam w nociść, usłyszałam jak krzyczę głośno:

— Jestem już w odpowiednim wieku! Jestem!

Leżał teraz koło mnie pałac papierosa, pot wysychał na naszych ciałach w chłodnym powiewie wiatru z zatoki tuż za Pięknym Brzegiem. Nie odzywał się, ale wciąż pamiętałam to, co mówił do mnie i ja do niego i zrobiło mi się gorąco z zażenowania na samo wspomnienie. Nie było księżycy i gdyby nie blask od jego papierosa, gdy się zaciągnął, nie widziałabym wcale jego twarzy. Zastanawiałam się czy go zmęczyłam i rozczarowałam; musiał wiedzieć, że to pierwszy raz i że nie wiedziałam co robić. Wreszcie drżącym głosem, który w moich uszach zabrzmiał ogromnie naiwnie, zapytałam:

— Czy byłam... w porządku? Czy to było dobrze?

Zaciągnął się mocno, a potem wybuchnął śmiechem.

— Dobrze? — powiedział. — *Zut alors!*

Po tym byłam stracona.

• * *

— Nigdy nie będę cię przynaglał — powiedział później tamtej nocy, tak samo jak powiedział przedtem: Nie będę cię przynaglał. — To co było dziś, nie powinno się było zdarzyć; masz dopiero siedemnaście lat. To prawdopodobnie jest tutaj prawnie zakazane. I powinnaś była mi powiedzieć, że to pierwszy raz. Pewnie to też jest zakazane ustawowo.

Nie odpowiedziałam. Czy on mógł nie wiedzieć? Myślałam, że mężczyźni mogli czasem nie wiedzieć. Była krew. Czy za każdym razem bywa krew? I czy naprawdę mógł myśleć, że robiłam tę straszną, cudowną rzecz przedtem?

— Więc już nie będziemy tego robić? — powiedziałam cichym głosem, nie patrząc na niego.

Roześmiał się i rozburzył mi włosy.

— Jesteś małą *cochon*. Nie powiedziałem, że nie będziemy. Jesteś zachwycająca i oczarowałaś mnie. Ale jeśli będziemy to robić, będziesz musiała prosić. Jak już mówiłem, ja nie przynaglam.

— No więc proszę.

— Nie dziś. Idź do domu i myśl o swoich grzechach. Och, Boże, nie tak chciałem powiedzieć — dodał, gdyż musiałam wyglądać na zasmuconą. Tak się zresztą poczułam. — Nie ma grzechu, jeśli jest tak dobrze, Darcy. Bóg stworzył nas takimi jacy jesteśmy i wierzę, że chciał byśmy się tym cieszyli. Ale co dość, to dość. Odprowadzę cię do domu. Musisz bardzo uważać wracając. Twoja babka zamknie cię w klatce, a mnie zastrzeli.

Zrobiłam, jak powiedział. Zdawałam sobie sprawę, że miał rację co do babci. Poczucie winy zamigotało, lecz było bardzo słabe i nie trwało długo. Z pewnością... na pewno musiała znać ten wspaniały ogień. Opowiadała mi przecież, mówiła nie raz, jak bardzo kochała mojego dziadka, była dokładnie w moim wieku gdy go poznała. Ale jakoś nie wydaje mi się, żeby robili... to... dopóki nie wzięli ślubu.

Przy kamiennym murze zatrzymał się.

— Nie pójdę z tobą dalej. Jeśli cię zobaczy, powiesz po prostu, że nie mogłaś spać i poszłaś pospacerować w świetle księżycy — powiedział.

Spojrzałam na niego. Widziałam tylko biały połysk jego zębów i blask jego oczu.

— Czy ty... czy będziesz nadal przychodził na kolacje?

— Oczywiście. Nic się nie zmieniło. Człowiek ciągle musi jeść. Nie wolno ci też postępować w żaden sposób inaczej.

— Nie. Ale... Warrie?

— Tak?

— Co będzie później? To znaczy, jak my...

Otoczył mnie ramionami, przytulił do siebie i powiodł palcem od mego czoła w dół, poprzez piersi aż do rąbka podkoszulki. Jego palec musiał być zanurzony w ogniu.

— Jeśli mówisz poważnie, że chciałybyś żeby to się znów zdarzyło — powiedział — zapukaj trzy razy do moich drzwi. Każdej nocy. Usłyszę cię.

I przez następny tydzień to robiłam, i nadal śmiałyśmy się i sprzecali przy stole, i dokuczali babuni Maude i Zootowi, a później podczas ciemnej nocy wykradałam się z Liberty, pukałam do drzwi Pięknego Brzegu i robiliśmy to czego mnie uczył, co rozpalało we mnie płomień i spalało na popiół, ale wciąż nie mogło mnie zniszczyć. Uczył mnie bardzo wielu rzeczy. Przypuszczałam, że francuskich.

Podczas naszej drugiej nocy użył prezerwatywy, wykrzywiony z odrazy.

— Czuję się jak szesnastolatek — powiedział. — Nie masz pojęcia ile się namęczyłem, żeby to zdobyć. Musiałem jechać do drogerii w South Brooksville; pani Sylvester prawie zemdląła, gdy zapytałem o to w domu towarowym. Mam uczucie, że ona myśli, iż owieczkom na Przyładku Rosier zagraża wielkie niebezpieczeństwo.

Niewiele brakowało a spadłabym z łóżka ze śmiechu. Wyobraziłam sobie tę scenę.

— Warrie, nie jechałeś na rowerze całą drogę do South Brooksville?

Nie miał samochodu, ale znalazł w szopie w Pięknym Brzegu stary rower, naprawił go i beztrudno jeździł na nim na swe małe wyprawy. Gdy współczułam mu z powodu roweru, uśmiechnął się szeroko.

— Nie mam nic przeciwko temu. We Francji i we Włoszech wszyscy jeżdżą na rowerach. To bardzo elegancko. Naprawdę przynoszę odrobinę kontynentalnej klasy na ten och, tak bardzo amerykański Przyładek Rosier. Chciałbym znaleźć bagietkę i wsadzić ją do koszyka.

— Nie — powiedział tej nocy. — Dosiadłem się do Kaleba, który tam jechał. Powiedziałem mu, że to sprawa dobroczyzna. I była. Ale nie cierpię tych rzeczy. Wiem, że to absurd pomyśleć, że można by tu zdobyć pigułki, więc zadzwoniłem do przyjaciela w Nowym Jorku i już są w drodze. Musisz je przyjmować. Są bezpieczniejsze i nie zaszkodzą ci.

— Dobrze — powiedziałam niepewnie, i gdy po kilku dniach przyszły na pocztę małe paczuszki, wzięłam je. Ale nigdy nie chciałam tego robić. Było w tym coś... wymyślonego. Coś cynicznego. Nie mogłam już udawać sama przed sobą, że każdej nocy przeżywałam poryw.

Pewnego wieczora pod koniec lipca babunia Maude czekała na mnie na werandzie, gdy wróciłam z jachtklubu. Jej twarz była napięta, blada i nie uśmiechała się.

— Usiądź na chwilę, kochanie — powiedziała. — Chciałabym z tobą porozmawiać.

O Boże, odkryła, pomyślałam, serce zaczęło mi uderzać jak młot. Ktoś mnie widział. Usiadłam w milczeniu na podnóżku wielkiego wiklinowego fotela i patrzyłam na nią, małą i wyprostowaną. Koło niej Zoot wyszczerzył pyszczek w swym etruskim uśmiechu i odwrócił się na plecy, wystawiając swe wielkie łapy w powietrze. Nic nie mówiłam. Czekałam.

— Usłyszałam dziś coś, co bardzo mnie zmartwiło — powiedziała wreszcie. Było oczywiste, że te słowa dużo ją kosztowały. — Wnuczka pani Winslow — znasz przecież małą Gretę — spotkała Warriego w Nowym Jorku, zanim przyjechała tutaj, na jakimś przyjęciu i powiedziała swej babce, że... jego matka wysłała go tutaj, ponieważ wczesną wiosną zdarzyła się w Rzymie jakaś brzydka sprawa z córką kogoś z naszej ambasady. To dziecko miało zaledwie szesnaście lat, a tam wchodziły w grę narkotyki i przerwanie ciąży, które omal jej nie zabiło. Myślę, że z tego powinna być kryminalna sprawa ze względu na wiek dziewczyny, ale jej ojciec zgodził się nie zaskarżać Warriego jeśli on... wyjedzie. Sądzę, że rozumiesz, że nie możemy go już więcej zapraszać na kolację. I nie chcę, żebyś z nim przestawała. Wiem, że go bardzo lubisz — ja także — ale to jest nie do przyjęcia.

— Nie wierzę w to — rzekłam spokojnie; w uszach mi dzwoniło. Lodowa skorupa tworzyła się wokół mego serca.

— Kochanie, wiem jak ci ciężko. Ja też byłam skłonna w to początkowo nie wierzyć, ponieważ jest nam tak drogi, i nie dał żadnego dowodu a wiadomość wyszła od Winslowów, więc musiałam sprawdzić. Powinnaś o tym wiedzieć. Zadzwoiłam... dzwoniłam w różne miejsca. Piotruś zna wiele osób z ambasady w Rzymie, przez bank, i powiedział mi z kim się skontaktować. Wygląda na to, że to jednak prawda. Strasznie mi przykro.

— To kłamstwo. Ktoś kłamie. Ludzie zawsze kłamią, jeśli mężczyzna jest atrakcyjny — powiedziałam mrukliwie. — Nie mogę uwierzyć, że po prostu... przyjął na wiarę czyjeś słowa... nie zapytawszy jego samego. Zapytaj go. Zrób to.

Słyszałam jak mój głos się podnosi. Zamilkłam. To nie była prawda, oczywiście, że nie. Porozmawia z Warriem, on to wyjaśni, kolacje będą trwały. Moje życie będzie trwało.

— Mam taki zamiar — powiedziała, patrząc na mnie uważnie. — Nie podjęłabym żadnych kroków, nie zrobiwszy tego. Ale zanim to zrobię, nalegam na to, co powiedziałam, żebyś go nie widywała. Musisz mnie

posłuchać. Nie chciałybym odsyłać cię do domu, ale postąpię tak, jeśli będę zmuszona.

— A gdzie myślisz, że go zobaczę, jeśli nie przy kolacji? — zapytałam z gorzkim wyzwaniem. — Czy myślisz, że uprawimy szaleńczą miłość w jachtklubie podczas mojej przerwy na lunch? Albo podczas ciemnej nocy w jego małym białym łóżku?

I serce mi zamarło, bo rzeczywiście sypiał w małym białym żelaznym łóżku z białymi prześcieradłami i białą bawełnianą plisowaną narzutą.

Ale ona tylko potrząsnęła ze zmęczeniem głową i powiedziała:

— Nic takiego nie myślę. Po prostu... tak bardzo bym chciała żebyś była bezpieczna, moja droga Darcy. Nie mogłam zapewnić bezpieczeństwa mojej córce. Myślałam, że potrafię to uczynić dla wnuczki.

Mój gniew opadł. Znowu powróciło odrętwienie. Niedługo wszystko będzie dobrze.

— Wiem, babuniu Maude. Ale Warrie mnie nie skrzywdzi, zapytaj go. Po prostu to zrób.

Poszła niemal natychmiast. Czekałam na werandzie, kołysząc w ramionach Zoota, gdy ona obeszła dom i przeszła przez przejazd do Pięknego Brzegu. Poprzez szum w uszach słyszałam jak wołała:

— Warrie? Tu Maude Chambliss. Czy mogę wejść na chwilę? — a potem nie słyszałam nic prócz tego głębokiego, odległego huczącego grzmotu, który zawsze wydawał mi się prawdziwą muzyką ziemi. Dawała się słyszeć na Przylądku Rosier, gdy powietrze było bardzo spokojne. Usiadłam i czekałam. Niedługo, zaraz, bieg się włączy i życie potoczy się dalej.

Wróciła ciężkim krokiem. Zrozumiałam, że jej nie przekonał, że to było kłamstwo.

Stanęła przede mną na werandzie i powiedziała:

— Warrie nie przyjdzie już więcej na kolację. Ta historia może jest, a może nie jest prawdziwa — wierzę, że jest — on jest dla ciebie niebezpieczny. Jego matka zawsze była chwiejna, zawsze stanowiła zagrożenie dla innych i uważam, że z nim jest tak samo. To bardzo, bardzo wielka szkoda; dorastając w taki sposób jak dorastał, nie może chyba być inny. Ale ja nie mogę tego zmienić. Nie będziemy już więcej o tym mówić. Jeśli mnie nie posłuchasz i będziesz próbowała się z nim zobaczyć, odeślę cię natychmiast do internatu Świętej Anny.

— Nie wierzę ci! — zawołałam.

— Nic na to nie mogę poradzić — powiedziała moja babka i weszła na schody. Była w połowie drogi gdy zobaczyłam, że jej szczupłe ramiona opadły. Nie przejęłam się tym. W tym momencie nienawidziłam jej tak, jak nigdy nikogo.

Jadłyśmy kolację w milczeniu. Jego nieobecność była żywa, mocniej dawała się odczuć, niż kiedykolwiek jego obecność. Lśnił i tańczył w powietrzu pomiędzy nami. Nie wspominałam go, w ogóle nic nie mówiłam, odpowiadałam tylko na kilka pytań, które mi zadała. Starałam się nie dąsać ani nie płakać, trzymać się prosto i zachowywać spokojną

twarz. Jej twarz była nieruchoma jak maska pośmiertna i niemal równie biała. Nie mówiłyśmy już o nim. Położyła się zaraz, gdy pozmywałyśmy i gdy tylko zobaczyłam, że zgasło u niej światło na górze, przeszłam przez drzwi i przez mur do Pięknego Brzegu.

Czekał na mnie przy drzwiach. Nie poszliśmy do jego sypialni; położyliśmy się na podłodze tuż za zamkniętymi drzwiami, jakby rozdzielenie naszych ciał przez chwilę dłużej oznaczało śmierć z głodu. Dopiero później weszliśmy na ciemne schody i dopiero po zamknięciu drzwi małej sypialni, zapalił lampkę i papierosa i spojrzał na mnie, uśmiechając się nieznacznie. Uśmiech nie objął jego oczu.

— Nie wierzysz więc w to — powiedział.

— Mój Boże, oczywiście, że nie — odparłam. — Nigdy nie uwierzyłabym w coś podobnego o tobie. Ale skąd to na Boga mogło wyjść? Babcia nie jest skłonna do wydawania wyroków. Mógłbyś to powstrzymać, gdybyś wiedział skąd bierze początek.

— Była w Rzymie dziewczyna — powiedział spokojnie, a moje serce ścisnęło się z bólu i lęku. — Była w ambasadzie. Ale miała dwadzieścia pięć lat, a nie szesnaście i była telefonistką, a nie córką urzędnika ambasady. I nigdy jej nie zmuszałem. Mówiłem ci, że nigdy tego nie robię. Porzuciłem ją jednak. Była nieprawdopodobnie zazdrosna i żadna posiadania. Nie mogłem tego ścierpieć. Powiedziała, że będę żałował. Możesz mi wierzyć, że żałuję. Bardzo lubię twoją babcie. I będzie mi więcej niż przykro stracić ciebie.

— Nie stracisz mnie — powiedziałam, obejmując go ramionami. — Będzie tak jak jest do... do końca lata.

Bardziej niż czegokolwiek pragnęłam powiedzieć — dopóki nie wyjedziemy razem po Dniu Pracy, ale nie powiedziałam tego. W uszach brzmiały mi jego słowa o zazdrości i żądzy posiadania.

— Jeśli naprawdę chcesz. Ale nie możesz już chodzić przez dom — rzekł. — Możesz wyjmować szybę z okna i wkładać ją na miejsce po powrocie. W ten sposób będziesz od razu przy murze i tylko o kilka kroków od moich drzwi frontowych, nie będziesz musiała okrążać domu.

— Zrobię tak — powiedziałam. — Jej pokój jest na górze i od frontu. Nigdy nie usłyszysz, jeśli będę wychodziła przez okno. Zrecznie to wymyśliłeś i to, że zająłeś pokój, z którego światła ona nie widzi. Zastanawiałam się, dlaczego wybrałeś ten mały, gdy inne, większe pokoje, są puste.

— To był pokój mojej matki — odrzekł. — Spodobał mi się pomysł spania w tym pokoju.

Później, gdy się znów kochaliśmy i nadszedł już prawie czas, bym wróciła do domu, a słabiutki blask światła pojawił się w ciemności nad zatoką, zapytałam:

— Warrie, co jej powiedziałaś, gdy zapytała cię o tę historię? Powiedziałaś jej o dziewczynie w ambasadzie?

— Tak — odparł. — Myślałem, że mogła mi uwierzyć, ale potem powiedziała, że mam więcej nie przychodzić na kolację i nie widywać ciebie. Chyba uważa, że jestem dla ciebie niebezpieczny.

— Co na to odpowiedziałeś?

— Powiedziałem, że nie jestem bardziej niebezpieczny dla ciebie niż moja matka była dla niej.

— Nie mogę tego zrozumieć — rzekłam. — Czy twoja matka mogła przed laty w jakiś sposób zagrażać babuni Maude?

— Dziewczyna nie mająca jeszcze dwudziestu lat? Nie mogę sobie wyobrazić w jaki sposób, a ty możesz?

— Nie — odparłam. — Naprawdę nie mogę.

Przez parę następnych tygodni robiliśmy po prostu to co dawniej. Jego czek nie nadszedł, ale był obiecany teraz pod koniec sierpnia, nie miał więc innego wyboru, jak pozostać w Pięknym Brzegu i zajmować się swoją pracą dyplomową. A ja nie miałam innego wyboru jak wypełniać moje obowiązki w jachtklubie jak gdyby noce, na które czekałam nie paliły mnie jak rozżarzony węgiel. Babunia Maude i ja jadłyśmy samotnie kolacje i stopniowo, przynajmniej powierzchownie, nasze wzajemne stosunki zaczęły powracać do normy; uśmiechała się i mówiła o swoich zwykłych, związanych z latem sprawach, o moim następnym, ostatnim, roku pobytu w internacie, i o tym, co chciałabym potem robić, jaka uczelnia, jakie plany na przyszłość. Ale jej głos był słaby i zdawała się cały czas walczyć ze zmęczeniem, jak ktoś, kto bardzo powoli wraca do zdrowia po ciężkiej chorobie.

Odpowiadałam tak lekko i wymijająco jak tylko mogłam, zarysowując skomplikowane plany, związane z uczelnią i dalszą przyszłością, które nigdy się nie ziszczą, ponieważ — oczywiście — będę gdzieś z nim. Nie wątpiałam w to. Nie mieliśmy żadnych określonych planów, ale rozmawialiśmy o tym. Dzięki temu mogłam znieść to wszystko.

Poruszyłam ten temat pewnej nocy, serce biło mi jak młotem i podchodziło do gardła, gdyż zdawałam sobie sprawę z ryzyka jakie podejmuję. Ale nie mogłam żyć dłużej nie mając pewności, że nasz związek będzie trwał. Lato się kończyło. Słońce miało teraz inne położenie, a berbersowy żywopłot przed Liberty zabarwił się czerwienią. Dopiero poprzedniego dnia zobaczyłam po raz pierwszy nierówny trójkąt dzikich gęsi na zaczerwienionym niebie.

— Widziałam wczoraj dzikie gęsi odlatujące na południe — powiedziałam lekko, leżąc w ciemności naga w jego ciemnych ramionach. — Odlecis z nimi niedługo. Będę zgubioną owieczką, gdy ciebie nie będzie.

— Może nie — odparł, schylając swą ciemną głowę i całując moje piersi.

— Może co nie?

— Może nie będziesz musiała być zgubioną owieczką.

— Dlaczego? Czy mam pojechać do Francji?

Powiedziałam to lekko, moje serce uderzało jednak tak mocno, iż pomyślałam, że je usłyszy.

— Nie zniosłabyś tego mała purytanko — powiedział leniwie. Położył rękę pomiędzy moje nogi, a ja przycisnęłam ją mocno.

— Więc do Włoch?
— Tam jeszcze gorzej.
— Więc jak mogę nie być zgubioną owieczką? W jaki sposób będę cię widywać?

— Myślałem, że może mógłbym tu pozostać — odparł. — Poznać trochę kraj. Skończyć gdzieś studia. Pozostał mi tylko trymestr: oczywiście, jeśli będę mógł zaliczyć tutaj moje dotychczasowe studia. Co myślisz o Atlancie? Czy mają w Atlancie dobre uczelnie? Czy mogę nauczyć się czegoś co zapewni mi dobre warunki życia na ziemi „Przeminęło z wiatrem”?

— Och, naturalnie — moje serce śpiewało. — Politechnika i stanowy uniwersytet Georgii mają doskonałe wydziały finansów. Możemy... mógłbyś chodzić na zajęcia, a ja mogłabym pracować i pomóc ci skończyć szkołę — zamilkłam, oblewając się rumieńcem. Daleka droga była od szkoły w Atlancie do wspólnego tam życia.

— Nie pozwolę na to, by mnie utrzymywały kobiety — powiedział. — Jest bardzo dużo młodych Francuzów i Włochów takich jak ja w Nowym Jorku, którzy tak postępują, objają się i żyją z tego, co ich kobiety przynoszą do domu. Zdaje się, że nazywają nas europejską hołotą. Nie będę tego robił.

— To nie trwałoby długo, tylko dopóki byś nie skończył.

— Nie. Chcę, żebyś poszła do college'u i zdobyła stopień; to jest konieczne. To nie znaczy, że ja nie byłbym z tobą w tym czasie. Tylko po prostu nie możesz mnie utrzymywać. Podołam temu.

Usłyszałam tylko, że „byłbym z tobą w tym czasie”. Ogarnęła mnie radość.

— Tak się bałam, że myślisz, iż jestem zbyt młoda lub zbyt nudna — wyszeptalam w jego szyję. — I te wszystkie egzotyczne cudzoziemskie kobiety, które ciągle widzisz.

— Darcy, jesteś jaką chcesz być, tylko nie nudna — odpowiedział. — Masz rację, widuję przez cały czas egzotyczne cudzoziemskie kobiety. Ale nieczęsto widzę żywą Wenus w muszli. Ty jesteś pierwsza.

— I ostatnia?

— Nie zdziwiłbym się.

— O Boże — westchnęłam. — Chcę... Warrie, powiedzmy babuni Maude. Chodźmy ją obudzić i powiedzieć jej. Zobacz, że to wszystko nie było prawdą, że miałeś... uczciwe zamiary...

— Nie — powiedział. — Ona mi nie uwierzy, Darcy. Musisz mi uwierzyć na słowo. Wyśle cię do domu — albo co gorsza, odetnie twój fundusz powierniczy — a ja nie mogę jechać dopóki nie nadejdzie mój czek. Nie mów nic jeszcze. Kiedy czek przyjdzie, we wrześniu, powiemy jej.

Nie miałam żadnego funduszu powierniczego, o którym bym wiedziała, ale to nie miało dla mnie najmniejszego znaczenia.

— Powiemy jej... co? — musiałam to usłyszeć.

— Powiemy jej, co będziesz chciała, kochana.

Siedziałam więc nadal przy stole w Liberty i opowiadałam mojej babce świadome i przemyślane kłamstwa i czekałam, aż nadejdzie jesień i czek, które nas uwolnią.

W ostatnim tygodniu przed Dniem Pracy nie miałam menstruacji. Początkowo nie przejęłam się tym; po prostu nie kojarzyłam braku tej pojawiającej się z precyzją zegarową fali czerwieni z tym co Warrie Villiers i ja robiliśmy podczas nocy w Pięknym Brzegu. Czy nie brałam pigułek? Czy nie mówił, że wszystko będzie w porządku?

Ale nigdy nie miałam opóźnienia. I odczuwałam dziwny mocny ucisk pod piersiami i jakby ożywienie, gdy ich dotykałam. Dobry Boże, czy mogłam zająć w ciąży? Wstyd i lęk wpojony przez zakonnice wydobyły się z wrzeniem na powierzchnię, ale odepchnęłam je i próbowałam o tym myśleć. Cięża. Dziecko. Dziecko Warriego i moje: mała rzeczywista osoba, mająca może moje rude włosy i jego mocne rysy, moją białą skórę i jego cygańskie oczy. Dziecko, które poczęliśmy razem i które było tylko nasze, tylko moje. Moje. To bardzo dorosła sprawa, mieć dziecko. Będzie bardzo uradowany, oczywiście, że będzie. Syn. Wszyscy mężczyźni chcą mieć syna, prawda?

Ale jakoś mu o tym nie powiedziałam. Tydzień przeszedł i nic się nie zmieniło. Coraz bardziej byłam pewna, lecz nie powiedziałam mu. Kochaliśmy się nocami dłużej, mocniej, częściej niż kiedykolwiek przedtem i nie mówiłam o tym.

Dzień Pracy, myślałam. Wtedy mu powiem. Gdy skończy się moja praca w jachtklubie, gdy nadejdzie czek, gdy babunia Maude zacznie nas pakować na drogę. Wtedy będziemy musieli coś ostatecznie zaplanować. Wtedy mu powiem.

Wieczorem po moim ostatnim dniu pracy w klubie, po uprzątnięciu bałaganu po ostatnich regatach, gdy komandor wręczył mi ostatnią kopertę z wynagrodzeniem, gdy babunia Maude i ja zjadłyśmy kolację wśród na pół spakowanych skrzynek i walizek, a ona poszła się położyć przed wyjazdem z Zacisza, przeszłam przez okno i przez mur do Pięknego Brzegu, by powiedzieć memu kochankowi o dziecku.

Na podjeździe stał samochód, postawiony przed frontem domu, tak że nikt nie mógł go zobaczyć z drogi. Miał nowojorską tablicę rejestracyjną, był długi, lśniący i niski, wyraźnie zagraniczny, choć nie wiedziałam jaki. Nie było widać żywego ducha, tylko światło paliło się w jego sypialni na górze. Czy może nadszedł czek i on kupił tę lśniącą maszynę? Ale gdzie mógł znaleźć coś takiego na Przylądku Rosier? Zapukałam trzy razy, to był nasz sygnał.

Nie wyszedł. Zapukałam znowu. Nie wyszedł. Pukałam i pukałam, zaintrygowana — wreszcie wyszedł, otwierając drzwi nagłym szarpnięciem. Był wilgotny i nagi, wokół szczupłej talii miał okręcony ręcznik. Włosy miał mokre, twarz zamkniętą, pełną niecierpliwości.

— Wyciągnęłam cię spod prysznic — powiedziałam. — Przepraszam. Chciałam wejść, ale zagroził drzwi ręką, zatrzymując mnie.

— Nie dziś, Darcy — rzekł. — Nie jestem sam. Niespodziewanie

przyjechał przyjaciel z Nowego Jorku. Zobaczymy się... później. Może jutro w nocy.

— Ale... bardzo bym chciała poznać twego przyjaciela — powiedziałam niepewnie. Co się z nim dzieło? Dlaczego jego twarz była taka obca i zimna?

— Powiedziałem, że nie dziś. Już jest późno i jestem zmęczony. Idź teraz do domu. Zobaczę się z tobą, gdy... Zobaczymy się później.

— Muszę ci coś powiedzieć — wyszeptałam.

— To może poczekać — odrzekł.

— Nie.

— Warrie? Gdzie jesteś? Wracaj do łóżka, zmarzłam — przypłynął po schodach głos. To był głos kobiety. Miał, tak jak jego głos, nieznaczny obcy akcent. Świat zakręcił mi się w koło i zadzwoniły dzwony; mgła przesłoniła mi oczy.

— Widzę, że twoje wiadomości o hołocie europejskiej pochodzą z pierwszej ręki — powiedziałam.

Wzruszył ramionami.

— To nie ma znaczenia, przykro mi, że odkryłaś. To nic nie zmieni. Idź do domu. Zobaczymy się jutro; ona nie zostanie. Jest przejazdem.

Odwróciłam się i poszłam z powrotem przez kamienny mur i okno i usiadłam na krawędzi łóżka. Zoot wydał cichy wibrujący trel a ja podniosłam go i ukryłam twarz w jego futrze, a potem postawiłam go z powrotem na podłodze. Siedziałam i patrzyłam na Piękny Brzeg; mniej więcej w pół godziny później, światło na górze zgasło. Po upływie następnej pół godziny biały zamglony świt zaczął wstawać nad zatoką Penobscot. O pierwszym brzasku byłam w połowie drogi na ciężkich od mgły wodach ciągnących się do Wyspy Rybołówów. Ranek był zimny i zerwał się wiatr, który wzburzał i ścinał wodę. Wiedziałam, że z nadejściem zimy będzie lodowaty.

Za skalistą plażą opuściłam żagiel i zarzuciłam kotwicę. Spojrzałam z powrotem na wybrzeże i nie widziałam go; spojrzałam w dół na zimną zieloną wodę. Widziałam tylko niewielki jej odcinek. To w tej wodzie zginął mój mały brat i babunia Maude płakała jeszcze czasem z żalu po nim. W porządku, więc. I ja tu zginę. Potem niech sobie po mnie płaczą. Albo nie. W tym momencie nie obchodziło mnie to, ani nic innego. Wziawszy głęboki, rozpaczliwy oddech, zeskoczyłam z łodzi do zatoki.

Mój zamiar, jeśli można tak to nazwać, był taki, żeby spaść i po prostu dryfować, tak, by zimno ogarnęło mnie zanim utonę. Słyszałam, że w ciągu kilku sekund człowiek staje się drętwy, że przestaje czuć cokolwiek poza sennością, sennym zielonym spokojem. To on zabierał ciebie, a nie dławiąca woda.

Ale to nie była prawda. Woda była straszna, obien i ból, ciemność i cierpienie przekraczające ból. Zakrztusiłam się i moje płuca zapłonęły ogniem, walczyłam, wyginałam się w łuk, kopałam i wiedziałam, że to była śmierć, a nie spokój w zieleni. Zaczęłam bać się jej bardziej niż czegokolwiek innego, bardziej nawet niż utraty Warriego. Walczyłam, by wydobyć się na powierzchnię daleko nade mną, spętana przez dzinsy

i sweter. Akurat, gdy byłam pewna, że moje płuca spłoną, dotarłam do powierzchni. Mała łódka kołysała się w oczekiwaniu. Dopłynęłam do niej ciężko i niezgrabnie i wgramoliłam się z trudem na pokład, przewracając się niemal. Potem ustawiłam żagiel tak, by płynąć w kierunku jachtklubu. Gdy ukazał się spoza mgły, poczułam, że chwytła mnie skurcz żołądka, wzdłuż nóg poczułam spływające ciepło, co oznaczało krew i zrozumiałam, że jeśli było tam dziecko, to już go nie ma. Zanim dotarłam do przystani drżałam cała tak mocno, że Kaleb Willis, który tam był i wyciągał z wody ket młodych Thorne'ów, musiał podpłynąć łodzią i przyholować mnie. To on mnie zaniósł otuloną w koce i wstrząsaną drżeniem i łkaniem do Liberty.

Poprzez ból i ogarniające mnie brzęczące początki zapalenia płuc, od którego omal nie umarłam, zobaczyłam ponad jego ramieniem, że samochód sprzed Pięknego Brzegu odjechał, a dom był zamknięty i żaluzje spuszczone. Odwróciłam się twarzą do jego piersi. Nie zdziwiło mnie ani to, ani nic innego.

Potem przez dwa tygodnie byłam bardzo chora w szpitalu w Castine. Babunia Maude została, by mnie pielęgnować z Beth Willis; pamiętam tylko strzępy z pierwszego tygodnia, tak jak się pamięta coś z gorączkowych snów. Gdy powróciła jasność, byłam zbyt zmęczona, by mówić, więc milczałam. Nie było nic do powiedzenia. Babunia Maude zdawała się wiedzieć. Siedziała przy mnie czytając głośno lub robiąc na drutach i patrząc na mnie dopóki ktoś nie zmusił jej by poszła do domu, a potem Beth Willis albo nocna pielęgniarka zastępowały ją. Nic nie mówiłam do żadnej z nich. Zdawała mi się, że Mikę przyjechał z Bostonu, ale to mógł być obraz zrodzony z gorączki; do niego też się nie odzywałam. On nie wrócił. Nie pytałam czy był rzeczywisty, czy to było widmo.

W zimny błękitny poranek w pierwszym tygodniu października, babunia Maude, Kaleb i Beth Willisowie odwieźli mnie do Bangor i wsadzili razem z bagażem do samolotu. Pojechałam prosto do lecznicy w internacie; mój ojciec był za interesami w Limie i nie można było się z nim skontaktować, a siostra przełożona, z którą babunia rozmawiała, zgodziła się bym zaczęła pod kierownictwem nauczycielek przerabiać niektóre lekcje w łóżku. Byłam w stanie trochę się uczyć, ale byłam tak słaba, że nie mogłam siedzieć dłużej niż trzy, cztery godziny na raz. Spałam bardzo dużo, bez końca. Babunia bała się mnie puścić, ale uważała za bardzo ważne, bym nic nie straciła z ostatniego roku.

Dla mnie nic nie miało znaczenia. Mogłam równie dobrze być u Świętej Anny jak gdziekolwiek indziej, byle nie w Zaciszu.

Gdy odwróciłam się by wejść do samolotu na lotnisku w Bangor, przytuliła mnie mocno do siebie, poczułam jej gorące łzy na mojej zimnej twarzy.

— Uważaj na siebie, kochanie — szepnęła. — I przebacz, że nie potrafiłam lepiej sobie z tym poradzić. Wynagrodzimy to sobie w przyszłym roku w lecie. Obiecuję.

Wiedziałam jednak, że nie będzie następnego lata, nie w tym pięknym, załóczyłym miejscu, nie dla mnie. Myślałam tego ranka, że ona wie o tym także.

I tak nie miało to żadnego znaczenia.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

— Powinnaś była mi powiedzieć, że on tu jest.

Trzy tygodnie minęły od mego przybycia do Zacisza samochodem Kutwy Greena. Stałam na werandzie w kałuży żółtego słońca, patrząc ponad murem na Piękny Brzeg. Na podjeździe stał czarny zagraniczny sedan z międzynarodową rejestracją i zobaczywszy go zrozumiałam, że Warrie Villiers wrócił.

Gdy powiedziałam to babuni Maude, poznałam po wyrazie jej twarzy, że też o tym wiedziała. Przyznała to bez skrępowania. Był w Zaciszu od końca kwietnia, powiedziała; mówił jej o tym Micah Willis. Był tutaj gdy przyjechała. Przed moim przybyciem wyjechał na kilka dni do Portland, Bostonu i Nowego Jorku; sam jej o tym powiedział. Miał tam jakieś interesy do załatwienia. Warrie wrócił zaopatrzony najwyraźniej w poważne środki pieniężne i skupował teraz posiadłości w Zaciszu.

Dokonał już kilku zakupów, głównie od starych wdów, przyjaciółek Maude, tych, którym przysługiwały przywileje werandy. Wiele z nich, kruchych, obciążonych śrubą podatkową i kosztami ubezpieczenia, nie mogących znaleźć całodziennej pomocy do prowadzenia wielkich domów, a których dzieci zupełnie nie interesowały się letniskiem, uważało, że Warrie Villiers to właśnie odpowiedź na ich modlitwy. We wszystkich przypadkach zapewniał je, że będą mogły pozostać w swych domach do końca życia. A jeśli w ogóle odsprzedałby domy, to tylko takim ludziom, którym letnisko podoba się takie jakie jest. Ich rodziny i przyjaciele mają prawo pierwokupu. Co w tym, mówiła jedna do drugiej, mogłoby być złego? Ceny, jakie proponował były wspaniałe; ostatecznie był przecież Potterem i stale powtarzał, że jedynym jego celem jest utrzymanie Zacisza nie zniszczonego i chronionego tak, jak zawsze było. W całym stanie Maine stare kolonie letniskowe i domy sprzedawane były napierającym falom obcych, nowych ludzi, którzy zupełnie nie przestrzegali dawnych, spokojnych, uświęconych obyczajów, którzy najwyraźniej chcieli zrobić z Maine i tego starego przylądka nowe wersje Palm Beach, Southampton, Cape Cod. Jeśli Warrie Villiers mógłby temu zapobiec, to naprawdę jest ich wybawicielem.

— Jest tego lata ulubieńcem kolonii — powiedziała babunia Maude. — W każdym razie dużej części. Wiele starszych osób pamięta go, gdy był małym chłopcem, a to jest tutaj czymś, co rozbraja. Rodzina najważniejsza. Zawładnie tu w końcu wszystkim.

— Dla mnie może być właścicielem Zacisza i jeszcze na dodatek Bangor — rzekłam. — Powinnaś była mi powiedzieć.

Dawny lęk, o którym myślałam, że zaczął zamierać pod ciężarem Zacisza, tak jak ogień pod wilgotnymi liśćmi, wystrzelił w górę i znów zaczął pełzać.

— Wiem — odparła. — Rzeczywiście powinnam. Ale bałam się, że wyjedziesz zanim zobaczysz, jak niewielką krzywdę mógłby ci teraz wyrządzić. Nic w nim już prawie nie ma z... tego młodego człowieka, którego znałaś. Jest gruby, łysawy i myślę, że sporo pije. Słyszałam, że rozwiódł się ze swą drugą żoną, Włoszką; duża część jego pieniędzy to jakieś rozliczenia z nią. Reszta, to chyba spadek po matce. Umarła w zeszłym roku w prywatnej lecznicy w Nicei. Słyszeliśmy, że to było zapalenie wątroby, ale mogło to być wszystko. W każdym razie nie ma w nim już dawnej mocy. Przynajmniej fizycznie. I chciałam, żebyś to zobaczyła. Gdybym ci to powiedziała zaraz po twoim przyjeździe, wsiadłabyś po prostu do samochodu i odjechała.

Milczałam.

— Czy dasz sobie z tym radę?

Stała na werandzie, otaczając mnie ramieniem, lecz nie patrzyła na mnie, a jej głos był cichy, niemal niedosłyszalny. Nie słyszałam nigdy, by tak był słaby odkąd tu przyjechałam.

— Babuniu Maude — powiedziałam. — Nie wydaje mi się, bym trzy razy o nim pomyślała odkąd stąd wyjechałam. On jest historią. Pozostanie historia.

Wtedy na mnie spojrzała. Jej ciemne oczy były zamglone, nieobecne.

— Postąpiłam niewłaściwie tamtego lata — rzekła. — Zawsze żywiłam do niego niedobre uczucia. Wydawał się taką małą zagubioną istotą. Być jej synem to straszna rzecz; szkody, jakie poniósł były widoczne już wtedy, gdy był bardzo mały. Ale powinnam była to powstrzymać. Źle zrobiłam, że dopuściłam nawet do tego, by się zaczęło, a cóż mówić o trwaniu tej sprawy. Po prostu nie pasowaliście do siebie.

— Równie dobrze mogłabyś powstrzymać lawinę — odparłam.

— Tak — i spojrzała na mnie, powracając w tym momencie do rzeczywistości. — Mogłam go powstrzymać. Powstrzymałam jego matkę.

— Jego matkę? W jaki sposób?

Spojrzała ponad murem i zagranicznym samochodem na połyskującą zatokę.

— Tak się tylko wyraziłam. Elżbieta zawsze przynosiła zmartwienie. Udało mi się w końcu przekonać ją, żeby... stanęła na własnych nogach.

— Musiała być bardzo piękna — powiedziałam. — On mówił... tamtego lata... że miała rude włosy tak jak ja.

Babunia Maude odwróciła się.

— Nie, nie takie jak twoje. Twoje są jak żywy płomień. Jej były... to była czerwień starej krwi. Elżbieta nie była po stronie życia.

— W każdym razie powinnaś była mi powiedzieć. To byłoby straszne, gdybym wpadła na niego.

— Nie dopuściłabym do tego — odrzekła. — Chciałam, żebyśmy najpierw spędziły kilka miłych chwil razem. I tak było, prawda kochanie?

Tak było. Pomimo męczącego napadu lęku — a może właśnie z powodu niego — trzy tygodnie były dziwnie pełne spokoju. Gdy patrzę wstecz, widzę jak bardzo babka się trudziła, by mogły być takie; olbrzymi jej wysiłek umożliwił to poczucie pełni i nieskończoności czasu. Spędzałam dużą część każdego dnia sama, przemierzając dawne ścieżki w lasach i wzdłuż urwisk, wypływając łódką wuja Piotrusia w chłodne wczesne poranki albo siedząc na skałach pod Pięknym Brzegiem i patrząc na chmury kłębiące się nad Islesboro i Wyspą Sarenki. Ale jakąś część dnia zajmowały prawie zawsze wyprawy wymyślone przez babunię Maude. Pamiętając jak bardzo nie lubiła tego co nazywała „bieganiem w kółko” podczas wakacji, które z nią spędzałam, i widząc teraz jak bardzo była drobna i krucha, mogłam się tylko zastanawiać ile kosztowały ją te dni. A jednak wiem, że w jakiś sposób były jej pożywieniem, tak jak moim. Czytałam to w jej twarzy, widziałam w jej sposobie poruszania się.

To były trzy tygodnie spędzone głównie w towarzystwie kobiet. Codziennie woziłam niewielkie ich stada: na lunch w małych miasteczkach wzdłuż wybrzeża, gdzie znały restauracje, które chciały wypróbować albo miały swoje ulubione; do sklepów z antykami i z rupieciami aż w Bar Harbor; do fryzjera i na wizyty lekarskie, a potem na Bloody Mary i lunch. Zobaczyć galerie, muzea i widoki, które przez pół wieku były integralną częścią ich życia w tym miejscu. Zabierałam je do czytelnicy, by wymienić książki, na koncerty kameralne w Blue Hill. A kiedyś babunia Maude, stara pani Thorne z Ogrodu Mary i prawie niewidoma stara pani Stallings, ostatnia ze starych dam z Compound, i ja — pojechałyśmy do Castine i tam robiłyśmy popołudniowe zakupy, a potem zjadłyśmy obiad w starym wspaniałym hotelu Pentagoet i spędziwszy tam noc, wróciłyśmy następnego dnia rano śpiewając jak dzieci z Yaycamp gdy podjeżdżałyśmy na Caterpillar Hill: „Pracowałam na kolei, przez cały boży dzień...”

Ale na szczycie Caterpillar Hill babunia Maude odwróciła twarz i zamknęła oczy, a ja byłam zła na siebie, że wybrałam tę drogę, dopiero wtedy sobie przypomniawszy, że to się wydarzyło właśnie tu, w tej rozległości przestrzeni, wiatru i wody; tutaj mój dziadek spadł w swym małym zielonym sportowym samochodzie.

— Przepraszam — szepnęłam do niej i ucisnęłam jej dłoń spoczywającą koło mnie na siedzeniu auta. Była zimna jak lód, jak śmierć, pazur martwego ptaka.

— To nic — powiedziała. — To piękne miejsce. Takie, które by się wybrało, gdyby się musiało wybrać.

Wieczorami zabierałam babunię Maude do innych domów na drinka, albo czasem kilka osób przychodziło do Liberty. Większość z nich to byli ludzie starzy. Często przychodził stary Micah Willis i siadał przed kominkiem w bawialni, pił kawę i brandy z babunią, a ja leżąc na górze i czytając stare powieści Mary Roberst Rinehart, słyszałam jak się śmieją. Słyszałam jak ich głosy wznoszą się i opadają jak ciche trele pieśni ptaków, słyszałam nieskrępowany rytm uczucia trwającego ponad pół wieku, jak starą płytę gramofonową, o zdartych rowkach. Słyszałam brzęk porcelany, gdy babunia Maude nalewała kawę i dzwonienie kryształu starej karafki, w której trzymała brandy, a czasem ciche kaskady tonów muzyki z adapteru lub z radia; przeważnie jednak tylko rozmowę. Prosiłi bym z nimi siedziała, i mogłam, gdyż bardzo lubiłam Micaha Willisa, ale jakoś najlepiej się czułam podczas tych długich wieczorów, gdy lęk szarpał mnie jeszcze sporadycznie i wybuchał, gdy po prostu kładłam się pod złożonymi kołdrami w kręgu światła padającego od małej lampki i słuchałam tych dwóch głosów równocześnie podnoszących się i opadających jak bliźniacze wątki sonaty. To były kotwice, te głosy; kotwice zanurzone w moim dzieciństwie tutaj, kotwice zarzucone w samą ziemię. Głęboko spałam w owe noce, gdy zasypiałam słuchając ich.

Nieraz podczas tych tygodni myślałam ponuro, że robię to co zawsze robiły młode kobiety w Zaciszu od niepamiętnych czasów: opiekuję się starymi. Ale zamiast odczuwać, że są uciążliwe, znajdowałam, że towarzystwo starych kobiet jest kojące. Nie denerwowały się drobiazgami ani nie świergotały w podnieceniu, przynajmniej na ile pamiętam, lub przynajmniej te, z którymi babunia Maude spędzała czas, nie robiły tego. I nie były autokratyczne. Były zabawne, te stare kobiety; mogły bez przerwy mówić o przeszłości, ale była to przeszłość wypełniona interesującymi i często ekscentrycznymi ludźmi, robiącymi rzeczy, które wywierały na mnie urok i bawiły mnie. Zwróciłam kiedyś na to uwagę babuni Maude.

— Gdy człowiek jest stary, musi wyławiać i wybierać dużo ze swej pamięci. Jeśli życie było interesujące, to co się chce zachować będzie wspaniałe. Myślę, że tylko nudni ludzie mówią o nudnych rzeczach. Jest trochę starych nudziarzy w Zaciszu, ale nigdy nie przestawałam z nimi, jeśli mogłam tego uniknąć. Słyszałam zbyt wiele nudnych historii od starych ludzi, gdy byłam w twoim wieku. Przrzekłam sobie, że będę miała ciekawe rzeczy do zapamiętania i opowiadania o nich.

— I masz — powiedziałam.

— O, tak — przyznała. — A kiedy pobędziesz tu trochę dłużej, opowiem ci o niektórych, jeszcze bardziej interesujących.

— Na przykład?

— Na przykład „Co zrobiłam dla Miłości”. Pamiętasz tę piosenkę? Podobała ci się kiedy tu byłaś ostatnio. — Zamilkła. — Przepraszam cię Darcy. Zapominam, że to był taki straszny dla ciebie rok. A ten jest dobry; dla mnie przynajmniej.

— Dla mnie też, babuniu.

— Nie doprowadzałyśmy cię do szaleństwa, my, starsze panie?

— Nie. Zapomniałam o różnicy wieku, naprawdę. Czasem zachowywałyśmy się wszystkie jak nastolatki. I mój samochód nikogo nie szokował. Bardzo jestem rozczarowana z tego powodu.

Roześmiała się.

— Po wszystkim, co przeżyliśmy, małe gówniane wydarzenie nie ma żadnego znaczenia. Cieszę się, że trochę je poznałaś, kochanie. Myślę, że to może jest pora, żebyś poznała starych ludzi. Nie mogłaś wcześniej, ale teraz już w dostatecznym stopniu się z tym zetknęłaś by zacząć rozumieć... impuls w kierunku prostoty, za który wielu ludzi uważa starość.

Miała rację. W ciągu tych trzech tygodni dostąpiłam szczególnego bogactwa; one stanowiły dosłownie moją przeszłość, pochodzenie, które zawsze — odczuwałam to — wypierało się mnie. Bezczasowość Zacisza zaczęła wywierać swój dawny magiczny wpływ. Chwila, chwila była wszystkim i podtrzymywała mnie. Chwila jest i zawsze będzie.

A teraz wkracza w nią Warrie Villiers. Oparłam się na starym trzcinowym biurku mojej prababki Anny i patrzyłam na Piękny Brzeg zamknięty i spokojny, odpoczywający w świetle poranka. Na górze. Był na górze, może jeszcze spał, może się budził... Poczułam, jak żar roznieca się w moich piersiach, obejmuje szyję i twarz. Czy wciąż jeszcze sypiał w małym białym żelaznym łóżku, które było łóżkiem jego matki? Które było naszym łóżkiem?

Trzymałam się bardzo mocno, zamknęłam oczy i spojrzałam w głąb siebie, żeby zrozumieć co czuję. Ostatni raz robiłam to przed pobytem w szpitalu w Atlancie; zaglądać w głąb siebie po szturmie lęku oznaczałoby wystawić się na spustoszenie. Byłam niegdyś mistrzem zatrząskiwania wejść do tych głębi, w których spoczywają dawne uczucia. Ale teraz to zrobiłam. Musiałam wiedzieć, czy trzeba będzie znów wsiąść w stary samochód Kutwy i uciec. Nie wiedziałam, dokąd bym uciekła; Zacisze było moim ostatnim schronieniem. Przywarłszy do ściany, zaczerpnęłam powietrza i spojrzałam.

Poczułam tylko lekką odrazę i trochę smutku, litość dla wszystkiego co młode i co łatwo zranić, co jeszcze niezłamane i oczekujące, nieświadomie, na pierwszy nieuchronny potężny cios. Odrazę i litość. To wszystko. Wobec tego w porządku. Mogę zostać. Już nie może mnie dotknąć.

Babunia Maude weszła na werandę z kawą i bułkami nadziewanymi dżemem z czarnych borówek. Spojrzała na mnie przenikliwie, a potem skinęła lekko głową i postawiła tacę na biurku.

— Beth Willis przysłała to dzisiaj — powiedziała. — Pierwsze borówki w tym sezonie. Sama je zbierała. Posmaruj masłem póki ciepłe. Czy mówiłam ci, że Warrie przychodził by porozmawiać na temat sprzedaży Liberty?

Dziwnie zakłuło mnie w sercu, jakby przeniknęła je kulka śrutu lub dotknął go cienki, ostry pręt.

— Wiesz, że mi nie mówiłaś. Co mu powiedziałaś, babciu?

— Za pierwszym razem powiedziałaś nie. I za drugim, i za trzecim. Gdy przyszedł po raz czwarty, obawiam się, że byłam bardzo nieuprzejma.

Nie prosił już o to. Słyszę, że próbował wywęszyć, czy Piotruś i Sara nie mogliby mnie przekonać do sprzedaży. Już nie wiem jak nieustępliwym trzeba być z Warriem.

Wiedziałam, że prawie znenawidziła Warriego za sposób w jaki mnie traktował tamtego ostatniego lata, choć nigdy tego nie powiedziała. To musiało być dla niej okrutnie bolesne, że znów był w sąsiedztwie, że stare domy jej przyjaciół z młodych lat, jeden po drugim, jemu były obiecane.

— Mam nadzieję, że zostawi cię w spokoju — powiedziałam. — Wyślę go na dobre jeśli jeszcze raz spróbuje; chciałabym mieć okazję. Ale wiesz, że coś będziesz musiała zrobić któregoś dnia z Liberty, a mówiłaś, że wuj Piotruś i ciotka Sara nie chcą go. Może powinnaś się zorientować, co on proponuje.

— Liberty zachowuję dla ciebie — odparła babunia Maude, patrząc na mnie. Jej twarz była spokojna.

— Och, babuniu Maude... nie, proszę — zawołałam w rozpacz. — Ja nie chcę Liberty. Nie poprowadzę tego, nie mogę. Wiesz przecież, że jestem tu tylko dlatego tego lata, że nie miałam innej możliwości i dlatego, że ty tu jesteś. Będzie ci wszystko jedno, kto je będzie miał, gdy ciebie nie będzie. Sprzedaj. Dostaniesz sporo pieniędzy...

— Będzie mnie obchodziło — odparła i uśmiechnęła się, ale nic już więcej nie powiedziała.

Przyszedł następnego dnia. Zdałam sobie sprawę z tego, że czekałam na niego, dopiero gdy spojrzałam z sofy na werandę gdzie czytałam po południu a babunia drzemała. Wzięłam długi nierówny oddech, gdy zobaczyłam go jak przechodzi przez przełaz w kamiennym murze. Zrozumiałam wtedy, że poruszałam się lekko, chwiejnie, jak wówczas gdy człowiek próbuje być bardzo spokojny, choć przecież poprzedniego dnia babka mówiła mi, że on jest w Zaciszu. No dobrze, powiedziałam sobie. Oto on. Zostało ci kilka chwil. Zajrzyj w siebie i zobacz co się dzieje z tym niemądrym oddechem. Wczoraj myślałaś, że odczuwasz tylko odrazę i litość. Co się zmieniło?

Zmieniło się to, że był przede mną, a nie widziałam go od dwunastu lat, i on zranił mnie śmiertelnie, pomyślałam jasno. Boję się, że znów może to uczynić. Lęk buchnął płomieniem paniki, a serce znów rozpoczęło swoje łomotanie; z trudem walczyłam o oddech, choć wygięłam usta w sztywnym uśmiechu, gdy wchodził na werandę i patrzył na mnie. Słońce było za nim, widziałam tylko sylwetkę.

— Halo, Warri — powiedziałam i zacisnęłam pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mi się w dłoń. Mój głos brzmiał normalnie, ale wiedziałam, że nie zdołam wydobyć więcej ani słowa. Siedziałam uśmiechając się, czekałam.

— Halo, Darcy — odpowiedział i panika przeszła w zwykły lęk. To nie był głos, który pamiętałam, który zapierał mi oddech w piersiach i zamieniał moje kości w wodę. To był ciągle jego głos, bogaty, miękki i z tym lekkim tchnieniem dalekich łądów pobrzmiwającym w nim, ale

dotarł wyłącznie do moich uczu. Poczułam jak żelazny łańcuch dokoła mojej piersi rozluźnia się nieco, a serce zaczyna bić wolniej.

— Czy mogę wejść? Wiem, że twoja babcia śpi o tej porze. W przeciwnym wypadku nie narzucałbym się. Wiem, że nie pragnie mnie tu oglądać. Ale chciałem się przywitać. Nie pozostanę długo.

To miało być małe rozbrajające przemówienie, jednocześnie pokorne i pełne godności, ale nie było. Kryła się w tym farsa, a pod nią coś jeszcze, co? Jakaś uniżoność, coś z szarlatanerii. Nigdy przedtem tego nie słyszałam. Lęk wyciekł jak brudna woda i zrozumiałam, że wszystko będzie ze mną w porządku.

— Proszę — powiedziałam.

Wszedł na werandę i mogłam się mu teraz dobrze przyjrzeć. Pomimo tego, co mówiła o nim babka, byłam naprawdę wstrząśnięta. Co ja widziałam w tym mężczyźnie? Co było w nim takiego, że tak żywiotowo mu się poddałam? Był zniewieściały i miękki od brzucha po ramiona; wałek tłuszczu wylewał się znad paska pod zbyt obcisłą czarną podkoszulką. Był bardzo opalony, ale pod opalenizną dostrzegłam szarość, a twarz, która była twarzą młodego sokoła, stała się teraz rozmazana, rozluźniona i pokryta drobnymi zmarszczkami. Ostonięte powiekami cygańskie oczy głęboko się zapadły i przecinały je czerwone żyłki. Zrozumiałam, że babunia Maude miała rację; pił. Oglądałam te piętna codziennie w szpitalu. Miał okrągłą łysinę, jak tonsura, na czubku opalonej głowy, gęste czarne włosy poprzecinane były siwymi pasmami, zbyt długie wokół szyi i uszu. Był... stary. Wiedziałam, że musi mieć najwyżej jakieś trzydzieści pięć lat, ale daleko była poza nim młodość. Poczułam głęboki wstyd na myśl o tym co mnie łączyło z tym mężczyzną i lekkie mdłości i... to było wszystko. Poza myślą, czy ja w jego oczach też wyglądam na tak zużytą i zniszczoną jak on w moich.

— Usiądź — powiedziałam wreszcie. — Czy mogę ci coś podać? Ja miałabym ochotę na kieliszek wina.

Usiadł na brzegu krzesła i uśmiechnął się do mnie. Mimo woli odwzajemniłam uśmiech. Jakieś ułamki dawnego Warriego były tam jeszcze, pod ruinami. To był prawie jego dawny uśmiech.

— Dziękuję, nie — odparł. — Robię co mogę, żeby przestać. To jeden z powodów, dla których jestem tutaj w tym roku. Myślę, że nie będzie to dla ciebie niespodzianką, gdy powiem, że miałem poważny problem z alkoholem; wyczytałem to w twojej twarzy. Ale kawy albo mrożonej herbaty napiłbym się z przyjemnością. Lecz tylko jeśli jest gotowa. Naprawdę nie chcę się długo zatrzymywać.

Poszłam do kuchni i przyniosłam tacę z mrożoną herbatą i kilkoma bułeczkami Beth Willis. Przypomniał mi się truizm, który często powtarzano nam w szpitalu: przyznanie się to pierwszy stopień do uzdrowienia nałogowca. Przyznanie się Warriego Villiersa było nieprawdopodobne. To był krok, który podziwiałabym u każdego innego. Najmniejsza rzecz, którą mogłam zrobić, to przechylić szalę na jego korzyść.

— No cóż — rzekłam, podsuwając mu herbatę i bułki. — Babunia Maude mówiła mi, że interesują cię posiadłości w Zaciszu. To mnie trochę dziwi; nigdy nie sądziłam, że lotnisko może cię zajmować.

— Rozumiem, dlaczego tak myślałaś — powiedział patrząc w swoją szklankę. A potem popatrzył na mnie długim, poważnym spojrzeniem. — Zachowywałem się tamtego lata jak snob, jeśli chodzi o stykanie się z ludźmi, prawda? Nie wiem; zdaje mi się, że się zmieniłem trochę. Europa tak działa na człowieka; w kręgach, w których się obracam bardzo szybko można się stać starym i cynicznym, jeśli nie jest się bardzo silnym. Ja nie byłem silny. Przyszedł czas, gdy zdałem sobie sprawę, że chcę i potrzebuję... stałości. Spokojnych, realnych rzeczy, które się nie zmieniają, ludzi, którzy pozostają stali. A gdy to na mnie przyszło, pomyślałem o Zaciszu. Przez lata nie myślałem. Przyjechałem więc na wiosnę, by otworzyć dom i stwierdziłem, że wiele starych miejsce jest zagrożonych i przechodzi w ręce obcych, którzy myślą podobnie jak ja kiedyś myślałem i uderzyło mnie to nagle jak coś naprawdę strasznego. Miałem trochę pieniędzy od matki — pewnie babcia mówiła ci, że ona umarła w zeszłym roku — i trochę od mojej drugiej żony. Nie jestem szczególnie dumny ze sposobu w jaki je zdobyłem. I pomyślałem, jakiz lepszy użytek można z nich zrobić niż popróbować zachować to miejsce takim jakim zawsze było? Wiem, że to musi brzmieć zarozumiale; to była część dziedzictwa twojej rodziny przez trzy pokolenia, a ja byłem tu tylko przez jedno lato, które zapamiętałem. Ale to miejsce naprawdę zagarnia człowieka w swoją władzę, Darcy.

Wymawiał moje imię „Daircy” jak dawniej. Spojrzałam na niego poważnie. To, co mówił, brzmiało rozsądnie, było nawet godne podziwu. Brzmiało także absurdalnie wypowiedane tym miękkim egzotycznym głosem. Co ten człowiek, produkt krętego rozprężenia i rozkładu mógł wiedzieć o stałości i spokoju? Ale pogrzebane przez te wszystkie lata wspomnienie czegoś, co powiedział do mnie na początku naszej znajomości, wróciło mi na pamięć: „To miejsce spoczywa spokojnie w ludzkim sercu”.

— Tak mówią — powiedziałam obojętnie.

— Ale ty tak nie myślisz? — zapytał, przechylając się do tyłu na leżaku i ciągle patrząc mi uważnie w twarz. — Nie, nie sądzę, żebyś tak myślała. Zawsze umiałem czytać w tej małej kociej twarzy. A jednak tu jesteś.

Spłonęłam. Aluzja do mojej twarzy była niepotrzebna i poufała; , posuwał się o wiele za daleko.

— Nie dbam o Zacisze — odparłam. — Jestem tutaj w tym roku ponieważ od dawna nie widziałam babuni Maude i ponieważ ona traci siły, a ja nie mam w tej chwili zajęcia. Wydawało się, że to dobra pora. Wątpię, żebym tu jeszcze miała przyjechać.

— To niedobrze — powiedział. — Przyjemnie byłoby mieć tutaj podczas lata przyjaciela w sąsiedztwie. Myślę, że już nie jestem nim dla twojej babki. Naprawdę tego żałuję.

Twarz spłonęła mi rumieńcem, spojrzałam na niego. Czy on naprawdę mógł nie pamiętać, nie rozumieć, co się stało tamtego lata? Czy naprawdę myślał, że mogłabym być przyjacielem dla niego, czy naprawdę dziwił się, że babunia Maude już nim nie była?

— Jestem pewna, że znajdziesz przyjaciół, Warrie — powiedziałam. — Orientuję się, że wiele starszych pań tutaj już uważa, że jesteś wybraną osobą. Mając stare dAmy po swojej stronie, nie zginiessz.

Roześmiał się, swym dawnym śmiechem, przez nos.

— One są czarujące, moje stare dAmy-przyjaciółki. Bardzo żałuję, że twoja babka do nich nie należy. Sądzę, że ona myśli, iż próbuję ją wypchnąć z jej domu, ale nic nie jest dalsze od prawdy. Chciałem ją tylko zapewnić, że wszystko pozostałoby tak jak jest. Myślałem, skoro przez tak długi czas nie wracałaś, że nie jesteś zainteresowana Liberty, a wiem na pewno, że jej syn i synowa nie są zainteresowani. Ciągle mam nadzieję, że ona przemyśli jeszcze raz moją ofertę.

— Jeśli ona mówi nie, to myśli nie, Warrie. Musisz to uszanować. Cokolwiek chce zrobić ze swoim domem, to jej sprawa — odparłam.

— I twoja?

— Nie moja. Co do tego nie myliłes się. Ja nie chcę Liberty. Chcę po prostu, by mogła decydować, co chce z tym zrobić, bez żadnych nacisków. I mam zamiar zrobić, co tylko będę mogła, żeby tak się stało.

Znów uśmiechnął się szeroko, nieśmiało, podniósł swą szklankę z mrożoną herbatą i wzniosł toast.

— Dawny ogień nie wygasa — powiedział. — Dorosłaś, Darcy. Wspaniała kobieta i bardzo przystojna. Cieszę się, że to widzę; bałem się, że moje ohydne zachowanie podczas ostatnich wakacji mogło ci wyrządzić krzywdę.

— Nie, w najmniejszym stopniu — powiedziałam; gniew przyspieszył mój oddech. — Ani na jotę. Nawet cienia krzywdy. Teraz, jeśli mi wybaczysz, muszę zacząć przygotowywać obiad. Babunia Maude jada o szóstej.

Podniósł się, ujął moją rękę i lekko się nad nią pochylił.

— Czy mógłbym cię skusić, żebyś przyszła któregoś dnia zjeść ze mną obiad? Twoja babka oczywiście też. Zrobił się ze mnie zupełnie dobry kucharz.

— Nie — odpowiedziałam spokojnie. — Nie sądzą, żebyś mógł skusić którąkolwiek z nas. Prowadzimy bardzo spokojne życie tego lata, Warrie. Babunia Maude jest bardzo słaba. I wybacznam, jestem pewna, że nie przyjmujemy.

— W żadnym wypadku nie stracę nadziei na utrzymanie znajomości — powiedział kierując się ku drzwiom. — Byłyście moimi pierwszymi przyjaciółmi w Zaciszu. Nie mogę tak łatwo was utracić.

— Nie sądzą, by decyzja należała do ciebie — gorąc i czerwień zalały moje policzki. Zauważył to i wybuchnął śmiechem.

— Nie wszystko zmieniło się w tobie — rzekł i wyszedł, zAmykając cicho drzwi od werandy. Patrzyłam w ślad za nim, drżąc z gniewu. Był

godzien najwyższej pogardy; nie przyjmę go więcej w Liberty. Jeśli przyjdzie, zamknę drzwi od werandy i odmówię rozmowy z nim; nie będę więcej siadywała na werandzie by nie ryzykować, że mnie zastanie. Babunia Maude miała rację. Nic nie pozostało w Warriem Villiersie, co mogłoby mnie zranić.

Nie miałam jednak okazji wymówienia mu domu, ponieważ już nie przyszedł i nie dzwonił. Nie widziałam go też z okna mego pokoju, które ponad kamiennym murem wychodziło na dach Pięknego Brzegu; zasuwalam nawet stare, pomarańczowe story, żeby nie widział mnie wewnątrz. Gdy jednak przeszły dni, a potem tygodnie i widziałam go tylko z daleka jak wsiadał, albo wysiadał ze swego czarnego sedana na podjeździe, a dwa razy w przelocie na poczcie, podniosłam story na powrót. Opuszczone, zalewały pokój gorącym czerwonym światłem. Na mocy milczącego porozumienia, babunia Maude i ja podjęłyśmy na nowo nasze przedobednie koktajle na werandzie. Żadna z nas nie mówiła o Warriem Williersie od dnia, kiedy babka powiedziała mi, że wrócił. Sądziłam, że nie wiedziała o jego wizycie.

Jednak drugiego wieczora, gdy siedziałyśmy znów na werandzie, uśmiechnęła się do mnie znad kieliszka martini i powiedziała:

— Rozumiem, że forteca jest wciąż bezpieczna.

— Słucham? — zapytałam, wiedząc dobrze co ma na myśli.

— Warriem nie zdołał cię zdobyć swymi smutnymi uśmiechami i zapewnieniem zmiany.

— Nie — odparłam, uśmiechając się od ucha do ucha. — Miałaś rację. Jest okropny, prawda? Skąd wiedziałaś?

— Widziałam jak przechodził przez mur; przyszłam i słuchałam, jak każda rozsądna kobieta. Nie wiem co bym zrobiła, gdybyś pozwoliła znów mu się omotać. Mam sporo kłopotów z niektórymi z tych starych idiotek, które uważają go za zbawiciela. Co wieczór chodzi gdzieś na drinka.

— Nie wierzysz mi, że przestał pić i się zmienił?

— Wierzę co do picia i przykro mi — odparła, jej delikatna twarz stwardniała. — Nie miał ani jednej łatwej chwili w swym życiu. Jestem tego pewna. Tylko, że w większości wypadków sam jest za to odpowiedzialny, lecz nigdy nie zda sobie z tego sprawy, i to właśnie jest niebezpieczne. A co do przemiany wewnętrznej — no cóż, myślę, że to się zdarza. Nie wierzę tylko w jego wypadku. Myślę, że jest tu po to, by nas w jakiś sposób ukarać, a nie po to, by nas wybawić. I myślę, że chyba dlatego był tu poprzednim razem.

Patrzyłam na nią w zdumieniu. Przyszło mi nagle do głowy, że może miała jakiś mały udar czy coś w tym rodzaju, tak dziwaczne były jej słowa, że nasuwały myśl o paranoi. Ale jej ciemna twarz była taka jak przez całe lato: ożywiona inteligencją. Tylko teraz powlekał ją cień niepokoju.

— Dlaczego chciałby nas ukarać, babuniu? Nikt tutaj nic mu nie zrobił; nie był tu nigdy poza tamtym latem i wtedy to nie my go skrzywdziłyśmy, jeśli pamiętasz.

— Pamiętam lepiej niż możesz o tym wiedzieć, Darcy — odrzekła.
— Ale zapominasz, że był tu jako bardzo mały, z matką. Musiał to zapamiętać, jak myślę, bez względu na to co mówi. I jego matce stała się tu krzywda, przynajmniej wyobrażam sobie, że on to widzi w ten sposób. Może uważać to za bolesną krzywdę i to ja ją zadałam. Nie mogę sobie wyobrazić, co ona mogła mu powiedzieć, ale jestem pewna, że to mnie — a z powodu mnie, także ciebie — chce ukarać. Myślę, że Warrie miał tylko jedną wielką miłość w życiu i nie była nią żadna z jego żon ani żadna z innych kobiet. Jego miłość umarła zeszłego roku wskutek życia jakie prowadziła. Gdyby nie ja, mogłaby może prowadzić zupełnie inne życie w zupełnie innym miejscu. Może nawet tutaj w Zaciszu. Więc on tu jest, zdecydowany prowadzić je za nią. Nawet więcej. Zdecydowany mieć Zacisze na własność, czego ona nigdy nie mogła.

— Masz na myśli jego matkę? Babuniu, co na miłość boską mogłaś jej zrobić? Była dojrzałą kobietą, gdy wyjechała stąd po raz ostatni.

— Nie — babka potrząsnęła głową, patrząc na fiołkoworóżową zatokę w świetle zachodzącego słońca. — Nie, Elżbieta nigdy nie była dojrzałą kobietą.

— Mówiłaś, że tylko przekonałaś ją, żeby... stanęła na własnych nogach, prawda? Chciałabym, żebyś mi powiedziała co miałaś na myśli.

— Powiem ci kochanie, gdy przyjdzie czas. Któregoś dnia, już wkrótce, obiecuję ci. To nie ma znaczenia, ponieważ on już ci nie zagraża. O to mi zawsze chodziło. Jestem pewna, że nie zagraża. Nie może już położyć ręki na tobie i nie może mieć Liberty, więc jest po prostu... nieważny. Cieszymy się słońcem na werandzie i wypijmy może jeszcze trochę przed obiadem. Myślę, że potem zacznę tę nową Martę Grimes. Odłożyłam ją na wieczór, gdy nic nie będzie w telewizji.

* * *

Z końcem lipca nabrałam stopniowo pewności, że kolonia była podzielona, jeśli chodzi o Warriego Villiersa i jego misję w Zaciszu. Na początku sierpnia, jak zawsze najbardziej pracowitego miesiąca lata w Maine, przyjęcia i koktajle mnożyły się, po południu podczas każdego weekendu odbywały się regaty i herbatki w jachtklubie, a tańce, brydże i filmy prawie każdego wieczora. Każdy, kto zaniedbał to wcześniej, wydawał ogromne rewanzowe przyjęcie koktajlowe i można było, gdy ktoś chciał, składać wizyty za cały miesiąc co dzień w południe, o zmierzchu lub wieczorem. Ani ja, ani babunia Maude nie chciałyśmy tego, ale bywałyśmy u osób, którym nie można było odmówić i wszędzie Warrie był przedmiotem ożywionej rozmowy. Dzięki swej niezawodnej intuicji, babka wiedziała zawsze naprzód, gdzie go nie będzie danego wieczora i wtedy tam właśnie szłyśmy, a tam wojna — bo to właściwie mała wojna — się toczyła.

— To nie jest w porządku, żeby jedna osoba miała tu tyle posiadłości — mówili młodszy. — To jest niebezpieczne; on wszystko może z tym

zrobić. Poza tym my go naprawdę nie znamy. Kto wie, skąd te pieniądze pochodzą? Wiecie jaka była jego matka.

— To nie ty musisz płacić podatki i ubezpieczenie za te stare stodoły — argumentowały z oburzeniem starsze panie. — To nie ty żyjesz ze stałego dochodu i nie masz możliwości utrzymania domu ani znalezienia pomocy. Co mamy zrobić? Znałyśmy jego dziadków, a niektóre z nas jego pradziadków; jego rodzina była tu dłużej niż większość innych. W ten sposób możemy zachować nasze domy, mieć pieniądze na ich utrzymanie i nie widzieć jak przechodzą w ręce obcych. Czy chcecie na miłość boską, żeby przyszli tu ludzie z Florydy czy Teksasu i porobili baseny pływackie?

— Nie, ale skąd wiadomo, że będzie tak postępował jak mówi?

— A skąd wiadomo, że nie będzie? Co może zrobić innego poza odprzedaniem? Będziemy musiały zrobić to same, albo wy, gdy nas już nie będzie.

I tak to się ciągnęło noc w noc, każdej cudownej ametystowej nocy, bo to było chyba najpiękniejsze lato jakie widziałam na tym wybrzeżu. Chłodne, pełne światła, lazurowe, rzeźkie — i doprawione lekko zamętem, jaki wnosił Warrie Villiers i jego zagraniczne pieniądze. Nie znosiłam myśli o tym do tego stopnia, że po prostu przestawałam słuchać nie kończącej się debaty, która zawsze prowadziła donikąd. Wypijałam drinki i wychodziłam na werandę czy taras i patrzyłam na spokojną, oblaną szarzącym światłem zatokę. Wchłaniałam dojrzały sosnowy zapach szczytu lata, tego absolutnego szczytu, który był jak wysadzany klejnotami mechanizm zatrzymany w biegu nim wyruszy naprzód ku jesieni. Napełniał mnie i koił, śpiewał w mojej krwi i uszach jak wino i postanowiłam, że nic ani nikt mi tego nie popsuje. Podczas tych kilku cudownych dni Warrie Villiers był tak daleko od moich myśli, jakby zupełnie nie istniał.

Lecz pewnego popołudnia, gdy wróciłam ze sklepu z towarami żelaznymi w Blue Hill, zastałam go pochylonego nad babką spoczywającą na leżaku na werandzie, stukającego wskazującym palcem w dłoń, gdy punkt po punkcie usiłował ją przekonać; widziałam jej białą, spokojną twarz, spoglądającą na niego śmiało i zatańczyłam nad nim jak derwisz.

— Precz! — krzyknęłam w furii. — W tej chwili precz stąd! Co ty sobie wyobrazasz przychodząc tutaj i machając palcem babci przed oczami? Wiesz o tym, że nie chce cię tu widzieć, ani ja. Masz się natychmiast stąd wynosić. Spójrz na nią, jest biała jak płótno.

Podniósł się i skinął głową babce, krew buchnęła mu na policzki. Robił wrażenie zbitego z tropu i pełnego skruchy. Stałam pomiędzy nimi, ręce miałam zacisnięte w pięści. Skierował się ku wyjściu, a potem odwrócił się jeszcze raz.

— Mrs. Chambliss, naprawdę bardzo panią przepraszam. Nie przyjechałem tu, by panią niepokoić i teraz widzę jakie musiałem zrobić wrażenie. Ja po prostu... chciałem, żeby pani wiedziała, że mam umowy z prawie połową domów z tej strony wybrzeża, i przy drodze do jachtklubu, a w drugą stronę do Orlego Gniazda. Myślałem, że miałaby

pani mniej obaw co do mojego postępowania wiedząc, że pani najstarsze przyjaciółki i sąsiadki ufają mi. Mam nawet przyrzeczenie pani syna, że pomyśli o mojej ofercie. Naprawdę jestem po waszej stronie...

— Warrie! — krzyknęłam.

— Odchodzę — powiedział spokojnie. — Przykro mi. Już więcej nie przyjdę. — Ukłonił się babce i wyszedł. Wyszedłam i ja wielkimi krokami za nim aż do przełazu na podwórze Pięknego Brzegu. Na jedną chwilę, dawne doznania i wspomnienia napłynęły do mnie falą. Ciemny trawnik, ciemna weranda, tylko księżyc nad zatoką, tylko światło gwiazd i na tle nocnego nieba jedno okno rozjaśnione żółtym światłem. Od dwunastu lat nie stałam na tym podwórzu.

Odwrócił się do mnie, znów w świetle zachodzącego słońca, ręce trzymał w kieszeniach. Jego ciemna, pełna twarz oblana była czerwienią, krople potu widoczne były na czole.

— Naprawdę mi przykro, wiedz o tym — powiedział. — Naprawdę myślałem, że ustosunkuje się do tego inaczej, gdy dowie się o innych. Chciałem ją tylko uspokoić.

— Ale nie uspokoiłeś — powiedziałam gwałtownie. — Terroryzowałaś ją; znęcałeś się nad nią; pochylałeś się i potrzasałeś nad nią palcem. Szkoda, że nie widziałeś siebie. Do diabła, Warrie, dlaczego ten dom ma dla ciebie takie znaczenie? Dlaczego nie masz dość? Czy chcesz mieć całe Zaciszce?

— Po prostu nie chcę, żeby przeszło w niepowołane ręce, gdy jej nie będzie. Jak długo jeszcze będzie żyła? A wiem, że ty tego nie chcesz.

— No cóż — powiedziałam rzucając mu wyzywające spojrzenie — może w końcu będę chciała. Może zmieniłam zamiar. Sam mówiłeś, że ludzie zmieniają zamiary. Nie ma więc żadnego powodu, żebyś ją znów niepokoił. A jeśli nadal będziesz, postaram się... postaram się o formalny zakaz, który cię pohamuje, czy o cokolwiek innego, co będzie trzeba.

Roześmiał się i podniósł do góry ręce.

— Nie ma potrzeby. Choć pomyśl, że ktoś na Przylądku Rosier mógłby wydać zakaz jest doskonały, muszę przyznać. Nie, jeśli chcesz mieć dom dla siebie, to koniec sprawy, oczywiście. Jestem tylko zainteresowany w tym, żeby pomóc starym, którzy nie mają spadkobierców. Przepraszam, Darcy, ciebie i twoją babkę. Chciałbym żebyśmy mogli zostać... przyjaciółmi. Po prostu.

— Nie, jeśli tego chcesz, to wybrałeś najgorszą drogę — odparłam i wróciłam przez przełaz do Liberty. Ale czułam się dziwnie nieswojo. W jakiś sposób wiedziałam, że już więcej nie będzie się zwracał do babuni w sprawie domu.

— Koniec z tym — powiedziałam, siadając na brzegu leżaka i biorąc ją za ręce. Były zimne, ale kolor wrócił na jej twarz i jej oczy znów rzucały ogień.

— To było wspaniałe, kochanie — powiedziała. — Sama nie zrobiłabym tego lepiej.

— Czy tak głośno wrzeszczałam?

— Wiesz jak tu niesie głos po wodzie. Warrie robił wrażenie, że mu jest przykro, prawda? Zastanawiam się dlaczego? Może dlatego, że jednak chcesz Liberty.

— Babuniu...

— Wiem. To było tylko po to, żeby się go pozbyć. A jednak chciałam myśleć... och, dobrze. Wiesz, bardzo mnie martwi, że te biedne stare wariatki wzdłuż wybrzeża przepisały domy na niego, a co do Piotrusia..., no cóż, porozmawiam z nim później. Mogę po prostu zagrozić, że go wydziedziczę...

— Nie mogłabyś! Piotruś to twoje serce!

— Nie, oczywiście, że nie. I masz rację, jest częścią mego serca, ale naprawdę podejrzewam, że większa jego część należy do ciebie. Co do Piotrusia, to sedno tkwi w tym, że nigdy naprawdę nie zdawał sobie z tego sprawy. A ty, moja droga czerwonołosa figlarko, musisz wiedzieć na pewno.

Zalała mnie wielka fala zmęczenia. Osunęłam się na leżak. Scena z Warriem to była tylko kulminacja ciągłego, podskórnego napięcia, które mnie nękało od kilku tygodni. To wszystko brało początek od niego.

— Wiem — powiedziałam. — Wiem o tym, nawet jeśli o niczym innym nie mam pojęcia, babuniu. Coś ci powiem, jesteś tak zmęczona jak ja, zjedźmy potrawkę przed kominkiem i chodźmy zaraz spać... sądzę, że żadna z nas nie musi dziś czuć ze strzelbą na kolanach. Myślę, że stare domostwo jest bezpieczne.

— Mam nadzieję — rzekła babka. — Mam nadzieję.

Następnego popołudnia babunia i ja otrzymałyśmy jednakowe bukiety róż z kwaciarni w Blue Hill. Moje były żółte a jej cudowne, koralowo-różowe. Na wizytówkach były tylko słowa: „Naprawdę bardzo mi przykro. Warren Villiers”.

— Natychmiast je wyrzucę — powiedziałam.

— Ja nie — rzekła babunia Maude. — To mój ulubiony kolor. Zastanawiam się, czy Mark Graham mu o tym powiedział? Musiały kosztować majątek. Nie wyrzucaj dziecka z kąpiela, Darcy.

I tak przez następny tydzień sprawa letniska zataczała powolne symetryczne kręgi, a róże Warriego Villiersa świeciły w tle jak nasze amulety. Nim opadły, nie zrobił już żadnego ruchu w kierunku babci, kłaniał się tylko miło jej i mnie, gdy widział nas na werandzie lub w domu towarowym czy na poczcie. Zaś pewnego razu, gdy była przeziębiona i została w łóżku przez dwa czy trzy dni, przyniósł małą miseczkę z kurczakiem i karczochami i postawił ją na werandzie z karteczką: „To jest galijska idea pokrzepiającego jedzenia. Mam nadzieję, że dorównuje swej sławie”. I rzeczywiście: było wyśmienite i obie zjadłyśmy wszystko za jednym posiedzeniem.

— Może on mógłby otworzyć restaurację — powiedziałam oblizując łyżkę.

— Może otworzy — odparła.

Odniosłam wymyte naczynia w dniu, gdy czarny samochód odjechał i sądziłam, że nie natknę się na niego, ale gdy otworzyłam szklane drzwi w Pięknym Brzegu, by wejść na werandę, leżał tam na starym ślizgaczu. Stopę i kostkę miał zabandażowaną, a para kul leżała przy nim na pomalowanych deskach.

— Co się stało na miłość boską?

— Zwichnąłem schodząc wczoraj z krawężnika w Castine, na samej głównej ulicy — powiedział. — Zapewnili mnie, że za jakiś tydzień będzie dobrze.

— A gdzie twój samochód?

Skrzywił się.

— Wynająłem chłopca na stacji benzynowej, żeby mnie odwiózł do domu i zabrał go z powrotem. I tak wymaga przeglądu. Zrobi co trzeba i przyprowadzi go za trzy, cztery dni. Ktoś za nim przyjedzie i odwiezie go. Przynajmniej mam nadzieję, że on go odprowadzi. Ten żółtodziób robił na mnie wrażenie faceta odbierającego klientom samochody z powodu niepłacenia rat.

Roześmiałam się. Znałam tę stację i tego młodego człowieka. Łypał okiem tak pożądliwie gdy brałam tam kiedyś benzynę, że już chciałam coś ostro powiedzieć, gdy zorientowałam się, że pożąda samochodu Kutwy Greena, a nie mnie. Rzeczywiście robił wrażenie biegłego w porywaniu samochodów w ciemną noc.

— Wiem — powiedziałam. — Nie miałabym odwagi znów tam zabierać samochodu. Muszę powiedzieć, że go łąpczywie pożądał.

— Nic dziwnego — rzekł Warrie. — To cudowna maszyna, ten samochód. To „IT”, które się przytrafia, to jest — ach, *merde*, prawda?

Śmiałam się głośno. Zapomniałam jak zabawny potrafi być Warrie.

— Tak. Czy masz zamiar sam dać sobie radę? — zapytałam.

— Och, napewno. Daję sobie radę z kulami. I muszę zrzucić trochę tłuszczu. Mam zapas tuńczyka kalifornijskiego. Będę chudszy niż stara pani Stallings nim to wszystko minie.

Milczałam przez chwilę, on także. Potem powiedziałam:

— Chętnie...

A on jednocześnie powiedział:

— Posłuchaj, Darcy, chciałem...

Zamilkliśmy oboje, uśmiechając się.

— Mogłabym przynosić ci coś na kolację zanim będzie ci się łatwiej poruszać — powiedziałam nieobowiązująco, zastanawiając się, co powstrzymało mój język. Jakim wrogiem, jakim zagrożeniem mógłby być leżąc tutaj i nie mogąc się poruszać? Zaproponowałabym to samo każdemu.

— Byłbym bardzo wdzięczny — rzekł. — Naprawdę za jakiś czas dam sobie radę, ale jestem teraz na środkach przeciwbólowych, mętny jak diabli, boję się, że mógłbym podpalić dom przy zapalaniu pieca. Przez całe lato miałem zamiar zainstalować tu nowy elektryczny piec. Ten stary grat musi mieć ze trzydzieści lat.

— Załóż gaz — powiedziałam. — Wszyscy tu mają. Przynajmniej pięć razy w ciągu lata brakuje prądu, gdy jest sztorm. Dziwię się, że mieliśmy go aż do teraz. Przynajmniej będziesz mógł gotować tak ja my.

— Dobry pomysł — powiedział. — Dziękuję, że o tym pomyślałaś. Posłuchaj Darcy, ja chciałem jeszcze raz powiedzieć, że naprawdę przepraszam.

Potrząsnęłam głową i wstałam gotowa do wyjścia. Nie chciałam więcej słuchać przeprosin.

— Nie, chcę to powiedzieć, a potem dam spokój — rzekł.

Czekałam.

— Wiem, że bardzo cię zraniłem tamtego roku — powiedział powoli. — Często o tym myślałem. Chciałbym móc to odrobić, ale nie mogę. Byłaś... byłaś małym cudem, a ja to odrzuciłem. Nigdy nie przestałem żałować. Nie chcę nic więcej od ciebie ani od twojej babki, choć byłbym bardzo dumny, gdybym mógł mieć w was przyjaciół. Ale chciałem, żebyś o tym wiedziała.

— Dziękuję, że mi o tym mówisz, Warrie — odrzekłam, czując że się znowu czerwienię i ogarnia mnie złość. — Nie potrzebowałeś, ale to... miło, że powiedziałeś. Robię teraz pasztet z drobiu według przepisu mojej prababki i przyniosę ci na talerzu. Nie musisz podchodzić do drzwi; zostawię szybę nie zahaczoną i postawię talerz na stole przy drzwiach, tam gdzie są klucze.

— Dziękuję — rzekł. — Pewnie nie będę się ruszał. Spróbuję teraz trochę zasnąć.

Nie było go na werandzie gdy przyniosłam pasztet, i często go nie było w ciągu tego tygodnia gdy przychodziłam z jedzeniem. Ale czasem był, i wtedy siadałam i rozmawiałam z nim przez chwilę, a parę razy zrobiłam dla nas herbatę w znajomej, a jednak obcej kuchni i piliśmy ją patrząc na niebo, morze i wyspy, nad którymi górował Piękny Brzeg. To był wspaniały widok; marzyłam o tych wieczorach, gdy Liberty miało ten bezpośredni otwarty widok na wodę. Ale w jakiś sposób byłam też zadowolona z tego, że już nie miało. Trzeba byłoby umieć sprostać tej majestatycznej wspaniałości. A Liberty pozwalało ci na luz, gdy tego potrzebowałeś.

Rozmawialiśmy o niczym, o niczym co wiązało się z przeszłością. Tu byliśmy ostrożni. Opowiadał mi trochę o Francji i Włoszech w owych dniach otwierających nowe dziesięciolecie, a ja mówiłam o Atlancie i o hałaśliwym ukaranym przez słońce nowym Południu. To była zazwyczaj lekka rozmowa i nigdy nie zostawałam długo. Najczęściej śmiałyśmy się. Nie śmiałam się zbyt wiele tego lata, a przedtem wcale, przez bardzo długi czas. Śmiech był dobry.

Babunia Maude nie mówiła nic, gdy wychodziłam z jedzeniem każdego wieczora. Wiedziałam, że niepokoi się z tego powodu, ale wiedziałam także, że zrobiłaby to samo, gdybym ja nie nosiła. To było nie do pomyślenia w Zaciszu, żeby pozwolić na to, by sąsiad był pozbawiony jedzenia z powodu choroby. Zdawałam sobie sprawę, że babka nie

pochwała i jakoś boi się tego śmiechu. Nie mogła go nie słyszeć. Jej okno wychodziło wprost na kamienny mur i trawnik Pięknego Brzegu. Zauważyłam, że każdego wieczora gdy wracałam na kolację przez przełaz, zasłony w jej pokoju były zaciągnięte.

Pod koniec tygodnia zabrałam ją na wielkie przyjęcie na trawie u Donalda i Marie Elliotów w Jodłowym Domku. To była najpiękniejsza z całego ciągu niezwykłych nocy. Starej przyjaciółki babki, Eryki Conant już nie było, ale jej legendarny ogród na skałach wznosił się i opadał na urwisku, a jej japońskie lampiony, takie jak te, które świeciły u babuni Maude, połyskiwały tajemniczo w czarnych gałęziach olbrzymich jodeł, od których dom wziął nazwę. Ciemniejąca zatoka wzdychała jak wielki delfin, a cienki czysty sierp młodego księżyca widniał na szmaragdowym niebie nad Camden Hills. Patrzyłam na przystojnych ludzi ubranych w madras i płótna drukowane w kwiaty. Jak niewiele zmieniło się to miejsce od czasu gdy byłam małą; jak niewiele się wydarzyło! Pomyślałam, że każdy powinien mieć w życiu takie miejsce, do którego mógłby przyjść, by nawiedzić swą przeszłość oraz przeszłość swych bliskich i widzieć, że cokolwiek by się zdarzyło, tu czas pozostaje zatrzymany. Lecz niewielu może mieć to szczęście. Poczułam w tej chwili nad sobą błogosławieństwo Zacisza i zdałam sobie po raz pierwszy sprawę z tego, że mogłabym tu znaleźć dużo więcej niż uzdrowienie dokonane w ciągu jednego lata. Ale na myśl o tym, uśpiony lęk podniósł się nagle i uderzył jak wąż, odepchnęłam więc od siebie tę myśl. Nie. To nie dla mnie. Już nigdy więcej.

Podniosłam się i poszłam do baru, by napełnić na nowo kieliszek babuni i zaczęłam uważnie słuchać, po raz pierwszy od wielu dni, rozmowy toczonej w grupie drepzczących przy nim ludzi. Potem zaczęłam się śmiać. Śmiałam się jeszcze, gdy zaniósłam babuni kieliszek i usiadłam obok. Uśmiechnęła się pytająco.

— Kanalizacja — powiedziałam, wskazując ruchem głowy bar. — Wszyscy mówią o szambach i odprowadzaniu ścieków. Pomyśleć, że robili to przez całe lato. Założę się, że Zacisze jest jedynym miejscem na ziemi, gdzie ludzie normalnie rozmawiają o gównie przy drinkach.

Babunia Maude uśmiechnęła się i spojrzała na swój dzin z tonikiem. A potem popatrzyła na mnie.

— Gówno, jak mówisz, to tutaj prawdziwy problem. Większość domów po naszej stronie głównej drogi stoi na skalistym podłożu, wystarczy pokopać koło dziewięciu cali i już się na nie natkniesz. Nie mogą mieć na swoich podwórkach szamb. Przez przeszło sto lat — chyba odkąd jest tu lotnisko — jedyny nadający się teren to ta wielka stara łąka, która ciągnie się wzdłuż Liberty i za Pięknym Brzegiem, do wody. Część jej należy do nas, reszta do Potterów — teraz do Warriego. Obie rodziny zawsze chętnie pozwalały innym domom dołączyć tutaj przewody kanalizacyjne. Nie wiem jak dużo osób to robi; chyba połowa domów w Zaciszu. Inaczej po prostu nie mogliby w nich mieszkać. Widzisz więc, że wszyscy niepokoją się o... gówno.

Uśmiechnęła się znów i rozejrzała dokoła.

— Chcesz powiedzieć... — rzekłam wolno — chcesz powiedzieć, że jeżeli... ktoś... byłby właścicielem Liberty i Pięknego Brzegu miałby — oni mieliby — jedyny septyczny teren w tej części Zaciska?

Skinęła głową, patrząc na zatokę.

— I gdyby chcieli, odmówiliby tym ludziom prawa do korzystania z tego terenu? Ale wtedy oni nie mogliby tu przyjeżdżać.

Babunia Maude nic nie powiedziała.

— Babuniu, on nie zrobiłby tego — rzekłam.

Popatrzyła wtedy na mnie, ale milczała.

— Jestem pewna, że nie.

— Och, Darcy — powiedziała babka, a jej głos był zmęczony i stary. Wkrótce potem wróciliśmy do domu.

— Nie zrobiłby tego — powiedziałam głośno wprost w zimno-słone powietrze tej nocy, gdy zgasiałam światło. I była w tym taka prosta, twarda prawda, że zapadłam natychmiast w sen pozbawiony marzeń.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gdy Warrie przeszedł już naukę posługiwania się kulami, pożyczyłam od moich kuzynów keta-żuczka i zabrałam go na wodę. To był pierwszy ładny dzień, jaki mieliśmy po prawie tygodniu zimnej, pokrywającej wszystko grubym wołłokiem, białej mgły, gdyż cudowna pogoda skończyła się po dniu przyjęcia u Donalda i Marie i byłam otępieła, stęskniona za świeżym, ostrym błękitem morza i nieba.

Zaprosiłam Warriego, gdyż, zamknięta tak długo z babunią Maude w mrocznym domu, potrzebowałam śmiechu. Była jakaś daleka i ciągle zajęta od czasu naszej rozmowy o terenach sep tyczny eh na wielkiej łące będącej wspólną własnością Liberty i Pięknego Brzegu, tak że w końcu przestałam podejmować próby powrotu do naszych dawnych, łatwych stosunków. U innej kobiety złożyłabym to milczenie po prostu na karb złego nastroju spowodowanego tym, że broniłam kogoś, czyje postępowanie ona uważała za niemożliwe do usprawiedliwienia, ale babunia Maude nie dąsała się nigdy. Zdawałam sobie sprawę, że bardzo się martwiła i wciąż podejrzewałam, że próbowała coś przedsięwziąć, bym nie widywała Warriego, nawet tak rzadko jak to miało miejsce.

Sądziłam, że mogłabym ją uspokoić; potrzeba mi było tylko trochę beztróskiego towarzystwa kogoś mniej więcej w moim wieku, po całym lecie spędzonym ze starymi ludźmi. Ale nie zrobiłam tego. Po pierwsze, jej zgrzyota z tego powodu irytowała mnie; nie mogłam znieść jej ciężaru na swoich barkach, nie teraz, gdy wisząca nade mną przez długie lata chmura nieszczęścia i lęku zaczęła wreszcie ustępować. Po drugie, zdawałam sobie do pewnego stopnia sprawę, że było coś więcej w moim widywaniu się z nim, poza sposobem spędzania czasu. Każda kobieta, która przeżyła kiedyś miłość do mężczyzny i straciła go, chce ponownie go wypróbować, gdy spotykają się po wielu latach. Może być szczęśliwa z powodu swej obecnej sytuacji i na ogół wcale nie ma zamiaru powracać do dawnego związku. Chce tylko zobaczyć, czy ma moc sprawienia, by choć w najmniejszym stopniu żałował. Myślę, że jest to tak powszechna cecha kobieca, że musi być genetyczna. Rozpoznałam ją u siebie i nie

podobało mi się to. Nie zrobiłam też nic, by złagodzić zmartwienie babki. To też mi się we mnie nie podobało.

Nie mówiła o Warriem przez tydzień po przyjęciu, gdy wychodziłam wieczorami, by zanieść mu jedzenie. Ale gdy powiedziałam jej gdzie i z kim się wybieram tego ranka, odstawiła filiżankę z kawą i powiedziała:

— Ach, kochanie, tak bardzo bym chciała żebyś tego nie robiła. Wiem, że masz dwadzieścia dziewięć lat i tak dalej, ale nie mówiłam nic tego lata i patrzyłam co będzie dalej. Co innego zanieść mu kolację, ale spędzić z nim cały dzień na łodzi to coś zupełnie innego. Ciągłe jeszcze jesteś bardzo słaba i nie wydaje mi się być widziała wyraźnie jaki jest, nawet teraz.

— Widzę bardzo wyraźnie jaką nędzną kreaturą był dwanaście lat temu i błaznem, który cię zamęczał przez całe to lato, i mogę sobie doskonale z tym poradzić, tak samo jak ty — powiedziałam niezbyt ostro, gdyż wydawała się tego ranka bardzo stara i malutka, niemal tak wycieńczona i pobladła jak wtedy, gdy na początku lata znalazłam ją śpiącą na werandzie, i to mnie przestraszyło. Nie chciałam czuć się winna z powodu babuni Maude.

— Więc dlaczego nie odwołasz dzisiejszego planu? Spędź dzień ze mną, zamiast z tą nędzną kreaturą i błaznem. Możemy się gdzieś wybrać; może do Bar Harbor.

— Na miłość boską, babuniu, my będziemy tylko żeglować... nie jedziemy do motelu ani nic takiego — warknęłam. — Nie mam zamiaru wiązać się znów z Warriem Villiersem; nawet nie za bardzo go lubię. Chcę po prostu spędzić parę godzin z kimś, kto mnie pobudza do śmiechu.

Nachyliła się nad filiżanką z kawą, ale zdążyłam spostrzec, że ją dotknęłam. Moje słowa były bezmyślne i twarde. Powinnam była zrobić to, o co prosiła; żeglowanie nic dla mnie nie znaczyło. Ale nie zrobiłam. Pocałowałam jej pomarszczony jedwabisty policzek i powiedziałam:

— Wróć przed drinkiem. Czy chcesz zaprosić panią Thorne i panią Stallings? Jeśli tak, to kupię jakiegoś kraba.

— Chyba nie — odparła. — Może wezmę P. D. Jamesa i polezę trochę w łózku. To jest słońowy dzień.

Poczułam żądło niepokoju; bywały dni, gdy babuni trudno było głęboko oddychać i czuła w okolicy serca — jak mówiła — jakby słoń siedział jej na piersi. Te ataki napawały mnie początkowo lękiem, powiedziała jednak, że była badana tuż przed wyjazdem z Northpoint i jej lekarz nie znalazł nic alarmującego, po prostu normalne osłabienie starych mięśni i długo używanych płuc. Miała tylko wypoczywać, gdy poczuje słońia. Wtedy to uczucie zazwyczaj mijało po kilku godzinach. W najgorszym wypadku następnego dnia. Ale przeważnie, oznajmiając, że słoń wrócił, dodawała z wymuszonym uśmiechem: „Bardzo mały słoń”. Tym razem tego nie powiedziała. Czyżby sądziła, że symulując chorobę powstrzyma mnie przed widzeniem się z Warriem?

— Pa — powiedziałam serdecznie. — Tak czy tak, w powrotnej drodze kupię kraby. Możemy zrobić sałatkę na kolację.

— Do widzenia, kochanie — odparła.

Weszłam w diamentową rzeźkość poranka, by spotkać się z Warriem, który stał na trawniku za berbersowym żywoplotem w białych spodniach, koszuli w paski i wyglądał zdecydowanie międzynarodowo. Miał torbę ze sznurka, a w niej prawdziwą francuską bagietkę, butelki czerwonego wina i Perrier.

— Mocny Boże — wyszczerzyłam zęby w uśmiechu. — „*Matelot, matelot...*” pamiętasz starą piosenkę Noela Cowarda? Jesteś stanowczo zbyt egzotyczny na Zacisze. Muszę cię zabrać gdzieś do Northeast Harbor, czy w inne bogate miejsce. Skąd wzięłeś, u licha, francuski chleb?

— Przekupiłem piekarza w Castine, żeby mi upiekł — odpowiedział. — Pewnie jest zrobiony z brunatnej mąki i Crisco, ale kształt jest taki jak trzeba.

Jachtklub był wyludniony i zorientowałam się po liczbie pustych miejsc, że prawie wszystkich gnała podobna do mojej, zrodzona z mgły, tęsknota za otwartym morzem. Jeszcze paru małych chłopców mocowało się ze swymi Żukami i mała grupka kobiet siedziała na werandzie, by odetchnąć od przygotowań do dzisiejszej popołudniowej herbatki. To była sobota, jedne z ostatnich regat. Zapomniałam o tym. Poczułam lekki ucisk w gardle; nie chciałam spotykać tego lata nikogo, kogo znałam przedtem, z wyjątkiem babuni Maude i jej starych przyjaciółek. Ale musiało się to kiedyś zdarzyć. Patrząc na te kobiety, nie umiałam powiedzieć, czy to były moje dawne znajome, czy zupełnie obce osoby. Wydawały się bardzo do mnie podobne, w tenisowych strojach, albo w białych szortach i koszulkach, ale żadna nie wyglądała na znajomą. Zastanawiałam się, czy dwanaście lat zmieniło mnie tak bardzo, czy może to one się zmieniły. Podniosłam rękę i uśmiechnęłam się, na wszelki wypadek. Chór grzecznych powitań przysłuchując zaraz do mnie w odpowiedzi:

— Halo, Darcy. Słyszałam, że tu jesteś.

— Miło cię zobaczyć; obciąsał włosy czy coś takiego, prawda?

— Przyjdź się przywitać skoro wróciłaś... i na herbatę.

Odkrzyknęłam, że przyjdę, postanawiając jednocześnie, że tego nie zrobię. Nie miałam zamiaru przedstawiać Warriego. Nawet nie zastanawiałam się nad tym, że mógł znać te kobiety, ale gdy jedna z nich zawołała:

— Warrie! Poczekaj! — wstała, i zaczęła schodzić do nas po schodach, zastanawiałam się, dlaczego o tym nie pomyślałam. Oczywiście musiał je znać; musiał teraz znać prawie wszystkich. Był tu przecież od kwietnia. To ja byłam odizolowana.

Kobieta podeszła bliżej i wtedy zobaczyłam, że była mniej więcej w moim wieku, może trochę starsza i uderzająco piękna. I również znajoma, tak że dawny lęk wychylił się nagle z ukrycia. Kto to był? Skąd ten niepokój? Nagle uświadomiłam sobie: Greta Winslow, wnuczka starego wroga mojej babki. Jej babka także była piękna, i matka też, a przy tym, jak słyszałam, równie podła jak Greta. Co za szkoda marnować dobre geny na kobiety Winslowów, pomyślałam z irytacją, przypominając sobie

brzydka scenę na przystani wioślarskiej Willisów przed laty, gdy ona sztydziła ze mnie opowiadając o obłędzie mojej matki wobec wszystkich dzieci na letnisku. Trzeba było Mike'a Willisa, by zamknąć jej usta, Mike'a i jego dziadka, Micaha.

— Halo, Greto — powiedziałam. Uśmiechnęła się słodko do mnie, wyciągnęła ręce i lekko pocałowała Warriego w usta.

— Ty łotrze — zawołała. — Nie wpadłeś do Southampton. Czekałam do końca weekendu. Jeśli myślisz, że dostaniesz swój sweter z powrotem, to myśl tak dalej.

— Halo, Gerto — odparł, wyplątując się z jej uścisku i klepiąc ją po siedzeniu. — Zatrzymaj sweter, proszę bardzo. O wiele lepiej w nim tobie niż mnie. Kiedy tu przyjechałaś?

— Przedwczoraj — odparła. — Miałam zająć i zapytać czy chciałbyś pozełgować z Corky Stallings i ze mną dziś po południu, ale widzę, że już jesteś umówiony.

— Nie nadaję się do regat — odparł. — Darcy pokaże mi ten słynny stwór nazwany Żukiem. Obawiam się, że znam tylko statki parowe.

— To źle — powiedziała odwracając się do swej grupy. — Założyła-bym się, że nadajesz się znakomicie. Do regat oczywiście. Musimy nad tym popracować. Uśmiechnęła się znowu i weszła po schodach, a my zeszlismy schodkami do dingy, by dopłynąć do keta.

— Nie wiedziałam, że znasz Gretę — powiedziałam. — Nie pamiętam, żebyś ją spotkał tamtego lata.

— Nie spotkałem — rzekł. — Poznałem ją na straszliwie głupim przyjęciu w jakimś domu w Southampton na początku tego lata, zanim tu przyjechałaś. Nie wzięła z sobą nic ciepłego do ubrania, więc pożyczyłem jej sweter, który, jak słyszałaś, dotąd ma u siebie. Greta jest piękną kobietą, ale trochę... zbyt kanciasta jak na mój gust. Żadnej subtelności. Jeszcze nie upłynęło pół roku odkąd jest po rozwodzie, a już przeszła przez najświetniejszych w Nowym Jorku. Przynajmniej tak mi mówiono.

— A czy ty byłeś... jednym z tych najświetniejszych?

Śmiałam się, ale krew napłynęła mi do głowy. Na Boga, dlaczego miałoby mi na tym zależeć? Prawdę mówiąc, nie zależało mi.

— Najwyraźniej nie dość świetnym — odpowiedział, uśmiechając się szeroko. — Z tego, co o niej mówią, wiem, że wracała z Southampton rolls-royce'em z jakimś dżentelmenem, który, jak rozumiem, zawojował handel wewnętrzny. Mój skromny spadek nie mógłby temu dorównać.

Zawróciłam małą łódkę. Wiatr był lekki, łagodny i stały. Nastawiłam się na długą włóczęgę w kierunku Eggemoggian Reach i Wyspy Sarenki. W przeciwnym kierunku leżała Wyspa Rybołowów. Nie chciałam więcej oglądać tamtych wód.

Gdy już byliśmy w drodze, powiedziałam:

— Myślałam, nie wiem czemu, że przyjechałeś tu prosto z Włoch. Z tego co mówiłeś...

— Byłem w Nowym Jorku prawie przez dwa lata nim przyjechałem do Zacisza — powiedział obojętnie. Milczałam. On przez długą chwilę także

nic nie mówił. Słysząc było tylko niski pomruk wiatru i lekkie rozpryskiwanie wody prutej przez dziób naszej łódki. Potem odwrócił się do mnie mówiąc:

— Byłem w szpitalu za Manhattanem, przez prawie piętnaście miesięcy, na Hudson Valley za Sneden's Landing. To był szpital dla alkoholików i innych nałogowców. Rodzice mojej żony wynaleźli go i wysłali mnie tam, płacili rachunki i wynajęli mi po wyjściu mieszkanie w Nowym Jorku. To, i spora suma w gotówce, to była cena jaką zapłacili za usunięcie mnie z życia Julii. Myślę, że uznali tę cenę za niewygórowaną. W tym czasie byłem skandalicznie złym mężem i chyba niebezpiecznym. Moja matka umarła, gdy byłem w szpitalu i potem nie miałem już do kogo wracać; dysponowałem sporą sumą... zostałem więc na jakiś czas na Manhattanie, odwiedzając bankierów i specjalistów od finansów w sprawie tego przedsięwzięcia tutaj i chodząc do Związku Automobilowego. Bank Winslowów był jednym z tych, z którymi wszedłem w kontakt. Prowadzi go teraz brat Grety, zapamiętał moje nazwisko. On, jego żona i Greta zaprosili mnie na obiad. W ten sposób ją poznałem. I to wszystko. Tylko tyle.

Rumieniec na moich policzkach rozniecił się w płomień.

— Na Boga, Warrie, nie miałam zamiaru wścibiać nosa w twoje sprawy. To naprawdę nie mój interes, gdzie chodziłeś i kogo widywałeś. Nie musisz mi składać sprawozdań.

— Nie, ja wiem, że myślałaś, że przyjechałem z Europy — powiedział patrząc na morze. Wyraz jego twarzy był poważny. — To ja cię na to naprowadziłem. Nie chciałem, żebyś myślała... pamiętałem ostatnie słowa, które mi powiedziałaś, przedtem. O hołocie europejskiej. Nie chciałem, żebyś myślała, że kimś takim byłem.

Poczułam litość, litość i jakby odrobinę triumfu. Pamiętał więc te ostatnie słowa gniewu i bólu. Ale, dobry Boże, szpital; powinnam była wiedzieć. Powinnam była wyczuć. Jest pomiędzy nami braterstwo, pomiędzy tymi, którzy przebywali w takich miejscach. Rozpoznajemy się przy spotkaniu, jakby coś z nas emanowało. Dlaczego tego nie wyczułam?

— Przykro mi z powodu szpitala — powiedziałam. — Ja też byłam w szpitalu. Wyszłam dopiero, by tu przyjechać. Nie z powodu nałogu, tylko tego co nazywają zaburzeniami lękowymi. Umieć na ogół rozpoznać, kto przebywał w szpitalu, ale ostatnio sama byłam przybita. To musiało być okropne, zupełnie sam, chory i w obcym kraju, a poza tym straciłeś matkę.

— Tak — powiedział. — To było straszne. To był najgorszy moment. Zmarła, zanim mogłem dotrzeć do domu. Zapalenie wątroby. Prowadziła intensywne życie, ale wciąż była bardzo piękna.

Zeglowaliśmy przez jakiś czas w milczeniu, a potem Warrie powiedział.

— Właściwie wiedziałem o twojej... chorobie. Twoja babka powiedziała mi, zanim przyjechałaś. Nie mówiła co to było, dokładnie, ale że to było dość poważne i miało emocjonalne podłoże. Teraz widzę, że

ostrzegając mnie, żebym się trzymał od ciebie z daleka. Być może miała rację.

— Nie miała racji i bardzo jestem na nią zła — odparłam. — Nie dlatego, że ci to powiedziała — nie wstydę się tego — ale, że wzięła to na siebie. Nie miała prawa.

— Myślę — rzekł Warrie — że chyba miała wszelkie prawa. Myślę także, że teraz jest z tobą lepiej — dodał. To nie było pytanie.

— Tak. Nie sądziłam, że będzie lepiej i dla mnie samej jest to niespodzianka. Gdy się jest w samym środku takich spraw, człowiek nie myśli, że one mają koniec — powiedziałam. Myślisz o przeżyciu reszty życia w przystosowaniu do... czegokolwiek. Do lęku w moim przypadku. O znalezieniu sposobu na przeżycie dalszych lat bez umierania z lęku. Myślisz o tym co musisz zrobić, by nad nim panować, jak i gdzie możesz z nim żyć. Lęk jest jak jakieś wielkie, nieuchronne czyhające zwierzę lub coś co jest z tobą skute łańcuchem do końca życia. Szukasz tylko takich miejsc, gdzie przyjmują olbrzymie, straszne zwierzęta. To niesłychanie zubożony sposób życia. Przepraszam cię, Warrie. Nie miałam zamiaru wygłaszać przemówienia. Jest ze mną lepiej. Zwierzę jest teraz o wiele mniejsze i z każdym dniem maleje. Już jest teraz prawie wielkości pudła. To dla mnie zaskoczenie.

Wyciągnął rękę i przykrył nią na chwilę moją dłoń.

— Wiem — powiedziała. — Naprawdę wiem. Nieobce mi jest żadne słowo w tym co powiedziałaś. To bardzo ciężkie i mało jest osób, z którymi można o tym mówić. Ja nie będę mówił o tym z tobą... ale to bardzo pokrzepiające wiedzieć, że mógłbym, gdyby mi to było potrzebne i mam nadzieję, że ty wiesz, że możesz rozmawiać o tym ze mną. Zawsze.

— Tak — odparłam i uśmiechnęłam się do niego. — Wiem. Nie mówmy... ale zachowajmy tę możliwość w rezerwie.

Potem nie mówiliśmy już o naszej przeszłości. Znaleźliśmy małą zatoczkę za Herrick, zarzuciliśmy tam kotwicę i zjedliśmy lunch, a wysokie południowe słońce wylewało się wprost na nas; śmialiśmy się z rzeczy, których już teraz nawet nie pamiętam, z wyjątkiem tego, że przedmiotem śmiechu była też Greta Winslow i jej nowojorska koteria. Przyzeglłowaliśmy do domu po południu, tuż przed powrotem flotylli regatowej, o tej godzinie, gdy wszystko staje się nieruchome, jakby drzemało w ciszy nim znów powróci do życia wieczorem. Poszliśmy prosto ścieżką do głównej drogi wiodącej do Zacisza, nie patrząc nawet w stronę jachtklubu, i kiedy ktoś — chyba Greta — wyszedł na werandę klubową i zawołał za nami:

— Mówiliście, że przypłyniecie na herbatę — wzięliśmy się za ręce i pobiegliśmy drogą śmiejąc się jak dwoje dzieci, które łączy tajemnica zachwycającego przewinienia. Puściłam jego rękę, gdy skęciliśmy na drogę, a on wyprostował się i szedł przyzwoicie za mną niosąc opróżnioną butelkę w pustej torbie, ale sekret wciąż był w powietrzu.

— Do widzenia — powiedział, zmierzwił mi włosy i poszedł ścieżką przez łąkę za Zaciszem do zakrętu w kierunku Pięknego Brzegu.

— Do widzenia — zawołałam i weszłam do domu.

Gdy weszłam do bawialni, ogień palił się na kominku, babunia Maude siedziała przed nim w swym hiszpańskim szalu rozmawiając z Mike'em Willisem. Przez chwilę stałam w drzwiach, niewidziana przez nich i po prostu patrzyłam na niego. Siedział na podnóżku, pochylony w przód, trzymał obie dłonie babki w swych rękach, a ona mówiła coś do niego z przejęciem. Ogień z kominka rzucał refleksy na ich twarze. Wydobywał połysk jego białych zębów i czegoś — czy to mogły być łzy? — na jej twarzy. Jeśli to były łzy, uśmiechała się przez nie łagodnie, patrząc na niego z dawną mieszaniną czułości i troskliwej uwagi, którą tak dobrze pamiętałam. W moich najwcześniejszych wspomnieniach z Liberty widziałam ich tak siedzących i rozmawiających przy kominku. Wyglądał tak znajomo i naturalnie w świetle ognia, że zdałam sobie sprawę, iż taki właśnie jego obraz nosiłam w sobie przez te wszystkie lata, kiedy ostatni raz go widziałam, ukryty przed moim wzrokiem jak stara fotografia w portfelu, ale zawsze przy mnie.

Mike, powiedziałam bezgłośnie, a potem, na głos:

— Mike.

Odwrócił się, spojrzał na mnie i wtedy poznałam po jego twarzy, że naprawdę minęło dwanaście lat ciężarów, burz i trosk. Zobaczyłam srebrne pasma w szorstkich włosach, które jak dawniej spadały na brązowe czoło. Ale to wciąż był Mike i nikt inny na świecie, niesamowicie podobny w tym świetle do swego dziadka Micaha. Nic dziwnego, że pomyliłam się na cmentarzu w dniu przyjazdu. Podobieństwo musiało wzruszać babkę, gdy na niego patrzyła.

Uśmiechnął się i rzekł:

— Halo, Rudzielcze — a ja pobiegłam przez pokój i objęłam go ramionami. Oddając mi uścisk na pół się podniósł, pachnący solą, mydłem i Mike'em, a potem stracił równowagę i oboje usiedliśmy ciężko na podnóżku, ja na jego kolanach. Siedziałam tak przez chwilę z twarzą ukrytą na jego ramieniu, czując jak wraca do mnie przeszłość niczym kręcona do tyłu taśma filmowa, a potem odchyliłam się i powiedziałam głupio:

— Szkoda, że nie dałeś mi znać, że przyjedziesz. Muszę wyglądać strasznie nieporządnie; cały dzień byłam na wodzie.

— Właśnie słyszałem — odparł wstając i podnosząc mnie na nogi.
— Dla mnie jednak wyglądasz zupełnie dobrze. Lepiej, niż kiedy cię ostatni raz widziałem, naprawdę.

Dopiero wtedy przypomniałam sobie, że rozstaliśmy się w nieporozumieniu i gniewie; że uciekłam od niego z przystani do Liberty, a on biegł za mną, nie wiedząc co takiego zrobił, poza tym, że mnie pocałował. Czułam wstyd i ból. Inne wspomnienia napłynęły w ślad za tamtym: Mike pochylający się nade mną w szpitalu, mówiący coś łagodnie moja odwrócona twarz. A może to był sen? Nic więcej nie pamiętam z tamtych kilku tygodni.

— Czy byłeś wtedy w szpitalu? — zapytałam.

— Czy byłem? Przemierzyłem drogę od Bostonu tylko po to, żebyś odwróciła twarz do ściany. Tak, to jest zdecydowana poprawa. Zawsze myślałem, że tak będziesz wyglądała.

— Jak?

— Jak rudy kot. To właściwe określenie, jeśli zdasz sobie sprawę, że przedtem wyglądałaś jak rude kocię. Gdyby cię pomalować w paski, wyglądałabyś jak stary Zoot, z jego pierzastym futrem i wielkim tłustym ogonem.

Zoot wyczołgał się spod sofy i okręcił się dokoła nogi Mike'a, mrużąc łagodnie.

— Wielkie dzięki za ten kawałek o ogonie — powiedziałam. — Widzę, że się już poznaliście.

— Och, tak. Zoot i ja zjedliśmy razem niejedną puszkę sardynek w musztardzie podczas moich wizyt u twojej babci. Szczególnie dopominał się o musztardę. Co do ogona... dobrze wygląda na tobie. Trochę chudszy niż myślałem ale jednak pokaźny. Cieszę się, że nie nabawiłaś się niechęci do ogonów.

— Tak się stanie po tej rozmowie — odparłam, pochylając się, by ucałować na powitanie policzek babuni Maude i przeprosić za moje poranne zachowanie. Był wilgotny. A więc to były łzy.

— Co się stało? — zapytałam, patrząc to na jedno, to na drugie. Nagle mnie uderzyło — to dziwne, że był tutaj. Czy babka nie mówiła, że będzie gdzieś na wybrzeżu przez całe lato i jesień nadzorując budowę nadmorskiej rezydencji, którą zaprojektował dla jakiegoś bogatego letnika?

— Mój dziadek miał znów wylew tej nocy — powiedział; uśmiech znikł z jego twarzy. — Jest w szpitalu w Castine. Nie wygląda za bardzo na to, by mógł z tego wyjść.

— Och, Mikę — zawołałam, czując szybko wzbierające łzy. — Och, babuniu... tak mi przykro. O Boże...

— Trudno, kochanie, mnie też, ale mój biedny stary Micah... te ostatnie lata nie były dla niego zbyt radosne — powiedziała babunia Maude. — To będzie dla niego lepsze.

Jej twarz była biała i znużona, ale spokojna. Poczułam dreszcz w rękach i nogach. Jak musiały się czuć, w jej wieku, sama tak bardzo bliska drugiego końca życia, gdy widziała jak wszyscy, których kocha, jeden po drugim, przechodzą przez drzwi, które są i dla niej na pół otwarte? Co ona myślała, że nastąpi potem? Dlaczego miałyby być lepiej dla Micaha Willisa po drugiej stronie? Wiedziałam, że nie jest kobietą religijną w konwencjonalnym sensie i zdałam sobie sprawę, że nie wiedziałam, co myśli o życiu i śmierci i o tym, co jest poza nią. Powiedziałabym, że moja babka była zdecydowanie po stronie życia; życie było siłą, którą z nią łączyłam. Ale oto siedziała tutaj mówiąc z rodzajem jakiejś aprobaty o śmierci. Pamiętałam o tym, że gdy sama w ciągu ostatnich kilku lat myślałam o śmierci, śmierci samobójczej, myślałam tylko o ustaniu bólu, o końcu, a nie o początku czegoś. Kiedy to się skończy i ona trochę przeboleje, musimy z sobą o tym porozmawiać, pomyślałam.

— Wiem, jak bardzo ci go będzie brakowało — powiedziałam, i patrząc na Mike'a, dodałam — i wiem, jak bardzo go kochałeś. Ja też go kochałam. Kocham. Myślałam nieraz, że bardziej do niego jesteś podobny niż do swego ojca.

— To miło — odparł. — Mam nadzieję, że tak jest naprawdę. Już nie będzie takich ludzi jak on. Myślę, że minął już jego czas w świecie. To co mamy przed sobą będzie wymagało ludzi mniejszego formatu.

Babunia Maude roześmiała się głośno, niemal wesoło, prawie jak dziewczyna.

— Och, jak by się zachnął na to i jednocześnie jaki byłby dumny, gdyby to usłyszał — powiedziała. — Nie znałam drugiego człowieka, który by do tego stopnia nie znosił podziękowań czy komplementów. Myślę, że pojedę i posiedzę z nim trochę i napompuję go pochlebstwami, zaleję go nimi, teraz, kiedy nie może na mnie warczeć.

— Dobry pomysł — powiedział Mikę i sam się uśmiechnął. — Rzeczywiście przyszedłem zobaczyć, czy chciałyby pani ze mną pojechać. Byłem tam przez całe rano; zapadał jakby w śpiączkę i budził się z niej, ale zanim wyszedłem, trochę powrócił do przytomności i myślę, że chciałyby panią zobaczyć. Jeśli chce pani pojechać, to trzeba teraz. Pojedziesz Darcy? Chciałbym, żebyś pojechała.

— Oczywiście — powiedziałam. — Tylko się przebiorę.

— Pojedź lepiej, tak jak jesteś — rzekł. — Myślę, że on długo nie wytrzyma.

Usiadłam na tylnym siedzeniu jego zachlapanego błotem cherokee. W drodze do Castine niewiele mówiłam, słuchałam cichej rozmowy jego i babuni, w miarę jak znikwały za nami mile słonecznego zachodu i blask różowej panoramy morza, nieba i lasów. Niedużo mówili, głównie o jego budowie w Wells i jak pracowało jego biuro projektowe, trochę o zmianach w miasteczku i na lotnisku. Żadne z nich nie wspominało o Warriem Villiersie i jego nabytkach w Zaciszu i żadne z nich nie zwracało się wprost do mnie.

Mikę prowadził szybko i dobrze. Raz tylko na pół odwrócił się do mnie i powiedział przez ramię:

— Gdzie byłaś dzisiaj? Na Wyspie Rybołowów?

— Nie — odparłam. — Za Herrick i dalej u wylotu Eggemoggin i z powrotem. Łodzie regatowe tam były, ale my... ja ich nie widziałam. Myślę, że musiały popłynąć w drugą stronę, w kierunku Wyspy Rybołowów.

— Acha — powiedział.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Po prostu byłem ciekawy. Nie byłem na Wyspie Rybołowów przez cały rok. Pomyślałem, że wezmę któregoś dnia łódź tatusia, skoro jestem w domu. Popłynęłabyś?

Nie, prawie krzyknęłam, ale nie zrobiłam tego oczywiście. Wyspa Rybołowów, te głębokie wody, to zabójcze zimno, bez dna, ciemność... nie wiedziałam, czy mogłabym znowu tam się znaleźć. Nie wiedziałam, czy

pozwoiłby mi na to uśpiony lęk. Nie wiedziałam nawet, czy ma dla mnie jeszcze znaczenie mała wyspa, której most łączący ją ze stałym lądem pomagałam dawno temu spalić. Kiedyś myślałam o niej jako o mojej wyspie, mojej i Mike'a, ale od wielu lat nie było tam nic dla mnie prócz bólu i poczucia utraty.

— Może bym popłynęła — powiedziałam. — Zobaczmy co tam się dzieje.

— Dobrze — powiedział patrząc na drogę. Nie mówił już nic do mnie dopóki nie dojechaliśmy do szpitala. Przez ten czas mrok zapadł na dobre. Szybciej teraz zapadał, pod koniec tego pięknego sierpnia.

Na drugim piętrze Mikę zatrzymał się przed boksem pielęgniarek. Zdawało się, że nie ma tam nikogo, podszedł więc do otwartych drzwi, wsunął głowę i zawołał cicho:

— Millie?

Krępa kobieta w wykrochmalonej bieli, z mocno skręconą trwałą ondulacją weszła do boksu z tylnej kabiny. Uśmiechnęła się na widok Mike'a, a potem zmarszczyła brwi.

— Chłopcze, dobrze że jesteś — powiedziała. — Dzwoniłam do ciebie.

— Czy jest jakaś zmiana?

— Nie. Trochę. Nie jest mu właściwie lepiej, ale powiedział kilka słów prawie wyraźnie. Nie wydaje mi się, żeby coś znaczyły, ani doktorowi Eltonowi, ale jest rażny i nie sądzimy, żeby cierpiał. Nie, telefonowałam z powodu pastora z tego nowego kościoła w miasteczku, to fundamentalista, nawiedzony szaleniec. Objął się tu przez cały dzień, niepokoił twego dziadka w sprawie zbawienia, namaszczenia i tak dalej. Dziadek raz go wyrzucił, potem ja, gdzieś przed godziną; modlił się i awanturował przez cały czas. Ktoś mu powiedział, że dziadek nigdy nie był członkiem Kościoła, więc on uważał, że powinien go ochrzcić, bo inaczej pójdzie prosto do piekła. Zdaje mi się, że twój dziadek jego też tam wysłał. Jak tylko twoi rodzice wyszli, żeby coś zjeść, wśliznął się z powrotem. Jest z nim teraz. Szłam tam właśnie, ale pewnie będziesz wolał sam się tym zająć.

— Będę niezmiernie szczęśliwy — powiedział Mikę ponuro. Uśmiechnęłam się mimo woli, babunia Maude także. Wiedziałam, że myślimy o tym sAmym: Micah Willis nie więcej miał wspólnego z przepisami i rytuałami religijnymi niż z miastami i nocnymi klubami. Pomyślałam, że był jednym z najlepszych ludzi jakich znałam, ale to nie był rodzaj dobroci ustanowionej dogmatem.

— Darcy — zwrócił się do mnie Mikę — to jest Millie Prout. Chodziłem z nią do średniej szkoły. Kieruje teraz tym miejscem i jestem z tego bardzo zadowolony. Millie, znasz panią Chambliss, a to jest jej wnuczka, Darcy. Darcy i ja spędzaliśmy tu w dzieciństwie razem letnie miesiące. Jest też starą przyjaciółką dziadka.

— Miło znów panią widzieć, Mrs. Chambliss — powiedziała Millie Prout. Spojrzała na mnie. — Miło panią poznać, Darcy. Bardzo jest pani podobna do babci. Idź teraz i rozpraw się w tym wariacie, Mikę. Mam świeżą kawę i za minutę paniom przyniosę.

Skinęła głową babuni i mnie i weszła do swego kącika. Mikę poszedł szybko przez korytarz, jego kroki dudniły głośno po białych płytkach posadzki. Babunia Maude i ja usiadłyśmy na pomarańczowych krzesłach Naugahyde w małej mrocznej poczekalni. Ta nisza to było ponure miejsce, z wysokimi, zmatowiałymi, chromowanymi popielniczkami i pokasującym automatem sprzedającym. Stosy czasopism, których okładki ujawniały daty sprzed trzech czy czterech lat, leżały na porysowanym i nadpalonym stole. Nie było tu więcej nikogo.

— Nie mogę sobie wyobrazić, żeby ci było wygodnie — powiedziałam do babki, usiłując na próżno znaleźć wgłębienie w krzesle, które byłoby dogodne dla mojego siedzenia. — Mogę zapytać Millie, czy ma jakieś proste krzesło.

— Nie, wszystko w porządku — powiedziała babunia Maude, uśmiechając się do mnie. — Myślę, że doskonale pasuje do mojego zadka. Spędziłam w nim sporo czasu tamtego lata, gdy ty tu byłaś. Jestem pewna, że to samo krzesło. Poznaję dziury wypalone papierosem.

— Biedna babunia — powiedziałam. — To miejsce nie może ci się z niczym dobrym kojarzyć.

— Przeciwnie — odparła. — W tym miejscu wyleczono ciebie i bardzo dobrze opiekują się Micahem. Nie wydaje mi się, żeby chciał być gdzie indziej, czy żebym ja tego chciała. Tylko tu, blisko domu, żeby dziewczyna stąd opiekowała się nim i żeby mógł patrzeć na zatokę, gdy podniesie głowę.

Odwrociłam się od jej wielkich szarych oczu. Obie wiedziałyśmy, że Micah Willis chyba już nie podniesie głowy. Zamilkłyśmy, trzymając w rękach czasopisma, ale nie czytałyśmy ich. Czekałyśmy, czekałyśmy...

Po kilku minutach drzwi w głębi opustoszałego białego korytarza otworzyły się nagle i wypadł z nich uciekający mężczyzna. Był wysoki i chudy jak szkielet, miał na sobie wyświecone czarne ubranie i czarny krawat, tak szeroki jak nie noszono od lat siedemdziesiątych; w rękę trzymał Biblię. Z mego dogodnego punktu obserwacyjnego zauważyłam, że wyglądała jak egzemplarze zostawione w motelach przez Gedeonów*. Miał bardzo małą głowę na długiej szyi, a proste jak szczotka brązowe włosy wieńczyły najwyższe czoło jakie kiedykolwiek widziałam. Interesująca twarz: wszystkie rysy były bardzo drobne i jakby zwarte razem, nadając mu wyraz źle wykonanej staromodnej lalki Kewpie. Patrzył na swe sznurowane buty i szedł drobnymi krokami tak szybko, że poczułyśmy powiew po jego przejściu. Miał nachmurzoną twarz, ale robiło to wrażenie ważnej miny, grymasu, jaki dziecko przybiera, gdy chce, by je uważano za dorosłe. Stuknął w przycisk windy palcem o zdumiewającej długości i bieli, a potem odwrócił się w kierunku schodów i zniknął na nich. Nie wypowiedział ani jednego słowa. Popatrzyłyśmy na siebie z babką.

* Komiwojażerowie o nastawieniu religijnym, którzy zostawiali w hotelach amerykańskich egzemplarze Biblii. Nazwa pochodzi prawdopodobnie z Księgi Sędziów VII — przyp. tłum.

— Jeden dla Mike'a, zero dla chrześcijan — powiedziałam, a ona roześmiała się cudownym cichym śmiechem.

— Można ręczyć za Mike'a — rzekła. — Sam pomysł nawrócenia Micaha Willisa! Nawet gdy leży nieruchomo i nie może ruszyć ręką, zbyt wiele jest wart, żeby być partnerem tego opowiadacza bzdur.

— Myślisz, że to naprawdę bzdury? — zapytałam tylko na pół się z nią drocząc. Zapragnęłam nagle wiedzieć.

— Oczywiście, że tak, w jego wydaniu — odparła. — To udawana prostota. Nawet nie prostota. To hańbienie człowieka o tak bogatej i złożonej psychice jakim jest Micah. Gdziekolwiek szuka zbawienia, jeśli chcesz tak to nazwać, to na pewno nie w wyznaniu, że żałuje za wszystko i ma nadzieję, że będzie lepszy w innym życiu. Wszystko czego mu życzę, to to żeby mógł robić dokładnie to samo co w tym życiu, może trochę lepiej. Myślę, że on to tak rozstrzygnął.

Spojrzałam na nią z ciekawością. Chciałam poprosić, żeby mi wyjaśniła, co ma na myśli, ale drzwi pokoju otworzyły się znowu i Mikę podszedł do nas. Miał dziwny wyraz twarzy; była zaczerwieniona, w oczach miał łzy, ale widziałam, że walczy jednocześnie ze śmiechem.

— Nie wiem, co mu powiedziałeś, ale to musiało być skuteczne — rzekłam. — Wyparował stąd jakby gonili go Jezuici.

Mikę potrząsnął głową.

— To nie ja — powiedział. — Zabrałem się wprawdzie do niego i już miałem złapać go za kołnierz i wyrzucić, ale w końcu to dziadek go wyrzucił.

— Micah? — zapytała babunia Maude.

Skinął głową.

— Nie słyszałem, żeby powiedział jedno słowo przez cały czas odkąd wróciłem do domu, choć widziałem, że próbował — rzekł. — Ale po jakichś pięciu minutach mojego mocowania się z tym palantem dziadek powiedział tak wyraźnie jak jeszcze nigdy w życiu...

Zamilkł, zakrył oczy dłońmi, ramiona mu drżały. Myślałam, że płacze i położyłam bezradnie rękę na jego ramieniu. Ale podniósł głowę i spojrzał na mnie, a potem na babunię.

— Powiedział: Zjedz kanapkę z gównem, i ten pastor się wyniósł.

Babunia i ja wybuchnęłyśmy śmiechem i Mikę także, a potem odwrócił się nagle, podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Jego ramiona drżały teraz mocniej, wiedziałam, że płacze. Podniosłam się, żeby do niego podejść, ale babka powstrzymała mnie.

— Niech płacze — powiedziała. — Potrzeba mu tego. Jeśli podejdziesz, przestanie.

Wrócił po chwili do nas; jego twarz była jasna, choć pokryta plamami i zaczerwieniona.

— O Boże — powiedział — nie miałem pojęcia, że będzie aż tak źle. Darcy, on chce cię na chwilę zobaczyć, a potem babunię Maude.

— Jesteś pewnien?

— Tak. Brakowało mu słów, ale zrozumiałem. Wejdz tam.

Nigdy w życiu nie pragnęłam niczego mniej, ale przeszłam przez korytarz, otworzyłam drzwi i weszłam do małego mrocznego pokoju. Micah Willis leżał w wysokim wąskim łóżku z podniesionymi bokami, żeby nie wypadł, rurki i aparaty kontrolne wły się od jego rąk i nosa. Leżał zupełnie nieruchomo i był bielszy i starszy niż jakakolwiek ludzka istota, którą widziałam w życiu, marmurowa podobizna człowieka. Przy jego bladej twarzy, przetykane siwizną czarne włosy wyglądały niemal przerażająco, pełne życia, jak włosy wampira. Czarna szczec pokrywała brodę. Jego sokoli nos sterczał ze skurczonych rysów jak wąska klinga kości, a usta były lekko rozchylone i białe jak papier. Oddech brzmiał tak jakby wydobywał się z podziemnej pieczary. Pomyślałam o biednym, strasznym minotaurze zamkniętym w labiryncie. Odwróciłam się ku wyjściu, ale otworzył oczy i spojrzał na mnie. Podeszłam bliżej i usiadłam na krześle.

Nie mogłam poruszyć głową, ale zwrócił na mnie oczy i patrzył tak intensywnie, że zrozumiałam, iż chce mi coś powiedzieć. Jego oczy badały mnie gruntownie i przewiercały na wskroś. Ujęłam jego rękę i trzymałam w swoich, myśląc, że nigdy nie czułam nic tak zimnego i pozbawionego życia. Było tak jakby wszelkie życie opuściło jego ciało, by zamieszkać w tych przedziwnych, ciemnych oczach. Płonęły życiem, iskrzyły się nim.

— Mam nadzieję, że wkrótce poczuje się pan lepiej — powiedziałam i zapagnęłam ugryźć się w język. Nie będzie żadnego „wkrótce” dla tego człowieka.

Leżał przez chwilę patrząc na mnie, a potem, bardzo powoli, usta rozchyliły się i podjęły walkę, by coś powiedzieć. To była tak rozdzierająca prośba, że zapytałam:

— Dlaczego nie odpocznie pan chwilę, a ja przyprowadzę do pana babunię Maude?

— Zostań — powiedział. To było bardzo wyraźne, choć słabe i bez oddechu.

— Naprawdę nie powinnam — odparłam. — Za bardzo pana męczę. Nie powinien pan mówić. Wróć później.

— Zostań.

Siedziałam więc nadal. Co on chciał ode mnie?

— Zostań... Maude — wytchnął po chwili. Chyba zrozumiałam.

— Zostanę — powiedziałam, przyciskając jego dłoń. — Nie wyjadę i nie zostawię babuni Maude tutaj. Zostanę tu z nią dopóki nie wróci do Northpoint.

Zamknął oczy, a potem otworzył je ponownie.

— Zostań... Liberty — wyszeptał. Potem głowa opadła mu na poduszkę i poza oddechem nie wydawał żadnego dźwięku. Zrozumiałam, że nie mogłam.

Zamknęłam oczy, by powstrzymać łzy, które chciały popłynąć, pochylałam się i ucałowałam jego zimny, biały policzek.

— Dobrze — powiedziałam szeptem niewiele głośniejszym niż jego. — Dobrze. Zostanę w Liberty.

Co to mogło szkodzić? Micah Willis nigdy się nie dowie.

Po kilku chwilach podniosłam się i wróciłam do Mike'a i babuni Maude.

— Myślę, że chciałby teraz ciebie zobaczyć — powiedziałam do niej, a ona skinęła głową. Mike poszedł wraz z nią przez długi korytarz; opierała się na nim ciężko, drobna, krucha, bardzo stara kobieta, która szła pożegnać swą starą, długotrwałą miłość. Pomyślałam, że znosiła to lepiej niż ja.

Mike wrócił i usiadł koło mnie, ale nic nie mówił; ja także milczałam przez długą chwilę. Po jakimś czasie, jakby w roztargnieniu, ujął moją rękę i zatrzymał w swojej, odwracając ją tam i na powrót. Myślę, że nie zdawał sobie sprawy z tego co robi. Potem wyciągnął palec i obrysował cienką, białą, sierpowatą bliznę, która biegła po wewnętrznej stronie mego nadgarstka, odwrócił swoją rękę tak, bym mogła zobaczyć bliźniaczy sierp na jego przegubie. Wyglądała jak biała spirala cienkiego drutu na opalonych skórze. Widziałam jak bije tam puls, powoli, mocno.

— Czy ciągle jestem honorowym Willisem? — zapytałam.

— Tak długo, jak długo będziesz chciała — odparł. — Czy on coś powiedział? Dziadek?

— Właściwie nie — wyjaśniłam. — Nic, co byłoby zrozumiałe.

Po jakimś czasie usłyszeliśmy, że drzwi znów się otwierają i stanęła w nich babka, oglądając się za siebie na pokój. Mike podszedł, by ją przyprowadzić. Szli ku mnie w milczeniu i pomyślałam, że trzymała się teraz prościej i krok jej był lżejszy. W ciemnym białym korytarzu wyglądała przez chwilę o wiele młodziej; widziałam, jakby przebijającą w przemalowanym obrazie postać kobiety, jaką była kiedyś, gdy ona i Micah byli w kwiecie wieku.

— Czy chcesz zostać przez chwilę? — zapytałam, gdy do mnie doszli.

— Nie trzeba — odparła. — Myślę, że teraz zaśnie. Kaleb i Beth wrócą za chwilę i zostaną z nim. Ty też, Mike. Nie zniosłabym, żebyś miał nas odwozić z powrotem do Zacisza.

— Chętnie to zrobię — odparł. — Powiedziałem mu to, co chciałem powiedzieć.

— Ja też — rzekła babka i uśmiechnęła się.

Podniosłam się i ujęłam jej drugą rękę; zauważyłam, że trzyma ją zaciśniętą wokół jakiegoś przedmiotu. Spojrzałam pytająco, a ona znów się uśmiechnęła i rozwarła pięść. Okrągły, ciemny, gładki przedmiot leżał na jej dłoni. Nigdy nie widziałam czegoś takiego.

— To chinąupin dziadka — powiedział Mike, uśmiechając się do niej. — Prawda? Zawsze trzymał go w kieszeni.

Skinęła głowę.

— U nas nazywaliśmy to buckeye. Mój brat mnie tak nazywał, ponieważ byłam ciemna i okrągła. Mówią, że przynoszą szczęście. Powiedział... powiedział, że chce, żebym ten zachowała, ale chyba powinien należeć do ciebie, Mike.

— Nie — odrzekł, zaciskając jej palce wokół kasztana. — Proszę go zatrzymać. Pani była jego szczęściem. Zawsze pani była.

Na chwilę oparła głowę na jego piersi. Sięgała mu akurat do ramienia.

— Dziękuję, najdroższy Mike'u — powiedziała. — Z a c h o w a m go. Dawka szczęścia Willisów to to, co mi teraz potrzebne.

Zanim dojechaliśmy do zakrętu do Zacisza zasnęła na przednim siedzeniu, z głową opartą lekko na ramieniu Mike'a. W białym świetle późnowschodzącego księżyca wyglądała tak młodo, jak przez chwilę w szpitalu. Och, babuniu Maude, pomyślałam. Wy oboje, to musiało być coś, na co warto popatrzeć.

Umarł tuż przed świtem. Zeszłam do bawialni o brzasku, zmarznięta i odurzona od krótkiego spania i snów o uleganiu lękowi i znalazłam Mike'a i babkę znów przy kominku, pijących kawę. Nie musieli mi mówić; śmiali się i był to łagodny śmiech wspomnienia.

Nie chciała, żebyśmy z nią zostali tego dnia. Ja zostałamby chętnie, gdyż byłam pusta wewnątrz od poczucia straty i sama potrzebowałam towarzystwa. Nalegała jednak.

— Idźcie gdzieś oboje — powiedziała. — Dziś będzie piękny dzień i pogoda powinna się zmienić. Wypłyńcie na wodę. Zabierz ją na Wyspę Rybołowów, Mike i pokaż jej to, o czym mi mówiłeś. Przygotujcie lunch, weźcie jakieś wino i przepijcie do niego, jeśli upieracie się przy wspomnieniach. Wolałyby sto razy żebyście to zrobili, tam na jego zatoce, zamiast siedzieć tutaj i rozcierać ręce starszej pani, która wcale tego nie potrzebuje.

— Na pewno? — zapytał Mike. — Nie chcę myśleć, że akurat tego dnia zostaje pani tutaj sama.

— Moje kochane dzieci — powiedziała i uśmiechnęła się szerokim uśmiechem. — Mniej będę tu samotna dziś niż w ciągu innych dni, które sobie przypominam.

Łzy znów zabłyśły mi w oczach, a ona powiedziała z prawdziwą, choć łagodną, irytacją:

— Och, na miłość boską, Darcy, idźcie i zostawcie mnie w spokoju. Jest o wiele mniej powodów do płaczu dziś niż było wczoraj. Oszczędź swe łzy na moment, gdy będą ci potrzebne.

Pozwoliłam więc, by Mike Willis zabrał mnie na Zatokę Penobscot w budzącym się delikatnym wietrze, w dniu, o którym pomyślałam, że będzie ostatnim ze wspaniałych dni tego lata. Zamiast jednak wziąć wysmukły słup swego ojca, obszedł cypel za warsztatem i do jachtklubu, gdzie czekałam, przyplłynął w wielkim starym kutrze rybackim do połowu homarów, w „Tinie”, kutrze swego dziadka.

— Pomyślałem, że i jemu i tobie będzie się to podobało — powiedział, gdy podплыnęłam długi mego wuja i wgramoliłam się na pokład. Patrzyłam na ciężką, starą, kołyszącą się łódź, ze zżartymi od soli mosiężnymi elementami i tekowym pokładem pobrudzonym przez lata gumowymi zelówkami. Poczułam mocną słodycz pokładu pod stopami, i podobało mi się to. Mike ustawił żagiel na wiatr, by nas wyniósł w zatokę i spostrzegłam, że „Tina” miała komplet nowych żagli Dacron. Ale pomimo to, wyobraziłam sobie Micaha Willisa wyprowadzającego swoją „Tinę” tak jak dzisiaj, w piękny dzień pięćdziesiąt lat temu.

— Złe się czuję na myśl o wyciągnięciu ciebie dzisiaj — rzekłam. — Musi być milion rzeczy, które twoja rodzina chciałaby żebyś zrobił, a ty właściwie jeszcze nie zorientowałeś się we wszystkim.

— Nie — odparł. — Lepiej dzisiaj. Chcę dziś być na wodzie. I ojciec powiedział, żebym zniknął do jutra czy do pojutrze. — Zmrużył oczy patrząc na blask, tam gdzie woda dotykała nieba. — Wszyscy Willisowie w Maine będą się gromadzić dziś w domu, a wielu z nich doprowadza mnie do szału. Niewiele jest do załatwienia. Będzie spalony w krematorium. I tatuś nie dopuści w jego pobliże tego zwariowanego pastora, tak, że nie będzie pogrzebu jako takiego, może tylko nabożeństwo pojutrze, na przystani przy warsztacie. Mój kuzyn Seth z Machias jest pastorem unitariańskim i on to poprowadzi. Tata i ja zabierzemy potem prochy dziadka na „Tinę”. Dziadek już dawno mówił tacie, że chciałby spocząć w zatoce.

Gruba grudka zimnej soli tkwiła w moim gardle. Była tam, odkąd ucałowałam na pożegnanie Micaha Willisa i ani się nie zmniejszyła ani nie rosła. To nie był lęk, ani nawet żal; nie wiedziałam co to jest. Dławiłam się przez nią.

— Gdzie go zabierzecie? — zapytałam.

— Na Wyspę Rybołówów — odparł. — O to właśnie prosił. Jedziemy tam dziś obejrzeć i wybrać miejsce. Chciałbym, żebyś wzięła w tym udział, i on także.

— Mike — powiedziałam, a serce zaczęło mi bić mocniej. — Ja nie mogę płynąć na Wyspę. Proszę, nie zabieraj mnie tam. Ja nie mogę... ty nie wiesz.

— Tak, wiem, jeśli chcesz powiedzieć, że to tam wykonałaś swój łabędzi skok do wody ostatniego lata — powiedział łagodnie. Miała na sobie szorty khaki, zmiętą starą podkoszulkę MIT i buty bez skarpetek i tak bardzo przypominał Mike'a Willisa, którego widziałam w tej zatoce dwanaście lat temu, że nawet nie mogłam wziąć mu za złe małej podłości w tym co powiedział.

— Rozumiem, że babunia Maude mówiła tobie także — rzekłam ze znużeniem. — Usta jej się nie zamykały tego lata w Maine.

— Wiedziałem od dnia, w którym to zrobiłaś — rzekł patrząc na mnie przez ramię. — Nie zapominaj, że to mój ojciec wyciągnął cię z twojej łódki i przyniósł do Liberty, drżącą jak liść na wietrze.

— Więc rozumiesz, dlaczego teraz nie mogę tam jechać? Byłam straszliwie chora przez kilka ostatnich lat, pewnie o tym także wiesz. W szpitalu psychiatrycznym. Wyszłam dopiero tego lata i mój ojciec nie mógł mnie zabrać; w przeciwnym wypadku nie przyjeżdżałabym tutaj. Mój terapeuta powiedział, że muszę unikać stresów za wszelką cenę...

— O tym też wiem — rzekł. — Nie sądzę, żeby twój terapeuta uważał, że nie możesz żeglować przy ładnej pogodzie ze starym przyjacielem. Przykro mi z powodu szpitala, Darcy; nawet nie wiesz jak bardzo. Ale to, że się zanurzyłaś w zatoce za Wyspą, nie uczyniło z niej świętej wody. To

taka sama woda jak każda inna tutaj i jest coś na tej wyspie, co może wyrównać to, co się stało. Jestem tego pewien. Dlatego tam płynie.

Nad moją głową grot wydał się z wielkim trzaskiem, a „Tina” dźwignęła się i poszybowała ku Wyspie Rybołówów. Zamknęłam oczy, zacisnęłam ręce na burcie i zaczerpnęłam głęboko powietrza. Czułam jak lęk rozwija się w głębi mojego wnętrza, ale lodowata narośl powstrzymywała go. W tym momencie, nawet gdybym chciała, nie mogłabym mówić.

Ale nieruchome słońce nad moją głową i osobliwa, szarpiąca cisza spokojnego dnia pod żaglem wkrótce rozluźniły moje zaciśnięte dłonie i otworzywszy oczy zobaczyłam Mike'a opartego o pomost sternika, pijącego wino z butelki i patrzącego na mnie. Podał mi butelkę, a ja wzięłam ją od niego i przechyliłam do ust. To było cudowne wino, delikatne i o wspaniałym bukacie.

— Przez długi czas myślałam, że umrę — powiedziałam. Wydawało mi się to konieczne, żeby poznać moją udrękę. — Chciałam się zabić. Naprawdę tak myślałam; i ciągle nie jestem pewna czy nie zrobię tego któregoś dnia. Nie masz pojęcia jak bardzo to czasem pociąga. W mojej rodzinie to się zdarzało, wiesz przecież. Moja matka mówiła, że mój pradziadek zrobił to wypływając zbyt daleko w lodowatej wodzie, a mój dziadek spadł z Caterpillar Hill w swoim sportowym samochodzie. I ona też do tego zmierza; tylko to dłużej trwa. Czasem czuję się tak jakby to było zobowiązanie.

— Myślisz więc, że złapałaś to jak wirusa? — powiedział Mike. — To, co się powtarza w dziejach tej rodziny, to ucieczki, z wyjątkiem twojej babki. Tego się nie łapie, tego się uczy. I wydaje mi się, że miałas dobre początki.

— Jak śmiesz mówić do mnie coś takiego? — powiedziałam, gniew zawrzał we mnie pod słońcą grudą. — Nie masz najmniejszego pojęcia, jakie było moje życie ani co czuję. A co z tobą? Babunia Maude mówiła, że byłeś przez krótki czas żonaty, ale nie mogłeś znieść myśli, że ona miała dużo pieniędzy, i to cię rozłożyło. Jak to nazwiesz inaczej, jeśli nie ucieczką?

— Jeżeli myślisz, że mnie rozżółosisz, ciskając we mnie M'Lou, to spróbuj jeszcze raz — powiedział, sięgając po butelkę z winem. Oddałam mu ją. — Twoja babka miała całkowitą rację. Uciekłem. Gdybym nie uciekł, byłbym dziś architektem wytwornego południowego towarzystwa, projektującym nadzyczajne stajnie dla rozpieszczonych koni, z chorągiewkami na dachu. I pewnie pijącym burbona. Nie mówiłem, że ucieczka musi być koniecznym czymś złym. W każdym razie nie dla mnie. Nie myślę jednak, żeby to było rozwiązanie dla ciebie.

— No dobrze, gnojku. Dlaczego to jest w porządku, jeśli chodzi o ciebie, a dla mnie ma być niedobre? Bajdy hipokryty.

— Nie. Wcale nie. Ja uciekłem od oczywistego, realnego niebezpieczeństwa, od osoby, która mogła mi wyrządzić rzeczywistą krzywdę. Ty chcesz uciec od miejsca. Miejsca nie krzywdzą, czasem mogą uleczyć, ale nie zranić. Tylko to co do nich wnosisz, może cię skrzywdzić.

— Dziękuję, doktorze Willis — powiedziałam posępnie. Byłabym bardziej zła na niego, gdyby mój psycholog w Atlancie nie mówił w zasadzie tego samego i to po wielokroć. Ale byłam zła, i myśl o Mike'u z żoną, bez względu na to jaką, nagle mnie mocno rozgoryczyła.

— Cóż to za cudowne, afektowne imię, M'Lou? — zapytałam.

— Właśnie odpowiednie dla afektownej osoby, cudownej Mary Lou Champion w Nonesuch Farms, tuż za Lexington, w samym sercu legendarnej krainy o szmaragdowej trawie, Kentucky — odpowiedział. — Burza miodowoblond włosów. Masa białych zębów. Masa uroku, delikatności i masa, masa pieniędzy. Poznałem ją w Wellesley. Nazywają ją w rodzinie M'Lou ponieważ byli przyjaciółmi Whiteny'ów. Wiesz, Whitney'owie od koni? Marylou Whitney?

— Wiem, kto to są Whitney'owie od koni — warknęłam. — Dlaczego nie nazwali jej Sea Biscuit i skończona sprawa?

— Nie ta stadnina. Jednak rozumiem. Myślę, że to jej afektowanego imienia i wszystkiego co ono oznaczało miałem dość wcześniej niż pieniędzy i tego, co oni wszyscy chcieli z nimi zrobić i ze mną. Kiedy to zaczęło naprawdę mnie dręczyć, powiedziałem, że chcę tutaj wrócić, żeby żyć i realizować projekty. Ona powiedziała, że takie miejsce jak Maine to zabawka dla bogatych, a ja zapytałem gdzie ona u diabła myśli, że spędziła całe życie. Ona na to, że prawdziwi ludzie tu nie żyją. A ja zdałem sobie wtedy sprawę, że nic dla mnie, ani żadne miejsce, ani żadni ludzie na ziemi, nie są bardziej realni niż tutaj, na przykładu. Potem, po prostu... nie mogłem tam zostać. Nie sądzę, żeby po którejkolwiek stronie pozostała jakaś uraza. Oboje wiedzieliśmy, że nasze małżeństwo było zawarte w pośpiechu. Ona nie skończyła nawet jeszcze Wellesley. To było na wiosnę, po tym jak wyjechałaś ostatnim razem.

Nic nie było do powiedzenia, milczałam więc. Słona grudka powróciła, ale gniew mnie opuścił. Podobnie jak lęk. Wystawiłam twarz ku słońcu, zamknęłam oczy i odchyliłam się do tyłu. Byłam bardzo, bardzo zmęczona.

— Darcy, co będziesz teraz robiła? — zapytał.

— Nie mam najmniejszego pojęcia — odparłam. Słońce na moich powiekach było ciężkie i hipnotyzowało mnie. Chciałam tak trwać zawsze, kołysząc się na morzu jak na poduszce, pod promieniami słońca.

— Pozostały cztery dni do Dnia Pracy. Potem wszyscy rozjeżdżają się do domów. Twoja babka zawsze następnego dnia wraca do Northpoint. Czy pojedziesz z nią? Czy wrócisz do Atlanty? Co zrobisz?

— Mam dużo czasu, żeby podjąć decyzję — powiedziałam sennie. — Dlaczego trzeba planować wszystko naprzód? Mówisz tak jak babunia Maude. Ona chce żebym z nią wróciła do New Hampshire tej zimy i została tam. Czy możesz sobie wyobrazić co mogłabym robić w takiej małej dziurze przez całą zimę, gdzie jest tylko szkoła dla chłopców i więcej nic?

— Myślałem, że to jest teraz szkoła koedukacyjna — odparł. — Większość teraz jest. Nie wiem zresztą. Wydaje mi się, że to dobry pomysł. Myślę, że będzie cię tej zimy potrzebowała. Zrobiła się bardzo słaba od

czasu, gdy ją ostatni raz widziałem. I byłoby łatwiej ci przewieźć ją tutaj na następne lato. Może mogłabyś uczyć w szkole. Większość z nich ma dzisiaj bardzo dobre programy informacyjne. Na pewno odstąpiłoby dla wnuczki Piotra Chamblissa od wymagania dyplomu ukończenia wyższych studiów.

Uczyć? Nie pomyślałam o tym. Uczyć... Oczywiście duszy zobaczyłam klasy i słońce przenikające przez wysokie okna podzielone kamiennymi słupkami i młode twarze, poważne, słuchające tego co mam im do dania... Co mam im do dania? Od bardzo dawna nie myślałam o dawaniu.

— Nie przyjadę tutaj na następne lato — powiedziałam.

— Ją to zabije, jeśli nie przyjedziesz.

— Ma wuja Piotrusia i ciotkę Sarę — zaprotestowałam. — Może przyjechać, jeśli będzie chciała. Może zatrudnić kogoś do pracy w domu i do opieki; zawsze to robiła. Nie potrzebuje mnie, żeby mogła przyjechać do Zacisza.

— Owszem, potrzebuje — odrzekł. Nie odpowiedziałam. Już nic więcej na ten temat nie mówił.

— Chyba przeniosę tu moje biuro — powiedział po upływie kilku minut. — Dziadek zostawił mi swój dom. Ojciec mi o tym powiedział dziś rano.

Otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Patrzył na zielony masyw Wyspy Rybołowów przybliżający się szybko ku nam. Zajął się linami.

— Ach, ten cudowny dom — powiedziałam, naprawdę tak myśląc. — Zawsze uważałam, że jest w nim coś dziwnie przyciągającego. Czy będziesz w nim także mieszkał?

— Tak — powiedział. — Chciałem tego, odkąd miałem pięć lat. Nie zdawałem sobie sprawy, że on o tym wie. Myślałem, że zostawi go mamie i tacie. Ale potem oni wybudowali nowy dom.

Zwolniliśmy y zatrzymaliśmy się, a „Tina” usiadła na wodzio jak prawdziwa nowoagnielska matrona.

— Chdź — powiedział. — Zawiń nogawki. Tu jest dość płytko, można przejść w bród.

— Nie! Nie mogę!

Szarpnął mnie za rękę i zanim zdążyłam zaprotestować przeskoczył przez burtę i pociągnął mnie za sobą. Gdy otworzyłam usta by na niego krzyknąć, zimna zielona woda otoczyła moje nogi do połowy ud i poczułam kamyki pod stopami. Stałam, chwytając oddech i patrzyłam na niego z otwartymi ustami. Wyszedł już na brzeg, torując sobie drogę wśród skał.

— Ani pół ducha, ani trupa tu nie widać — zawołał. — Chodźcie. Zamarzniesz.

Wciągnąwszy z dreszczem długi oddech spojrzałam w dół, w czystą, żywą, zieloną wodę. Zobaczyłam kamyki, ostry żwir i wijące się wstęgi wodorostów, ale nic więcej. Nic. Podciągnęłam opadające nogawki i wygramoliłam się na brzeg za Mike'em.

Byliśmy po drugiej stronie wyspy, nie tam, gdzie był most i gniazda orłów. Zastanawiałam się dlaczego nie opłynęliśmy jej i nie zeszliśmy tam na brzeg. Mogliśmy przycumować do mostu i nie wchodzić do wody. Z tej

strony, patrząc w kierunku zatoki, nie widziało się nic poza odległym masywem Islesboro, zamgloną błękitną plamę Camden Hills. Linia białych żagli przecinała spokojną zatokę w kierunku Zachodniej i Zielonej skały, i Hog Island, ale żadnej łodzi nie było w pobliżu Wyspy Rybołówów. Mieliśmy wyspę i morze dla siebie. Mikę ukrył koszyk z naszym lunchem i winem w wyrażeniu głazu i wyciągnął do mnie rękę.

— Chodź. To nie będzie długa wspinaczka.

— Czy to orły? Nie pamiętam, żeby były tak daleko.

— Nie. One tu są, albo są gniazda... Tata mówił mi, że młode polują teraz same dla siebie, nie ma ich więc w pobliżu gniazd o tej porze. Nie, to jest coś innego. Coś nowego. Będzie ci się podobało.

Wspinaliśmy się przez jakieś pięć minut przedzierając się przez młody drzewostan jodeł i świerków, przez płaskie głazy pokryte zielenią, chmurami miękkiego mchu, który pamiętałam. Przez pożółkłe gąszcze borówek i biało-złotej o tej porze paproci-orlicy, a następnie przez piękny, malutki zagajnik dorastających brzózek, których kora właśnie zaczynała nabierać szorstkości, połyskujących jak srebro w zielonym półcieniu. Trzymał rękę wyciągniętą za sobą; potykając się na luźnym łupku i konarach w moich śliskich mokrych trampkach, chwyciłam ją i wyczułam twarde miejsce na środkowym palcu, gdzie ołówek kreślarski spowodował zgrubienie skóry. Trzęsłam się z zimna, gdy wyszłam na brzeg, ale teraz moje spodnie wyschły i pot płynący z czoła zaczął mi zalewać oczy.

— Jeśli się natknę na jednego moskita, wynoszę się stąd — zawołałam.

— Wszystko mi jedno czy to, co tu znalazłeś to Święty Graal. Jak to jeszcze daleko?

— Tutaj — powiedział Mikę i wyszliśmy z podszycia na rozległą przestrzeń, w połowie drogi do szczytu wyspy, pokrytą szarym kamieniem, który robił wrażenie czegoś pradawnego, jakby monstrualny piorun uderzył tu u zarania dziejów. Mikę wskazał w milczeniu ręką.

Po drugiej stronie polany stała martwa jodła, czy raczej pień jodły. Był w połowie rozdarty. W miejscu gdzie zaczynały się pierwsze gałęzie uformowało się coś na kształt misy, a w niej leżało wielkie gniazdo jakby chronione przez dwie ręce. Nie miało rozmiaru i głębokości orlich gniazd, było szersze. Słońce, świecące tuż nad głową, oślepiło moje oczy, podniosłam ręce by je zakryć. I wtedy zobaczyłam je wyraźnie na tle błękitnego nieba: cztery wspaniałe płaskie głowy drapieżników w brunatno-czarnych osłonach, zimne wytrzeszczone żółte oczy, zakrzywione dzioby, połyskujące bielą gardła i brzuchy. Jeden z nich rozwinął potężne, biało-pocętkowane skrzydła i wzbił się w powietrze, a wszystkie wydały przenikliwy, gniewny krzyk: cziiriik! Wpatrywałam się, czując jak powietrze wibruje od podmuchu skrzydeł, widziałam czarne plamy na policzkach. Rybołowy. Niezupełnie dorosłe, jak sądziłam; ich skrzydła nie osiągnęły jeszcze rozpiętości czterech do sześciu stóp, jaką osiągają skrzydła dorosłych. Ale były prawie dorosłe. Pierwszy raz odkąd moja matka zniszczyła ich gniazda i skazała je na wygnanie, rybołowy wróciły na Wyspę Rybołówów.

— Och, Mikę — zawołałam bez tchu. — Och, Mikę!

Staliśmy tam prawie pół godziny nieporuszeni. Rybołowy zataczały niewielkie koła nad gniazdem, ale nie odleciały od niego. Krzyczały i trzepotały nad nami także, nie odlatywały jednak.

— Stare poleciały na lunch — powiedział półszepsem Mikę. — Te wielkie rozpieszczone dzieciaki nie ruszą się, gdy żarcie jest w drodze. Chodźmy lepiej teraz. Stare są większe i wściekłe jak diabli, gdy coś się dzieje w pobliżu gniazda.

Ruszyliśmy z powrotem ku brzegowi, teraz schodząc powoli. Oczy miałam oślepione pięknem i dziką potęgą młodych ptaków, słona grudka nabrzmiała tak, że z trudem przeżykałam ślinę. Wiedziałam, że ten widok będzie pamiętała do końca życia.

— Dziękuję, że mnie nakłoniłeś do przyjscia — powiedziałam, gdy siedzieliśmy pod osłoną głązów i odkorkowaliśmy wino. — To byłoby okropne, gdybym tego nie widziała.

— Czy to coś zmienia?

Potrząsnęłam powoli głową.

— Nie. Ale sprawia, że wszystko jest... lepsze.

— Czy wiesz, że rodzice właściwie nigdy nie porzucają gniazd? — zapytał. — Przetrzymują wszystko: sztorm, ogień, suszę, atak, nawet strzały. Możesz je zabić. Pozostaną dotąd, dopóki gniazdo nie przestanie istnieć.

Grudka podskoczyła szybko w gardle aż do nasady języka. Przyłożyłam rękę do szyi. Zdawało mi się, że zaraz zacznę... co? Krzyczeć? Dusić się? Płakać? Rybołowy, które pozostają dopóki gniazdo nie przestanie istnieć, przetrzymują wszystko ze swymi dziećmi, umierają z nimi...

— Zawsze słyszałam, że one są o wiele lepsze dla swoich młodych niż ludzie — powiedział Mikę patrząc na mnie.

Mogłam tylko skinać głową w milczeniu.

— Chciałem, żebyś je zobaczyła zanim już ich nie będzie — powiedział. Serce przestało mi bić, znieruchomiało i zlodowaciało. A potem szarpnęło się, wzdrzgnęło. Patrzyłam na niego, ale nie byłam w stanie nic powiedzieć.

— Twój wielki przyjaciel Warrie Villiers jest teraz właścicielem Wyspy Rybołowów — rzekł. Jego głos się nie zmienił; jakby dalej mówił o ptakach. — Pod koniec zeszłej zimy odkupił ją od Służby Parkowej. Trudno to zrobić, ale można, jeśli ma się dość pieniędzy. Wyspa była dla nich zawsze obciążeniem, a Warrie miał dostatecznie dużo pieniędzy, żeby w ciągu paru dni to załatwić. Ciągłe jeszcze ma, jak słyszałem. Tak, stary Warrie ma wielkie plany co do Wyspy Rybołowów. Ma tu być jachtklub i marina, o jakich się nie śniło nawet w Northeast Harbor. Będzie musiały oczywiście wybagrować, ale to, to nic. Tam, gdzie jest most, od strony Zacisza, będziesz mogła zobaczyć cały plan. To będzie ośrodek wypoczynkowy, który zaćmi wszystkie tutejsze kąpieliska nadmorskie, z rezydencjami, sklepami, kortami tenisowymi i może terenem do gry w golfa o dziewięciu dołkach. I warsztaty naprawy sprzętu żeglarskiego. I inne

wszelkiego rodzaju wspaniałości. Tam dokładnie, gdzie teraz są stare domy. To zajmie połowę Zacisza, tę otwartą na wodę. Nazwie to Cape Villiers. Miła domieszka czegoś międzynarodowego, co?

Patrzyłam na niego w milczeniu.

— Niedużo czasu zabierze mu wykupienie wszystkich posiadłości, które chce mieć — mówił dalej Mikę. — Ma już dobry początek. Nie wiem, co powiedział wszystkim starym paniom, które podpisały zgodę, ale nie musiał im dużo mówić. Znają jego rodzinę, wiesz przecież. To zawsze były magiczne słowa tutaj. A co do pieniędzy, ma ich tyle, że starczy na wykupienie reszty kolonii, jeśli zechce. Choć pewnie nie zechce. Tylko tę połowę nad wodą. Oczywiście że druga połowa nie będzie już tym sAmym miejscem, jakim zawsze była.

W dalszym ciągu nic nie mówiłam.

— Skąd on zdobył pieniądze, Darcy? — zapytał. — Co ci powiedział, że od rodziny żony, czy tak? Od swej drogiej mAmy, która tak tragicznie zmarła przedwcześnie z powodu zapalenia wątroby? Kitus-bajduś. Mógł wziąć trochę od rodziców dziewczyny, żeby się trzymał z daleka od nich i z daleka od Włoch, ale wiem na pewno, że jego matka zmarła na AIDS w szpitalu dobroczynnym, bez grosza. Dostał ich sporo osobiście od Greta Winslow, razem z samą Gretą i ma obiecaną resztę z jej rodzinnego banku. Dobry interes. Cape Villiers będzie rozchwytywane. Najlepsze położenie na Wschodnim Wybrzeżu.

— To kłamstwo — mogłam tylko wyszeptać przez straszliwie zaciśnięte gardło. Miałam wrażenie, że mi je rozerwie.

Przetarł twarz dłońmi i powiedział przez palce:

— Pragnąłbym z całego serca, żeby tak było. Ale to nie jest kłamstwo. Sprawdziłem. Każdy może sprawdzić; plany terenu i rozbudowy są w kartotece w Augustie, a resztę wydożyłem przez prywatnego detektywa w Portland. Wynająłem go, gdy dziadek wezwał mnie późną wiosną i powiedział mi, że Warrie jest tutaj, przypochebia się starszym paniom i skupuje posiadłości. Dziadek opłacił detektywa. To nie trwało długo. Każdy w Zaciszu mógł to w każdej chwili odkryć; twój wuj Piotruś mógł to zrobić nie wynajmując nawet detektywa, w kręgach w jakich się obraca. Tylko po prostu nikt tego nie zrobił. Wszyscy znali jego rodzinę, rozumiesz. To cała prawda. Mam raport, fotokopie terenu i planów. On oczywiście nie wie, że to mam. Nie wiem, co miałem zamiar z tym zrobić. Myślałem, że wykorzystam to, jeśli będę musiał. I możliwe, że to jeszcze zrobię. Myślę, że to od ciebie zależy, czy będę musiał czy nie.

Patrzyłam na niego niemo, walcząc z zimną słoną goryczą i okropnym ciężarem w piersi.

— Nie może tego zrobić nie mając Liberty — powiedział Mikę. — Nie będzie miał dojścia do szamba bez połowy łąki należącej do Liberty. Tylko twoja babka go wstrzymuje; gdy jej nie będzie, jeśli nikt nie zachowa Liberty, będzie je miał z łatwością. Mógłby miliony za nie zapłacić; w końcu chyba każdy by sprzedał. Nie sądzę, by liczył się z kosztami.

Pomyślałam o tym, jak śmiałyśmy się podczas naszej wyprawy — czy to naprawdę było ledwie wczoraj? — i o jego miękkim głosie, gdy mi opowiadał o szpitalu, o swej matce, i o tym jak czułam jego dłoń w swojej, gdy biegliśmy drogą śmiejąc się. Dotyk jego ręki na moich włosach...

— Nie.

— Zostań, Darcy — wyszeptał Mikę. — Zostań i zwycięż go. Bez Liberty nic nie będzie mógł działać. Zostań, gdy jej już nie będzie. Wszystko, co musisz zrobić, to przyjąć dom. Ona chce, żebyś go miała, mówiła mi o tym.

— Nie mogę, och, nie mogę...

Wysoko nad nami, w rozrzedzonym błękitnym powietrzu nad polaną zadźwięczał krzyk młodego rybołowa. Podniosłam oczy i spojrzałam w górę. Daleko nad wodami przecinała niebo czysta linia wielkich skrzydeł, przechylona pod charakterystycznym dla rybołowów kątem. Rodzice wracali do gniazda z pożywieniem dla swych młodych.

— Zrób to dla nich — powiedział.

Kamień w mojej piersi pękł i poczułam wielki, spontaniczny przypływ żalu i wściekłości. W uszach dzwoniło mi, jakby nastąpił jakiś straszliwy kosmiczny kataklizm; nie słyszałam własnego krzyku. Ale czułam go, jak wybucha z dna mojego wnętrza i ulatuje w spokojne powietrze, czułam jego siłę i gwałtowność. Chyba nie wymawiałam słów, ale dźwięk łamał mnie fizycznie, miotał mną i szarpał. Mikę przytrzymał mnie z całej siły; na pół leżałam, na pół klęczałam na żwirze, krzyczałam i wyrzucałam z siebie nieskończony gniew o jakim nie myślałam, że mogłabym w sobie odkryć przez te wszystkie lata w szpitalu czy przed nim.

Gdy wreszcie usichłam, moje gardło było tak otarte jakbym przeszła ciężką chorobę, a moje żebra, płuca i żołądek były obolałe. Łzy nadal zalewały mi twarz i spływały na ręce i ramiona Mike'a. Świat wydawał się zbyt jasny i wyostrowany, wszystko było zgęszczone, dziwne i bezdźwięczne. Prawie pół godziny upłynęło, nim mój oddech wrócił do normy.

— Zostań — powiedział znowu, trzymając mnie mocno, moje ciało było jakby pozbawione kości z wyczerpania. — Zostań.

Mówiłam w jego koszulę. Była tak mokra od moich łez jakby wyszedł z morza. Czułam jak bije jego serce; pod moimi kurczowo zaciśniętymi palcami wyczuwałam jego żebra. Opuściłam bezwładnie ręce i ramiona.

— Nie mogę tu zostać — szepnęłam. — Nigdy nie byłam wystarczająco silna by tu żyć. Trzeba tu zbyt zaciekle walczyć o byt, Mikę. Ja już skończyłam walkę. Nie mogę już więcej walczyć.

— Nigdy nie skończysz walki, Darcy — powiedział w moje włosy. — Nikt nie kończy.

— Nie. Nie tutaj. To nie jest moje miejsce. Nie ma tu nic mojego.

— Jest — powiedział łagodnie. — Jest.

Nie odpowiedziałam mu. Dobrnęliśmy do „Tiny” i Mikę ustawił grot na długie powrotne lawirowanie. Milczałam przez drogę; gardło miałam otarte i krwawiące, a każdy mięsień mego ciała bolał mnie tak, jakby mnie obito. Gorąca woda i potem łóżko. Spać. Nic więcej.

Dopłynęliśmy do przystani przy warsztacie szkutniczym.

— Odwiozę cię do domu — powiedział.

— Nie, pójdę na przełaj, przez las. Chcę się przejść.

— Będziesz musiała teraz podjąć decyzję, Darcy — rzekł.

— A więc — powiedziałam i odwróciłam się by spojrzeć wprost na niego, stojąc na skraju zagajnika — zdecydowałam się. Wracam do domu. Wracam jak tylko zdołam się spakować i stąd wydostać. Wuj Piotruś i ciotka Sara mogą zabrać z powrotem babunię Maude. Zawsze to robią.

Stał patrząc na mnie, a potem odwrócił się i poszedł wzdłuż doku w kierunku warsztatu.

— Życzę ci miłej podróży, Darcy — zawołał przez ramię.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Weszła do mojego pokoju, gdy kończyłam się pakować. Nie zabrałam dużo rzeczy z sobą, tylko to, co miałam w szpitalu. Nie trwało to długo. Gdy dotarłam do Liberty, rzuciłam okiem na werandę i zobaczyłam, że śpi tam, z Zootem owiniętym wokół szyi; nie budziłam jej. Będzie wystarczająco ciężko powiedzieć jej o tym później. Zostawię sobie chwilę czasu. Jej widok, nieruchomej i drobnej pod hiszpańskim szalem, jej twarz tak bardzo stara i bezbronna, sprawiły mi ból jakby ktoś gorącym żelazem dotknął nagiej skóry.

— Chciałabym być bardziej użyteczną dla ciebie — powiedziałam bardzo cicho i poszłam na górę.

— Darcy — powiedziała od drzwi, gdy zamykałam walizkę; odwróciłam się, by na nią spojrzeć. Nie słyszałam jak weszła. Trzymała się framugi i zdawało się, że uszło z niej wszelkie życie, nawet z jej czarnych oczu. Pomyślałam, że osunie się zaraz na podłogę, podeszłam więc i ujęłam jej szczupłe, kanciaste ramię i poprowadziłam ją do łóżka. Drżała, jak małe, zmarznięte zwierzątko. Usiadła z jednej strony walizki, a ja z drugiej. Powiedziała bezkrwistymi wargami:

— Co się stało?

Powiedziałam jej. Powiedziałam wszystko, co zapamiętałam z tego, co mówił Mike, a gdy już nic więcej nie mogłam sobie przypomnieć, zamilkłam i czekałam. Ona zrozumie, musi zrozumieć, dlaczego nie mogę zostać.

— No cóż — powiedziała po bardzo długiej, jak mi się zdawało, chwili — dobrze mieć karty wyłożone na stole. W rzeczywistości jest lepiej, niż się obawiałam. To nie może być przeprowadzone, będziesz musiała go oczywiście powstrzymać. To do ciebie należy, ale możesz to zrobić z łatwością. Wszystko czego trzeba, to trzymać się kurczowo. Bałam się, że to będzie zbyt wiele wymagało od ciebie zachodu, ale tak jak jest, dasz sobie radę.

W miarę jak mówiła, trochę koloru przesączało się z powrotem na jej twarz, a głos stawał się coraz silniejszy, aż w momencie gdy skończyła i siedziała patrząc na mnie, był już zupełnie silny. Uśmiechnęła się.

— Co rozumiesz przez to, że to do mnie należy? — zapytałam. Wysokie srebrne dzwoniczenie odezwało się znów w moich uszach i czułam jak na powrót ogarnia mnie gniew. Myślałam, że wyrzuciłam go całkowicie z siebie, tam na wybrzeżu Wypsy Rybołówów.

— Ponieważ jesteś moją wnuczką i córką mojej córki — odparła. — Ponieważ jesteś prawnuczką kobiety, która nauczyła mnie tego: to do nas należy, do nas — kobiet. Zachowanie tego miejsca.

Gniew wybuchnął i usłyszałam jak krzyczę do niej:

— Wnuczka! Prawnuczka! Córka! Co to za gówno? O czym ty mówisz? Do diabła z tym miejscem, do diabła z zachowywaniem go! Nie jestem niczyją prawnuczką, ani córką też nie! Nigdy ani ja, ani moja biedna obłąkana matka nie miałyśmy prawdziwej matki! Nigdy w życiu mnie nie kochała i ty nigdy jej nie kochałaś; mówiła mi! Mówiła mi! Wcale nie byłaś dla niej matką i ona nie była matką dla mnie; kochałaś tylko Piotrusia, Piotrusia i dziadka, a mama nie kochała nigdy nikogo prócz dziadka! Ci wszyscy mężczyźni, tylko ci przekłęci mężczyźni... Zawsze i tylko, wielcy, doskonali, chodzące trupy, mężczyźni-Chamblissowie!

Babka siedziała w milczeniu, smutna.

— Nigdy nie mówiłam mojemu synowi ani córce, że najbardziej jego kochałam — szepnęła. — I jestem pewna, że twoja matka nigdy nie powiedziała tobie ani nikomu innemu, że nie kochała cię tak bardzo jak kochała swego ojca...

— Nie musiała, i ty też nie musiałaś — zawołałam gwałtownie. — Całe życie spędziłaś okazując im to i wszystkim innym! Nie musieli tego słyszeć z twoich ust, ci mężczyźni; w i e d z i e l i, że wystarczają. To miejsce tutaj, ten cały mały raj, jest dla nich; mężczyźni są tu władcami! To dziewczęta tak rozpaczliwie potrzebują słów, a nigdy ich nie słyszą! Nie tu! Nie w tym miejscu... Babuniu Maude, do licha, powinnaś była powstrzymać go tamtego lata!

— O, Boże — zawołała cicho babka, a ja przestałam krzyczeć, spjrzałam na nią i zobaczyłam gniew na jej białej twarzy. Prawdziwy gniew, żywy i gorący. Nigdy go nie widziałam, nawet wobec moich najbardziej oburzających ekscesów w dzieciństwie, nawet wobec Warriego Villiersa. Nie tego rodzaju gniew.

Babunia Maude zaczerpnęła powietrza i wyrzuciła z siebie:

— Och, prawdziwa nieświadoma tyrania młodych — powiedziała jakby do kogoś trzeciego. — Posłuchaj tylko siebie! „Powinnaś była go powstrzymać. Być moją mamą. Być tylko tym, czym możesz być dla mnie i niczym więcej. Nie mieć własnego życia ani całej rzeczywistości, tylko tę jej część, którą ja mogę zrozumieć, mały kawałek, który odnosi się do mnie. Ja, ja, ja. Bądź ułamkiem kobiety, bo inaczej nie będę cię kochać”. Boże. Nic o mnie nie wiesz. Nikt z was nic o mnie nie wie.

Ukryłam rozpaloną twarz w dłoniach i zapłakałam. Jej słowa wywołały ból tak dawny, prosty i czysty, że od razu zrozumiałam, że to był sam rdzeń, samo sedno wszystkiego. Miała rację. Walczyłam i zbłądziłam w mojej drodze przez świat, domagając się od niego matki, matki od niej,

a znalazłam jedynie... ludzi. I poza nią, to było wszystko, co mam do znalezienia. Płakałam i płakałam. Po długim czasie, babunia Maude wstała, obeszła łóżko i usiadła przy mnie, obejmując mnie ramionami. Nie patrząc na nią, wtuliłam się w nie i położyłam głowę na jej ramieniu. Musiałam się pochylić, żeby to zrobić. Płakałam wciąż; łzy płynęły bez przerwy. Kto by pomyślał, że w ciele ludzkim może być tyle łez?

Po długiej chwili babka powiedziała innym głosem, znowu swoim własnym:

— Oczywiście, masz rację. Mężczyźni zawsze mieli niekwestionowaną władzę w Zaciszu, ale to myśmy im ją dały. Była więc przez cały czas w naszych rękach. Myślę, że zawsze musiałam o tym wiedzieć. Spójrz na nas, na świat rządzony przez stare kobiety dla dzieci-mężczyzn. A nasze córki umierają z braku miłości.

Podniosła dłonią moją brodę i ucałowała mój mokry policzek.

— Kocham cię, moja droga Darcy, całym sercem — powiedziała. — Zawsze cię kochałam. Zawsze będę cię kochała. Nic mi nie jesteś winna i nic nie jesteś winna temu miejscu. Nie będziesz więcej płaciła swoim życiem za to, że cię kocham.

Przytuliłam się do niej najmocniej jak mogłam, nie mogąc powstrzymać dziecinnych łez.

— Ja też cię kocham, babuniu — łkałam. — Żałuję, że nie mogłam pomóc.

— Pomogłaś — szepnęła. — Pomożesz.

Żadna z nas nie miała ochoty na kolację. Żadna z nas nie chciała już więcej rozmawiać. Ja nie chciałam nawet myśleć o następnym dniu. Chciałam tylko spać. Musiała zdawać sobie z tego sprawę, gdyż przyszła raz jeszcze później, gdy się już wykapałam, naciągnęłam na siebie stary zniszczony koc z Princeton i zgasiłam światło.

— Zaśnij teraz — powiedziała. — Czy jesteś dość dorosła, żeby wiedzieć, że rano wszystko zawsze wygląda lepiej? Myślę, że tak. Mam nadzieję. Ta świadomość pozwoli ci przetrwać niejedną noc. To też będzie lepiej wyglądało rano. Zobaczysz. Zaśnij.

I zasnęłam. Szybko i lekko. Jak bardzo małe dziecko zapadłam w ciemność bez dna, nie rozjaśnioną snami. Myślę, że nawet się nie przewróciłam do samego rana.

Śniło mi się nad ranem, że mnie wołała. Śniło mi się, że byłam bardzo mała i że zagubiłam się gdzieś na wybrzeżu — bo czułam wiatr i poruszającą się wodę — a ona szukała mnie wszędzie wołając z daleka: Darcy! Darcy!

Wydobyłam się z ciężkich warstw snu, a ona wciąż wołała: Darcy!

Usiadłam na chwilę w ciemności z wstrzymanym oddechem, a potem wyskoczyłam z łóżka i pobiegłam na dół, skąd dochodził jej głos, zapalając w biegu światło na schodach.

Leżała u podnóża schodów z odrzuconym na stopień ramieniem, jakby chciała się podciągnąć do góry. Miała na sobie tylko białą bawełnianą nocną koszulę, przetykane srebrem czarne włosy rozrzucone były w nieład-

dzie wokół głowy. Koszula owinęła się wokół jej nóg, widziałam, że słabo nimi porusza, jakby starając się wspiąć na górę. Zoot krążył dokoła niej, wydając niskie pomruki. Jej ciało było białe-błękitne i poznaczone żyłami i węzłami, a stare kości prześwitywały przez nie, jakby była podświetlona od środka. Kości ptaszka, suche patyczki. Zdawało się, że nie może poruszyć głową, ale jej oczy napotkały moje i przytrzymały mój wzrok. Jej twarz była biała jak śnieg. Gdy mnie zobaczyła, uśmiechnęła się słabiutko.

— Czy możesz mi pomóc? — wyszeptała.

Uklękłam przy niej, biorąc ją za puls. Mój własny zdawał się rozdzierać skórę na mojej szyi, nadgarstkach i skroniach.

— Gdzie cię boli? Czy możesz mi powiedzieć? — zapytałam drżącym głosem.

— Piersi — powiedziała ze słabym westchnieniem. — Słoń. Wielki tym razem. Posłuchaj, chcę żebyś rozpałała ogień...

— Cicho, babuniu — powiedziałam prawie skowycząc z lęku. — Leż bardzo spokojnie; zadzwonię po karetkę. Tylko leż spokojnie.

— Kochanie, ogień...

Ściągnęłam koce i chustki z kanapy i otuliłam ją, a potem pobiegłam do telefonu i wykręciłam numer pogotowia ratunkowego w South Brooksville. Gdy zapewnił mnie, że już jadą, wróciłam i uklękłam znów przy niej. Zoot zakopał się w koce u jej boku.

Patrzyła na mnie intensywnie, cała siła skupiła się w jej oczach.

— Rozpal ogień, Darcy, i odwróć mnie tak, żebym go widziała, i zrób to szybko — powiedziała, chwytając oddech przy każdym słowie, a ja z trudem podeszłam posłusznie do wygasłego kominka i niezdarnie wygrzebywałam zapałki, znów cicho płacząc. Płomień chwycił wreszcie i ogień buchnął. Obserwowałam jak cienie harczą po starych, poczerniałych od dymu złotych cedrowych deskach ścian; przyszło mi nagle do głowy, że wyglądały jak ściany oświetlonych ogniem jaskiń. Nawet wskroś mego lęku i pośpiechu pomyślałam: Ogień jest środkiem. Ogień jest tym elementem, który przenika wszystko. Nie krew i kości, nie karty książek historycznych, ale ogień. Wszystkie historie, każde życie, wszystkie te prawdy poprzez całe dzieje, od jaskiń do Zacisza, zrodziły się z ognia.

Wróciłam do babki.

— Podnieś mnie troszkę — poprosiła.

— Proszę, leż spokojnie...

— Podnieś mnie! Muszę z tobą porozmawiać...

Uniosłam jej głowę, położyłam na moich kolanach i spojrzałam w jej twarz. Prawie widziałam jej serce, skaczące jak dzikie zwierzę w piersi. Och, dobry Boże, czy oni nigdy nie przyjadą?

— Zrób to dla mnie — szepnęła babunia Maude patrząc mi w oczy. — Powiedziałam, że nie będę błagać, ale teraz mogę i będę. Zrób to dla mnie. Weź Liberty. Walcz o Zacisze. Zacisze ciebie potrzebuje. Liberty ciebie potrzebuje. Tylko ciebie mam teraz.

— Wuj Piotruś...

Lekko, słabo potrząsnęła głową. — Tylko ciebie.

Znów zaczęłam płakać. Widziałam jak moje łzy padają na jej twarz, i starałam je. Padały dalej.

— Nie mogę — powiedziałam. — Nie mogę, bez ciebie.

— Możesz! — słowo wybiegło z jej ust w długim drżącym westchnieniu. — Musisz je tylko dostatecznie kochać. Siła miłości to wszystko. Wszystko. A ty je kochasz wystarczająco. Zawsze kochałaś. Wiem o tym.

— Och, Boże, babuniu Maude, siła miłości prawie mnie tu zabiła dwanaście lat temu!

Uśmiechnęła się i znów potrząsnęła głową, a potem zakaszła. To był głęboki, straszny odgłos. Jej cienkie palce jakby rozdzierały klatkę piersiową. Położyłam palce na jej ustach, ale odwróciła głowę.

— Nic zupełnie nie wiesz o sile miłości — powiedziała. Jej głos był słabszy. Osłabło borykanie się jej serca. — Posłuchaj. Opowiem ci o sile miłości. Powiem ci... co zrobiłam dla miłości. Pamiętasz? Obie lubiłyśmy tę piosenkę. Pamiętasz?

— Pamiętam. Och, babuniu, proszę, nie mów więcej. Powiesz mi kiedy indziej. Ja zostanę, wiesz przecież, że zostanę; nie opuszczę cię. Zachowam dom, oczywiście, że zachowam, jeśli tylko będziesz teraz spokojna i będziesz spokojnie leżała...

Wyciągnęła rękę i dotknęła mojej mokrej twarzy, bardzo delikatnie, a potem pozwoliła jej opaść.

— Cicho bądź i słuchaj — powiedziała miękko. — Nie sądzę, żebym miała bardzo dużo czasu...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Stąd, gdzie siedzę w ten wczesny sierpniowy poranek — na nadbrzeżu w jachtklubie patrząc na Wyspę Rybołowów — cały świat wygląda jak zwarzony jesienią. Stary pawilon klubowy i głębokie świerkowe lasy za nim są zamazane i wyglądają jak zjawisko w białej stonej mgłę. Słyszę lekkie drogne uderzenia na kamiennej plaży, gdy wzbiera poranny przypływ, ale nie widzę wody. To mgła gruntowa. Tylko delikatne czubki niebosiężnych jodeł przewiercają ją. Układa się nad całą zatoką i okrywa całunem wszystko, poza sterzącym kogucim grzebieniem Wyspy Rybołowów, rozciągającej się na pół mili jak prehistoryczna wodna bestia. Ale w późnych godzinach rannych słońce mgłę rozwieje. Wtedy zobaczę boje kołyszące się lekko na srebrno-różowej wodzie. Czy to zaledwie przed trzema tygodniami opalone rodziny przenosiły swe łodzie z morza do warsztatu skutniczego lub przygotowywały je do dalekiej podróży do domu za samochodami osobowo-ciężarowymi i wielkimi sedanami? Chyba tak. Wydaje się, że czas, który upłynął od Dnia Pracy trwał mgnienie oka, równał się jednemu uderzeniu serca. Ale to już nieodwołalnie minęło. Nigdy nie byłam tu tak późno. Lato już dawno poza nami.

Myślę o łodziach, szczególnie o ketach-żukach. Będą zimowały w ciemnych garażach, a mali chłopcy, uciakający przed napływającym zimnem do raju ciepłych kuchni, będą zbierać z ich włóknistych porów słony pot tego północnego morza i zatrzymują się na chwilę, z rękami na wysuszonych bokach łódek, by w marzeniu poszybować w nie kończące się lato.

Pamiętajcie, powiedziałam do nich bezgłośnie. Pamiętajcie. To nie będzie długo trwało. Nic nie trwa długo. Kiedyś byłam jedną z was, wiem.

Teraz, podczas tych czarnych, coraz dłuższych nocy, gdy światła domów nie przerzynają ciemności, z wyjątkiem świateł z Liberty, można zobaczyć zorzę północną. Nie widziałam jej bardzo dawno, ale pamiętam, że czasem oglądaliśmy ją późnym latem. Pamiętam, że wieść zdawała się płynąć od domu do domu; otulone w swetry rodziny wylęgały na podwórze i patrzyły, podnosząc nasze dziecięce twarze w kierunku tych wielkich migoczących potoków ognia na niebie. Zielone, fioletowe,

przezysta biel, delikatny lazur... Co to jest? — pytałam babuni Maude gdy pierwszy raz je zobaczyłam.

— Obietnice — powiedziała.

Może są obietnicami. Obietnicami zachowania długiego słodkiego lata, obietnicami nadejścia powolnej brązowej jesieni. Kropką nad „i” lata, ostatnim przymierzem z tymi z nas, którzy czuwają. Och, gdyby to mogło być prawdą; gdyby mogły być obietnicami i przymierzem z tym miejscem...

Gdy już wszystko przeszło, mimo całego niepokoju, bólu i udręki, nie żałuję, że zostałam. Ci, którzy wyjechali po Dniu Pracy stracili prawdziwe ukoronowanie sezonu, boską chwilę kwintesencji czystego istnienia i piękna. Poranki są jasne, rześkie, musujące diamentowym światłem na wodzie. W długie popołudnia trochę upału podkłada się z powrotem, lecz pozbawiony jest on czerwonego żaru, a brzęczenie cykad w brzoźowych zagajnikach kołysze mnie, gdy drzemię na werandzie. Barbersowy żywopłot nabrał barwy czystej purpury, a jesiony górskie płoną jak ognie na obrzeżach sosnowych lasów. Wzdłuż drogi, na słonych łąkach i obok murków z szarych kamieni rosną złotawe i liliowe polne irysy. Słodkie, stracone przez wiatr jabłka leżą w wysokiej trawie wzdłuż drogi do domu towarowego.

Kapusta ogrodowa na farmach wygląda jak wielkie srebrno-zielone ukwiały. Prawie zawsze, gdy w ciągu ostatnich tygodni wracaliśmy z Mike'em ze szpitala, drogą wzdłuż wybrzeża, reflektory samochodu chwytają w smudze światła sarnę z białym ogonkiem, przeskakującą jak duch drogę przed nami. W lecie nigdy nie widziałam ich dużo. Czasem jeżozwierz albo rudy lis przemykał w światłach i znikał. Widzieliśmy już dzikie gęsi ciągnące z Kanady na południe, objawienie na tle białego wiszącego księżycy.

— Dlaczego nigdy mi o tym nie powiedziałaś? — zapytałam pewnego razu Mike'a.

— Nigdy tego nie mówimy dokuczliwym letnikom — odparł. — A nuż chcieliby zostać do jesieni?

— A czy ja się do nich zaliczam?

— To już sama musisz ocenić.

Siedzę tu, próbując to właśnie zrobić.

Mglistą ciszę przerywa teraz przytłumione sapanie wypływającej na połów homarów łodzi rybackiej. Mała, pogrążona w wodzie przystań zaczyna się wynurzać z bieli jak fotografia w roztworze wywoływacza. Boje wyglądają jak głowy fok w wodzie. Nagle odczułam brak krzątania i rozmów silnych, opalonych małych chłopców ze strupami na kolanach, biegających po nadbrzeżu i dudniących z łomotem po chwiejących się schodach w dół do dinghy, by dopłynąć do swych ketów-żuków. Brak mi ich wrzasków i śmiechu. Krzyki mew są jakby zagubione i metaliczne, jak zimna. Czuję, jak nagle ogarnia mnie chłód tego poranka, przenika przez spodnie i grube skarpety; podnoszę się niechętnie i wracam nadbrzeżem i obrośniętą paprociami drogą do Liberty. Zimna rosa i pajęczce nici

połyskują lodowato w brzezynie. Uderzenia piłeczek tenisowych na korcie ucichły, podobnie jak trzaskarie oszklonych drzwi od werand. Gdzieś za lasem szczeka pies, ale inaczej niż poszczekiwały spaniele i psy myśliwskie, których głosy znałam. Ich już nie ma, zabrały się z karawaną samochodów, łodzi i dzieci z powrotem do miast. Zacisze opustoszało; śpi.

Skręciłam w naszą drogę i zobaczyłam biały dym wzbijający się w coraz bardziej błękitne sklepienie nieba; domyślam się, że babunia Maude zapaliła kłody pozostałe po wczorajszym ogniu na kominku i postawiła kawę, żeby się zaparzyła i będzie smażyć jajka na bekonie. Mike przyniósł wczoraj wieczorem świeże, brązowe. Błagałam ją, żeby się nie trudziła; jest wciąż jeszcze bardzo słaba po szpitalu i tak krucha, że prawie przezroczyta. Przywieźliśmy ją do domu dopiero wczoraj. Spała prawie cały czas przez resztę dnia i w nocy i miałam nadzieję, że będzie spała i dziś. Ale uparła się, że zrobi śniadanie.

— Któż wie, kto będzie smażył tutaj następną partię brązowych jaj — uśmiechnęła się.

Och, babuniu Maude.

Powiedziała mi wreszcie, gdy leżała otulona w koce na podłodze, tamtej nocy, gdy czekałyśmy na karetkę pogotowia. Chyba nie jechali dłużej niż musieli, ale wydawało mi się, gdy rozcierałam lodowate dłonie babci i połykałam łzy, że to trwało wieki. Trwało w każdym razie wystarczająco długo. Teraz wiem wszystko: o dziecku Elżbiety, o tej potwornej nocy, gdy szalała burza i o tym, co się stało wtedy, i później. Mój Boże, jaką kobietą jest ta moja ciemna, mała babka. Co to za miłość była, jej i dziadka. Nie miałam o tym pojęcia i wstyd mi z tego powodu. Pokazała mi teraz całe swoje życie. Zdałam sobie sprawę jak bardzo prawdziwy był jej zarzut, że nigdy jej nie znałam. Nie mogę tego znieść. Miała też rację, że pewne rodzaje miłości mają straszną siłę pomniejszania. Miłość dziecka, moja miłość do niej. Przez większą część życia, mojego i jej, domagałam się by była... tylko moją babką. A przez cały ten czas była przecież tamtą wspianiałą kobietą.

Powiedziałam jej to, gdy przywieźliśmy ją do domu.

— Poświęć teraz wszystek czas, by poznać tamtą kobietę — rzekłam.
— Mam nadzieję, że będą to całe lata i lata.

Uśmiechnęła się. Potem powiedziała:

— Zostaniesz więc? Zachowasz dom? Naprawdę nie może się dostać w jego ręce. Zrobisz to?

I powiedziała mi jej, że zrobię. Ale naprawdę nie wiem, czy podołam. Kobieta, która popłynęła w tamto letnie popołudnie na Wyspę Rybołówów nie jest tą samą kobietą, która wróciła, ale nie wiem jeszcze, kim jest ta nowa kobieta. Jeszcze nie wiem, ani co mam zrobić, ani co można zrobić.

Czy to było złe, że skłamałam? Ona chyba nigdy się nie dowie. Tak bardzo straciła siły. Ale dopóki żyje... przynajmniej to.

Słyszę warkot silnika samochodu Mike'a. Po śniadaniu weźmiemy „Tinę” i popłyniemy ostatni raz na Wyspę Rybołówów. Popłyniemy pod żaglami, bardzo spokojnie. Chcę tam spędzić ten ostatni dzień, z młodymi

rybołowami; Mike mówi, że już same wylatują na żer. Chciałabym to zobaczyć; wielkie ciemne kształty zanurzające się głowami w morze. To jedyne ptaki drapieżne, które to robią. Myślę, że odwiedzimy też orły. Mike dokucza mi, że ich most był pierwszym z tych, które spaliłam. Wie, tak jak i ja, że będą inne. Ale żadne z nas nie wie, jakie to będą mosty.

Będziemy pić wino i jeść sałatkę z homarów, którą przygotowałam wieczorem, i może popływamy trochę. Woda koło Wyspy Rybołowów wydaje się cieplejsza niż była i bardziej czysta. Może dlatego, że już się jej nie boję. Wrócimy o zmroku. Potem weźmiemy babunię Maude, jej bagaże i Zoo ta w klatce i pojedziemy koło dziewiątej do Bangor, gdzie ona, ja i stary Zoot zostaniemy na lotnisku Hilton i polecimy stamtąd rano do New Hampshire.

A stamtąd... zobaczymy. Zobaczymy.

EPILOG

MAUDE GASCOIGNE CHAMBLISS

Darcy pytała mnie zanim wyjechała dziś rano z Mike'em, czy boję się zostać sama. Myślę, że gdybym powiedziała, że tak, zostałaby ze mną. Jej troska o mnie od czasu szpitala jest bezgraniczna i bardzo mnie wzrusza. Powinnam więc powiedzieć, że nie, nawet gdybym się bała, ale nigdy nie bałam się mniej. Nie było dość czasu przez ten cały długi dzień, bym sobie przypomniała wszystko to, co chciałam pamiętać.

Myślę, że naprawdę jestem w tej chwili jedyną osobą w Zaciszu. To przyjemne uczucie; tak jakby w tym momencie naprawdę całe należało do mnie. Zawsze o tym marzyłam, by posiadać na własność to miejsce.

— Zachłanny łakumczuszek — powiedziałyby Piotr. — Czarne oczy, zachłanne obżarstwo, zjadłaby cały świat. Co byś z nim zrobiła, gdyby było twoją własnością?

— Opasałabym je łańcuchem i odcięła się od świata — odparłam.

A może powiedziałam to do Micaha, a czy to nie on odpowiedział mi tamtymi słowami, o nienasyconym łakomstwie?

To nie ma wielkiego znaczenia. Obaj zrozumieliby co miałam na myśli. A teraz, na tę jedną chwilę o zmroku, mam Zacisz dla siebie. Jakimż darem może być samotność, gdy jest się starym. To coś, o czym młodzi po prostu nie mogą jeszcze wiedzieć.

Darcy powiedziała mi, że w Pięknym Brzegu nie było od kilku dni nikogo. Nie wiem, czy Warrie Villiers pojechał do Nowego Jorku na zimę, czy tylko wyciągnie jeszcze trochę pieniędzy Winslowów i wróci z powrotem. Darcy i Mikę mówią, że on nie ma pojęcia, iż ona ma zamiar zatrzymać Liberty i może wciąż mieć w planach umizgiwanie się do niej, jeśli tak można nazwać mętne, chytre kłamstwa, które opowiadał jej tego dnia, gdy wypłynęła z nim łodzią. Warrie wie, że poświęcała mi cały czas, gdy byłam w szpitalu; musiał być ogromnie rozczarowany gdy się dowiedział, że jeszcze żyję. Nie wiem co myśli o tym, że Mikę Willis tak dużo z nią przebywa. Pewnie nic. Mężczyźni tacy jak Warrie po prostu nie wyobrażają sobie, że kobieta może woleć... innego rodzaju mężczyznę.

Jestem jednak zadowolona, że Darcy pozostanie poza jego zasięgiem w ciągu zimy. Spędzi ją ze mną w Northpoint, przynajmniej takie są plany.

Mam nadzieję, że tak się stanie. To będzie jak lato, gdy ona tam będzie, a gdy nadejdzie następne lato, on sam zobaczy, że Darcy będzie z nim walczyć i Mikę będzie po jej stronie. Nie wiem, co będą mogli zrobić z Wyspą Rybołówów; jest całkowitą własnością Warriego. Ale przynajmniej nie będzie tam żadnego potwornego lokalu klubowego. Mikę mówię wczoraj, że jak tylko wyjedziemy omówi sprawę wyspy z ludźmi z ochrony środowiska, żeby zapewnić jakiś ochronny status dla ptaków. Warriego wtedy pewnie ją sprzeda. Niepotrzebne mu są rybołowy ani orły.

— Ale jeśli będzie chciał sprzedać — powiedziała Mikę — przysięgam na Boga, że znajdę sposób by ją kupić.

— Wydaje się, że to będzie bardzo kłopotliwe, to kręcenie się wokół biurokratów — powiedziałam.

— Ale warto to podjąć, nie myśli pani? Poza tym — rzekł — będę miał w ten sposób coś do roboty zanim panie wrócą tu w przyszłym roku. Wygląda na to, że to będzie długa i ciężka zima.

Och, tak, nieskończenie warto to podjąć.

Słyszałam dziś krzyk rybołowa wczesnym popołudniem. Żaden dźwięk nie zakłóca teraz głosu ptaków, więc morze mogło przynieść ten przynikliwy krzyk z wyspy Rybołówów na moją werandę. Podoba mi się myśl, że przyleciał z wyspy i że oni też go słyszeli, dwoje moich dzieci, jednocześnie ze mną, a może nawet widzieli samego ptaka. Wyspa Rybołówów, przez te wszystkie lata, tak ogromna i masywna jak Gibraltar. Darcy popłynęła tam z Mike'em i wróciła uzdrowiona, podobnie jak ja przed wieloma laty, po śmierci Seana popłynęłam tam z jej dziadkiem i odzyskałam zdrowie. Gdy patrzę wstecz, przez ten cały długi dzień, widzę na nowo jak często biegłam do Micaha Willis...

Ach, Micah. Czy pamiętasz ostatni raz? To było pierwsze moje lato w Zaciszu po śmierci Piotra, gdy wróciłam tu w rozpacz, bo Zacisze było puste i obce bez niego, a jednak nie mogłam pozostać od niego z dala, bo wszystko co mi z Piotra pozostało, tu było zakotwiczone, na tym starym przylądku. Byłam sama w Liberty tego lata; Happy nie pozwoliła Darcy przyjechać do mnie i sama też nie przyjechała, nie było już Amy ani Parkera, ani Krystyny, a ty też wydawałeś się dla mnie stracony. Zagrzebałeś się na przystani wioślarskiej, jak mi powiedzieli Kaleb i Beth. Zamknąłeś się tam ze swoją samotnością, tak jak ja zamknęłam się z moją w Liberty. Sypiałeś tam nawet przez większość nocy, mówili. Zabrałeś koję i umieściłeś ją na strychu. To mi złamało serce bardziej chyba niż wszystko inne, Micahu Willisie, że nawet ten cudowny dom nie był dla ciebie wtedy pocieszeniem. Ale ja też znałam to uczucie. Przeniosłam się tego lata do malej sypialni na górze, ponieważ nie mogłam spać w dużej na dole, gdy nie było Piotra.

Czy pamiętasz tę noc, kiedy przyszłam do ciebie? Wyszłam z łóżka chora i spustoszona przez samotność, narzuciłam płaszcz deszczowy na nocną koszulę i poszłam przez ciemny, ociekający kroplami deszczu brzozowy las do przystani. Zobaczyłam światło na poddaszu i weszłam cicho po schodach, a ty siedziałeś tam na koi czytając przy lampce.

Pamiętasz? Myślę, że wtedy zaczął się długi proces przychodzenia do zdrowia, dla nas obojga, choć uzdrowienie nie było, nigdy nie mogło być, zupełne. Ale to co zrobiliśmy wtedy umożliwiło nam dalsze życie i pozostanie tutaj, pozwoliło nam się nawet śmiać. Pozwoliło nam być z powrotem pełnymi ludźmi, choć zranionymi. Jeszcze bardziej cię za to zawsze kochałam.

Nasza miłość na wąskiej koi była tak prosta i pozbawiona premedytacji, jak moje przyjście do ciebie tej nocy. Nic nie mówiłeś, ja także nie, aż do końca. To była cudowna miłość, mój drogi Micahu. Czuła, gwałtowna, śmieszna, cierpliwa. Przymierze. Pytałeś mnie potem, gdy leżałam nieruchomo w twoich ramionach — zawsze wiedziałam, że są twarde i brązowe, i że mają smak morskiej soli — czy jestem rozczarowana. Och, ani przez chwilę, ani przez sekundę.

— Przeciwnie, jesteś jak ogier, Micahu Willisie — powiedziałam, a ty zaczerwieńłeś się aż po korzonki włosów. Spłonąłeś rumieńcem, nie do wiary, mężczyzna pod siedemdziesiątkę. Pierwszy raz roześmiałam się wtedy szczerze od czasu Piotra, a ty, pewna jestem, od chwili śmierci Krystyny. Zaczęliśmy więc uzdrawiać siebie. Prawda, moja druga miłości?

Ale kiedy zapytałeś: „Czy przyjdiesz jeszcze, Maude?“, odpowiedziałam „Nie“. Milczałeś wtedy, a potem powiedziałeś na pół z uśmiechem, na który patrzyłam z bólem: „Widzisz? Mówiłem ci o letnikach. Dzieli nas jednak zbyt wielka odległość, prawda?“

— Ja czekam na Piotra, Micah — powiedziałam, a ty popatrzyłeś na mnie z niepokojem, jakbym postradała zmysły.

— On odszedł, Maude — powiedziałeś. — Ty jesteś tutaj.

— Nie. On nie odszedł naprawdę.

Potrząsałeś przecząco głową.

— To jałowe — powiedziałeś. — Potrzeba ci żywej miłości, Maude.

— Mam ją — odparłam.

Ten pierwszy raz był również ostatnim. Zastanawiałam się, czy żałowałeś? Dotąd nie wiem, po tylu latach, czy ja żałowałam.

Nie powiedziałam Darcy o tej nocy. Ona wie teraz wszystko, wszystko o mnie... z wyjątkiem tego. Nie wstydzę się, tylko że to nie jest coś, co mogłaby zrozumieć, jeszcze nie. „Miłość z potrzebą gdy w jedność spleciona“, powinnam była jej powiedzieć. Tylko gdyby żyli Piotr i Tina, Micah Willis i ja moglibyśmy przeżyć pełnię żywej miłości. Bez względu na to, co mówił, oboje wiedzieliśmy o tym, gdy poprobowaliśmy jej owej nocy. Darcy nie może jeszcze o tym wiedzieć; to nie jest coś co można powiedzieć młodym. Jeśli będą mieli szczęście, nauczą się tego. Wielu nie nauczy się nigdy, ale jestem przekonana, że ona tak...

Była bardzo cicha gdy powiedziałam jej o dziecku Elżbiety. O tym jak nagle ujrzałam w świetle topniejącej świecy, że to nie było dziecko mego syna lecz mego męża. Urodziło się przedwcześnie i było już skazane, ale to było dziecko Piotra. Nie mogło być co do tego pomyłki; Piotr też to spostrzegł. Piotruś, dzięki Bogu nie; tylko Piotr i ja, ale my wiedzieliśmy...

Darcy siedziała bez ruchu, trzymając mnie za ręce, jej biedne łzy kapały na moją twarz gdy mówiłam jej jak trzymałam to piękne, sine, mimo wszystko umierające dziecko w moich ramionach, kołysząc je, kołysząc i płacząc, aż poczułam jak pod moją ręką ten straszny oddech ustał wreszcie. Powiedziałam jej o poświęceniu mego własnego syna, Piotrusia, gdy pozwoliłam całej kolonii wierzyć, że dziecko było jego. Większość z tych, którzy to pamiętają, nadal — jak sądzę — wierzy. Zdaję sobie sprawę, że Piotruś wciąż tak myśli, i jego Sara też.

Gdy skończyłam mówić i leżałam próbując oddychać mimo ciężaru na piersiach, jej łzy przestały płynąć. Patrzyła na mnie po prostu ze zdumieniem.

— I przez te wszystkie lata pozwoliłaś im z tym żyć? — zapytała. Nie słyszałam potępienia w jej głosie. Bardzo trudno było mówić, ale chciałam, żeby to rozumiała.

— Widzisz, kochanie — powiedziałam. — Piotruś zawsze był trochę butny. Prawdziwy Chambliss płci męskiej. I zawsze miał Sarę. Nie sądziłam, by odrobina pokory mogła wyrządzić mu taką krzywdę, jaką wyrządziłoby... jego ojcu to, że ludzie znalazły prawdę.

— A co z Sarą? To musiało ją strasznie zranić, babuniu Maude.

— Piotrusiowi zawsze brakowało głębszej refleksji, Darcy — odparłam. — Groziło mu, że stanie się w średnim wieku bardzo przeciętnym mężczyzną. Zawsze myślałam, że pewien ostry posmak grzechu... odrobina wątpliwości... to było to, co później tak bardzo zbliżyło do siebie jego i Sarę. Wiem, że to było wielkie ryzyko, ale takie, na które się odważyłam.

— Ale dziadek znał prawdę i ty także — powiedziała. — A jednak nigdy nie myślałaś o tym, żeby go porzucić, chroniłaś go przez cały czas.

— Elżbieta Potter to była choroba — powiedziałam do niej. — Była chora i była chorobą. Nie mogę winić żadnego mężczyzny za chorobę. Piotr nie mógł znieść tego co zrobił. Jego cały świat był w ruinie. To do mnie należało odbudować go z powrotem. Świat Piotrusia był w tym czasie bezpieczny.

Patrzyła w ogień, podtrzymując ciągle moją głowę, a ja leżałam spokojnie, zbierając oddech. Wiedziałam, że nie skończyłyśmy jeszcze rozmowy.

— Co by było, gdyby Greta Winslow była w tym pokoju? — zapytała. — Mówiłaś mi, że ona przez całe życie biegała za dziadkiem.

— Wtedy opuściłabym go natychmiast i nawet bym się nie obejrzała — odparłam. — Greta była po prostu... zła. Elżbieta... Elżbieta... to była śmierć.

— Rozumiem, że była, w końcu — powiedziała moja wnuczka, łzy zaczęły znów płynąć z jej oczu. — Była śmiercią dla dziadka, w każdym razie. Czy tak?

Zamknęłam oczy. *Czy śpiewałeś Piotrze? Och, czy śpiewałeś?*

— Pst! — powiedziałam. — Jestem zmęczona.

Milczałam przez długi czas. Leżałam słuchając prychania ognia, Zoot pomrukiwał cicho przy mojej szyi, czułam jak słoń na mojej piersi ciśnie, ciśnie swym ciężarem.

Szeptalam teraz, jakby do siebie: „Mama Anna miała rację, że się ciebie bała. Miała rację. Przyszłaś tu i rozbiłaś wszystkie normy tego miejsca; zmieniłaś cały ten mały świat, zrobiłaś to, prawda?”

Otworzyłam znów oczy i spojrzałam na nią. Zdawało mi się, że zaraz wybuchnie śmiechem.

— Ktoś musiał to zrobić — powiedziałam. — Tak jak ktoś zmieni ten świat. Nie to jest ważne, żeby mały świat się zmienił; ważne jest kto go zmienia. Nad tym trzeba czuwać. Ten świat... ten świat może zmienić ktoś taki jak ty, lub ktoś taki jak Warrie Villiers. Czy to rozumiesz? Nie zapominaj o tym, kto dokonuje zmiany. Zawsze uważałam, że Zaciszce raczej naprawdę miało szczęście, że to byłam ja.

Roześmiała się wtedy, pochyliła twarz i ucałowała mnie.

— Babuniu Maude — powiedziała — ty naprawdę jesteś szatan, nie kobieta.

— Nasze południowe dziewczęta mają dzikie serca, moja droga. O tym też nie zapominaj.

— Nie zapomnę — wyszeptala w moje włosy. — Nie zapomnę.

Wtedy nadjechała karetka.

Obiecała mi, że będzie walczyć. Zachowa Liberty, zwycięży Warriego Villiersa, znajdzie swoje miejsce w Zaciszu. Wiem, zdaję sobie sprawę, że kłamie, ale zdaję też sobie sprawę z głębi jej miłości do tego miejsca, jego dla niej ważności i być może z głębi jej miłości do Mike'a, choć ona sama jeszcze o tym nie wie. Teraz wie o tym, że jest jej potrzebny, ale to dobry początek. „Miłość z potrzebą gdy w jedność spleciona”.

Zdaję sobie nawet sprawę z głębi jej miłości dla mnie. Istnieje więc szansa, że dotrzyma danego mi słowa, wbrew sobie samej. Jest dobrym dzieckiem a raczej, powinnam teraz powiedzieć, dobrą kobietą. Zupełnie inną niż to rozbite dziecko, które przyjechało do mnie na początku lata. Coś się z nią stało tamtego dnia na Wyspie Rybołowów; coś pozostawiła za sobą i coś nowego ze sobą zabrała. Interesujące: to będzie interesujące zrozumieć kim jest ta kobieta.

Kimkolwiek się okaże, moja silna krew płynie w jej żyłach. Myślę, że jeśli pozwoli na to, ta siła powiedzie ją do celu.

Słyszę warkot jeeпа Mike'a na drodze. To dobrze. Już jest ciemno, jestem zmęczona, tak bardzo, bardzo zmęczona. Och, posłuchaj. Mike śpiewa tę starą piosenkę, którą Piotr śpiewał mi tamtej pierwszej nocy nad zatoką Wappoo: *„Jest trzecia nad ranem... przetańczyliśmy całą noc”*.

Dziwne, że te dzieci znają tę starą piosenkę...

Wstaję i zbiegam lekko po schodach. Oszklone drzwi trzaskają za mną. Mama Anna będzie wściekła; nie znosi gdy trzaskam drzwiami. Słychać śmiech i oklaski z kortu tenisowego. Powietrze jest kryształowo błękitne i słodko pachnie bzami. Słyszę, że oszklone drzwi Potterów też trzasnęły i Amy woła: „Maude. Jesteś tam? Maude?”

Samochód zatrzymuje się na podjeździe.

— Maude — słyszę jego głos. — Tutaj, Maude.

Ciężkie drzwi otwierają się i wchodzi, uśmiechając się, rękawy ma podwinięte na opalonych ramionach, jasne włosy, jak zawsze zasłaniają mu oczy. Szare oczy, oczy jak woda w morzu. Słońce oświetla jego twarz i włosy. Jest cały światłem, cały jest płomieniem.

— Piotrze, moje najdroższe kochanie. Piotrze. Halo, kochany. Wiesz? Czekałam...